



Jon Trace

**SPISEK
WENECKI**

Mroczne sekrety miasta skrywają klucz
do *Bram Piekła...*

 hachette
LITERATURA

Jon Trace

**SPISEK
WENECKI**

LITERATU-



hachette

RA

Tytuł oryginału: *The Venice Conspiracy*

Copyright © Michael Morley 2010

Copyright © for the Polish edition by Hachette Polska sp, z o.o.,

Warszawa 2012

All rights reserved

Tłumaczenie: Maciej Jakub Jabłoński/Quendi Language Services

Redaktor prowadzący: Małgorzata Dudek

Redakcja: Anna Stawirska/Quendi Language Services

Korekta: Hanna Checirska/Quendi Language Services

Projekt okładki: Paweł Pasternak

Zdjęcie na okładce: Lee Frost/Robert Harding World Imagery/Getty Images/Flash Press Media

Skład i łamanie: PanDawer, www.pandawer.pl

Wydawca:

Hachette Polska sp, z o.o.

ul. Postępu 6, 02-676 Warszawa

ISBN 978-83-7739-903-3

**CZEŚĆ
PIERWSZA**

ROZDZIAŁ 1

*Czasy współczesne
Compton, Los Angeles*

Północ. Z opuszczonych szyb czarnego buicka po ostrym tuningu słychać hip-hop. Ludzie idący po wciąż mokrym po burzy chodniku odwracają się. Ale Tom Shaman niczego nie widzi i nie słyszy. Jest w transie. Zatopiony we własnych myślach. Tom ma metr dziewięćdziesiąt wzrostu, pochmurne oczy i gęste, ciemne włosy. Dzięki pracy, która pozwala mu spędzać dwie godziny dziennie na siłowni, ma również posturę boksera wagi ciężkiej. W tej chwili jednak jest tak zamyślony, że nawet dziecko mogłoby powalić go na ziemię.

Przed chwilą wyszedł z obskurnej czynszówki przy West Alondra Boulevard, gdzie patrzył, jak pewna wiekowa Włoszka umiera na raka. Ledwie kilka godzin wcześniej Rosanna Romano skończyła równo sto lat. Nie dostała żadnej kartki ani prezentu. Nie było przy niej żadnych przyjaciół i gości. Tylko lekarz, Tom i coroner. Raczej smutne zakończenie dla kogoś, kto przeżył równo wiek.

Z melancholii wrywa go rozpaczliwy krzyk po drugiej stronie ulicy.

Zza baru sprzedającego smażonego kurczaka na wynos dobiegają krzyki kilku osób.

Tom bez namysłu rusza biegiem w ich kierunku.

- Ej! Co tu się dzieje?!

W szarawym świetle pojawia się jakaś postać. Wielki facet w ubraniu typowym dla ulicznych gangów.

- Odpiardol się, koleś! Nie twój interes. - Dla lepszego efektu bandzior zwija dłoń w pięść. - Jak masz trochę oleju we łbie, to spieprzaj i więcej się, kurwa, nie wtrącaj.

Tom Shaman nie należy do ludzi, którzy dają się zastraszyć.

Facet znika za rogiem. Tom idzie za nim. W zaułku trzech bandziorów katuje jakiegoś nieszczęśnika. Ten wielki, którego Tom zobaczył najpierw, ma nóż. Tom rusza do przodu i celnie wymierzonym kopniakiem wytrąca napastnikowi nóż z ręki. Trzech mężczyzn na chwilę nieruchomieje w zaskoczeniu. Po sekundzie rzucają się na Toma. Mocny cios trafia go w potylicę. Czyjeś kolano boleśnie wbija się w jego udo. Ale to bez znaczenia - po chwili znowu jest na nogach. Nakręca go adrenalina. Uchyła się przed potężnym prawym prostym i zadaje nokautujące uderzenie w głowę bandziora, który miał nóż. Uderza z siłą, która mogłaby zatrzymać rozpedzoną ciężarówkę.

Wytatuowana ręka łapie go za szyję, próbując założyć chwyt. Robi to o wiele za słabo. Tom podrzuca bandytę w górę na ramieniu i ciska nim o ścianę zaułka.

Trzeci bandzior usiłuje go kopnąć w krocze. Ale robi to za słabo i niezdarnie. W rezultacie trafia Toma w udo. Tom łapie but bandyty i uderza w wyprostowaną nogę. Słysząc trzask pękającego kolana. Mężczyzna pada na ziemię z wrzaskiem, ale jego kumpel, ten który usiłował dusić Toma, staje znowu na nogach. Cały trzęsie się od nadmiaru adrenaliny. I w dodatku ma nóż. Przerzuca go z ręki do ręki, jak to robią gangsterzy na filmach. Błąd. Kardynalny błąd.

Tom robi krok naprzód. Przesuwa ciężar ciała do przodu. Kopnięcie z półobrotu trafia bandziora w głowę.

Dwóch załatwionych. Został jeden. Ale ten najwyraźniej nie zamierza kontynuować walki.

- Kurwa! - ryczy, kuśtykając i trzymając się za złamane kolano. - Wiem, kim jesteś, ty pojechańcu! - Składa dłoń w pistolet i celuje do Toma. - Znajdę cię i, kurwa, zatłukę!

Tom nie zwraca uwagi na jego wrzaski. Pochyla się nad ofiarą, próbując ocenić obrażenia.

Ciało na ziemi należy do młodej dziewczyny - piętnasto-, może siedemnastoletniej. Jej ubranie jest w strzępach. Tom nie musi zgadywać, co się stało. W słabym świetle dostrzega krew i ranę na głowie. To dlatego dziewczyna jest nieprzytomna.

Dzwoni z telefonu komórkowego pod 911 i prosi dyspozytora o przysłanie karetki i radiowozu. Kończy rozmowę i upewnia się, że dziewczyna oddycha. Jej oddech jest płytki. Tom nie chce jej ruszać. Może mieć uraz kręgosłupa. Przykrywa ją kurtką i ma nadzieję, że pogotowie zjawi się w miarę szybko.

Wielki bandzior wciąż jest nieprzytomny. Nic dziwnego. To był najlepszy cios, jaki Tom kiedykolwiek wyprowadził. Perfekcyjna kombinacja siły i szczęścia. Kumpel wielkiego bandziora także się nie rusza. Obaj mają po dwadzieścia kilka lat. Weterani życia na ulicy, w spodniach z krokiem w kolanach, futbolowych bluzach i czerwonych chustkach - barwach Bloods, jednego z gangów terroryzujących Compton.

Tom odwraca obu bandziorów na plecy. Są martwi. Przez jego ciało przebiega dreszcz. Nie musi nawet sprawdzać pulsu. Ostrze noża tkwi głęboko w brzuchu wielkiego bandyty. Połowa wnętrzości wylała się na chodnik. Jego kumpel nie ma widocznych obrażeń, ale jego głowa jest dziwnie skręcona. Szeroko otwarte oczy są szkliste, bez życia.

Tom Shaman - ksiądz, ojciec Thomas Anthony Shaman - widział niejedno martwe ciało. Tyle tylko, że do tej pory udzielał im ostatniego namaszczenia. Nie odbierał im życia.

W oddali rozlega się wycie sygnału radiowozu. Pulsuje czerwone i niebieskie światło. Opony piszczą na mokrej nawierzchni. Tuż za radiowozem jedzie karetka. Jej sygnał jest słabszy i przypomina trąbienie słonia.

Tom czuje, że zaczyna mu się kręcić w głowie. Niczego nie słyszy. Niczego nie czuje. Przykuca na krawężniku i wymiotuje. W bładym świetle lampy jego dłonie są czarne. Jak grzech.

Radiowóz zatrzymuje się gwałtownie. Trzask otwieranych i zamkniętych drzwi. Trzeszczenie radiostacji. Policjanci patrzą na krew i ciała i szepczą coś do siebie. W końcu podjeżdża karetka. Po chodniku stukają kółka noszy.

Tom myślami jest gdzie indziej. Nie potrafi zrozumieć, co się stało. Martwa emerytka w Alondra; dziewczyna, której nie zdołał uratować przed gwałtem; dwóch bandziorów, których zabił, i ten, któremu udało się uciec. Wszystko to uderza go z siłą lawiny.

Obok niego pojawia się policjant. Coś mówi. Pomaga mu wstać.

Tom czuje się pusty. Samotny. Zagubiony w swoim własnym piekle. Zupełnie jakby Bóg właśnie go opuścił.

ROZDZIAŁ 2

Compton, Los Angeles

Uczucia, jakiego doznaje się następnego ranka po tym, jak przypadkowo odbierze się życie drugiemu człowiekowi, nie da się z niczym porównać.

Żaden kac, żadna przegrana w kasynie, żaden przypadkowy seks z niewłaściwą osobą nie przynosi następnego dnia rano tak potwornego obrzydzenia do samego siebie.

W najczarniejszy dzień swojego życia Tom Shaman siedzi na skraju swojego małego tapczanu w szarej kamizelce i krótkich spodniach i czuje się gorzej niż kiedykolwiek.

Nie może spać. Nie może jeść. Nie może się modlić.

Słyszy dobiegające z dołu głosy. Jego gospodyni. I dwóch księży, z którymi dzieli mieszkanie. Rzecznik prasowy diecezji. Funkcjonariusz policji. Piją herbatę i kawę, udzielają sobie wsparcia i pociechy, planują jego dalsze życie bez pytania go o zdanie. Zdaje się, że jedyna dobra wiadomość jest taka, że dziewczyna przeżyła. Jest śmiertelnie przerażona, ale żyje. Ma ciężką traumę i jest bardzo poważnie ranna, ale mimo wszystko żyje.

Tom ma już za sobą przesłuchanie na komendzie. Wypuszczono go bez stawiania zarzutów, ale z przyjacielskim ostrzeżeniem, że jeśli ktokolwiek się o tym dowie, rozpęta się piekło.

I piekło się rozpętało.

Prasa spuściła ze smyczy swoje ogary, które właśnie zdeptują jego trawnik. Stada dziennikarzy krążą jak sępy po kościele i zakrystii. Wzdłuż ulicy stoi sznur wozów transmisyjnych upstrzonych talerzami satelitarnymi. Już sam hałas, jaki robią, jest dla niego przedśmionkiem piekła. Zasłania uszy dłońmi i usiłuje odciąć się od nieustannego brzęczenia telefonów komórkowych, trzasku radiostacji i głosów prezenterów ćwiczących przed wejściem na antenę.

Kiedy wychodził z posterunku tuż przed świtem, naiwnie wierzył, że będzie mógł wrócić do domu i jakoś zmierzyć się z wydarzeniami tej nocy. Zastanowić się, czy ten koszmar jest jakimś testem wiary zesłanym przez Boga. Jeden gwałt i trzy trupy - stara wdowa i

dwóch smarkaczy, którzy przeszli na ciemną stronę. Całkiem niezły test. Może Bóg ma świadomość, że w Los Angeles tragedie muszą mieć epicki wymiar godny Hollywood.

A może żadnego cholernego Boga nie ma!

Wątpliwości uderzają go jak morska fala.

Daj spokój, Tom. Miałeś je od dawna. Głód. Trzęsienia ziemi. Powodzie. Niewinni ludzie, umierający z głodu, tonący w falach tsunami lub grzebani żywcem. Nie udawaj, że wszystkie te przejawy siły wyższej nigdy nie zachwiały twojej wiary.

Rozlega się pukanie. Drzwi do sypialni Toma uchylają się, skrzypiąc. Pojawia się w nich piegowata sześćdziesięcioletnia twarz ojca Johna O'Hary.

- Zastanawiałem się, czy śpisz. Potrzebujesz towarzystwa?

Tom uśmiecha się.

- Nie spałem. Jeszcze nie.

- Chcesz coś zjeść? Może jajecznicę i świeżą kawę? - Ojciec John wskazuje kubek z zimną kawą, stojący obok łóżka Toma.

- Na razie nie, dziękuję. Zaraz wezmę prysznic i spróbuję się trochę pozbierać.

- Zuch chłopak. - Ojciec John uśmiecha się zyczliwie i zamyka za sobą drzwi.

Tom spogląda na zegarek. Nie ma jeszcze jedenastej, a on już chciałby, żeby ten dzień się skończył. Wszystkie stacje telewizyjne między Pacyfikiem a Atlantykiem walcują jego historię od szóstej rano. Oczy całej Ameryki skierowane są na niego. Nie jest z tego zadowolony. Ani odrobinę. Tom Shaman jest nieśmiały. Z natury przyjacielski i silny jak byk, ale przerażony na samą myśl, że miałby wejść do pomieszczenia pełnego obcych ludzi i się przedstawić. Nie należy do ludzi, którzy chcą udzielać wywiadów ogólnokrajowej telewizji. Dziennikarskie sępy od rana wpychają w drzwi zakrystii

wypełnione czeki, błagając o wywiad na wyłączność. Usiłując go kupić.

Udaje mu się dotrzeć do łazienki, zanim zwymiotuje. Odkręca kurek z zimną wodą. Nabiera wody w złożone dłonie i kilkakrotnie ochlapuje twarz, aż w końcu skóra zaczyna mu drętwieć z zimna.

Podnosi wzrok i patrzy w lustro nad zlewem.

Twarz mordercy. Spójrz na siebie, Tom. Zobacz, jak się zmieniłeś. Nie udawaj, że tego nie widzisz. Jesteś mordercą. Podwójnym mordercą.

Jakie to uczucie, ojcze? Kiedy zabijałeś tamtego bandziora? Bądźmy szczerzy.

Czuleś się dobrze, prawda?

Prawda.

Tom odwraca wzrok. Bierze ręcznik i wraca do sypialni.

Na podłodze przy łóżku leży stara pocztówka. Kiedyś wisiała na ścianie w mieszkaniu Rosanny. Poprosiła go o nią, kiedy modlił się przy jej łóżku poprzedniej nocy. Ucałowała ją i podarowała mu w podziękę za modlitwę. „Per lei”. Dla ciebie.

Podnosi ją. Zauważa, że kartka jest pomarszczona ze starości. Rogi są naderwane i brudne. Białawy ślad znaczy miejsce, w którym wbita była pinezka. Tom po raz pierwszy przygląda się pocztówce z bliska. Kolory dawno wyblakły, ale prawdopodobnie jest to reprodukcja jakiegoś słynnego włoskiego obrazu. Może Canaletta. W rozmazanej sepii dostrzega niewyraźny kształt kopuły kościoła i długie, rozmyte kształty, które przypominają mu koniki morskie, ale prawdopodobnie są gondolami. Scena rozgrywająca się tysiące mil od niego, uwieczniona na obrazie namalowanym kilka stuleci wcześniej.

Tom po raz pierwszy tego dnia szczerze się uśmiecha.

Wenecja, rodzinne miasto Rosanny Romano, budzi w nim nadzieję...

CAPITOLO I *

* Capitolo - (wł.) rozdział

*Rok 666 przed Chrystusem
Aimanta, Północna Etruria*

Spienione fale Adriatyku rozbijają się o różowawy piasek na plaży. Niedaleko poszarpanych skał północno-wschodniego wybrzeża kończy się ceremonia haruspicjum. Zmartwieni mieszkańcy wioski wychodzą ze świętego gaju wyrastającego wśród oliwnych sadów i winnic. Nie zostali podniesieni na duchu.

Wróżbita ich zawiódł.

Teukros - niegdyś podziwiany za uzdolnienia - ponownie nie zdołał wywróżyć im niczego pomyślnego.

Młody wróżbita jest w rozterce. Nie rozumie, dlaczego bogowie go opuścili. Przed dzisiejszą ofiarą pościł przez trzy dni, nosił czyste odzienie, zachował trzeźwość, słowem, sumiennie wypełnił wszystkie instrukcje ze świętych ksiąg.

A jednak bóstwa nie zesłały żadnych pomyślnych znaków.

Mieszkańcy mruczą do siebie. Słyszy ich narzekania. Domagają się, by zastąpił go ktoś inny.

Upłynęły już dwie pełnie - może dłużej - odkąd po raz ostatni przyniósł pomyślne wieści mieszkańcom Atmanty. Teukros ma świadomość, że ich cierpliwość się wyczerpuje.

Niebawem zapomną, że to jego wróżby pomogły im się osiedlić na zasobnych w rudy metali wzgórzach północnego wschodu. To on pobłogosławił pierwszy miedziany pług, który wyrwał pierwsze skiby

ziemi i nakreślił święte granice miasta. Niewdzięcznicy. Przybył do gaju prosto od łoża śmierci starej niewolnicy, która mieszkała w chatach sług za dołami kloacznymi. Umarła na zarazę - demony miotały się z dzikim rechotem w jej trzewiach, pożerając jej płuca i kazać jej wypluwać krew i ciało.

Stoi w centrum świętego kręgu i myśli o niej. Nakreślił krąg swoim lituusem, długim, starannie wyciosanym cyprysowym kijem z lekko zagiętym końcem. Zrobiła go dla niego Tecja, zaślubiona mu ciałem i duszą. Przy jej boku miał spędzić wieczność.

Rozgląda się. Wszyscy odeszli. On też już powinien odejść. Ale dokąd? Nie do domu. Jeszcze nie. Wstyd z poniesionej klęski jest zbyt wielki, by mógł zabrać go ze sobą do małżeńskiego łoża.

Zdejmuje stożkowaty kapelusz, ceremonialne nakrycie głowy wróżbitów. Musi znaleźć jakieś spokojne miejsce i oddać się medytacji.

Miejsce, w którym będzie mógł zwrócić się do Menrwy, bogini mądrości, aby wsparła go w walce z nękającymi go wątpliwościami.

Teukros zbiera naczynia sakralne i obchodzi resztki dzisiejszej ofiary - pozostałości surowego jajka, które przynieśli mu akolici.

Kiedy stłukł skorupkę, ukazało się zepsute żółtko. Zabarwione na czerwono krwią nienarodzonego kurczęcia. Oznaka bliskiej śmierci. Ale czyjej?

Teukros wychodzi z gaju na teren, gdzie powstaje świątynia. Budowa trwa już długo. Zbyt długo.

Ściany świątyni powstają z niewypalanej cegły i drewna. Na fasadzie dominuje trójkątny fronton. Niski, dwuspadowy dach wkrótce zostanie pokryty terakotą.

Gdy budowa się zakończy, Teukros poświęci ołtarze. Bogowie będą zadowoleni. I wszystko znów będzie w porządku.

Teukros nie ma jednak pewności, kiedy to nastąpi. Wszystkich robotników odesłano do kopalni srebra. Wydobycie kruszcu jest teraz ważniejsze niż sprawy duchowe.

Teukros dochodzi do tylnej części świątyni, gdzie znajdują się trzy komnaty poświęcone najważniejszym z bóstw: Tinii, Uniemu oraz Menrvie. Gdy jego żona ukończy budowę spiżowych posągów do panteonu, Teukros poświęci je w tych komnatach.

Ta myśl uspokaja go i poprawia mu nastrój, choć wciąż czuje zbyt wielki wstyd, aby wrócić do domu.

Pogrążony w melancholii wędruje po okolicy. Jego sandały nękają w długich źdźbłach trawy. W końcu dociera do zagajnika gęsto porośniętego limetami i dębami.

Słyszy ich, zanim jest w stanie zobaczyć. Młodych wieśniaków z sąsiedniej wioski. Biegnących. Goniących za czymś. Wymieniających okrzyki. Jest ich trzech. Wyglądają, jakby w coś się bawili.

Kiedy Teukros podchodzi bliżej, dostrzega jednak, że to nie zabawa. Słońce świeci mu w oczy, ale chyba widzi leżącego na ziemi chłopca. Jeden z młodzieńców trzyma jego głowę między kolanami - jak owcę podczas strzyżenia. Pozostałych dwóch zerwało mu tunikę... Chłopiec jest nagi od pasa w dół. Największy wieśniak go gwałci.

Teukros trzyma się z boku. Jest wysoki i silny, ale nie ma szans w starciu z tymi brutalami.

Nadpływa chmura, przesłaniając blask słońca. Teukros nagle widzi całą scenę. Ofiara nie jest chłopcem... To Tecja.

Znika niepewność i wahanie. Teukros rzuca się do przodu, dobywając w biegu noża, którego używa do składania ofiar. Do rozczinania brzuchów zwierząt, aby odczytać z nich przyszłość. Wbija go z rozmachem w plecy gwałciciela. Chłopak wydaje z siebie wrzask

bólu. Upadając, przewraca Tecję. Teukros tnie w twarz drugiego napastnika, który przytrzymał jego żonę. Ostrze wbija się w skórę nad oczami.

Nagle na szyi czuje uścisk. Dopadł go trzeci młodzieniec. Dusi go. Usiłuje przewrócić.

Obaj upadają na ziemię. Teukros czuje zawroty głowy. Uderza się w skroń. Przed oczami widzi zapadające ciemności.

Tuż przed utratą przytomności uświadamia sobie coś. Nóż. Ktoś wyjmuje go z jego słabnącej dłoni.

CAPITOLO II

Teukrosie! Wróżbita jest przekonany, że śni.

- Teukrosie! Zbudź się!

Uchyła powieki. Oczy bołą. Tecja stoi nad nim. Za plecami ma słońce, więc Teukros nie widzi dokładnie jej twarzy.

To musiał być tylko sen.

W oczach Tecji widzi, że jednak nie śnił. Krew na jej dłoniach dobitnie świadczy, że to nie był sen. Obraca się na bok i powoli podnosi. Rozgląda się. Niczego nie widzi. Staje na nogach i wyciąga do niej drżącą dłoń.

- Wszystko w porządku?

Na jej twarzy maluje się przerażenie. Patrzy na coś za jego plecami.

Teukros odwraca się. Nie może uwierzyć w to, co widzi. To się wydarzyło naprawdę. Wszystko zdarzyło się naprawdę. Gwałcieciel wciąż tam leży. W piachu. Jego twarz i ciało pokrywają głębokie krwawe rany. Ten, którego Teukros ciął nożem w twarz, uciekł. Jego towarzyszy także.

Spogląda na żonę. Jest cała we krwi. Nie musi nawet pytać, co się wydarzyło. Kiedy stracił przytomność, wzięła nóż i zadźgała napastnika. Wbijiała ostrze w jego ciało raz po raz, nim nie zyskała całkowitej pewności, że nie żyje. Nie poprzestała jednak tylko na pozbawieniu go życia.

Teukros nie może wydobyć słowa. Nie może patrzeć na żonę. Tecja wypatroszyła gwałcieciela. Wbiła nóż głęboko w jego ciało i rozcięła go na pół. Wszędzie leżą jego wnętrzności. Serce. Nerka. Wątroba. Został oprawiony jak wół w rzeźni.

W końcu Teukros odwraca się do niej. W jego głosie słychać napięcie i zdenerwowanie.

- Tecjo? Co ty zrobiłaś?

Jej spojrzenie twardnieje.

- Zgwałcił mnie - wskazuje na krwawe szczątki. - Ten wieprz mnie zgwałcił!

W jej oczach lśnią łzy.

Ujmuje jej dłonie w swoje. Czuje wyraźnie, jak Tecja drży.

- Jest martwy i cieszę się z tego. Rozciąłam go, żeby nigdy nie dotarł do królestwa podziemi - wskazuje głową rozrzucone trzewia gwałcieciela, które Teukrosowi kojarzą się z wnętrznościami zwierząt, składanych w ofierze bogom. - Spożyłam jego wątrobę. Ich dusze należą do Aity.

Jej słowa uderzają go jak obuchem. Aita - pan królestwa podziemi. Złodziej dusz. Imię, którego żaden kapłan nie śmie wymówić. Stopy Teukrosa kleją się od krwi człowieka zarżniętego przez Tecję - bestii,

która zbrukała i znieważyla go niemal w takim samym stopniu, jak ją. Czuje wzbierające nudności. Rozgląda się wokół po scenie rzezi. Czuje zdumienie. Nigdy nie przypuszczał, że w drobnym ciele Tecji kryje się tyle siły. Tyle gniewu. W końcu Teukros przerywa ponury tok swoich myśli.

- Musimy iść. Musimy udać się do sędziego i opowiedzieć mu, co tu zaszło. O tym, że zostałaś napadnięta i musiałaś się bronić. Musimy opowiedzieć wszystko.

- Ha! - Tecja podnosi ręce w górę i śmieje się posepnie. - A to? - Zatacza dłonią okrąg po krwawej scenie. - Mają mnie wytykać palcami i szeptać za moimi plecami do końca moich dni? „Spójrzcie na nią! Spójrzcie na tę kobietę. Zgwałcono ją i postradała rozum”.

Teukros otacza ją ramieniem.

- Ludzie rozumieją.

Tecja go odpycha.

- Nie! - Zbliża zakrwawione dłonie do jego twarzy. - Nie, Teukrosie! Nie rozumieją!

Łapie ją za nadgarstki. Chce odsunąć od siebie czerwone od krwi dłonie, ale nie potrafi. Zamiast tego przyciąga ją do siebie i obejmuje mocno. Tecja cała się trzęsie. Teukros dotyka ustami jej włosów i delikatnie całuje. To, co zamierza zrobić, to błąd. Wie o tym. Ale wie również, że nie mają innego wyjścia.

Robi krok w tył, kładąc dłonie na jej łokciach.

- Zatem pójdziemy i umyjemy się w strumieniu. Potem wrócimy do domu i spalimy te ubrania. Jeżeli ktoś będzie pytał, całą noc spędziliśmy razem w domu.

Na twarzy Tecji maluje się ulga.

- I nigdy nikomu nie powiemy ani słowa o tym dniu. Rozumiesz?

Kiwa głową na znak potwierdzenia. Wtula się w jego ramiona. Ogarnia ją poczucie bezpieczeństwa. A jednak czuje, że coś się zmieniło. Nie ma odwagi, by to opisać. Wie jednak, że ich życie już nigdy nie będzie takie samo.

ROZDZIAŁ 3

Czasy współczesne
Osiem miesięcy później
TLot UA 716
Kierunek: Wenecja

W połowie drogi przez Atlantyk Tom Shaman po raz kolejny ogląda pocztówkę, którą dostał od Rosanny Romano.

Już wie, widnieje na niej obraz Giovanniego Canaletta przedstawiający XVIII-wieczny widok Canal Grande i bazyliki Santa Maria della Salute. Spędził cały dzień, szukając tego obrazu w Internecie. To ta pocztówka i ten widok przekonały go, że słusznie zrobił, opuszczając Los Angeles. Nie na chwilę. Ani na wakacje. Na zawsze.

W chwili, gdy podniósł zniszczoną pocztówkę z podłogi przy łóżku, wiedział, że jego dni jako kapłana są policzone. Dłonie, które trzymały pocztówkę, zostały splamione grzechem śmiertelnym. Dłonie mordercy. Nigdy więcej nie mógłby dotknąć hostii. Udzielić chrztu ani ślubu. Nie zdołałby niczego poświęcić.

A najdziwniejsze jest w tym wszystkim przecucie, że Bóg był zadowolony z jego decyzji. Tom nie do końca rozumie, jak to możliwe, ale odejście z Kościoła wydaje mu się teraz równie naturalne, co decyzja o wstąpieniu do seminarium, kiedy jeszcze był na studiach.

Gliniarze powiedzieli mu, że zgwałcona dziewczyna popadła w obłąd. Dowiedziała się, że jest w ciąży, i musiała poddać się aborcji. W ogóle nie wychodziła z pokoju. Spędzała tam całe dni przy zasłoniętych oknach, w towarzystwie mamy. Serce Toma pękło na pół, gdy się o tym dowiedział. Kilka razy próbował ją odwiedzić, ale odmówiła spotkania z nim. Przez policję przekazała mu, że czuje się nieczysta - splugawiona - i dlatego nie wolno jej spotkać się z księdzem.

Biedne dziecko.

Tom wciąż obwinia siebie. Gdyby tylko zareagował wcześniej, gdyby szybciej podjął decyzję. Mógł ją ocalić. Mógł oszczędzić jej cierpienia.

Ponure myśli wciąż go dręczą, gdy airbus zaczyna podchodzić do lądowania na lotnisku Marco Polo w Wenecji.

Przez okno dostrzega lśniąca między chmurami szczyty Dolomitów i błękitną powierzchnię Atlantyku. Następnie widzi Ponte della Libertà, długi most z wiaduktem kolejowym łączący historyczne centrum Wenecji ze stałym lądem. Wreszcie wyłania się charakterystyczna sylwetka bazyliki św. Marka i wijący się między budynkami Canal Grande. Kanał nie zmienił się zbyt od czasów Canaletta.

Pas startowy lotniska Marco Polo biegnie równolegle do brzegu morza i o ile nie siedzi się w fotelu pilota, można odnieść wrażenie, że samolot za chwilę wpadnie do wody na środku laguny. Uderzenie kół o asfalt pasa i wstrząs zaciąganych hamulców witane jest zbiorowym westchnieniem ulgi i aplauzem.

W głównym terminalu wszyscy się spieszą. Szaleństwo osiąga apogeum w hali odbioru bagażu. Ale bagażu Toma tam nie ma. Wszystko, co posiada, wepchnięte do starej obszernej walizki, po prostu zniknęło.

Sympatyczni ludzie z linii lotniczej obiecują zrobić wszystko, by odzyskać jego rzeczy. Tom nieraz słyszał już takie obietnice, zazwyczaj wypowiedane przez ludzi wyznających przed nim na kolanach swoje grzechy, którzy potem klepali zadane modlitwy z równym zaangażowaniem, co zamawiając cheeseburgera i colę.

Tom wychodzi na zalany oślepiającym słońcem parking przed terminalem i dostrzega zabawną stronę tej sytuacji. Może tak miało być - może będzie musiał zacząć nowe życie, mając ze sobą tylko koszulę na grzbiecie.

ROZDZIAŁ 4

Czasy współczesne
Wenecja

Piazzale Roma! - woła kierowca autobusu takim tonem, jakby częstował kogoś ciężkim przekleństwem. - *Finito. Grazie.* Kierowca, niski mężczyzna o czarniawej twarzy i kwadratowej sylwetce, wyskakuje z autobusu i przypala papierosa, zanim jeszcze pierwszy pasażer wstanie z fotela. Tom zarzuca sportową torbę na ramię i pyta kierowcę o drogę:

- *Scusi, dove l'hôtel Rotoletti?*

Kierowca wydmuchuje kłęb dymu. Małe, czarne oczka uważnie taksują Amerykanina o rumianej twarzy, który odzywa się do niego wyuczonym zwrotem z rozmówek.

- Niedaleko - macha papierosem w kierunku drugiego końca placu. - Za rogiem w lewo i będzie hotel.

Okazuje się, że mówił prawdę. Hotel rzeczywiście jest niedaleko i Tom po chwili dociera na miejsce.

Kobieta siedząca za podniszczonym biurkiem w recepcji jest grzeczna, ale w żadnym razie nie można nazwać jej przyjazną. Prowadzi go do klaustrofobicznego pokoiku o ścianach w kolorze krwistej czerwieni i wyblakłego błękitu. Nad klimatyzatorem znajduje się nieduże, brudne okienko, którego nie da się otworzyć. Tom rzuca torbę na ziemię i od razu wychodzi z powrotem na ulicę.

Po półgodzinnym spacerze dociera na plac św. Marka, lawirując między setkami gołębi i oglądając witryny w sklepach. Szybko orientuje się, że nigdy nie będzie go stać na zakupy w Wenecji. Jedwabny krawat kosztuje tu więcej niż okazały stos koszul i spodni, które kupił w centrum handlowym w Los Angeles. Modli się, żeby jego walizka jednak się znalazła, i to szybko.

Zapach świeżo palonej kawy i gwar turystów zwabia go do Cafè Florian. Zamawia cappuccino i sałatkę nicejską. Oprócz trzydziestoletniej blondynki, czytającej książkę przy sąsiednim stoliku, kawiarnię zapelniają pary i rodziny. Jakiś Brytyjczyk w średnim wieku przy stoliku naprzeciwko opowiada swojej znacznie młodszej, nadmiernie umalowanej i niedostatecznie ubranej towarzysze, że przed wiekami w kawiarni mieścił się burdel dla wyższych sfer i znakomity klub muzyczny. Zarówno Tom, jak i blondynka podnoszą wzrok i słuchają monologu Brytyjczyka o XVIII-wiecznej Wenecji, Casanovie i libertyńskich obyczajach.

- Zdaje się, że przyjechaliśmy tu trzysta lat za późno - blondynka odzywa się do niego szeptem.

Tom zdejmuje łyżeczką piankę z kawy.

- Nie byłbym tego taki pewien. Mam dość kłopotów ze współczesnością, wenecka dekadencja to już chyba byłoby za wiele.

Uśmiecha się, dopiero teraz przyglądając się swojej rozmówczyni.

- A w ogóle to skąd pani wiedziała, że mówię po angielsku?

Kobieta odgarnia kosmyk blond włosów. Ma niebieskie oczy.

- Bez urazy, ale nie wygląda pan na Włocha i nie ubiera się pan jak Włoch - przerywa na chwilę. - Prawdę mówiąc, trudno powiedzieć, jak się pan ubiera.

Śmieje się, ale to ciepły i przyjazny śmiech.

- No a przede wszystkim pije pan cappuccino po południu i w dodatku bawi się pan łyżeczką. - Wskazuje głową na mężczyznę naprzeciwko. - A jedyną na tyle barbarzyńską nacją w Europie, żeby pić cappuccino po śniadaniu, są Brytyjczycy. Dlatego myślę, że tak jak ja jest pan Amerykaninem. Po opaleniznie wnoszę, że z Zachodniego Wybrzeża?

Tom kiwa głową.

- W dziesiątkę. - Jej akcent kojarzy mu się z Manhattanem. Górnym. - Czy pani jest z policji albo coś w tym stylu?

Kobieta znowu wybucha śmiechem, tym razem głębszym i dłuższym. I bardzo przyjemnym.

- Ja? Nie, skądże. Piszę przewodniki turystyczne. Jestem wolnym strzelcem. Pracuję dla różnych wydawnictw, od Lonely Planet po Condé Nast. - Pochyliła się ku niemu przez stolik. - Jestem Tina, Tina Ricci.

- Miło mi cię poznać, Tino.

Tom ściska wyciągniętą dłoń. Ona patrzy w jego ciepłe, brązowe oczy i czeka na jego ruch. Spodziewa się, że zaprosi ją do stolika. Jest pewna, że za chwilę usłyszy jego imię. Ale się rozczarowuje. Tom milczy. Czując coraz większe zakłopotanie, odwraca wzrok. Serce wali mu z taką siłą, jakby właśnie zaliczył trzy rundy na ringu bokserskim w Compton. Czuje na sobie jej spojrzenie. Gong wybija drugą rundę. Po raz pierwszy w życiu Tom tkwi w swoim narożniku i nie ma pojęcia, co zrobić dalej.

ROZDZIAŁ 5

Czasy współczesne
Wenecja

Wygłąda inaczej. Już nie jest miłosiernym Samarytaninem, który wyciągnął do niej pomocną dłoń, gdy błąkała się po labiryncie ciemnych uliczek. Nie jest przyjaznym miejscowym, pomagającym wystraszonej, zagubionej nastolatce, która wybiegła na ulicę po kłótni z ojcem.

Jest inaczej ubrany. Ma na sobie długie, czarne szaty. Jego twarz zasłania złowroga srebrna maska.

Dziewczyna wykrzywia się z bólu, gdy on ciągnie jej związane ciało po omszałych deskach. Zabiera ją do świętego miejsca. Do ołtarza libacyjnego. Do miejsca, w którym woda pochłonie jej krew.

Kładzie ją na ołtarzu. Jej głowa zawisa nad krawędzią, w miejscu pomiędzy niebem, a ziemią. W otchłani. To tu wydrze jej duszę. Zaczyna dopiero, gdy dziewczyna patrzy prosto na niego. Nacięcie za lewym uchem. Długa szrama na uroczym policzku. Z jej smukłej szyi dobywa się bulgot. Knebel w ustach luzuje się. Tryska fontanna czerwieni. Potem rozlega się charkot. Czarna woda chciwie pije krew dziewczyny, aż w jej ciele nie pozostaje nawet kropla.

Z kamienną twarzą puszcza jej głowę, która uderza głucho o deski podłogi. Następnie wyjmuje narzędzia potrzebne mu do zakończenia krwawego rytuału. Klęka i zaczyna się modlić.

Jest kapłanem wiary przekazywanej ustnie przez stulecia. Wiary, której nie można złamać.

Wkrótce w jego umyśle rozlegają się szepty. Narastający chór głosów. Wspólna modlitwa tych, którzy byli tu przed nim. Którzy też zabijali. Chór wyznawców osiąga apogeum, gdy kapłan kończy rytuał.

Owija ciało grzesznicy w czarny plastik, wsuwa je pod brezent przykrywający gondolę i czeka, aż nadejdzie noc.

Mleczne promienie księżycowego światła tańczą na deskach przystani.

W jego uszach rozbrzmiewa długi zew czarnej nicości. Buzuje w jego krwi. Wdycha ją głęboko. Wchłania jej mrok. Czuje, jak nicość go zmienia. Nieoświetlona czarna gondola sunie bezgłośnie miejskim kanałem i wpływa do laguny. Koniec właśnie się rozpoczyna. Koniec zaplanowany sześć stuleci przed narodzinami Chrystusa.

ROZDZIAŁ 6

Następnego dnia Wenecja

Ulice są ciemne, chłodne i opustoszałe. Jest dopiero piąta rano, ale Tom jest na nogach już od godziny. Wędruje po weneckich mostach. Miejscowi mawiają, że najlepszym sposobem, żeby poznać Wenecję, to się w niej zgubić. Jeśli tak jest w istocie, to Tom jest na najlepszej drodze. W tej chwili wie tylko tyle, że zmierza mniej więcej w kierunku Rialto. Być może to lata wczesnego wstawania wypędziły go z łóżka przed świtem, albo różnica czasu rozregulowała jego zegar biologiczny. A może chodzi o to, że wciąż stara się dojść, dlaczego wczoraj nie zapytał Tiny - czy jej pełne imię brzmiało Tina, czy może to skrót, na przykład od Christiny? - czy nie chciałaby umówić się później na drinka lub na kolację. Słowa, które wczoraj nie chciały mu przejść przez gardło jak jakiemuś nastolatкови, dziś wydają się zupełnie naturalne.

Opiera się o barierkę u podnóża mostu i patrzy w wodę. W głowie ma mętlik. Czego właściwie miał się spodziewać po krótkiej rozmowie z kobietą w kawiarni?

Piąta rano to idealna pora na to, żeby uporządkować myśli i zobaczyć miasto. Wydaje się, że ma je tylko dla siebie, zupełnie jak na prywatnym pokazie w galerii. Wenecja kryje w sobie fascynujące zbiory. Sto pięćdziesiąt kanałów spiętych czterema setkami mostów. Sto siedemnaście wysp. Trzysta uliczek.

Tom unosi głowę. Dobiega go jakiś głos.

Może jakiś miejscowy zdąży do pracy. O tej porze Wenecja powoli budzi się do życia. Możliwe nawet, że to jakiś ksiądz zmierza do kościoła na poranną mszę.

Tom zdejmuje dłonie z chłodnej, żelaznej poręczy. Rozgląda się. Głos odzywa się znowu, ale tym razem brzmi jak krzyk. Jakiś mężczyzna krzyczy, chyba po włosku. Tom wchodzi na most i nasłuchuje, próbując ustalić odległość. W końcu stwierdza, że źródło krzyku znajduje się na wprost i dalej w prawo.

Przebiega na drugą stronę mostu. Ulica ma zapach mokrego kamienia i gnijących warzyw. Schodzone skórzane podeszwy jego butów ślizgają się po brukowanej nawierzchni. Przekracza następne dwa mosty i zatrzymuje się.

- Halo! Halo, jest tam kto?

- Tutaj! Tutaj! - dobiega odpowiedź, ale Tom wciąż nie widzi krzyczącego. Rusza przed siebie. Decyduje się skręcić w prawo, przez kolejne dwa mosty.

Tuż za drugim mostem wreszcie go dostrzega. Starszy mężczyzna. Siwy, w białej koszuli i ciemnych, wymiętych spodniach. Klęczy nad wodą, jakby się potknął albo próbował wyciągnąć coś z kanału. Pewnie jakąś łódkę. Albo upuszczoną torbę lub coś w tym rodzaju.

- Chwileczkę, pomogę panu.

Twarz klęczącego mężczyzny jest wykrzywiona od wysiłku. Kostki dłoni ma zbielełe od kurczowego zaciskania. Tom podchodzi bliżej. Wokół poręczy owinięta jest żeglarska lina. Starszy pan usiłuje wyciągnąć coś ciężkiego z wody.

- Proszę pozwolić, pomogę.

Staruszek cofa się. Potyka się i z głośnym plaśnięciem siada na bruku. Ukrywa twarz w poobcieranych dłoniach i zaczyna szlochać. Tom klepie go po ramieniu i ścisną pocieszająco. Podchodzi do

krawędzi kanału i spogląda w wodę. Dopiero teraz rozumie, dlaczego staruszek jest taki roztrzęsiony. Na końcu liny zwisa nagie, zmasakrowane ciało młodej kobiety.

CAPITOLO III

*Rok 666 przed Chrystusem
Osiem cykli księżyca później
Atmanta*

Teukros i Tecja siedzą razem przed swoją chatą, obserwując wschód jesiennego słońca na czystym etruskim niebie. Lasy na horyzoncie zabarwiają się kolorami intensywnej pomarańczy, bladej żółci i głębokiej, wiśniowej czerwieni.

Żadne z nich od dawna nie zaznało spokojnego snu. Spędzają tak większość poranków. Trzymają się za ręce i odpoczywają oparci o ścianę skromnego domostwa na zboczu wzgórza, które Teukros wznosił z ciosanych belek przetykanych słomą, wikliny i terakoty. Najważniejsze, że tajemnica nie wyszła na jaw. Tajemnica, o której nigdy nie rozmawiają. Która nigdy nie ujrzy światła dziennego.

Tecja kładzie głowę na ramieniu męża.

- Pewnego dnia usiądziemy tu z naszymi dziećmi i nauczymy je dostrzegać piękno naszego świata. - Kładzie dłoń na nabrzmiałym brzuchu w nadziei, że poczuje magiczne kopnięcie dziecka.

Teukros uśmiecha się, ale nie jest to ciepły uśmiech przyszłego ojca. Raczej męża robiącego dobrą minę do złej gry, targanego wątpliwościami, czy nienarodzone dziecko Tecji zostało spłodzone przez niego, czy przez mężczyznę, który ją zgwałcił.

Tecja ściska jego dłoń.

- Zobacz, zieleń zachowała się tylko na sosnach przy gaju. Cała reszta wygląda tak, jakby bogowie ją podpalili.

Podąża za jej wzrokiem w stronę koron drzew, starając się nie myśleć o narastającej w nim nienawiści do dziecka, które rośnie w jej łonie.

- Ogień jesiennego słońca oczyści ziemię pod nowe uprawy.

- Przewidziałeś to, mój mężu?

Teukros śmieje się.

- To nie wróżba, tylko fakt.

Tecja otacza go ramieniem i milknie. Ostatnio cisza jest najlepszym towarzyszem. Trzyma ich razem, lecząc rany, o których nie mają odwagi rozmawiać.

Słońce zalewa dolinę złotym światłem, zwiastując piękny dzień. Nagle zauważają ciemny kształt poruszający się w dół przeciwległego wzgórza.

Teukros dostrzega go pierwszy. Wpatruje się intensywnie w czarną plamę. Mruga. Ma nadzieję, że się myli. Może to tylko duży ptak albo dziki kot odcinający się od jasnożółtej trawy. Jednak się nie myli. W ustach czuje nagłą suchość.

Tecja prostuje się, odgarnia długie, czarne włosy z czoła i mruży oczy w świetle słońca.

Po drugiej stronie wzgórza stoi tylko jeden dom. I tylko tam mieszka człowiek, który wysłałby konnego posłańca o tak wczesnej porze.

Ciemny kształt rośnie w oczach. Zatrzymuje się dopiero na dnie doliny. Teukros wie, że człowiek na koniu na nich patrzy. Przybywa po nich.

CAPITOŁO IV

Człowiek na wzgórzu to Larth. Larth Oprawca. Larth, którego imię wzbudza największy strach w całej Atmancie.

Jest wiele przyczyn, by obawiać się tej góry muskułów przybywającej z polecenia swego pana, sędziego Pesny. Po pierwsze, Larth zabija. Morduje ludzi z zimną krwią z wyroku miejscowego sądu. Po drugie, torturuje swoje ofiary, również na polecenie swego pana. I po trzecie, być może najgorsze, Larth uwielbia swoją krwawą pracę.

Wszystkie te myśli przelatują przez głowę Teukrosa, gdy Larth szorstkim głosem żąda, aby wziął swojego konia i pojechał z nim do sędziego. Teukros nie ma wyboru. Przed oczami staje mu również sędzia Pesna, człowiek młody i powszechnie nie lubiany, zawdzięczający swoje bogactwa niedawno otwartym kopalniom srebra, ale także odwiecznej sztuce politycznej intrygi. Jak każdy polityk, Pesna ma dwa oblicza. Na zewnątrz prezentuje twarz szlachcica, człowieka interesu i podpory lokalnej społeczności. Prywatnie zaś jest zepsuty do szpiku kości, rozpustny i targany nienasyconą żądzą władzy.

Larth prowadzi Teukrosa przez otoczone wysokim murem ogrody posiadłości sędziego do olbrzymiego holu z podłogą pokrytą

dziwnym mlecznobiałym kamieniem. Oprawca przekazuje go młodzieńkiemu służącemu, właściwie dziecku, które dopiero za sto księżyców będzie musiało zacząć rozglądać się za brzytwą do golenia. Serce Teukrosa wali jak oszalałe. Jego kolana drżą. Przez cały ten czas był przekonany, że nikt nie powiąże ani jego, ani Tecji z morderstwem przy gaju. Stara się uspokoić, zajmując myśli podziwianiem otaczającego go bogactwa. Ogląda piękne meble, wyrzeźbione z różnych gatunków miejscowych drzew - niektóre w kolorze bladej bieli, obite grubymi skórami, inne zabarwione na czerwono i brązowo sokiem z jagód i innych roślin, między innymi marzany. Wzdłuż ściany stoi szereg naturalnej wielkości posągów z brązu, przedstawiających mówców, robotników i niewolników. Same ściany pokryte są żywymi malowidłami tancerzy, muzyków i bawiących się ludzi. W każdym rogu pomieszczenia znajdują się olbrzymie wazy, pokryte czarną glazurą i misternie pomalowane płatkami złota.

Masywne, okratowane drzwi otwierają się i do środka wbiega dwóch służących. Teukros czuje, że serce zaczyna podchodzić mu do gardła. Słudzy zabierają się za porządkowanie skór i poduszek na wysokim drewnianym fotelu, w którym zasiądzie sędzia.

Wchodzi Pesna. Wysoki i przystojny, ubrany w długą szatę z materiału, którego Teukros nie rozpoznaje. Szatę spina na ramieniu srebrna klamra, przypominająca zaciśniętą kobiecą pięść. Stopy sędziego obute są w sandały z najlepszej skóry ze srebrnymi sprzączkami. Pesna rzuca spojrzenie na Teukrosa, a następnie z niezadowolaniem patrzy w lustro w polerowanego brązu.

- Masz zdrową cerę, wróżbito. Mojej skórze słońce nie służy. Wysusza ją i czerwieni. Choć z drugiej strony bladeść może

świadczyc o tym, że chciałbyś, aby biały duch śmierci zabrał cię do grobu. - Sędzia zasiada w fotelu. - Jak sądzisz, wróżbito?

Teukros stara się zachować spokojny ton głosu.

- Bogowie uczynili nas takimi, jakimi jesteśmy. Nie potrzebujemy żadnych zmian ponad te, które sami nam ześlą.

- Istotnie. - Pesna po raz ostatni spogląda w lustro i przywołuje służę. - Dopilnuj, aby moje lustro zostało dziś wypolerowane sproszkowaną ością mątwy i pumeksem. Jutro chcę się oglądać w lepszym świetle.

Służący zabiera lustro i znika. Sędzia odwraca się do młodego wróżbity, który właśnie podziwia jeden z posągów.

- Moi poddani twierdzą, że posiadam najwspanialsze zbiory dzieł sztuki poza Helladą. Rozważam, czyby raz do roku nie wpuścić tu wieśniaków, żeby je sobie obejrzeni. Jak sądzisz? Czy taki gest zjedna mi przychyłość bogów?

Próżność sędziego wywołuje w Teukrosie obrzydzenie, ale nie może sobie teraz pozwolić na choćby słowo krytyki.

- Ten, kto roztacza opiekę nad sztuką, rozpala światło, które świeci nie tylko dziś, ale będzie świecić także tym, którzy przyjdą po nas i odziedziczą nasze ziemie. Sądzę, że bogowie nagrodzą cię za tę hojność w zaświatach.

- Dobrze. To właśnie chciałem usłyszeć.

- Choć, jeśli wolno mi dodać... - Teukros rozgląda się. - Bogowie mogą okazać ci większą łaskę, panie, jeśli w twoich zbiorach znajdują się dzieła przedstawiające także bóstwa, nie tylko zwykłych śmiertelników.

Pesna rozważa jego słowa.

- Będę zatem poszukiwał takich dzieł. Dziękuję, wróżbito.

Teukros dochodzi do wniosku, że może spróbować uszczknąć coś dla siebie.

- Moja żona jest rzeźbiarką, panie. Będzie zaszczycona móc udzielić ci rady lub przyjąć od ciebie zamówienie, panie.

Na twarzy Pesny pojawia się irytacja.

- Więc przyślij ją do mnie. Nie posłałem jednak po ciebie, abyś załatwiał ze mną interesy, lecz w znacznie poważniejszej sprawie - mówi sędzia, wpatrując się badawczo w twarz wróżbity.

Teukros czuje ściśnięcie w żołądku.

- Mam kłopot, wróżbito. Potrzebuję wsparcia i przychylności bogów.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, panie.

Pesna podchodzi krok bliżej i wbija w niego spojrzenie.

- „Wszystko, co w twojej mocy” na nic się nie zda, jeśli nie pomoże mi rozwiązać mojego kłopotu. - Przerywa i przygląda się Teukrosowi, który ma nadzieję, że sędzia nie dostrzeże strachu w jego oczach. Pesna zawsze ceniał strach wyżej od szacunku.

- Etruria się rozrasta - mówi dalej sędzia. - Coraz więcej miast dołącza do naszej Ligi, liczba ludności zbliża się do trzystu tysięcy. Potrzebuję nowych ziem, nowych bogactw, bo w przeciwnym razie Atmanta pozostanie zaledwie kępą trzciny nad brzegiem rzeki, choć powinna stać się puszczą ciągnącą się poza horyzont. - Znowu wpatruje się w Teukrosa. - Czy pojmujesz moje potrzeby i ambicje? Moją walkę o przyszłe pokolenia?

Teukros kiwa głową na potwierdzenie. Sędzia zmienia ton na bardziej poufały:

- Kilka księżyców temu dokonano okrutnego morderstwa. Ludzie wciąż nie chcą o nim zapomnieć i obawiam się, że ta historia może rozprzestrzenić się jak zaraza.

Teukros sztywnieje. A już był przekonany, że uda mu się wyjść z tego bez szwanku...

- Ofiarą był dorosły mężczyzna. Zarżnięto go jak dzikie zwierzę. Wywleczono wnętrzności i odrzucono wątrobę. Słyszałeś o tym, jak sądzę?

Teukros z szacunkiem kiwa głową.

- Obaj wiemy, mój drogi wróżbito, że wątroba jest siedzibą duszy. Jej usunięcie uniemożliwia zmarłemu dotarcie do zaświatów. - Sędzia spogląda na Teukrosa, który potwierdza słowa skinieniem głowy. - Takie rzeczy mogą wzbudzić wśród ludzi panikę.

Teukros zauważa, że po raz pierwszy od początku spotkania sędzia wygląda na zmartwionego.

- Jeden ze starszych powiedział mi, że takiego mordu mógł dopuścić się Aita, pan podziemi. Czy to może być prawda?

Teukros dostrzega szansę na zrzucenie z siebie wszelkich podejrzeń.

- To możliwe, panie. Aita dysponuje przerażającą mocą, używa wszelkich sposobów, aby kraść dusze. W normalnych okolicznościach zapewne posłałby sukkuba, aby uwięzić tego mężczyznę i odebrać mu duszę podczas wytrysku, jednakże...

- Niech bogowie nas bronią! - przerywa sędzia wstrząśnięty perspektywą utraty duszy w chwili największej przyjemności. - Dobrzy bogowie na niebiosach, nie mów mi o takich sprawach! - Sędzia milknie na chwilę, aby oczyścić umysł z przerażających myśli. - Przejdźmy do rzeczy, wróżbito - kontynuuje po kilku minutach. - Niedługo rozpoczne niezmiernie ważną kampanię. Nie mogę jednak wyruszyć, jeśli będziemy przekłęci lub za takich nas uznają. Rozumiesz?

Teukros nie jest pewien.

- Czego ode mnie oczekujesz, panie?

Sędzia z irytacją rozkłada ręce.

- Złóż jakąś ofiarę. Przebłagaj bogów, aby zesłali na Atmantę pokój i oczyścili ją z plotek. Nie mogę pozwolić sobie, aby niełaska bogów zniweczyła moje plany. Ba, nie mogę sobie pozwolić nawet na pogłoski o niełasce. Czy wyrażani się jasno?

- Co zatem mam poświęcić i komu? Może trzy różne zwierzęta w intencji naszej trójcy, Uniego, Tinii i Menrvy?

Pesna traci cierpliwość.

- Na wszystkich bogów, człowieku, po prostu zrób, co do ciebie należy! - krzyczy, łapiąc Teukrosa za szatę. - Czy muszę myśleć za ciebie? Możesz złożyć ofiarę nawet z niewinnych kobiet i dzieci. Nie dbam o to, byle odniosło skutek. - Odpycha od siebie wróżbitę. - Nie zawieź mnie. Ostrzegam, jeśli zawiedziesz, Larth odwiedzi cię ponownie i własnym ciałem zapłacisz za moje niezadowolenie.

ROZDZIAŁ 7

Czasy współczesne

Rio di San Giacomo Dell'Orio, Wenecja

Poranne niebo ma kolor bladego różu.

Pojawia się motorówka żandarmerii. *Carabinieri* wysiadają na brzeg, w milczeniu nakładając służbowe czapki i poprawiając beretty w białych kaburach.

Tom przygląda się, jak odgradzają miejsce przestępstwa policyjną taśmą, robią notatki, słowem, wszystkie czynności, jakie wykonuje policja na całym świecie. W Compton nieraz widział funkcjonariuszy LAPD sprzątających po kolejnej strzelaninie w kolejnej wojnie gangów narkotykowych, dobitnie świadczącej o klęsce społeczeństwa.

Okazuje się, że starszy pan, który odkrył ciało, nazywa się Luigi. Jest emerytowanym handlarzem ryb po siedemdziesiątce, cierpiącym na bezsenność i kiepską znajomość angielskiego. Zostawiwszy Toma przy ciele dziewczyny, prawie wyważył drzwi w jednym z sąsiednich domów w poszukiwaniu telefonu, żeby wezwać policję i wodny ambulans.

Tom klęka przy zwłokach i odruchowo żegna się. Choć nie ma już mocy, by udzielić ostatniego namaszczenia, słowa same cisną mu się na usta:

- Przez to święte namaszczenie niech Pan w swoim nieskończonym miłosierdziu wspomóż cię łaską Ducha Świętego. Pan, który odpuszcza ci grzechy, niech cię wybawi i łaskawie podźwignie.

Całuje złożony razem kciuk i palec wskazujący i czyni znak krzyża na czole ofiary.

Dziewczyna wygląda na siedemnastolatkę, ale trudno dokładnie określić jej wiek. Została praktycznie pocięta na kawałki. Na całym ciele ma dziesiątki, może setki śladów po uderzeniach nożem. Brakowało kawałków ciała. Jej twarz jest wykrzywiona w pośmiertnym skurczu. Zaskakująca jest liczba ran. Z pozoru wyglądają na zadane przypadkowo, ale nie ma wątpliwości, że morderca uderzał według jakiegoś makabrycznego planu.

- *Signor*, proszę pozwolić z nami.

Głos młodego policjanta z radiostacją w dłoni nie pozostawia miejsca na dyskusję. Całkiem dobrze mówi po angielsku, ale Tom,

wciąż pogrążony w myślach nad aktem okrucieństwa, który ma przed oczami, słyszy go jak z głębi długiego tunelu.

- *Signor*, bardzo proszę!

Tom czuje, że ktoś bierze go pod ramię. Pomaga mu wstać? Czy raczej upewnia się, że nie zdoła uciec? Ta myśl wywołuje nieprzyjemny dreszcz.

- Dokąd idziemy?

- Na posterunek. To niedaleko, obok Rialto. Musimy mieć pańskie pełne zeznanie.

- A nie możemy tego zrobić tutaj? - Tom odwraca się, szukając jakiegoś starszego stopniem żandarma.

- *Signor*, bardzo pana proszę. To nie potrwa długo. - Dłoń na łokciu Toma zaciska się mocniej. Fachowy chwyt, nie pozostawiający żadnych wątpliwości.

- Ej! - Tom strąca z siebie rękę żandarma w białej rękawiczce. - Nie musi pan mnie trzymać. - Strzepuje rękaw takim gestem, jakby pozbywał się kurzu z eleganckiego garnituru. - Nie ma problemu, pójdę z panem. Chcę pomóc.

Tom czuje na sobie wzrok wszystkich pozostałych żandarmów. Jakiś starszy oficer kieruje się w ich stronę, odpinając kaburę. Ktoś podnosi turkoczającą na wietrze taśmę.

Tom Shaman nagle uświadamia sobie, że powinien był zostać tego ranka w łóżku. Prawdę mówiąc, dochodzi do wniosku, że przyjazd do Wenecji od samego początku był złym pomysłem.

ROZDZIAŁ 8

Major Vito Carvalho przygląda się, jak jego ludzie odprowadzają Amerykanina. Kolejne morderstwo to ostatnia rzecz, jakiej życzyłby sobie pięćdziesięcioletni weteran włoskiej żandarmerii. Przeniósł się do Wenecji właśnie po to, żeby uniknąć takich historii. Żeby trochę zwolnić i odpocząć. Z całą pewnością nie po to, żeby przebijać się przez pytania bez odpowiedzi piętrzące się na jego biurku pod postacią stosu papierów.

- Co mamy? - zwraca się do dwojga młodych poruczników stojących nad brzegiem kanału.

Valentina Morassi i Antonio Pavarotti są kuzynami. Pochodzą z dużej rodziny i są nierozłączni od momentu, gdy osiągnęli wiek, w którym można już powiedzieć, że nie wszystkie dziewczynki są nudne i nie każdy chłopiec jest świnią. W oddziale majora Carvalho jest wakat kapitański. Oboje są dobrymi kandydatami do awansu.

Vito klaszcze w dłonie, żeby zwrócić ich uwagę.

- No już, dość tych rodzinnych pogaduszek. Mówcie szybko, co mamy, i powiedzcie mi, że ten dzień jeszcze może być dobry.

Odwracają się do niego i odsuwają od ofiary. Na czarnej folii leży zmasakrowane ciało. Woda z kanału sączy się z ran i otworów.

- Kobieta, wiek od piętnastu do dwudziestu lat. Wielokrotne rany nożem. Za dużo, żeby dokładnie policzyć - odczytuje Antonio z notatnika.

Ma dwadzieścia kilka lat, jest niewysoki, chudy i nieogolony. W ogóle nie przypomina policjanta i bardzo stara się utrzymać ten

wizerunek. Zazwyczaj pracuje pod przykryciem i jutro ma się przenieść do innego wydziału.

Vito spogląda na martwą dziewczynę i kładzie dłoń na ramieniu porucznik Morassi.

- Wszystko w porządku, Valentino?

- *Si. Grazie*, panie majorze. - Dwudziestosześcioletnia kuzynka Antonia zakrywa usta, modląc się, żeby nie wymiotować. - *Scusi*. Ja tylko... - Patrzy na oczy dziewczyny, częściowo wyjedzone przez skorupiaki i ryby. - Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałam.

Vito świetnie ją rozumie. Przypomina sobie swojego pierwszego „pływaka”. Do dziś żołądek skręca mu się na samą myśl.

- Żadne z nas nigdy czegoś takiego nie widziało. Wracaj na posterunek, Valentino. Napisz raport i spróbuj się dowiedzieć, kim była ta dziewczyna.

Antonio pocieszająco dotyka ramienia kuzynki. Valentina czuje wstyd. Żałuje, że nie jest jeszcze na tyle doświadczona, żeby zignorować szok i po prostu wykonywać swoją pracę.

- *Grazie* - mówi do Antonia i szefa.

Opuszcza ich pewnym krokiem. Głowa do góry, ramiona prosto. Na wypadek, gdyby szef patrzył. A na pewno patrzy.

- Jej siostra jest w podobnym wieku - wyjaśnia Antonio. - Więc to dla niej trochę sprawa osobista.

Vito nakłada lateksowe rękawiczki i przyklęka obok ciała.

- Bo to jest sprawa osobista, Antonio. Nie ma nic bardziej osobistego niż odebranie komuś życia.

- *Si*.

Wzrok Vito przebiega po ranach. Są ich dziesiątki, jedna na drugiej.

- *Cazzo!* Co jej się stało, na miłość boską?

- Patolog już jedzie. Naliczyłem ponad trzysta śladów noża, ale przestałem liczyć, jak pan przyjechał. - Antonio wygląda na zmarzonego. - Szczerze mówiąc, nie wiem, w którym miejscu przestałem liczyć. Nie jestem pewien, od którego mam zacząć znowu.

Vito uśmiecha się.

- Bez obaw. Opiszemy to jako liczne rany.

Antonio odpowiada, ale Vito go nie słyszy. Zanim dopadł ją jakiś psychopata z nożem, dziewczyna była ładna. Wyglądała tak jak córka, którą razem z żoną wychowywaliby w ciepłe i miłości, gdyby Bóg zechciał pobłogosławić ich potomstwem.

- Poczekaj pięć minut i zadzwoń do Valentiny. Sprawdź, czy na posterunku robią, co do nich należy. Potem sprawdź, kto w ciągu ostatniej doby kupował bilety lotnicze z Wenecji. Wyślij ludzi na dworzec kolejowy i autobusowy. Szukajcie samotnych podróżujących mężczyzn. Zgarnijcie każdego, kto się dziwnie zachowuje. Niech ktoś podzwoni po hotelach i sprawdzi, czy jakiś gość wymeldowywał się wcześniej rano.

Antonio skrobie w notatniku.

- Wystaliśmy już ekipy szukające zakrwawionych ubrań i noża. - Kiwa głową w kierunku kanału. - Co z tym?

Vito wstaje.

- Ściągnij tu nurków, niech przeszukają każdy centymetr dna. Tak jak powiedziałem, morderstwo to sprawa osobista.

ROZDZIAŁ 9

Kiedy Valentina Morassi dociera z powrotem na komendę, ojciec zamordowanej dziewczyny siedzi w zimnej poczekalni. Zgłosił zaginięcie córki, ale jeszcze nikt nie powiedział mu, co się stało.

Valentina dowiaduje się, że ofiara to piętnastoletnia Monica Vidic. Uczennica z Chorwacji, spędzająca w Wenecji wakacje z ojcem. Przyjechali tu odbudować swoje relacje po wyjątkowo burzliwym rozwodzie rodziców dziewczyny. Czterdziestodwuletni Goran uznał, że taka wycieczka pomoże jego córce uporać się z rozpadem rodziny.

Odwiedzili razem plac św. Marka, ale potem przy kolacji Monica pokłóciła się z ojcem o to, u którego z rodziców ma spędzać weekendy, i wyszła. Goran myślał, że wróciła do hotelu, ale tam jej nie znalazł. Krótco po północy w towarzystwie konsjerża przeszukał okoliczne bary, kluby i dworzec kolejowy. W papierach na biurku Valentiny znajduje się nawet zgłoszenie zaginięcia, ale ciało dziewczyny znaleziono przed poranną odprawą.

Valentina wysłała dwoje policjantów, mężczyznę i kobietę, żeby towarzyszyli Goranowi w drodze do kostnicy. Patrząc na fotografię, którą dostała od ojca Moniki, nie ma wątpliwości, że zmasakrowana dziewczyna w kanale i uśmiechnięte dziecko na karuzeli w wesołym miasteczku to ta sama osoba. Kiedy skończą, będzie musiała zawieźć Gorana do hotelu. Posiedzieć z nim, gdy będzie dzwonił do byłej żony, upewnić się, że nie potrzebuje pomocy lekarza, albo wsparcia w przedzieraniu się przez biurokratyczny gąszcz procedur związanych ze śmiercią na terenie obcego kraju.

Z kolejnych notatek na biurku wyczytuje, że jej koledzy skończyli przesłuchiwać emerytowanego handlarza rybami, który znalazł ciało. Czyta zeznanie Luigiego Graziuso po drodze do pokoju przesłuchań, w którym czeka kolejny świadek. Graziuso zeznał, że zobaczył wiążące na linie ciało dziewczyny podczas porannego spaceru z psem. Z początku sądził, że się pośliznęła i utknęła w wodzie, więc zaczął wołać o pomoc. Gdy zdarł sobie gardło od krzyku, spróbował wyciągnąć ją z wody i wtedy uświadomił sobie, że dziewczyna nie żyje. Wtedy pojawił się ten młody Amerykanin. Został przy ofierze, gdy Luigi poszedł do pobliskiego domu i poprosił kogoś, żeby wezwał żandarmerię.

Valentina zatrzymuje się przed pokojem przesłuchań i patrzy przez szybę zbrojoną drucianą siatką na Amerykanina. Nazywa się Tom Shaman. Turysta bez ustalonego miejsca pobytu. Dziwne. Przygląda mu się przez chwilę. Świadek, który znajduje martwe ciało, zazwyczaj nie wygląda na tak spokojnego. Z reguły pojawiają się zewnętrzne oznaki stresu. Nerwowość. Depresja. Głowa zwieszona w głębokim zamyśleniu. Nic z tych rzeczy w przypadku Toma Shama-na. Facet wydaje się zrelaksowany. Nawet znudzony.

Otwiera drzwi. Amerykanin patrzy na nią jasnymi, brązowymi oczami. Jest w nich jakieś naturalne ciepło. Kiedy wstaje, okazuje się, że jest wysoki. Typ człowieka, który wita się ze światem żelaznym uściskiem dłoni.

- *Buongiorno*, jestem porucznik Valentina Morassi. - Spogląda do notatnika. - Pan jest Tom Shaman?

- Zgadza się.

- Przepraszam, że musiał pan czekać. Proszę usiąść. Mówi pan po włosku?

Amerykanin uśmiecha się. Ma ładny uśmiech. Niewymuszony. Albo wyćwiczony.

- Nie na tyle, żeby swobodnie z panią rozmawiać.
- Dobrze, wobec tego proszę mi wybaczyć moją kiepską angielszczyznę.

Tom wie, że nie ma czego wybaczzać. Policjantka wydaje się inteligentna. Bystra jak szpak, jak mawiała jego mama.

- Mówi pani bardzo dobrze. Uczyła się pani angielskiego w szkole czy może mieszkała pani za granicą?

Valentina ignoruje jego pytanie.

- Czy może mi pan opowiedzieć, co się wydarzyło dziś rano? W jaki sposób natrafił pan na tę dziewczynę w kanale?

Tom ją rozumie. Nie czas teraz na dygresje.

- Byłem na spacerze i usłyszałem krzyk jakiegoś mężczyzny. Przebiegłem przez kilka mostów i znalazłem tego starszego pana. Usiłował wyciągnąć dziewczynę z kanału. Jakiś mały pies, pewnie jego, biegał w kółko i szczekał.

- To był jego pies. Terier.

Tom zastanawia się, co się stało ze zwierzęciem. Pewnie pobiegło do domu.

- Starszy pan nie był w stanie wyciągnąć jej z wody, chociaż robił, co mógł. Chyba sądził, że ona jeszcze żyje.

- A pan?

Przez jego twarz przebiega cień smutku.

- Nie.

- Co było potem?

- Wyciągnąłem ją na brzeg. Ten staruszek poszedł po pomoc. Zostałem z nim, dopóki nie pojawili się wasi ludzie, a potem zabrano mnie tutaj. - Tom spogląda na zegarek. - To było mniej więcej trzy godziny i jeden kubek kiepskiej kawy temu.

Valentina marszczy brwi.

- Przykro mi. Ma pan rację, kawę mamy kiepską. Ale z pewnością rozumie pan, że w tej chwili mamy na głowie ważniejsze sprawy niż roznoszenie napojów.

- Miło mi to słyszeć.

Amerykanin nie dawał się zbić z tropu. W normalnych okolicznościach Valentina ceni tę cechę u mężczyzn. Nie dotyczy to jednak pokoju przesłuchań.

- Powiedział pan jednemu z moich kolegów, że jest pan Amerykaninem. Mieszka pan w Los Angeles i przyjechał pan do Wenecji na wakacje, tak?

Tom kręci głową.

- Niezupełnie. Rzeczywiście jestem Amerykaninem, ale nie mieszkam już w Los Angeles i nie spędzam tu wakacji. Jestem przejazdem.

- A dokąd się pan wybiera? - pyta Valentina nieco bardziej agresywnym tonem, niż zamierzała.

Tom ma ochotę powiedzieć policjantce, że to nie jej sprawa. Zastanawia się, czy nie oświadczyć po prostu, że miał koszmarny poranek i chciałby wrócić już do hotelu, żeby wziąć gorącą kąpiel.

- Dokąd, panie Shaman? - powtarza Valentina. - Jest pan przejazdem dokąd?

- Sam jeszcze nie wiem. Może do Londynu. Może do Paryża. Nigdy wcześniej nie podróżowałem i zamierzam to naprawić.

Jego odpowiedź kojarzy jej się z wyznaniem skazańca świeżo po zakończeniu odsiadki. Valentina notuje na marginesie, żeby wrócić do tej kwestii.

- A co z Los Angeles? To już nie jest pański dom?

- Nie.

- Więc gdzie pan mieszka?

- Dziś i przez następny tydzień mój dom będzie tutaj. A potem się zobaczy.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- To, co powiedziałem. Jak śpiewał Marvin Gaye: mój dom jest tam, gdzie mój kapelus.

Z twarzy policjantki wyczytuje, że porucznik Morassi nie jest w nastroju do śpiewania.

- Dlaczego wyjechał pan z Los Angeles, panie Shaman?

Tom opiera się na krześle. Niełatwo będzie mu to wyjaśnić, choć spodziewał się tego pytania. Wnosząc po sceptycznym spojrzeniu pani porucznik, będzie musiał opowiedzieć jej całą prawdę. A w każdym razie jej dużą część.

- Dlatego, że kilka miesięcy temu kogoś zabiłem.

Usiłuje nadać swojemu głosowi swobodny ton, ale poczucie winy go dławi.

- Prawdę mówiąc, muszę uściślić - zabiłem dwie osoby.

CAPITOLO V

*Rok 666 przed Chrystusem
Święty gaj w Atmancie*

Wracając do domu, Teukros myśli o wielu sprawach. Czuje ulgę, że tajemnica morderstwa nie wyszła na jaw. Jeszcze większą ulgę sprawia mu fakt, że nie oddano go w czule ręce Lartha Oprawcy.

Rozmyśla również o tym, jak spełnić życzenie sędziego Pesny. Jego myśli zajmuje jednak przede wszystkim Tecja.

Martwi się o ich związek i o nienarodzone dziecko. Teukros czuje, że oddalają się od siebie. Dzień po dniu, krok po kroku przepaść między nimi się powiększa. I choć wie, że to głupota, obarcza winą dziecko. Im jest silniejsze, tym bardziej słabnie miłość między nim a jego żoną. Zupełnie jakby wysysało z Tecji uczucia.

Teukros chciałby, żeby tamten potworny dzień osiem księżyców temu nigdy się nie wydarzył. Tamten dzień wszystko zmienił. Tecja nie dopuszcza go do siebie. Nie pozwala mu patrzeć na siebie, gdy się przebiera lub kąpie. Przestała patrzeć na niego wzrokiem, który sprawiał, że robiło mu się gorąco i rozpalał jego żądzę. Gwałt odcisnął na niej piętno. Teraz czuje się nieczysta. Wykorzystana. I za każdym razem gdy Teukros chce się do niej zbliżyć, wspomnienia tamtego dnia wracają ze zdwojoną siłą.

Przed oczami wrózbity staje obraz mężczyzny pochylonego nad jego piękną żoną. Widzi ruchy jego bioder i twarz wykrzywioną z rozkoszy. Teukros z radością zadźgałby go ponownie. Pociąłby go na kawałki jeszcze mniejsze, niż zrobiła to Tecja, a potem rzuciłby je na pożarcie świniom.

Do tego jest jeszcze dziecko. Dziecko, którego oboje pragnęli. Które miało dopełnić ich rodzinę. Tylko czyje ono jest? Jego? Czy gwałciciela?

Teukros sądzi, że zna odpowiedź. Podejrzewa, że Tecja również. Już sam fakt, że jego żona odmawia rozmowy na ten temat, jest dostatecznym dowodem. Co więcej, pojawiają się znaki. Znaki, które potrafi odczytać. Tecja cieszy się, kiedy dziecko kopie. Namawia go, żeby sam sprawdził, jak się rusza. Ale za każdym razem gdy kładzie dłoń na jej brzuchu, dziecko nieruchomieje, jakby obawiało się

poruszyć. Nagle przychodzi mu do głowy okrutna myśl: A gdyby je straciła? Gdyby bogowie w swojej mądrości zdecydowali, że urodzi się martwe? Czyż to nie byłoby błogosławieństwo?

Teukros zatrzymuje konia na popas w dolinie i usiłuje odpędzić od siebie te myśli. Rosa zwiastuje bliski zmierzch jesiennego dnia. Powietrze jest chłodne jak woda w górskim strumieniu. Czuje narastające poczucie winy, gdy prowadzi konia na wzgórze do chaty. Wyobraża sobie Tecję doglądającą wiecznego ognia w palenisku. To przed tym paleniskiem zostali sobie zaślubieni wiele księżyców temu, tuż po przesileniu, gdy zebrany miód sfermentował w ceremonialny napój, pobłogosławiony przez Fuflunsa, boga wina. Tecja wyglądała tak pięknie, gdy ojciec odprowadzał ją ze swojego domu do paleniska Teukrosa. Była idealna.

Przywiązuje konia i wchodzi do chaty.

- Tecjo, wróciłem.

Jego żona nie może wydobyć z siebie słowa. Siedzi przy palenisku. Ogień zgasł. Teukros opada na kolana. Dmucha mocno w popiół. Z gałązek unosi się chmura srebrzystych płatków. Oboje wiedzą, że płomień w palenisku nigdy nie może zgasnąć - zabrania tego bóstwo ognia.

Tecja kładzie dłoń na plecach męża.

- Nie wiem, co się stało. Wybacz mi.

Teukros wyciąga z paleniska świeże drewno, które nie zdążyło się zająć. Dotyka popiołu. Jest zimny. Ogień musiał zgasnąć kilka godzin wcześniej.

Święty ogień zgasł. To znak. Bardzo zły znak. Dopuścili się niebaldstwa i braku szacunku wobec bóstwa zamieszkującego ich dom. Nie mają wątpliwości, że czeka ich kara.

CAPITOLO VI

Wraz z nowym dniem przychodzi nowy świt i nowy ogień w palenisku Teukrosa.

Nie przychodzi jednak nowy początek.

Dziś nie usiedli razem przed domem, by oglądać wschód słońca. Poprzedniej nocy nie spędzili nawet w jednym łożu. Zamiast tego wróżbita do rana doglądał ognia, dokładając drewno do świętego paleniska, błagając o przebaczenie i bijąc się z czarnymi myślami.

Spogląda na żonę śpiącą na skórach przykrywających ich łoże. Jej długie, czarne włosy układają się jak złamane skrzydło kruka. Spokój na jej twarzy przyciąga Teukrosa i przypomina mu o łączącej ich miłości. Dorzuca drewna do ognia i podchodzi do łoża. Kładzie się i obejmuje żonę od tyłu. Jego dłonie dotykają nabrzmiałego brzucha. Zwalcza w sobie odruch obrzydzenia i nie cofa ręk.

- Tecjo, śpisz?

Jego żona odpowiada sennym mručeniem.

- Muszę z tobą pomówić.

- O co chodzi? - pyta Tecja z zamkniętymi oczami. Teukros odgarnia włosy z jej twarzy.

- Powiedz mi... Obiecuję, że nie będę się gniewał... Powiedz mi, czy to dziecko jest moje?

Przez ciało Tecji przebiega skurcz.

- Jest twoje. Jest moje. Nasze. - Odręca jego dłoń.

- Nie o to pytałem. Wiesz, co mam na myśli.

Teukros słyszy jej westchnienie.

- Musimy o tym pomówić. Czy nosisz w łonie dziecko człowieka, który cię zgwałcił?

Przez chwilę Tecja nie odpowiada. Zagarnia skóry i siada na łóżku, opierając się plecami o zimną ścianę. Włosy opadają jej na twarz jak czarny deszcz.

- Nie wiem, Teukrosie - odpowiada w końcu zmęczonym głosem.
- Wiem tylko tyle, że będziemy mieli dziecko i modłę się do bogów, żeby było twoje i żeby było zdrowe.

Teukros odsuwa się od niej. W jego oczach pojawia się wyzwanie.

- A jeśli nie jest moje?

Tecja wygląda na rozdrażnioną.

- To wtedy nie będziesz jego ojcem! - Odwraca się od niego i spogląda w promyk światła przesączający się przez ścianę chaty. Po chwili sięga ręką do jego dłoni. - Teukrosie, to wciąż jest nasze dziecko. Będziemy je kochać i wychowywać jak własne.

W jego oczach pojawia się nienawiść.

- Nie będę wychowywał bękarta dzikusa, który zgwałcił moją żonę! - Wstaje z łóżka i cofa się. - To, co zostało zrodzone przez zło, przynosi ze sobą tylko zło. Jeśli rośnie w tobie nasienie zła, wówczas nie możemy pozwolić mu żyć.

Tecję ogarnia przerażenie. Instynktownie osłania brzuch rękoma. Dziecko porusza się, niewątpliwie zbudzone przez jej strach.

- Mężu, zaślepią cię gniew. Nie mów takich rzeczy. - Naciąga skórę na ramiona i podchodzi do niego.

Teukros tkwi w bezruchu. Nienawidzi sam siebie za myśli, które rodzą się w jego głowie, za uczucia, które nim targają. Ale wie również, że ma rację. Tecja okrywa jego ramiona skórą, która teraz otacza ich oboje.

- Chodź i połóż się ze mną. Objemij mnie. Weź mnie. Spróbujmy się odnaleźć, Teukrosie.

Pomimo bulgoczącego w nim gniewu, Teukros podąża za nią do łóża. Kładzie się obok niej i pozwala jej się całować i obejmować.

Nie oponuje, kiedy Tecja wsuwa go w siebie. Pozwala jej na to, bo rozpaczliwie chce ją odzyskać, bo chce odzyskać to, co było między nimi wcześniej. Trzyma ją mocno w ramionach. Całuje ją tak żarliwie, że oboje tracą oddech. A kiedy wreszcie szczytuje, odczuwa to silniej niż kiedykolwiek wcześniej.

Leżąc obok siebie, oboje milcząco podejmują decyzje. Tecja postanawia nie wspominać o swoich obawach. O narastającym w niej zimnym strachu, że w jej łonie może naprawdę dojrzewać zło. Teukros także nie mówi jej o swoim postanowieniu. Nie mówi jej, że zamierza zabić dziecko zaraz po urodzeniu.

ROZDZIAŁ 10

Czasy współczesne Posterunek żandarmerii w Wenecji

Valentina uważnie słucha opowieści Toma, przerywając tylko kilka razy, by zadać pytanie. Potem zostawia go samego w pokoju przesłuchań.

W jego historię aż trudno uwierzyć. Różnica czasu oznacza, że nie mogą od razu sprawdzić, czy Tom Shaman rzeczywiście jest tym, za kogo się podaje. I czy rzeczywiście zrobił to, o czym opowiedział.

Valentina postanawia skorzystać z pomocy wyszukiwarki Google. Wyjmuje zadrukowane kartki z drukarki i idzie na drugą stronę sali dyżurnej, gdzie rezyduje jej przełożony.

- W życiu pan w to nie uwierzy! Nasz świadek, ten Amerykanin w pokoju numer trzy, to były ksiądz, który w dodatku zabił dwóch ludzi.

- Ksiądz zabójca?

- Raczej bohater.

Vito Carvalho wybucha głośnie śmiechem.

- Bohater, zabójca, ksiądz. Chyba nigdy nie słyszałem tych trzech słów w jednym zdaniu.

- No to właśnie pan słyszy. Proszę spojrzeć - Valentina wręcza mu stosik kartek. - Wygląda na to, że wmieszał się w jakąś awanturę na ulicy. Trzech na jednego. Nie zdążył uratować dziewczynki przed gwałtem, ale zabił dwóch bandziorów. Większość sam mi opowiedział, ale wolałam sprawdzić, zanim do pana przyszedłam.

Vito bierze kartki do ręki.

- To musi być ciekawa postać. Ksiądz, który tak dobrze radzi sobie w ulicznej bijatyce? Jaki on jest?

Porucznik Morassi patrzy w górę, starając się relacjonować wyłącznie suche fakty.

- Mniej więcej metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Waga na moje oko dziewięćdziesiąt kilo, może trochę więcej. Facet jest duży. Muskularny. Wiek około trzydziestu lat.

Vito spogląda na nią znad wydruków.

- Pamiętaj tylko, że to ksiądz i świadek, a nie potencjalna randka.

- Były ksiądz.

- I wciąż świadek. - Carvalho obrzuca ją surowym spojrzeniem. -

Więc żadnych randek. Przy okazji, mam ograniczone zaufanie do

informacji z Internetu. Trzeba sprawdzić dwa razy to, co o nim znalazłaś, i to, co sam ci powiedział. Daj to Marii Santanni, ona jest dostatecznie skrupulatna.

- Si. - Valentina podnosi słuchawkę telefonu.
- Później. Na razie porozmawiamy sobie z bohaterskim księdzem zabójcą.
- Byłym księdzem! - powtarza Valentina, podążając za szefem.

Vito Carvalho nie zatrzymuje się w drzwiach pokoju przesłuchań, tak jak zrobiła to Valentina. Wkracza od razu do środka. Maksymalny hałas i zaskoczenie, żeby sprawdzić reakcję przesłuchiwanego.

Tom Shaman siedzi na krześle, opierając głowę na złączonych dłoniach. Tylko podnosi wzrok, gdy major Carvalho wpada z hukiem do pokoju. Unosi się na krześle, dopiero gdy wchodzi Valentina. Ale to tylko oznaka szacunku. Po wyrazie jej twarzy orientuje się, że go sprawdzała. Żadna niespodzianka, tego właśnie spodziewałby się po policjantce. Może w końcu go puszcza.

- Witam ponownie - odzywa się do Valentyny.
- To jest mój szef, major Carvalho - odpowiada Valentina, wskazując ręką przełożonego. Oboje siadają na krzesłach po drugiej stronie szarego stołu. - Pan major prowadzi śledztwo w sprawie śmierci Moniki.

- Moniki?

Carvalho szybko uzupełnia informacje:

- Monica Vidic. Ojciec ją zidentyfikował. Piętnaście lat, pochodziła z Chorwacji.
- Biedak. Nie wyobrażam sobie, co on teraz przeżywa - mówi Tom, przypominając sobie koszmar nad brzegiem kanału.

Major obserwuje każdy gest Toma, każdą zmarszczkę na jego twarzy, każdy ruch jego warg.

- Dlaczego nie powiedział nam pan od razu, że jest księdzem? I że niedawno wystąpił pan z Kościoła?

Tom przesuwając się na krześle.

- A dlaczego miałbym państwu o tym opowiadać? Co to za różnica, czy byłem księdzem, czy biologiem molekularnym?

Carvalho bębni palcami o stół.

- Prawdopodobnie żadna. Ale ksiądz, który opuszcza Kościół po takiej historii, jak pan... Cóż, być może jednak warto o czymś takim opowiedzieć.

- Nie sądziłem, by miało to jakieś znaczenie. I nadal nie sądzę.

Carvalho postanawia zaatakować z flanki.

- Kiedy zostałem policjantem, przestałem wierzyć w przypadki. Nie kupuję historyjek typu: „Przypadkowo natknąłem się na ciało”. A w tej chwili bardzo trudno mi uwierzyć, że zostawił pan za sobą w Los Angeles dwa trupy, przyleciał aż do Wenecji i zupełnym przypadkiem natknął się pan na kolejnego. Rozumie pan, co mam na myśli?

Tom uśmiecha się.

- Rozumiem. Ale zaryzykuję pański gniew i powiem, że naprawdę znalazłem się tam przypadkowo. Proszę zapytać tamtego starszego pana, to on znalazł tę dziewczynę, Monikę.

- Owszem, on ją znalazł - wpada mu w słowo Valentina. - Ale być może to pan ją tam umieścił. Zabójcy lubią wracać na miejsce zbrodni.

Tom kręci głową.

- Pani w to nie wierzy. Ani trochę. Wiem, że wykonuje pani tylko swoją pracę, ale powiedzmy sobie szczerze, nie sądzi pani, że to byłem ja.

- Dobra, porozmawiajmy przez chwilę o tym, co kto sądzi. - Major pochyła się do przodu, opierając się na łokciach. - Kto według pana mógłby dopuścić się tak obrzydliwego morderstwa?

- Ktoś bardzo skrzywiony - odpowiada Tom. - Albo psychicznie chory, albo gorzej. Może opętany przez siły zła.

- Siły zła? - powtarza kpiąco Carvalho.

W głosie majora jest coś, co działa Tomowi na nerwy.

- Widziałem wielu zamordowanych. Prawdopodobnie więcej, niż pan kiedykolwiek zobaczy. Słuchałem spowiedzi seryjnych morderców, gwałcicieli i ludzi, którzy znęcali się nad dziećmi. I mogę panu powiedzieć, że ma pan do czynienia z dziełem szatana. To on kierował ręką, która zadawała ciosy nożem, tak jakby zadawał je sam swoją kosmatą łapą.

Tom patrzy na żandarmów i widzi na ich twarzach rosnące niedowierzanie.

- No dobra, przesadziłem z tą kosmatą łapą. Ale do całej reszty jestem święcie przekonany.

ROZDZIAŁ 11

Zandarmeria wypuszcza Toma dopiero wczesnym popołudniem. Jest potwornie głodny i musi szybko coś zjeść, albo się przewróci. W kategorii niedrogich knajp Wenecja różni się jednak dość istotnie od jego parafii w Los Angeles. Tom szybko orientuje się, że jego dzienny budżet w wysokości piętnastu euro nie wystarczy na wiele. Postanawia poszukać jakiejś taniej pizzerii. Restauracja Grand Canal przy

Calle Vallaresso zdecydowanie nie należy jednak do tej kategorii.

Tom stoi na eleganckim tarasie nad wodą, obserwując kelnerów sunących między stolikami z gracją godną baletmistrzów. Lektura menu w przeszklonej gablocie przyprawia go o ból brzucha z głodu. Gdyby miał dość funduszy, zaczęłby od tataru z łososia i miecznika z cytryną i bazylią. Do tego kieliszek miejscowego barolo i jagnięcina ze świeżymi warzywami jako danie główne.

- Angelina Jolie i Brad Pitt jedli w tym miejscu.

Kobiocy głos. Znajomy kobiocy głos.

Odwraca się i widzi Tinę, autorkę książek podróżniczych, którą spotkał w Cafe Florian.

- Tutejsza kuchnia słynie z owoców morza - dodaje Tina, zdejmując okulary przeciwsłoneczne, zgodnie z najnowszą modą odrobinię za duże. - Oraz z cen. - W jej niebieskich oczach pojawia się figlarny błysk.

- Święta racja. - Tom stuka palcem w szkło gabloty. - Stać mnie akurat na kawę.

- Jadłeś już?

- Nie. Od wczoraj nie miałem nic w ustach. Mogłabyś polecić mi jakiś lokal na dużo skromniejszą kieszeń?

Tina patrzy na niego przeciągle, po czym uśmiecha się.

- Wiesz co, usiądźmy tutaj. Ty postawisz kawę - sam powiedziałeś, że możesz sobie pozwolić na taką rozpustę - a ja stawiam obiad.

Tom czuje, że robi mu się gorąco.

- Nie ma mowy. Nie mogę pozwolić, żebyś...

Ale Tina już przywołuje wzrokiem najbliższego tańczącego wśród stolików kelnera. Jej mina dobitnie świadczy, że odrzucenie zaproszenia nie wchodzi w rachubę.

- *Lei ha una tavola per due, per favore?*

Starszawy mistrz kulinarnego tańca w białej marynarce uśmiecha się do niej szeroko.

- *Si, signorina, certo.*

Podążając za Tiną i kelnerem do stolika w rogu, Tom czuje rosnące zakłopotanie. Kelner podsuwa mu krzesło i układa wykrochmaloną serwetkę na jego kolanach. Ze stolika rozciąga się wspaniały widok. Tom nie ma wątpliwości, że to będzie pamiętny posiłek.

- Jesteś niezwykle hojna. Naprawdę jest mi strasznie wstyd. Gdybym wiedział, że Wenecja jest tak koszmarnie droga, pewnie w ogóle bym tu nie przyjechał.

- I to dopiero byłby wstyd. - Tina przygląda mu się badawczo. Zauważa jego napięcie i zdenerwowanie. - Słuchaj, ja i tak zamierzalam tu zjeść. Każdy autor przewodników musi przynajmniej raz zjeść obiad w jakiejś taniej knajpie i przynajmniej raz w absurdalnie drogiej, takiej jak Ristorante Grand Canal. Zaksięguję cię po prostu jako badanie terenowe.

- „Badanie terenowe”? Tak mnie jeszcze chyba nikt nie nazwał.

Śnieżnobiałe zęby Tyny błyskają w uśmiechu.

- W zamian za to musisz mi opowiedzieć swoją historię. Kim jesteś, po co tu jesteś, co ci się podoba w Wenecji, co ci się nie podoba i tak dalej. Właśnie takie informacje zbieram podczas badań terenowych.

- Dobra - mówi Tom. - Stoi.

Kelner pojawia się ponownie, niosąc dwie karty dań, kartę win, oliwki i srebrny koszyk z chlebem.

- Muszę cię jednak uprzedzić - dodaje Tom. - To nie będzie historia z gatunku tych, które nadają się do przewodnika.

ROZDZIAŁ 12

Niebiesko-biała motorówka policyjna zawozi Vito i Valentinę do kostnicy w Ospedale San Lazzaro. Słońce przypieka, a wody kanału cuchną przypaloną kapustą. Dwa zaburtowe silniki motorówki pozostawiają za sobą smugę białej piany w brunatnej wodzie. Kojarzą się Valentinie z filiżanką mrożonego cappuccino, którą obiecała sobie godzinę temu.

Wysiadają przed szpitalem. Flota wodnych karetek kołysze się delikatnie przy wiekowych palach cumowniczych. Ratownicy w okularach słonecznych i rozpiętych fluorescencyjnych kombinezonach przesiadują na schodach obok nabrzeża, pałac i rozmawiając o niczym. Cisza przed burzą.

- Hej! - Zza rogu wyłania się Antonio Pavarotti, kuzyn Valenty.
- Zaczekajcie!

Antonio dogania ich i z trudem łapie oddech. Odzyskuje głos dopiero, kiedy zanurzają się w chłodny labirynt korytarzy szpitala.

- Nurkowie niczego nie znaleźli. Nic więcej nie możemy zrobić, chyba przeorać dno kanału.

- Nic? - pyta Vito, który spędził większość kariery na wbijaniu podwładnym do głowy, że „dla policjanta nie istnieje coś takiego jak nic”, a gdyby istniało, to dopiero byłoby coś.

Antonio, który słyszał ten wykład już kilka razy, szybko się poprawia:

- Podrobione okulary przeciwsłoneczne Gucci, prawdopodobnie z jednego ze stojaków przy hotelu Rialto, góra śmieci wyrzuconych przez cholernych turystów i zepsuty zegarek na rękę Swatch, chyba dziecięcy.

Vito kręci głową. Ten chłopak nigdy się nie nauczy.

- Czyli jednak coś znaleźli. Sprawdź to. Popytaj handlarzy, jubilerów, może akurat trafimy.

Major prowadzi ich do bloku na tyłach szpitala, opatrzonego tabliczką „Anatomia Patologica, Laboratorio Alalisi, Mortuarie”.

- Dochodzeniówka coś znalazła?

- W miejscu, w którym była przywiązana Monica, są ślady farby na murze. Wyglądają na świeże. Możliwe, że zostawiła je łódź sprawcy. Tyle tylko, że farba jest czarna, jak wszystkie cholerne gondole w Wenecji.

- Wysłałeś próbki do laboratorium?

- Jasne.

- Dobra robota, Antonio. Szkoda będzie cię stracić. Kiedy zaczniesz następną robotę pod przykryciem?

- Jutro, panie majorze. - Antonio przez chwilę wygląda na zadowolonego. - Mam poprosić dowódcę, żeby wyznaczył kogoś innego?

- Nie, nie. - Vito jest poruszony jego lojalnością. - Wiem, jak lubisz tę pracę. Damy sobie radę bez ciebie, prawda, Valentino?

- Jakoś damy. - Valentina uśmiecha się. - Nie wiem, jak, ale będziemy musieli.

- Wysyłają cię do tej hipisowskiej komuny, tak? - pyta Carvalho retorycznie. - Kilka miesięcy wolnej miłości, prochów i rock'n'rolla, a do tego stuknięty milioner, któremu wydaje się, że prowadzi rewolucję.

Antonio szczyrzy zęby w uśmiechu.

- Będzie ciężko, ale ktoś musi to zrobić.

Valentina żartobliwie uderza go w ramię. Po chwili docierają do kostnicy. Temperatura powietrza spada, a wraz z nią nastroje.

Vito podchodzi do starszego, łysego mężczyzny, który, jak się zdaje, starannie unika palącego weneckiego słońca.

- Przedstawiam wam *professore* Sylvio Montesano. *Professore*, to są porucznicy Valentina Morassi i Antonio Pavarotti. Pierwszy raz w kostnicy.

- Jestem zaszczycony. Bardzo miło mi państwa poznać.

- Montesano składa głęboki ukłon. Dwuogniskowe okulary w drucianej oprawce zsuwają mu się na czubek nosa. - Proszę za mną, wejdziemy do chłodni.

Piętnastoletnia ofiara leży na stalowym stole. Podsufitowe lampy nadają jej ciału zielonkawobiały kolor. Rany mają barwę zepsutej cielęciny. Antonio znosi ten widok bez większego trudu, ale Valentina musi od razu zasłonić usta perfumowaną chusteczką.

- Tak naprawdę jest w całkiem dobrym stanie - informuje Montesano. - Ciekawa rzecz, zanurzenie w wodzie spowalnia proces rozkładu. Przywieźli ją tu bardzo szybko, więc ciało nie zdążyło się rozłożyć w znacznym stopniu.

Vito skinieniem głowy daje mu znak, żeby kontynuował.

- Kiedy ciało przywieziono z miejsca zbrodni, zrobiliśmy tomografię komputerową na oddziale radiologicznym - zaczyna Montesano. Robi krótkie przerwy między zdaniami, aby Antonio i Valentina nie pogubili się w medycznym żargonie. - Przeprowadziliśmy skanowanie w odstępach pół milimetra z dwu- i trójwymiarową rekonstrukcją. Uzyskaliśmy bardzo precyzyjne dane o wszystkich ranach.

Montesano podchodzi bliżej ciała.

- W tej sprawie są dwie zaskakujące rzeczy. Po pierwsze, śmiertelna rana na gardle. Głębokie cięcie aż do aorty - to największa tętnica ciała - pokazuje palcem miejsce po prawej stronie szyi Moniki. - Rozdziela się na tętnicę szyjną i podobojczykową, pompujące krew do prawej części klatki piersiowej, ramienia, szyi i głowy.

Antonio przesuwa dłonią nad pozostałymi ranami.

- Więc pozostałe rany były zbędne?
- Żeby odebrać dziewczynie życie? Nie, nie były potrzebne. Do zabicia wystarczyła rana szyi.

- To jest bardzo nietypowa rana - kontynuuje patolog, nie mogąc powstrzymać się przed zademonstrowaniem swojej rozległej wiedzy.
- Do aorty bardzo ciężko się dostać. Zazwyczaj jest chroniona przez mostek i kości obojczykowe. U osoby zaatakowanej nożem zwykle można spodziewać się cięcia w lewą albo prawą tętnicę szyjną wspólną.

Vito jest zaintrygowany.

- Ale rezultat będzie taki sam? Ofiara po prostu wykrwawi się na śmierć?

- Raczej nie. - Montesano wsuwa okulary z powrotem na nos. - Przy takich ranach ofiary zazwyczaj umierają od zatoru gazowego. - Rzuca okiem na Valentine. Nie ma zamiaru przyprawiać nikogo o traumę. - Jeżeli głowa i szyja ofiary znajdują się powyżej poziomu serca, wówczas do ciała pobierane jest powietrze - ale do żył, nie do tętnic. Powietrze trafia do komór serca i tworzy spienioną masę, która zatrzymuje akcję serca.

- Ale śmierć jest szybka i bezbolesna? - upewnia się Vito, starając się na użytek porucznik Morassi złagodzić drastyczny opis.

- Obawiam się, że nie - odpowiada beznamiętnym głosem Montesano. - Śmierć bynajmniej nie następuje od razu. Agonia może potrwać kilka minut.

Valentina jest blada jak ściana, ale udaje jej się zadać własne pytanie:

- Czy zabójca użył normalnego noża?

Montesano wskazuje palcem na gardło ofiary.

- To zależy, co pani rozumie przez „normalny”. Narzędzie zbrodni miało mocne, krótkie ostrze, jak nóż do cięcia wykładzin

albo nóż artystyczny. Ślady na skórze wskazują, że cięcie, które ją zabiło, zadano od prawej do lewej. Morderca stał nad ofiarą, twarzą do niej.

- Czyli prawdopodobnie leżała albo siedziała związana na ziemi - mówi Vito, imitując ruch noża nad głową martwej dziewczyny. - Skoro cięcie biegnie od prawej strony, możemy chyba założyć, że morderca jest leworęczny?

Montesano wygląda na rozbawionego.

- Panie majorze, jest pan chyba na tyle doświadczony, żeby niczego nie zakładać.

- Zgoda, mój błąd. - Vito uśmiecha się i odwraca do swoich podwładnych. - Nie zakładając niczego, rozważmy tę możliwość. Trzeba przy tym pamiętać, że osiemdziesiąt siedem procent populacji na ziemi jest praworęczna. Jeżeli wpadnie nam w oko ktoś leworęczny, powinniśmy dokładnie mu się przyjrzeć.

- Proszę również nie zapominać, że leworęczność jest bardziej powszechna wśród mężczyzn - kontynuuje myśl majora Montesano. - Zwłaszcza u bliźniąt i osób z zaburzeniami neurologicznymi.

- Na przykład? - pyta Antonio.

- Epilepsja, zespół Downa, autyzm, niedorozwój umysłowy, nawet dysleksja.

- Zapamiętamy - mówi Vito. - Dziękujemy bardzo, *professore*.

- Ależ nie ma za co.

Vito postanawia zmienić temat na bardziej zrozumiały dla policjantów:

- *Professore*, czy może nam pan coś powiedzieć o tym, gdzie ta dziewczyna była przed śmiercią i kiedy zmarła?

- Owszem. Treść żołądka wskazuje, że jej ostatnim posiłkiem była pizza z owocami morza. Dużo sosu pomidorowego, mało

owoców. Zapewne zakupiona w taniej trattorii dla turystów. Sądzę, że posiłek został spożyty mniej więcej dwie godziny przed śmiercią.

- Sprawdź to - poleca major Valentinie.

Porucznik Morassi patrzy na niego ze zdziwieniem. Lista rzeczy, które ma sprawdzić, za chwilę zrobi się dłuższa niż Canal Grande.

- Mogę to zrobić za ciebie - mówi szeptem Antonio, zasłaniając usta dłonią. - Zaczynam służbę dopiero jutro w porze obiadu. - Spogląda na patologa. - Czy może nam pan powiedzieć, kiedy umarła?

Montesano robi zirytowaną minę.

- Młody człowieku, obejrzał pan stanowczo za dużo filmów i przeczytał zbyt wiele kiepskich kryminałów. Wbrew pozorom patologowi nie wystarczy spojrzeć na ciało, żeby podać dokładny czas śmierci. Nie jesteśmy Cyganami, a to nie są herbaciane liście na dnie kubka. W tego typu sprawach ustalenie dokładnego czasu zgonu jest bardzo trudne.

Vito ratuje Antonia przed dalszą tyradą profesora, zwracając się do Valentiny:

- O której znalazł ją ten handlarz?

- Między piątą trzydzieści a szóstą.

- Zacznij od tego, Antonio. Znajdź miejsce, w którym jadła pizzę, sprawdź jeszcze raz w zeznaniach ojca, kiedy się rozdzielili, i będziesz miał okno czasu zgonu. - Major ponownie patrzy na patologa. - Powiedział pan, że w tej sprawie są dwie zaskakujące rzeczy. Jaka jest ta druga?

Montesano drapie się po nosie w miejscu odcisniętych okularów.

- Wątroba dziewczyny zniknęła.

- Proszę?
 - Wątroba - dziewczyny - zniknęła - powtarza patolog, podkreślając każde słowo.
 - Jest pan pewien?
- Montesano obrzuca go morderczym spojrzeniem.
- Oczywiście, że jestem pewien, panie majorze. Wiem, jak wygląda wątroba, i zaręczam panu, że nie popełniłem żadnego błędu. Zniknęła. Została wycięta z ciała.

ROZDZIAŁ 13

Luna Hotel Baglioni, Wenecja

Tom wypił zdecydowanie za dużo wina. Kręci mu się lekko w głowie i czuje się przyjemnie wstawiony. Napięcie ostatnich dwunastu godzin ulatnia się. Jednocześnie Tom uświadamia sobie, gdzie się znajduje - leży na plecach w największym, najwygodniejszym i najdroższym łóżku w całym swoim życiu.

W powietrzu unosi się zapach kwiatów. W wazonikach po obu stronach małżeńskiego łóża stoją lilie. W tle słychać szum wody płynącej z prysznicy. Jej kaskady rozbijają się o marmurową posadzkę. Nagle wszystko cichnie. Tom podnosi się. Do pokoju wchodzi Tina ubrana w za duży biały szlafrok. Zdejmuje z włosów opaskę i pozwala im swobodnie opaść na ramiona.

Wygląda przepięknie. W jej oczach Tom dostrzega delikatność, która powoduje, że wszelkie opory, jakie miał, znikają.

- Chodź. Doprowadzimy cię do porządku.

Bierze go za rękę i prowadzi do łazienki. Światło jest zbyt jasne. Tina gasi lampę pod sufitem, pozostawiając tylko blask świec ustawionych obok zlewu. Tom zaczyna rozpinąć koszulę. Tina całuje go w szyję i odsuwa jego rękę. Jej palce sprawnie rozpinają kolejne guziki. Koszula zsuwa się z ramion Toma. Jej usta znajdują jego wargi. Odpina pasek od spodni, które zsuwają się po jego muskularnych udach. Jej dłonie przesuwają się po jego umięśnionych nogach. Serce Toma wali jak oszalałe. Czuje rosnącą falę pożądania. Jej kciuki wsuwają się w jego szorty. Jego dłonie rozchylają szlafrok. Zapach, ciepło i dotyk jej skóry przesywają Toma jak impuls elektryczny. Tina odchyła się i go całuje. Pocałunki są krótkie i intensywne, rozpalają jego usta. Odsuwa go od siebie. Jej sutki kusząco ocierają się o jego muskularną klatkę piersiową. Tom ujmuje jej piersi w dłoń, delikatnie, z nabożeństwem, jak bezcenne klejnoty. Nie rozumie tego, co w tej chwili czuje. I nie chce rozumieć. Nawet jej skóra wprawia go w zdumienie - jest miękka, a jednocześnie sprężysta.

Szlafrok Tiny opada wreszcie na podłogę. Dziewczyna pomaga mu wyzwolić się ze spodni, szortów, skarpet i butów. Wchodzą pod parujący prysznic. Gorąca woda spada kaskadą na głowę i całe ciało Toma.

Chce coś powiedzieć, ale Tina kładzie palec na jego ustach. Całuje go. Jej pocałunki stają się coraz intensywniejsze.

Szalony taniec przyspiesza. Jego tempo i niepowstrzymany rytm odkrywają przed Tomem zupełnie nowy świat.

Tina sięga między jego nogi i dotyka członka. Tom kładzie ręce na jej biodrach nagle niepewny, co robić, zawieszony między dwoma

światami - tym, który opuścił, i tym, który właśnie się przed nim otwiera. I wtedy Tina wsuwa go w siebie. Oplata go swoim ciałem. Jego umysł unosi się ku rejonom, o których tak długo starał się nie myśleć. O których nie miał odwagi marzyć. Jego ciało drży. Tina tańczy na nim, trzymając go, obejmując całą sobą.

Czuje uderzenia jej serca, czuje, jak się w nią zanurza, coraz głębiej. Jej ręce obejmują jego szerokie plecy, palce wbijają się w jego skórę. Cała drży z podniecenia.

Tom chwytą jej nogi i ją podnosi. Jej kolana oplatają go w pasie jak winorośl. Przywiera do jego szyi, gdy przetacza się przez nią fala orgazmu. Tom opiera ją o ścianę. Ich ciała poruszają się w jednym rytmie.

Nie odrywają od siebie ust, jakby w obawie, że mogą utracić coś niezwykłego, jeśli odważą się wziąć oddech. I wtedy to się dzieje. Jego ciało eksploduje rozkoszą i po raz pierwszy w życiu Tom Shaman oddaje się całkowicie i bezwarunkowo kobiecie.

CAPITOLO VII

Rok 666 przed Chrystusem
Święty gaj, Atmanta

Dwa dni po spotkaniu z Pesną Teukros wreszcie zabiera się do wykonania zadania powierzonego mu przez sędziego. Wątpi, czy

bogowie dadzą się przebłagać. W końcu jest tylko pospolitym mordercą. Przyszłym ojcem dziecka gwałciela. Niemniej raz jeszcze spróbuje uzyskać ich przebaczenie i wywróżyć oznaki pomyślności dla Atmanty w nadchodzących miesiącach.

Tecja podąża do gaju wraz z nim. Trawa jest wilgotna od rosy. Ciszę przerywa jedynie odgłos ich stóp i śpiew ptaków w pozbawionych liści gałęziach drzew.

Teukros nie zamierza składać zwyczajnej ofiary. To nie wystarczy. Pokuta wróżbity i jego żony wymaga czegoś więcej niż krwi zwierząt. Rytuał, który chce przeprowadzić, będzie dla niego oczyszczeniem. Zaostrzonym końcem lituusa kreśli święty krąg. Tym razem obejmuje nim nie tylko siebie, ale i Tecję. Stoją obok siebie. Teukros wydobywa ceremonialny nóż i robi niewielkie nacięcia na koniuszkach palców lewej ręki. Następnie robi to samo z palcami Tecji i spogląda w niebo.

- Mąż i żona, złączeni działaniem, które podejmujemy, złączeni krwią innych, którą przelaliśmy, a teraz krwią, którą ofiarujemy sami.

Zbliża lewą dłoń do ręki żony. Ich krwawiące palce splatają się ze sobą. Teukros powoli obchodzi obwód świętego kręgu. Tecja idzie w przeciwnym kierunku. Spotykają się w połowie.

Oboje klękają i wykopują dołek, w którym Teukros rozpała ogień - święty płomień ku chwale bogów, który poprowadzi ich w pokutną wędrówkę w ciemnościach. Stają po przeciwnych stronach ognia. Teukros odwija zawiniątko zawierające święte zioła i potrawy dla bogów. Wsypuje w ogień wysuszone liście lulka czarnego. Tecja tymczasem ustawia pobłogosławione przez niego dzbany z wodą, winem i olejami oraz ceramiczne misy, które zrobiła na potrzeby ceremonii.

Chmura przesłania wschodzące słońce - niepokojący znak zesłany przez Apulu, boga słońca i światła. Bolesne wspomnienie ognia, który wygasł w ich palenisku.

Oboje biorą po łyku wina. Następnie Teukros wyznacza linie na niebie i ziemi biegnące z północy na południe i ze wschodu na zachód.

- Oto jest mój przód, a oto mój tył... - Wyciąga przed siebie ręce. - Oto moja lewica, a oto moja prawica... - Podział nieba jest konieczny, aby precyzyjnie wyznaczyć szesnaście niebiańskich domostw bogów.

Wreszcie młody wróżbita zwraca się ku wschodowi i klęka.

- Jam jest Teukros, syn Ventiego i Larcji. Jam jest waszym głosem i waszymi uszami w tym świecie. Wielkie bóstwa wschodu, najżyczliwsi z bogów, błagam was, abyście mi przebaczyli, abyście przebaczyli mojej małżonce, abyście wymazali nasze zbrodnie z waszej boskiej pamięci i zesłali pomyślność dobrym ludziom w Atmancie. - Spogląda przez płomienie na Tecję. - Przyjmijcie moją pokorną wdzięczność za to, że wciąż jesteśmy razem, jesteśmy wolni i szczęśliwi.

Tecja czuje uderzenie w podbrzuszu. Pochyla głowę i kładzie dłonie na brzuchu. Dziecko kopie. Silniej i częściej niż wcześniej. Zamyka oczy w nadziei, że ból szybko przeminie.

Teukros nie patrzy na nią, pogrążony całkowicie w rytuale.

Przez ciemniejące poranne niebo przetacza się grzmot. Ale nie jest to grzmot zwiastujący ważne wydarzenia. Nie jest to też niebiańskie ostrzeżenie. Ten grzmot to gniew bogów. Z koron drzew z donośnym skrzekiem zrywają się kruki. Uderza piorun. Oślepiająca błyskawica rozdziera chmury. To kara z rąk Tinii, najważniejszego wśród bóstw. Piorun pobłogosławiony przez *Dii Consentes*, wyższych bogów, oraz *Dii Involuti*, ukrytych bogów. Wydaje się, że całe niebiosy wpadły w gniew.

Teukros i jego żona stoją jak skamieniały w środku świętego gaju. Wróżbita zaklina sam siebie, żeby nie wpaść w panikę. Nie teraz. Zbyt wiele jest do stracenia. Wrzuca w płomień kolejną garść lulka. Wysuszone liście eksplodują tysiącem iskier, które po chwili gasną. Teukros wdycha gęsty dym i czuje, jak napięcie odpływa z jego skroni, czoła i ramion. Ból w brzuchu nasila się, ale Tecja nie uchyla się od swoich obowiązków. Drżącą dłonią wlewa wodę do ceramicznej misy. Teukros zanurza w niej palce i strzepuje krople do ognia.

Czarne chmury suną po horyzoncie jak widma. Podmucha wiatru szeleści wysuszonymi resztkami liści na drzewach.

Teukros nalewa wino do ceramicznej czary o długiej szyi. Czyni nad nią znak odpowiadający czterem niebiańskim ćwierciom, a następnie wypija ciemnoczerwony napój. Czerwony jak krew, która płynęła z ran gwałciela.

- Bogowie niebios, szlachetni władcy nas niegodnych, wzywam was, abyście ukazali mi swoją miłosierną wolę.

Dłonie wróżbity trzęsą się, gdy wlewa do wina silny narkotyk - olejek walerianowy. To pomoże mu uspokoić nerwy. Otworzy jego umysł. Wypija kielich i wlewa kilka kropel do ognia. Rozlega się kolejny grzmot, głośniejszy i straszniejszy.

Być może ze strachu, a być może wiedziony instynktem, Teukros zwraca się ku zachodowi, gdzie mieszkają nieprzyjaźni bogowie. Zamyka oczy i czeka. I wtedy to się dzieje. Z ciemności jego duszy wypadają stada ryczących demonów. Aita, pan podziemi, w bitewnym hełmie z wilczego łba. Charun, demon o niebieskiej skórze i skrzydłach z piór. Persipnea, królowa zaświatów. Krążą wokół niego. Przepływają przez niego. Odbierają mu odwagę i rozum.

Na wzgórze za nim eksploduje grzmot. Błyskawice rozświetlają ciemne niebo. Demony wydają z siebie ostatni przeraźliwy krzyk

i znikają w chmurze czerwonej jak krew. Coś jednak zostało. Co-
kolwiek odpędziło demony - coś znacznie bardziej od nich przeraża-
jącego - zostało.

CAPITOLO VIII

Ogień w świętym kręgu osiąga szczyt. Wielkie języki pomarań-
czowych płomieni strzelają ku niebu. Po jednej stronie Teukros
zachowuje się jak opętany przez złe duchy. Po drugiej nieruchomo
leży Tecja. Zemdląła. Ból w brzuchu jest nie do zniesienia. Dziecko w
jej łonie jest gwałtowne i okrutne jak demon.

Demon. Nie potrafi inaczej tego nazwać. Im więcej bólu zadaje jej
dziecko, tym bardziej ciemnieją chmury i tym głośniejsze uderzają
grzmoty.

Teukros krzyczy i dźga ziemię w szalonym widzie, tnąc i ude-
rzając ceremonialnym nożem, jakby chciał coś uśmiercić. Tecja
spogląda na twardą, czerwoną glinę pod stopami, spodziewając się
chaotycznej masy. Zamiast tego widzi precyzyjnie i głęboko wy-
rzeźbiony symbol. Owal podzielony na trzy części, pokryty śladami,
które kojarzą jej się z pełzającymi wężami.

Tecja podnosi się na kolana. Jej mąż jest w niebezpieczeństwie.
Jakieś przeczucie z głębi serca mówi jej, że zakończenie tego rytuału
będzie również końcem jego życia.

Dziecko. Ta myśl ją przeraża. Ale to jedyne wytłumaczenie.
Dziecko chce go uśmiercić.

Przez płomienie widzi błysk noża Teukrosa. Jego twarz wykrzywia ból, jakby każda komórka jego ciała płonęła. Bóg, który odpędził demony, ukazuje się Teukrosowi. Ukazuje mu swoją wolę. Teukros nie może już znieść bólu.

Dziecko kopie ponownie. Mocno. Tak mocno, że Tecja krzyczy. Tak gwałtownie, że odbiera jej oddech. Widzi, że Teukros wstaje. Z trudem podnosi się na nogi i uderza dłonią w skroń, jakby chciał odpędzić potworne wizje. Ale ból nie znika. Spogląda pod nogi na złowrogie znaki, które zrobił w transie. Robi krok do przodu i ponownie uderza się w twarz. Serce Tecji pęka na ten widok. Chce go objąć, ochronić swoją miłością.

Kolejne kopnięcia. Tak mocne, że Tecja wymiotuje. Może tylko patrzeć, jak Teukros opada na kolana. Dziecko porusza się niemal w tym samym rytmie co jej mąż, tak jakby jedno przekazywało ból drugiemu poprzez Tecję.

Czerpiąc z ostatnich pokładów woli, Teukros dźwiga się na nogi. Zbliża się do świętego ognia jak topielec usiłujący dosięgnąć liny. W plecach Tecji nagle eksploduje potworny ból, jakiego nigdy nie doświadczyła, w miejscu, do którego jej dziecko nie ma dostępu. Teukros potyka się, jakby coś odciągało go od płomieni. Tecja odycha z trudem. Dziecko zadaje ból wszędzie - w żebrach, w brzuchu, nawet w kręgosłupie. Teukros wydaje z siebie ryk. Z dłonią wyciągniętą ku niebu i szeroko otwartymi oczami rzuca się w rozpalony do białości środek świętego ognia.

CZEŚĆ
DRUGA

ROZDZIAŁ 14

*Czasy współczesne
Luna Hotel Baglioni, Wenecja*

Pierwsza noc z kobietą jest zaskakującym doświadczeniem. Ale jeszcze bardziej zaskakujące jest przebudzenie się u jej boku następnego dnia rano.

Tom Shaman leży na plecach w ogromnym łóżu Tiny Ricci, gapiąc się w sufit i usiłując jakoś uporządkować wydarzenia ostatnich godzin. W głowie ma mętlik. Pilnie potrzebuje świeżego powietrza i czasu, żeby zorientować się, co się właściwie stało. Nie budząc pogrążonej w głębokim śnie Tiny, Tom zbiera swoje ubrania z podłogi i ubiera się w łazience przy świetle lampki obok lustra. Bierze klucz ze stolika, cicho zamyka drzwi i wychodzi na ulicę, po raz pierwszy od chwili odkrycia ciała Moniki Vidic.

Jest już dziewiąta rano. Tom nie pamięta, kiedy ostatni raz położył się spać tak wcześnie i obudził tak późno. Poranne słońce zalewa Wenecję ciepłym, złotawym światłem. Jest osiemnaście stopni Celjusza, idealna temperatura. W kawiarniach wszędzie widać pary zasiadające do porannej kawy, rogalików i prasy. Bóg zdecydowanie stworzył świat dla dwójga.

Tom spaceruje brzegiem Bacino di San Marco i dochodzi do wniosku, że w całej Wenecji nie ma lepszego widoku na kanał. Przed wejściem do kanału tłoczy się flotylla najróżniejszych jednostek pływających - gondole, promy, łodzie, motorówka *carabinieri* i wodne autobusy *vaporetto*.

Przed zakrętem przy Ponte dei Sospiri mija go łódź pogrzebowa płynąca powoli w kierunku historycznego cmentarza na Isola di San Michele. Przystrojona kwiatami przypomina mu o Monice i o zwyrodnialcu, który ją zamordował.

Nie ma teraz ochoty o tym myśleć. Przywołuje w pamięci obraz Tiny. Kilka dni temu nie wiedział nawet o jej istnieniu, a dziś jest najważniejszą osobą w jego życiu. Pierwsza kobieta, z którą spał. Aż trudno mu w to uwierzyć.

Jest przekonany, że dla niej to nie było nic wielkiego. Ale dla niego ta noc to punkt zwrotny, choć sam nie wie, co ma o tym myśleć. Odczuwać dumę? Czy wstyd? Nie jest pewien. To właśnie efekt wielu lat spędzonych w Kościele rzymskim. Katolikom od dziecka wpaja się poczucie winy za wszystko, co sprawia przyjemność. Zwłaszcza za seks.

Jak większość księży, Tom bardzo starał się nie myśleć o kobietach w tym kontekście. I, jak większość kolegów, czasami ponosił porażki. W takich chwilach wyobrażał sobie, że jego związek z kobietą zaczęłyby się powoli, od przyjaźni, a potem stopniowo ewoluowały w coś głębszego i bardziej namiętnego. Nigdy jednak nie przypuszczał, że przeżyje swój pierwszy raz jak napalony nastolatek, po pijaku w pokoju hotelowym.

Z drugiej strony, trzeba jednak powiedzieć uczciwie, że nie był aż tak pijany. Wstawiony - owszem. Rozluźniony - z całą pewnością. Ale nie na tyle pijany, żeby stracić nad sobą kontrolę. Co do tego nie ma wątpliwości.

A teraz? Co tak naprawdę teraz myśli? Czy to musi być tylko ten jeden raz? Czy ona tego właśnie chce? A ja? Tom nie zna odpowiedzi na żadne z tych pytań. Czuje coraz większą dezorientację. I pomyśleć, że spędził kilkanaście lat, doradzając parafianom, jak rozwiązywać problemy małżeńskie. Ta myśl wywołuje u niego uśmiech. Tak

naprawdę nie miał do tego żadnych kwalifikacji.

Ale nie żałuje. Niczego. Cokolwiek się stanie, będzie kolejnym krokiem na drodze do zbudowania siebie od nowa. Do stania się kimś, kto w ciągu jednej nocy wpuścił do swojego życia zupełnie obcą osobę. A ofiarując jej jedyną cenną rzecz, jaka mu pozostała, sprawił, że stała się dla niego ważna. Tylko na jak długo?

Dreńczony tym pytaniem powoli wraca w kierunku hotelu.

ROZDZIAŁ 15

Zawinięta wygodnie w kołdrę Tina Ricci patrzy sennym wzrokiem na otwarte do połowy drzwi do pokoju. Tom wślizguje się do środka.

- Przepraszam. Nie chciałem cię obudzić.

Tina jest wciąż zaspana.

- Eee... cześć. Właściwie to myślałam, że sobie poszedłeś.

Tom szybko podchodzi do łóżka.

- A miałem sobie pójść?

- Nie! - odpowiada gwałtownie, ale szybko dodaje: - Chyba że chcesz...

- Nie chcę.

- Więc wracaj do łóżka. - Klepie dłonią w materac. - Pokażę ci prawdziwe znaczenie wyrażenia „ranny ptaszek”.

Tom pokazuje jej brązową papierową torbę.

- Przyniosłem kawę i rogaliki. W ramach zapłaty za wczorajszy lunch.

- Świetnie. - Tina poprawia poduszki i podnosi się lekko. - Ale uprzedzam, że jestem głodna jak wilk. Przegapiliśmy kolację i spaliliśmy mnóstwo kalorii, więc będę potrzebowała zdecydowanie więcej jedzenia.

- Jasne.

Tom wyjmuje kubki z kawą, otwiera torebkę z rogalikami i rozkłada serwetkę na okruchy. Po jego minie Tina orientuje się, że za chwilę zmieni temat i powie coś niezręcznego na temat ostatniej nocy.

- Słuchaj, poruszam się po nieznanym wodach, więc wybac, jeśli będę nerwowy i powiem coś głupiego. - Wygląda na zakłopotanego. - Albo na odwrót, nie powiem tego, co powinienem.

Tina bierze od niego kawę.

- Tom, tu nie ma żadnych reguł. Po prostu mów, co chcesz - wszystko, co chcesz powiedzieć.

Nagle okazuje się, że ujęcie w słowa tego, jak się w tej chwili czuje, jest trudniejsze, niż to sobie wyobrażał.

- Dobra. Ale będę potrzebował twojej pomocy. Jak ty się czujesz? Co myślisz?

- Myślę, że jesteś uroczy. - Tina zamyśla się na chwilę, po czym dodaje: - I wyjątkowy. Nie dlatego, że kiedyś byłeś księdzem, i nie dlatego, że się pieprzyliśmy... - urywa i patrzy na niego przerażonym wzrokiem. - Przepraszam! Nie chciałam powiedzieć, że się pieprzyliśmy, to znaczy... - Teraz to ona wygląda na zakłopotaną. - Posłuchaj, jesteś wyjątkowy, bo jesteś porządnym facetem. Uczciwym. Miłym. I myślę, że to zaszczyt móc cię poznać - naprawdę poznać.

- Dzięki, mam nadzieję, że będziemy mieli na to czas.

- A ty? - W jej oczach pojawia się figlarny błysk. - Nie wywiniesz się tak łatwo od odpowiedzi. Jak ty się czujesz?

Za oknem rozlewa się blask słońca. Z ulicy dobiegają rozmowy i śmiechy Włochów. Świat jest doskonały.

- Kompletny - odpowiada w końcu. - Przy tobie czuję się cudownie kompletny.

CAPITOLO IX

Rok 666 przed Chrystusem
Święty gaj, Atmanta

Tecja wyciąga Teukrosa z ognia. Jej mąż ma ciężko poparzoną twarz i Tecja obawia się o jego wzrok. Strzepuje żar z jego skóry i wyprowadza go z gaju, wołając głośno o pomoc. Zboczem wzgórza zbiega Venti, ojciec Teukrosa.

- Co się stało? Co z Teukrosem?

Kołana Tecji uginają się pod ciężarem męża. Mówienie przychodzi jej z trudem.

- On... wpadł do świętego ognia... wróżyliśmy... dla sędziego Pesny. Spójrz na jego oczy!

Venti staje jak wryty. Na policzkach jego syna, wokół oczu i na powiekach wyrastają olbrzymie pęcherze.

- Wszystko będzie dobrze, Teukrosie. Jestem przy tobie.

Bierze syna na ręce i niesie go jak dziecko, które skaleczyło się w kolano. Nogi Teukrosa zwisają bezwładnie z jego ramion.

Od domu Lartuzy Uzdrowiciela dzieli ich tylko kilka kroków. Stary uzdrowiciel stoi w drzwiach swojej chaty, popijając wino i obserwując toczące się życie wioski.

- Wnieście go do środka - mówi, widząc zbliżających się Venti-ego i Tecję. - Połóżcie go na posłaniu przy palenisku.

Venti schyla się i ostrożnie wchodzi do środka. Tecja podąża tuż za nim. Nikt tak naprawdę nie zna wieku Lartuzy, ale wielu podejrzewa, że bogowie przedłużyli jego czas na ziemi ze względu na jego niezwykle umiejętności.

- Nalej mi wody, Tecjo. Misy i dzbany stoją na zewnątrz. Spiesz się! - Krótkie, stanowcze polecenia płyną z bezzębnych ust uzdrowiciela, zanim jeszcze Lartuza dociera do posłania, na którym leży Teukros.

Młody wróżbita trzyma się za twarz i jęczy.

- Teukrosie, pozwól mi sobie pomóc. Musisz odsunąć palce, żebym mógł cię leczyć.

Widząc, jak uzdrowiciel usiłuje odciągnąć dłonie wróżbity od poparzonej twarzy, Venti zbliża się do posłania. Przyklęka i bierze dłonie syna we własne. Nie robił tego od czasu, gdy Teukros był dzieckiem.

- Lartuza ci pomoże, synu - szepcze, nachylając się do jego ucha. - Zaufaj mu. Rób to, co ci każe, i pozwól mu działać.

Uzdrowiciel krąży po izbie, z jednego rogu zabierając chusty i szmaty, z drugiego oleje i zioła. Plucze ręce w wodzie, którą nalewa Tecja, a następnie wyciera je w czystą, szorstką szmatkę, cały czas modląc się do bogów o wsparcie. Wciera wywar z korzenia obrazka płamistego w czoło Teukrosa, aby uśmierzyć ból i pomóc mu się

odprężyć. Na twarzy wróżbity układa opatrunki z mokrej baraniej wełny.

- Kiedy zrobią się ciepłe w dotyku, zdejmij je - instruuje Tecję. - Wyciśnij, potem zanurz w misce z czystą wodą i z powrotem połóż na jego twarzy.

Tecja skrupulatnie wykonuje polecenie. Tymczasem Lartuza szuka swoich narzędzi, wykonanych ze srebra i pobłogosławionych nie tylko przez Teukrosa, ale i wielu jego poprzedników. Półki w chacie uzdrowiciela zastawione są solą, czosnkiem, liśćmi ruty, gałązkami jałowca sabińskiego i innymi ziołami. Lartuza nie może znaleźć narzędzi. Z wiekiem pamięć zaczyna mu szwankować.

- W jego ranach widać gniew bogów - zwraca się do Ventiego. Zgodnie ze zwyczajem ma obowiązek informować głowę rodziny o przebiegu leczenia i prosić o zgodę na zabiegi. - Powinieneś odmówić modlitwę o wybaczenie, żeby ukoić gniew na jego twarzy.

Wreszcie znajduje to, czego szuka. Niewielką drewnianą skrzynkę wypełnioną srebrnymi prętami, nożami i kleszczami.

- Tecjo, zostaw na razie opatrunki i nalej gorącej wody z paleniska do metalowej misy.

Wrzuca zawartość skrzynki do misy i nakazuje opłukać narzędzia w wodzie.

- Kiedy skończysz, osusz je i podaj mi.

Lartuza ostrożnie unosi prawą powiekę Teukrosa. W gałce ocznej wróżbity utkwily drobiny popiołu i drzazgi. Uzdrowiciel modli się, aby bogowie pewnie prowadzili jego dłoń, i zabiera się do usuwania zanieczyszczeń srebrnymi kleszczami. Teukros wzdyga się.

- Nie ruszaj się, chłopcze! Venti, przytrzymaj, proszę, jego głowę. Nie mogę sobie pozwolić na błąd.

Potężne dłonie ojca ujmują delikatną głowę Teukrosa. Nogami wróżbity wstrząsa ból, gdy Lartuza po kolei wyciąga drzazgi i popiół z jego poparzonych oczu.

Operacja kończy się o zmroku.

Lartuza ponownie przykrywa okaleczoną twarz Teukrosa chłodnym opatrunkiem z baraniej wełny i podaje wróżbicie dużą porcję eliksiru z waleriany i granatu. Zarówno lekarz, jak i pacjent są wyczerpani.

- Teraz zaśnie i będzie spał bardzo długo - mówi uzdrowiciel do Tecji. - Zostawimy go tutaj, a ty możesz zostać przy nim. Wełnę należy zmieniać regularnie przez całą noc, rozumiesz?

- Znam swoje obowiązki. Nie zapomnę o nich i nie usnę, dopóki ich nie wykonam.

- Dzielne dziecko. Venti, o świcie założę mu gorący okład ze złocienia i olejków eterycznych. O zmroku dam ci olejek powoju, którym należy nacierać jego skórę. Potem, jeśli rozpalający go gniew bogów ucichnie, będziesz mógł zabrać go do domu.

Venti od kilku godzin siedzi z podkulonymi nogami oparty o ścianę przy poślaniu. Zesztywniałe z wiekiem stawy trzeszczą, gdy wstaje.

- Dziękuję ci za twoją pracę, uzdrowicielu. Jutro przyniosę zapłatę.

Lartuza macha ręką.

- Nie ma takiej potrzeby. Pragnę tylko, aby młody Teukros wyzdrowiał. Podobnie jak mnie powołano go, by służył ludziom.

Na surowej twarzy Ventiego pojawia się strach.

- Na Turan, wielką boginię zdrowia i miłości, powiedz mi, czy mój syn będzie jeszcze widział?

- Stary przyjacielu, o tym zdecyduje Turan i inni bogowie. Zrobiłem wszystko, co mogłem. Teraz musimy się modlić i składać ofiary. Wzrok twojego syna jest w ich rękach.

CAPITOLO X

Dom sędziego, Atmanta

Po wielogodzinnej uczcie Pesna i jego najbliżsi towarzysze siedzą w łaźni. Nierządnicze i służba myją ich i nacierają olejkami.

Towarzysze Pesny w większości są głupcami, ale toleruje ich, ponieważ są pięknymi głupcami. Niektórzy, jak Larth, są głupcami zabójczymi. Braki w mądrości Larth nadrabia okrucieństwem. Jako dowódca straży Pesny znakomicie radzi sobie z wymierzaniem kar zasądzonych przez sędziego.

Inteligentni, tacy jak Kavie, są w jego towarzystwie rzadkością. Kavie, zawsze cichy i zamyślony, rzadko myślący się w swoich radach, jak zwykle siedzi osobno. Jest mniej pijany od pozostałych. Dwóch najładniejszych służących, jakich kiedykolwiek zatrudnił Pesna, obmywa go w odległym rogu łaźni.

- Jeżeli nie będę więcej ucztował - ogłasza sędzia - istnieje niebezpieczeństwo, że zanim umrę, zdążę zgromadzić tyle bogactw, że nie zdołam przepuścić ich nawet w zaświatach.

Jego towarzysze rechoczą, by się przypochlebić.

- Być może po zaświatach istnieją kolejne - odzywa się Hercha, jedna z miejscowych kobiet, która ostatnio regularnie ogrzewa łożę sędziego. Stale bawi się warkoczem świeżo zaplecionym przez służącą. - Jeśli się nie mylę, to być może powinieneś odłożyć część swoich bogactw, tak abyś zawsze mógł żyć na poziomie, do którego przywykłeś.

Pesna zrzuca tunikę i wchodzi do parującej wody, siadając obok Kavięgo.

- Od kiedy to kobiecie wolno udzielać mi rad? Radzę ci, żebyś otwierała usta wyłącznie dla mojej przyjemności, a nie po to, by publicznie dawać świadectwo swojej głupocie. Przynieś mi wina, dziewczyno - woła na służącą. - Chłodnego wina z piwnic pod dziedzińcem. Upewnij się, że nie jest ciepłe, bo jeśli będzie, zajmie się tobą Larth.

Naga służąca biegnie spełnić żądanie sędziego. Kiedy mija Lartha, Oprawca klepie ją w pośladki potężną dłońią.

Kawie odprawia łaźiebny i odwraca się do pozostałych gości sędziego.

- Doszły mnie niepokojące wieści z południa.

Pesna przesuwa dłońią po powierzchni wody.

- W Rzymie?

- Nie w Rzymie. Raczej o Rzymie.

- Nie rozumiem.

- Władcy wielu miast zaczynają obawiać się Rzymu. Nad Tybr ciągną potężni i utalentowani. Co bardziej aroganccy możni z regionu już mówią o poszerzeniu władzy Rzymu. Byłoby to zagrożenie dla twoich planów rozbudowy wpływów, panie.

- Rzym nie jest większy od nas, ale z jakiegoś powodu przyciąga skąpców - odpowiada sędzia z zatrokaną miną. - Tamtejsi osadnicy dorastają, pijąc krew, a nie mleko. Pewnego dnia Rzym stanie się

potęgą. Musimy uważnie mu się przyglądać, aby nie przegapić tego momentu.

- Mówisz mądrze, sędzio. Być może moglibyśmy wykorzystać strach przed Rzymem do ekspansji naszych ziem i władzy na północ.

- Mojej władzy, Kavię - strofuje go żartobliwie Pesna. - Nie zapomnij o swoim miejscu w moich planach.

Kavię robi urażoną minę.

- Och, dajże spokój. Drocę się tylko z tobą. - Pesna obdarza towarzysza ciepłym spojrzeniem. - Ale masz rację. Strach jest dobrym fundamentem do budowy sojuszy.

- Jakież wieści od Caelego?

Sędzia uśmiecha się.

- Wkrótce przybędzie. Nasz wędrujący po morzach przyjaciel ma ze sobą dość srebra, żeby wykupić cały świat, nie mówiąc już o tych małych kawałkach, które są mi potrzebne. - Kładzie rękę na ramieniu Kavięgo. - Czy możesz napisać mi odpowiednio przekonujące wiadomości, które będę mógł wysłać do wpływowych ludzi w innych miastach?

- Będą gotowe przed świtem.

- Dobrze. Teraz, mój drogi Kavię, moje gardło domaga się wina, a mój penis miękkich ust ładnej nierządniczy. Czy masz mi jeszcze coś do powiedzenia, nim zajmę się potrzebami swoich najważniejszych organów?

- Jeszcze tylko jedna sprawa.

- Co takiego? - krzywi się Pesna.

- Jeden ze starszych powiedział mi, że twój wróżbita oślepl.

Sędzia kręci głową z niedowierzaniem.

- Oślepl? Wróżbita, który nie widzi? To jakaś sztuczka bogów. Co mu się stało?

- Mówią, że odprawiał wróżbę na twoje polecenie i oślepił go święty ogień.

Nadchodzi służąca z winem.

- Postaw tutaj i odejdz - nakazuje jej szorstko Pesna. - To zły znak - mruczy, gdy dziewczyna wychodzi z łaźni. - Nakazałem wróżbicie poprosić bogów, aby uciszeli rozgadane języki, a nie szerzyć pogłoski i niepokój. Niech bogowie przeklną jego głupotę! Co mam z nim zrobić?

- Albo go wesprzeć, albo zabić. Nie masz tu pola manewru, panie.

Pesna nalewa sobie wina i rozważa słowa Kawięgo.

- Doskonale. Jutro, gdy z mojej głowy wyparuje wino, a moje żądze będą zaspokojone, zadecydujemy o losie wróżbity. Teraz, drogi przyjacielu, zamilknij. Dość już wieści. - Skinieniem ręki przywołuje służącą czekającą przy drzwiach. - Czekam mnie wyczerpująca rozpu-
sta.

CAPITOLO XI

Chata Lartuzy, Atmanta

Trawiony gorączką Teukros krzyczy przez sen. Miota się w po-
słaniu, wypluwając imiona demonów nieznanymi ani Tecji, ani
uzdrowicielowi. Jego ciałem wstrząsa ból. Gorący jak płomień.

Ostry jak ukłucie igły w źrenicę. Lartuza przytrzymuje go i z pomocą Tecji podaje kolejną dawkę waleriany. Przytrzymują ramiona Teukrosa, dopóki narkotyk nie zaczyna działać i umysł wróżbity odpływa na spokojniejsze wody.

Poranek jest już w pełni, gdy przychodzą do niego ponownie. Uzdrowiciel wydaje się zadowolony z postępów leczenia.

- Bogowie oczyścili jego rany z gniewu. Pozostaną mu blizny, ale będą wyglądały zaledwie jak zadrapania zadane przez zwierzę.

- A co z jego wzrokiem?

- Moja droga Tecjo, za wcześniej o tym mówić. W jego oczach utkwił gorący popiół i drewno. Jeśli bogowie na niebiosach będą chcieli, aby ich wróżbita widział, tak będzie.

Uzdrowiciel ujmuje jej delikatną gładką dłoń w swoje stare i spracowane ręce.

- Twoja miłość spodoba się bogom i przyniesie mu szczęście. Musisz oddać mu się całkowicie. Użyj wszystkich sił ducha i ciała, aby przynieść mu ulgę i spokój. Ranne jest jego ciało, ale również dusza.

Tecja kiwa głową.

- Na zawsze pozostanę twoją dłużniczką, uzdrowicielu.

Lartuza wstaje i klepie ją po ramieniu.

- Mam zatem nadzieję, że będę żył na tyle długo, żeby zobaczyć na świecie wasze dziecko.

Tecja instynktownie kładzie dłoń na brzuchu.

- Pamiętaj też, że musisz dbać także o siebie i dziecko - mówi Lartuza, przygotowując okład ze złocienia.

Tecja marszczy nos. Okład cuchnie gorzej niż siarkowe kąpiele, które tak uwielbia jej matka.

- Mam nadzieję, że uzdrowicielska moc tego okładu jest równie silna, co smród. Co on robi?

Lartuza wybucha śmiechem.

- Przyprawia cię o mdłości. Ale złagodzi również oparzenia Teukrosa. Nie mogę podać mu więcej waleriany, ale ten okład utrzyma go w kojącym śnie.

Lartuza zdejmuje opatrunek z baraniej wełny i delikatnie układa okład na oczach wróżbity.

- Rany Teukrosa są podobne do tych, jakie odnosi się na polu bitwy. Kiedy ciało zostaje zranione, tworzy własne lekarstwa, potężne eliksiry krążące we krwi i uśmierzające ból, ale działające tylko przez chwilę. Kiedy leki ciała się wyczerpią, pojawia się potworny ból. Złocięń uspokoi umysł Teukrosa.

Tecja wciąż marszczy nos od zapachu.

- Mam nadzieję, że tak będzie.

- Będzie, moje dziecko. Teraz muszę iść. W wiosce jest chore niemowlę, obiecałem jego rodzicom, że się nim zajmę.

Tecja delikatnie dotyka jego ramienia.

- Raz jeszcze ci dziękuję.

- Nie ma za co, Tecjo. Sądzę, że powinnaś położyć się obok męża i trochę przespać. Dziecko też tego potrzebuje - dodaje szeptem, nachylając się ku niej.

Tecja uśmiecha się, patrząc na wychodzącego uzdrowiciela. Rzeczywiście przydałby jej się odpoczynek. Okład okropnie cuchnie, ale jej obowiązkiem jest wytrzymać. Przeciera brwi Teukrosa i zwilża jego wyschnięte usta świeżą wodą. Potem kładzie się obok niego i ostrożnie całuje go w wilgotne teraz usta. Zamyka oczy i modli się, aby szybko wyzdrowiał.

Tecja unosi się w magicznej przestrzeni między jawą, a snem, gdy Teukros nagle się budzi. I chwyta ją za gardło. Ścisną tak mocno, że Tecja traci oddech. Zaczyna wierzgać nogami, ale nie może się uwolnić. Chwyta go za nadgarstki, ale wróżbita trzyma ją w żelaznym uścisku.

- Przepadnij! Przepadnij! - wrzeszczy Teukros. - Czarny, beziemienny demonie, odpędzam cię!

Tecja rozpaczliwie usiłuje złapać oddech.

- Zabić. Muszę zabić! - Uścisk Teukrosa jest coraz silniejszy.

Tecja raz jeszcze próbuje go kopnąć. Jej noga zderza się z miękkim ciałem. Miota się, próbując się uwolnić. Zawadza nogą o paleńsko. Na podłogę wysypują się rozżarzone węgle. Ogarniają ją ciemności. Zaczyna tracić przytomność. Przez mgłę widzi jeszcze wyciągniętą rękę Teukrosa, pokrytą pęcherzami twarz i zasłaniający oczy okład. A potem nie ma już nic.

ROZDZIAŁ 16

Czasy współczesne

Luna Hotel Baglioni, Wenecja

Kiedy wreszcie odrywają się od siebie, kawa nie nadaje się już do picia, a rogaliki nie są w stanie zaspokoić wilczego głodu Toma i Tiny. Szybko biorą prysznic, ubierają się i przekonują obsługę w hotelowej restauracji Canova Room, żeby pozwolono im jeszcze skorzystać z bufetu śniadaniowego.

Tom podziwia olbrzymie płótna wiekowych obrazów na pokrytych dębową boazerią ścianach. Zasiadają do świeżych owoców,

wędzonego łososia, jajecznicy i soku owocowego w ilościach wystarczających do wypełnienia laguny za oknem. - A zatem, moja droga pisarko, co możesz powiedzieć mi o Wenecji?

Tina spogląda na niego znad filiżanki kawy.

- Nie przeczytałeś żadnego przewodnika, zanim tu przyjechałeś?

- Czytałem jakieś głupoty.

- Ej, przewodniki turystyczne to nie głupoty. Ja tym zarabiam na życie.

- No tak, przepraszam. Ale opowiedz mi o Wenecji.

- Dobra. Poza Rzymem Wenecja to moje ulubione miejsce na ziemi. *Serenissima* dała ludzkości tylu wspaniałych ludzi: Marco Polo, Canaletta, Casanovę, Vivaldiego - Rudego Księdza. .. - wybuchą śmiechem. - Lista słynnych Wenecjan nie ma końca! To Wenecja dała nam tak cudowne słowa, jak mandolina czy *ciao*, i tak okropne, jak getto czy arsenał. Ale przede wszystkim uwielbiam w Wenecji to, że czas stoi tu w miejscu - na ulicach nie ma samochodów, nad głową nie wiszą ci żadne kable, nie ma tych obrzydliwych masztów telefonii komórkowej. Przyjeżdżasz do Wenecji i cofasz się w czasie o sto lat.

- Za podróż w czasie - Tom wznosi szklankę z sokiem.

- Za podróż w czasie.

Stukają się szklankami. Tina bierze łyk i patrzy na niego spod oka.

- Pamiętasz jeszcze te głupoty, które czytałeś?

Tom zastanawia się.

- To i owo. Dawno temu była tu tylko woda i bagna, jakieś wioski rybackie i tak dalej. Potem w połowie pierwszego wieku pojawia się Attyla. Ludzie uciekają przed jego hordami na wyspy.

- A ile jest wysp? - Tina pyta głosem nauczycielki.

- Dużo.

Tina wybucha śmiechem.

- Około stu osiemnastu, może stu dwudziestu - nawet weneccjanie czasem się o to kłócą.

- Tak jak powiedziałem, dużo.

- Jak się okazuje, pierwszą osadą w okolicy było Torcello. Wenecja nabrała znaczenia, dopiero kiedy w Torcello wybuchła epidemia malarii i ludzie zaczęli przenosić się na obszar, który dzisiaj nazywamy Rialto.

- W siódmym wieku?

- W ósmym. Weneccjanie obrali swojego pierwszego dożę - coś na kształt demokratycznie wybranego religijno-politycznego przywódcy - i zorganizowali pierwszy własny rząd w siedemset dwudziestym którymś roku. Rozwijali się nieustannie aż do wybuchu wielkiej zarazy. To ich wytrąciło z równowagi. Najpierw dostali obsesji na punkcie religii, a potem, jak to Włosi, oddali się seksualnej i artystycznej rozpuście. Dopiero w osiemnastym wieku Napoleon zakończył trwającą tu od kilku wieków nieustanną imprezę.

- Imponujące. Jeśli kiedyś znudzi ci się pisanie o podróżach, mogłabyś pewnie znaleźć pracę jako przewodniczka.

- Dzięki. - Tina wyciera usta bawełnianą serwetką. - Zmieńmy temat. Musisz mi wybaczyć, bo to będzie dość osobiste, ale wiesz, że jesteś chyba najgorzej ubranym człowiekiem, jakiego znam?

Tom śmieje się i podnosi ręce w geście poddania.

- *Mea culpa!* Nie mam nic na swoją obronę. Mógłbym się tłumaczyć, że ukradli mi walizkę, kiedy wyjeżdżałem z Los Angeles - bo to prawda - ale to nie zmienia faktu, że masz rację. W tamtej walizce nie było niczego, co mogłoby zmienić twoje zdanie.

- Nie lubisz ubrań?

- Lubię, pewnie. Lubię, kiedy są wygodne, pasują i są czyste przez długi czas. Poza tym chyba nie żywię wobec nich żadnych uczuć.

- Dobry Boże, ty poganinie! Takie poglądy we Włoszech to bluźnierstwo! Podejrzewam, że mogą cię za to nawet deportować.

Oboje wybuchają śmiechem. Wesołym, odprężającym śmiechem, który zbliża ich do siebie.

- Dobra, posłuchaj. Będę musiała cię nawrócić. Pokazać ci, że stąpałeś drogą grzechu.

- I dasz radę za pięćset euro? Bo mniej więcej tyle mam do wydania na ubranie.

Tina opiera dłoń o policzek, udając powagę i zamyślenie.

- Hmm, niech pomyślę. Wystarczyłoby na piękny krawat od Versace albo Hermesa. Mogę sobie ciebie w nim wyobrazić - tylko w nim. Ale obawiam się, że poza moją sypialnią nie przyda ci się na wiele.

Człowiek o surowej twarzy w czarnym garniturze i krawacie przerywa im rozmowę.

- *Buongiorno. Scusi, signorina.* - Mężczyzna patrzy na Toma. - *Signor, czy pan jest Tom Shaman?*

- Tak. To ja. Kto pyta?

Pracownik hotelu rzuca spojrzenie w kierunku drzwi.

- *Signor, w recepcji czeka dwoje carabinieri.* Chcą z panem rozmawiać.

CAPITOLO XII

Rok 666 przed Chrystusem
Chata Lartuzy, Atmanta

Teukros budzi się na prowizorycznym posłaniu na podłodze. Jest zdezorientowany. Czuje na twarzy ciepło ognia z paleniska Lartuzy, ale niczego nie widzi. Każda komórka jego twarzy pulsuje bólem, jakby wtarto mu pokrzywę w otwarte rany. Stopniowo orientuje się, że na oczach ma cuchnący okład. Ogarnia go klaustrofobia. Jest o krok od wpadnięcia w panikę. Powoli, błądząc w niezrozumiałej ciemności, zaczyna sobie przypominać. Święty krąg. Ował, który wyciął w glinie. Dziwaczne węże i symbole, które wyźłobił nożem. Objawienie. A potem ogień. Wściekły płomień, który rozpalił dla bogów i w który następnie się rzucił. To wspomnienie go przeraża.

- Tecjo! Tecjo, jesteś tu?

Jego żona siedzi przykryta owczą skórą w kącie chaty uzdrowiciela. Jest wystraszona i zdezorientowana - mężczyzna, którego kocha, prawie ją udusił. Znadto się boi, by mu odpowiedzieć. Osłania rękoma swoje nienarodzone dziecko. Czy Teukros naprawdę usiłował zabić ich oboje?

- Tecjo!

A może ten wybuch furii spowodowała gorączka i rozpaczliwa walka o własne życie? W końcu Teukros nigdy wcześniej nawet nie próbował jej skrzywdzić.

- Tecjo. Jesteś tu?

Zostawia skórę - oraz własne obawy - i podchodzi do niego.

- Jestem tu. Już idę.

Teukros rozkłada ręce.

Tecja ostrożnie dotyka dłonią jego wysuniętych palców.

- Poczekaj. Nie ruszaj się, przyniosę ci wody.

Chwyta ją za rękę.

- Nie! Zostań. Muszę ci coś powiedzieć.

Tecja walczy z przemożną chęcią ucieczki. Teukros się zmienił. Być może oszalał. I prawdopodobnie nigdy już nie będzie widział. Mąż wyczuwa jej napięcie i delikatnie ściska ją za rękę.

- Potrzebuję twojej pomocy, Tecjo. Musisz zniszczyć znaki, które zrobiłem.

Tecja wzdryga się.

- Te przy palenisku, w gaju?

- Tak. Idź tam od razu. Nie patrz na nie. Po prostu zetrzyj je z powierzchni ziemi, tak żeby nie pozostał nawet ślad.

Tecja jest zdziwiona.

- Dlaczego? Co cię tak dręczy?

- Te znaki pochodzą od demonów. Są ucieleśnieniem istoty zła. Zwiastują nadejście czegoś strasznego, straszniejszego, niż możemy to sobie wyobrazić.

Tecja widzi wyraźnie, że coś go dręczy. Dotyka dłońmi poparzonej twarzy męża.

- Powiedz mi, co zobaczyłeś. Opowiedz o tym. Podziel się ze mną swoją wizją i pozwól mi pomóc.

Teukros zawsze uważał, że przyznawanie się do strachu jest oznaką słabości. Ale ślepotą przeraża go, a miękki dotyk dłoni Tecji powoduje, że jego wewnętrzne opory znikają.

- Przemówił do mnie jakiś demoniczny bóg. Objawił mi trzy wizje, które zdecydują o losie naszym, Atmanty i przyszłych pokoleń.

- Jakie wizje?

Teukros przypomina sobie gaj i krążące wokół niego stada demonów.

- Wszystkie miały miejsce przy jakiejś bramie, olbrzymiej bramie zbudowanej z węży.

- Węży?

Teukros pomaga sobie gestykulacją.

- Niektóre stały, niektóre leżały. Kłębiły się wokół siebie, plując ogniem i obnażając zęby.

- Jeśli sprawia ci to zbyt wielki ból, nie mów już o tym - przerywa Tecja, starając się go uspokoić.

- Dokończę. - Przetyka konwulsyjnie. - Teraz już wiem, czym była ta brama - to były „Bramy Piekła”, łączące nasz świat z królestwem podziemi. W pierwszej wizji strzegł ich nieznany, lecz przerażająco potężny demon. Pół człowiek, pół kozioł. Rogaty, o oczach czerwonych jak ogień. Nosi przy sobie trójząb skąpany w ludzkiej krwi.

- Może to był Aita albo Minotaur. Może pomyliłeś...

- Tecjo, proszę, nie przerywaj mi - wpada jej w słowo Teukros. - Mogę opowiedzieć o tym tylko raz, a tobie nigdy nie wolno więcej o tym wspominać. Przysięgasz?

Tecja spogląda na jego dłoń zaciśniętą rozpaczliwie wokół jej ręki.

- Przysięgam.

- To nie był Aita - kontynuuje Teukros chrapliwym głosem. - Ani żaden potwór o kształtach byka. Jestem tego pewien.

Usiłuje odpędzić od siebie wspomnienia agonii, którą przeżywał w gaju.

- Jest panem wszystkich ciemności, znacznie potężniejszym od Aity. Czczą go demony i skradzione dusze w podziemnym świecie. Jest ucieleśnieniem całego zła, źródłem wszelkiego okrucieństwa.

Tecja boi się. Dziecko w jej łonie porusza się, jakby wyczuwało jej strach.

- W drugiej wizji zobaczyłem przy bramie wróżbitę. Targały nim wątpliwości, utracił wiarę, tak jak ja teraz. Tkwił nadziany na własny lituus.

Podnosi rękę do zabandażowanych oczu. Tecja zastanawia się, czy pod poplamionym opatrunkiem z jego oczu płyną łzy.

Kładzie dłoń na jego czole. Jest rozpalone. Tecja ma nadzieję, że mający. Jego przerażająca opowieść może być tylko wytworem wyobraźni. A może nie. Może rzeczywiście objawił mu się nieznany bóg. Jedyny, najwyższy władca, potężniejszy od wszystkich bóstw znanych ludziom.

- Powiedziałeś, że były trzy wizje, Teukrosie. Ta trzecia czego dotyczyła?

Teukros po omacku szuka jej dłoni. Odważa się przemówić dopiero, kiedy ściska obie jej ręce.

- W trzeciej wizji ujrzałem dwoje kochanków. Nagich. Ich ciała były splecione ze sobą, oparte o bramę. U ich stóp drzemało małe dziecko.

Tecja głaszcze go po palcach i przez chwilę myśli o ich nienarodzonym dziecku.

- Trzecia wizja nie jest więc taka straszna. Bardzo chciałabym wyrzeźbić dwoje kochanków w takiej pozie. A dziecko, owoc łona - to z pewnością marzenie.

Teukros uwalnia dłonie z jej uścisku.

- Teraz musisz pójść do gaju i zniszczyć symbole. Nikomu więcej nie wolno ich zobaczyć.

Przerywa i składa drżące dłonie na podołku. Tecja bierze go w ramiona.

- Cicho. Już dobrze. - Przyciska jego głowę do swojej piersi.

W jej ramionach Teukros rozluźnia się i uspokaja. Wtula się w nią, ale nie potrafi powiedzieć jej wszystkiego. Po prostu nie potrafi. Kochankami, których ujrzał, byli on sam i Tecja. I oboje byli martwi. Dziecko u ich stóp wyszło z łona Tecji i nie było już żadnych wątpliwości, kim był jego ojciec. Dziecko było nasieniem bestii. Zesłanym na ziemię, by przygotować świat na dzień, w którym jego ojciec objawi się i weźmie w posiadanie to, co do niego należy.

ROZDZIAŁ 17

Czasy współczesne
Luna Hotel Baglioni, Wenecja

Valentina Morassi i jej nowy partner Rocco Baldoni czekają niecierpliwie w recepcji najstarszego hotelu w Wenecji. Porucznik Baldoni jest dla Valentiny szkiem po latach współpracy z Antonio. Jest całkowicie pozbawiony poczucia humoru, za to przepelnia go *machismo* i pomimo raczej nieciekawej prezencji jest święcie przekonany, że kobiety za nim szaleją. Valentina przygląda się Tomowi Shamanowi, który niespiesznym krokiem pojawia się na piętrze, rozmawiając swobodnie z elegancką blondynką. Jak na mężczyznę o takich rozmiarach porusza się zaskakująco lekko. Były ksiądz ma w sobie coś niezwykłego, jakąś tajemnicę, która nadaje mu atrakcyjności.

Schodzą do lobby i kierują się ku dwojgu żandarmom. Valentina podnosi się z pluszowego fotela.

- *Buongiorno, signor Shaman.* - Przywołuje na twarz swój najbardziej profesjonalny uśmiech. - To jest mój kolega, porucznik Baldoni. Przepraszamy, że państwu przerwaliśmy.

Rocco ledwo sięga Tomowi do brody. Jego pozbawiona kości policzkowych twarz i olbrzymie oczy nadają mu wygląd postaci namalowanej przez dziecko, które nie opanowało jeszcze reguł perspektywy. Spogląda ciekawie na kobietę u boku Toma.

- Moja przyjaciółka Tina Ricci. - Tom spogląda na Valentine nieprzyjaźnie. - Choć państwo już to wiecie, jak sądzę?

- *Signor,* jesteśmy detektywami - ripostuje z satysfakcją Valentina. - Być może nie dysponujemy takim personelem jak policja w Los Angeles czy FBI, ale proszę mi wierzyć, nie potrzebujemy zbyt dużo czasu, żeby zadzwonić do pańskiego hotelu i opisać pana kilku restauratorom i konsjerżom. Dla ludzi, którzy tu mieszkają, Wenecja to mała wioska.

Tom nawet nie próbuje ukryć irytacji.

- Więc czego pani ode mnie chce? Nie sądzę, żebym mógł dodać cokolwiek do tego, co już pani powiedziałam.

Valentina rzuca przelotne spojrzenie na Tinę.

- Wolałabym wyjaśnić to panu gdzieś indziej. W jakimś bardziej dyskretnym miejscu. - Znowu spogląda na Tinę. - Nie zatrzymamy pana Shamana zbyt długo, *signorina.* Zanim się pani obejrzy, pan Shaman znajdzie się z powrotem w pani sypialni.

Tom robi się czerwony.

- Czy mam jakiś wybór?

- *Si.* - Valentina stara się zbyć uprzejma. - W tej chwili prosimy pana o pomoc. Bylibyśmy niezmiernie wdzięczni, gdyby zechciał jej

nam pan udzielić z własnej woli i oszczędził nam zwracania się do wyższej instancji, która pana do tego zmusi.

Tom poddaje się.

- No dobrze. Chodźmy.

Carabinieri kierują się ku drzwiom. Tom całuje Tinę, która wygląda na bardziej zmartwioną niż zirytowaną.

- Zadzwoń, jak skończę.

- Chcesz, żebym załatwiła ci prawnika?

Tom macha lekceważąco ręką.

- Nie. To nie jest aż tak poważne. Wróć jak najszybciej.

Kilka minut później wsiada do motorówki żandarmerii przycumowanej przed hotelem.

Wszyscy troje milczą. Łódź przecina stalowoszarą wodę, kierując się do pobliskiej komendy głównej *carabinieri*. Posterunek mieści się w starannie odrestaurowanym i rozbudowanym dwupiętrowym budynku. Od łososiowych ścian odcinają się brązowe okiennice. Wszędzie widać kamery. Do budynku prowadzą drzwi otwierane elektronicznie i tylko od wewnątrz. Biuro Valentiny, podobnie jak gabinet dowódcy, ma okna wychodzące na kanał i trawnik przed muzeum, na którym widać dwóch chłopców grających w piłkę nożną.

- Kawy? - proponuje Valentina, gdy siadają na twardych, plastikowych krzesłach przy plastikowym stoliku, uginającym się od ważnych papierów.

Tom siedzi z wyprostowanymi nogami i rękoma skrzyżowanymi na piersiach.

- A może najpierw słowo wyjaśnienia?

- W swoim czasie. Od jak dawna zna pan swoją przyjaciółkę Tinę?

- Proszę?

- Tę pisarkę, Tinę Ricci. Od jak dawna ją pan zna?

Tom patrzy na nią z niedowierzaniem. Bezceremonialne wkraczanie w jego prywatne sprawy zaczyna go denerwować. Valentina patrzy mu prosto w oczy. Jest gotowa czekać na odpowiedź do skutku.

- Spotkaliśmy się tu, w Wenecji - odpowiada w końcu. - Nie znałem jej, zanim tu przyjechałem. Czy to naprawdę ma znaczenie?

- I jesteście ze sobą już tak blisko, że spędzacie razem noc?

- To nie jest pani sprawa! - Zrywa się na nogi, przewracając przy tym krzesło.

Baldoni nerwowo staje pomiędzy nim, a drzwiami.

- Bardzo pana proszę. - Wskazuje przewrócone krzesło. - Możemy pójść z tym wyżej, a wtedy zrobi się bardzo oficjalnie i bardzo nieprzyjemnie.

Tom podnosi krzesło.

- Bóg wie, że chciałbym zrozumieć, czego państwo właściwie ode mnie chcecie. Próbowałem pomóc człowiekowi, który wyłowił martwą dziewczynę z cholernego kanału. I nagle chcecie wiedzieć wszystko o moim życiu i o ludziach, których spotykam.

- Proszę usiąść i spróbować spojrzeć na to z naszej perspektywy - mówi Valentina.

Tom wzdycha ciężko, ale siada.

- Przez wiele lat był pan księdzem w parafii - kontynuuje porucznik Morassi. - Pilnował pan własnego interesu i prowadził, jak sądzę, spokojne życie w celibacie. - Przerywa na chwilę i unosi brwi. - A potem nagle zabija pan dwóch ludzi, porzuca stan kapłański, leci na drugi koniec świata i ląduje w Wenecji, gdzie, o ironio, znajduje pan ciało martwej dziewczyny. Następnie - Valentina patrzy na niego wzrokiem wyrażającym kompletne niedowierzanie - dowiadujemy

się, że jest pan w związku z Amerykanką, której jakoby nigdy wcześniej pan nie spotkał. Zgoda, może to są wszystko przypadki. Ale nasza praca polega na tym, żeby to sprawdzić. Musimy dowiedzieć się wszystkiego, nawet jeśli oznacza to zadawanie panu wielu kłopotliwych pytań.

- Dobra! - Tom tłumi w sobie narastającą wściekłość. - Teraz niech pani spojrzy na to z mojej perspektywy: Próbuję zachować się właściwie i obronić zaatakowaną kobietę. Ale pomimo moich wysiłków ona pada ofiarą gwałtu, raptem kilka metrów ode mnie. - Przerywa, przygnieciony wspomnieniem. Przez chwilę myśli o tamtej nieszczęsnej dziewczynie, której nie zdołał ocalić, i zastanawia się, czy zdołała jakoś się po tym pozbierać. - Tamtej nocy musiałem walczyć o własne życie i w rezultacie zabiłem dwóch ludzi. - Znowu przerywa, gdy wypływają kolejne bolesne wspomnienia: twarz tamtego dzieciaka, biała i bez życia... Jego zakrwawiona koszula, dwóch zabitych - może powinien tylko spróbować ich powstrzymać, unieruchomić... - Więc niech mi pani powie - kontynuuje Tom. - Jak pani by się czuła w mojej sytuacji? Czy uznałaby pani, że postąpiła słusznie, czy wręcz przeciwnie? Czy pomyślałaby pani, że Bóg jest z pani zadowolony, czy wściekły z powodu bajzlu, którego pani narobiła?

Żandarmi milczą. Tom dochodzi do wniosku, że chyba udało mu się do nich przemówić.

- Może przeżywałaby to pani tak jak ja - miałyby pani traumę, czuła się kompletnie zagubiona i chciała po prostu od tego wszystkiego uciec.

Valentina i Rocco nie odzywają się ani słowem, gdy Tom nalewa sobie wody z plastikowej butelki na stole. Na szklance jest kurz i ślady wielokrotnego używania bez mycia, ale nie zwraca na to uwagi.

- A co do Tyny... - znowu pojawia się złość. - No cóż, to naprawdę nie jest państwa sprawa, ale i tak wam powiem. Nie, nie znaleźliśmy się wcześniej. I tak, pozostajemy w fizycznym związku. Chwała Bogu, zresztą. Może i pójdę za to do piekła - choć w sumie nie sędzę, żeby tak miało być - ale w tej chwili związek z nią jest chyba jedyną mądrą rzeczą, jaką tu zrobiłem.

- Przykro mi - odzywa się Valentina. Przygląda mu się przez chwilę. Jego poruszenie wydaje się autentyczne. A nawet dość imponujące. Carvalho powiedział jej, że musi mieć co do Shamana pewność, absolutną pewność, zanim wciągnie go głębiej w tę sprawę. Raz jeszcze patrzy mu w oczy. Zawsze potrafiła trafnie oceniać ludzi, a Tom Shaman nawet nie mruga. Niczego nie ukrywa. Valentina przywołuje kolegę.

- Pokaż mu raport, Rocco.

Baldoni wręcza Tomowi spięty okładkami dokument.

- To jest raport patologa sądowego.

Tom krzywi się.

- Jeśli pan pozwoli, to wolałbym na to nie patrzeć. Jestem pewien, że nie ma tam nic przyjemnego. Prawdę mówiąc, wolałbym już iść.

Valentina bierze od niego raport i otwiera go.

- Zwykle nie pokazujemy takich rzeczy cywilom, ale potrzebujemy pańskiej opinii. - Odwraca raport i kładzie go przed Tomem. - Ma pan rację: nic przyjemnego, za co przepraszam. Ale w tej chwili nie mamy czasu na zabawę w uprzejmości. Czy się to panu podoba czy nie, jest pan zamieszany w śmierć tej dziewczynki.

Tom spogląda na stół. Spodziewał się zobaczyć krwawe zdjęcia ofiary. Zamiast tego widzi komputerowy szkic ciała Moniki Vidic.

Zaznaczone są na nim wszystkie rany zadane przez mordercę. Każda jest opatrzona strzałką, numerem i opisem. Tom odwraca raport i popycha go przed siebie.

- Przykro mi, ale wciąż nie rozumiem. Czy miałem coś zobaczyć na tym rysunku?

Valentina wstaje i obchodzi stół. Przysiada na krawędzi obok krzesła Toma. Na tyle blisko, żeby poczuć przeskakującą między nimi iskrę.

- Kiedy pierwszy raz rozmawiał pan ze mną i majorem Carvalho, powiedział pan coś, co utkwilo nam w głowie. Cytuję: „Ma pan do czynienia z dziełem Szatana”. Pamięta pan?

Tom znowu zerka na szkic.

- Owszem, pamiętam.

- Możliwe, że miał pan rację. - Valentina podsuwa raport patologa bliżej. - W dolnym rogu zobaczy pan całkowitą liczbę ran zadanych Monice. Policzył je patolog, potem mój dowódca, nawet obecny tu porucznik Baldini. Jest ich sześćset sześćdziesiąt sześć, *signor* Shaman. Sześć sześć sześć. Podejrzewamy, że zna pan tę liczbę znacznie lepiej niż my.

ROZDZIAŁ 18

Taca z kawą sygnalizuje zawieszenie broni. Tom chwilę bawi się filiżanką podwójnego espresso, po czym wychyla ją jak kieliszek wódki. Wzrok wciąż ma utkwiony w szczegółowym szkicu sześciuset

sześćdziesięciu sześciu ran na ciele zabitej nastolatki. Porucznik Valentina Morassi czeka, aż Tom wytrze usta.

- Poprosiliśmy księdza o pomoc, ponieważ dysponuje ksiądz odpowiednią wiedzą, a znajdując ciało Moniki, stał się ksiądz częścią śledztwa. To daje księdzu unikatową perspektywę. Oznacza to również, że nie musimy ryzykować, że informacje o naszych działaniach dostaną się do niewłaściwych uszu. Nawet w kręgach kościelnych zdarzają się długie języki.

- Nie lubię nikogo poprawiać, ale ja już nie jestem księdzem. Nazywam się Tom. Po prostu Tom Shaman.

- *Scusi* - odpowiada Valentina, unosząc dłonie w przeproszającym geście. - A zatem, Tom, od czego zaczniemy? Jakie znaczenie może mieć sześćset sześćdziesiąt sześć ran?

- No dobrze. - Tom odstawia pustą filiżankę. - Zacznijmy od Apokalipsy świętego Jana, rozdział 13, wersy 17-18. Tłumaczeń jest wiele i z reguły różnią się jednym czy dwoma słowami, ale generalnie rzecz biorąc brzmi to tak: „(...) kto nie ma znamienia imienia Bestii lub liczby jej imienia. Kto ma rozum, niech liczbę Bestii przeliczy: liczba to bowiem człowieka. A liczba jego: sześćset sześćdziesiąt sześć”.

- Co to oznacza? - pyta zdziwiona Valentina. - Szukamy zabójcy - albo zabójców - którzy mają wytatuowane trzy szóstki?

- Niewykluczone, choć moim zdaniem mało prawdopodobne. Nie sądzę, żeby wasz zabójca wywodził się z satanistycznej ekstremy. Zadał bardzo precyzyjną liczbę ran i pozostawił ciało na widoku publicznym, a to wskazuje na człowieka, który bardzo starannie wszystko planuje. I prawdopodobnie bardzo starannie ukrywa swój satanizm.

Valentina jest pod wrażeniem.

- Nazywamy takich przestępcami zorganizowanymi. Mam wrażenie, że teraz, gdy zrzuciłeś sutannę, byłby z ciebie niezły specjalista od profilowania psychologicznego.

- Spróbuję uznać to za komplement - odgryza się Tom.

- Trzy szóstki mają wielkie znaczenie dla satanistów - dodaje. - Zadając dokładnie taką liczbę ran, nasz satanista składa ofiarę swojemu panu. Wydaje mi się również, że chciał, żebyście się o tym dowiedzieli. W pewnym sensie to morderstwo jest deklaracją. Pokazem siły i determinacji.

Valentina jest zaskoczona. Liczyła na jego pomoc, ale nie spodziewała się aż takiej przenikliwości.

- Cóż, z całą pewnością można stwierdzić, że mamy w tej chwili największą w historii falę satanistycznych morderstw. I to nie tylko we Włoszech, ale w całej Europie i Ameryce.

Tom tylko kiwa głową. Słyszał o tym już wcześniej.

- W ostatnim dziesięcioleciu nastąpił wzrost aktywności satanistów. Część z nich to tylko świry szukające seksualnych przygód albo rozgłosu dla swojej kapeli. A część, tak jak ten, który zamordował tę dziewczynkę, traktuje sprawę poważniej.

Rocco wydaje się zaskoczony.

- Kościół wiedział o zwiększonej liczbie tych przestępstw?

- Watykan śledzi takie sprawy równie skrupulatnie, co FBI ataki terrorystyczne. Wielu egzorcyistów utrzymuje, że uczniowie Szatana na coś się przygotowują. Aktywność zgromadzeń rośnie, posuwają się też coraz dalej w swoich rytuałach i ofiarach.

Valentina dosypuje cukru do niemal zimnego już espresso.

- Znalazłam sprawę z Jarosławia w Rosji, jakieś czterysta osiemdziesiąt kilometrów od Moskwy. Dwie nastolatki zginęły od noża. Zadano im sześćset sześćdziesiąt sześć ran i wycięto serca.

Zabójcy wylali ich krew na ciało innej nastolatki w ramach rytuału przyjęcia do kultu.

Tom ponownie kiwa głową.

- Pamiętam te morderstwa. Następnego dnia sataniści zabili jeszcze dwoje dzieciaków i ukryli zwłoki w grobach oznaczonych odwróconymi krucyfikami. Rozpalili też ogień, prawda? Ofiarny ogień?

- Zgadza się - potwierdza Valentina. - W tej chwili mamy tylko szczątkowe informacje. Rosjanie mają nam przesłać szczegóły, ale wiemy, że rzeczywiście rozpalono ofiarny ogień i, jak się zdaje, spalono w nim część włosów ofiar.

- To by się zgadzało. Był jeszcze kanibalizm, o ile pamiętam?

- I znowu się zgadza. Wypili krew zabitych, a nawet upiekli kałki ciał w ogniu.

- Więc sądzicie, że ta sprawa w Rosji jest powiązana z waszą?

Valentina kręci głową.

- Rosjanie aresztowali sprawców, więc bezpośredniego powiązania nie ma. Ale możemy mieć do czynienia z naśladownictwem. To nie jest pierwsza taka sprawa we Włoszech. W Mediolanie wykryto grupę satanistów po rytualnych morderstwach młodego muzyka rockowego i dwóch kobiet.

- Współczesne rytuały satanistów często obejmują trzy zabójstwa - potwierdza Tom. - To ich sposób na zbezczeszczenie Świętej Trójcy - trzy ciała jako parodia Ojca, Syna i Ducha Świętego. Tak pokazują chrześcijanom, że Jezus jest bezsilny w odwiecznej walce z Szatanem.

Valentina z całych sił stara się ukryć nagłą obawę, że Monica Vidic może być pierwszą ofiarą takiej trójcy.

- Tom, przepraszam, że zepsuliśmy ci wycieczkę do Wenecji i czas z nową dziewczyną. Odwieziemy cię do hotelu najszybciej, jak

to będzie możliwe. Ale najpierw muszę cię poprosić o jeszcze jedną przysługę.

- Postaram się.

- Dużą przysługę. Mój dowódca chciałby zorganizować spotkanie, coś w rodzaju burzy mózgów, w którym wzięłybyś udział ty i patolog sądowy, *professore* Montesano - przerywa na chwilę, po czym dodaje: - W kostnicy.

Tom nie wzdyga się, ale jego reakcja nie pozostawia wątpliwości, że z tego akurat wolałby się wymigać.

- Jeśli się zgodzę, to będzie już koniec? Niczego więcej nie będziecie ode mnie chcieli?

Valentina spogląda najpierw na Rocco, a potem na Toma.

- To już będzie wszystko.

Ma nadzieję, że Tom nie wyczyta z jej twarzy, że to bynajmniej nie będzie jeszcze koniec. Ale w tej chwili woli nie wspominać, co jeszcze morderca zrobił z ciałem Moniki Vidic.

CAPITOLO XIII

Rok 666 przed Chrystusem
Atmanta

Nad jedną ze ścian murów Atmanty wiszą dwa ciężkie, żelazne haki w kształcie litery S. Są porzewiałe ze starości. Brzydkie, brązowe plamy odcinają się od miodowej barwy kamieni muru. Nikt

nigdy nie pyta, do czego służą haki. Wszyscy to wiedzą. Wiedzą, ponieważ kiedy haki są w użyciu, cała wioska drży ze strachu. Haki należą do Lartha Oprawcy, który używa ich do wymierzania kar. Używa ich do wieszania.

Kiedyś powiesił za nogi psa należącego do jednego z wieśniaków. Tylko dlatego, że pies na niego naszczekał. Larth prawie skrzył zwierzęciu kark gołymi rękami, ale to mu nie wystarczyło. Powiesił kundla na hakach i nakazał właścicielowi oraz jego sześcioltniemu synowi siedzieć pod murem, dopóki pies nie zdechł w palącym słońcu. Agonia trwała ponad dzień. Larth ostrzegł właściciela, że jeśli odważy się choćby dotknąć zwierzęcia, nie wspominając już o podaniu mu wody, sam zostanie powieszony. Gdy pies wreszcie zdechł, Oprawca kazał synowi właściciela odciąć zwłoki i pochować na zewnątrz murów.

Na ziemi pod hakami widać plamy i smugi. Krew, pot i łzy. W większości należące do ludzi. Zazwyczaj mężczyzn. Co nie znaczy, że Larth ma jakiegokolwiek opory przed wieszaniem na hakach kobiet, jeśli wymagają tego okoliczności.

Nierządnicą z innego miasta, która znieważyla jego przyjaciela, wisiała ostatnio naga od świtu do zmierzchu. Po południu obrócił ją twarzą do muru tak, aby chorzy i kalecy mężczyźni koczujący przy cmentarzu mogli skorzystać z jej ciała.

Haki mają ostre zakończenia i wpijają się w ścianę muru, gdy zawisnie na nich lina z ciałem kolejnej ofiary. Larth zrobił je sam. Rozgrzał metal do białości i formował, dopóki nie uzyskał właściwego kąta. Pracował nad nimi z miłością i wciąż pamięta każde uderzenie młota, każdą iskrę z rozżarzonego metalu.

Larth i jego pomocnicy prowadzą właśnie miejscowego złodzieja do Ściany Kar, jak nazywają ją miejscowi. Oprawca lubi tę nazwę.

Oznacza ona, że mieszkańcy Atmanty wiedzą, jak ważną rolę jego haki odgrywają w ich życiu.

Dzisiejsza ofiara, drobny złodziejasek, zostaje rozebrana do naga. Złodziejem jest starszy człowiek imieniem Telcjusz. Jako dziecko Larth często spędzał czas pod opieką Telcjusza i jego żony, gdy jego rodzice pracowali. Oprawca przez chwilę wspomina, jak kiedyś uwielbiał ciągać starego za długą brodę i włosy. Wspomnienie znika, gdy tylko jego pomocnicy stawiają Telcjusza na platformie i przywiązują go za nadgarstki do haków.

Starszy człowiek zawisa plecami do muru. Jego twarz wykrzywia ból.

Larth czuje rosnący gniew. Cierpienie złodzieja budzi w nim podniecenie. Poczucie siły i spełnienia, silniejsze niż w jakiegokolwiek innej sytuacji.

Telcjusz budzi w nim obrzydzenie. Jego długa broda jest biała. Białe włosy wyrastają z jego nosa, uszu, spod pach. Białe są nawet włosy wokół jego męskości. Biel jest obrzydliwa. Ten starzec jest obrzydliwy. I obrzydliwe jest to, czego się dopuścił. Przyłapano go na kradzieży z kopalni srebra Pesny, w której pracował. Sędzia zdecydował, że złodzieja należy ukarać publicznie. To będzie dla niego lekcja. Lekcja, której nigdy nie zapomni. Którą wszyscy będą pamiętać.

Jeden z pomocników podaje Larthowi płonąca pochodnię.

- Otwórz oczy! Otwórz oczy, złodzieju!

Człowiek, który niegdyś kołysał Oprawcę do snu, teraz patrzy na swojego dawnego podopiecznego, mrużąc oczy w ostrym świetle popołudniowego słońca. Larth podnosi pochodnię między nogi starca i uśmiecha się. Białe włosy łonowe zajmują się ogniem. Larth wybuchą gardłowym śmiechem, który niesie się po ogrodach Atmanty.

Telcysz wije się z bólu. Jeden z pomocników Oprawcy nie może znieść tego widoku. W powietrzu rozchodzi się smród przypalanej skóry i włosów. Larth chciwie wdycha ten zapach, jak dziewczyna wachająca różę.

- Okradłeś swojego pana. Zdradziłeś jego zaufanie. Zhańbiłeś jego imię. Za te przestępstwa wymierzam ci sprawiedliwą karę, aby inni dostrzegli twój grzech i pamiętali o szacunku wobec lepszych od siebie.

Larth przesuwając pochodnię po włosach porastających pierś i ramiona starca. Telcysz wyje.

Ale Oprawca musi uważać, żeby nie posunąć się za daleko. Przypala ciało złodzieja tylko przez chwilę. Dość, żeby zabolalo, ale nie zabiło. Podpalanie martwego ciała to żadna zabawa. A w każdym razie dużo mniejsza, niż podpalanie żywego.

Telcysz jest nieprzytomny, gdy Larth wypala ostatnie włosy na jego ciele i głowie.

- Odciąć go - nakazuje, odchodząc od muru. - Oddać go tej szmacie, którą wziął za żonę. Niech go opatrzy.

Pomocnicy wspinają się na platformę.

- Na bogów, ile srebra ukradł ten głupiec? - pyta młodszy przełożony głosem.

- Milcz! - ucisza go towarzysz w obawie, że ktoś ich usłyszy. - To nie było srebro. Telcysz wziął tylko czerstwy chleb. Myślał, że ktoś go tam po prostu zostawił. Zabrał go tylko dlatego, że jego żona była zbyt chora, by piec.

Na drugim krańcu muru Larth ciska pochodnię w piach. Odchodzi szybkim krokiem poszukać nierządnicę, na której będzie mógł wyładować resztę płonącej w nim furii.

CAPITOLO XIV

Święty gaj, Atmanta

Tecja odczuwa dziwne zdenerwowanie, gdy schodzi ze wzgórza ku gajom rosnącym w pobliżu murów.

Ze świątyni w sąsiednim gaju dobiegają uderzenia młota. Mrużąc oczy w słońcu, dostrzega sylwetki niewolników na dachu. Posuwają się bokiem jak kraby, układając ceramiczne płytki na ramach z drewnianych belek.

Tecja od dawna czeka na dzień, gdy jej mąż poświęci ukończoną świątynię na oczach jej rodziny i pozostałych mieszkańców. Nagle ogarnia ją strach. Czy Teukros do tego czasu odzyska wzrok? Czy jeszcze kiedykolwiek będzie widział? Czy starszyzna, szlachta i sędziowie wciąż będą chcieli, żeby służył im jako wróżbita?

Tecja dostrzega święty krąg. Bez Teukrosa wydaje się jednak zupełnie zwyczajny. Obchodzi go dookoła, zmagając się z natłokiem myśli. Trawa jest zdeptana. Płomień, który odebrał jej mężowi wzrok, jest teraz tylko czarną dziurą w ziemi. Symbole wycięte przez Teukrosa w transie są wciąż wyraźnie widoczne, podobnie jak niewielki, ale charakterystyczny owal, który wyrzeźbił nożem w glinie po zachodniej stronie kręgu. Symbol istoty zła. Słowa Teukrosa wracają do niej jak zimna fala. I nagle Tecja coś czuje. Ma wrażenie, że ktoś za nią stoi. Odwraca się gwałtownie. Niczego nie widzi. Nikogo nie ma.

Jej dziecko kopie i porusza się, gdy Tecja wchodzi do świętego kręgu, zupełnie jakby pamiętało, co wydarzyło się, gdy poprzednim

razem tu byli. Tecja wyraźnie widzi czerwoną plamę gliny, w której jej mąż wyciął nożem znaki. Przyniosła ze sobą swoje narzędzia rzeźbiarskie, aby zniszczyć wszelki ślad złowrogich symboli, ale nie może oprzeć się spojrzeniu na nie okiem artysty.

Są przepiękne. Precyzyjnie wyrzeźbione i bogate w szczegóły. Nigdy nie podejrzewała, że Teukros może stworzyć coś tak pięknego. Przykłęka. Dziecko porusza się, przyprawiając ją o ból brzucha.

- Niezwykłe - mruczy do siebie. Obrazy węży są tak żywe, że bez trudu może sobie wyobrazić je w ruchu. Złowrogi demon nie wygląda w jej oczach na ucieleśnienie zła. Jest w nim wręcz jakiś majestat. Tecja uśmiecha się. Rzeźba wróżbity przypomina rysami Teukrosa. Przygląda się bliżej, badając ostatnią wizję. Jest wspaniała. Para przy bramie promienieje spokojem i szczęściem. A w dziecku dostrzega spełnienie wszystkich swoich nadziei na posiadanie syna.

Tecja od miesięcy nie czuła się tak szczęśliwa. Ze znanstwem przesuwa delikatnymi palcami po żłobieniach. Glina jest przyjemna w dotyku.

Odwija pakunek zawierający jej narzędzia. Wybiera nóż o szerokim ostrzu. Bierze głęboki oddech i rozpoczyna pracę. Tylko że nie zamierza niszczyć symboli. Postanowiła je zatrzymać. Na zawsze.

CAPITOLO XV

Tecja niesie kawał gliny wycięty w gaju jak najcenniejszy skarb. Zamiast do chaty Lartuzy, w której jej mąż wraca do zdrowia, kieruje się prosto do swojego warsztatu. Ma świadomość, że zachowuje się samolubnie, a w dodatku nie wykonała polecenia męża. Poczucie winy tłumi jednak ekscytacja płynąca z przedmiotu, który trzyma w dłoniach. Rzeźby „Bram Piekła”.

Za pomocą wody i precyzyjnych narzędzi rzeźbiarskich poprawia złobienia wykonane przez Teukrosa. Praca całkowicie ją pochłania. Jakby duchy drzemiące w glinie opanowały jej myśli. Mijają godziny. Jej cięcia są odważne, szerokie, bogate, niezwykle. Zupełnie jakby coś prowadziło jej dłoń. Glina wkrótce stwardnieje jak kamień. Spryskuje powierzchnię wodą, aby zachować plastyczność, strzepuje okruchy z ostrza po każdym cięciu i wyciera końcówkę noża o tunikę.

Pochłonięta pracą nie zauważa, że dzień ma się ku końcowi. Zaczynają się zbierać szare duchy nocy. Tecja najpierw słyszy szelest, a potem nagle widzi stopę obcego mężczyzny. Spogląda w górę.

- Jestem Kavie, szlachetny towarzysz sędziego Pesny. Przyszliśmy odwiedzić twojego męża, Teukrosa.

Tecja odgarnia włosy z czoła i patrzy na ciemnowłosego, drobnego człowieka. - Tu go nie ma. Przebywa w domu Lartuzy Uzdrowiciela.

Nagle ogarnia ją poczucie winy. Zauważa, że Kavie nie jest sam. Za jego plecami stoi sędzia. Tecja podnosi się i otrzepuje tunikę. Pesna zmierza ku niej.

- Ach tak, żona rzeźbiarka. Nad czym teraz pracujesz?

Tecja usiłuje zasłonić przed nim rzeźbę.

- To nic szczególnego, tylko szkic. Niewart spojrzenia waszej łaskawości.

- Pozwól, że sam to ocenię.

- Mam wiele pięknych waz, talerzy, posągów i urn - nie ustępuje Tecja. - Przechowuję je na zewnątrz, za piecem. Byłabym zaszczycona, mogąc ci je pokazać, panie.

- A ja pragnę zobaczyć to, co tak próbujesz przede mną ukryć. - Sędzia odpycha ją od stołu. - Jakież szkic jest tak ważny, że pracujesz nad nim, podczas gdy twój mąż leży powalony chorobą w chacie uzdrowiciela? Jakież to natchnienie spłynęło na ciebie, że tkwisz w swoim warsztacie, zamiast u jego boku?

Sędzia przygląda się rzeźbie. Zauważa niezwykle bogactwo i precyzję rysunku.

- To jest znakomite. - Wyciąga dłoń. - Wręcz wybitne.

- Nie dotykaj! - woła Tecja i nagle ogarnia ją obawa, że obraziła sędziego. - Błagam cię, panie. Jest nieukończona. Pęknie, jeśli weźmiesz ją do ręki. Chcę, żeby to była niespodzianka dla mojego męża.

Pesna ogląda glinę z każdej strony, ale posłusznie powstrzymuje się od dotykania.

- To rzadkiej urody dzieło. Być może nawet jedyne w swoim rodzaju. Masz wielki talent, dziecko. - Unosi głowę i patrzy prosto na Tecję. - Mówisz, że to tylko szkic, a ja dostrzegam w nim niezwykłość. Wyjaśnij mi, co ma przedstawiać.

Tecja waha się.

- No już, dziewczyno! Nie mam całego dnia.

- To są wizje.

- Wizje? - Sędzia jest zaintrygowany. - Niebawem. Ukończ swoją pracę jak najszybciej, rzeźbiarko.

Kavie pochyla się, aby lepiej przyjrzeć się glinie. Nie podziela zamiłowania sędziego do sztuki i nie dostrzega w rzeźbie żadnych wizji.

- Nie jestem biegły, ale nie sądzę, żeby to był najlepszy prezent dla twojego męża.

- Istotnie. - Pesna wstaje i otrzepuje kolana. - Nie nadaje się dla chorego. Kiedy ją ukończysz, kupię ją od ciebie.

- Nie - odpowiada Tecja, czując coraz szybsze bicie serca. - Wybacz mi, panie. Nie wolno mi sprzedać czegoś, co wykonałam dla mojego męża. Co pomyśleliby sobie o mnie bogowie?

Pesna z rozbawieniem uderza Kaviego w ramię.

- Sprytna jest? - Odwraca się do Tecji. - Przyszedłem tu powiedzieć twojemu mężowi, że nie będzie już dłużej naszym wróżbitą. Jego ślepotą jest oznaką niezadowolenia bogów. Kiedy świątynia zostanie ukończona, mój były wróżbita i jego żona - czyli ty - będą musieli poszukać sobie domu poza murami naszej osady. Ale to - wskazuje palcem na glinę - jest najwspanialsze dzieło, jakie kiedykolwiek widziałem. Mój dom jest pełen pięknych, wyjątkowych i zadziwiających przedmiotów, najwspanialszych, jakie wyszły spod ręki najlepszych artystów w Helladzie i Etrurii. Miejsce tej rzeźby jest właśnie tam. Zresztą twój własny mąż doradził mi, abym uzupełnił zbiory o dzieła poświęcone bóstwom. - Rzuca ostatnie, łakome spojrzenie na glinianą płytkę. - W moich oczach ta rzeźba to pomyślny znak z niebios. Znak, że jej twórczyni powinna pozostać przy mnie wraz z mężem. Pod moją ochroną i opieką.

Zbliża się do Tecji, która czuje jego oddech przesiąknięty odorem przetrawionego mięsa i wina. Sędzia dotyka jej policzka wypielegnowanym kciukiem i palcem wskazującym. Po czole Tecji spływa kropla potu.

- A zatem, młoda Tecjo, co zamierzasz uczynić? Czy ukoisz swoją pracą gniew bogów na mojego wróżbitę? Czy jutro, gdy, jak sądzę, ukończysz to wspaniałe dzieło, przyniesiesz je do mnie? Czy też zabierzesz swojego ślepego, bezużytecznego męża i opuścisz Atmantę na zawsze?

ROZDZIAŁ 19

Czasy współczesne
Luna Hotel Baglioni, Wenecja

Okropność! - Tina wychodzi z łazienki ubrana w hotelowy szlafrok i siada przy toalecie. - Nigdy nie byłam w kostnicy. Właściwie to nigdy nie widziałam martwego człowieka, chyba że w „Sześć stóp pod ziemią”. Myślisz, że mógłbyś zadzwonić do swoich nowych kumpli z żandarmerii i zapytać, czy mogę pójść z wami?

Tom patrzy ze zdumieniem na jej odbicie w oprawionym w dębową ramę lustrze.

- Żartujesz, prawda?

- Wcale nie. Jestem po prostu ciekawa. Nie chcę, żeby to zabrzmiało jak brak szacunku dla zmarłych, ale napisać artykuł o śledztwie w sprawie morderstwa w Wenecji? To byłoby coś.

Bierze grzebień i zaczyna rozczesywać wilgotne włosy.

- Myślałem, że piszesz przewodniki.
- Bo piszę. Ale jestem przede wszystkim pisarką. Dziennikarką. Mogę pisać o wszystkim: gotowaniu, sporcie, modzie, nawet o morderstwach, jeśli tylko honorarium jest odpowiednio wysokie.

Tom staje bezpośrednio za nią i bawi się jej włosami, wdychając ich świeży, wilgotny zapach.

- Więc teraz to jest interes?

- No jasne, że to jest interes. - Uśmiecha się do niego w lustrze i dotyka jego dłoni spoczywającej na jej ramieniu. - Tak właśnie muszą żyć biedne duszyczki po drugiej stronie kościelnego muru. Pracujemy, a inne duszyczki nam za to płacą.

Tom puszcza jej włosy i patrzy na nią dziwnie.

- Wydaje ci się, że księża nie pracują? Nie wiesz nawet, jakie masz lekkie życie. Przeciętny ksiądz w parafii pracuje mniej więcej sto godzin tygodniowo. Ja musiałem być w pogotowiu w zasadzie przez całą dobę, siedem dni w tygodniu.

Tina odkłada grzebień.

- Po co?

Tom rzuca jej rozdrażnione spojrzenie.

- Nie, naprawdę, powiedz mi. Zawsze byłam ciekawa, na czym polega praca księdza oprócz mamrotania modlitw i fałszowania piosenek - przepraszam, hymnów - dla publiki złożonej ze znudzonych emerytów, w zamian za tacę napiwków po przedstawieniu.

- Celowo mnie prowokujesz, prawda?

Uśmiecha się do niego.

- Prawda. Zaczynasz łąpać, o co w tym chodzi. To właśnie robią kobiety, zwłaszcza złośliwe dziennikarki. Lubimy pro-wo-ko-wać.

Tom nie może powstrzymać uśmiechu.

- O ile się nie mylę, to nie jesteś religijna? Nie wierzysz w Boga, prawda?

- Przykro mi, nie wierzę. Przebac mi, ojcze, bo zgrzeszyłam. Przeżyłam trzydzieści trzy lata i wyznaję, że nie wierzę w ani jedno pieprzone słowo w Biblii. Uważam, że każdy kościół to biznes, a każda religia to jedno wielkie oszustwo. A wszystkich tych telewizyjnych kaznodziejów, którzy domagają się ode mnie pieniędzy, powinno się zamknąć w jednej dużej celi, żeby mogli zanudzić się nawzajem na śmierć.

- Z tym ostatnim się zgadzam. Co do reszty, cóż, uznajmy, że mamy różne poglądy.

Tina milknie na chwilę. Wie, że najlepiej byłoby teraz ugryźć się w język, ale zwycięza w niej dziennikarska natura.

- Jak możesz bronić religii po tym, jak sam odszedłeś? Rzuciłeś ręcznik na ring i uznałeś, że koniec zabawy, wiara już cię nie kręci?

Patrzy na niego w lustrze i orientuje się, że trafiła w czuły punkt.

- Posłuchaj, cieszę się, że to zrobiłeś. W przeciwnym razie nie byłoby cię tutaj i...

- Tino - przerywa jej Tom. - Ja nie przestałem wierzyć w Boga. Przestałem tylko wierzyć w siebie, a to różnica.

- Więc uwierz znowu. - Odwraca się, żeby spojrzeć mu w oczy. - Ja na przykład wierzę w ciebie bardziej niż w jakiegokolwiek boga. - Ujmuje jego dłonie w swoje. - Nie kłóćmy się o to. Życie jest za krótkie.

Tom całuje ją w czubek głowy.

- Przepraszam. Nerwy mi puszczają. Przyjechałem tutaj, żeby uciec od pewnych spraw. Dokładniej rzecz biorąc, od śmierci. Przyjechałem do Wenecji, żeby uciec od śmierci. I nagle okazuje się, że

tkwią po samą pozbawioną koloratki szyję w śledztwie w sprawie morderstwa. Tina staje obok niego.

- Myślę, że radzisz sobie całkiem dobrze. Pomagasz. Postępujesz słusznie. I czujesz się dzięki temu lepiej, prawda?

Tom zmusza się do uśmiechu.

- Jasne, ale jakoś nie mogę zapomnieć, że wpadłem w to bagno, właśnie postępując słusznie.

Tina zastanawia się, dlaczego wszyscy mężczyźni - jak się okazuje, nawet byli księża - są takimi pesymistami w prawie wszystkich sprawach. A już na pewno w życiu osobistym.

- Tom, przecież masz wybór. Możesz odmówić *carabinieri* i ich cholernemu Teatrzykowi Zielony Trup - wskazuje na telefon przy łóżku. - Zadzwon do nich i powiedz, że tego nie zrobisz i tyle.

- Nie mogę.

Tina kładzie dłonie na jego biodrach.

- Wiem.

Tom robi rozbawioną minę.

- No to po co mi to proponujesz?

- Bo - Tina nie może powstrzymać śmiechu - właśnie w ten sposób kobiety przekonują mężczyzn, że ci postępują właściwie.

Tom lekko marszczy brwi.

- Wszystkie kobiety są takie podstępne? Jej twarz rozjaśnia się.

- Skarbie, tyle jeszcze musisz się nauczyć.

Tom odsuwa jej mokre włosy, całuje lekko w usta, po czym wsuwa dłonie w jej szlafrok.

- No to mnie naucz.

CAPITOLO XVI

Rok 666 przed Chrystusem
Chata Lartuzy Atmanta

Lartuza Uzdrowiciel zdecydowanie nie wygląda na okaz zdrowia. A dziś wiek zdecydowanie daje mu o sobie znać. Bola go kości, łupie go w skroniach, a dłonie drżą. Co gorsza, coraz bardziej szwankuje mu pamięć.

- Gdzież ja to położyłem? - mruczy Lartuza, drapiąc się ze złością po długiej, białej brodzie. Szpera wśród słoików, większych i mniejszych, niektórych tak starych, że sam już nie pamięta, co się w nich znajduje. - Ach, tak! Już pamiętam! - Na bezzębnych ustach pojawia się szeroki uśmiech. Niecałe pół kroku od miejsca, w którym rodzice Teukrosa czuwają przy posłaniu syna, stoi niewielka amfora o wąskiej szyi i ułamanym jednym uchu. Jest pozbawiona ozdób, za to nosi znaki wieloletniego używania i ślady ubrudzonych olejem palców. - Teraz pamiętam, postawiłem ją tutaj, przy Teukrosie, żeby nie pomieszała się z innymi lekarstwami.

- Szkoda, że nie masz eliksiru poprawiającego pamięć - żartuje Venti.

- Gdyby Lartuza miał taki eliksir, powinien sam poprosić go o duży dzban, mój mężu - odpowiada jego żona, dźgając Ventiego w żebro.

Stary uzdrowiciel podnosi garnek z nabożeństwem.

- To najczystszy olej z powoju. - Zerka do tyłu na rzędy olejków, eliksirów i lekarstw. - Moje ostatnie zapasy... jak sądzę.

Ostrożnie wręcza naczynie w spracowane ręce Larcji, przysadzistej kobiety o okrągłej twarzy i włosach niemal tak białych, jak jego.

- Olej należy nakładać delikatnie jak muśnięcie piórkiem. Musicie odczekać, aż spłynie po ranach, a następnie wytrzeć go tak ostrożnie, jakbyście wycierali główkę nowo narodzonego dziecka.

- Lartuzo, nie wiesz, gdzie się podziewa Tecja? - pyta Venti, rozglądając się po chacie.

Uzdrowiciel kręci głową.

- Powiedziała mi, że musi zająć się czymś pilnym.

- Przebywa w domu swojego męża - dobiega ich obcy głos. - Wybacz najście, uzdrowicielu. Jestem Kavie, doradca szlachetnego Pesny.

Sędzia wchodzi do chaty tuż za nim.

- Przyszliśmy zobaczyć się z naszym wróżbitą i życzyć mu szybkiego powrotu do zdrowia.

Venti staje między przybyszami a synem jak mur. Jest o ponad głowę wyższy od wszystkich obecnych. W młodości był żołnierzem, który własną odwagą wywalczył sobie ziemię i wolność. Po latach spędzonych w armii pozostał mu nieomylny instynkt, który w tej chwili podpowiada mu, że przybysze są raczej jego wrogami niż przyjaciółmi.

- Jesteście nazbyt łaskawi, szlachetni przyjaciele. Wystarczyłby posłaniec. Obawiam się, że mój syn jest zbyt chory, by w pełni docenić wasz gest.

- Nic mi nie jest, ojcze - mamrocze słabo Teukros z posłania.

Kavie rzuca Ventiemu wyzywające spojrzenie.

- A zatem czy udzielisz swojej zgody, abyśmy porozmawiali z naszym kapłanem na osobności?

- Dlaczego właśnie w tej chwili domagacie się pilnej rozmowy z moim synem? - pyta Venti, zwracając się do sędziego. - Czy nie widzicie, że potrzebny mu odpoczynek?

- To nie potrwa długo. - Pesna podchodzi krok bliżej. - Mamy do omówienia niezmiernie ważne sprawy, ale potrzebujemy tylko kilku chwil. Na osobności.

Sędzia przywołuje na twarz dyplomatyczny uśmiech i klepie starszego mężczyznę w ramię.

- Im prędzej zaczniemy, tym szybciej odejdziemy.

Lartuza chrząka znacząco.

- Być może moglibyście pomóc mi zebrać zioła z ogrodu? - pyta, wskazując głową drzwi. - Potrzebuję tymianku, kurzyśladu i korzenia goryczki do sporządzenia naparu, który przyspieszy leczenie.

Venti i Larcja niechętnie podążają za uzdrowicielem na zewnątrz. Kavie i Pesna zajmują miejsca po obu stronach posłania Teukrosa.

- Jak to się stało, kapłanie? - odzywa się sędzia. - Wieśniacy mówią, że zostałeś oślepiony w gaju. Takie opowieści źle wróżą twojej opinii i powodzeniu zadania, które ci wyznaczyłem.

- Wieśniaków nigdy nie interesuje cała prawda - odpowiada Teukros, ostrożnie dobierając słowa. - To prawda, że zraniłem się w ogniu, który rozpałiłem w gaju. Odniosłem rany wyłącznie z woli bogów.

Kavie i Pesna wymieniają zaniepokojone spojrzenia.

- Jednakże wieśniacy nie wiedzą, że udałem się do gaju tylko po to, by spełnić twoje polecenie, panie, a zanim zostałem poparzony, bogowie objawili mi, dlaczego muszę cierpieć.

- O czym ty mówisz, wróżbito? - Sędzia pochyła się nad Teukrosem. - Nie przepadam za zagadkami. Jeśli masz dla mnie wiadomość od bogów, mów.

- Zanim potężna siła cisnęła mnie w płomienie, bogowie skierowali mój wzrok na świątynię - odpowiada Teukros obojętnym głosem. - Objawili mi swój gniew z powodu zatrzymania budowy ich domu i skierowania robotników do twoich kopalni, panie. Pozbawili mnie wzroku, aby ukarać twoją krótkowzroczność.

Pesna spogląda na Kavię. Na twarzy doradcy maluje się lęk.

- Wybaczam ci twoją bezczelność tylko dlatego, że jesteś chory. Jeśli twoje rany istotnie są dziełem bogów, którzy przekazują mi przez ciebie swoją wolę, powiedz mi, co należy uczynić, aby ich przebłagać?

Teukrosowi udaje się słabo uśmiechnąć.

- Należy ukończyć budowę świątyni i złożyć odpowiedni hołd z darów i ofiar. Jeśli ucieszysz bogów, wówczas w nagrodę przywrócą mi wzrok, a tobie zagwarantują pokój i dobrobyt, którego tak usilnie pożądasz.

- A jeśli bogowie nie będą zadowoleni? - wtrąca Kavię.

Teukros nie widzi swoich rozmówców, ale wyczuwa ich nerwowość.

- Jeśli bogowie nie będą zadowoleni, wówczas pozostawią mnie ślepy. A na was i wszystko, co wam drogie, zesłą straszliwą i okrutną pomstę.

ROZDZIAŁ 20

Czasy współczesne Wenecja

Tina zabiera Toma do jednej z tych restauracji, o których wiedzą tylko miejscowi i których nawet autorzy przewodników nie ujawniają swoim czytelnikom. Tina czeka, aż kelner odejdzie poza zasięg słuchu. - No dobra - mówi w końcu, bez powodzenia próbując ukryć pełen samozadowolenia uśmiech. - Mam nadzieję, że nie poczujesz się urażony, ale powiedz, naprawdę byłam twoją pierwszą?

- Moją pierwszą? - Tom podnosi wzrok znad talerza spaghetti vognoli, udając, że nie rozumiał pytania.

- No wiesz... - Tina odkrawa kawałek steku piazolla i kontynuuje nieco teatralnym szeptem. - Twoją pierwszą komunią seksualną.

Tom bierze łyk schłodzonego białego wina i rzuca jej karcące spojrzenie.

- Słów „seks” i „komunia” raczej nie powinno się używać w tym samym zdaniu.

- No nie wiem. - Tina unosi brwi. - Mogę bez trudu wyobrazić sobie, jak stoisz w tych długich kapłańskich szatach, pod którymi nie masz absolutnie nic, a ja klęczę przed tobą i...

- Stop! - Unosi ostrzegawczo rękę. - Nawet o tym nie myśl. Jesteś kompletnie pokręcona.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo, kolego! - Jego oburzenie wydaje się ją bawić. - Posłuchaj, jestem dziennikarką. Urodziłam się pokręcona. - Posyła mu przepaszający uśmiech. - A ty wciąż nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Tom przez chwilę bawi się kieliszkiem.

- Tak. - Patrzy jej w oczy. - Byłaś pierwsza.

- Fiuu - komentuje Tina, przekrzywiając głowę z aprobatą.

- To było dobre fiuu czy złe fiuu?

- Raczej „fiuu, nieźle”.

- „Fiuu, nieźle”? - Tom śmieje się. n- Tak jeszcze nigdy nikt o mnie nie powiedział.

- Pewnie dlatego, że nigdy wcześniej nie kochałeś się z kobietą.

- Słuszna uwaga.

- Dobra, to teraz mi opowiedz. Jak to jest za pierwszym razem?

Tom z udawanym rozdrażnieniem rzuca sztućce na talerz.

- Daj spokój! Musisz mnie tak dręczyć? Przecież miałaś swój pierwszy raz, sama wiesz, jak to jest.

- To było dawno temu - odpowiada Tina z półuśmiechem. Podnosi kieliszek, trzymając nóżkę kciukiem i palcem serdecznym. Ścianka naczynia jest zaparowana od schłodzonego wina. - Właściwie to pamiętam, że było okropnie. Bolało jak jasna cholera. Po wszystkim uznałam, że nigdy więcej.

Tom robi zaskoczoną minę. Na twarz Tyny wraca uśmiech.

- Mam nadzieję, że tobie nie było tak źle?

- Nie. Było całkiem nieźle.

- Uroczo - prycha Tina z udawaną obrazą. - Nigdy wcześniej nikt nie powiedział mi, że byłam „całkiem nieźła”.

Tom w końcu zaczyna rozumieć. W tym wszystkim chodzi o emocje. Uczucia. Komunikację. Budowanie związku. Stronę duchową. Innymi słowy to wszystko, w czym powinien poruszać się biele, ale jak dotąd ciągle potyka się o własną nieporadność.

- Przepraszam. Chyba naprawdę jestem w tym kiepski. - Przerwywa i czeka, aż Tina spojrzy mu prosto w oczy. W przysłowiowe okno duszy. - Seks z tobą... - przerywa i odchrząkuje. - To znaczy kochanie się z tobą jest czymś, czego nigdy nie zapomnę.

- No jasne, że nie zapomnisz. Nikt nie zapomina.

- Nie. Nie dlatego, że to był mój pierwszy raz. Nie to miałem na myśli. Ja nie opuściłem Kościoła i nie pomyślałem sobie od razu: hurra, teraz mogę uprawiać seks. To nie tak.

Tina jest zdumiona. Zamiast po kieliszek z winem sięga po szklankę z wodą.

- Nie zapomnę tego, ponieważ tamtej nocy byłeś mi bliższy, niż jakikolwiek inny człowiek. Nie chodziło tylko o adrenalinę i pożądanie, chociaż swoją rolę też odegrały. Za co dzięki ci, panie Boże. Ale było między nami coś jeszcze. Coś więcej.

Tina czuje zmieszanie. Zaczęła ten temat, żeby się powyglupiać, podrażnić z nim, dodać kolacji trochę pikanterii. I nagle znalazła się w innym miejscu, niż mogła się spodziewać.

- Przepraszam. Nie chciałam być wulgarna.

Tom uśmiecha się i napięcie między nimi się ulatnia. Podnosi swój kieliszek.

- Nie byłeś. - Tym razem nie przetyka tak gwałtownie. - To dobrze, że mogliśmy o tym porozmawiać. Oboje tego potrzebowaliśmy. To co teraz? Co będzie dalej?

Dalej? Tina nigdy nie myślała o tym, co dalej. Odwraca wzrok, żeby ukryć zaskoczenie. Sięga po kieliszek. Patrzy znów na niego z nadzieją, że na jej twarzy nie będzie widać paniki.

- Nie oczekuj ode mnie zbyt wiele, Tom. Proszę. Mam taki paskudny zwyczaj, że rozczarowuję ludzi.

ROZDZIAŁ 21

Czasy współczesne
Wyspa Mario, Wenecja

Historyczny dwór na prywatnej wyspie, należący do tajemniczego milionera Mario Fabianello, pojawia się w mediach codziennie, choć z zaskakującego powodu.

Dawna szanowana siedziba weneckiej arystokracji jest teraz hispisowską komuną. Niegdyś starannie pielęgnowane trawniki porasta dziś zielsko. O tym, że wyspa należy do kogoś wysoko postawionego, świadczą tylko strażnicy w czarnych uniformach patrolujący brzegi.

Są w dobrych humorach. Właśnie kończą służbę i zbierają się w paskudnym szarym kontenerze na tyłach dworu, otoczonym zagajnikiem cyprysów.

- Kolejny dzień, kolejna dniówka. - Antonio Materazzi opiera się o framugę drzwi i odpala papierosa. Czterej mężczyźni w szatni, w tym kierownik, są przekonani, że Antonio jest bezrobotnym wykidajką z Livorno. Żaden nawet nie podejrzewa, że naprawdę nazywa się Pavarotti i jest policjantem. Luca, kierownik, który go zatrudnił, to duży przyjacielski facet, który najwyraźniej polubił Antonia - niewykluczone, że dostrzegł w muskularnym młodzieńcu samego siebie z dawnych lat.

- Antonio, chodź z nami na obiad - woła, usiłując zawiązać sznurówka. Przeszkadza mu w tym wydatne brzuszysko, które lubi regularnie napełniać. - Spumoni robi najlepsze tortellini w całej Wenecji. Idziesz?

Antonio wydmuchuje dym z papierosa i macha ręką.

- Innym razem. Dzięki za zaproszenie, ale mam nową dziewczynę i obiecałem jej...

Marco, zastępca kierownika o szczurzej twarzy, kiwa palcem i rechocze.

- Ha! Dobrze wiemy, co obiecałeś swojej dziewczynie! - Klepie Antonia wytatuowaną łapą w biceps. - Po co iść na makaron z takimi starymi pierdzielami jak my, skoro możesz wrócić do domu i konsumować młodą cipkę, co?

- Przymknij się, Marco! Co za cholerny wieprz. - Luca rzuca mu mordercze spojrzenie z arsenału wszystkich szefów świata. Odwraca się do Pavarottiego i przybiera bardziej ojcowski wyraz twarzy.

- Innym razem, Tonio. Pamiętaj, pracujesz na porannej zmianie - dwanaście godzin pracy, dwanaście godzin wolnego, do końca tygodnia. Jasne?

- *Si. Va bene.* Zapamiętam - Antonio potwierdza gestem kciuka i powraca do swojego papierosa, czekając, aż pozostali wsiądą do wodnej taksówki.

Komuna mieści się na środku wyspy, przy której są cztery przystanie. Główna znajduje się przy kontenerze strażników. Woda z laguny przepływa przez wyspę kilkoma mniejszymi kanałami. Nad nimi przerzucono liczne ozdobne mosty, prowadzące do ścieżek i zagajników zasadzonych przed kilkoma stuleciami.

Porucznik Pavarotti obserwuje taksówkę, która bierze kurs na lagunę. Następnie wyrzuca niedopałek do metalowego kosza i rusza na obchód północnej ściany dworu. Jeśli się nie pomylił, Fernando, strażnik nocny odpowiedzialny za pilnowanie brzegów, jest teraz dokładnie na przeciwległym brzegu wyspy. A to oznacza, że Antonio może powęszyć po okolicy przynajmniej pół godziny, zanim się spotkają.

Zdążył już zauważyć, że na ścianach zainstalowano nocne kamery noktowizyjne i daytime kamery wysokiej rozdzielczości. Wstępne szkolenie z monitorowania przekazu i archiwizowania nagrań z twardych dysków wystarczyło, żeby zdążył zauważyć kilka słabych punktów. Oczywiście nie dotyczyły one samego systemu. Niemieckie kamery megapikselowe Mobotix IP należą do najlepszych na świecie. Słabym punktem jest czynnik ludzki. Kamery nie zostały zainstalowane przez serwisantów Mobotix, tylko przez ludzi Fabianello, którzy ustawili część z nich pod niewłaściwym kątem. Czterdzieści kamer o pokrywających się polach widzenia śledzą długie mury dworu i wszystko, co dzieje się w ich pobliżu, zarówno w środku, jak i na zewnątrz. Fachowe oko Antonia szybko dostrzegło jednak, że kamery na południowej ścianie zostały źle zamontowane. Omijają spory kawałek terenu przed dworem. Dokładniej rzecz biorąc, omijają dojście do kanału i budynek, który znajduje się za nim i do którego strażnicy mają całkowity zakaz wstępu - hangar dla łodzi.

Antonio posuwa się wzdłuż ściany, zawadzając plecami o pnącza bluszczu wbijające swoje różowawe wąsy w biały tynk. Hangar jest na szczycie listy miejsc do zbadania. Jeżeli na wyspie odbywa się handel narkotykami, to z pewnością koncentruje się właśnie tam.

Kiedy dociera do slipu, orientuje się, że zbadanie tego miejsca nie będzie takie proste, jak przypuszczał. Spogląda na mur. Nigdzie nie widać nocnych kamer. Dobrze. Skoro on ich nie widzi, to one nie widzą jego.

Ale problem leży gdzie indziej. Teren hangaru oddzielony jest biegnącym od muru szerokim siatkowym płotem zakończonym kłębami drutu kolczastego.

Antonio ocenia sytuację. Nawet jeśli udałoby mu się wspiąć na płot i przejść nad drutami, nie uszkadzając przy tym rodzinnych klejnotów, musiałby zeskoczyć po drugiej stronie do wody z wysokości co najmniej trzech i pół metra. Ryzyko grożące przynajmniej skręconą kostką. Albo i gorzej.

Droga dookoła też nie wchodzi w rachubę, ponieważ musiałby dojść do odległego o około dwóch kilometrów krańca wyspy, zanurkować i dopłynąć pod wodą do slipu. W kombinezonie i z akwalingiem - bardzo chętnie. Ale nie w normalnym ubraniu, bez przygotowania, a już na pewno nie teraz, gdy jeden ze strażników za chwilę pojawi się w okolicy.

Antonio przygląda się wielkim drewnianym drzwiom do hangaru. Na pewno są zamknięte. Nawet jeśli zdoła się do nich dostać, nie będzie łatwo je otworzyć. Z zewnątrz zamknięte są na kłódkę, a od środka prawdopodobnie jeszcze na zasuwę. Żle to wygląda. Bardzo źle.

Zapada zmrok. Antonio idzie z powrotem w kierunku kontenera. W oddali dostrzega sylwetkę Fernanda, jak zwykle maszerującego niespiesznym krokiem na pałakowatych nogach. Za godzinę zrobi się całkiem ciemno i nocny strażnik będzie musiał włączyć latarkę.

Na szczycie hangaru zardzewiały wiatromierz z kurkiem zaczyna się obracać w narastającym zachodnim wietrze. Gdyby ktoś przyjrzał mu się z bliska, na przykład przez lornetkę, zauważyłby, że w żelaznej głowce kurka znajduje się całodobowa kamera z obiektywem noktowizyjnym, niepodłączona do dyspozytorni Mobotix, ale do mniejszego zestawu monitorów i magnetowidów na tyłach hangaru. Zestawu, przy którym siedzi właśnie zabójca Moniki Vidic.

CAPITOLO XVII

Rok 666 przed Chrystusem
Pola Atmanty

Kavie i Pesna w kiepskich humorach opuszczają chatę uzdrowiciela i wsiadają do oczekującego powozu. Larth zauważa ich nastrój, gdy zajmuje miejsce obok woźnicy. Cztery zaprzężone do powozu najprzedniejsze ogiery w Etrurii ruszają z kopyta po ubitej darni.

Powóz jest nowy, ale sędzia nie raczył nawet zaszczyścić go słowem komentarza. Larth zaprojektował go osobiście i nadzorował budowę. Dwie osie, cztery wzmocnione koła o dziewięciu szprychach i obicia z brązu z każdej strony. To najwspanialszy powóz w całej Etrurii. Lepszy niż jakikolwiek zbudowany przez ojca Lartha. Lepszy niż jakikolwiek powóz, który mógłby przyśnić się jego ojcu.

Larth spogląda przez ramię. Sędzia i jego doradca pogrążeni są w dyskretnej rozmowie. Jednej z tych, do których go nie dopuszczają. To go upokarza.

Pesna i Kavie go nie szanują. Traktują go tylko jak wykonawcę wyroków. Kata. Cóż, Larth zna swoją wartość. Jest wart więcej, niż uważają. Więcej, niż tamci obaj razem wzięci.

Po obu stronach mijają pola jęczmienia i pszenicy. Larth w milczeniu przeżuwa swoją nienawiść i frustrację.

Wszystko jak okiem sięgnąć należy do sędziego Pesny. Pod ziemią kryją się bogate złoża srebra, które sędzia wydobywa w swoich kopalniach i przetapia na biżuterię.

Rydwan zatrzymuje się. Woźnica, mamrocząc, zeskakuje na ziemię i idzie otworzyć bramę na polu. Larth chciwie łowi uchem rozmowę mężczyzn z tyłu.

- Tak naprawdę to błogosławieństwo - mówi Kavie z entuzjazmem.

Sędzia pozostaje sceptyczny:

- Jakim cudem?

- Zaproszenie, które wystosujemy do szlachetnie urodzonych, sędziów i starszyny może obejmować poświęcenie nowej świątyni. Jak mogliby odmówić przybycia i uczestniczenia w świętym obrzędzie?

- Poświęcenie przez ślepego wróżbitę? - Pesna nie wydaje się przekonany. - Jak to będzie wyglądało?

- Być może nie jest ślepy.

- A jeśli?

Zapada cisza. Larth prawie słyszy kółka obracające się w przebiegłym umyśle Kaviego, który po kilku chwilach jak zwykle znajduje właściwą odpowiedź:

- Więc będzie czymś nowym. Rozpuścimy informację, że Teukros dobrowolnie poświęcił wzrok, aby nie rozpraszały go ziemskie sprawy i mógł lepiej słyszeć głos bogów. Tak żarliwego wróżbity będzie ci zazdrościć cała Etruria.

Pesna wybucha śmiechem.

- Przyjacielu, czasami mam wątpliwości, czy sami bogowie potrafią władać słowami z równą biegłością co ty.

Kavie również wybucha śmiechem.

- Jesteś zbyt łaskawy.

- Czy rozesłałeś już zaproszenia?

- Napisałem, ale jeszcze nie wysłałem. Wieczorem naniosę poprawki i z rana wyślę posłańców.

- Dobrze. Zatem kiedy? Kiedy mamy zaprosić tych wszystkich potężnych i wpływowych ludzi w nasze skromne progi na poświęcenie nowej świątyni?

- Za sześć dni - odpowiada Kavier, podnosząc obie ręce i dla większego efektu pokazując liczbę na palcach.

Rozmowa kończy się, gdy wraca woźnica. Mruczy coś pod nosem, wraca na swoje miejsce i bierze lejce do rąk. Larth ignoruje go i prostuje się na siedzeniu.

Sześć dni. Doskonale. Szóstka to jego ulubiona cyfra.

ROZDZIAŁ 22

Czasy współczesne
Wyspa Mario, Wenecja

Zabójca Moniki Vidic tkwi przy monitorach jeszcze długo po tym, jak Antonio znika z pola widzenia. Obraca kamerę w lewo i w prawo, pochyla w dół, przybliża i oddala obraz. Po człowieku kręcącym się obok płotu nie ma śladu. Czasami zdarza się, że któryś ze strażników zejdzie z wyznaczonej trasy i zapuści się w zakazaną pięćdziesięciometrową strefę wokół hangaru. Tym razem jest inaczej. Młody strażnik nie przyszedł tu tylko z ciekawości. Wręcz przeciwnie. Pojawił się przy płocie w bardzo konkretnym celu. Intruz? Bez wątplenia chciał się włamać do hangaru.

Zabójca odtwarza taśmę i uśmiecha się pod nosem. Rzeczywiście. Chłopak z pewnością rozważał wspięcie się na płot - zabójca chętnie zobaczyłby, jak próbuje - a możliwe, że wpadł też na pomysł dopłynięcia do drzwi hangaru pod wodą. Po co strażnik miałby robić coś takiego? A przede wszystkim co należy zrobić z takim strażnikiem? Zabójca ma plany na tę noc. Poważne plany. Ale na razie będzie musiał je odłożyć.

Na drugim rzędzie monitorów podpiętych do głównego systemu monitoringu obserwuje, jak Antonio i Fernando żegnają się, przybijają piątkę i się rozchodzą każdy w swoją stronę. Jak miło, że koledzy z pracy się dogadują. Zabójca przełącza na obraz z kamer ukrytych w brzydkich białych kopułach, które ludzie zwykle uznają za lampy. Nocny strażnik wraca do kontenera i szuka w szafce czerstwego panini i kawałka rozmiękłego tortu, który rano zapakowała mu do pracy żona. Szpieg idzie do pływającej kei i odcumowuje starą motorówkę. Nawet bardzo starą. Zabójca dostrzega numer rejestracyjny na burcie i szybko zapisuje. Nazwa łodzi „Spirito di Vita” - Duch Życia - została usunięta, ale litery wisiały na kadłubie tak długo, że pozostawiły po sobie bardzo czytelny ślad.

Na laptopie stojącym na stoliku obok monitorów zabójca otwiera katalog „Personel”. Kilka kliknięć później ma przed sobą wszystkie informacje o Antonio Materazzim - z całą pewnością fałszywe nazwisko - w tym o miejscu zamieszkania i historii zatrudnienia.

Referencje i historia wyglądają na wiarygodne, ale zabójca wciąż ma przeczucie co do młodego strażnika. Bardzo niepokojące przeczucie.

Po niecałej godzinie jego podejrzenia się sprawdzają. Numer rejestracyjny łodzi i nazwa „Spirito di Vita” nie pasują do siebie.

Łódź została zarejestrowana przez kogoś o nazwisku Materazzi, ale „Spirito...” ma zupełnie inną historię i zupełnie inne numery rejestracyjne. Zwodowano go po raz pierwszy dla biznesmena z Neapolu, niejakiego Francesco di Esposito. Potem kupił ją były pracownik szpitala, niejaki Angelo Pavarotti. Obecnie motorówka należy do jego syna Antonio. Antonio Materazzi prawie na pewno w rzeczywistości nazywa się Antonio Pavarotti. Najprawdopodobniej glina pod przykryciem - pracujący dla policji albo *carabinieri*. Agenci terenowi często zachowują pierwsze imiona na wypadek, gdyby na ulicy zawołał ich ktoś znajomy. W ten sposób nie wzbudzają podejrzeń.

Zabójca Moniki wyłącza laptopa i wraca do nadzorowania bezpieczeństwa komuny. Na jego twarzy pojawia się uśmiech. Co za ironia, że to ojciec Antonia, Angelo - człowiek o imieniu oznaczającym posłańca od Boga - podsunął mu pomysł na to, jak ma zabić jego syna.

CAPITOLO XVIII

*Rok 666 przed Chrystusem
Chata Teukrosa i Tecji, Atmanta*

Nad Morzem Hadriatyckim wstaje słońce. Różowo-białe niebo odbija się w lustrzanych wodach. Lekka bryza rozwiewa długie, czarne włosy Tecji.

Wypalanie gliny zakończyło się. Rzeźba jest gotowa.

Tecja pogrąża się w rozmyślaniach nad swoim dziełem i kłamstwem, do którego musiała się posunąć, aby je ukończyć. Poprzedniej nocy Teukrosa przeniesiono z powrotem do ich chaty, gdzie ma dokończyć leczenie. Tecja posłuszenie tkwiła u jego boku, dopóki nie usnął. Wtedy wróciła do pracy. Starannie wypaliła glinę w nowym palenisku, które wykopała za chatą, i wypełniła suszonym nawozem, drewnem, morską solą i wyschniętymi liśćmi. Kiedy płomień rozpałił się na dobre, przykryła palenisko drewnianymi belkami i kawałkami gliny, aby zatrzymać ciepło. Starannie dobrała czas, tak aby wyjąć gotową ceramikę o pierwszym brzasku.

Zabierając się do pracy, z ulgą stwierdziła, że glina nie popękała. Przy bliższych oględzinach dostrzegła jednak setki cieniutkich pęknięć wijących się na powierzchni jak wyrzeźbione przez nią węże. Gлина była zanieczyszczona. Przedostały się do niej trujące osady i dziwne minerały. W pewnym momencie była przekonana, że glina pęknie podczas wypalania. Ale nie pękła. Teraz, gdy patrzy na ukończone dzieło, wreszcie rozumie zachwyty sędziego.

Rzeźba jest wspaniała. To najlepsze dzieło, jakie wyszło spod jej rąk. Z nienawiścią myśli o tym, że musi je oddać. Czyszczenie gotowej rzeźby zajmuje jej sporo czasu. Chowa ją na tyłach chaty i czuje dziwne uczucie w brzuchu. Burczenie. Jakby była głodna. Tylko trochę inne. Kładzie dłonie na wydętym brzuchu. O ile się nie myli, nawet jej dziecko cieszy się z ukończenia rzeźby.

Przykrywa stół serwetką i zaczyna kroić owoce na śniadanie. To przypomina jej, że gdy ktoś w osadzie choruje, sąsiedzi zazwyczaj przynoszą mu drobne prezenty jako życzenia szybkiego i pełnego powrotu do zdrowia. Owoce, sery, soki, czasem nawet talizmany. Ale Teukrosowi nikt niczego nie podarował. Nikt nawet go nie odwiedził.

Smugi słońca rozświetlają wnętrze chaty i twarz Teukrosa. Ciepło w końcu go budzi. Unosi się na posłaniu i od razu szuka dłonią żony.

- Tecjo! - W jego głosie pobrzmiwa panika.

- Tu jestem. - Podchodzi do niego i głaszcze po zmierzwionych włosach. - Lepiej się czujesz? Spałeś jak kamień. Gdybyś nie mruczał przez sen jak niedźwiedź, mogłabym pomyśleć, że umarłeś.

Teukros uśmiecha się i przykłada dłoń do miejsca, w którym czuł jej dotyk.

- Rzeczywiście czuję się trochę silniejszy. - Bandaże na jego twarzy poluzowały się i opatrunek zsunął się z oczu. - Choć nadal mam wrażenie, że moje oczy są pełne piasku.

Tecja zauważa, że opatrunek spadł. Teukros patrzy prosto na nią. Ale niczego nie widzi! Tecja podchodzi krok bliżej, szukając w jego oczach reakcji. Nic. Teukros coś wyczuwa. Być może to jej milczenie. A może w jakiś sposób usłyszał jej myśli.

- Co ty robisz?

Tecja przęłyka gwałtownie.

- Nic, ukochany. W twoich rzeczach jest bałagan. Połóż się, zmienię ci opatrunek.

Teukros osuwa się na plecy. Tecja nalewa wody do miski i owczą wełną delikatnie wyciera brud z jego rzęs i oczu. Siedzi na jego udach i przez chwilę oboje wracają myślami do ostatniego razu, gdy kochali się w tej pozycji. Teukros uśmiecha się do niej, a ona czuje pod sobą nieomylną twardość. Jego dłoń sięga do jej włosów.

- Dziękuję ci, najdroższa. Dziękuję ci, że jesteś przy mnie, że mnie nie opuściłaś. Bałem się, że skoro bogowie mnie opuścili, ty także to zrobisz.

- Cicho! - Tecja dotyka palcem jego warg. - Nie opowiadaj takich rzeczy.

Teukros milknie. Jego palce nieruchomieją w miękkiej kaskadzie jej włosów. Tecja pochyla głowę i całuje jego wyschnięte wargi. Zwilża je językiem i czuje wzbierające w nim westchnienie. Zdejmuje z siebie ubranie i delikatnie całuje jego klatkę piersiową i penisa. Za chwilę będzie się z nim kochać. Powoli. Z miłością. A potem powie mu, że musi iść do sędziego.

ROZDZIAŁ 23

Czasy współczesne

Hotel Rotoletti, Piazzale Roma, Wenecja

Porucznik Valentina Morassi odbiera Toma z jego hotelu krótko po ósmej rano. Poprzedniego wieczoru zostawiła mu wiadomość tam i w Luna Baglioni.

Zrobiło się chłodno, więc Valentina ma na sobie czarne dzinsy od Armaniego, białą bluzkę z wysokim kołnierzem, szary kaszmirowy sweter i kurtkę z miękkiej czerwonej skóry. Ma słabość do ubrań. Wydaje więcej na ciuchy niż na jedzenie. Co według niej w sumie nie jest takie złe, bo gdyby było na odwrót, to nigdy nie zmieściłaby się w to, co lubi nosić. Kiedy pojawia się Tom, Valentina zauważa, że wciąż ma na sobie te same dzinsy, szarą koszulkę i szarą bluzę z kapturem, w które był ubrany, gdy spotkali się po raz pierwszy.

- *Buongiorno!* - wita ją Tom wesołym głosem, ostrożnie wchodząc na pokład motorówki. - Obawiam się, że marny ze mnie żeglarz. Moje nogi preferują raczej *terra firma*.

- I jesteś z Los Angeles? - pyta kpiąco Valentina, podtrzymując go za ramię, gdy Tom się potyka i wpada na rufę, gdzie w porannej bryzie łopocze włoska flaga. - A miałam cię za Kalifornijczyka, który większość dzieciństwa spędził na oceanie.

Tom wzdyga się.

- Zupełnie pani nie trafiła, pani porucznik. Prawdę mówiąc, ledwo umiem pływać. Właściwie to boję się wody.

Valentina patrzy na niego ze zdziwieniem, niepewna, czy mówi poważnie, czy się wygłupia.

- Chodź do środka, mam kawę.

Tom musi zgiąć się prawie wpół, żeby wejść za nią przez niewielkie drzwi do długiej, wąskiej kajuty za sterówką.

- Jak byłem mały, mojego najlepszego przyjaciela zabił skuter wodny w Malibu. Byłem z nim wtedy w wodzie. - Tom musi kilka razy trzasnąć drzwiami, żeby się zamknęły. - Równie dobrze to ja mogłem zginąć. Od tamtego czasu trzymam się z daleka od wody.

- Przepraszam.

- Nie ma za co. Daleko płyniemy?

- Pięć minut, może dziesięć. Zależy, czy będzie korek. - Odkręca stalowy termos i nalewa im obojgu czarnej kawy.

Idea korka na wodzie z początku bawi Toma. Kiedy jednak wypływają na kanał w chmurę wodnych taksówek, gondoli i łodzi wokół Piazzale, zaczyna rozumieć, co Valentina miała na myśli.

- Major Carvalho i patolog *professore* Montesano spotkają się z nami na miejscu. - Valentina zastanawia się, czy zapytać go o ubranie, a konkretnie o to, czemu cały czas ma na sobie to samo, ale gryzie się w język. - Byłeś już kiedyś w kostnicy?

Tom kiwa głową.

- Niestety, zdarzyło mi się kilka razy. Ale nigdy w ramach śledztwa, zwykle towarzyszyłem krewnym zmarłego. Czasami wzywano mnie, żebym zidentyfikował zabitego członka gangu albo jakiegoś kloszarda, ogólnie ludzi, którzy nie mieli na świecie nikogo.

Valentina posyła mu przepraszający uśmiech.

- Wybacz, kostnica to raczej kiepskie miejsce na początek dnia.

Tom wzrusza ramionami.

- Wolałbym w ogóle tam nie iść, ale skoro muszę, to chyba lepiej zacząć dzień w ten sposób, niż skończyć.

Dwadzieścia minut później Tom stwierdza, że kostnica jest koszmarnym miejscem w każdym momencie dnia. Ubrany w fartuch laboratoryjny stoi przy bladym ciele piętnastoletniej Moniki Vidic i czuje się niemal tak fatalnie, jak wtedy, gdy zabił tamtych dwóch ulicznych bandziorów w Los Angeles.

Usłyszał wyraźnie, co przed chwilą powiedział Carvalho. Nie ma wątpliwości, że dokładnie zrozumiał majora. Ale i tak musi zadać to pytanie.

- Ktoś wyciął jej wątrobę?

Valentina rzuca mu zakłopotane spojrzenie.

- *Si*. Przepraszam, że nie powiedziałam ci o tym wcześniej. Wydawało mi się, że lepiej będzie poczekać, aż sam tu przyjdiesz.

- Wszystko w porządku, *signor*? - pyta patolog sądowy zaniepokojony wyrazem twarzy Toma. - Może zrobimy krótką przerwę?

Tom potrząsa głową.

- Nie. Nie, nic mi nie jest. Miejmy to już za sobą. - Zerka na Valentinę, która ucieka wzrokiem, jakby wiedziała, że Tom

właśnie przypomina sobie jej obietnicę, że po spotkaniu w kostnicy *carabinieri* już niczego nie będą od niego chcieli. Że to już będzie koniec. Tom ma jednak wrażenie, że żandarmeria tak szybko się od niego nie odczepi. Wręcz przeciwnie, czuje, że dopiero zaczynają.

ROZDZIAŁ 24

Nabrzeże Riva San Biagio, Wenecja

Poranne słońce chowa się za chmurą. Antonio Pavarotti uruchamia silnik starej rodzinnej motorówki, zacumowanej przy Riva San Biagio, i wypływa w kierunku Wyspy Mario. Spogląda na zegarek i orientuje się, że przybędzie na miejsce jakieś dwadzieścia minut za wcześnie. Dostatecznie długo, żeby odrobinę zboczyć z kursu i przyjrzeć się hangarowi z perspektywy kanału. Otwiera przepustnicę silnika i wpływa w jeden z dobrze oznaczonych szlaków żeglugowych w lagunie.

Wiekowa łódź liczy sobie ponad osiem metrów długości. Ojciec Antonia, Angelo, kupił ją przed dwudziestu laty, a potem podarował synowi jako prezent na dwudzieste pierwsze urodziny. Łódź, przez kilka dekad przedmiot uwielbienia całej rodziny, niedawno przeszła gruntowny remont. Ostatnio wstawił nowe bulaje do kabiny i odrestaurował stary, niezawodny silnik diesla. Następnie na liście jest

kolejne malowanie niebieskiego kadłuba, który teraz podskakuje na krótkich falach. Antonio szybko orientuje się, skąd to kołysanie. Płyne w kilwaterze autobusu wodnego numer 41 kursującego do stacji Ferrovia i na wyspę Murano. Podążanie śladem autobusu wodnego jest mniej więcej tak komfortowe, jak bycie wleczonym za kostki po świeżo zaoranym polu. Na golasa.

Antonio otwiera termos z herbatą i umieszcza go w uchwycie na przedzie sterówki. Sterówka to jego duma - całkowicie odrestaurowana i wykończona politurowanym drewnem oraz wypolerowanymi mosiężnymi okuciami. Ze sterówki przechodzi się do sporych rozmiarów kambuza wyposażonego w kapryśny piekarnik gazowy i dwa palniki, na których jego *mamma* nieraz pichciła swoje specjały. Z tyłu znajduje się kanapa, którą można zamienić w dwie jednoosobowe koje lub jedną dwuosobową.

Z rzędzącej porannej mgły wyłania się sylwetka Isola di San Michele. Przepływając tędy, Antonio zazwyczaj myśli o swoich dziadkach i innych duszach spoczywających na cmentarzu na wyspie. Ale nie dzisiaj. Teraz wspomina dobre czasy na swojej motorówce. Pierwszy rejs z mamą i ojcem. Wyprawy na ryby z kolegami ze studiów. Upojne chwile z dziewczynami, zanim wyprowadził się z rodzinnego domu i kupił własne mieszkanie.

To ostatnie wspomnienie zostaje przy nim na dłużej i wywołuje uśmiech na jego twarzy, gdy wciska zapalarkę na kuchence, żeby zapalić pierwszego papierosa. Wkrótce rzuci palenie. Może akurat jak skończy się to zadanie. *Mamma* będzie zadowolona, że rzucił.

W ułamku sekundy Antonio orientuje się, że coś jest nie w porządku. Powietrze z kabiny jakby zniknęło, wysसानe przez

potężną niewidzialną słomkę. Uszy Antonia eksplodują bólem, a jego ciało zaczyna się trząść. Metalowy piecyk zmienia się w chmurę odłamków, która uderza go w twarz.

Czas zwalnia. Antonio znajduje się w tym punkcie, w którym już wie, co się dzieje, ale nie może nic z tym zrobić. Jest oślepiiony i kręci mu się w głowie. Huk eksplodującego gazu niesie się po całej lagunie. Antonio czuje na twarzy wodę, ale niczego nie widzi.

Turyści na rufie wodnego autobusu gapią się z rozdziawionymi ustami. Nie dociera do nich jeszcze, na co tak naprawdę patrzą.

Pomarańczowa kula ognia rozrywa szarą mgłę. Za nią podążają kłęby gęstego, czarnego dymu. Deski i plastikowe odłamki strzelają w niebo, po czym opadają na powierzchnię morza. Przepływające łodzie wyłączają silniki. Zapada dziwaczna cisza. Świadkowie wpatrują się w szczątki i zastanawiają, czy można już bezpiecznie podплыnąć. Płomienie dogasają. Wśród barwnych plam rozlanej benzyny i fragmentów kadłuba wyraźnie widać unoszące się ciało Antonia Pavarottiego.

CAPITOLO XIX

Rok 666 przed Chrystusem
Dom sędziego Pesny, Atmanta

Tecja ma wyrzuty sumienia. Po raz kolejny okłamała męża. Powiedziała mu, że wybiera się do domu Pesny na polecenie sędziego, który zamierza wkrótce zlecić wykonanie dla siebie ozdobnego

nagrobka. Teukros był tak osłabiony i zmęczony uprawianiem miłości, że nawet się nie kłócił.

To kłamstwo jest już kolejnym z całej serii, która się rozpoczęła, gdy Tecja solennie zapewniła męża, że symbole w gaju zostały zniszczone, i która teraz zaprowadziła ją do wielkiej komnaty w domu sędziego.

Do sali, w której czeka Tecja, wchodzi Hercha. Obrzuca krytycznym spojrzeniem drobną kobietę o małych piersiach i wielkim brzuchu. - Nie jesteś w jego typie. Mała, brzuchata i brudna. Zdecydowanie nie.

Rzeźbiarka ją ignoruje. Całą jej uwagę pochłaniają rzędy wspianiałych naczyń. Ogląda helleńskie wazy pokryte krzywoliniowymi wzorami i precyzyjnie wyrysowanymi sylwetkami gorgon, gryfów, sfinksów i syren. Podziwia garnki o szerokim rondzie, zdobione czerwono-złotymi figurami na błyszczącym czarnym tle.

- Słyszysz mnie? - Hercha podchodzi bliżej. - Pesna preferuje kobiety, które mają gust i trochę ciała. Brzemienne szkielety w łachmanach go nie interesują.

Tecja przekrzywia głowę i pochyla się, aby przyjrzeć się bliżej dwóm eleganckim flaszom z alabastru, pozbawionym uchwyty i zdobionym wizerunkami egzotycznych barwnych ptaków. Oczy rozszerzają się jej ze zdumienia, gdy dostrzega cały szereg dzieł tak starych, jak Atmanta - helleńskich butli na oliwę o okrągłych uszach i długich, cylindrycznych kształtach, płynnie przechodzących w podstawy. Następnie Tecja napawa się widokiem przepięknie pomalowanych kraterów z krótkimi, przypominającymi świńskie uszy uchwytami z lśniącego metalu. Tecja nie ma wątpliwości, że to srebro.

Hercha wychodzi z komnaty.

- Ta wieśniaczka jest nie tylko gruba i głupia, ale z całą pewnością głucha - mamrocze pod nosem. - W żadnym razie nie nadaje się dla szlachetnie urodzonego.

Tecja nawet nie zauważa jej wyjścia. Zerka na pobrudzone gliną zawiniątko, które trzyma w rękach. Wobec tych wszystkich wspaniałości jej rzeźba nie ma prawa nazywać się dziełem sztuki. Jest tylko kawałkiem gliny poskrobanym niezręczną i pozbawioną talentu ręką.

Wchodzi Pesna. Jest boso, ma na sobie tunikę uszytą z tej samej kremowej tkaniny, co Hercha. Wokół niego unosi się zapach niedawnych igraszek w łożu. Sędzia pogryza pieczone udko kurczęcia ze srebrnego talerza.

- Czy coś tutaj przypadło ci do gustu, rzeźbiarko?

Tecja wpatruje się w niego szeroko otwartymi oczami.

- Wszystko! - wykrzykuje. - W tej komnacie nie ma niczego, co nie byłoby uczną dla oka.

- Czy to dotyczy również mnie?

Podchodzi bliżej krokiem głodnego wilka, gotowego porzucić mięso jednej ofiary, aby zatopić kły w następnej. Wyczuwając zagrożenie, Tecja cofa się.

- Przyniosłam rzeźbę, panie. - Wyciąga przed siebie zawiniątko. - Ukończyłam ją i sądziłam, że będzie odpowiednia, ale teraz, gdy ujrzałam wszystkie te cuda, wątpię, czy będziesz zadowolony.

Pesna traci zainteresowanie nią i przenosi wzrok na zawiniątko w jej rękach.

- Jak powiedziałem, kiedy widzieliśmy się poprzednio, sam to ocenię. - Niespieszonym krokiem idzie na prawą stronę komnaty, gdzie przy ścianie stoi długi dębowy stół. - Połóż ją tutaj. Muszę najpierw wytrzeć ręce.

Wychodzi na chwilę, a Tecja posłusznie kieruje się do stołu. W pośpiechu zawadza sandałem o wystającą krawędź kamiennej płyty i potyka się. Ceramika wprawdzie nie upada na podłogę, ale łąduje z impetem na stole.

Tecja tężeje, obawiając się najgorszego. Ostrożnie odwijają szmatki zawierające największe dzieło jej życia. Serce podchodzi jej do gardła. Rzeźba pękła. Tecja wie, co się stało, zanim jeszcze skończy odwijać szmaty. Jej dzieło pękło dokładnie na dwóch głębokich liniach wyżłobionych przez Teukrosa i dzielących owal na trzy części.

Ku przerażeniu Tecji sędzia wraca do komnaty. Odłożył gdzieś talerz z kurczęciem i wyciera dłonie w grubym lnianym ręczniku.

- Zobaczmy to чудо.

- Wybacz mi, panie. - Tecja odwijają ostatnią szmatkę i cofa się o krok. - Jest mi naprawdę bardzo przykro.

Pesna milczy.

Odsuwa się od stołu i wpatruje intensywnie w zawartość zawiątku.

- Słodka Menrvo!

W następnej chwili praktycznie rzuca się na popękana rzeźbę.

- To jest zdumiewające! - Odpycha Tecję, aby spojrzeć na ceramikę z jej perspektywy. - Już tamta gliniana forma była nader obiecująca, ale nie spodziewałem się czegoś takiego. Stworzyłaś trzy równoprawne sceny, które są radością dla oka osobno, ale razem tworzą zachwycającą całość.

Tecja przygląda się bliżej i stwierdza, że sędzia ma rację. Wizje Teukrosa leżą obok siebie oddzielone przez jej niezręczność, ale wystarczy jeden ruch, by znów połączyły się w całość.

Pesna przesuwa fragmenty owalu po stole z zachwyconą miną.

- Stworzyłaś inspirujące i wizjonerskie dzieło, rzeźbiarko. Zwoździ oko i rozpała wyobraźnię. Przypomnij mi, jak ją nazwałaś.

Tecja waha się, ale po chwili na usta cisną jej się słowa Teukrosa:

- To są... „Bramy Piekła”.

- Naturalnie. - Tytuł wydaje się jeszcze zwiększać entuzjazm sędziego. Pesna robi krok w tył, cały czas wpatrując się w rzeźbę z zachwytem. Dotyka dłońmi twarzy. - Ale, moja utalentowana Tecjo, „Bramy Piekła” nie są jeszcze ukończone.

Tecja marszczy brwi.

- Nie rozumiem, panie.

Sędzia uśmiecha się chytrze.

- Srebro.

Brwi Tecji unoszą się w górę.

- Aby wydobyć z tej rzeźby prawdziwe piękno, aby pokazać pełnię twojego talentu, musisz zamknąć ten cud w srebrze, aby zachować go na wieki. Mój złotnik ci w tym pomoże.

- Ale...

Pesna ucisza ją podniesioną dłonią.

- Mamarce jest najlepszym rzemieślnikiem w Etrurii. Sporządzi odlewy twojej wizji i zatopi ją w najszlachetniejszym srebrze z moich kopalni. Od razu nakazę Larthowi, żeby cię tam zabrał.

Tecja zaczyna się bać. Już oddanie rzeźby sędziemu było dostatecznym złem, ale jeśli Pesna uwieczni jej dzieło w srebrze, wówczas ludzie zaczną o nim mówić i wieść o „Bramach Piekła” z całą pewnością dotrze także do uszu jej męża.

- Co zamierzasz zrobić z rzeźbą, gdy zostanie ukończona, panie? Czy pozostawisz ją tutaj wraz z innymi wspaniałościami?

- Jeszcze nie wiem. Przede wszystkim twój mąż pobłogosławi ją przy otwarciu nowej świątyni. Potem zdecyduję, co z nią uczynić. Być może pozostawię ją na pewien czas w świątyni jako dowód wdzięczności dla bogów.

Tecja smętnie zwiesza głowę. Coraz wyraźniej dostrzega, że sieć kłamstw, którą utkała, zaczyna zacieśniać się wokół niej.

- Sędzio, przemyślałam rzecz ponownie. Doprawdy, sędzę, że powinnam ofiarować tę rzeźbę mojemu mężowi. Wykonam dla ciebie coś piękniejszego, godniejszego twoich oczu i zachwytu. - Usiłuje zawiązać fragmenty rzeźby w szmaty.

- Milcz! - głos sędziego drży. - Jak śmiesz?! - w jego oczach błyska gniew. - Zrobisz dokładnie to, co ci każe, i wtedy, kiedy ci każe.

Brzuch Tecji przeszywa nagłe uderzenie bólu. Nogi uginają się pod nią. Opiera się o ścianę i głęboko oddycha. Pesna nie zwraca uwagi na jej cierpienie.

- Nie interesuje mnie, jak odpokutujesz za to przed bogami i swoim mężem - warczy. - Masz robić, co ci każe. A teraz precz! Wynos się, zanim każe wypruć wnętrzności z ciebie i tego bezużytecznego wróżbity i nakarmić nimi świnię.

ROZDZIAŁ 25

*Czasy współczesne
Ospedale San Lazzaro, Wenecja*

Zimne, filtrowane powietrze w kostnicy przeszywa Valentine do szpiku kości. Rozciera ramiona, żeby trochę się rozgrzać. Tom nie czuje chłodu, a *professore* Montesano wydaje się do niego

przyzwyczajony. Major Carvalho przesuwając językiem po zębach, jakby próbując pozbyć się nieprzyjemnego posmaku albo upewniając się, że słowa, które zamierza wypowiedzieć, będą odpowiednie do okoliczności.

- Zastanawiamy się, czy usunięcie wątroby Moniki ma jakies znaczenie religijne.

Tom nie podnosi wzroku znad ciała nastolatki. Dziewczyna leży na metalowym stole jak kawał mięsa na srebrnej tacy u rzeźnika.

- Ma pan na myśli znaczenie dla satanistów?

- *Si*

Tom zerka na majora.

- Przed wiekami w wielu społecznościach wierzono, że wątroba jest ważniejsza od serca. - Przenosi wzrok na Montesano. - Podejrzewam, że było tak po części ze względów medycznych.

- Istotnie - potwierdza patolog. - Wątroba jest największym gruczołem i organem wewnętrznym ciała. Podobnie jak bez serca, nie da się bez niej przeżyć. To prawdziwe dzieło sztuki. Spełnia liczne funkcje, od detoksykacji organizmu, przez syntezę białek, po trawienie. - Montesano składa dłonie razem. - I jest dość ciężka, waży co najmniej półtora kilograma. U dorosłego człowieka osiąga rozmiar piłki do futbolu amerykańskiego.

- Oprócz znaczenia medycznego wątrobie i sercu przez stulecia przypisywano znaczenie nadprzyrodzone - podejmuje wątek Tom. - Istnieją doniesienia aż z Kostaryki o satanistach wykorzystujących serca i wątroby kóz, owiec, nawet koni od odprowadzania czarnych mszy i rytuałów inicjacyjnych. Ale nie tylko oni przypisują symboliczne znaczenie tym organom. Egipcjanie balsamowali serce osobno, tak aby można było je zważyć w dniu sądu ostatecznego. Jeśli serce było ciężkie od grzechu - bądź zostało wycięte z ciała - wówczas zmarły

nie mógł trafić do królestwa życia pozagrobowego. Etruskowie - wasi przodkowie - uznawali wątrobę za znacznie ważniejszą, niż serce. Wierzyli, że u ludzi wątroba jest ośrodkiem duszy. Wątroba zwierząt była najświętszym organem, z którego wróżono wolę bogów.

Vito drapie się po koniuszku nosa, co ma zwyczaj czynić, gdy nad czymś głęboko myśli.

- Dlaczego ktoś miałby wycinać jej wątrobę?

Tom przez chwilę zastanawia się nad odpowiedzią.

- Sataniści koncentrują się na różnych częściach ciała, zarówno mających znaczenie seksualne, jak i symboliczne - mówi w końcu. - Organy płciowe zazwyczaj kojarzone są z natychmiastowym zaspokojeniem własnej żądzy, natomiast inne części, takie jak oczy, uszy czy organy wewnętrzne, związane są zasadniczo ze znacznie starszymi, sięgającymi nawet starożytności rytuałami i profanacją.

Wzrok Toma ponownie wędruje ku otwartym ranom na ciele Moniki. Sądził, że po badaniu patologicznym zostaną zaszyte, ale najwidoczniej się mylił. Posępny i szokujący widok. Jej ciało jest teraz jedynie skorupą pozbawioną jakichkolwiek śladów po człowieku, którym była, jej osobowości i charakterze.

- Kradzież młodej duszy to ostateczna obraza dla Boga. Jeżeli wasz zabójca ma powiązania z kręgami satanistycznymi, to usunięcie wątroby stanowi akt profanacji Boga poprzez zbezczeszczenie człowieka, którego stworzył. Możemy też założyć, że zabójca zamierzał wykorzystać organ do jakiegoś chorego rytuału.

W pomieszczeniu zapada milczenie. Oczy wszystkich skierowane są na Monikę. Ciszę łączy tylko cichy szum systemu chłodzenia i skwierczenie much ginących na lampach ultrafioletowych rozwieszonych w całej kostnicy.

Major Carvalho ściąga lateksowe rękawiczki.

- Tom, wiem, że Valentina obiecała ci, że to już będzie ostania rzecz, o jaką cię poprosimy... - urywa. Tom z jego twarzy odczytuje dokończenie.

- ... ale nie będzie - dopowiada.

Major uśmiecha się przyjaźnie.

- Nie będzie. Potrzebujemy twojej pomocy. Chcemy, żebyś pomógł nam z religijnym aspektem śledztwa i postarał się wygrzebać wszystko o czasach etruskich, co może się nam przydać.

- Jak długo to potrwa?

- Niedługo. Tydzień. No, może dwa.

- Nie jestem pewien, czy na coś się przydam - mówi cicho Tom, patrząc na ciało Moniki.

- Niestety, obawiam się, że się przydasz. - Major także patrzy na nastolatkę. - Proszę cię, żebyś nam pomógł. Dla niej.

Tom w końcu kiwa głową.

Major ściska jego dłoń, po czym odwraca się do Montesano.

- *Molte grazie, professore.* - Raz jeszcze spogląda na ciało.

- *Grazie, Monica. Dio la benedica.*

ROZDZIAŁ 26

Nabrzeże Riva San Biagio, Wenecja

Wychodząc z kostnicy, Vito Carvalho odbiera telefon komórkowy. Nakazuje rozmówcy nie informować nikogo więcej, zwłaszcza Valentyny.

Kiedy pojawia się na miejscu eksplozji, ekipy policyjne przeszukują już wzburzone wody laguny w poszukiwaniu szczątków motorówki Antonia. Major Carvalho jest w szoku. Mimo całego swojego doświadczenia nie potrafi przyjąć tego do wiadomości. Śmierć drugiego człowieka da się znieść, pod warunkiem że nie dotyczy nas osobiście. A Antonio był jego protegowanym. Vito był z niego dumny. Czasami myślał o nim jak o własnym synu.

Siada na nabrzeżu i usiłuje dojść do ładu z tym, czego się dowiedział. Antonio nie żyje. Co do tego nie ma wątpliwości. Na jego łodzi nastąpił wybuch. Jak na razie nikt nie potrafi wskazać przyczyny. Tak, jest pewien, że to legitymacja porucznika Pavarottiego. Tak, może zidentyfikować ciało. Nie, nikt jeszcze nie poinformował rodziny. Valentina? Nie, jej też jeszcze nikt nie powiedział, a w każdym razie taki wydał rozkaz. Informacja i tak wyjdzie na zewnątrz. I to wkrótce.

Odrętwiały Vito podąża za młodym funkcjonariuszem do białego namiotu, w którym znajduje się ciało.

To Antonio. Żadnych wątpliwości. Major w milczeniu kiwa głową na potwierdzenie i głośno przełyka ślinę. Taka strata. Potworna, niesprawiedliwa strata.

Vito żegna się i wychodzi z namiotu. Idzie wzdłuż nabrzeża, myśląc o tym, że wydobycie bloku silnika, elektryki i wszystkiego, co mogłoby wyjaśnić przyczynę eksplozji, zajmie prawdopodobnie cały następny dzień. Pożar na morzu zdarza się rzadko. Wybuchy nie zdarzają się prawie w ogóle. Ale majorowi nie przychodzi do głowy żadne wytłumaczenie poza tragicznym wypadkiem.

Sam poinformuje rodziców Antonia o śmierci syna. Nie chce, żeby usłyszeli o tym od kogoś obcego. To on będzie musiał uporać się z najgorszą chwilą w życiu państwa Pavarotti.

Major Vito Carvalho jest bardzo doświadczonym gliną. A jednak przed drzwiami do mieszkania rodziców Antonia musi się zatrzymać i wziąć głęboki oddech.

W środku słychać telewizor. Kiedy naciska przycisk dzwonka, dobiega go głos mężczyzny. Przez piaskowane szkło dostrzega sylwetkę kobiety. Matka Antonia otwiera drzwi, przytrzymując klamkę jedną ręką. W normalnej sytuacji doradziłby zainstalowanie łańcucha.

- *Signora Pavarotti?*

- *Si?* - Kobieta wygląda na zdenerwowaną.

- Nazywam się Vito Carvalho, major Carvalho. - Pokazuje jej legitymację żandarmerii. Na jej twarzy na chwilę pojawia się ulga. Być może sądzi, że to nie jest wizyta, której zawsze się obawiała. Ale potem patrzy na jego twarz, która mówi wszystko.

Pod Camilą Pavarotti uginają się kolana. Vito łapie ją, zanim osunie się na podłogę. Jest cięższa, niż myślał.

- *Aiuto! Signor! Aiutarmi!*

Angelo Pavarotti natychmiast pojawia się w drzwiach. Wpatruje się zdumiony w obcego mężczyznę, podtrzymującego jego nieprzytomną żonę. Vito macha mu przed nosem legitymacją służbową i przedstawia się.

Razem wnoszą Camilę do salonu i sadzają na sofie. Major siada w fotelu naprzeciwko i cierpliwie obserwuje, jak Angelo przynosi z kuchni wodę i klęka przy żonie, która powoli dochodzi do siebie. Camila bierze ostrożny łyk. Jest biała i oszołomiona. Vito odwraca wzrok, gdy Angelo ociera żonie usta. Salon jest zastawiony fotografiami Antonia. Zdjęcie w pierwszym szkolnym mundurku z szerokim szczerbatym uśmiechem. Zdjęcia z burzą długich włosów, gdy był nastolatkiem. Zdjęcia przystojnego młodego żandarma w wyjściowym mundurze. Major zerka ponownie na sofę i zauważa, że

państwo Pavarotti wpatrują się w niego intensywnie.

Pora zmierzyć się z prawdą.

- Państwa syn, Antonio... Nie żyje. Bardzo mi przykro. Zdarzył się okropny wypadek. Motorówka, którą płynął przez lagunę, eksplodowała. Na razie nie wiemy jeszcze, co spowodowało wybuch.

Ojciec Antonia patrzy na majora z niedowierzaniem.

- To niemożliwie. Absurd. - Na jego twarzy pojawia się wymuszony uśmiech nadziei. - Powtarzam, to niemożliwe. Jest pan pewien, że chodzi o naszego syna? Antonia Pavarottiego?

On...

- Jestem pewien, *signor*. Sam identyfikowałem ciało.

Państwo Pavarotti patrzą na siebie. Niedowierzanie ustępuje miejsca szokowi.

- Przykro mi. Naprawdę bardzo mi przykro. - Major Carvalho zdaje sobie sprawę, że musi wyłożyć im całą prawdę od razu, odebrać fałszywą nadzieję, która później tylko spotęgowałaby ból. - Antonio był dobrym człowiekiem. Doskonałym policjantem, bardzo lubianym przez kolegów.

Angelo zdobywa się na skinienie głową. Słowa majora powinny w sumie go poruszyć, może nawet wywołać w nim poczucie winy. Ale w tej chwili nie robi na nim wrażenia.

- Jutro przyjadą do państwa ludzie z mojego wydziału. Jeżeli będą państwo sobie tego życzyli, umożliwią państwu zobaczenie ciała syna. - Major Carvalho próbuje nie zwracać uwagi na malującą się na ich twarzach rozpacz. - Odwiedzą państwa również śledczy. Będą chcieli porozmawiać z państwem o Antoniu, o tym, co robił, z kim się spotykał, no i oczywiście o motorówce.

Camila nagle chwyta męża za rękę i spogląda na majora przerażonym wzrokiem.

- A Valentina? Co z nią?

Carvalho krzywi się.

- Jeszcze nie wie. Nikt jej nie powiedział. Przyjechałem do państwa prosto z miejsca wypadku. Dowiadujecie się jako pierwsi.

- Ale powie jej pan? Osobiście? - pyta Camila błagalnie.

Major zapina płaszcz.

- Naturalnie. Przekażę jej, gdy tylko wrócę na komendę.

Państwo Pavarotti podnoszą się z sofy.

- Proszę się nie kłopotać. Zamknę za sobą. - Major czeka, aż oboje znowu usiądą. - Bardzo państwu współczuję.

W milczeniu dziękują mu skinieniem i obejmują się mocno. Vito kładzie na stoliku wizytówkę z numerem telefonu i cicho wychodzi z salonu.

CAPITOLO XX

Rok 666 przed Chrystusem

Atmanta

Kiedy przybywa, Tecja jest zajęta krojeniem ziół przed chatą. Obserwuje, jak zsiada z wielkiego, białego konia, i rusza w jej stronę, prowadząc rumaka za uzdę. Przebiega ją zimny dreszcz. Nie sądziła,

że przyjedzie po nią tak szybko. Widziała się z Pesną dopiero wczoraj. Larth klepie konia po łbie.

- Przyjechałem, aby zabrać cię do złotnika Mamarcego.

- To niewłaściwa chwila. - Tecja wskazuje dłonią chatę. - Muszę zająć się mężem.

- Przyjechałem teraz i pojedziesz ze mną teraz. - Wyraz jego twarzy wyraźnie mówi jej, że wszelka dyskusja jest bezcelowa.

Tecja kiwa głową.

- Muszę mu powiedzieć. Wezwać kogoś, kto się nim zaopiekuje, kiedy mnie nie będzie.

Larth przechyla głowę w kierunku koryta dla koni.

- Masz czas, dopóki go nie napoję. Ani chwili dłużej.

Tecja znika w drzwiach chaty. Teukros śpi. Przyklęka przy posłaniu i dotyka jego twarzy dłońmi.

- Mężu - z początku mówi bardzo cicho, ale po chwili podnosi głos: - Teukrosie, słyszysz mnie, ukochany?

Gładzi go po szorstkiej, nieogolonej twarzy.

Wargi Teukrosa wreszcie poruszają się. Na chwilę otwiera powieki, ukazując zasnute martwą białą mgłą oczy, w których niegdyś tańczyły iskry rozpalające wszystkie zmysły Tecji. Serce jej pęka, kiedy na niego patrzy.

- Teukrosie, słyszysz mnie?

Jej mąż uśmiecha się sennie.

- Jestem ślepy, nie głuchy. Znowu zasnąłem. Odkąd straciłem wzrok, mój umysł zdaje się częściej uciekać w objęcia snu.

- Sędzia Pesna znowu przysłał po mnie posłańca. Jest na zewnątrz. Muszę z nim jechać. Nie będzie mnie przez jakiś czas.

Na twarzy Teukrosa pojawia się irytacja.

- Po co? Sędzia dobrze wie, w jakim jestem stanie. Twoje umiejętności prędzej przydadzą się do budowy mojego grobu.

- Nie mów tak! - W jej piersiach wzbiera panika. - To ty opowiedziałeś mi o moich rzeźbach. Wczoraj powiedział mi, że się zastanowi. Przypuszczam, że dziś się zdecydował, dlatego przysłał po mnie. - Tecja stara się, by jej głos brzmiał przekonująco. - To dla nas wielka szansa, Teukrosie. Jeśli sędzia będzie zadowolony, oboje na tym skorzystamy.

Teukros milczy. Wraz ze wzrokiem utracił wszelką władzę nad sobą i innymi. Stał się przedmiotem przestawianym z miejsca na miejsce według życzenia.

- Poproszę twoją matkę, żeby z tobą została. - Tecja ścisza go za rękę. - Niedługo wrócę. Życz mi szczęścia. - Na do widzenia całuje go w czoło.

Teukros wolałby, żeby pocałowała go w usta. Wolałby, żeby w ich świecie byli tylko oni dwoje, mąż i żona, bez potwora rosnącego w jej łonie. Bez sekretów, o których tak trudno zapomnieć.

- Niech szczęście uśmiechnie się do ciebie.

Ale Tecja już tego nie słyszy. W drzwiach prawie wpada na Lartha, który najwyraźniej miał zamiar wejść po nią do środka. Wymija go.

- Muszę zobaczyć się z jego matką, potem pojedziemy - mówi przez ramię, nie ośmielając się spojrzeć w oczy Oprawcy.

Sprowokowanie Lartha oznacza bowiem ściągnięcie na siebie tak strasznego gniewu, że obawiają się go nawet najdzielniejsi ludzie w Atmancie.

Tecja zbiera się w sobie, spodziewając się ryku wściekłości, ciosu pięścią albo butem, ale olbrzym najwyraźniej ten jeden raz zdołał powściągnąć temperament. Tecja się spieszy. Gdy tylko słyszy od Larcji obietnicę, że ta przyjdzie zająć się synem, pędzi z powrotem do Lartha, zbierając w biegu szatę, tak aby nie zaplątała się w stare skórzane sandały. Jednocześnie stara się cały czas zakrywać uda,

żeby przypadkiem nie rozbudzić pożądania Oprawcy.

Larth wskakuje na konia i jedną ręką sadza ją za sobą. Po chwili olbrzymi rumak pędzi już galopem. Tecja musi przywrzeć do pleców Lartha, żeby nie zsunąć się z grzbietu. Gnąją na północ wzdłuż przecinającej osadę drogi *cardo*, następnie skręcają w wiodącą ze wschodu na zachód drogę *decumanus*. Skrzyżowanie obu dróg jest miejscem świętym, uroczyscie poświęconym przez Teukrosa, gdy zakładano osadę i planowano budowę domostw wzdłuż głównych szlaków. Jadą w pełnym galopie aż do najbardziej wysuniętej na wschód kopalni srebra sędziego.

- Warsztat Mamarcego znajduje się częściowo pod ziemią - wyjaśnia Larth, przywiązując konia do jednego ze słupów płotu. - Pokażę ci, gdzie to jest, ale nie zejdę z tobą.

- Dlaczego? - Tecja rzuca mu zdziwione spojrzenie. - Czyżbyś się obawiał?

Larth chwyta ją za łokieć i ciągnie za sobą.

- Nie obawiam się niczego śmiertelnego. Wyprawy pod ziemię są dobre dla gryzoni, a ja nie przepadam za towarzystwem szczurów.

Zabudowania kopalni schodzą zygzakiem po ścianie klifu i nikną pod ziemią. Larth otwiera zniszczone drzwi, za którymi ukazuje się ciemny, zatęchły korytarz. Ogień oświetlających go pochodni migocze, gdy do środka dostaje się powiew.

- Będę tu, gdy skończysz. Mamarce mnie wezwie.

CAPITOLO XXI

Wschodnia kopalnia srebra, Atmanta

Drzwi do kopalni zamykają się za nią. Tecja idzie kawałek przed siebie i otwiera kolejne, po prawej. Wchodzi do pomieszczenia, które wydaje się jej tak wielkie, że mogłoby pomieścić całą Atmantę. Cuchnie gorzej niż w dole siarkowym. Mężczyźni w różnym wieku przenoszą tygłe z rozżarzoną do białości, stopionym metalem z jednego stanowiska na drugie. Przypominają jej złodziei wykradających po kawałku słońce.

W powietrzu rozlega się ogłuszający łomot młotów uderzających w kowadła. W kamiennych paleniskach, ciągnących się wzdłuż całej ściany, buzuje potężny ogień. Gorąco niemal odbiera oddech. Tecja czuje, jak strużki potu ściekają jej po plecach i między piersiami. Ostrożnie stawia kroki, obawiając się zderzenia z którymś z kręcących się mężczyzn i poparzenia ich rozżarzoną skarbem. Aż podskakuje, gdy nagle rozlega się głośny syk. Jeden z mężczyzn przelewa stopiony metal z tygla do szerokiego koryta z wodą. Tecja uspokaja oddech i idzie dalej.

Pod masywną czarną ścianą po drugiej stronie dostrzega rząd prawie nagich dzieci, siedzących plecami do skały. Z potężnych mis, podtrzymywanych kolanami, wydobywają okruchy srebra ze skał rudy. Powykrzywiane i pokierszowane palce sprawnie oddzielają zwykle metale, sole i bezwartościowy gruz.

Za kolejnymi drzwiami otwiera się kolejna monstualna komnata. Tu na straży stoi dwóch potężnych mężczyzn o ogolonych włosach, noszących skórzane pasy obwieszane łańcuchami i nożami.

Strażnicy są identyczni, różni ich tylko to, że jeden ma bliznę biegnącą od lewego policzka do prawego przedramienia. Niewątpliwie pamiątka po cięciu mieczem.

- Jestem Tecja, żona Teukrosa wróżbity. Larth, sługa sędziego Pesny, przywiózł mnie tutaj na spotkanie z Mamarcem.

Tecja czeka na odpowiedź, ale strażnicy milczą. Obaj taksują ją spojrzzeniami, po czym ten z blizną robi krok w bok i otwiera drzwi. Następne pomieszczenie jest chłodniejsze i lepiej oświetlone. Jakiś chłopiec, nieco starszy od dzieci z poprzedniej komnaty, przygląda jej się nieufnie z odległego kąta.

Mamarce nie zwraca na nią uwagi. Wydaje się być w tym samym wieku co ojciec Teukrosa, ale na tym podobieństwo się kończy. Złotnik przypomina strzęp człowieka - chudy, niski, pozbawiony muskulatury, z kępką siwych włosów na głowie i krzaczastą szarą brodą. Pochyla się nad dziwnym szerokim stołem, wykonanym częściowo z drewna, a częściowo z żelaza. Z krawędzi wystaje szereg większych i mniejszych metalowych szczęk, jak pyski głodnych psów, domagających się resztek.

Mamarce zwraca się w końcu do niej cichym głosem, jakby stłumionym przez bujną brodę:

- Usiądź. Teraz nie mogę przerwać. Metal już prawie stwardniał, a jeszcze nie skończyłem.

Tecja przysiada na chybottliwym drewnianym siedzisku po drugiej stronie stołu i z fascynacją obserwuje warsztat złotnika. Stół jest zasłany nożami, pilnikami i młotkami przypominającymi trochę jej własne narzędzia, ale mniejszymi i precyzyjniejszymi. Jej uwagę przykuwa dziwny podłużny kamień pokryty lśniącoymi plamami. Domyśla się, że to kamień probierczy, stosowany do porównywania nowych prób srebra z najwyższymi, już znanymi.

- Koniec! - oznajmia triumfalnie Mamarce i w końcu podnosi wzrok. - A więc to ty jesteś tą tajemniczą rzeźbiarką. No, no! - Złotnik schodzi z wysokiego drewnianego krzesła i nagle okazuje się, że wzrostem niewiele przewyższa swój stół.

Tecja również wstaje i podchodzi do niego. Mamarce ledwo sięga jej do ramion. - Jestem Tecja, żona Teukrosa...

Złotnik macha lekceważąco ręką.

- Wiem, kim jesteś, i zupełnie nie interesuje mnie, kim jest twój mąż czy ojciec. Niech ci się przyjrę. Pokaż mi ręce.

Tecja posłusznie wyciąga dłonie wierzchem do góry.

- Nie, nie, nie tak, dziecko. W ten sposób niczego się nie dowiem. - Mamarce odwraca jej dłonie i przytrzymuje ją za nadgarstki. - Ach tak. Dłonie artystki. Doskonale, doskonale. Otrzymałaś dar od samej Menrvy.

Złotnik uśmiecha się ciepło, budząc mimowolnie sympatię Tecji.

- Dziękuję.

Mamarce przesuwa kościstym palcem w poprzek jej lewej dłoni.

- Hellenowie wierzą, że w tych liniach kryje się wiedza o naszej przyszłości. Palce to świat pierwszy - to wszystko, co się dzieje w twojej głowie. Środkowa część dłoni to świat drugi, rządzący rzeczami materialnymi, które posiadasz i tworzysz w tym życiu. - Następnie złotnik przesuwa palcem od koniuszka jej kciuka do wewnętrznej części nadgarstka. - A tu jest świat trzeci - ukryty. Świat żywiołów.

- Znasz się na tych sprawach? - pyta zafascynowana Tecja. - Czy potrafisz czytać przyszłość?

Mamarce uśmiecha się tajemniczo.

- Każdy artysta to potrafi. Czyż nie widzimy więcej i dalej niż pozostali śmiertelnicy? Zauważyłem, że i ty zawarłaś w swoim dziele wizje. Musisz mi je objaśnić.

Tecja odwraca wzrok. Ostatnia rzecz, na jaką ma ochotę, to opowiadanie o wizjach Teukrosa. Mamarce zauważa jej niechęć.

- No cóż, może później, gdy trochę się już poznamy. Teraz pokażę ci, co zrobiono z twoją rzeźbą. - Podsuwa jej drugie wysokie krzesło. - Kiedy otrzymałem twoje dzieło, Vulca - złotnik celuje kościstym palcem w chłopca w kącie - wykonał z niego odciski w świeżej glinie. Następnie wypełniłem odciski najczystszy srebrem. Wypełnione formy umieściliśmy między blokami węgla, które następnie związaliśmy ze sobą.

Mamarce sięga na prawo i kładzie przed sobą zawiniątko.

- Oto one. Należy je jeszcze oczyścić, ale i tak robią wrażenie. Chcesz je zobaczyć?

Tecja nerwowo wciąga powietrze.

- Chcę.

Złotnik odwija materiał i na jego pomarszczonej twarzy pojawia się szeroki uśmiech.

Trzy srebrne płytki lśnią w świetle pochodni. Puls Tecji przyspiesza. Jest po części zachwycona ich pięknem, a po części przerażona, że nie posłuchała polecenia Teukrosa i w efekcie doprowadziła do uwiecznienia w srebrze tego, co nakazał jej zniszczyć.

Mamarce przesuwa zawiniątko bliżej, żeby mogła się przyjrzeć płytkom. - Na krawędziach zostało trochę zadziorów. Trzeba je delikatnie spiłować i odpowiednio wygładzić krawędzie. Pomyślałem, że może będziesz chciała poprawić niektóre linie rysunku.

Tecja przesuwa palcami po srebrze. Jest chłodne i lśniące jak lód, który nigdy się nie stopi.

- Są takie gładkie. Takie piękne. Jak skrawki nieba.

Mamarce uśmiecha się, wspominając pierwszy raz, gdy jego mistrzowie pozwolili mu dotknąć cennego metalu.

Tecja patrzy jak zahipnotyzowana. Sędzia jednak miał rację. Gliniana rzeźba, którą mu pokazała, była w istocie zaledwie szkicem. Srebro wydaje się nadawać życie wszystkim wyrzeźbionym przez nią postaciom. Przygląda się bliżej. Na twarzy wróżbity widać wątpliwości jeszcze wyraźniejsze niż na glinianym pierwowzorze. Beziemienny demon jest większy i groźniejszy. W objęciu dwojga kochanków jest taka rozpacz i poczucie końca, że Tecja czuje dreszcz.

Dostrzega tylko jedną skazę. Nierówności odcisku pozostawiły trzy niewielkie ślady na twarzy dziecka śpiącego u stóp kochanków - jeden przypominający łzę i dwa wyglądające jak rogi. Tecja kładzie dłoń na brzuchu, aby uciszyć burczenie.

Stare, mądre oczy Mamarcego śledzą każdy jej ruch. Złotnik drapie się po brodzie i zastanawia, czy rzeźbiarka będzie skłonna wyjawić mu sekret „Bram Piekła” w zamian za to, co wyczytał z jej dłoni.

Jej przeznaczenie. Krwawe i brzemienne w skutki dla nich wszystkich.

ROZDZIAŁ 27

Czasy współczesne

Komenda główna żandarmerii, Wenecja

Wchodząc do chłodnego wnętrza komendy, Valentina od razu orientuje się, że coś się stało. Wszyscy mówią przyciszonymi głosami. Po śmiechu i żartach, zwykle wypełniających korytarze, nie ma

nawet śladu. Może ktoś z dowództwa wpadł na inspekcję? Albo gorzej - jakiś polityk ogłosił kolejne cięcia w budżecie żandarmerii?

Valentina wchodzi po schodach i idzie do swojego gabinetu. Po drodze dogania ją Rafael de Scalla, oficer dyżurny.

- Carvalho cię szuka.
- Po co? - Valentina zdejmuje torbę z ramienia.

Rafael nie zatrzymuje się w obawie, że mogłyby wymknąć mu się te straszne pogłoski, które słyszał w dyżurce.

- Najlepiej sama z nim pogadaj.

Valentina wyjmuje telefon komórkowy. Szlag! Trzy nieodebrane połączenia od szefa.

Drzwi do gabinetu majora są otwarte. Valentina wchodzi do środka, trzymając przed sobą telefon.

- *Sono realmente spiacente*. Wyłączyłam dźwięk w kostnicy i dopiero zauważyłam, że pan dzwonił.

Major Carvalho podnosi na nią wzrok z zarzuconego papierami biurka. Ma zmęczone oczy. Jego czoło przecinają głębokie zmarszczki. Przed sobą ma trzy plastikowe kubki po kawie. Jeden służy jako popielniczka. Valentina była przekonana, że rzucił palenie na dobre już lata temu. To znaczy, że jest gorzej, niż myślała.

- Usiądź, proszę. - Major zapraszającym gestem wskazuje na krzesło.

Serce Valentiny wali jak młot. Zastanawia się, czy zrobiła coś złego - bardzo złego.

Major przygryza paznokciec na kciuku i wpatruje się w nią melancholijnie.

- Antonio nie żyje. Twój kuzyn. Naprawdę bardzo mi przykro.

Valentina ma wrażenie, że się przesłyszała.

- *Scusi?*

- Miał wypadek na łodzi dziś rano. Płynął z portu przy Fundamenta San Biagio na lagunę.

Valentina gapi się bezmyślnie w ścianę za szefem. Słyszała, że ludzi czasami w takich sytuacjach dopada odrętwienie, ale nigdy tak naprawdę nie rozumiała, co to znaczy. Aż do dziś.

- Nie rozumiem. Co się stało?

- Sami jeszcze nie wiemy. Wygląda na to, że w kabinie eksplodowała kuchenka gazowa. W każdym razie tak zeznali świadkowie z innych łodzi. - Major przerywa i musi ugryźć się w język, żeby przypadkiem nie powiedzieć jej, że wybuch był tak potężny, że praktycznie rozerwał Antonia na strzępy. - Dochodzeniówka i techniczni badają szczątki. Będzie pełne śledztwo.

Valentina gryzie wargę. Głęboko w środku czuje pierwsze ukłucie bólu.

- Antonio? Jest pan pewien? Nie doszło do pomyłki?

Ale z twarzy szefa wyczytuje, że żadnej pomyłki nie było.

- Nie, sam identyfikowałem ciało.

Carvalho obserwuje, jak stopniowo dociera do niej sens jego słów.

- Przynieść ci coś? - Rozgląda się za wodą i chusteczkami.

Valentina otrząsa się z odrętwienia.

- Czy... czy rozmawiał pan już z jego rodzicami?

Major krzywi się.

- Dopiero od nich wróciłem.

- Co z nimi? Czy z jego mamą wszystko w porządku?

Vito wzdycha.

- Nie, z jego mamą nic nie jest w porządku. Ani z ojcem. Ani z tobą, z tego, co widzę. - Wstaje zza biurka, podchodzi do niej i kładzie ręce na jej ramionach. - Poproszę kogoś, żeby odwiózł cię do domu. Albo do wuja i ciotki, jeśli wolisz.

Przez twarz Valentiny przebiega skurcz. Uspokajający dotyk dłoni majora w jakiś sposób otwiera tamę. Zalewa ją fala rozpaczy, ale postanawia zagryźć zęby i w żadnym wypadku nie rozkleić się przed dowódcą.

- *Grazie*, nic mi nie będzie. Sama pojedę. - Valentina wie, że major zauważył łzy w jej oczach, ale powtarza sobie w duchu, że musi być silna. Pozostać profesjonalistką. - Co z pogrzebem? - pyta, na wszelki wypadek sięgając po chusteczkę.

- *Scusi?* - pyta zdumiony Vito.

- Z pogrzebem. Muszę powiedzieć jego rodzicom i reszcie rodziny, gdzie zostanie pochowany, kiedy mogą odebrać ciało, jak to wszystko zorganizować.

- Później, Valentino. To może poczekać. - Odczekuje, aż dziewczyna wydmucha nos. - Ktoś będzie z tobą w kontakcie. Nasi ludzie będą do waszej dyspozycji. Antonio będzie miał pogrzeb ze wszystkimi honorami, tak jak na to zasłużył.

To ostatnie zdanie przeraża ją. Myśl o mundurach, gwardii honorowej, salutach armatnich sprawia, że cała ta historia wydaje jej się nieznośnie oficjalna. I nieodwołalna.

- Na pewno nie chcesz, żeby ktoś cię zawiózł? - upewnia się major, odprowadzając ją do drzwi.

- Nie. Mówiłam, że nic mi nie jest - odpowiada trochę zbyt gwałtownie. - Naprawdę sobie poradzę. *Molte grazie*. - Odsuwa się od majora. - Doceniam to, że powiedział mi pan osobiście i nie na korytarzu, panie majorze. To bardzo uprzejme z pana strony.

Kierując się ku drzwiom, Valentina ma nadzieję, że szef nie uzna jej zachowania za niegrzeczne albo niewdzięczne. Wstrzymuje oddech przez cały korytarz i omal nie przewraca się na schodach. Dopiero w garażu pozwala w końcu popłynąć łzom.

CAPITOLO XXII

Rok 666 przed Chrystusem
Atmanta

Kiedy wyczerpana Tecja wychodzi z warsztatu złotnika, jest już prawie świt. Choć ukończyła już pracę, wyczuła, że Mamarce chce ją zatrzymać. Że ma jej jeszcze coś do powiedzenia.

Larth milczy, gdy jadą z powrotem w świetle wstającego dnia. Tecja przysypia oparta o jego szerokie plecy. Ma też wreszcie chwilę, żeby pomyśleć. Pesna będzie zadowolony z ukończonych rzeźb. Srebrne tabliczki przyemią wszystkie pozostałe skarby sędziego, a z niej uczynią obiekt zazdrości wszystkich artystów w Etrurii. Pozostaje jednak problem Teukrosa. Wkrótce będzie musiała wyznać mu, że złamała jego nakaz. Że dzięki niej jego potworne wizje zostały uwiecznione w srebrze, które w dodatku będzie musiał poświęcić na polecenie sędziego.

Na myśl o wszystkich kłamstwach, jakich się dopuściła, robi jej się smutno. Przepaść między nimi powiększa się z każdym dniem.

Tymczasem Larth osadza konia.

- Jesteśmy na miejscu.

Tecja pozostaje nieruchoma. Jej myśli wciąż błądzą wokół srebrnych „Bram Piekła”. Trzy srebrne tabliczki są jednocześnie jej najwspanialszym osiągnięciem i najgorszą zdradą, ponieważ okłamywała i oszukiwała swojego męża wtedy, kiedy potrzebował jej najbardziej.

- Powiedziałem, że jesteśmy na miejscu. Złaż. Jestem zmęczony, a muszę jeszcze wrócić.

Tecja zsiada z końskiego grzbietu. Jest tak wyczerpana - i pracą w warsztacie złotnika, i ciężą - że kolana uginają się pod nią i osuwa się na ziemię.

Larth zerka na nią. Ściąga wodze konia, zawraca i odjeżdża bez słowa.

Trawa jest wilgotna od rosy, ale Tecja nie podnosi się. Obserwuje grudy ziemi tryskające spod kopyt wielkiego rumaka. Na tle różowego światła wstającego słońca wyraźnie widzi obłoczki pozostawiane przez oddech pochylonego w siodle jeźdźca, jego muskularne ramiona i rozwiane włosy. Wreszcie wstaje i powoli wchodzi do chaty, pogrążona w myślach nad Larthem, nad tym, jaki jest brutalny i przystojny jednocześnie. Już od progu czuje zapach ognia płonącego w palenisku. Teukros siedzi na posłaniu ze skrzyżowanymi nogami. Blask ognia oświetla jego twarz. Kiedy Tecja wchodzi do środka, pochyla głowę w jej kierunku.

- Sędzia żąda dla siebie zbyt wiele twojego czasu - mówi przyciszone głosem bez śladu gniewu. - Nie było cię tak długo, że zacząłem się martwić.

Tecja przystaje i spogląda na niego żałośnie. Znowu będzie musiała skłamać.

- Przepraszam, kazał mi wyrzeźbić kilka rzeczy. Sądzę, że to miał być test.

Teukros nie ma ochoty na kłótnię, więc stara się, żeby w jego głosie brzmiało raczej zainteresowanie, niż irytacja.

- Jakich rzeczy?

- Och, nic wielkiego. Drobnostki. Potem wysłał mnie do swojego złotnika. Stary wszystko pozmieniał, więc nawet nie jestem w stanie ci opisać, jak wyglądały moje rzeźby, kiedy skończył.

Teukros wyczuwa napięcie w jej głosie.

- Cóż, mam nadzieję, że Pesna odpowiednio hojnie wynagrodzi cię za czas, który spędziłaś nad jego zachciankami.

Tecja szuka dzbana z wodą.

- Też mam taką nadzieję, Teukrosie. Jestem potwornie zmęczona, a nasze dziecko kopie niczym pociągowy muł. Czy możemy nie rozmawiać już o Pesnie?

Teukros czuje się urażony. Czekał na nią całą wieczność, a wygląda na to, że za chwilę się pokłóca.

- Jak sobie życzysz.

Tecja nagle coś sobie uświadamia.

- Skąd wiedziałeś, że to ja wchodzę do chaty?

Teukros uśmiecha się.

- Rozpoznaję po odgłosach. Masz krótki krok, ale długi oddech. Stopy mojego ojca huczą jak pioruny, a w dodatku wiecznie postękuje, bo bolą go kolana.

Tecja również się uśmiecha. Przez chwilę jest między nimi tak jak niegdyś: dwoje kochanków rozbawionych prywatnym żartem.

- Moja matka z kolei krząta się jak pies usiłujący ugryźć własny ogon. Jeśli chodzi o Lartuzę, to nie sposób usłyszeć jego kroku, bo stale mamrocze i szemrze jak górski strumień.

Tecja w końcu znajduje dzban.

- Choć jesteś pogrążony w ciemności, uczysz się widzieć słuchem.

- Istotnie. I widzę więcej, niż sądzisz. Połóż się przy mnie.

- Tylko napiję się wody. Chcesz?

- Nie, dziękuję.

Teukros słyszy, jak jego żona łąpczywie pije.

Jej wargi są wciąż zimne, gdy podchodzi do niego i całuje go w policzek. Uczucie chłodu na skórze sprawia, że mąż się uśmiecha. Tecja przez chwilę czuje się znowu szczęśliwa.

- Przepraszam, że tak długo mnie nie było. Naprawdę. Jak się czujesz?

Teukros dotyka dłonią jej włosów.

- Ból zniknął, ale wciąż się boję. Pesna przybędzie później, gdy zdejmą mi bandaż. Co będzie, jeśli na zawsze pozostanę ślepy?

Tecja otacza go ramieniem.

- Lartuza mówi, że twój wzrok może wrócić później.

- A jeśli nie wróci?

- Jakoś sobie poradzimy. Jestem tego pewna.

- Pesna będzie chciał mieć nowego wróżbitę. To zrozumiałe. Mam tylko nadzieję, że pozwoli mi żyć i będziemy mogli oboje stąd wyjechać.

Tecja bierze głęboki oddech. Czas powiedzieć mu prawdę. A przynajmniej jej część. Zanim jednak zdobywa się na wyznanie, do głowy przychodzi jej pewna myśl: jeśli Teukros pozostanie ślepy, jej kłopot sam się rozwiąże. Nigdy nie zobaczy rzeźby, którą wykonała dla Pesny i nigdy nie dowie się, co każą mu poświęcić w świątyni. A przede wszystkim nigdy nie skrzywdzi jej dziecka.

CAPITOLO XXIII

Północna Etruria

Caele, syn Setrego i Arrii, myśli o odległym brzegu, który właśnie ukazał się nad lśniącymi wodami morza. Wyobraża sobie piasek pod stopami i chętną kobietę między nogami.

Przy pomyślnym wietrze jedno i drugie czeka go jeszcze przed zmrokiem.

Cztery miesiące na morzu to stanowczo za długo dla młodego człowieka, który ma przecież swoje potrzeby. Żeglowali na południe po wodach Hadriatyku, a potem na północny zachód Tyrrenium, aż do Pupluny. Następnie, ku zdumieniu załogi, Caele nakazał ominąć Atmantę i skierować okręt na wschód. Dopiero gdy dotarł do ujścia Hadriatyku, zawrócił do domu.

Podróż obfitowała w wydarzenia. Caele i jego marynarze walczyli z liguryjskimi piratami, handlowali z Egipcjanami i Hellenami, a wyprawa pochłonęła życie czterech ich towarzyszy. Dwóch zginęło podczas sztormu, dwóch zabrała choroba.

Nie przetrwaliby jednak tak długo na morzu, gdyby nie ich okręt. „Hinthial”, czyli Duch, był jednym z największych statków handlowych w Etrurii. Niskie i szerokie burty nadawały mu wygląd rozplaszczonej żaby, zwłaszcza na de mniejszych i szybszych jednostek zmierzających do portu, ale zasadniczym zadaniem „Hinthiala” było przewożenie towarów, a nie budzenie zachwyty. Zazwyczaj na jego pokładzie przewożono oliwę z oliwek i wino, przechowywane w olbrzymich amforach, przymocowanych za uchwyty do pionowych stojaków. Od niedawna „Hinthial” przewoził jednak również inne ładunki. Mniejsze i cenniejsze, dostarczane przez starego przyjaciela Caelego, Pesnę. Srebro sędziego trafiało na pokład statku zarówno w formie nieobrobionego metalu, jak i gotowej kosztownej biżuterii. Srebrne pierścienie i naszyjniki od Pesny były prezentami godnymi księżniczek i księżąt, królów i królowych. Gdyby załoga zwęszyła, jakie skarby znajdują się w ładowni, Caele natychmiast pożegnałby się z życiem.

Wiatr słabnie. Dwa olbrzymie prostokątne żagle zwisają smętnie na masztach. Ale to nie kłopot. „Hinthial” jest już na tyle blisko

lądu, że Caele niemal czuje na ustach smak pitnego miodu. Nakazuje obudzić wioślarzy, żeby jak najprędzej dobić do brzegu.

Marynarze ledwo jednak zasiadają do wiosła, gdy Caele dostrzega coś w wodzie. Worki ze zbożem. Pięć, sześć, nie, siedem.

Po dziwnym sposobie, w jaki się unoszą, domyśla się, że raczej nie są wypełnione owsem, ryżem ani jęczmieniem. Więc czym? Może czymś cennym?

Caele wywołuje kapitana i pokazuje mu worki.

- Niech ktoś je wyłowi i przyniesie na pokład. Być może piraci, uciekając, pozostawili łup. Tak duże worki raczej nie trafiają się przypadkowo tak daleko od brzegu.

Na linach opuszczana jest niewielka łódka. Kilku niewolników, pragnąc przypodobać się panu, skacze do wody po pływające worki.

Caele przechodzi na rufę i zasiada przy potężnym kamiennym obciążniku owiniętym linami i opatrzonym jego imieniem. To kottwica, wymyślona przez jego rodaków w Etrurii. Podczas ostatnich podróży sprzedał ich już ponad dwadzieścia.

Tymczasem niewolnicy z całej siły przykładają się do długich wiosła. Zawsze pracują mocniej, kiedy widzą właściciela statku w odległości trzaśnięcia biczem.

Do Caelego podchodzi kapitan z twarzą ponurą jak chmura gradowa.

- Bogowie ci nie poszczęścili. W workach niczego nie ma.

Caele kręci głową.

- Nie istnieje coś takiego jak nic. Powtarzałem ci to wielokrotnie. A gdybyś kiedyś rzeczywiście znalazł nic, to byłoby dopiero coś. Dlatego powiedz mi wreszcie, co wyłowili niewolnicy?

- Człowieka. A raczej jego części. Posiekane jak mięso na ucztę dla morskich demonów. Upchane do worków i wrzucone do morza wielkiemu Trytonowi na wieczerzę.

- Tryton to helleński bóg morza, głupcze. Jesteś już w Etrurii, więc pamiętaj, komu jesteś winien posłuszeństwo. O naszym losie decyduje Nethuns.

- I zdecydował, że odniesiesz korzyść z wyłowienia kilku worków zawierających pociętego na kawałki człowieka?

Caele spogląda na ociekającą zdobycz.

- Sprawdź, czy nie ma przy nim... to znaczy, czy przy jego kawałkach nie ma czegoś cennego.

Kapitan odwraca się i odchodzi.

- Czekaj! Być może to znalezisko to znak. Ostrzeżenie, że niedługo odwiedzi nas śmierć. Niech ludzie zostaną w szalupie i przeszukają okolicę. Skrupulatnie. Jeśli bogowie istotnie zsyłają nam znaki, nie chcę, żebyśmy opacznie je zrozumieli przez lenistwo niewolników. A teraz zabierz nas jak najszybciej do brzegu i pamiętaj - nikomu ani słowa o tym, co tu widzieliśmy.

ROZDZIAŁ 28

Czasy współczesne

Luna Hotel Baglioni, Wenecja

Gondole kołyszą się delikatnie na zalanych księżycowym światłem kanałach. Letni wieczór przynosi ze sobą przyjemnie ciepłe powietrze. W całej Wenecji muzycy wsiadają do łodzi, by zarzucić

przynętę na ławice zakochanych turystów spacerujących nad brzegami kanałów.

Tina obserwuje ich z hotelowego okna. Nie musi mieć dziennikarskiego zmysłu, żeby zauważyć, że Tom nie jest w nastroju na romantyczne przechadzki. Wyszła z hotelu tuż po śniadaniu. Tom zapomniał o kluczu, który dla niego zostawiła. Zapomniał też o numerze telefonu, który zapisała mu na wizytówce. Wygląda na to, że zapomniał absolutnie o wszystkim, poza martwą piętnastolatką na stole laboratoryjnym w kostnicy.

Zaplanowała dla niego coś specjalnego, ale kiedy wrócił z kostnicy, od razu pomaszzerował do biurka w kącie pokoju i zaszył się przy nim. Niespodzianki nie mają sensu, kiedy ktoś jest w takim nastroju. Trzeba idealnie wyczuć moment na takie sprawy, w przeciwnym razie nie ma nawet po co próbować.

Tina włącza CNN. Kolejna pyskówka na temat polityki gospodarczej Obamy. Gapi się w ekran, pozostawiając Toma własnym myśłom i notatkom, które zapisuje na hotelowej papeterii.

- Cholerni republikanie i demokraci. Chciałabym, żeby choć raz przestali się klócić i wspólnie spróbowali wyciągnąć nas z tego bagna.

Tom odpowiada chrząknięciem.

- A właśnie, zapomniałam ci powiedzieć. Chcę pójść posłuchać Vivaldiego jutro albo pojutrze wieczorem. Miałbyś ochotę? Czy to nie twoja muzyczna bajka?

Tom przestaje pisać.

- Jasne, bardzo chętnie. Wprawdzie wolę Creed niż Vivaldiego, ale czemu nie? Poszerzę horyzonty.

Tina ścisza telewizor i zanosí mu na biurko ulotkę.

- Dostałam w recepcji. Konsjerż ma w Ateneo di San Basso znajomego, który załatwia dobre miejsca. Będzie grała Orkiestra Kameralna św. Marka, podobno są najlepsi.

Tom zerka na ulotkę. Dowiaduje się z niej, że Vivaldi pracował w Wenecji jako nauczyciel gry na skrzypcach, napisał ponad sześćdziesiąt dzieł, a w końcu został dyrektorem teatru Sant'Angelo. Odkłada ulotkę.

- Kojarzę tylko *Quattro stagioni*, chociaż przez większość życia byłem przekonany, że to nazwa pizzy.

Tina śmieje się.

- Najwyższy czas poszerzyć twoją edukację. Co tam piszesz?

- Luźne myśli. Jeden z policjantów powiedział w kostnicy coś, co nie daje mi spokoju.

Tina staje za nim i masuje jego ramiona.

- Może Paryż byłby jednak lepszym pomysłem. Albo Londyn.

- To samo pomyślałem.

- No więc co dokładnie nie daje spokoju tej twojej uroczej głowie?

Tom zapisuje cztery litery i podkreśla je.

- K-U-L-T. Myślę, że możemy mieć do czynienia z jakimś kultem. Z elementami satanizmu oraz obrzędów i mitologii przedchrześcijańskiej.

- Nowy czy istniejący od dawna?

Tom podnosi na nią wzrok.

- Dobre pytanie. Tego będą się musieli dowiedzieć *carabinieri*. - Obejmuje ją i sadza sobie na kolanach. - Przepraszam, że jestem dzisiaj mało przyjemny. Ale nie mogę przestać myśleć o tej sprawie.

Tina całuje go.

- Wiem i rozumiem to. Cieszę się, że próbujesz im pomagać. -
Wstaje i bierze go za rękę. - A teraz rusz na minutę ten swój smutny
tyłek i chodź coś zobaczyć.

Ciągnie go za sobą przez pokój, obok telewizora, komody i świeżo
zasłanego łóżka, które zamierza przy pomocy Toma możliwie jak
najszybciej doprowadzić do poprzedniego stanu.

- Zamknij oczy.

Tom czuje się głupio.

- Zasłoń rękami. Żadnego podglądania.

Tina jest za niska, żeby widzieć, czy Tom nie oszukuje. Staje na
czubkach palców, żeby sprawdzić, po czym bierze go ponownie za
rękę i prowadzi kilka kroków w lewo.

- Dobra. Teraz możesz patrzeć.

Tom otwiera oczy.

Stoi przed otwartą szafą wypełnioną szczelnie bluzkami, spódnicami,
sukniami, spodniami i butami. W życiu nie widział tylu butów!

- Po lewej, głupku. - Tina odwraca go za ramiona.

Teraz Tom rozumie, o co chodzi. Jeszcze więcej ubrań. Męskich.
Nowe ubrania dla niego. Tylko dla niego.

- Nie kupiłam ci kapłańskich szat - mówi Tina i natychmiast ma
ochotę ugryźć się w język. - Nawet jeśli twoja torba w końcu się
znajdzie, raczej nie będziesz ich już potrzebował, co?

Jej hojność odbiera mu mowę. Przesuwa palcami po wieszakach:
dwie pary lekkich spodni, trzy eleganckie bawełniane koszule, dwa
wełniane swetry i czarna wełniana marynarka ze srebrną podszewką,
nadająca się w równym stopniu na formalne, jak i nieformalne okazje.

Odwraca się, żeby jej podziękować. Zastanawia się nawet, czy przyznać się jej, że od śmierci matki nikt nigdy nie kupił mu żadnych ubrań. Ale Tiny przy nim nie ma.

Stoi przy łóżku. W palcach trzyma parę slipek od Calvina Kleina.

- Chodź no tu. Muszę sprawdzić, czy będą pasowały na ten twój smutny, ale doskonale wyrzeźbiony tyłek.

CAPITOLO XXIV

Rok 666 przed Chrystusem

Atmanta

Teukros od dawna obawiał się tej chwili. Zdjęcia bandaży. Wreszcie dowie się, czy wciąż jest ślepy.

W chacie uzdrowiciela jest Tecja i jego rodzice. Teukros nie widzi ich twarzy, oczekujących w napięciu.

Sędzia przysłał jako emisariusza Lartha Oprawcę, który siedzi na drewnianym stołku obok posłania wróżbity.

- Pesna nakazał mi powiadomić cię, że świątynia została ukończona. Niewolnicy z kopalni zostali skierowani na budowę. Pracowali bez wytchnienia dzień i noc, aby ukończyć ją na czas. Święte wnętrza świecą się jak złoto i oczekują na twoje ofiary i błogosławieństwa.

Teukros wątpi, żeby sędzia wysłał na budowę wielu robotników, i podejrzewa, że świątynia jest zbudowana byle jak.

- Bóstwa będą zadowolone - odpowiada sarkastycznie.

Larth chwyta go za ramię.

- Nie próbuj mnie rozśmieszać, wróżbito. Gdybyś mógł mnie zobaczyć, pomyślałbyś dwa razy, zanim odważyłbyś się zbesztać mnie jak dziecko.

Venti robi krok naprzód, ale Teukros, wyczuwając ruch ojca, powstrzymuje go.

- Ojcze, proszę. Nic mi nie grozi. - Kładzie dłoń na żelaznym uścisku Lartha. - Przybyszu, ja nie potrzebuję oczu, żeby cię widzieć. Jesteś katem, dręczycielem, przepelnionym po równi ambicją i nienawiścią. Jeśli nie chcesz, żeby bogowie cię przeklęli, puścisz moją rękę.

Larth cofa rękę. Teukros czuje odcisk jego palców na skórze.

- Połóż się, proszę - mówi Lartuza, lekko popychając kapłana z powrotem na posłanie. - Tecjo, zasłoń okno. Nie możemy dopuścić, żeby jasne światło padło na źrenice.

Tecja zamyka grube okiennice wewnątrz pokoju, mocując się z zapadką. Drewno okiennic wypaczyło się i nie pozwala się ustawić równoległe do ściany.

Lartuza tymczasem zapala świecę i stawia ją obok posłania.

- Teukrosie, nie otwieraj oczu, dopóki ci nie powiem.

Tecja przeciska się do męża. Bierze go za rękę. Teukros ścisną jej dłoń, gdy uzdrowiciel zaczyna zdejmować bandaż. Tkanina klei się od potu na jego skórze i pozostawia białe ślady. Lartuza zanurza baranią wełnę w drewnianej misce z wodą i przemywa mu oczy. Następnie osusza twarz Teukrosa i modli się pod nosem:

- O Turan, wielka bogini miłości, zdrowia i płodności, błagamy cię, byś okazała Teukrosowi łaskę, której tak bardzo potrzebuję.

Błagam wszystkich bogów, których znamy, i tych, którzy pozostają przed nami ukryci, aby okazali miłosierdzie, przywracając Teukrosowi wzrok.

Uzdrowiciel całuje czubki palców i kładzie je ostrożnie na brwiach wróżbity.

- Możesz otworzyć oczy.

Teukros leży w bezruchu.

- Dziękuję ci, Lartuzo. Zanim poddam się tej próbie, mam coś do powiedzenia, a wy wszyscy, którzy się tu zgromadziliście, musicie mnie wysłuchać. Mówię do was jako wasz kapłan i wróżbita. W ciemności, która mnie otoczyła, zobaczyłem więcej, niż przez wiele lat w świetle dnia.

Venti kładzie ostrzegawczo dłoń na ramieniu syna.

- Ostrożnie, synu.

- Etruria jest w niebezpieczeństwie. Z każdym dniem rosną jej bogactwa, ale za horyzontem czai się katastrofa. Taka, której nawet bogowie nie będą mogli zapobiec.

Venti nachyla się do syna.

- Dość, Teukrosie - szepcze. - Nie powinieneś mówić o takich sprawach w obecności obcych.

Teukros ucisza ojca gestem.

- Ujrzałem demona, który zwrócił wzrok na Atmantę. Bóstwo tak potężne, że Aita i jego duchy umykają przed nim jak przerażone dzieci.

- Dość! - Venti odwraca się do Lartha. - Mój syn wciąż nie wyzdrowiał. Zioła uzdrowiciela zaćmiły mu umysł.

- Mój umysł jest czysty, ojcze - mówi Teukros, otwierając oczy.

Wszyscy pochylają się nad nim, wpatrując intensywnie w jego źrenice. Nikt nic nie mówi.

Tecja już wie. Podobnie jak matka Teukrosa.

- Milczycie, ale już wiecie to, co ja - mówi wróżbita. - Jestem ślepy. I na zawsze ślepy pozostanę.

Lartuza zbliża świecę do oczu Teukrosa, który krzywi się.

- Lartuzo, za chwilę podpalisz mnie tą świecą. Może jej nie widzę, ale czuję płomień na twarzy.

Uzdrowiciel cofa się.

Teukros kiwa palcem na Lartha.

- Przybyszu, ty o silnej dłoni, sądzę, że nie przybyłeś tu jako zwykły posłaniec. Pomóż mi wstać i zabierz mnie do sędziego Pesny. Mamy pilną sprawę do omówienia.

ROZDZIAŁ 29

Czasy współczesne
Wenecja

Maria Carvalho, czterdziestodwuletnia żona majora żandarmerii, położyła się do łóżka z pomocą swojej siostry Felicji.

Już śpi, gdy Vito wreszcie wraca do domu.

Maria cierpi na stwardnienie rozsiane. Jedenaście lat wcześniej usłyszała od lekarza, dlaczego stale dręczą ją drgawki, kłopoty z utrzymaniem równowagi i zaburzenia widzenia. Tamta środa rano zmieniła jej życie na zawsze.

To przez chorobę Marii jej mąż odszedł ze służby w Mediolanie. Był gwiazdą mediolańskiego wydziału zabójstw i właśnie zaferowano mu awans, ale zdecydował się przenieść do prowincjonalnej Wenecji. Nigdy nie przyznał się Marii, z czego zrezygnował. Powiedział jej, że były cięcia, zmiany przydziałów, a poza tym wypadł z łask dowódcy. „Przeprowadzka dobrze mi zrobi”, mówił. To będzie nowy początek.

Praca i Maria to dwie najważniejsze rzeczy w życiu majora Carvalho, choć nie w tej kolejności. I nigdy, nawet przez sekundę, nie żałował decyzji o wyjeździe z Mediolanu. Dziś jednak czuje się zardzewiały. Powolny. Zamordowana piętnastolatka. Zabójca na wolności. Już to wystarczało, żeby zepsuć mu nastrój. Ale martwy policjant... W dodatku policjant, dla którego był mentorem, traktował go jak syna. Z tym już nie potrafi sobie poradzić samą siłą woli.

Otwiera drzwiczki do kredensu z taniego tekowego drewna, które zostawili po sobie poprzedni właściciele mieszkania. Ze środka wyjmuje butelkę brandy i szklankę. To jego towarzysze na dzisiejszy wieczór. Znają się od lat. Bierze długi łyk Vecchio rocznik 1976. Brandy pali go w usta, a potem spływa jak lawa do żołądka.

Ich mieszkanie jest ciasne. W salonie panuje niemal całkowita cisza. Wszechobecny smutek potęguje każdy dźwięk do ogłuszającego ryku. Rozlega się brzęczenie zegara na kominku. Maria wierci się w łóżku. Deski podłogi skrzypią. Nawet przełykana brandy przypomina odgłos opróżnianej studni.

Vito odstawia szklankę i gapi się w sufit. Próbuje odpędzić od siebie obraz twarzy rodziców Antonia, kiedy przyniósł im wiadomość o śmierci syna. Stara się zapomnieć, jak Valentina tylko nadludzka siłą woli zdołała nie rozpaść się przed nim na kawałki.

Stopniowo brandy przenika do krwi i major zaczyna się rozluźniać. Być może nawet udałoby mu się w miarę spokojnie usnąć, gdyby w tym momencie nie zadzwieczał telefon komórkowy.

Vito odbiera szybko, żeby dzwonek nie obudził Marii.

- *Pronto.*

Dzwoni Nuncio di Alberto. Młody funkcjonariusz, któremu wypadła nocna zmiana na dyżurce wydziału zabójstw. Vito słucha uważnie. Słowa Nuncia natychmiast go otrzeźwiają.

Myślał, że gorzej już być nie może. Mylił się.

- Jesteś pewien? Nikomu nic się nie pomyliło?

Nuncio twierdzi, że jest stuprocentowo pewien.

- Próbowałem dodzwonić się do porucznik Morassi, panie majorze, ale nie odbiera komórki.

- Nie zawracaj jej już dzisiaj głowy. Przyjdzie jutro rano, to wszystkiego się dowie.

Major zerka na zegarek. Północ. Jego dzień pracy powinien właśnie się kończyć, a nie zaczynać.

CAPITOLO XXV

Rok 666 przed Chrystusem

Dom sędziego, Atmanta

Wielka mapa, którą Pesna studiuje na podłodze gabinetu, wykonana jest z lnu zamiast z papirusu. Sędzia, podobnie jak wielu mieszkańców Etrurii, lubi podkreślać swoją odrębność od Hellenów.

Oni swoje teksty zapisują na papirusie i przechowują w zwojach, natomiast Pesna i reszta szlachty w Etrurii preferują len i składanie dokumentów w kostkę. Etruski alfabet, zapisywany bustrofedonem, także różni się znacznie od helleńskiego. Pesna jest przekonany, że za jego życia umrze ostatni Hellen, który będzie potrafił go odczytać.

Jest przy nim Caele, odprężony i w dobrym nastroju po odpoczynku i czułych zabiegach cudzoziemskich nierządnic w łaźni. W gabinecie siedzi również Kavier, skupiony i napięty.

Właściciel „Hinthiala” zakreśla palcem rozległy obszar na wschód od Atmanty, sięgający północnych krańców Hadriatyku.

- Jesteś teraz posiadaczem tych mokradeł, sięgających odtąd do tam. Zgodnie z twoją prośbą zbadaliśmy ten teren i nie znaleźliśmy żadnych znaczących osad.

Kavier podnosi wzrok znad mapy.

- Czyli ktoś tam jednak mieszka?

- Już nie. - Wyraz twarzy Caelego mówi wszystko o charakterze jego wyprawy. - Te ziemie należą teraz do Pesny.

- A to? - Pesna robi palcem kółko na grupie wysp u brzegów jego nowych ziem.

- Wątpię, czy warto zadawać sobie kłopot z tym miejscem. To mokradła stale zalane wodą. Nie da się tam niczego zbudować.

Pesna robi sceptyczną minę, jakby uważał, że armator nie mówi mu całej prawdy. Caele prychnął.

- Przyznaję, nie podpłynąłem zbyt blisko z obawy, żeby nie trafić na mieliznę. Słyszałem jednak, że te tereny są niezamieszkałe, poza kilkoma szalonymi wyspiarzami, którzy żywią się wyłącznie rybami i przypuszczalnie własnymi dziećmi.

Kavier podnosi czarkę z winem.

- Tym skrawkiem ziemi i durnymi rybakami możemy zająć się później. Teraz świętujmy! Pesno, masz wreszcie ziemię pod nową osadę. To historyczna chwila.

Wszyscy trzej stukają się czarkami i wychylają wino. Sędzia podchodzi do długiego stołu, na którym stoją kolejne dzbany.

- Złóż mapę, Kavię. Usiądźmy na powietrzu i pomówmy o zbliżającym się zjeździe.

Napełniają naczynia i siadają na zaścielonym poduszkami siedzisku wychodzącym na ogrody. Pesna owija tunikę wokół nóg.

- Nasz cel jest prosty: musimy zadbać o to, żeby przywódcy miast wyjechali stąd, uznając mnie nie za równego sobie, ale za przyszłego przywódcę. Za człowieka, który pozwoli im zrealizować ambicje wykraczające poza najśmielsze marzenia...

Caele dotyka ramienia sędziego.

- I obsypie ich niewyobrażalnym bogactwem.

- W istocie - kiwa głową Pesna. - Jeśli odrzucimy siłę i strach - a musimy odrzucić, ponieważ nie dysponujemy żadną potężną armią - pozostaną nam tylko dwa sposoby na kontrolowanie wpływowych ludzi: ich przyrodzenia i sakiewki. Po ceremonii w świątyni, zanim przejdziemy do ucztowania i kobiet, zabierzemy naszych szacownych gości do kopalń i obsypimy ich prezentami. Moi złotnicy pracują bez chwili przerwy. Następnie zapewnimy sobie ich poparcie - i wsparcie ich żołnierzy - dla budowy nowych osad na wschód od rzeki Po.

Rozmowę przerywa pukanie. W drzwiach staje Larth.

- Zgodnie z twoją prośbą przywiozłem wróżbitę. Czeka na zewnątrz.

Pesna wygrzebuje się z poduszek.

- Wprowadź go.

- Wróżbita wciąż jest ślepy, panie.
- Wobec tego jest nowością. - Sędzia zerka na Kavięgo. - Mam nadzieję, że nie pomyliłeś się co do jego użyteczności.

Larth wpycha Teukrosa do komnaty. Młody kapłan ciężko dyszy, nie wiadomo, czy ze strachu, czy z wysiłku.

- Wygląda jak bezpański pies - mruczy pod nosem Caele.
- Miejmy nadzieję, że nie zapomniał wszystkich sztuczek - dodaje Kavię, chichocząc.

Teukros przykłada końce palców do skroni.

- W tej komnacie jest czterech ludzi. Dwóch nie znam - siedzą po południowej stronie przy otwartym oknie i szepczą. Człowiek, który mnie tu przywiózł, stoi za mną przy drzwiach, niepewny swojej pozycji w tym zgromadzeniu.

Teukros robi jeden krok w lewo i jeden naprzód. Kłania się, wyciągając dłoń.

- Witam cię, sędzio. Utraciłem wzrok, ale widzę więcej, niż kiedykolwiek wcześniej.

Pesna ujmuje dłoń Teukrosa w obie ręce.

- Przykro mi, że nie odzyskałeś wzroku. Zaprosiłem wielu szlachetnie urodzonych mężów na poświęcenie naszej świątyni i miałem nadzieję, że będziesz w stanie odprawić ceremonię.

- Wciąż mogę wypełniać swoje obowiązki, panie.

Pesna uśmiecha się kpiąco do towarzyszy.

- Bardzo natchniona odpowiedź, mój ślepy przyjacielu. Powiedz mi, proszę, czy pomimo swojej ułomności sądzisz, że bogowie wciąż chcą, abyś służył nam jako wróżbita?

Teukros zachowuje stoicki spokój.

- Moja wiara pozostaje niezachwiana.
- Życzę sobie, żebyście pozostawili mnie sam na sam z moim kapłanem - nakazuje Pesna przyjaciółom i Larthowi.

Caele i Kavier wymieniają spojrzenia i w milczeniu wychodzą. Oprawca podąża za nimi.

Pesna obchodzi Teukrosa wokół, przyglądając mu się badawczo.

- Twoja żona jest utalentowaną rzeźbiarką. Czy powiedziała ci, co zrobiła dla mnie?

- Powiedziała, że poleciłeś jej udać się do złotnika i wykonać dary dla bogów - tabliczki, po jednej na każde pomieszczenie świątyni - które mam poświęcić wraz z innymi ofiarami.

- Ach, tak. - Pesna widzi, że przebiegłość młodej Tecji dorównuje jej talentowi. - Twoja żona dobrze cię poinformowała. Istotnie będę wdzięczny, jeśli poświęcisz te dary wraz z innymi, które przechowuję w sąsiednim pokoju.

- Czy mogę dotknąć rzeźby, którą wykonała moja żona? Chciałbym się z nią zapoznać.

Sędzia jest zaintrygowany jego prośbą.

- Wystawiasz moją cierpliwość na próbę, wróżbito. Nie wiem, jak to się dzieje, ale mam wrażenie, że nie pochwalasz wszystkich moich zamysłów.

- Mogę?

Pesna na końcu języka ma odmowę, ale nagle przychodzi mu do głowy pomysł. Zabawi się kosztem tego ślepeca.

- Chodź ze mną - nakazuje sędzia. - Dopilnuję, żeby nic nie stało ci na drodze.

Teukros pozwala mu poprowadzić się najpierw przez jedne drzwi, potem przez następne.

- To jest komnata darów - oznajmia Pesna. - Znajduje się tu ponad dwadzieścia dzieł, których wykonanie zleciłem osobiście i które ofiaruję bogom.

Sędzia prowadzi Teukrosa na środek pokoju.

- Stoisz dokładnie pośrodku, wróżbito. Zobaczmy, czy bogowie wciąż są dla ciebie łaskawi.

Podjmuje Teukrosa za łokcie i zaczyna powoli kręcić nim w kółko.

- Jeśli zdołasz odnaleźć rzeźbę swojej żony, pozostaniesz moim wróżbitą i wyświęcisz świątynię. Jeśli nie, Larth za pomocą swoich haków sprawdzi, z jakiej ulepiono cię gliny.

Sędzia puszcza Teukrosa, który prawie traci równowagę.

- Ach, byłbym zapomniał - dorzuca złośliwie. - W tej grze obowiązuje jedna zasada: wolno ci dotknąć tylko sześciu przedmiotów. Wybieraj mądrze, wróżbito.

Teukros usiłuje złapać równowagę. Uspokaja łomoczące dziko serce i oddech. Słyszy szelest i skrzywienie eleganckich skórzanych sandałów sędziego po lewej. Domyśla się, że Pesna stanął w pobliżu srebrnych tabliczek. Na pewno nie tuż obok. Raczej naprzeciwno, tak aby mieć lepszy widok na poszukiwania.

Wyostrome zmysły Teukrosa podpowiadają mu, że komnata pozbawiona jest okien. Z pewnością z ostrożności, aby uchronić skarby sędziego przed złodziejami. Jedyne powiew świeżego powietrza - wokół sandałów - czuje od drzwi, przez które weszli do środka.

Zastanawia się przez chwilę. Pesna zakręcił nim i cofnął się. Teukros pamięta odgłos skórzanych sandałów. Nie dalej jak trzy kroki od niego. W najgorszym razie cztery. W końcu ma jakiś punkt orientacyjny. Próbuje sobie przypomnieć, co Tecja opowiedziała mu o swojej wizycie w tym miejscu. Wspominała o ścianie zastawionej wazami. Naprzeciwno niej stał długi dębowy stół pełen dzieł wspólniejszych, niż kiedykolwiek widziała na oczy.

Wróżbita wyciąga przed siebie prawą rękę i ostrożnie robi krok w bok. Pesna tłumy chichot. Stopa Teukrosa ociera się o podstawę

dużej, ceramicznej wazy. Serce podchodzi mu do gardła. Wybrał niewłaściwą stronę.

- Jestem w dobrym nastroju, więc uznaję, że to się nie liczyło - kpi Pesna.

Teukros przełyka ślinę, próbując się uspokoić. Obraca się w przeciwnym kierunku. Wyciąga drugą rękę i robi krok w bok. Jeśli się nie pomylił, długi stół powinien być po prawej.

Pusto. Jeszcze jeden krok. Pusto. I jeszcze jeden. Dobiega go zduszony chichot. Oczyma wyobraźni widzi sędziego, który obiema rękami zasłania usta, żeby nie ryknąć śmiechem.

Nagle Teukros zawadza o coś prawym biodrem. Coś twardego. Stół. Przebiega go dreszcz podniecenia. Opuszcza rękę i dotyka krawędzi. Przesuwa palce, dopóki nie natrafia na kant.

Pesna milknie. Zaczyna się zastanawiać, czy pozornie niezborne ruchy wróżbity mają jakiś cel.

Teukros powoli idzie przed siebie. Cały czas przytrzymuje się ręką krawędzi stołu. Dociera do krańca. Gdy tylko czuje, że palce tracą oparcie, zatrzymuje się. Dwadzieścia kroków długości. Piękny mebel. Teukros idzie z powrotem. Dziesięć kroków. Zatrzymuje się. Jest na środku. Ostrożnie wyciąga przed siebie obie ręce. Potrąca wazę po lewej.

- To jeden - mówi Pesna.

Prawa ręka Teukrosa uderza o coś drewnianego.

- Dwa!

Wróżbita przełyka ślinę. Jeśli się nie pomylił, tabliczki powinny być dokładnie pod jego palcami. Opuszcza dłoń. Pusto. Pesna podchodzi krok bliżej. Staje za plecami wróżbity. Teukros czuje na karku jego oddech. Do przodu czy do tyłu? W którą stronę ma szukać? Przesuwa ręce w kierunku frontu stołu. Biżuteria.

- Trzy!

Cofa palce. Misy?

- Cztery! Larth już szykuje swoje haki.

Teukros nieruchomieje. Jednak nie przemyślał swojego planu tak dokładnie, jak sądził. Gdzie sędzia położyłby najcenniejsze skarby? Z pewnością na środku stołu. Ale nie przy krawędzi, bo mogłyby spaść. Najbezpieczniej byłoby przy ścianie. Być może nawet na jakimś drewnianym podwyższeniu, aby jego chciwe oczy mogły lepiej je widzieć.

Czas sprawdzić tę teorię. Teukros wyciąga rękę. Łokciem zawadza o wazę i słyszy, jak naczynie się przewraca. Pesna podchodzi do stołu i przytrzymuje wazę.

- Pięć! Została ci już tylko jedna szansa.

Teukros wyciąga się nad stołem. Coś strzela mu w kręgosłupie. Krawędź stołu wpija się boleśnie w nogi. Opuszcza ręce. Pod palcami czuje chłodny metal. Srebro. Nie ma żadnych wątpliwości. Rozlegają się oklaski. Pesna z entuzjazmem bije brawo.

- Znakomicie! Doskonale! Jestem pod wrażeniem.

Klepie Teukrosa w plecy. Ale wróżbita tego nie czuje. Całe jego ciało ogarnia odrętwienie. Głowę rozsadza mu potworny ból. Podobny do tego, który powalił go na kolana podczas ceremonii w gaju.

Przez chwilę wydaje mu się, że słyszy głosy. Echo głosów z czarnej otchłani ponad światem. Potem pojawiają się wizje. Wizje boga-demona i jego własnej śmierci. Ale jest coś jeszcze. Coś gorszego. Niewyraźnego i nieokreślonego. Dziecko.

Teukros upada na podłogę, kurczowo ściskając trzy tabliczki z Atmanty. Przed oczami wciąż ma przerażający obraz nienarodzonego dziecka gwałciciela. Dziecko rośnie. Zmienia się. Staje się czystym złem, jak demon, który zesłał je na świat.

ROZDZIAŁ 30

Czasy współczesne
Fundamente Nuove, Wenecja

Vito Carvalho bierze papierosa od żołnierza pilnującego miejsca zbrodni i przypomina sobie informacje, które usłyszał przez telefon tuż przed północą. „Ciało mężczyzny. Poćwiartowane. Części ciała upchnięte w workach na śmieci z grubego plastiku, dodatkowo umieszczonych w dużych płóciennych torbach. Obciążone starymi ceglami. Znaleźliśmy je w północnej części laguny, z daleka od regularnych tras taksówek wodnych i vaporetti”.

Vito wydmuchuje dym i spogląda na ciemne wody. Gdyby nie nurkowie badający muliste dno kanału w poszukiwaniu szczątków motorówki Antonia Pavarottiego, nigdy nie natrafiliby na poćwiartowane ciało.

Łukowe lampy rzucają na nabrzeże białawe światło jak ze starego horroru. Major mija ekipy poszukiwawcze i funkcjonariuszy dochodzeniówki grzebiących w cuchnącym mule i wodorostach.

Zauważa bladego jak ściana Nuncia di Alberto rozmawiającego z jednym z nurków. Jego kombinezon jest opuszczony do pasa, a z jego ciała buchają kłęby pary w chłodnym, nocnym powietrzu.

Z białego plastikowego namiotu dobiega głos *professore* Montesano. Vito wie, z kim rozmawia patolog, zanim jeszcze odgarnie połę namiotu i wejdzie na podłogę z desek ułożoną przez dochodzeniówkę, aby uchronić miejsce przestępstwa przed obcymi śladami.

- *Ciao* - wita się major. - Nie chcę być niegrzeczny, ale miałem nadzieję nie oglądać żadnego z was przez jakiś czas.

Montesano macha mu na powitanie ręką w lateksowej rękawiczce.

Valentina Morassi usiłuje się uśmiechnąć, ale bez skutku.

- *Ciao*, panie majorze. - Stres i napięcie poprzedniego dnia odbijają się wyraźnie na jej twarzy i w przekrwionych oczach.

- Ciebie tu w ogóle nie powinno być. Później jeszcze o tym porozmawiamy - mówi uszczypliwie Vito.

Valentina krzywi się. Najwyraźniej major domyślił się, że w końcu odebrała telefon od Nuncia i zmusiła go, żeby opowiedział jej o znalezisku.

Carvalho wyjmuje z pudełka przezroczyste rękawiczki.

- Co mamy, *professore*?

Montesano prostuje się i bierze głęboki oddech. Jeden z tych, które nigdy nie zwiastują dobrych wiadomości.

- Breję.

- Breję? Co za breję?

- Męską. Gnijącą breję, która kiedyś była dorosłym mężczyzną. Tyle mogę powiedzieć wam w tej chwili. Otworzyliśmy część worków. W każdym są poćwiartowane części ciała. Z oczywistych względów nie chciałem otwierać wszystkich tutaj. Za duże ryzyko, że zgubimy jakiś dowód.

- Rozmawiałam z szefem ekipy nurkowej, zanim pojechał do domu - odzywa się Valentina, wskazując ręką na ociekające wodą worki. - Jest ich więcej, ale będą mogli wydobyć je na powierzchnię dopiero około dziesiątej rano.

- Dziesiątej? Co to ma być, kawiarnia na kampusie studenckim? Niech się do tego zabrają natychmiast i trochę się pospieszą.

Valentina zauważa, że majorowi zaczynają puszczać nerwy.

- Im nie jest potrzebne światło, panie majorze. Przeszukiwali dno w ciemności przez cały dzień. Widoczność na dole jest zerowa, to jest jak nurkowanie w wiadrze z zamkniętymi oczami. Wszystko, co udało im się znaleźć, wymacali rękoma.

- Przecież wiem! - wybucha major i od razu tego żałuje.

- Nie mogą zacząć wcześniej, bo mają za mało ludzi i za dużo pracy! - odparowuje Valentina.

Carvalho ma wrażenie, że za chwilę eksploduje.

- Cięcia budżetowe! Redukcje! Czy ci pieprzeni politycy nie rozumieją, że przestępcy nie odpuszczają tylko dlatego, że ludzie trochę zbiednieli? *Cazzo!* - Odwraca się do patologa. - *Saisi*. Wybacz mi ten wybuch, Sylvio. Wiem, że też cię to denerwuje. Możesz mi powiedzieć w przybliżeniu, ile czasu to ciało spędziło w wodzie? Coś na temat wieku? Cokolwiek.

Montesano doskonale wie, że przedwczesne hipotezy mogą zrujnować całe śledztwo. Wie również, że jego przyjaciel nie zadawałby takich pytań, gdyby nie musiał.

- Większość skóry... - przerywa i odchrząkuje. - Większość skóry, którą dotąd widziałem, oddzieliła się od tłuszczu i tkanki miękkiej. Mamy tu do czynienia z zaawansowanym rozkładem. - Odwraca się w kierunku worków. - Bez znajomości temperatury wody, warunków pogodowych w ostatnich kilku tygodniach i jeszcze kilku czynników nie mogę powiedzieć nic więcej.

Carvalho dostrzega punkt zaczepienia:

- Mówimy o przedziale dni, tygodni, miesięcy?

- Miesiący. Na pewno nie lat.

- A wiek ofiary?

- Nie, Vito! Przykro mi. Dopóki nie zbadam wszystkich wyłowionych szczątków, nic więcej ci nie powiem.

Major poddaje się.

- *Va bene. Molte grazie.* Valentina, wyjdźmy na zewnątrz. Nie będziemy przeszkadzać naszemu dzielnemu profesorowi w jego obrzydliwej pracy.

Valentina ma na sobie krótkie kozaki, dzinsy i jest opatulona czerwoną pikowaną kurtką, pod którą ma szary sweter, ale wychodząc na zewnątrz i tak drży.

- Nie jest aż tak zimno - zauważyła major. - Jesteś przemęczona i w ogóle nie powinno cię tu być. Ale podejrzewam, że sama dobrze o tym wiesz.

Valentina stara się za wszelką cenę nie wyglądać jak przyłapaną na rozrabianiu nastolatka.

- Chcę pracować. Kiedy Nuncio powiedział mi, że znaleziono kolejne ciało w pobliżu wypadku Antonia, musiałam przyjechać. Przecież pan to rozumie, prawda?

Carvalho rozumie. Czuje się dokładnie tak samo. Nawet biorąc pod uwagę fakt, że mogli z tym poczekać do rana, zamiast tkwić na nabrzeżu o tej niehumanitarnej porze.

- Masz ochotę na kawę, zanim wrócisz do domu? Jeden z moich przyjaciół ma tu niedaleko restaurację, nigdy nie zamyka przed trzecią.

Valentina zmusza się do uśmiechu.

- *Grazie.* Bardzo chętnie.

Przechodzą zaledwie kilka kroków, kiedy zatrzymuje ich głos Montesano.

- Vito, tu są dwa ciała - dwa, nie jedno! - woła patolog, stając w wejściu do namiotu. - Znalazłem drugą czaszkę.

CZEŚĆ
TRZECIA

ROZDZIAŁ 31

Czasy współczesne

Kostnica, Ospedale San Lazzaro, Wenecja

W dużym, pilnie strzeżonym pokoju obok głównego pomieszczenia kostnicy podłączono dodatkowe oczyszczacze powietrza i wyniesiono wszelki zbędny sprzęt.

Poćwiartowane części ciała zostały wypakowane z worków. Każda jest skrupulatnie opisywana, z zaznaczeniem, z którego worka ją wyjęto i w której części laguny znaleziono sam worek. Informacje są wprowadzane do komputera, ale jednocześnie nanoszone na wiszące na ścianach mapy.

Sylvio Montesano i jego zespół pilnują, żeby z każdego worka pobrane zostały próbki płynów ustrojowych. Wszystkie ślady planktonu i innych śmieci są oddzielane, opatrywane etykietami i natychmiast przesyłane do analizy w laboratorium żandarmerii. Tkanki wewnętrzne, zwłaszcza pozostałości płuc i żołądka, zostaną przebadane osobno. Z paznokci - pod warunkiem, że się zachowały - zostaną zdjęte ślady wszystkich substancji i szczątków. Resztki ubrań ofiar zostały rozwieszane, wysuszone i dopasowane do ciał, a następnie przesłane do analizy mikroskopowej. Wszyscy członkowie zespołu Montesano dokładnie znają swoje zadania i wiedzą, że muszą wykonać je z chirurgiczną dokładnością. Gdyby *professore* miał drugie imię, z pewnością brzmiałoby ono Precyzja.

Podwójne badanie post mortem jest ciężkim i niewdzięcznym zadaniem. Identyfikacja obu ofiar i wyszukiwanie śladów, które

mogłyby naprowadzić śledczych na miejsce morderstwa i zabójcę - lub zabójców - przypomina sprzątanie stajni Augiasza.

Komuś postronnemu praca ta mogłaby wydać się koszmarem, ale dla sześćdziesięciodwuletniego Montesano to jedno z najbardziej ekscytujących wyzwań w całej karierze.

Dwa ciała, porzucone w tym samym miejscu, zapakowane w taki sam sposób. *Professore* nie ma wątpliwości, z czym mają do czynienia. Nigdy wcześniej mu się to nie zdarzyło. Przez całą długą karierę patologa sądowego nigdy nie zetknął się z najtrudniejszym przeciwnikiem znanym ludzkości, a w każdym razie tej jej części, która pracuje w kostnicach. Z seryjnym zabójcą.

Trzej asystenci profesora mozolnie przygotowują i układają odcięte kończyny. Towarzyszy im Isabella Lombardelli, funkcjonariuszka z RaCIS - *Raggruppamento Carabinieri Investigazioni Scientifiche*, specjalistycznego wydziału naukowego, pełniąca funkcję łączniczki między laboratoriami, kostnicą i wydziałem zabójstw na komendzie.

Montesano z satysfakcją przygląda się trwającej pracy. Doskonale naoliwiona, naukowa maszyna. Nic się przed nią nie ukryje. A już niedługo zrobi się naprawdę ciekawie. Już niedługo oczyszczą wszystkie kości za pomocą starego, dobrego proszku do prania i przyjrzą się z bliska, w jaki sposób odcięto kończyny. Ale nawet teraz z ciał można sporo wyczytać.

Obie ofiary to mężczyźni - jeden w wieku od dwudziestu pięciu do trzydziestu lat. Drugi jest co najmniej dwa razy starszy, zapewne na przełomie sześćdziesiątki i siedemdziesiątki. Starsze ciało jest bardziej dotknięte rozkładem. Ofiara spędziła w wodzie kilka miesięcy dłużej.

Oba morderstwa mają też wyraźne punkty wspólne. Kości obu ciał zostały odcięte piłą. Nie siekierą ani nożem. Piłą. Montesano

z doświadczenia wie, że ćwiartowanie zdarza się rzadko. Większość morderców po prostu porzuca ciała i ucieka, wychodząc z rozsądnego założenia, że nie należy spędzać zbyt wiele czasu z martwą ofiarą, ponieważ znacznie zwiększa to ryzyko schwytania. Kiedy jednak zabójcy decydują się poćwiartować ofiarę, zazwyczaj robią to w podobny sposób. Cięcia z reguły pojawiają się w tych samych miejscach - na szyi, pod pachami i na wysokości pachwin. Pięć klasycznych punktów.

Mafia często ucina jeszcze ofiarom dłonie. Często kończyny odcinane są w kolanach i na łokciach, tak aby łatwiej było je zapakować, przenieść i pozbyć się ich, nie wzbudzając zbyt dużego zainteresowania. W sumie jedenaście cięć. Czasami trzymaście lub piętnaście, jeśli morderca dodatkowo tnie przedramiona i uda, ale to się zdarza bardzo rzadko.

W przypadku ciał znalezionych w lagunie, Montesano zauważył jednak coś jeszcze. Coś dziwnego. Pierwsza ofiara, starszy mężczyzna, ma odcięte wszystkie palce u rąk i nóg: dwadzieścia cięć. Pocięta została również klatka piersiowa między żebrami, co daje kolejnych sześć cięć. Oprócz tego odcięte są dłonie, stopy i inne części ciała metodą typową dla mafii. Dodać jedenaście.

Montesano nie doliczył się jeszcze wszystkich fragmentów, ale na oko widać, że jest ich kilkadziesiąt. Czyli ponad pięćdziesiąt odciętych kawałków ciała.

U drugiej ofiary, młodszej, sprawa nie wygląda aż tak dramatycznie. Tutaj też widać inspirację metodami mafii. Jedenaście cięć - ręce i klatka piersiowa. Młodszy mężczyzna ma jednak otwartą klatkę piersiową - rozciętą piłą wzdłuż mostka. Do tego dochodzą te dziwne cięcia na przedramionach i udach. Wygląda na to, że zabójca dokonał tu swojego krwawego dzieła w sposób bardziej kontrolowany. Bardziej wyćwiczony.

Montesano zastanawia się, czy morderca próbował zrobić z pierwszą ofiarą coś, co mu się nie udało. Być może nie potrafił zrealizować wszystkich swoich chorych fantazji.

Chyba że chodzi o coś innego. Tylko o co? *Professore* zdejmuje okulary w drucianych oprawkach, ściąga niebieskie, lateksowe rękawiczki i wychodzi z chłodni. Potrzeba mu światła dziennego. Świeżego powietrza. A przede wszystkim czasu i przestrzeni, żeby zastanowić się nad pytaniami, które kielkują mu w głowie. Siada na kamiennym murku na zalanym słońcem dziedzińcu szpitala. Ciepło poranka przyjemnie rozlewa się po zmarzniętych w kostnicy kościach i oczyszcza umysł.

Wreszcie znajduje rozwiązanie. Zabójca usiłował pociąć ofiarę na kilkaset części. Dokładniej mówiąc, sześćset sześćdziesiąt sześć. Ale nie dał rady.

Tylko chirurg lub rzeźnik - albo on sam - zdołałby zrobić coś takiego.

A potem przychodzi mu do głowy myśl, która przyprawia go o zimny dreszcz, zupełnie jakby nagle wszedł z powrotem do chłodni. Czegoś brakuje. Czegoś, czego ani nurkowie, ani jego asystenci z całą pewnością nie zauważą. Coś, co rozkład mógł zamaskować, ale nie usunąć. Wątroby ofiar.

Montesano już wie, że zostały wycięte z ciał. Krew pulsuje mu w skroniach. Po co? Po co ktoś miałby dopuścić się czegoś takiego?

CAPITOLO XXVI

Rok 666 przed Chrystusem
Świątynia, Atmanta

Przybyli z całego wybrzeża Tyrrenium, z obu brzegów rzeki Po, ze Spiny, Mantui, Felsiny i Atrii. Tylko Rzym nie przysłał posłów. Najbogatsi i najpotężniejsi mężowie Etrurii wypełniają nową, olbrzymią świątynię w Atmancie, ale nie ma wśród nich nikogo z Rzymu.

Pesna i Kavier odrywają się od gęstniejącego tłumu, wystrojonych dygnitarzy i muzykantów grających na podwójnych fletach i wielostrunowych cytrach.

- Demony! - Sędzia z wściekłości nie może ustać w miejscu. - Ci przekłeci Rzymianie przynoszą nam same kłopoty. Ich nieobecność wprowadza większy chaos, niż gdyby stawiła się tu ich setka. Ich milczenie jest bardziej upokarzające niż ich aroganckie przemowy. Teraz widzę wyraźnie, że w ogóle nie powinienem był ich zapraszać.

- Powinniśmy wejść do środka - mówi Kavier, wskazując na świątynię. - Czy powiedziałeś komuś, że Rzymianie zostali zaproszeni, ale odmówili przyjazdu?

- Nie. - Sędzia uśmiecha się, chwytając zamysł przyjaciela. - O tym, kogo zaproszono, wiemy tylko my i posłaniec.

- Wobec tego zadbam o to, żeby posłaniec nikomu niczego już nie powiedział.

W gaju za świątynią Larcja nanosi ostatnie poprawki na czarną, spiczastą tiarę, którą uszyła dla syna. Teukros ma na sobie nowe

szaty: piękny czarny płaszcz obrębiony frędzlami, narzucony na długą, czarną tunikę. Wróżbita jest bosy. Nauczył się na pamięć każdego kroku, który będzie musiał zrobić podczas ceremonii.

- Teukrosie, słyszę flety i piszczałki. - Larcja całuje go. Głos łąmie się jej ze smutku, ponieważ jej syn nie może zobaczyć dumy w jej oczach. - Kocham cię, synku. Jestem z ciebie taka dumna.

Teukros wciąż czuje na policzku pocałunek matki, gdy Tecja obejmuje go i życzy mu powodzenia.

- Tutaj. - Żona prowadzi jego dłoń do drewnianego słupka wbitego w gęstą trawę. Stąd wyruszy i od tego momentu będzie zdany tylko na siebie. Jedno potknięcie, jeden mały błąd, pomyłka w ocenie odległości o pół palca i ceremonia zmieni się w farsę.

Ze skraju świątyni dobiega głos Ventiego. Wydaje się zdenerwowany.

- Wszystko gotowe - mówi ojciec, a w jego głosie wyraźnie słychać niepokój o syna. - Czekają na ciebie.

Zaczyna się muzyka. Melancholijne dźwięki cytr. Długie tony fletów. Rozmowy w tłumie cichną.

Czterech zakapturzonych akolitów zajmuje miejsca - dwaj przed wróżbitą i dwaj za nim. Pomogą mu poświęcić owce na nowych ołtarzach libacyjnych przed świątynią, wybudowanych tak, aby krew spływała bezpośrednio na glebę, gdzie wypijają ją bóstwa zamieszkujące ziemię.

Teukros czuje wibracje muzyki. Dzięki nim może złapać własny rytm. Najważniejszy będzie pewny krok i właściwe tempo. Dziesięć kroków naprzód. Teraz w prawo. Pięćdziesiąt kroków wzdłuż ściany świątyni. Znowu w prawo, do podnóża szerokich schodów. Sześć stopni w górę.

Akolici rozchodzą się. Teukros jest teraz w centrum uwagi. Tłumy i goście sędziego milkną. Teukros czuje na sobie ich wzrok. I mrowienie na karku. Wyczuwa wokół siebie sześć potężnych filarów wznoszących się majestatycznie jak posągi bogów. Odwraca się twarzą do zgromadzonych. Na twarzy czuje blask słońca. Ciepło pobudza go i nadaje mu pewności siebie.

Rozkłada szeroko ramiona.

- W imię świętej trójcy Uniego, Tinii i Menrvy pokornie stoję przed wami jako wróżbita Atmanty i sługa wszystkich bóstw. Dziś, w obecności najszlachetniejszych gości ze wszystkich zakątków Etrurii, poświęcamy tę świątynię wam, wspaniali bogowie, którzy decydujecie o naszych losach w tym życiu i po śmierci, gdy ci, którzy na to zasługują, trafią do królestwa podziemi. Wszechmocni bogowie, którzy królujecie nad światem i sądzicie nasze uczynki, w pokorze i z czią klękamy przed wami i ofiarujemy wam ten dom jako dowód naszej miłości i wdzięczności. - Teukros kładzie po dwa palce każdej ręki na oczach. - Odebraliście mi wzrok, abym lepiej widział to, co ukryte. Dziękuję wam za tę mądrość i błagam, abyście poprowadzili moje stopy i dłonie, podczas gdy ja poprowadzę nasz lud i gości do waszego domu i ofiaruję wam dary.

Szaty Teukrosa łopocą, gdy kapłan odwraca się i pewnym krokiem idzie między filarami ku olbrzymim drzwiom.

Krok za progiem wyciąga prawą dłoń i bez wahania chwyta nowy lituus, który Tecja wykonała dla niego i pozostawiła oparty o ścianę dokładnie w tym miejscu.

Tuż za nim podąża Pesna i jego goście. Zajmują miejsca wzdłuż długiego stołu ze świeżo ściętego cyprysu, biegnącego przez środek głównej sali. Już po chwili drewniany blat znika pod setkami najróżniejszych darów. Rzeźb z brązu i złota. Waz, urn, mis i wszelkich innych wyrobów garncarskich.

Teukros ujmując lituus w obie dłonie i unosi w górę. Powolnym, dostojnym ruchem przesuwa kostur w lewo i w prawo.

- Te cenne dary, złożone dla uczczenia wszystkich bóstw, ofiarujemy wam, bogowie, w dowód naszej miłości i wiary. Błogosławię je w waszym imieniu i przekazuję wam, abyście pamiętali o nich i o nas, waszych sługach, teraz i zawsze...

Wzrok sędziego przebiega po zgromadzonych możnowładcach. Są pod dużym wrażeniem. Podobnie zresztą jak on sam. Wróżbita jest porywający. Ślepotą nadała mu jakąś niezwykłą aurę, której nie sposób nie zauważyć. Nieobecni Rzymianie nawet na chwilę nie zagościli w myślach gości.

Wszystko idzie zgodnie z planem. Pesna zdaje sobie sprawę, że wszyscy ci potężni i bogaci ludzie będą pod jeszcze większym wrażeniem, gdy podejmie ich ucztą i wygłosi zaplanowaną mowę.

Wszystko układa się idealnie.

Kieruje wzrok ku środkowej części stołu, gdzie srebrne „Bramy Piekła” dumnie oczekują na błogosławieństwo. Ale nigdzie nie może ich dostrzec. Oddech więźnie mu w gardle. Zniknęły.

CAPITOLO XXVII

Kiedy ceremonia poświęcenia dobiega końca, słońce wisi już nisko nad zachodnią stroną terakotowego dachu świątyni. Pesna stoi w chłodnym cieniu nawisu, przyjmując gratulacje od wychodzących gości i starając się ukryć gniew po kradzieży najcenniejszej ofiary.

- Ceremonia godna zapamiętania...
- To prawdziwy przywilej i zaszczyt w tym uczestniczyć...
- Taki młody wróżbita, a taki utalentowany... Komplementy sypią się z lewa i prawa, ale sędzia myśli wyłącznie o „Bramach Pieła”.

Kto mógł je zabrać? Kavier rozmawia z grupą Peruwijczyków. Może to on? Larth niecierpliwie czeka przy powozie. Albo on? Cael flirtuje z Hercą, bawiąc się kosmykiem jej włosów. On? Ona? Oboje? Rzeźbiarka Tecja pogrążona jest w rozmowie z Lartuzą Uzdrawicielem. Ona? On? I jest jeszcze wróżbita. Okaleczony kapłan, który odprawił dziś najwspanialszą ceremonię w życiu. Poradził sobie tak doskonale, że można było prawie zapomnieć o jego ślepcie. On? Kavier pojawia się przy boku sędziego i wskazuje na Lartha.

- Powinniśmy się pospieszyć. Grzeczność wymaga, żebyśmy wyprzedzili gości i powitali ich w kopalni.

Sędzia rozgląda się nerwowo.

- Dary gotowe?
- Gotowe. Jest ich tyle, że nawet najwięksi chciwcy odejdą zadowoleni.

Pesna zerka ponownie na Teukrosa.

- Każ przeszukać wróżbitę. Dokładnie! Rozbierzcie go do naga, jeśli będzie trzeba.

Kavier robi zdziwioną minę.

- Po co? Czyżbyś o coś go podejrzewał?
- „Bramy Pieła” zniknęły.
- Co?!
- Zniknęły! Osobiście położyłem je na stole z darami do błogosławieństwa.

Kavier rozgląda się, ale nie dostrzega niczego podejrzanego.

- Kiedy dokładnie zniknęły?

- Na chwilę przed rozpoczęciem. Stół był pusty, na zewnątrz stały straż. Tylko ja mogłem wejść do środka. Zapewne ukrył je gdzieś podczas ceremonii, a teraz zamierza je sprzedać i uciec stąd z tą przeklętą rzeźbiarką.

- Powiem Larthowi, żeby wysłał do niego swoich ludzi. Niech przeszukają też świątynię na wypadek, gdyby nasz wróżbita ukrył tabliczki w środku.

Kiedy Larth wraca od swoich pomocników, Pesna i Kwie siedzą już w powozie.

- Pędem! - krzyczy sędzia. - Marnymi będziemy gospodarzami, jeżeli goście będą musieli na nas czekać.

Wóznica posłusznie ocina batem konie i powóz rusza w kłębach kurzu. Larth wskakuje w biegu.

- Przetnij *decumanus* i jedź na skrót - nakazuje wóznicy. - Będzie niewygodnie, ale dojedziemy znacznie szybciej.

Droga wkrótce staje się wyboista. Larth jest rozbawiony myślą o swoim szlachetnie urodzonym pracodawcy, który trzęsie się z tyłu tak, że aż dzwonią mu zęby.

Kwie już po chwili zaczyna protestować:

- Ostrożniej! Rzuca tu nami jak na rozszalałym morzu.

Gardłowy śmiech Lartha ginie w stukocie kopyt. I wtedy prawy prowadzący koń potyka się. Wóznica ostro ściąga lejce. Pozostałe konie wypadają z rytmu. Koło uderza o kamień. Larth wypada z powozu i leci głową prosto w osypisko z kamieni. Chmura kurzu opada w ciszy na rozbity powóz.

Ze szczytków gramoli się Pesna. Nie ma widocznych ran, za to jest wściekły. Wpatruje się morderczym wzrokiem w pokrwawionych i posiniaczonych Lartha i wóznicy, którzy właśnie zbierają się z ziemi.

- Głupcy! Cholerni głupcy! - Sędzia kopie woźnicę w plecy i w bok. Następnie prawie rzuca się na Lartha. - Patrz! Patrz! Szprychy są zupełnie popękane. Mój powóz do niczego się już nie nadaje! - Opiera podeszwę sandała na rozbitym kole. - Jakim cudem mam dostać się do świątyni, skoro z mojego powozu zostały drzazgi?

Kavie pomaga Larthowi wstać.

- Larth, pozwól, niech zobaczę twoje oko. Nie ruszaj się, masz w nim połowę piachu z tej drogi.

Oprawca odpycha go.

- To nic takiego. Muszę się przyjrzeć powozowi. - Przechodzi po kamieniach z powrotem na drogę. Jedno spojrzenie wystarcza, żeby przekonać się, że naprawa jest bezcelowa i koło trzeba będzie wymienić.

- Będziecie musieli pojechać konno. - Larth odwraca się do przerażonego woźnicy. - Wyprzęgaj je. Najlepsze będą oba tylne. Ruszaj się albo zawieszysz na moich hakach!

Woźnica w pośpiechu zaczyna wyprzęgać konie.

- Poślę tego starego głupca po nowe koło - kontynuuje Larth. - Wymienię je i pojedę z powrotem.

- Larth ma rację - wtrąca Kavie. - Konno dotrzemy do kopalni w kilka chwil.

Pesna wciąż gotuje się z gniewu. Rozbity powóz tylko podsycił jego wściekłość z powodu kradzieży srebrnych tabliczek. Uderza Lartha w zakrwawioną twarz.

- Ty bezmyślny idioto. Miałeś tylko kierować czterokonnym zaprzęgiem. Znam nierządnicę, które poradziłyby sobie z tym zadaniem.

Unosi dłoń, by uderzyć Lartha ponownie, ale Oprawca chwyta go za nadgarstek z taką swobodą, jakby łapał muchę. Wbija w sędziego

wzrok przepelniony czystą nienawiścią. Mógłby zabić go w mgnieniu oka i ma na to wielką ochotę.

Obawiając się najgorszego, Kavie staje pomiędzy dwoma mężczyznami.

- Larth, przyjacielu, zapominasz się. Uspokój się.

Krew ścieka strząką po twarzy Laritha. Oprawca puszcza rękę sędziego.

- Słusznie mówisz, Kavie. Dziękuję ci.

Zbiera lejce i podaje je Pesnie.

- Panie, błagam cię o wybaczenie. Będę się modlił, aby reszta podróży upłynęła ci bez przeszkód.

Pesna milczy. Bierze lejce, wspina się na grzbiet konia i spina go natychmiast do galopu.

Larth obserwuje chmurę kurzu wzbijaną przez kopyta i w duchu gratuluje sobie opanowania. Sędzia poniesie śmierć z jego ręki. Choć nie dziś. Nie teraz. Ale wkrótce.

ROZDZIAŁ 32

Czasy współczesne

Komenda główna żandarmerii, Wenecja

Dla Vito, Valentiny i pozostałych funkcjonariuszy wydziału zabójstw pojęcia dnia i nocy straciły chwilowo znaczenie. Teraz liczy się tylko praca. Ich życie zostało zredukowane do niekończącej się karuzeli odpraw, zebrań i inspekcji na miejscu zbrodni.

Kolejną odprawę wyznaczono w pokoju połączonym z pomieszczeniem, które w ostatnich dniach stało się domem dla zespołu majora Carvalho. Na środku długiego stołu stoją stalowe dzbanki ze świeżą kawą, białe filiżanki na podstawkach, szklanki z mętnego szkła i butelki z wodą, przypominające wieżowce budowane przez dzieci w przedszkolu.

Major Carvalho sprawdza obecność. Sylvio Montesano i jego dwóch asystentów zajmują miejsca na krańcu stołu. Po lewej od nich siedzą Rocco Baldoni i Valentina Morassi. Vito wołałby, żeby Valentiny tu nie było. Namawiał ją, żeby wzięła urlop i przeżyła żalobę jak należy, ale porucznik Morassi uparła się, że praca będzie najlepszą terapią. Gdyby tylko miał czas, żeby z nią spokojnie porozmawiać i uprzedzić ją, że takie podejście to najkrótsza droga do katastrofy...

Specjaliści z RaCIS, Isabella Lombardelli i jej asystent Gavino Greco, siedzą obok patologa sądowego i właśnie prowadzą z nim ożywioną dyskusję na temat dokumentów rozłożonych przed nimi na stole. Pozostałe miejsca zajmują dowódcy zespołów, oficerowie dyżurni i funkcjonariusze, którzy będą zajmowali się przesłuchiowaniem świadków albo współpracą z prokuraturą.

I wreszcie jest Tom Shaman. Vito długo zastanawiał się, w jakim stopniu dopuścić Amerykanina do śledztwa. Czym innym było korzystanie z jego wiedzy, a czym innym dopuszczenie do odpraw operacyjnych. Ostatecznie zdecydował się zaufać instynktowi. W podjęciu decyzji pomogła mu też świadomość, że w śledztwie w sprawie morderstwa, zwłaszcza z potencjalnym udziałem seryjnego zabójcy, przydaje się każda para rąk i każdy trzeźwo myślący umysł.

- Dziękuję wszystkim za przybycie. Możemy zaczynać. - Major odczekuje, aż ucichną ostatnie rozmowy. - Porucznik Baldoni przedstawi nam najnowszy przegląd sytuacji. Rocco?

Niewysoki porucznik odsuwa krzesło i podchodzi do dużej, białej tablicy konferencyjnej opatrzonej napisem OFIARY.

- W chwili obecnej mamy trzy ciała. - Musi stanąć na palcach, żeby przelożyć kartkę. - Ofiara pierwsza - nastoletnia Monica Vidic. Ofiara druga - poćwiartowany mężczyzna w wieku około sześćdziesięciu lat, jak dotąd niezidentyfikowany.

Ofiara trzecia - poćwiartowany mężczyzna, jak dotąd niezidentyfikowany, w wieku około dwudziestu paru lat. Obie niezidentyfikowane ofiary odkryto w workach w lagunie - Rocco unika wzroku Valentiny - w pobliżu miejsca, w którym znaleziono ciało naszego kolegi, świętej pamięci Antonia Pavarottiego. *Professore* Montesano na koniec zebrania rozda nowy raport z badań sekcyjnych. Ma pan nam coś do przekazania w kwestii czasu śmierci, *professore*?

Sylvio Montesano odchrząkuje.

- Wykorzystując stront, żelazo i polon, przeprowadziliśmy serię badań w celu określenia składu radioizotopów o krótkim czasie półtrwania, znalezionych w kościach. W ten sposób zdołaliśmy ustalić, że starszy mężczyzna przebywał w wodzie przez około osiemnaście miesięcy, natomiast młodszego wrzucono do laguny mniej więcej rok temu. To oznacza, że odstęp między obydwojma morderstwami wyniósł około sześciu miesięcy.

Baldoni przekłada kartę na tablicy.

- Podsumujmy: znaleźliśmy trzy ciała. Zabito dwóch mężczyzn i nastolatkę, Monikę Vidic. Najstarsza ofiara, mężczyzna około sześćdziesiątki, został wrzucony do wody mniej więcej półtora roku temu. Druga ofiara, dwudziestoparoletni mężczyzna, trafiła do laguny około roku temu. Trzecią ofiarę, piętnastoletnią dziewczynkę, odkryliśmy w tym miesiącu. – Rocco odwraca się do specjalistki z RaCIS.

- Isabella, czy mogłabyś uzupełnić?

Lombardelli jest ubrana raczej swobodnie, w niebieski golf i dżinsy. Uwaga wszystkich mężczyzn w pomieszczeniu skupia się na niej, zanim jeszcze zaczyna mówić.

- *Professore* Montesano i jego zespół wyizolowali odcinki kostne z obu ciał wyłowionych z laguny. - Otwiera teczkę i wyjmuje z niej kilkanaście wydruków. - Przebadaliśmy kości za pomocą elektronowego środowiskowego mikroskopu skaningowego, tak zwanego ESEM. Dzięki temu mogliśmy dokładnie przyjrzeć się falstartom, rzazom i pozostałym śladom pozostawionym na kościach przez piłę. ESEM pozwala uzyskiwać bardzo wysokie powiększenia, więc mogliśmy jednoznacznie stwierdzić, że do ćwiartowania obu ciał mężczyzn zastosowano piłę łańcuchową.

Jeden z dowódców zespołów, około trzydziestoletni mężczyzna z ciemnym zarostem, podnosi rękę.

- *Sì?* - pyta Isabella z uprzejmym uśmiechem.

- Piły łańcuchowe są raczej nieporęczne. Nie sposób ich ukryć, w dodatku są bardzo głośne. Czy to nie mogła być piła ręczna? Sam mam jedną w domu, dostatecznie solidną, żeby ciąć drewno.

Isabella nie przestaje szeroko się uśmiechać.

- Radzę więc ograniczyć się do cięcia drewna, bo ciała tym panie przetnie. Piły ręczne, nieważne jak solidne, nie są w stanie przeciąć ludzkiej kości - chodzi o ustawienie zębów na ostrzu.

- *Grazie* - odpowiada dowódca zespołu, siadając z powrotem na krześle i żałując, że w ogóle zadał to pytanie.

- Ciała obu mężczyzn poćwiartowano tą samą piłą - kontynuuje tymczasem Lombardelli. - Prawdopodobnie spalinową o wysokiej

mocy, z łańcuchem o długości pięćdziesięciu centymetrów. - Spogląda na funkcjonariusza, który pytał o piły ręczne. - Tego typu urządzenia są zazwyczaj wyposażone w silniki o pojemności pięćdziesięciu centymetrów sześciennych, czyli tyle, ile mały motorower, dlatego możemy uznać, że zabójca niespecjalnie przejmował się ukrywaniem tego, co robił.

- Chcesz przez to powiedzieć, że morderstwa obu mężczyzn można połączyć z tą samą piłą? - nie wytrzymuje Vito.

Isabella waha się przez chwilę.

- Zgadza się - odpowiada w końcu.

- Nie wyciągajmy zbyt daleko idących wniosków - wtrąca Montesano, zwracając się do wszystkich obecnych. - Kluczowe jest słowo „połączyć”. Piła została użyta do poćwiartowania ciał, nie do zabójstwa.

- *Professore* ma całkowitą rację - dodaje Lombardelli. - Nie powiedziałam, że zrobiła to jedna osoba. Nie mówię też, że uczestniczyło w tym więcej ludzi. To już musicie wykryć sami. Ja tylko opisuję wam narzędzie, którym ofiary zostały poćwiartowane.

Isabella wie, że w danych okolicznościach nie może powiedzieć im nic konkretniejszego. Dziękuje zgromadzonym za uwagę i ustępuje miejsca Rocco Baldoniemu, który przekłada kolejną kartkę na tablicy.

- Jest kilka rzeczy, o których musimy pamiętać. Wszystkie trzy ciała znaleziono w promieniu dziesięciu kilometrów od siebie. Ciała w lagunie uległy rozkładowi, więc nie mamy stuprocentowej pewności, że wątroby usunięto z nich celowo, ale wiemy, że w obu ciałach brakowało tych organów. Wycięcie wątroby to najważniejsze ogniwo łączące te trzy sprawy. *Professore* Montesano powiedział nam, że starszy mężczyzna miał rozległe rany na potylicy, wskazujące na wielokrotne uderzenia tępym przedmiotem, na przykład kamieniem

albo młotkiem. Pomimo zaawansowanego rozkładu u młodszego mężczyzny znaleziono ślady po ukluczeniach noża w szyję. Wiemy też, że człowiek, który uprowadził i zamordował Monikę Vidic, był wyjątkowo spokojny i opanowany. Poderżnął jej gardło, patrząc jej w oczy, co oznacza, że nie brakowało mu ani mocnych nerwów, ani doświadczenia. Możemy wręcz założyć, że chciał utrzymać kontakt wzrokowy z ofiarą. Rozmawiałem z naszym analitykiem kryminologicznym, który uważa, że mamy do czynienia z jednym zabójcą, stopniowo doskonalącym swoje działania. Atak na pierwszą ofiarę nastąpił od tyłu i w pośpiechu, co wskazuje, że zabójca nie był do końca pewny tego, co robi. Ofiara druga mogła zginąć od uderzenia nożem w bok. Jak widać, zabójca przełamał się i zaatakował z bliska, odważniej niż poprzednio. Ostatni atak to już klasyczne uprowadzenie i bardzo sprawnie przeprowadzona egzekucja, co wskazywałoby na znaczne udoskonalenie techniki przez zabójcę. Valentina podnosi rękę.

- Monica otrzymała ponad sześćset ciosów nożem, ale jej ciało nie zostało poćwiartowane. Wydaje mi się, że to stoi w całkowitej sprzeczności z wcześniejszymi morderstwami.

- Bo tak jest - wtrąca Vito. - Natomiast najważniejsze punkty wspólne to ślady na kościach mężczyzn i usunięcie wątroby u wszystkich trzech ofiar.

- Ale jak wobec tego wyjaśnić te różnice? - nie ustępuje Valentina.

Vito doskonale rozumie jej potrzebę zrozumienia psychiki człowieka, na którego polują.

- Sądzę, że pierwsze dwie ofiary były dla naszego zabójcy czymś w rodzaju prób. Starał się opracować metodę zabijania zgodną z jakimś rytuałem. Ze starszym mężczyzną poszło mu fatalnie, z

młodszym już trochę lepiej, ale dopiero Monikę udało mu się zabić tak, jak chciał.

- A skoro już mu się udało, to co dalej? - pyta Tom, patrząc majorowi w oczy.

Vito, Valentina i Montesano odpowiadają jednocześnie:

- Zabije znowu.

CAPITOLO XXVIII

Rok 666 przed Chrystusem

Atmanta

Arnza i Masu są zachwyceni, że to ich Larth wybrał do przeszkolenia wróżbity. Pracują dla niego od niedawna i jak dotąd Oprawca rzadko ich zauważał, a jeszcze rzadziej powierzał jakiegokolwiek ważne zadania. Obaj mają też całkiem prywatne porachunki z wróżbitą.

Czekają, aż potężny ojciec kapłana odejdzie i dołączy do grupy ludzi opuszczających świątynię, po czym błyskawicznie podbiegają do Teukrosa.

- Wróżbito, z rozkazu sędziego Pesny masz udać się z nami - odzywa się mniejszy, Arnza.

Zanim wróżbita zdąży zaprotestować, chwytają go za łokcie i prowadzą ku wschodniej części świątyni.

- Co to ma znaczyć? - pyta Teukros. - Skąd ten pośpiech, dlaczego nie pozwalacie mi wyjść?

Strażnicy szczerzą się do siebie.

- Otrzymaliśmy polecenie, żeby cię przeszukać. Wszelkimi metodami, jakie uznamy za stosowne.

Dochodzą na tył świątyni i Teukros, który jak dotąd nawet nie próbował stawiać oporu, uświadamia sobie, że znajdują się poza zasięgiem wzroku i słuchu innych ludzi. Zaczyna się bać.

- Po co? Po co macie mnie przeszukiwać?

Masu odczekuje, aż wyprowadzą wróżbitę ze świątyni do rosnącego za nią zagajnika.

- Nie domyśliłeś się jeszcze, kim jesteśmy, wróżbito? - pyta, przybliżając się do Teukrosa i wionąc mu w twarz smrodem przetrawionego mięsa.

Kiedy go puszczają, Teukros prawie się przewraca. I wtedy sobie przypomina. Rozpoznaje ich głosy, nawet ich zapach. Gwałciciele. To ci, którzy zgwałcili jego żonę!

- Rozbieraj się, kapłanie! - Arnza wyciąga miecz z pochwy. - Ściągaj z siebie te łańchy, a my tymczasem odpłacimy ci za ranę, którą mi zadałeś, i za śmierć naszego przyjaciela.

- Nie wiem, o czym mówicie. Jestem tylko ślepym wróżbitą. Sługą bogów.

- Dobrze wiemy, kim jesteś - mówi Arnza, dźgając Teukrosa sztychem miecza, aby go popędzić. - Rozbieraj się!

Z zarośli dobiega hałas.

Strażnik przykłada ostrze miecza do gardła Teukrosa.

- Milcz - szepcze. - Jedno słowo i spuszczę z ciebie krew.

Kiwnięciem głowy nakazuje Masu przeszukanie zarośli. Większy strażnik cicho dobywa miecza i ostrożnie zagłębia się w gąszcz kolcolistu. Pod jego stopą trzaska pękająca gałązka.

- Twój przyjaciel porusza się z gracją słonia - komentuje normalnym głosem Teukros.

Arnza przyciska lekko ostrze do krtani wróżbity.

- Kazałem ci milczeć.

- Bogowie nie każą mi milczeć. Każą mi mówić.

Strażnik ponownie naciska na ostrze. Na szyi Teukrosa pojawia się czerwona kreska. Cienka strużka krwi spływa po skórze.

- Nie jesteś dziś tak odważny jak wtedy, kiedy zabiłeś Rascego i zraniłeś mnie, co, wróżbito?

Z krzaków dobiega kolejny hałas. Arnza rozgląda się. Na ułamek sekundy traci zainteresowanie Teukrosem. Za jego plecami wyrasta Tecja, która wbija mu w zagłębienie szyi jeden z ceremonialnych noży Teukrosa. Przytrzymuje. Wpycha ostrze głębiej, gdy Arnza usiłuje się wyrwać. Ścisła rękojęść obiema rękami. Strażnik wije się z bólu i próbuje ją kopnąć. Nie puszcza noża, dopóki Arnza nie upada na ziemię, charcząc i krztusząc się własną krwią.

W końcu wyrzywa nóż z szyi strażnika i podbiega do męża.

- Nic ci nie jest?

Teukros porusza się na czworakach, szukając dotykiem ciała strażnika.

- Tecja! Dzięki bogom, że przyszedłś. Podaj mi jego miecz. Gdzieś tu kręci się jego towarzysz.

ROZDZIAŁ 33

Czasy współczesne

Komenda główna żandarmerii, Wenecja

Po zakończeniu odprawy dowódcy zespołów, naukowcy z docho-
dzeniówki oraz patolog wraz z asystentami wychodzą. Valentina
odprowadza Toma na zewnątrz. Z początku Tom nie zauważa, że nie
chodzi tylko o zwykłą grzeczność, a porucznik Morassi chce go o coś
zapytać. Coś osobistego.

Dopiero kiedy są już w sporej odległości od schodów frontowych
komendy, u Toma włącza się wyćwiczony przez lata posługi instykt.

- Valentino, czy mogę ci w czymś pomóc?

Valentina przez chwilę walczy ze sobą, niepewna, jak ująć w
słowa wszystkie te myśli, które doprowadzają ją do szału.

- Mogę się z tobą przejść? Muszę trochę odetchnąć.

- Oczywiście, że możesz. Prawdę mówiąc, będę ci bardzo
wdzięczny, bo właściwie potrzebuję przewodnika. Wracalem już
piechotą do hotelu, ale jestem ciężko upośledzony geograficznie i
często się gubię.

Valentina uśmiecha się.

- Mówią, że najlepszy sposób, żeby poznać Wenecję, to się w niej
zgubić.

- Wobec tego wkrótce stanę się prawdziwym ekspertem.

Idą spacerowym krokiem, rozmawiając o pracy i zadaniach, które
wyzaczył im Vito. Tom ma się dowiedzieć więcej o rytuałach,
kultach i symbolice wątroby. Żartuje, że to jego praca domowa z

historii, religii i biologii, ale Valentina ledwo potrafi zdobyć się na uprzejmy uśmiech.

Niebo zasnuwane jest szarymi chmurami, które zdają się oddawać melancholijny nastrój Valentyny. Kilka mostów dalej Tom postanawia w końcu dowiedzieć się czegoś więcej o tym, co ją dręczy.

- Wiesz, naprawdę podziwiam twoją siłę. Straciłaś kuzyna, ale cały czas zachowujesz pełen profesjonalizm i zaangażowanie. Trudno mi sobie wyobrazić, ile to cię musi kosztować.

Valentina wbija wzrok w ziemię.

- *Grazie*. Praca mi pomaga. Pozwala mi się czymś zająć, żeby o nim nie myśleć.

Tom ją rozumie. Widział ten sam odruch nie raz i nie dwa u ludzi pogrążonych w żałobie po stracie kogoś bliskiego.

- Im bliżej będzie do pogrzebu, tym ból stanie się gorszy. Nie-wykluczone, że już teraz czujesz pewną dezorientację, może też złość?

Valentina przesuwa dłonią po włosach.

- Jedno i drugie.

- To naturalna część procesu żałoby. Utrata kogoś bliskiego zawsze przytłacza i budzi przerażenie. Musi upłynąć trochę czasu, zanim zdołasz dojść z tym wszystkim do ładu.

Na jej twarzy pojawia się słaby uśmiech.

- Jakbym się zgubiła w obcym mieście? W Wenecji na przykład?

Tom uśmiecha się.

- Cieszę się, że zachowałaś poczucie humoru.

W milczeniu idą jeszcze kilka kroków.

- Ja naprawdę wierzę w to, że aby odnaleźć siebie na nowo, trzeba się najpierw zgubić - mówi po chwili Tom, patrząc na nią życzliwie.

- Zwłaszcza kiedy trzeba się uporać ze śmiercią kogoś, kto był dla ciebie ważny.

Valentina podnosi wzrok, ale w jej oczach nie ma już śladu uśmiechu.

- Co się z nami dzieje po śmierci? - Jej oczy zwięzają się i pojawia się błysk gniewu. - Czy śmierć to naprawdę koniec? Nic więcej? Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz i tak dalej?

Tom zatrzymuje się. Sam wielokrotnie zadawał sobie to pytanie.

- Wydaje mi się, że nie. Jestem przekonany, że nasze życie to coś więcej niż tylko czekanie na śmierć.

- Więcej? To znaczy co?

- Wierzę, że życie to coś więcej niż tylko czas, który spędzamy tu, na ziemi. - Tom patrzy jej prosto w oczy. - Wierzę, że po śmierci nasze dusze żyją dalej.

Jeszcze niedawno Valentina wybuchłaby śmiechem na takie stwierdzenie. Ale od śmierci Antonia przestało ją to śmieszyć.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz, ale nie wiem nawet, czym jest dusza, nie mówiąc już o tym, czy w ogóle ją mam i dokąd trafi, kiedy umrę.

Nawet samo słowo „umrzeć” sprawia jej ból - posługiwała się nim codziennie od pierwszego dnia pracy w policji, ale dopiero teraz rozumie, co naprawdę oznacza.

Tom bierze ją za rękę.

- Masz duszę, zaufaj mi. I choć ledwo znałem Antonia, to wiem, że on też ją miał, i to wyjątkową.

Valentina mruga oczami. Łzy jeszcze nie płyną, choć są blisko.

- Tak bardzo go kochałam. Był nie tylko moim kuzynem, był moim najlepszym przyjacielem, starszym bratem, którego nigdy nie miałam.

W jej oczach w końcu pojawiają się łzy.

- Cholera! - Valentina grzebie po kieszeniach w poszukiwaniu chusteczki.

Tom ją obejmuje. Nad jej ramieniem widzi labirynt kanałów prowadzących do miejsca, gdzie znaleziono Monikę. Uspokajająco głaszcze Valentinę po plecach.

- Kiedyś będzie lepiej. To potrwa, ale ból w końcu przeminie. Valentina delikatnie uwalnia się z jego objęć.

- Przepraszam. Zazwyczaj staram się nie rozklejać publicznie.

- Nie masz za co przepraszać.

Telefon komórkowy Valentiny piszczy, sygnalizując nieodebraną wiadomość. Na wyświetlaczu widnieje numer majora Carvalho.

- Nie wiem, dlaczego, ale wszystko przypomina mi o Antoniu. Patrząc na telefon i wydaje mi się, że esemes jest od niego, że znowu chce mnie prosić o kolejną przysługę. Chcę do kogoś zadzwonić i natykam się na jego imię w książce telefonicznej. Nie potrafię go wykasować. - Valentina kręci bezradnie głową. - Na sekretarce w domu wciąż mam od niego wiadomości.

- Nie ma w tym nic dziwnego. Jeszcze za wcześnie, żeby przejść nad tym do porządku dziennego.

- A kiedy będzie odpowiedni czas?

Tom ponownie ją obejmuje.

- Trudno powiedzieć. Być może po pogrzebie. Sama będziesz wiedziała, kiedy to nastąpi. Nie powinnaś się z tym spieszyć. Na razie musisz po prostu codziennie robić kolejny krok.

Valentina spogląda ponad jego ramieniem.

- Twój hotel. Dostarczyłam cię bezpiecznie na miejsce.

- *Grazie*. - To jedno z niewielu włoskich słów, którymi Tom posługuje się swobodnie. - Wejdiesz do środka? Umówiłem się z Tiną. Jeśli potrzebujesz towarzystwa, to możemy pójść we trójkę na drinka.

Valentina pokazuje mu telefon z nieodebrany połączeniem na wyświetlaczu.

- Dziękuję, ale muszę wracać. Szef wyśle ekipy poszukiwawcze, jeśli szybko nie pojawię się na komendzie.

Tom uśmiecha się współczująco. Żałuje, że nie może więcej dla niej zrobić.

- Dobra. Uważaj na siebie i zadzwoń, jeśli będziesz chciała pogadać.

- *Ciao* - Valentina macha do niego ręką i kieruje się z powrotem na posterunek. W duchu trochę żałuje, że nie skorzystała z jego oferty. Cóż, pewnie przyjęłaby zaproszenie, gdyby nie Tina...

Valentina przypomina sobie, że miała zadzwonić do szefa. Odblokuje telefon, ale postanawia najpierw zakończyć jedną wciąż niezamkniętą sprawę. Otwiera książkę telefoniczną i znajduje kontakt „Antonio”. Bierze głęboki oddech, wybiera „Opcje” i wciska „Usuń”.

CAPITOLO XXIX

Rok 666 przed Chrystusem

Atmanta

Masę wypada z zagajnika i spostrzega na ziemi martwego Arnę. Ślepy wróżbita na czworakach szuka czegoś po omacku. Masę nie zauważa Tecji. Rzeźbiarka z zaskakującą siłą naciera na niego

mieczem Arnzy. Wyczuwając zagrożenie, Masu odwraca się przodem do zbliżającego się ostrza. Zamiast uderzyć go w pierś, klinga rozcina mu bok, pozostawiając ranę. Długą, ale nie na tyle głęboką, żeby go powstrzymać.

Tecja robi krok w tył, ściskając rękojeść miecza obiema rękami. Masu naciera. Markuje cięcie w prawo i w ostatniej chwili zmienia kierunek. Tecja nawet nie czuje metalu rozcinającego jej ciało, ale wie, że cios doszedł celu. Jeszcze zanim pojawia się ból, Tecja dostrzega błysk triumfu w oczach Masu.

Trafił ją tuż nad łokciem. Krew ścieka strużką po jej prawym ramieniu. Nagle przez jej ciało przebiega dreszcz. Miecz Arnzy wypada jej z rąk. Zaczyna jej się kręcić w głowie.

Masu już wie, że rzeźbiarka jest bezbronna. Patrzy na wróżbitę, który pomógł jej zabić jego przyjaciela. W ustach czuje słodki smak zemsty. Bierze zamach, celując ostrzem w spójnię szyi i ramienia Teukrosa. Z rozciętej tętnicy tryska krew. Masu przenosi ciężar ciała na drugą nogę i wymierza pchnięcie. Uśmiecha się, gdy ostrze wbija się w brzuch kapłana i wychodzi plecami.

Przed oczami Teukrosa staje obraz Tecji w dniu, kiedy pierwszy raz się poznali. Jest piękna i nieśmiała, a on ma wielką ochotę ją pocałować. Kopnięcie w ramię boleśnie przywraca go do rzeczywistości. Upada twarzą na ziemię. Nie może oddychać. Nic nie widzi. Niczego już nie czuje.

Teraz wracają do niego obrazy z nocy poślubnej. Tunika Tecji opadająca z jej ramion. Jej nagie ciało w świetle płomieni z paleniska. Czeka na niego.

Zimny sztych ostrza wbija się w serce Teukrosa. Ogarnia go ciemność. Opada na niego czarną kurtyną. Tecja wypowiada słowa przysięgi małżeńskiej, ale Teukros jej nie słyszy. Otacza go zupełna cisza.

W miękkiej, niezgłębionej ciemności otwierają się drzwi do następnego świata. I nagle uderza go demoniczny hałas. Krzyk noworodka. Dziecka, którego nigdy nie zobaczy. Nasienie, które gwałciiciel zasiał w łonie jego żony.

Upływ krwi całkowicie pozbawił Tecję sił. Może tylko bezradnie patrzeć, jak Masu wyciera dłonie z krwi Teukrosa. Mężczyzna podnosi miecz i wyszczerza żółte zęby w uśmiechu.

- Chyba będę się lepiej bawić, zabijając cię, niż gwałcąc.

Tecja z trudem podnosi z ziemi miecz Arnzy. Rana ręki uniemożliwia jej wykonanie jakiegokolwiek ruchu ostrzem.

Masu dostrzeżę jej słabość i robi pół kroku naprzód. Już nie może się doczekać, aż ją dopadnie. Będzie z niej wydierał życie kawałek po kawałku. Bierze zamach. Ale nie wyprowadza uderzenia.

Tecja rozpaczliwie pcha mieczem przed siebie i w górę. Ostrze wbija się prosto w gardło Masu. Jego oczy rozszerzają się, gdy klinga przebija się przez krtań i wychodzi przez kark.

Kiedy upada, jego ostatnią myślą jest zdumienie, że umierająca kobieta potrafi zaatakować tak szybko i z taką siłą.

Zdziwienie udziela się też Tecji. Okrutna, gwałtowna siła, która kierowała jej ruchami, wyparowuje. Tecja upuszcza miecz i osuwa się na ziemię obok męża.

Mrok zbliża się ku niej jak galopujący czarny rumak w szalejącej burzy. Z trudem unosi się i kładzie dłonie na piersi Teukrosa. Jej palce przebiegają po zakrwawionym sznurku, na który nawleczony jest ceramiczny wisiołek, który dała mu w dniu ślubu. Pamięta, jak go dla niego zrobiła. Pamięta, jak ucałowała wisiołek, nawlekając go tamtego ranka. Trzyma go w dłoni, z trudem chwytając powietrze.

Zbliżają się ludzie.

Tecja musi za wszelką cenę oddychać, musi żyć, żeby ocalić swoje dziecko. Słyszy kroki ludzi nadbiegających ze świątyni. Z obu stron rozlegają się głosy. Oczy zalewa jej krew i pot. Dostrzega przerażoną twarz Ventiego, który bierze ją w ramiona.

CAPITOLO XXX

Kopalnia srebra, Atmanta

Pesna i Kavie zsiadają z koni przed bramą kopalni. Natychmiast pojawia się grupka młodych, półnagich niewolników, którzy zajmują się końmi. Sędzia otrzepuje tunikę z kurzu.

- Kiedy to się skończy, musimy jak najszybciej pozbyć się Lartha. Straciłem do niego zaufanie.

- Pozbyć się? To znaczy zabić? - pyta zaskoczony Kavie. - Czy zrobić z niego zarządcę jakichś odległych ziem?

- Ten człowiek nie potrafi kontrolować własnych trzewi, nie wspominając już o poważniejszych sprawach. Ambicja przyćmiewa mu rozsądek i w rezultacie wszyscy wychodzimy na głupców.

- To nie będzie takie proste.

- Nie ma innego wyjścia - przerywa Pesna, odwracając się do swojego doradcy. - Widziałeś sam, że rzucił mi wyzwanie. W jego oczach była zdrada.

Kavie usiłuje załagodzić gniew sędziego.

- Po prostu został upokorzony. Larth to dumny człowiek, jak to były żołnierz. Trudno mu przełknąć przyganę w obecności zwykłego woźnicy.

- To nieistotne. Zajmij się tym.

- Jak sobie życzysz - odpowiada Kavie z namysłem - ale będę potrzebował wielu, naprawdę wielu lojalnych ludzi, żeby pozbyć się takiego potwora, jak Larth.

- Więc ich sobie zorganizuj. Ten człowiek jest dla mnie ciężarem, Kavie, a stoimy u progu czasów, gdy nie będę mógł pozwolić sobie na dźwiganie ciężaru kłopotliwych sług.

Wyżłobione koleiny prowadzą ich do pierwszej, największej z sześciu połączonych kopalni srebra. Wydobycie odbywa się głównie na powierzchni. Rozległe wyrobiska są ogrodzone płotami i strzeżone przez uzbrojoną straż. Niektóre kopalnie znajdują się pod ziemią, gdzie górnicy potężnymi, żelaznymi kilofami wgrzyzają się w twardą skałę.

Arantur, zarządca kopalni, staje w wejściu, osłaniając twarz przed kurzem i mrużąc oczy w palącym słońcu. Jest niewysoki, łysy i otyły, na sobie ma kremową tunikę przyozdobioną trzema srebrnymi łańcuchami o ciasno splecionych ogniwach. Srebrne pierścienie na jego palcach grzechoczą nerwowo, gdy wychodzi na powitanie sędziego.

- Niechaj bogowie mają cię w opiece, panie. Wszystko przygotowane.

- Dobrze! - warczy Pesna. - Jesteśmy spóźnieni, więc prowadź do środka i pokaż nam dary.

Arantur miał nadzieję na dłuższą rozmowę z sędzią. Być może, jeśli dzień będzie udany, pod wieczór będzie miał szansę wywalczyć sobie większą władzę nad kopalnią. Wyczuwając jednak nastrój sędziego, dochodzi do wniosku, że zatrzymywanie Pesny nie będzie

najrozsądniejszym pomysłem, dlatego też natychmiast otwiera podniszczone drzwi wejściowe.

- Tędy proszę. Kavię zerka za siebie.
- Przybywają pierwsi goście. Musimy się spieszyć.

Wchodzą do obszernego budynku, służącego jako kwatery dla robotników. Na środku znajduje się stół, przy którym niewolnicy zazwyczaj spożywają swoje mizerne posiłki. Dziś jednak blat zastawiony jest srebrnymi talerzami, czarkami, bransoletami, pierścieniami i łańcuchami.

- Wspaniale. - Pesna przesuwając dłoń po błyszczących skarbach. - Rzucimy tym wieprzom do koryta akurat tyle, żeby pobudzić ich apetyt.

Arantur dostrzega swoją szansę:

- Odkąd w swojej mądrości usprawniłeś metody produkcji, panie, wydobywamy trzykrotnie więcej kruszcu. Sądzę, że mam w tej chwili zaszczyt kierować najwydajniejszymi kopalniami srebra w Etrurii.

Pesna posyła podlizującemu się zarządcy swój pierwszy szczerzy uśmiech tego dnia.

- Znakomicie. Pomówimy o tym w niedługiej przyszłości. A teraz zadbaj o to, żeby nasi goście mogli się odświeżyć, zanim oprowadzimy ich po kopalni. Pokażemy im złoża rudy i napchamy ich kie-szenie błyskotkami.

Zarządca w pośpiechu wycofuje się do drzwi i wybiega na zewnątrz.

- Nie czuję się zbyt pewnie z całym tym bogactwem w jednym miejscu - mówi Kavię, dotykając sreber. Rozgląda się nerwowo po izbie.

Pesna uspokajająco klepie go po ramieniu.

- Bez obaw. Nie pozostanie tu długo. Poza tym czy nie nakazałeś wystawić dodatkowej straży w kopalni i na zewnątrz?

Kavie przygryza wargę.

- Owszem. Ale zważywszy na naszą rozmowę sprzed kilku chwil, chyba powinienem przypomnieć ci, że to Larth zajmował się wzmocnieniem straży. To zawsze Larth zajmuje się takimi sprawami.

Uśmiech znika z twarzy Pesny.

ROZDZIAŁ 34

Czasy współczesne

Luna Hotel Baglioni, Wenecja

Tom wraca do pokoju Tiny, pogrążony w myślach o żalobie Valentiny i prośbie majora Carvalho, żeby dowiedział się jak najwięcej o wątrobach, Etruskach, rytuałach i satanistach.

Tina zauważa jego rozkojarzenie. Od kiedy wrócił, wypowiedział do niej trzy słowa na krzyż. Miała nadzieję, że będzie w lepszym nastroju. A w każdym razie w takim, w którym będzie mogła spokojnie przeprowadzić z nim poważną rozmowę.

- Wieża do majora Shamana, jest pan jeszcze na naszej orbicie?

Podnosi na nią wzrok z fotela, w którym tkwi nieruchomo od kilku minut.

- Przepraszam. Cały czas myślę o tej sprawie i próbuję przypomnieć sobie wykłady z teologii i historii z seminarium.

Tina podchodzi do niego i obejmuje ramieniem za szyję.

- Weź mojego laptopa. Poszukaj w Google i miej to z głowy. Pójdę się wykąpać przed kolacją.

- Dobry pomysł, dzięki. Masz tam jakieś hasło czy coś w tym stylu?

- Nie. - Tina z uśmiechem stuka palcem w obudowę komputera na biurku i idzie do łazienki. - Jest włączony. Nalej mi kieliszek wina, jak wyjdę spod prysznica, dobra?

- Jasne. Białego?

- Poproszę. W minibarze zostało jeszcze trochę sauvignon blanc. I dorzuć mi trochę lodu.

- Zrobi się.

Tom siada do komputera. Na studiach teologicznych zdobył dość obszerną wiedzę o Etruskach. Zna znaczenie przypisywane w ich kulturze wątrobie, pamięta również, że byli zaskakująco zorganizowanym i zaawansowanym społeczeństwem. Od mniej więcej 900 roku przed Chrystusem wyznawali wiarę w predestynację - koncepcję, w myśl której ich losy spoczywały całkowicie w rękach panteonu bóstw. Szczęście zależało od łaskawości bogów, umiejętności rozpoznawania omenów i składania ofiar, aby obłaskawić rozgniewane bóstwa lub zapewnić sobie ich przychylność. Etruskowie nie podejmowali właściwie żadnych decyzji bez konsultacji z kapłanem-wróźbitą, nazywanym także haruspikiem, a w czasach rzymskich augurem. Zarówno Rzym, jak i Kościół katolicki przejęły elementy obrzędów etruskich: biskupi pastorał wywodzi się w prostej linii od lituus, ceremonialnego kostura etruskich wróźbitów.

Tina podśpiewuje pod prysznicem, a Tom zagłębia się w sekrety starożytnej sztuki wróżenia z wątroby. Znalazł artykuł naukowy opisujący podział organu na liczne strefy, z których każda reprezentowała konkretne bóstwo i jego miejsce na niebie. Jeśli na przykład rozerwaniu lub uszkodzeniu uległa część wątroby powiązana z Tinią, etruskim bogiem piorunów i pogody, haruspik mógł zinterpretować to jako omen nadciągającej nawałnicy, która zniszczy uprawy i łodzie rybackie.

- Skończyłam! - woła Tina. - Chcesz pomóc mi się wytrzeć?

Tom jej nie słyszy. Całą jego uwagę pochłania zdjęcie wątroby z Piacenzy, bezcennego modelu owczej wątroby w naturalnej skali, odlanego z brązu około trzysta lat przed narodzinami Chrystusa. Odkryto ją pod koniec XIX wieku w Gossolengo w pobliżu Piacenzy. Powszechnie uważa się, że służyła wróżbitom jako pomoc naukowa. Przyglądając się inskrypcjom i symbolom, Tom zastanawia się, jaką przyszłość odczytywali wróżbici z tamtych czasów.

Obok niego pojawia się Tina.

- No dobra, nie pomogłeś mi się wytrzeć, to mogę jeszcze zrozumieć. Ale co z moim winem?

- Przepraszam. - Tom zrywa się od biurka. - Trochę się zaczytałem. - Pospiesznie wyjmując z lodówki butelkę i nalewa dwa kieliszki wina.

- Znalazłeś to, czego szukałeś?

- W pewnym sensie.

Trącając się kieliszkami i Tom patrzy na nią po raz pierwszy, odkąd wrócił do hotelu.

Tina ma na sobie puszysty biały szlafrok i ręcznik zawiązany na mokrych włosach. Kiedy zauważa, że Tom się jej przygląda, uśmiecha się i przestaje wycierać włosy.

- No co? Aż tak źle wyglądam bez makijażu i lakieru na włosach?
- Wręcz przeciwnie. Wyglądasz jeszcze ładniej. - Tom całuje ją lekko. Dotyk jej mokrych włosów, pachnącej skóry i miękkich ust rozbudza w nim pożądanie. Powoli opuszcza dłonie na jej biodra i zaczyna rozwiązywać pasek szlafroka.

Tina odsuwa się jednak od niego.

- Usiądźmy na chwilę. Muszę ci coś powiedzieć.

- Aha. To nie brzmi dobrze.

Siadają na łóżku. Tina bierze go za rękę.

- Muszę wyjechać.

Tom patrzy na nią nierozumiejącym wzrokiem.

- Dostałam nowe zlecenie i muszę dość szybko się stąd zbierać.

Nawet bardzo szybko.

Tom marszczy brwi.

- Co za zlecenie?

Tina ucieka wzrokiem, usiłując ukryć zakłopotanie.

- Przykro mi, ale nie mogę ci powiedzieć. To jest, no cóż, to jest temat na wyłączność, a wydawca ma dość restrykcyjną politykę poufności. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

- Prawdę mówiąc, nie bardzo. Wydawało mi się, że jest między nami coś poważniejszego niż tylko materiał do artykułu. A może po prostu jestem strasznie naiwny?

- Nie jesteś naiwny. - Tina wygląda na lekko zirytowaną. - Tom, to jest biznes. A biznes to biznes. Gdybyś wciąż był księdzem, nie powiedziałbyś mi, co ktoś wyznał ci w konfesjonale, prawda?

- Nie bądź śmieszna. To jest absurdalny argument. Gdybym wciąż był księdzem, to nie uprawialibyśmy seksu.

Lekka irytacja Tyny przeradza się w złość.

- Bo katolicy księża zawsze i wszędzie zachowują celibat, co? -
Nieświadomie zawiązuje szlafrok. - Jestem profesjonalistką i trzymam się swoich zasad. Chyba potrafisz to uszanować?

Tom patrzy w bok w nadziei, że Tina nie zauważy jego rozczarowania.

- Dobra. Nie kłómy się, przepraszam. Kiedy musisz jechać?
Złość znika z jej twarzy.

- Jutro. Z samego rana.

CAPITOLO XXXI

Rok 666 przed Chrystusem
Kopalnia srebra, Aimanta

Wszyscy goście weszli już do budynku. Zamykają się drzwi i Pesna rozpoczyna realizację swojego planu. Człowiek, który marzy o królewskiej koronie i panowaniu nad nowymi ziemiami w Etrurii, staje na końcu zastawionego srebrem stołu. Zajmuje tę pozycję celowo - nawet jeżeli zgromadzeni w budynku możnowładcy w którymś momencie przestaną słuchać jego słów, ich wzrok od razu padnie na stojące przed nim skarby.

- Szlachetni panowie, to wielki przywilej powitać was tutaj. Raz jeszcze dziękuję wam za przybycie i szacunek, jakim jest możliwość goszczenia was w naszej skromnej osadzie.

- Cała przyjemność po naszej stronie! - woła mężczyzna o jowialnej twarzy i potężnym brzuchu, objającym się o krawędź stołu. - A będzie znacznie większa, kiedy pozwolisz nam napęlić kieszenie tymi cudami.

Rozlega się chóralny śmiech. Pesna ucisza ich gestem.

- Wszystko w swoim czasie, drogi Teitu. - Sędzia przesuwając dłoń po stole, zbierając w garść srebrne łańcuchy i bransolety. - I nie tylko dziś, nie tylko tymi drobnymi upominkami. Mam nadzieję obdarowywać was do końca waszych dni.

Goście ponownie wybuchają śmiechem.

- Po uczcie porozmawiamy o tym, w jaki sposób możemy razem zbudować nowe miasta, otworzyć nowe kopalnie i cieszyć się bogactwami znacznie większymi niż te błyskotki.

Rozlega się aplauz.

Nagle spod ziemi dobiega niewielki rumor i budynek lekko drży. Pesna dostrzega niepokój na twarzach gości.

- Nie ma się czym przejmować, przyjaciele. Aranturze, objaśnij naszym szlachetnym gościom, co się przed chwilą stało.

Na twarzy zarządcy kopalni pojawia się uśmiech człowieka, który uwielbia być w centrum uwagi, ale rzadko dostaje szansę.

- To drżenie zostało wywołane przez podziemny wybuch. Rozpalamy ogień pod skałami, w których kryją się żyły kruszcu. Kiedy skała rozgrzewa się do czerwoności, oblewamy ją lodowatą wodą doprowadzoną z powierzchni. Gwałtowne ochłodzenie powoduje, że skała pęka i zapada się. - Arantur ilustruje zjawisko odpowiednim gestem. - Razem ze skałą osuwają się kamienie i ziemia. Następnie nasi górnicy wykopują srebro z rumowiska.

Starszawy władca Velzny robi zaniepokojoną minę.

- Czy wielu waszych niewolników ginie?

- Trochę - odpowiada rzeczowo Pesna. - To niebezpieczna praca.
- Wodzi dłonią ponad stołem. - Ale ryzyko się opłaca i warto poświęcić życie kilku niewolników. Kopalnia, nad którą się znajdujemy, jest największą z sześciu, które do mnie należą.

Goście zaczynają szeptać między sobą, choć rozmowa dotyczy raczej bogactw Pesny niż niebezpieczeństw związanych z wydobyciem srebra.

- Bardzo proszę! - Zarządca kopalni usiłuje ponownie przyciągnąć ich uwagę. - Jeżeli będziecie tak uprzejmi i podejdziecie tutaj... - Arantur idzie do ciemnego kąta pomieszczenia. - Oto próbki z ostatniego urobku. Spójrzcie na bogactwo żył. - Arantur ustępuje, aby goście mogli sami przyjrzeć się kruszcowi.

- Nasze srebro w większości jest łatwe do wydobycia. - Podchodzi do niewielkiego stolika. - Niewolnicy muszą je tylko wykopać, wypłukać i wybrać z ziemi. Niestety, łatwo dostępne złoża rodzą zazwyczaj srebro niewielkich rozmiarów - dla podkreślenia swoich słów podnosi ze stołu srebrny samorodek wielkości paznokcia na kciuku. - Dopiero, gdy wgryziemy się głębiej w trzewia tych wzgórz, znajdujemy większe skarby.

Kolejny wybuch wstrząsa podłogą budynku. Wzrok wszystkich pada na Pesnę, który uśmiecha się uspokajająco.

- To głos bogów chwalebnych nas za ostatnie znaleziska. Dość już tych nudnych lekcji Arantura, najwyższy czas zająć się darami, które tak przyciągnęły waszą uwagę. Każdy z was otrzyma prezent wykonany specjalnie dla niego. Mój szlachetny przyjaciel Kavierze rozdzieli je między was.

Kolejny wstrząs. Tym razem nikt się nawet nie krzywi. Wszyscy są zbyt zajęci nerwowym wyczekiwaniem na swoje dary.

Kavierze zaczyna od najmniejszych skarbów dla najmniej ważnych gości.

- Szlachetni panowie, mam zaszczyt wręczyć wam te dary. Po pierwsze, mojemu staremu przyjacielowi Artemu z Tarchny z radością wręczam ten oto sygnet, na którym wytrawione zostały jego inicjały...

Goście klaszczą, gdy Arte przepycha się po swój prezent. Nie dociera jednak do stołu. Cały budynek zaczyna się trząść i trzeszczeć. Dach pęka i do środka wpada światło dnia. Oklaski cichną jak ucięte nożem.

Wszyscy z przerażeniem spoglądają na dach, który spada na ich głowy. Zaskaniają się rękami przed deszczem drewnianych drzazg i żelaznych gwoździ. I wtedy grunt usuwa im się spod nóg. Ziemia otwiera się pod nimi jak wrota do piekieł. Rozpaczliwie usiłują złapać się krawędzi otwierającej się pod nimi pieczary. Palce desperacko wpijają się w miękką ziemię, która jednak nie daje oparcia.

Przerażone wrzaski odbijają się echem w podziemiach. Szlachetni goście sędziego spadają w dół w zabójczym wodospadzie popękanej skały. Wszystkie sześć kopalni ogarnia płonąca kula metanu podpalonego przez ogniska na zboczu klifu. Ci, którzy nie giną od upadku, zostają spaleni w ognistym piekle.

Ze swojego punktu obserwacyjnego na wzgórzu Larth Oprawca obserwuje chmurę kurzu i czarnego dymu wznoszącą się w popołudniowe niebo. Jego ludzie precyzyjnie podłożyli ogień, który błyskawicznie opanował korytarze kopalni wypełnione trującymi gazami.

Opierając się o rozbite koło powozu i przyglądając srebrnym tabliczkom w dłoniach, Larth pozwala sobie na uśmiech, z którego nawet sędzia byłby dumny. Tabliczki są kluczem do wielkich rzeczy. Musi je chronić. Nawet za cenę własnego życia. Musi je chronić, dopóki ich nowy pan nie będzie gotowy.

CAPITOLO XXXII

Chata Lartuzy, Atmanta

Kiedy Venti przynosi Tecję do chaty Lartuzy, rzeźbiarka jest nieprzytomna. Stary uzdrowiciel obawia się najgorszego. Straciła bardzo dużo krwi i jest o włos od śmierci.

Do chaty napływają pomocnicy i życzliwi. Tymczasem Venti biegnie z powrotem po syna. Lartuza układa Tecję na pościeli. Szybko bierze szmaty i garnek z wodą, który stale wisi nad ogniem.

- Dziękuję wam! Dziękuję! Ale teraz musicie stąd wyjść. Potrzebuję miejsca do pracy. - Uzdrowiciel przepędza gapiów na zewnątrz jak stado gęsi.

Kafacja, miejscowa szwaczka w wieku Tecji, zostaje w chacie i przemywa skórę rzeźbiarki.

Lartuza bada wydęty brzuch, z którego sączy się krew. Choć ostrze miecza ominęło łono, szanse na ocalenie matki lub dziecka są niewielkie.

- Przetrzyj! Tutaj! - instruuje Kafację, badając jednocześnie drugą ranę na prawym ramieniu Tecji. - Niech bogowie nam pomagają, bo umiejętności śmiertelników tu nie wystarczą.

Obwiązuje konopnym sznurkiem ramię Tecji, aby powstrzymać krwawienie. Kafacja rozbiera pacjentkę i oczyszcza ranę na jej brzuchu.

Lartuza w końcu widzi ją wyraźnie. Jest głęboka. Zbyt głęboka, aby Tecja przeżyła. Przykłada swoją pomarszczoną dłoń do jej ust. Oddech jest prawie niewyczuwalny.

Rozlega się hałas i coś przysłania światło wpadające przez drzwi. Do chaty wchodzi Venti, trzymając w ramionach swojego martwego syna.

- Lartuzo, on żyje. Teukros jeszcze żyje! Zajmij się nim, prędko! Venti kładzie syna obok Tecji. Lartuza nie musi go nawet badać.

- On umarł, przyjacielu. Ale spróbuję ocalić Tecję.

- Nie! Ratuj jego, Lartuzo, ratuj mojego chłopca!

- Przyjacielu, on już odszedł - mówi uzdrowiciel współczującym głosem. - Jest już wśród bogów, którym tak wiernie służył.

Po twarzy Ventiego płyną łzy.

- Przynajmniej go zbadaj! Błagam cię.

Lartuza chwyta go za rękę.

- Venti, nie muszę go badać - on nie żyje! Przykro mi, ale nie mogę dla niego zrobić nic więcej. A teraz pozwól mi zająć się jego żoną i dzieckiem.

Tecja otwiera oczy. Jej ciało przeszywa ból. Instynktownie sięga zdrową ręką do uzdrowiciela. Lartuza zdziera z niej resztę pokrwa-wionej tuniki. Przyklęka i rozsuwa drżące kolana Tecji. W myślach modli się i błaga o pomoc Thalnę, boginię narodzin. Zerka na Ven-tiego ze słabym uśmiechem.

- Widzę główkę dziecka. Widzę je.

Tecja wytrzeszcza oczy. Wyje z bólu jak ranne zwierzę. Lartuza usiłuje ująć palcami główkę dziecka. Oddech Tecji jest płytki i ury-wany, ale sięga do ostatnich rezerw sił, aby bezpiecznie urodzić dziecko.

Uzdrowiciel patrzy na jej twarz, bladą jak u trupa. Jej oczy po-wlekają się mleczną mgłą i przypominają niewidzące oczy Teukrosa.

Lartuza czuje pod palcami ramiona noworodka. Potem delikatne kości kręgosłupa i żeber.

Tecja wyje nieludzko. Jej głowa opada na posłanie. Nogi wiotczeją. Umiera.

W chacie uzdrowiciela wszystko na chwilę zastyga.

- Venti, przytrzymaj jej nogi! - woła Lartuza, przerywając nie-naturalną ciszę. - Szybko! Złap ją za uda i trzymaj kolana rozwarte.

Stary żołnierz posłusznie wykonuje jego polecenia.

Ręce uzdrowiciela pracują szybko. Zaczepia palce o pachy dziecka i powoli ciągnie. Noworodek wysuwa się z martwego ciała matki, owinięty zakrwawioną pępowiną.

Oczy wszystkich skierowane są na dziecko. Na milczącego chłopczyka, który nie oddycha.

Venti rozumie, że uzdrowiciel potrzebuje miejsca. Wyjmuje nóż, przecina pępowinę i odsuwa ciało Tecji, układając je przy swoim martwym synu.

Lartuza zawiązuje pępek. Układa dziecko twarzą w dół na dłoni i wkłada kościste palce do jego ust.

Wzdęty brzusek noworodka wygląda tak, jakby miał za chwilę pęknąć. I wtedy... Z ust i nozdrzy nowo narodzonego chłopczyka tryska śluz. Nie rozlega się jednak krzyk. Słychać tylko krótki oddech, jak u wężącego zwierzęcia.

Lartuza uśmiecha się.

- Jesteś dziadkiem, Venti. Ten mały człowiek urodził się stanowczo za wcześnie, ale oddycha.

- Daj mi go. - Venti wyciąga ręce. - To mój jedyny potomek.

Lartuza ostrożnie podaje mu dziecko.

- Uważaj, jest bardzo słaby. Przyniosę coś, żeby go owinąć.

Venti całuje wnuka. Chłopczyk ma pod lewym okiem niewielkie znamię w kształcie łzy. Układa bezwładne ramię Teukrosa wokół jego martwej żony i kładzie dziecko pomiędzy nimi.

- To są twoi rodzice, mały. Choć nigdy ich nie poznasz, zadbam o to, żebyś nigdy o nich nie zapomniał, i o to, żeby ci, którzy przyjdą po nas, zawsze o nich pamiętali.

CZEŚĆ
CZWARTA

CAPITOLO XXXIII

*26 grudnia 1777 roku
Plac św. Marka, Wenecja*

W świetle zachodzącego słońca Canale di San Marco nabiera szkarłatnej barwy chianti. Z licznych łodzi schodzą na brzeg zamaskowane kurtyzany, aby praktykować swoją odwieczną profesję. Twarze mają zakryte morenami, jedwabnymi maskami podtrzymywanymi ściskanym w zębach guzikiem na nitce. Część z nich jest młoda i piękna, część wyniszczona wiekiem i chorobami. Bogate kobiety w przebraniach żebraczek. Nędzarki w pożyczonych przebraniach, które na jedną noc zmieniają je w arystokratki.

W Wenecji można być każdym. Wszystko jest możliwe. Nie ma nic pewnego.

Dziś jest świętego Szczepana, dzień po Bożym Narodzeniu. Pierwszy dzień karnawału. Największe święto rozpusty w dziejach świata trwa zaledwie kilka godzin i obwieszcza swoje nadejście równie hałaśliwie, co nowo narodzone dziecko.

Rozpoczyna się półroczny taniec szalonej rozpusty. Muzyki. Sztuki. Uciech cielesnych. A także bardziej dekadentkich rozrywek. Mroczniejszych - bardziej zabójczych.

Na placu Świętego Marka pojawili się już tancerze. Hartowane płaszcze, karnawałowe peleryny i połyskujące ozdobami kostiumy wirują w rześkim zimowym powietrzu. Muzykanci przygrywiają i zaczynają się pierwsze flirty i schadzki. Vivaldi nie żyje od prawie

trzydziestu lat, ale muzyka Rudego Księdza jest teraz jeszcze popularniejsza niż za jego życia. W jednej z kawiarni skrzypaczki grają „Burzę na morzu”. Na chwilę przystaje przy nich grupa mężczyzn zmierzających do II Ridotto, należącego do doży kasyna w dzielnicy San Moisè, gdzie wkrótce pozbędą się większości zarobków.

Wioślarz obserwuje ich, ukryty za trupio białą maską z długim nosem. Stoi w samym środku, ale nie uczestniczy w zabawie. Plac Świętego Marka jak magnes przyciąga rozpustników i poszukiwaczy seksualnych przygód z całej Europy. Poeta Baffò mawiał, że w tym miejscu gromadzą się suki wszystkich maści, aby zalotnie kręcić ogonami w oczekiwaniu na samca.

Na platformie na krańcu placu uliczny teatr wystawia spektakl. Na środku sceny widać potężnie zbudowanego aktora, odgrywającego rolę awanturczego kapitana Scaramuzzy. Ma na sobie kapelusz z piórem, obszerną czarną pelerynę i szeroki pas ze szpadą. Twarz ma zakrytą niewielką srebrną maską z długim nosem z kości słoniowej. Zabawia pijaną publikę opowieściami o zwycięskich bitwach z tureckim wojskiem i kradzieży brody sułtana.

Wioślarz opuszcza roześmiany tłum i spaceruje uliczkami Wenecji, wdychając zmysłowy aromat wieczoru. Postanawia zjeść solidną kolację. Gęsta zupa z pomidorów i pieczony udziec jagnięcy. Nie zamierza jednak pić wina. Jeszcze nie. Na razie musi mieć trzeźwą głowę. A po kolacji będzie gotów na najważniejszy punkt tego wieczoru.

Wędruje zaułkami i kamiennymi mostami na północny wschód, w kierunku burdelu na placu Santa Maria Formosa. Stamtąd uda się do bardziej eleganckiej dzielnicy Sestriere di Dorsoduro. Z kanału dociera powiew chłodnego wiatru. Zapinając płaszcz, słyszy czyjś głos przekonujący, że niechybnie nadciągnie burza. Wioślarz wąpi.

Przepowiadacze pogody to w większości głupcy, którzy potrafią przewidzieć co najwyżej tyle, że po nocy przyjdzie dzień. Wioślarz wie o żywiołach więcej, niż wszyscy oni kiedykolwiek się dowiedzą. Niemniej jednak musi być ostrożny. Czujny. Jak zawsze.

Dwie kurtyzany w srebrnych maskach kotów zbliżają się do niego, imitując rękami ruchy kocich łap. Mniejsza z nich wydaje z siebie głośne, żartobliwe miauknięcie. Potem mruczy i ociera się o jego biodro. Wioślarz udaje obrzydzenie i szybko odsuwa się od niej. Kurtyzany wybuchają śmiechem i znikają w tłumie, stukocząc obcasami butów. Nie mają pojęcia, z kim się przed chwilą zetknęły. Nie wiedzą, jaki zaszczyt je spotkał. Właśnie utraciły jedno ze swoich dziewięciu żyć.

Dzisiejszej nocy w Wenecji te dwie kotki i dziesięć tysięcy podobnych im kobiet odda się rozpuście z dziesiątkami tysięcy obcych mężczyzn z całej Europy, zwabionych ich wdziękami. Ale wioślarza nie będzie wśród nich. Przyjemność, która go czeka, jest znacznie mniej ulotna.

ROZDZIAŁ 35

Czasy współczesne *Wenecja*

Tina wyjechała przed dwoma dniami. Tom tęskni za nią znacznie bardziej, niż się spodziewał. Jeśli nie tkwi na komendzie żandarmerii - dokąd właśnie się udaje - spędza czas, włócząc się po ulicach. Byle

tylko nie siedzieć w hotelu i nie myśleć o Tinie. Może tylko wyobrażał sobie, że jest dla niej kimś więcej niż tylko przelotną rozrywką?

Kiedy tylko wyjechała, wrócił do swojego hotelu. Jego fundusze zaczynały się kurczyć, a wynajęcie pokoju w Luna Baglioni doścześnie by go zrujnowało. Przeżył przyjemne zaskoczenie, gdy *carabinieri* zaoferowali, że zapłacą jego rachunek za hotel, a ponadto będą mu wypłacać niewielkie kieszonkowe, dopóki nie skończy się jego udział w śledztwie.

Zatrzymuje się na środku mostu i przygląda przepływającym w dole gondolom i wodnym taksówkom zmierzającym w stronę Canal Grande. Wpatruje się w wodę i zastanawia, co będzie robił dalej, gdy żandarmeria rozwiąże albo umorzy sprawę morderstw. Nagle coś mu się przypomina. Z kieszeni marynarki, którą kupiła mu Tina, wyjmuje starą pocztówkę od Rosanny Romano. Zabawne. Dwa prezenty od dwóch kobiet, które ledwo znał i które nigdy się nie spotkały, a jednak pozostawiły w jego życiu zadziwiająco trwałe ślady. Tom sam nie wie, czy nazwać to przeznaczeniem, przypadkiem, czy po prostu wolą bożą. Patrząc na bazylikę Santa Maria della Salute, wreszcie zaczyna rozumieć, dlaczego Canaletto namalował ten widok i dlaczego pocztówka Rosanny skłoniła go do wyjazdu do Wenecji. Bazylika w rzeczywistości jest znacznie większa, piękniejsza i bardziej majestatyczna niż na płótnie, nawet pędzla takiego mistrza jak Canaletto. Jest duszą tego miasta. Stoi o przysłowiowy rzut kamieniem od jego hotelu. Tom obiecuje sobie, że wejdzie do środka - ale nie dziś. Już jest prawie spóźniony na odprawę, a od komendy dzieli go jeszcze sporo mostów.

Pogrążony w melancholii dociera na posterunek zaledwie pięć minut po czasie, co w Wenecji stanowi odpowiednik przybycia

dwadzieścia minut za wcześnie. Młody funkcjonariusz dyżurny prowadzi go na górę do gabinetu Vito Carvalho. Major nie wygląda najlepiej.

- *Ciao*, Tom. Siadaj proszę.

- *Grazie*. - Tom wykorzystuje każdą okazję, żeby poćwiczyć swój imponujący zasób dziesięciu włoskich słów. - *Buongiorno*, panie majorze.

Do gabinetu wchodzi Valentina Morassi. Całuje Toma na powitanie w oba policzki. Nikt nie potrafi robić tego tak, jak Włosi. Valentina siada obok biurka szefa, a Tom natychmiast orientuje się, że coś się stało.

Carvalho bierze do ręki kilka spiętych ze sobą kartek z faksu i podsuwa je Tomowi.

- Z „National Enquirer”. FBI przesłało je nam dziś rano.

Tom sięga po papiery i uświadamia sobie, że patrzy na własną twarz. Nie przypomina sobie tego zdjęcia. Z całą pewnością nie jest to fotografia, która pojawiła się w mediach po sprawie gwałtu w Los Angeles. Na tym zdjęciu ma na sobie tylko ręcznik i siedzi w oknie pokoju hotelowego Tiny. Zrobiono je telefonem komórkowym. Należącym do Tiny. Z najwyższą niechęcią zerka na kolumny tekstu pod zdjęciem i wielki nagłówek: „Bohaterski ksiądz odnajduje miłość i śmierć w Wenecji”.

Carvalho i Valentina milczą, dając Tomowi chwilę na ochłonięcie. Oboje zdążyli już po kilka razy przeczytać sensacyjny artykuł i oboje z radością wsadziliby Tinę Ricci za kraty do końca życia. Nie dość że ze szczegółami opisała łózkowe wyczyny z byłym księdzem, to jeszcze ujawniła, że Tom pomaga weneckiej policji w polowaniu na mordercę. A na to jest już stosowny paragraf.

Tom w końcu odkłada kartki.

- Naprawdę bardzo mi przykro. Nie wiem, co mam wam powiedzieć. - Bierze głęboki oddech. - Trudno mi uwierzyć, że mogła zrobić coś takiego.

- Jak każdemu - odpowiada chłodno Valentina. - Dziennikarze oszukują ludzi zawodowo.

- Nie ty pierwszy i z pewnością nie ostatni wpadłeś w sidła pięknej reporterki - dodaje Carvalho trochę życzliwszym głosem. - Ale dla nas to katastrofa. Mój przełożony dostał *pazzo*. Znaczący, wściekły się. Nasze telefony grzeją się do czerwoności od wydzwanających dziennikarzy, a góra w Rzymie domaga się pełnego raportu.

Tom ponownie przygląda się odbitkom. Ogarnia go paskudna mieszanka złości i wstydu.

- Naprawdę mi przykro. Wydawało mi się, że skoro pisze o podróżach, to nie jest taka, jak inni dziennikarze. Dałem się podejść jak dziecko. Co mogę zrobić, żeby jakoś wam to wynagrodzić?

Carvalho uśmiecha się.

- Oprócz złapania mordercy? Raczej nic. - Zerka na zegar na ścianie. - No, czas dostać po głowie od dowódcy brygady. Poczekaj tu na mnie. Musimy uzgodnić oświadczenie dla prasy.

Tom zmusza się do uśmiechu.

- Nie przejmuj się - mówi Valentina, kiedy major wychodzi. Uspokajająco dotyka jego ramienia. - Włosi są bardzo wyrozumiali w kwestiach sercowych. W końcu nasz premier ma więcej kochanek, niż jest gondoli w całej Wenecji. Chcesz kawę?

Tom zdobywa się na słaby śmiech.

- Dzięki. Jestem tym wszystkim trochę oszołomiony.

- Właśnie tak czuje się kobieta, kiedy dowiaduje się, że facet ją zdradza. - Valentina patrzy mu prosto w oczy. - Bo to jest zdrada,

Tom. Bardzo parszywe uczucie. Coś, czego nie powinno się nikomu robić.

Tom odgaduje, że Valentina miała już w tej dziedzinie bolesne doświadczenia.

- Rzeczywiście parszywe. - Trąca leżące przed nim kartki. - Ale wyciągnę z tego wnioski na przyszłość. Tak naprawdę bardziej martwię się tym, że narobiłem wam problemów.

- Wiesz co, po tym, co się działo przez ostatni tydzień, to jest nic. - Valentina uśmiecha się w sposób, który jak na ironię boleśnie przypomina mu o Tinie. - Przyniosę kawy.

Kiedy Tom zostaje sam w gabinecie, ogarnia go refleksja. Zastanawia się, czy Tina przez cały czas udawała, czy wszystko, co mu mówiła, było tylko zasłoną dymną i sposobem na zdobycie materiału do artykułu. Co gorsza, nie jest pewien, czy jeszcze kiedyś zdoła zaufać jakiejś kobiecie.

CAPITOLO XXXIV

26 grudnia 1777 roku

Sestriere di Dorsoduro, Wenecja

Zaden z dwóch mężczyzn, którzy zapłacili za cielesne uciechy z Louisa Cossigą, nie zobaczył nawet skrawka jej twarzy. Kruczowłosa kurtyzana ani na chwilę nie zdjęła wykonanej na zamówienie maski,

gdy z żalonym entuzjazmem korzystali z jej ciała. Tak jest lepiej. Zawsze.

Już dawno nauczyła się, że z twarzy najwięcej można wyczytać podczas stosunku. Miłosne uniesienia obnażają tajemnice myśli, serca i duszy. A Louisa Cossiga nie ma najmniejszego zamiaru zdradzać swoich tajemnic obcym, zwłaszcza tym, którzy jej wartość liczą tylko w monetach.

Jej pierwszy klient okazał przynajmniej tyle grzeczności, że skończył szybko. I potrafił się odwdziżyć. Spędziła z nim prawdopodobnie najbardziej dochodowe trzy minuty w ciągu całego roku. Miał ładne oczy. Życzliwe. To właśnie przez oczy zdecydowała, że to nie jego wybierze tej nocy. Szczęściarz.

Wybrała tego drugiego. Brutala. Typ mężczyzny, który zapewne bije żonę i dzieci, znęca się nad służbą i oszukuje współników w interesach. Kiedy się rozbierał, poczuła smród przypalonej wieprzowiny. Nawet chrząkał i burczał jak świnia. Louisa wzdryga się na wspomnienie jego owłosionych białych jąder tańczących między jej nogami. Wybrała go, jeszcze zanim zdążył zapytać ją o cenę. Kazał się nazywać Amunem. Twierdzi, że to egipskie imię oznaczające tajemnicę. Louisa uznała to za zabawne. Jest w tym nawet jakaś ironia. Tajemniczy Amun myje właśnie członka w misce z wodą i głośno domaga się wina.

Louisa kończy się ubierać.

- Moi przyjaciele wydają dzisiaj bal. Sekretne przyjęcie tylko dla wybranych w pałacu rozkoszy, które docenić może tylko ktoś tak wyrafinowany jak ty.

- Ile?

- Dla ciebie? Nic. Zapłaciłeś mi już wystarczająco. Będzie tam po pięć kobiet na każdego mężczyznę. Dość, żeby zaspokoić nawet twój apetyt.

Amun rozgląda się za ręcznikiem, ale nigdzie go nie widzi. Wyciera się w jej prześcieradło.

- Będziesz tam?

Louisa patrzy na niego powłóczytym wzrokiem, udając podniecenie jego sflaczałym nagim ciałem.

- Jak mogłabym to przegapić? Oczywiście, że tam będę. A oprócz rozkoszy, która cię tam czeka, będziesz mógł zobaczyć mnie taką, jaką jestem naprawdę. - Stuka palcem w srebrną maskę volto, obszytą kapturem z miękkiego czarnego jedwabiu.

W jego oczach pojawia się chciwość.

- Teraz. Zdejmij ją teraz, a dam ci wszystko, czego zapragniesz. - Sięga do wiszącego na klamce płaszcza i wyciąga z kieszeni garść złotych cekinów. - Podaj swoją cenę.

Louisa macha lekceważąco ręką.

- Nie chcę twoich pieniędzy - zerka na jego krocze - i pohamuj na razie swój entuzjizm. Dzisiejszej nocy dostaniesz wszystko to, czego pożądasz. Za darmo. - Uśmiecha się chytrze. - Ale jeśli nie zjawisz się na balu, stracisz to na zawsze. Wybieraj.

Amun w milczeniu wkłada białą koszulę. Niewzruszony jej kusielskim głosem rozważa, czy po prostu nie złapać jej za szyję i nie zedrzeć tej maski. Może dołożyć do tego kilka policzków, żeby nauczyć ją szacunku.

Tajemnica i perspektywa jeszcze większych przyjemności biorą jednak górę.

- Jak sobie życzysz. Stawię się tam dzisiaj. Gdzie odbywa się ten bal? Czy mam tu wrócić?

Louisa pomaga mu zapiąć guziki.

- Nie, najdroższy. Spotkamy się przy Ponte della Paglia za trzy godziny. Stamtąd popłyniemy łodzią.

- Doskonale. - Narzuca na ramiona płaszcz i wychodzi bez pożegnania.

Louisa zamyka drzwi, zdejmując maskę i strząsa długie, czarne włosy. Przesuwa palcami po lokach. Przyjemnie jest wreszcie poczuć świeże powietrze na twarzy. Syfilityczne pęcherze swędzą.

Siada na stołku i spogląda w lustro. Wpatruje się głęboko w oczy swojego odbicia - w okna do jej duszy. Podjęła właściwą decyzję. Wiosłarz będzie zadowolony z jej wyboru. Podobnie jak inni.

ROZDZIAŁ 36

Czasy współczesne

Komenda główna żandarmerii, Wenecja

Vito Carvalho uśmiecha się, wchodząc do gabinetu. Tom przyjmuje to jako dobry znak.

- No i? Deportujecie mnie? Czy rzucicie na pożarcie lwom z placu Świętego Marka?

- Gorzej. - Major opada na fotel za biurkiem. - Rzucimy cię na pożarcie włoskiej prasie.

- Prasie?

- Zwalczymy ogień ogniem. Zrobimy konferencję prasową. Nasz brygadier uważa, że najlepszy sposób, żeby się z tego wygrzebać, to ściągnąć telewizję, radio i prasę jednocześnie i załatwić to od razu.

- Dobry pomysł - zgadza się Valentina. - W ten sposób będziemy mieli przynajmniej jakąś kontrolę nad tym, co będą wypisywać o tobie i śledztwie.

Tom nie potrafi ukryć zdumienia.

- Przyjechałem tutaj, żeby uciec przed prasą. Jeśli zwołacie konferencję, to oprócz waszych mediów natychmiast zlecą się tu sępy z CNN, FOX i TMZ.

- No to musimy się spieszyć - oświadcza Carvalho. - Uporajmy się z tym, zanim zagraniczne hieny zaczną błagać swoich naczelnych o delegację do Wenecji. - Zerka na Valentinę. - Możesz załatwić to z naszym centrum prasowym? W głównej sali, dzisiaj o siedemnastej.

- Zrobi się. - Valentina wychodzi, uśmiechając się do Toma.

- Co mam im powiedzieć? - pyta Tom.

- Prawdę. Powiedz im o swojej sytuacji tyle, ile możesz. Co do śledztwa, Valentina i nasz rzecznik prasowy przygotują oświadczenie, a ja je wygłoszę. Mam nadzieję, że przy okazji uda nam się zdobyć jakieś nowe informacje.

- Jakież?

- Jakikolwiek. Pierwsza zasada każdego śledztwa w sprawie morderstwa mówi, że zawsze jest ktoś, kto wie więcej, niż myśli zabójca. A my musimy tego kogoś znaleźć. Dochodzeniówka nie ma dla nas na razie żadnych tropów. Stoimy w miejscu.

Tom zastanawia się nad logistyką konferencji.

- Jak to się odbędzie? Ja przecież prawie nie znam włoskiego.

- Bez obaw, mamy tłumaczkę. Spotkasz się z nią przed konferencją, ona wyjaśni ci, jak to będzie wyglądać. - Major spogląda na artykuł z „National Enquirer”. - Wiesz, gdzie teraz przebywa *signorina Ricci*?

Tom również zerka na stertę odbitek.

- Nie mam pojęcia. Podobno pisze o podróżach, więc podejrzewam, że dokądś podróżuje.

Carvalho dostrzega jego zakłopotanie.

- Nie rozmawialiście, odkąd wyjechała?

- Nie. Kilka razy dzwoniłem do niej na komórkę, ale włącza się tylko poczta głosowa. Chyba mnie unika.

- Prawdopodobnie ma nowy numer. - Vito drapie się po ręce. - Jeśli chcesz, mogę się dowiedzieć, gdzie teraz jest i jaki ma numer telefonu. Mogę podzwonić do znajomych z *Polizia di Stato* - pogranicznicy będą mieli informacje o tym, kiedy wymeldowała się z hotelu i dokąd pojechała, jeśli opuściła Włochy. Potem jeszcze parę telefonów i będziemy wszystko wiedzieli...

W sumieniu Toma odzywa się głos nakazujący mu nadstawić drugi policzek. Wybaczyć i zapomnieć.

- Raczej nie. Ale dzięki.

- Na pewno? - Vito podnosi słuchawkę telefonu. - Nie chciałbyś jej czegoś powiedzieć?

Nie da się ukryć, że Tom odczuwa pokusę. Ma wielką ochotę rzucić jej kilka słów zdecydowanie niegodnych księdza.

- Na pewno. - Podnosi się z krzesła. - Mogę skoczyć do łazienki? Za dużo kawy.

- Jasne, drogę znasz. - Major czeka, aż Tom wyjdzie z gabinetu, a potem decyduje, że jednak wykona tych kilka telefonów. Skoro Tom nie ma ochoty rozmawiać z tą cwana zdzirą, to w takim razie on powie jej dokładnie, co o niej myśli.

CAPITOLO XXXV

26 grudnia 1777 roku

Ponte della Paglia, Wenecja

Amun Badawi spędza resztę wieczoru na picu i hazardzie. Przybył do Wenecji w interesach. Interesują go przede wszystkim tureckie kobierce i egipskie dywany.

Robi mu się niedobrze jak majtkowi podczas pierwszego rejsu, jeszcze zanim dociera do łodzi, która zabierze go na sekretny bal. W pobliżu Ponte della Paglia opiera się o ceglany mur i wymiotuje. Wycierając resztki posiłku z płaszcza, dostrzega na pomoście Louise. W srebrnej masce odbija się światło księżyca. W chłodnym, nocnym powietrzu z jej ust wydobywają się obłoczki pary, gdy rozmawia z zamaskowanym wioślarem na nabrzeżu.

Wreszcie Louisa zauważa go i przywołuje do siebie:

- Amunie! Chodź prędko. Jesteśmy spóźnieni!

- Idę! - Z jego ust wydobywa się głośnie beknięcie, pozostawiając po sobie posmak tłustej jagnięciny.

Kiedy zbliża się do nabrzeża, dostrzega niedużą, ale solidną łódź przycumowaną do słupka. Wioślarz podaje mu kościstą dłoń.

- Pomogę panu wsiąść, *signor*.

- Dam sobie radę. - Amun odpycha go, potyka się i wpada do łodzi, która kołysze się niebezpiecznie. Z trudem wdrapuje się na ławeczkę. - Lepiej, żeby ten bal był tego wart. Łodzie! W taki ziąb jak dzisiaj! Powinienem być pójść do porządnej kurtyzany, a nie jakiejś kurwy z zaułka, której zachciało się pływać w środku nocy.

Louisa z wdziękiem wchodzi do łodzi. Kładzie dłoń w rękawiczkę na ramieniu Amuna i siada obok niego.

- Wkrótce nie będziesz pamiętał o tych niewygodach. A teraz mnie ogrzej i pomyśl o rozkoszach, jakie cię czekają.

Wioślarz odbija od brzegu. Nad Canale di San Marco hula zimny wiatr. Łódź kieruje się na południe.

- W torbie pod ławką znajdziesz doskonały winiak i kaptur dla naszego gościa - informuje wioślarz Louise.

Ręka Amuna łąduje na udzie kurtyzany. Choć jest pijany, dotknięcie jej ciała budzi w nim pożądanie. Wcisną palce między jej nogi.

- Chcę cię zerznąć. Tutaj. Teraz. W tej łódce. Ogrzej mojego kutasa swoimi chętnymi ustami.

Louisa chwytą go za nadgarstek i odpycha jego dłoń.

- Jeszcze nie - mówi, starając się ukryć irytację. - Boję się wody. Na razie się napijmy - dodaje, wyjmując spod ławeczki srebrną flaszkę.

Amun bierze solidny łyk winiaku.

- Niedużo tego - wstrząsa flaszką z niesmakiem.

- Wypij sam - zachęca Louisa.

Amun wychyla resztę palącego w gardło alkoholu. Odwraca się do wioślarza.

- Powinieneś to sprzedawać. Moi robotnicy oddaliby własne dusze za taki trunek.

Wioślarz uśmiecha się za maską z długim nosem. Louisa wręcza swojemu towarzyszowi kaptur z miękkiej wełny.

- Musisz to założyć na bal.

Amun wrywa jej go i obraca w dłoniach.

- Którą stroną? Nie widzę tu żadnych otworów na oczy i usta.

Kurtyzana odbiera mu kaptur, zwija i nakłada na jego potężną głowę.

- Nie ma otworów.

Amun unosi dłoń, żeby ściągnąć tkaninę z twarzy, ale Louisa łapie go za nadgarstek.

- Nie możesz zobaczyć, dokąd cię zabieramy. Najważniejszą zasadą tego balu - jak całego karnawału zresztą - jest anonimowość. Bez kaptura nie wolno mi cię tam wprowadzić. Włóż go więc, albo zawróćimy.

Amun rozważa opór, ale kaptur jest ciepły, poza tym winiak zaczyna działać. Czuje przyjemne podniecenie, gdy Louisa przesuwając się i pozwala mu położyć głowę na swoim podolku.

- Jak daleko jeszcze? - pyta kurtyzana.

Woda jest czarna jak węgiel. Na niebie lśni tylko srebrna plama księżycy. Wioślarz potrafi jednak znaleźć drogę, kierując się tylko gwiazdami.

- Skręcamy w Canale della Grazie - odpowiada. - Już niedaleko. Za chwilę będziemy na miejscu.

- Doskonale. - Louisa czuje dreszcz, trącając wielką głowę spoczywającą na jej kolanach. - Amunie? Amunie!

Mężczyzna nie rusza się. Narkotyki zadziałały. Amun Badawi jest nieprzytomny.

ROZDZIAŁ 37

Czasy współczesne

Komenda główna żandarmerii, Wenecja

Tom Shaman nigdy wcześniej nie czuł takiego zdenerwowania.

Przez niewielkie okno wzmocnione stalową siatką widzi, że główną salę już wypełnili dziennikarze trąkoczący do siebie po włosku.

Wzdłuż ścian stoi szereg lamp doświetlających na stalowych słupkach, zalewających pomieszczenie nienaturalnie białym światłem. Przed dwoma biurkami zestawionymi przez rzecznika prasowego na podeście wyrósł las mikrofonów. Major Carvalho klepie Toma w ramię.

- Będzie dobrze. Zaufaj mi.

Następnie odwraca się do stojącej obok Orsetty Cristofaninni, dwudziestoosmioletniej etatowej tłumaczki żandarmerii, pytając po włosku, czy dokładnie wie, co Tom zamierza powiedzieć na konferencji.

- *Si*. Powie im, że głęboko żałuje, że *signorina* Ricci postanowiła upublicznić ich prywatne sprawy. Powie też, że dla dobra śledztwa nie będzie udzielał dalszych komentarzy.

- *Va bene*. Miejmy nadzieję, że nie będzie. - Vito ma wątpliwości, czy Tom zdoła się tak łatwo wywinąć dziennikarzom. Rozgląda się wokół. - Gdzie się podziewa porucznik Morassi?

Tłumaczka wzrusza ramionami.

- Chyba jest już na sali.

Vito nie ma czasu tego sprawdzać. Bella Lamboni, rzeczniczka prasowa żandarmerii, otwiera drzwi.

- Musimy zaczynać, panie majorze. Jest już dziesięć minut po czasie, robią się nerwowi.

Major Carvalho doskonale zdaje sobie sprawę, że nie może pozwolić sobie na zaognienie stosunków z prasą.

- No to do roboty.

Tom podąży za nimi na podest. Jego nerwy są napięte jak postronki.

Lamboni, czterdziestoletnia weteranka bojów z mediami, zaczyna od krótkiego przedstawienia planu konferencji. Dodaje, że pisemne oświadczenia dla prasy będą dostępne przy wyjściu. Wreszcie zapowiada majora Carvalho.

Vito mruży oczy w ostrym świetle lamp.

- Wnieśliście państwo trochę słońca do naszej zimnej sali, za co uprzejmie wam dziękuję. - Na twarzach dziennikarzy pojawiają się uśmiechy.

- Dziękuję państwu również za przybycie. - Vito stara się wyglądać poważnie. - Potrzebujemy waszej pomocy, przyjaciele. Prowadzimy śledztwo w sprawie brutalnego morderstwa piętnastoletniej dziewczynki. Niektórzy z was już pisali na ten temat.

Za jego plecami Lamboni rozwija olbrzymie zdjęcie młodej dziewczyny.

- To jest Monica Vidic. Powinna być teraz z powrotem w Chorwacji, w szkole. Zamiast tego leży w naszej kostnicy. Ciało Moniki zostało znalezione pod mostem przy Rio di San Giacomo dell'Orio przez jednego z mieszkańców miasta i Toma Shamana, byłego księdza, który przyjechał do nas na wakacje z Los Angeles. - Vito wskazuje Toma i posyła dziennikarzom swój najbardziej dyplomatyczny uśmiech. - *Signor Shaman* jest wam z pewnością dobrze

znany. Media z całego świata opisywały, jak ryzykował życie, żeby uratować młodą kobietę na ulicy w Los Angeles. Od niedawna pomaga nam w śledztwie. Dlaczego? Ponieważ po pierwsze, był na miejscu, gdy znaleziono ciało, a po drugie, dysponuje specjalistyczną wiedzą, z której chcemy skorzystać.

Vito ma nadzieję, że uda mu się w ten sposób zamknąć temat Toma, ale w tym momencie jakiś brodaty reporter jednej ze stacji telewizyjnych wykrzykuje pytanie:

- Czy *signor* Shaman jest egzorcystą? Słyszeliśmy, że jest łowcą demonów, a wy szukacie seryjnego zabójcy satanisty.

Carvalho kpiąco przykłada dłoń do ucha i pochyla się do przodu.

- *Scusi?* Czy dobrze pana usłyszałem? Sataniści? Egzorcysta? Seryjny zabójca? Obawiam się, że trafił pan na niewłaściwą konferencję prasową, *signor*. Zebraliśmy się tu w sprawie zabójstwa Moniki Vidic. - Vito podnosi do góry czarno-białe zdjęcie. - Zapytajcie swoich czytelników i widzów, czy rozpoznają tę dziewczynę. Czy ktoś widział ją kiedyś w Wenecji. Przyda się nam każda informacja. Być może ktoś widział ją z zabójcą.

Z tłumu wstaje reporterka radiowa.

- Z całym szacunkiem, panie majorze, ale nie odpowiedział nam pan na pytanie o Toma Shamana. W jaki sposób *signor* Shaman wam pomaga? - Odwraca się i patrzy na Toma. Wszyscy zauważają błysk w jej oku. - I czy wszystkie te pikantne historie o jego sprawności są prawdziwe?

To ostatnie pytanie wywołuje wybuch śmiechu, a nawet oklaski. Gdy Orsetta tłumaczy mu pytanie, Tom oblewa się rumieńcem. Major unosi rękę.

- Nie zamierzam zaszczycać tego pytania odpowiedzią. W odpowiedzi na poprzednie - poprosiliśmy Toma o pomoc w związku z pewnymi zagadnieniami religijnymi, które mogą- ale nie muszą - być

związane z morderstwem Moniki. To wszystko. Nie będziemy więcej dyskutować na ten temat, więc proszę nie zadawać podobnych pytań.

Młody reporter w pierwszym rzędzie podnosi rękę:

- Wiemy, że w ostatnich dniach wyłowiono z laguny kilka ciał. Czy zidentyfikowaliście tych ludzi? Czy ich śmierć jest w jakiś sposób powiązana z morderstwem Moniki Vidic?

- Wyłowiono ciała dwóch mężczyzn - odpowiada spokojnie Vito.

- Jak dotąd nie udało nam się ich zidentyfikować, ale robimy wszystko, co w naszej mocy. Dopóki nie dowiemy się, kim byli, i nie powiadomimy ich rodzin, sądzę, że powinniśmy powstrzymać się od dalszych spekulacji na ten temat. Poproszę następne pytanie.

Szukając wzrokiem podniesionych rąk, major dostrzega Valentinę Morassi wchodzącą tylnymi drzwiami do sali.

- Dobrze. Skoro nie ma więcej pytań, myślę, że *signor* Shaman powinien powiedzieć teraz kilka słów. Mówi po włosku jeszcze gorzej niż ja po angielsku, a ponieważ z pewnością nie wszyscy z państwa biegle władają mową Szekspira, zapewniliśmy obsługę tłumaczkę.

Vito schodzi z podestu, ustępując miejsca Tomowi i Orsetcie. Po chwili wyrasta przed nim Valentina. Zaslania usta dłonią i pochyla się do jego ucha.

- Znalaziono ludzką wątrobę przybitą gwoździem do ołtarza w Santa Maria della Salute.

Vito zakrywa ręką twarz.

- Dobry Boże.

CAPITOLO XXXVI

26 grudnia 1777 roku
Wenecja

Amun budzi się i uświadamia sobie, że jest nagi. Znajduje się w pozycji pionowej. Czuje potworne zimno. Przywiązano go do drewnianego krucyfiks. Skóra cierpnie mu w lodowatym wietrze. Usiłuje się zorientować, gdzie jest. W ogrodzie? Na polu? Nie jest pewien. Boli go głowa. Otwiera oczy, ale widzi tylko rozmyte plamy.

Zdjęto mu kaptur. Przynajmniej może oddychać. Ma wrażenie, że w głowie płonie mu piekielny ogień, choć resztę ciała ma przemarzniętą do kości. Hałas. Tuż przed nim pojawiają się płomienie. Ognisko.

Dostrzega twarze. Maski i płaszcze. Długie, elegancko haftowane peleryny. Szalone przyjęcie, które mu obiecano! Czuje ulgę.

- Louiso?! - wykrzykuje.

Nie ma odpowiedzi.

Wokół niego krążą zamaskowani ludzie. Czterech? Sześciu? Może ośmiu? A może to wciąż ta sama czwórka? Trudno powiedzieć, kiedy cały czas są w ruchu.

Ich maski są dziwne. Nie przedstawiają żadnych znanych mu postaci. Wyglądają na stare. Wyrabiane ręcznie. Zapewne przekazywane z pokolenia na pokolenie.

Niepewność ustępuje miejsca złości.

- Louiso!

Próbuje odwrócić głowę, ale nie może. Coś ściska go za szyję.

Szal? Nie, to nie jest szal. Lina. Zaciska się jak objęcia węża. Amun zaczyna się dusić. Ktoś wpycha mu w usta szmaty, kneblując go. Kolejne liny owijają się wokół jego bicepsów i ud, wpijając się boleśnie w skórę.

Poprzez płomienie Amun dostrzega człowieka z długim, zagiętym kosturem, w spiczastym kapturze i srebrnej masce zakrywającej całą twarz. Wygląda jak kapłan. Na chwilę w Amunie budzi się nadzieja: być może to jakiś klasztor, w którym mnisi i siostrzyczki lubią się trochę zabawić. Słyszał o takich miejscach. Wszyscy słyszeli.

- Podczas gdy słabi wciąż oddają hołd Chrystusowi, my zebraliśmy się tutaj, w tym świętym gaju, aby oddać cześć prawdziwemu bogu - rozlega się głos kapłana. - Zebraliśmy się tutaj, aby przyzwać jego moc, a poprzez tę ofiarę okazać naszą wierność i przywiązanie.

Ofiarę. To słowo wdziera się w świadomość Amuna jak ostrze miecza. Co to za nonsens? Kurtyzana kusiła go uciechami cielesnymi. Z pewnością to część zabawy. Dziki, szalony sposób na pobudzenie zmysłów. Otóż to! Strach. Największy afrodyzjak. Kobiety go uwielbiają. Widać to na ich twarzach, gdy znajdują się pod tobą. Amun przypomina sobie o jakimś francuskim markizie, który twierdzi, że im więcej bólu, tym lepiej.

Rozlega się skandowanie. Amun nie potrafi rozpoznać słów. Albo ma kłopot ze słuchem, albo ci ludzie mamrocą. Wydaje mu się, że skandują po łacinie.

Pojawiają się przed nim dwie osoby. Płaszcz się rozchylają. Dwie kobiety. Nagie. W świetle płomieni ich skóra lśni jak złoto. Amun czuje przyjemne drżenie między nogami. Zapewne za chwilę wezmą jego członka w usta. Będąssały go do utraty tchu, a potem dosiądą go jedna po drugiej. Doskonale. Nic trudnego. Żaden Badawi nigdy nie wstydział się publiczności.

Jedna z kobiet przywiązuje mocniej jego lewy biceps. Amun czuje jej włosy łonowe ocierające się o jego biodro.

Lepiej przywiąż mnie mocno, ty mała dziwko, bo kiedy cię dopadnę, te deski popękają jak zapalki.

Nie widzi drugiej kobiety, ale czuje jej bliskość - jego zwierzęcy instynkt jest wyostrzony jak nigdy wcześniej.

Nagle Amun wzdryga się. Ta dziwka tnie go nożem. To nie jest draśnięcie. Nie ma w tym nic zmysłowego, ani prowokującego. To cięcie było naprawdę. Głębokie i bolesne. Ostrze rozcina jego skórę poniżej bicepsa, pozostawiając ranę sięgającą łokcia. Knebel tłumi wrzaski Amuna. Wytrzeszcza oczy w przerażeniu. Usiłuje wierzcąc nogami.

Skandowanie przybiera na sile.

Dominus...

Ktoś podstawia miskę pod jego ranę. Zbierają jego krew.

Ból pojawia się w drugim ramieniu.

Dominus Satanus.

Teraz wyraźnie słyszy słowa. Pojawiają się następne dwie kobiety z nożami. Więcej krwi. Więcej mis. Amun czuje powiew wiatru na zakrwawionych kończynach. Czuje, jak wypływa z niego życie. Ma ograniczone pole widzenia, ale mimo to ich widzi. Podchodzą do niego po kolei. Zlizują krew z jego ran i znikają w ciemnościach.

Kolejny hałas. Kolejny płomień. Tym razem za nim. Na tyle blisko, że czuje jego ciepło. Na szczęście nie na tyle blisko, żeby go poparzyć. Odpręża się nieco. Adrenalina tłumi ból. Ogień jest przyjazny.

Przed jego twarzą pojawia się następna maska. Louisa! Rozpoznaje ją. Przyzywa do siebie błagalnym wzrokiem. Widzi, że i ona go poznała. W jej ciemnych oczach pojawia się iskra. Ciepła ręka dotyka

jego krocza. Teraz wszystko będzie dobrze. Po bólu przychodzi rozkosz. Amun rozumie. Teraz może już włączyć się w tę dziwną grę.

Louisa rozchyła pelerynę i opiera się o niego swoim ciałem. Jej dotyk jest niebiański. Jej sutki ocierają się o jego pierś, która wznosi się i opada konwulsyjnie. Louisa bierze jego członka w palce. Amun czuje, jak twardnieje w jej dłoni. Ścisza go i głaszcze, dopóki nie robi się twardy jak żelazo. Amun zamyka oczy. Daje się ponieść.

Miał rację. To wszystko jest bardzo dziwne. Nawet przerażające. Ale Louisa dotrzymała obietnicy. Zmysłowy raj.

Louisa głaszcze go teraz obiema dłońmi. Jej palce sprawiają wrażenie naoliwionych. Być może zanurzyła je w jakimś olejku. Albo też to jego własna sperma. Amun chciałby przycisnąć swoje usta do jej warg. Zbadać je językiem, dotknąć jej piersi, a potem wejść w nią i zerznąć tak, żeby na długo go zapamiętała.

Nogi uginają się pod nim lekko. Złość. Podniecenie. Ból. Strach. Oczekiwanie. Emocje w jego głowie kłębią się jak rozszalałe fale.

Louisa przesuwa paznokciami po jego członku. Amun drży z rozkoszy. Jeszcze chwila i będzie miał wytrysk. Udaje mu się opanować. Nie chce stracić nad sobą panowania przed tymi ludźmi. Najpierw musi porządnie zerznąć tę napaloną kurtyzanę.

Po chwili okazuje się, że nie musiał się obawiać. Do kurtyzany dołącza druga dziewczyna. Pod pulsującym członkiem Amun czuje coś chłodnego. Gładkiego i zimnego jak kamień. Przebiega go dreszcz.

Druga dziewczyna robi krok w tył. Błysk stali. Uderzenie metalu o marmur. Amun zaciska szczęki tak mocno, że jego zęby się kruszą.

Louisa odsuwa się i pozwala, aby ucięta końcówka jego penisa spadła do misy pod jego stopami. Ceramicznej, tak jak te, do których wcześniej zebrano krew. Liczącej sobie setki lat i służącej wyłącznie do składania ofiar.

ROZDZIAŁ 38

Czasy współczesne

Komenda główna żandarmerii, Wenecja

Konferencja prasowa pod koniec przyprawia Toma o zawroty głowy. Stara się trzymać wcześniej uzgodnionego scenariusza, a na koniec zdecydowanie odmawia pozowania do zdjęć.

Z opresji ratuje go rzeczniczka prasowa, rozdając dziennikarzom nowe zdjęcia Moniki Vidic wraz z pisemnym apelem do obywateli o pomoc w schwytaniu mordercy, podpisanym nie tylko przez majora Carvalho, ale także przez ojca dziewczyny.

Gdy tylko znajdują się poza główną salą, Rocco Baldoni rzuca Tomowi jego płaszcz.

- Jedziemy prosto do La Salute. Major i Valentina są już w drodze. *Professore* Montesano też.

Tom robi zdziwioną minę.

- La Salute? Co się stało? Kolejne ciało?

- Niezupełnie. Opowiem ci po drodze.

Przed budynkiem czeka na nich motorówka żandarmerii z włączonym silnikiem. Dziób podskakuje i rozbryzguje wodę na boki, gdy przepływają ciasnym zakrętem Canal Grande, pod Ponte dell'Accademia i dalej na cypel Sestriere di Dorsoduro.

Bazylika jest zamknięta i strzeżona przez funkcjonariuszy *carabinieri*. Baldoni macha swoją legitymacją. Pilnujący kościoła żandarmi wpuszczają ich do środka głównym wejściem.

Tom trochę inaczej wyobrażał sobie odwiedzin w bazylice Santa Maria della Salute, uwiecznionej na pocztówce, którą dostał od Rossany Romano.

Instynktownie się zegna. Czuje się nieco dziwnie, wdychając kościelne powietrze, jedyną w swoim rodzaju kombinację zapachu płonącej świecy i zimnego kamienia. Dostrzega majora Carvalho, profesora Montesano i Valentinę, którzy klęczą między potężnymi filarami wznoszącymi się po obu stronach ołtarza głównego. Wyglądają, jakby się modlili. Gdyby nie białe kombinezony, ochronne buty i lateksowe rękawiczki, można by wziąć ich za pobożnych parafian.

Kroki Toma odbijają się echem pod olbrzymią kopułą bazyliki jak uderzenia skrzydeł nietoperza. Wie, że każdy krok zbliża go coraz bardziej do czegoś mrocznego i potwornego, do zła większego niż wszystko, co dotychczas napotkał na swojej drodze.

Zatrzymuje ich funkcjonariusz z dochodzeniówki uzbrojony w segregator. Baldoni podpisuje się na liście wchodzących. Wyjaśnia Tomowi, że muszą ubrać się w kombinezony, żeby wejść do strefy zamkniętej.

Naciągając na siebie ochronny strój, Tom zwraca uwagę na pełen barokowego przepychu ołtarz zaprojektowany przez weneckiego architekta Baldassare Longhenę. Jest jeszcze piękniejszy niż na

zdjęciach, które oglądał w Internecie. W centrum ołtarza znajduje się wspaniała XII- lub XIII-wieczna bizantyjska ikona Madonny z Dzieciątkiem. Tom jest przekonany, że w każdym innym dniu ołtarz rozciąga wokół siebie niemal doskonałą duchową atmosferę. Ale nie dziś.

Kończy nakładać kombinezon i podchodzi bliżej.

W końcu zauważa to, co tak pochłonęło uwagę majora, profesora i Valentyny. Na samym środku przedniej elewacji ołtarza znajduje się ludzki organ. Przybity do marmuru solidnym murarskim gwoździem. Żelazny boleć budzi natychmiastowe skojarzenie z ukrzyżowaniem Chrystusa.

Tom żegna się ponownie i szepcze:

- *In nomine patris, et filii et spiritus sancti.*

Słyszy przyciszone posępne głosy pozostałych rozmawiających po włosku. Dołącza do nich porucznik Baldoni.

Jest coś jeszcze. Wokół ołtarza rozsmarowana jest czerwona farba. Tylko że to nie jest farba. To krew.

Valentina zauważa go pierwsza.

- Dzięki, że przyszedłeś - mówi cicho, podchodząc do niego.

Zauważa, że Tom wpatruje się w przybity gwoździem organ.

- Montesano uważa, że to ludzka wątroba. Isabella Lombardelli - ta z laboratorium RaCIS - już tu jedzie, zrobi porównanie tkanek z naszymi trzema ciałami.

Tom wskazuje palcem na smugi krwi na posadzce obok ołtarza.

- A to?

- Nie wiemy. Major myślał, że może ty na coś wpadniesz.

Tom nerwowo podchodzi do rozsmarowanej krwi.

Major Carvalho zerka na niego i podnosi się z klęczek.

- Tej krwi nie rozlano tutaj przypadkowo.

Tom przełyka ślinę, starając się zachować spokój. Ogarnia go znajome napięcie. Tak samo czuł się zawsze podczas egzorcyzmowania. Podczas wizyt u więźniów w celi śmierci. I podczas tamtej fatalnej bójkę na ulicy w Los Angeles.

Ogarnia go przeczucie bliskości zła.

- Przypomina książkę - mówi Tom, świadomy, że głos mu lekko drży. Pochyliła się nad wymalowanymi na podłodze symbolami. - Gdybyśmy byli w LA, skojarzyłyby mi się to z tagowaniem murów przez gangi, graffiti i tak dalej.

Nagle przed jego oczami staje tamta noc - kopnięcia i ciosy, które zabiły dwóch młodych mężczyzn, i zmasakrowana twarz dziewczyny, której nie zdołał uratować przed gwałtem. Tom ma nagłe wrażenie, jakby ścisłano mu głowę imadłem. Czuje w sercu nagły ból, niczym ukłucie. Robi mu się gorąco, pojawiają się zawroty głowy. Zmusza się do powolnego, spokojnego wdychania i wydychania powietrza.

Valentina robi ruch w jego kierunku, ale Vito przytrzymuje ją.

Tom dostrzega teraz, że krwawy symbol nie przedstawia księgi. To prostokąt. Podzielony na trzy idealnie równe części. Smugi krwi pokrywają rysunek jak rzeka czerwonych węży z piekła.

CAPITOLO XXXVII

26 grudnia 1777 roku
Wenecja

Amun Badawi wykrwawił się prawie na śmierć. Louisa zawiązuje kolejny ucisk. Uśmiecha się i odchodzi, pozostawiając go ukrzyżowanego i broczącego krwią. Pozostałe akolitki wyjmują knebel i wpychają mu do ust odcięty koniuszek penisa, po czym kneblują go ponownie.

Może go połknąć albo się udusić. Sam zdecyduje.

Ave Satanus.

Zgromadzeni zanurzają palce w misach z krwią Amuna Badawiego, namaszcza ją i rozsmarowują ją na swoich ciałach.

Dominus Satanus.

Rozpoczyna się szalona kopulacja. Obłąkany wyścig na szczyt, zanim ofiara umrze. Wszyscy muszą w tym uczestniczyć. Dzisiejszej nocy każdy mężczyzna wejdzie w kobietę i każda kobieta poczuje w sobie męczyznę.

Oprócz najwyższego kapłana. Jego Błuznierczość zachowuje abstynencję.

Nic nie może przeszkodzić mu w dopełnieniu rytuału. Ignorując pojękiwania i sapanie kopulujących wyznawców, unosi w górę dłoń.

- Bracia i siostry, już czas. Akolitki, zajmijcie się ofiarą.

Nagie ciała się rozdzielają. Następuje pospieszne narzucanie peleryn i poprawianie masek.

Najwyższy kapłan zbliża się do bladego ciała Amuna.

- Władco władców, boże bogów, składamy tę ofiarę na twoją cześć i chwałę. - Kapłan unosi lewą dłoń, w której trzyma niewielki trójkątny nóż.

- Obdarz nas mądrością i łaską. - Wbija nóż w skroń Amuna.

- Obdarz nas wizją. - Ostrze wbija się czoło.

Amun wydaje ostatni charczący oddech.

- Obdarz nas mocą, abyśmy mogli przewodzić. - Nóż rozcina gardło.

Ale Amun już tego nie czuje. Jego mózg ogarnia ciemność.

- Obdarz nas miłością i zrozumieniem. - Nóż wbija się między żebra i dociera do serca.

- Obdarz nas szczęściem i siłą. - Z rany na brzuchu wylewają się wnętrzności.

- Obdarz nas rozkoszą, rozwiązłością i płodnością. - Kapłan ujmuje w dłoń kikut penisa Amuna i odcina go.

Poprawia chwyt na rękojeści noża. Trzymając ostrze skierowane ku górze, wbija nóż między pośladki martwego mężczyzny. - Panie wszystkich światów, na koniec obdarz nas zbawieniem. - Kapłan powoli przeciąga ostrze przez ciało Amuna aż do krocza.

Ave Satanus.

Kapłan odsuwa się od zmasakrowanych zwłok.

Ave Satanus.

Zbliżają się dwie akolitki z identycznymi, ceremonialnymi nożami.

Ave Satanus.

Ostrza rozcinają skórę. Akolitki liczą rany. Jest ich dokładnie sześćset sześćdziesiąt sześć. Ziemia wokół jest wilgotna od krwi. Ciało Amuna wisi na krzyżu jak sprawiona tusza u rzeźnika.

- Odciąć go - rozkazuje kapłan. - Położyć ciało na kamieniu ołtarza.

Zwłoki Amuna zostają ułożone na płycie z czerwonego marmuru, ukradzionej z sarkofagu.

- Podajcie mi Jego narzędzia.

Jedna z akolitek przynosi mu srebrny etruski kosz. Druga ceramiczną misę. Trzecia rzeźbiarski nóż do modelowania w glinie. Czwarta niesie niewielki prostokątny przedmiot owinięty w jedwab.

Nawet najwierniejsi wyznawcy w gaju krzywią się, gdy kapłan zabiera się do krwawej operacji wycinania wątroby Amuna.

Gaz wydobywa się z sykiem z głębokiego nacięcia po prawej stronie żołądka. Reszta wnętrzości wypływa na zewnątrz.

Kapłan rozdziera tkankę i wycina wątrobę. Oczyszcza ją nożem z żył, tłuszczu i innych pozostałości, po czym wkłada organ do srebrnego kosza.

- Rozpalcie ofiarny ogień.

Wyznawcy dokładają drewna do dwóch ognisk, łącząc je w jeden potężny płonący stos. W pomarańczowym świetle ognia czwarta akolitka odwija jedwab i wyjmuje srebrną tabliczkę.

Trzecią część słynnych „Bram Piekła”.

Wyrzeźbiona postać demona patrzy na najwyższego kapłana, który całuje koniuszek palca i powoli przesuwając go po rysunku rogatego boga i węży wypełniających tabliczkę.

Podnosi artefakt nad głowę.

- Oto jest nasz prawdziwy bóg, Lucyfer, uwieczniony w swoim cennym metalu na sześć stuleci przed narodzeniem Chrystusa. Wielki Szatanie, składamy ci hołd. Na twoją cześć i chwałę, i dla naszego zbawienia czynimy tę ofiarę.

Opuszcza głowę i kieruje tabliczkę rzeźbą ku okrwawionym zwłokom Amuna Badawiego. Cztery akolityki chwytają martwego mężczyznę za ręce i nogi i wrzucają jego ciało w ogień.

ROZDZIAŁ 39

*Czasy współczesne
Piazzale Roma, Wenecja*

Choć bazylika Santa Maria della Salute jest dosłownie kilka kroków od hotelu, Tom Shaman potrzebuje dłuższego spaceru, zanim będzie w stanie wrócić do swojego pokoju.

Krwawy symbol przy ołtarzu był przepelniony złem, które dotychczas odczuwał tylko podczas egzorcyzmów. A Tom był na to zupełnie nieprzygotowany. Naiwnie sądził, że porzucając kapłaństwo, już nigdy więcej nie zetknie się z czymś takim.

Najwyraźniej się mylił.

Wraca do pokoju dopiero wtedy, kiedy bolą go nogi, potwornie chce mu się pić i w końcu ma prawie jasny umysł.

Ściąga buty i łapczywie dopija ciepłą wodę z plastikowej butelki. *Carabinieri* pożyczili mu starego laptopa i telefon komórkowy. Najwyższy czas z nich skorzystać. Wchodzi do internem i przekopuje swoją skrzynkę pocztową na serwerze AOL, aż znajduje numer telefonu do starego przyjaciela - Alfreda Giordano, dla przyjaciół Alfiego, urodzonego w Nowym Jorku syna włoskich emigrantów.

Tom wybiera jego numer i czeka całą wieczność, aż ludzie po drugiej stronie znajdą Alfiego. Miejsce, w którym jego przyjaciel spędza obecnie całe dni i noce, jest dość duże. Biblioteka Watykańska liczy sobie ponad pięć stuleci i jest strzeżona równie pilnie, co Biały Dom.

- *Pronto*. Giordano. - Alfredo umieszcza telefon między uchem a ramieniem.

- Nie powinieneś być już w łóżku?

Alfie nieruchomieje. Rozpoznaje ten głos.

- Tom?

- Cześć, Alfie. Przepraszam, że dzwonię tak późno. Przypuszczam, że właśnie idziesz na mszę albo się kładziesz.

- Nie ma sprawy. Dobrze znów cię usłyszeć - przerywa na chwilę, po czym dodaje ostrożnie: - Nie dzwonisz tylko po to, żeby zapytać, co słyhać, prawda?

Przez kolejne dziesięć minut Tom streszcza Alfiemu, co się wydarzyło od czasu, kiedy ostatni raz ze sobą rozmawiali, tuż po tamtej bójce w Los Angeles. Zaprzyjaźnili się ze sobą jeszcze w seminarium, w czasach gdy Alfie sporo pił i notorycznie spóźniał się na zajęcia, a Tom wyciągał go z opresji.

W końcu Alfie odkłada słuchawkę i wędruje przez Salę Sykstyńską do swojego pokoju, pogrążony w rozmyślaniach nad dawnymi czasami. Prośba Toma zaskoczyła go, ale nie ma wątpliwości, że będzie w stanie mu pomóc. Ma w końcu dostęp do biblioteki, w której przechowuje się ponad siedemdziesiąt pięć tysięcy manuskryptów i prawie dwa miliony książek, nie wspominając już o muzeum poświęconym Etruskom. Z całą pewnością Alfie znajdzie tam to, czego potrzebuje Tom. Chyba że informacja, której szuka, znajduje się w tajnym archiwum. Na ponad osiemdziesięciu kilometrach półek, zawierających najpilniej strzeżone tajemnice Kościoła, które są przeznaczone tylko dla oczu Ojca Świętego.

CAPITOLO XXXVIII

27 grudnia 1777 roku
Wenecja

Bladoróżowe światło świtu zalewa lagunę. Cienka warstwa mgły zalega nad pogrążonymi w ciszy wodami.

Najwyższy kapłan zbiera w gaju pozostałości po wczorajszej ceremonii. Wypełnia go spokój. Dobrze przysłużył się swojemu panu. Teraz jednak musi upewnić się, że po krwawej ofierze nie pozostanie żaden ślad. Kiedy upora się z zacieraniem śladów, będzie musiał dopilnować, aby żaden z wyznawców przypadkiem ich nie wydał. Po pierwsze, gdzie spędzili ostatnią noc? Jeżeli rodziny będą domagały się wyjaśnień wczorajszej nieobecności, każdy z nich potwierdzi, że był na przyjęciu. Jeśli pojawią się podejrzenia, wszyscy przyznają się do romansów. Każdy z nich ma już alibi. Wszyscy są gotowi raczej ponieść konsekwencje w życiu osobistym, niż zaryzykować, że trafią do zimnej celi w Pałacu Dożów.

Satanista przebiera się w skromny strój wioślarza. Nasiąknięte krwią szaty zostały już wrzucone do miski z wodą. Osobiście je wypierze i wysuszy. Starannie zbiera kości wczorajszej ofiary do worka na ziemniaki. Odlicza je po kolei: piszczel, kość strzałkowa, rzepka. Ludzkie ciało nie ma przed nim żadnych tajemnic - zna na pamięć wszystkie kości, mięśnie i nerwy.

Do drugiego worka wrzuca spalone szczapy, pokryte zgęstniałym tłuszczem ze skóry ofiary. Oba worki wrzuca na rufę łodzi. Później nakaze wyznawcom przekopać cały teren. Zatrzeć wszystkie ślady.

Słońce dopiero wschodzi, gdy łódź, która przywiozła Amuna Badawiego na śmierć, zabiera jego szczątki do grobu na dnie laguny.

Jest jeszcze za wcześnie, żeby na kanałach oplatających południową część miasta pojawiły się jakieś łodzie, ale kapłan zachowuje pełną ostrożność, czujnie śledząc okolicę.

W rzadzącej mgłę dostrzega na zachodzie Giudeccę, a na wschodzie San Giorgio Maggiore. Zatrzymuje łódź. Przez chwilę rozmyśla o słynnej wyspie, na której Kosma Medyceusz schronił się po ucieczce z Florencji, gdzie pochowano dożę Pietro Zianiego i gdzie stoi wspaniały klasztor, wzniesiony na cześć fałszywego boga. Tyle sławnych osób - żywych i martwych - przemierzyło niegdyś te wody.

Satanista wrzuca do każdego worka po ciężkim kamieniu i łączy je przygotowanym wcześniej sznurkiem. Łódź kołysze się, uderzona nagle falą w burtę. Kapłan szybko siada na ławeczce i czeka, aż woda się uspokoi. Następnie wstaje i wyrzuca pierwszy worek, który wpada do wody z satysfakcjonującym pluskiem.

Wychyla się przez burtę i obserwuje bąble w ciemnej wodzie. Łódź znowu się kołysze. Krótka fala podbija rufę. Kapłan ponownie siada na ławeczce. Czeką cierpliwie, aż kołysanie ustanie, po czym wrzuca do laguny drugi worek. Z zadowoleniem patrzy, jak tonie. Kręgi na powierzchni wody rozszerzają się i w końcu znikają.

- *Buongiorno!*

Na dźwięk głosu kapłan sztywnieje. Rozgląda się nerwowo w lewo i w prawo. Pusto. W końcu dostrzega coś przed sobą.

Młody mnich o czerwonej twarzy, wiosłujący w niedużej łódce. Podpływa do kapłana i hamuje wiosłami.

- Co za mgła. Czy coś się stało? - Braciszek wskazuje na wodę, jakby zauważył, że przed chwilą coś wypadło z łodzi. - Czy potrzebuje pan pomocy?

Satanista nie potrafi ukryć zaskoczenia. Sięga po wiosła.

- Nie. *Non, grozie.* - W myślach przeklina własną głupotę. Był przekonany, że wokół niego nie ma nikogo.

Mnich przerywa wiosłowanie. Jego łódka podpływa bliżej. W powietrzu zawisa podejrzenie, gęste jak poranna mgła. Najwyższy kapłan usiłuje się uśmiechnąć.

- Czy brat jest z klasztoru na San Giorgio?

Mnich kiwa głową.

- *Si.*

Łodzie stykają się burtami.

- Wiosłuję każdego ranka. Między jutrznią a śniadaniem - Zerka na wodę. - Czy pan coś upuścił? Wydawało mi się, że słyszę plusk. Obawiałem się, że może ktoś wpadł do wody.

- Nie, jak brat widzi, jestem cały i suchy. Musiał się brat pomylić.

- Satanista bierze do ręki wiosło. - Może pióro chlupnęło w wodzie. - Kapłan zerka na półokrąg wschodzącego słońca prześwitujący przez mgłę. Może mnich niczego nie zobaczył. Uśmiecha się. - Czas na mnie. *Arrivederci.*

Braciszek również bierze swoje wiosła i zanurza jedno w wodzie, aby obrócić łódkę.

- *Arrivederci.* - Po dwóch zamachach rozplywa się we mgle.

Satanista nie zdaje sobie sprawy, że przez całą drogę do klasztoru młody braciszek nieustannie myśli o dwóch dużych workach wrzucanych do wody, które widział, i zastanawia się, dlaczego ten wiosłarz go okłamał...

ROZDZIAŁ 40

*Czasy współczesne
Rialto, Wenecja*

Niewielu kandydatom udaje się dostać do *Corazzieri*, elitarnego pułku komandosów żandarmerii, która wystawia wartość honorową dla prezydenta Włoch. Oprócz spełnienia ostrych kryteriów wojskowych wszyscy rekruci muszą mieć ponad sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu. A to nie zdarza się często wśród włoskich mężczyzn. Umberto Castelli był jednym z nielicznych, którym udało się bez trudu zakwalifikować do *Corazzieri*.

Po dwudziestu latach służby jego wybitne umiejętności wyniosły go na stanowisko dowódcy tajnego oddziału, szanowanego w całym kraju.

Umberto za wszelką cenę musi chronić swoją tożsamość, a to oznacza między innymi, że nigdy nie wolno mu postawić stopy w budynku komendy żandarmerii. Wszystkie sprawy musi załatwiać na mieście.

Nosi gęstą brodę i wygląda raczej jak uliczny muzyk niż major. Spotyka się z Vito Carvalho w kawiarni w pobliżu Rialto.

Castelli i Carvalho są w podobnym wieku i przyjaźnią się od lat.

Brodaty tajniak zamawia dwa podwójne espresso i prostuje nogi pod stołem.

- Jak Maria? - To pytanie zadają majorowi Carvalho wszyscy, którzy znają go bliżej.

- Raz lepiej, raz gorzej - pada odpowiedź. - Fizycznie nie ma pogorszenia. Choroba trochę nawet ustąpiła. Ale chwilowo ma depresję.

- Przykro mi to słyszeć.

- *Grazie*. Niedługo jedziemy na wakacje. To jej poprawi nastrój.

- To dobrze. Mam nadzieję, że poczuje się lepiej.

Castelli odczekuje, aż młoda kelnerka w białym fartuszkowi postawi na stole filiżanki z parującą kawą i odejdzie, po czym wyciąga plastikową reklamówkę. W środku znajduje się poufny dokument żandarmerii.

- Chciałem pogadać z tobą o Antoniu Pavarottim.

Vito żegna się.

- Niech spoczywa w pokoju. Wiesz, że jego kuzynka służy u mnie?

- Morassi, zgadza się? Jak sobie z tym radzi?

- Jest silna. Na razie próbuje tłumić żalobę. - Vito wznosi wzrok ku niebu. - Ale w którymś momencie tama puści i dziewczyna się załamie.

Castelli drapie się po brodzie.

- Wczoraj wieczorem dostałem pełny raport. Zdaje się, że mamy do czynienia z morderstwem, a nie ze zwykłym wypadkiem.

Vito marszczy brwi.

- Z morderstwem? Inżynierowie, którzy badali szczątki, stwierdzili, że to był wybuch gazu. Kuchenka w kabinie eksplodowała.

- Tak uważali na początku. - Castelli otwiera brązową teczkę i podaje ją Vito. - A potem znaleźli ślady C-4.

Vito czuje zimny dreszcz przebiegający po kręgosłupie.

- Plastikowy materiał wybuchowy... Ale jak? Gdzie?

- Tego nie jestem pewien. Z łoża niewiele zostało. Sądzymy, że ładunek umieszczono na silniku. Technicy znaleźli ślady plastyfikatora i spoiwa na bloku.

Vito bawi się filiżanką.

- Sprytnie. Podczas detonacji ładunek zmienia się w gaz pod ciśnieniem. Ktokolwiek go podłożył, uznał chyba, że to nas zmyli.

- I pewnie by zmyliło, gdyby nie to, że fala uderzeniowa była stanowczo za duża jak na zwykłą kuchenną butlę gazową. Z tej motorówki zostały drzazgi.

Przed oczami Vito staje obraz Antonia przy sterze. Twarze jego rodziców, kiedy przyniósł im wiadomość o śmierci syna. Twarz Valentyny w jego gabinecie - zbyt dumnej, żeby rozplakać się przed dowódcą.

- Tego się nie spodziewałem. Nad czym on, do cholery, pracował? Mafia? Camorra?

Castelli kręci głową.

- Zupełnie nie w tym kierunku. A przynajmniej nie sądziliśmy, żeby ta sprawa miała jakiś związek z mafią. - Rozgląda się uważnie po kawiarni i przycisza głos: - Antonio był na rekonesansie. Słyszałeś o tej hipisowskiej komunie na Wyspie Mario?

Vito niepewnie kręci głową.

- Założył ją ten miliarder, Mario Fabianelli.

Vito zaczyna sobie przypominać.

- Internetowy geniusz, tak? Zbił fortunę i większość wciągnął nosem?

- Ten sam.

- Wyspę nazwano od jego imienia?

- Tak. Fajnie mieć tyle forsy, żeby kupić sobie wyspę. W każdym razie chyba zapodał sobie zbyt dużo koki, bo w ubiegłym roku zorganizował tam komunę hipisów. Wiesz, wolna miłość i tak dalej.

Nazwał ją Heaven, znaczy Niebo. Ale nazwa nie jest zapisana normalnie, tylko w kodzie alfanumerycznym - cyfra „3” zamiast litery „e” i nie ma litery „a”.

Vito patrzy na niego nierozumiejącym wzrokiem.

- H-3-V-3-N. Coś jak U2 - jakby próbował wypromować zespół. Mają nawet własną stronę internetową, sprzedają wiersze, obrazy, garnki i biżuterię wyrabianą przez tych ćpunów.

Vito ociera usta papierową serwetką.

- Więc nad tym pracował Antonio? Węszył wśród hipisów, żeby sprawdzić, jakie prochy biorą na Fantastycznej Wyspie Mario?

Castelli potwierdza kiwnięciem głowy.

- Dostaliśmy cynk, że mają tam tego całkiem sporo. Całe skrzynie. I to nie tylko haszyszu, ale też pokaźne ilości ecstasy, być może kokę, a nawet heroinę. Biorąc pod uwagę historię pana Fabianello, uznaliśmy, że warto się tam rozejrzeć. Poprosiłem specjalnie o Antonia, bo znakomicie poradził sobie wtedy w szpitalu. To był bystry chłopak.

- Był. Z całą pewnością był bystry. - Vito zwiesza głowę. - Udało mu się coś znaleźć?

- Nie. A w każdym razie nie zdążył nam niczego zgłosić.

Obaj milkną na minutę. Vito wie, o czym myśli jego przyjaciel - o Valentinie. Pogodzenie się ze śmiercią bliskiej osoby w wypadku trwa bardzo długo. Z morderstwem często nie da się pogodzić nigdy.

- Najlepiej będzie, jak pójdę i jej to powiem - mówi w końcu Vito, podnosząc się z krzesła.

Castelli nie odpowiada, tylko klepie go pocieszająco w ramię, kiedy Vito przechodzi obok niego.

CAPITOLO XXXIX

27 grudnia 1777 roku
Isola di San Giorgio Maggiore

Brat Tommaso Frascoli spędza resztę dnia na obsesyjnych rozmyślaniach o człowieku, który wyrzucił do laguny dwa worki.

Podczas *lectio divina* nie potrafi skupić się na świętych tekstach. Najbardziej zastanawia go to, skąd mógł przybyć tajemniczy wiosłarz. Tommaso płynął na południe, a tamten człowiek wynurzył się z mgły od północy. W tamtych okolicach były jednak tylko dwie wyspy, do których dało się dopłynąć na wiosłach, i o ile sobie przypominał, obie były niezamieszkane.

Tommaso przez chwilę rozważa, czy wiosłarz mógł być zjawą. Jakimś demonem albo widmem zesłanym, by przetestować jego wiarę. Szybko jednak odrzuca ten pomysł, uznając - zgodnie z naukami wbijanymi mu do głowy przez opata - że nie powinien zaprzętać sobie myśli egocentrycznymi fantazjami.

Jako nieślubne dziecko kurtyzany Tommaso wie o swojej rodzinie tylko tyle, ile powiedział mu opat. Wraz z siostrą wkrótce po urodzeniu zostali oddani na wychowanie duchownym. Powiedziano mu, że jego siostra uciekła z klasztoru, kiedy była jeszcze nowicjuszką. Tommaso nie zna nazwiska swojego ojca. Jego matka, Carmela Francesca Frascoli, nie udzieliła mnichom żadnego wyjaśnienia. Wręczyła im tylko garść soldów i denarów oraz list i skrzynkę, które na jej prośbę miały zostać oddane jej synowi, kiedy ten stanie się mężczyzną. Obie pamiątki po matce spoczywają pod łóżkiem Tommaso. Nigdy żadnej nie otworzył.

To jego sposób na radzenie sobie z porzuceniem. Nie myśli o nich i dzięki temu udaje mu się oszukiwać samego siebie, że nieobecność rodziców go nie boli. Ojcem i matką był mu zawsze Bóg.

Tyle tylko, że od pewnego czasu nawiedzają go wątpliwości. Czasami, kiedy stają się nie do zniesienia, znajduje ulgę w wiosłowaniu. To wiosła, a nie modlitwa, przynoszą mu ukojenie. Wiosłuje mocno. Wiosłuje, dopóki jego płuca nie zaczynają płucać, a łódź nie frunie po ciemnej wodzie jak celnie rzucony płaski kamień.

W samotności swojej celi przed wieczorną modlitwą Tommaso czuje, że serce bije mu niemal tak mocno, jak wtedy, gdy jest na łodzi. Ma zresztą powód. Dziś jest bowiem wyjątkowy dzień. Jego urodziny. Dwudzieste pierwsze. Najwyższy czas, żeby zmierzyć się ze swoimi demonami.

Odwiązuje ciasno zapleciony sznurek. Łamie pieczęć. Otwiera skrzynkę pozostawioną mu przez matkę i nie może uwierzyć własnym oczom.

ROZDZIAŁ 41

*Czasy współczesne
Pałac Dożów, Wenecja*

Chłodny, poranny wiatr wieje od Laguny Weneckiej, obszernego akwenu uformowanego przed około siedmioma tysiącami lat, gdy po ustąpieniu zlodowacenia nastąpiło zalanie równin u północnych

wybrzeży Adriatyku. Vito Carvalho stoi przy przystani gondolierów w cieniu Pałacu Dożów i wpatruje się w szare fale. Rozmyśla nad tym, co usłyszał od Umberto Castellego.

Morderstwo. Antonio Pavarotti nie zginął w wypadku. Przed oczami staje mu twarz młodego porucznika. Zawsze przystojny i uśmiechnięty. Ciepłe, uprzejme oczy, takie, jakie podobają się kobietom.

Co za strata. Co za cholerna, bezsensowna strata.

Vito dopala papierosa, już drugiego dzisiaj, i idzie do gabinetu. Powoli. Potrzebuje czasu, żeby to wszystko przemyśleć. Na jego biurku piętrzą się dokumenty z trzech morderstw - Moniki Vidic i dwóch anonimowych mężczyzn, których ciała wyłowiono z laguny. Teraz pojawiło się czwarte - Antonio. Niewielką pocięchą jest fakt, że przynajmniej w tej ostatniej sprawie jest jakiś trop, choć niewyraźny. Może to niewiele, ale wnosząc z tego, co powiedział Castelli, Wyspie Mario warto bliżej się przyjrzeć. W poważnych przestępstwach narkotyki pojawiają się zadziwiająco często.

Martwią go też inne sprawy. Brakuje mu ludzi, a jego podwładni ciągną już ostatkiem sił. Castelli obiecał, że przyśle do niego dwóch podporuczników z wydziału operacji tajnych, ale zanim się z nimi zobaczy, czeka go znacznie trudniejsza rozmowa.

Punktualnie o dziesiątej Valentina Morassi wchodzi bezgłośnie do gabinetu szefa, trzymając w rękach dwa papierowe kubki z kawą.

- *Buongiorno*, przyniosłam panu poranne lekarstwo, panie majorze.

- *Grazie*.

Vito bierze od niej kubek i przygląda się Valentinie. Biorąc pod uwagę wszystko, co się ostatnio wydarzyło, porucznik Morassi

wygląda znakomicie. Dostrzega oczywiście dodatkowy makijaż, który ma przykryć spuchnięte oczy, ale i tak nie może nie podziwiać wewnętrznej siły tej dziewczyny.

- Rozmawiałaś z naszym eks-księdzem po wizji w La Salute?

Valentina zdejmuje pokrywkę z kubka i zdmuchuje pianę.

- Nie, przyjechałam od razu tutaj.

- Zadzwoń do niego. Muszę z nim pogadać. Obserwowałem go wczoraj i wiem, że coś zauważył. Wydaje mi się, że te smugi krwi coś dla niego oznaczają.

Vito ma wielką ochotę kontynuować rozmowę o morderstwach, wspomnieć dziwną hipisowską komunę na Wyspie Mario - słowem, mówić o czymkolwiek, byle nie musieć przekazywać jej pasudnej wiadomości od Castelliego. Spogląda na swoje dłonie. Między palcami zauważa nikotynowe plamy. Dawno już ich tam nie było. Pociera poząłkłą skórę. Kiedy podnosi wzrok, napotyka oczy Valentiny. Porucznik Morassi patrzy na niego wyczekująco. No cóż, nie ma co odkładać tego na później.

- Rozmawiałem wczoraj z Castellim. Ekipa badająca wybuch na łodzi Antonia twierdzi, że to jednak nie był wypadek... - Vito uważnie obserwuje twarz podwładnej.

Ani śladu szoku. Tylko intensywne spojrzenie zawodowej policjantki, czekającej na resztę historii.

- Dochodzeniówka znalazła we wraku ślady plastiku - ciągnie Vito.

Valentina gwałtownie wciąga powietrze. Jej ramiona lekko drżą.

- Podejrzewam, że już wiesz, że pracował pod przykryciem na Wyspie Mario, należącej do tego stukniętego miliardera od Internetu?

Valentina kiwa głową.

- Co teraz?

To pytanie wytrąca go z równowagi.

- *Scusi?*

- Jak poprowadzimy śledztwo? Kto będzie dowodził?

- Ja. Major Castelli przyśle nam do pomocy dwóch swoich ludzi...

- Chcę wziąć w tym udział - przerywa Valentina. W jej oczach pojawia się błysk. - Niech mnie pan włączy do śledztwa.

Carvalho poważnie rozważa odmowę.

- Masz już sporo na głowie - morderstwo Vidic, ciała w lagunie, śledztwo w kościele...

W spojrzeniu Valentiny jest wyzwanie.

- To wszystko się ze sobą łączy, panie majorze. Ja to wiem. Czuję to.

Wpatrują się w siebie. Słowa nie są im potrzebne. Policyjny instykt obojgu mówi to samo. Brakuje im dowodów, żeby powiązać ze sobą wszystkie cztery sprawy, ale Vito jest przekonany, że Valentina ma rację. W jakiś sposób to wszystko jest ze sobą powiązane.

- Złożyłem wniosek o nakaz przeszukania. Sądzę, że mamy podstawy, żeby przesłuchać kolegów Antonia z pracy i jego „pracodawcę”.

- Tego miliardera?

- *Si*. Jesteśmy policjantami i nie wierzymy w przypadki, ale obawiam się, że połączenie ze sobą tych wszystkich spraw tak, żeby to się trzymało kupy, będzie bardzo trudne - w głosie majora nie ma entuzjazmu.

Twarz Valentiny tężeje.

- Jestem przygotowana na każdą trudność, jeśli to pozwoli nam znaleźć zabójcę Antonia.

- *Bene*. Ale jeśli w którymś momencie zaczniesz cię to przerastać, masz mi powiedzieć. - Podnosi prawy palec wskazujący i ojcowskim gestem celuje nim w Valentinę. - Mówię poważnie, jeśli przestaniesz sobie radzić, masz mi o tym natychmiast powiedzieć. Ostatnia rzecz, jakiej sobie życzę, to żebyś przez pracę czuła się jeszcze gorzej.

- Nie będę - odpowiada Valentina. - Proszę mi wierzyć, gorzej niż w tej chwili już nie mogę się czuć.

CAPITOLO XL

Rok 1777

Rialto, Wenecja

Budowa Ponte di Rialto zajęła trzy lata i są takie dni, kiedy przejście na drugą stronę wydaje się zabierać tyle samo czasu. Tak jak dziś.

Wenecja stała się handlowym oknem na świat i Tanina Perrotta ma wrażenie, że na słynnym moście Antonia da Ponte kłębią się jednocześnie wszystkie narodowości świata. Tanina pracuje po południowej stronie mostu w antykwariacie Gatusso, jednym z najstarszych i najbardziej szanowanych w całym mieście. Interes kwitnie. Każdego dnia sprzedaje obrazy i antyki za ceny, które przyprawiają ją o zawrót głowy. Praca jest ciężka, a Tanina najchętniej znalazłaby

się po drugiej stronie mostu, u Ermanno, największej miłości jej życia.

Wreszcie Lauro Gatusso, jej pracodawca, odwraca tabliczkę na drzwiach frontowych i zaciąga kurtynę.

- *Finito*. Zmykaj! No już! Gapisz się przez to okno, jakbyś się spodziewała zobaczyć samego dożę. Czy praca u mnie aż tak cię męczy?

Tanina zdejmuje płaszcz z wieszaka za zasłoną.

- Przecież pan wie, że pracuję dla pana z radością, *signor*. Po prostu umówiłam się z przyjacielem, a najpierw muszę jeszcze coś załatwić.

- Przyjacielem? - Gattuso posyła jej ojcowskie spojrzenie. - Czy ten „przyjaciel” to ten żyd od Buchbindera?

Okrągła twarz Tanii pokrywa się rumieńcem. Nerwowo zakłada kosmyk jasnych włosów za ucho.

- Przecież pan wie. Ermanno i ja jesteśmy razem już prawie dwa lata.

Gatusso cmoka z dezaprobatą.

- To dobry człowiek! - protestuje Tanina.

- Jedyne, co można o nim powiedzieć dobrego, to to, że jego ojciec miał na tyle rozsądku, żeby nadać mu chrześcijańskie imię.

- *Signor!*

- Tanino, wiesz równie dobrze jak ja, że gdyby żyli twoi rodzice, zabroniliby ci nawet z nim rozmawiać.

Dziewczyna podpira dłonie na biodrach i rzuca mu wyzywające spojrzenie.

- Ale niestety nie żyją, a ja osiągnęłam już wiek, w którym sama decyduję o tych sprawach.

Wpatrują się w siebie. Emocje osiągają temperaturę grożącą wybuchem. Lauro Gatusso jest fundamentem jej niezależności. Gdyby

nie on, Tanina nie miałyby pracy, dachu nad głową, a zapewne także swojego Ermanno. Jak na ironię, poznali się właśnie za sprawą Gatusso. Pierwszy raz spotkała go, kiedy doręczał do sklepu towary zakupione przez Gatusso od starego żydowskiego kupca z getta.

- Wybacz - mówi w końcu Lauro. - Ale ojciec tego twojego Ermanno, stary Taduch, to wyjątkowy szubrawiec. Nikezemna kanalia i nieprawdopodobny oszust. Handluje sztuką wątpliwej proveniencji, a jego przodkowie byli zwyczajnymi *strazzaria*, parszywymi gałganiarzami.

Tanina z uśmiechem mija go i zmierza do drzwi. Gatusso i ojciec Ermanno handlowali ze sobą od lat, zazwyczaj w najlepszej zgodzie, ale ostatni interes zupełnie nie wypalił.

- Ja też przepraszam. Zawsze był pan dla mnie życzliwy i jestem panu wdzięczna za opiekę i porady. Tylko że...

Gatusso macha ręką z rezygnacją.

- Tak, tak wiem, tylko, że ty go kochasz. Miłość! Miłość! Miłość!
- Śmiejąc się, wypycha ją za drzwi. - *Ciao*, Tanino. Dbaj o siebie i dopilnuj, żeby ten żydek bezpiecznie odprowadził cię do domu.

Tanina zbiera spódnicę i rusza truchtem. Ściemnia się i robi coraz chłodniej. Artyści pozabierali już sztalugi znad brzegu kanału, zniknęła też większość ulicznych sprzedawców. Tanina przechodzi przez most i zagłębia się w gąszcz zaułków. Najpierw na północ, potem na północny zachód od zakrętu Canal Grande i dalej, na najbardziej wysuniętą na północ wyspę.

Tanina od zawsze wie, że weneccy żydzi mieszkają w getcie - pierwszym w całej Europie. Wyznawcy Kościoła rzymskiego opowiadają o tym miejscu niestworzone historie. Ograniczenia dotyczą wszystkiego, co żydowskie. Handel, prawa, status, nawet

przemieszczanie się w obrębie murów - wszystko jest ściśle regulowane. Mimo to, oprócz urządzanych od czasu do czasu nalotów, strażnicy zazwyczaj przymykają oko na tych, którzy potrafią się im odwdziżyć, więc życie w getcie toczy się normalnie.

Tanina skręca, wchodzi do dzielnicy żydowskiej i natychmiast ogarnia ją podniecenie. Getto jest buzującym kotłem życia i handlu. Na ulicach pełno jest kupców i lichwiarzy. Drzwi magazynów co chwilę się otwierają, przyjmując lub wypuszczając kolejne naręcza futer, tkanin i dywanów. Krawcy, jubilerzy i cyrulicy pomimo późnej godziny nie pozamykali jeszcze swoich kramów. Prawie wpada na nią dwóch nosiwodów dźwigających pełne wiadra wody zaczerpniętej z prywatnej studni ich pracodawcy. Tanina lubi getto. Lubi jego energię, ryzyko i poczucie, że znajduje się w zakazanym miejscu. Zachodzi do sklepiku obok zakładu produkującego trumny, aby kupić składniki na mizerną kolację - czosnek, cebulę, okrawki kurczaka i chleb.

Dom rodziców Ermanno w Ghetto Nuovo składa się z kilku pokojów w ciasnym, pięciopiętrowym budynku, zasłoniętym od słońca przez pobliską odlewnię miedzi, która zalewa całą okolicę nieznośnym odorem. Ze względu na lojalność wobec rodziny Ermanno odrzucił propozycję pracy u konkurentów ojca z Ghetto Vecchio, po drugiej stronie dzielnicy.

Kiedy Tanina wchodzi do jego pokoju, Ermanno jak zawsze się uczy. Starożytne teksty i rysunki z Egiptu, Konstantynopola, starej Italii, Prus i Francji zalegają na nędznym łóżku i zakurzonej podłodze. Wszystkie książki dotyczą skarbów ze wszystkich czasów i królestw w dziejach świata.

- Bonsoir, mon chéri! - wita ją z entuzjazmem Ermanno. Po chwili niezłą angielszczyzną dodaje: - Good evening, my darling.

Następnie wstaje z podłogi, odbiera od niej zakupy i dorzuca po niemiecku:

- Guten Abend, mein Liebling.

A potem niemal miażdży jej usta w pocałunku.

Tanina odrywa się od niego, by złapać oddech. W jej oczach tańczą iskierki. Przygląda się swojemu ukochanemu. Za każdym razem, kiedy się spotykają, wydaje jej się przystojniejszy. Szczupły, muskularny, o ciemnej skórze i oczach, które zawsze powodują, że jej serce rozpuszcza się jak śnieg na słońcu. Odpina guziki ciężkiej, wełnianej peleryny.

- Czy mam ugotować kolację teraz, czy później?

Ermanno dotyka kołnierza jej bluzki, rzuca jej ogniste spojrzenie, po czym zabiera się do odpinania guzików.

- Później. Znacznie później.

ROZDZIAŁ 42

Czasy współczesne
Wyspa Mario, Wenecja

Zabójca Moniki Vidic wie, kim są. Równie dobrze mogliby powiewać flagą z godłem *carabinieri*. Ich głupota go bawi. Wydaje im się, że zdołają go zaskoczyć, podpływając do wyspy w nieoznakowanych łodziach. Śmiechu warte.

Obserwuje na monitorach, jak wygrzebują się na brzeg. Niezdar-
nie, jak turyści po pierwszej przejażdżce gondolą. Głupcy.

W oddali kamery długoogniskowe przeczesują fale i dostrzegają
niebiesko-białe kadłuby łodzi patrolowych. Teoretycznie mają trzy-
mać się poza zasięgiem wzroku. Zabawne. Nic się nie ukryje, jeżeli
dysponuje się odpowiednią technologią.

Zabójca wciąż się uśmiecha, gdy opuszcza hangar na łodzi i rusza
do głównego budynku. Po drodze zamienia kilka słów z dwoma
nowymi członkami komuny, następnie wchodzi tylnymi drzwiami do
salonu na parterze, żeby przypilnować pozostałych mieszkańców,
kiedy „zaskoczy” ich policja.

Rozlega się donośny dźwięk starego mosiężnego dzwonka nad
frontowymi drzwiami.

We dworze powstaje chaos.

Na twarzach kilku starszych strażników pojawia się panika. Jakiś
łyśy facet o ponurej twarzy głośno oznajmia, że nazywa się Carvalho.
Major Carvalho. Trzymając nad głową nakaz przeszukania, wtacza
się do środka z wdziękiem inspektora Clouseau. Zabójca Moniki
niemal spodziewa się, że pan major za chwilę się potknie i spekta-
kularnie rozbije jakąś cenną wazę. Za nim do domu wkracza armia
gliniarzy w cywilnych ubraniach, uzbrojonych w plastikowe torby na
dowody. Wszyscy są śmiertelnie poważni. Zabójca Moniki musi
gryźć się w język, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

Przed majorem Carvalho wyrasta wysoki, zaokrąglony mężczyzna
o tłustej twarzy, blokując mu dostęp do wnętrza.

- Jestem *signor* Ancelotti, prawnik Mario i pełnomocnik komuny.
Proszę pokazać mi ten nakaz. - Wyciąga mięsistą, wypielęgowaną
dłoń.

Vito wciska mu papier.

- Zapewniam pana, że jest w porządku.

Dino Ancelotti zakłada grube okulary w czarnych oprawkach.

- Proszę zatrzymać swoich ludzi. Nie mają prawa wykonywać żadnych czynności, dopóki nie potwierdzę autentyczności tego nakazu. - Odchodzi na bok ze wzrokiem wciąż wbitym w papier. - Jeśli znajdę tu choćby jeden błąd ortograficzny, natychmiast złożymy pozew.

Wszyscy policjanci zerkają nerwowo na Carvalho. Major jak zawsze jest ostrożny.

- Wszyscy stać!

Jego ekipa zatrzymuje się w pół kroku.

- Czekamy, aż pan prawnik przeczyta nakaz. Mamy czas.

Kiedy Ancelotti bada autentyczność nakazu, do funkcjonariuszy podchodzi kobieta w krótkich dżinsowych spodniach i biustonoszu od kostiumu kąpielowego. Błyska flesz i trzaska migawka aparatu cyfrowego w jej dłoniach.

- Rewelacja! Gliny w *palazzo*! Nie mogę się doczekać, aż wrzucę to do sieci! - Kobieta mówi po angielsku z amerykańskim akcentem. Zatrzymuje się przed Valentina. - O kurwa, ależ z ciebie laleczka! Trochę skwaszona, ale Chryste panie, co za figura. Robiłaś kiedyś w porno, skarbie?

Valentina z trudem opanowuje narastającą wściekłość.

- Proszę mi nie robić zdjęć!

Kobieta śmieje się bezczelnie. Całe ciało, łącznie z twarzą, ma pokryte tatuażami. Porucznik Morassi mimo woli wpatruje się w nią.

- Sama zrób mi zdjęcie, skarbie. Chyba bardzo chcesz - kpi wytatuowana fotografka.

Sytuację rozładowuje Ancelotti, oddając majorowi nakaz.

- Autentyczny. Życzę miłej zabawy, ale proszę dopilnować, żeby pańskie dzieciaki niczego nie zniszczyły. W tym miejscu znajduje się sporo cennych dzieł sztuki.

Vito w milczeniu kiwa głową. Funkcjonariusze ruszają na przeszukiwanie.

Mario Fabianelli obserwuje ich ze szczytu schodów.

Jedną z głównych zalet bycia miliarderem jest to, że nie trzeba się z niczym spieszyć. Można sobie pozwolić na ociąganie, a w razie potrzeby nawet na niewielkie straty. Gliny znajdą co najwyżej trochę heroiny i lekkich prochów. Dużo wody upłynie jednak w lagunie, zanim ustalą, do kogo należą prochy.

Mario niespiesznym krokiem schodzi po schodach i wyciąga dłoń do ponurego majora żandarmerii.

- Cześć, jestem Mario. - Odczekuje chwilę, żeby jego słowa dotarły do gliniarza. Niech uświadomi sobie, że stoi twarzą w twarz z człowiekiem dysponującym niewiarygodną władzą i bogactwem. - Być może zechciałby pan porozmawiać w jakimś spokojniejszym miejscu? Z pewnością ma pan wiele pytań. Poproszę kogoś, żeby przyniósł coś do picia.

Przy jego boku natychmiast wyrasta Ancelotti.

- Nie musisz im nic mówić, Mario. Niech zrobią, co mają do zrobienia, i zabierają się stąd.

Miliarder uśmiecha się.

- Ależ ja chcę z nimi porozmawiać, Dino. Nudzi mi się, a to zawsze jakaś rozrywka. Poza tym jeśli *carabinieri* potrzebują pomocy, to chcę zrobić wszystko, żeby im pomóc.

Carvalho patrzy na niego uważnie. W jego spojrzeniu nie ma zazdrości ani nienawiści. Tylko skupienie.

- Poproszę czarną kawę.

CAPITOLO XLI

Rok 1777

Isola di San Giorgio Maggiore, Wenecja

Migoczący blask świecy rozjaśnia klasztorną celę. Tommaso Frascoli usiłuje zachować spokój, czytając list napisany do niego przez matkę ponad dwadzieścia lat wcześniej.

Lata spędzone w klasztorze nauczyły go odczytywania informacji ukrytych w tekście. Dla wprawnego oka wybór papieru, atramentu, stalówki, a nawet charakter pisma zdradzają bardzo wiele o piszącym.

Tommaso najpierw zauważa, że papier nie jest tani. List został napisany na kosztownym pergaminie o kremowej barwie, takim jak ważne dokumenty spięte czerwoną, jedwabną wstążką, które nieraz widział na biurku opata.

Po drugie, jego uwagę zwracają mocne, pewne pociągnięcia pióra i staranna kaligrafia, trzymająca się ściśle niewidocznej linii. Stylistycznie charakter pisma autora jest trudny do określenia - zwłaszcza litery „b”, „d”, „h” i „l” są szczególnie ozdobne. Przypominają mu XVI-wieczną czcionkę Bastarda. Z drugiej strony specyficzne manierysty sugerują raczej zdyscyplinowane pismo typu Cancellaresca.

Tommaso doskonale zdaje sobie sprawę, że bada formę, zamiast treści. Musi zwalczyć zawodową ciekawość, żeby najpierw przeczytać tekst, a dopiero potem zabrać się do wyciągania wniosków na temat autora.

Pochyla papier pod światło świecy i przygląda się liniom nakreślonym gęstym, czarnym atramentem za pomocą niedużej, ale

mocnej i elastycznej stalówki. Z pewnością list napisała wykształcona ręka. Raczej nie pospolita nierządnicza, jakich pełno w okolicach stoczni. Jego matka musiała zatem być jedną z tych luksusowych kurtyzan, które - jak wieść niesie - potrafią grać na instrumentach jak anioły i malować jak sam Canaletto. A może po prostu oszukuje sam siebie? Owszem, ma pełną świadomość, że od samego początku stara się myśleć jak najlepiej o autorce listu.

Wygląda papier na niewielkim stoliku, na którym obok świecy leży Biblia, i w końcu zabiera się do czytania:

Moje najdroższe dziecko,

Poprosiłam dobrych mnichów, aby ochrztili Cię imieniem Tommaso. Nie jest to imię Twego ojca, ale imię, które zawsze chciałam nadać swojemu synowi.

W chwili gdy to piszę, masz dwa miesiące. Nim nauczysz się raczkować, nie wspominając już o mówieniu, ja od dawna będę martwa. Gdybym nie cierpiała na chorobę, o której medycy powiadają, że zabije mnie z równą pewnością, co pozostałych członków naszej rodziny, nigdy nie ważyłabym się Ciebie opuścić.

Gdy oddaję Cię na wychowanie świętym braciszkom, na Twych ustach wciąż pozostaje ślad mego mleka, tak jak pocałunki na Twym czole. Mnisi to dobrzy ludzie, zajmą się Tobą, a moja miłość zawsze będzie przy Tobie.

Nie mam wątpliwości, że porzucając Cię, przysporzę Ci wiele cierpienia. Jednakże oddając Cię teraz, mogę przynajmniej mieć pewność, że będziesz bezpieczny, a Bóg otoczy Cię opieką. Gdybym zaczęła z tym, aż przyjdzie po mnie śmierć, czekałby Cię los zgoła fatalny.

Pewnego dnia, mój Tommaso, zrozumiesz, dlaczego musiałam oddać Ciebie i Twą siostrę pod opiekę Pana naszego. Wraz z tym listem otrzymasz drewnianą skrzynkę, która zawiera pewien

przedmiot - przedmiot, którego musisz strzec za cenę nie tylko własnego życia, ale również duszy. Znaczenie tego przedmiotu jest zbyt wielkie i zbyt skomplikowane, bym mogła wyjaśnić je w liście. Nigdy nie spuszczaaj go z oka.

Twą starszą o rok siostrę oddalam pod opiekę zakonnic. Pozostawiłam jej taką samą skrzynkę i obowiązek.

Moje dziecko, musiałam Was rozdzielić z ważnych przyczyn. Jakkolwiek wiadomość ta sprawi Ci ból, uwierz mi, że najlepiej dla Ciebie, dla niej i wszystkich wokół będzie, jeśli nie będziesz jej szukał.

Obowiązki, które Wam pozostawiam, łatwiej będzie Wam wypełnić, jeżeli nigdy się nie spotkacie.

Wszelka nadzieja na miłość, szczęście i zbawienie dla Ciebie bezwzględnie zależy od tego, byście nigdy się nie poznali.

Mój Tommaso, kocham Cię z całego serca. Błagam Cię, abyś wybaczył mi to, co musiałam uczynić, i postarał się zrozumieć, dla czego nie miałam wyboru.

Najdroższy mój, ostatnią modlitwę przed śmiercią odmówię za Ciebie i Twą siostrę. Czerpię pociechę z nadziei, że osiągniesz wszystko, co dla Ciebie wymarzyłam, a dobry Bóg w swej łasce sprawi, że pewnego dnia ponownie się złączymy.

Moja miłość zawsze będzie z Tobą,

Mamma

Wzruszenie ściska żołądek Tommaso. Jest bliski łez. Ostatnie słowa matki wstrząsają nim do głębi: „Moja miłość zawsze będzie z Tobą, Mamma”. Ma wrażenie, że za chwilę rozsypie się na drobne kawałki.

Jak cudownie byłoby ją poznać! Jak cudownie byłoby zrozumieć jej miłość!

Ponownie czyta pergamin. Przyciska arkusz do serca i wpatruje się w kamienną ścianę celi. Jak wyglądała? Jaka choroba zabrała ją

ze świata? Przerażający syfilis? Koszmarne francuska choroba... Czy też ospa?

Jego myśli następnie zwracają się ku siostrze - zastanawia się, czy kiedykolwiek leżeli razem przy boku matki. Czy spoglądali sobie w oczy? Wreszcie, czy jego siostra jest wciąż wśród żywych?

Przez jego głowę przebiega jeszcze tysiąc myśli i wątpliwości, zanim wreszcie zagląda do drewnianej skrzynki, stojącej przy jego skromnym posłaniu. Sięga do środka. Wyjmuje niewielkie zawiniątko.

Jakiś prostokątny przedmiot owinięty w dużą, jedwabną chustę. Wygląda na srebro. Rodzinna pamiątka? Prezent dla kurtyzany od bogatego i wdzięcznego kochanka?

Na tabliczce widnieje pismo w języku, którego nie rozumie, być może po egipsku. Odwraca ją, żeby przyjrzeć się drugiej stronie. Ze srebrnego reliefu spogląda na niego twarz kapłana, starożytnego wróżbity w stożkowej tiarze, przypominającej biskupią. Kapłan jest młody, szczupły i wysoki, i trochę przypomina mu jego samego. Tommaso czuje przebiegający po karku dreszcz.

Z dołu dobiega dźwięk gongu wzywającego mnichów na wspólną wieczerzę. Wkrótce korytarz zapełni się pozostałymi braćmi, którzy będą zaglądać do jego celi z pytaniem, czy będzie im towarzyszył podczas posiłku.

Tommaso chowa tabliczkę i list od matki z powrotem do skrzynki, którą wsuwa pod łóżko. Następnie szybkim krokiem zmierza na kolację. Jego życie właśnie zmieniło się na zawsze.

ROZDZIAŁ 43

Czasy współczesne
Wyspa Mario, Wenecja

Tom Shaman jako ostatni wchodzi na teren hipisowskiej komuny Mario Fabianello. Podąża do środka za dwójką młodych funkcjonariuszy w mundurach, po czym skręca do zachodniego skrzydła dworu. Vito udzielił mu bardzo precyzyjnych instrukcji: „Masz być niewidoczny. Mają cię wziąć za element wystroju”.

W tym budynku jest coś szarpiącego nerwy. Od chwili gdy przekroczył próg, otacza go atmosfera dziwnego niepokoju. Choć jest tu po raz pierwszy w życiu, przemierzając kolejne obszerne, zimne pokoje doskonale wie, co znajduje się przed nim. Przeczucie narasta z każdym krokiem.

Tom mija sypialnie na parterze, sale zebrania członków komuny i magazynek sprzętaczy. Kilku policjantów zrywa deski ze ścian i sufitu. Tom mija kilometry dębowej boazerii i przemierza całe hektary posadzek ze starożytnego marmuru.

Otwiera drzwi i wchodzi do ciemnego pokoju pozbawionego okien. Powietrze w pomieszczeniu jest ciepłe i ma znajomy zapach. Bardzo znajomy. Świece. Świece - i coś jeszcze. Tom po omacku szuka włącznika światła. I nagle już wie. Uświadamia sobie, co wydarzyło się w tym pokoju, jeszcze zanim zapala się światło i jego oczom ukazują się zacieki z czarnego wosku na dębowym cokole.

Msza. Bynajmniej nie chrześcijańska. W powietrzu wisi trucizna. Odór nikczemności. Splugawienia. Seksu. Może nawet krwi. Czarna msza.

Atmosfera tego pokoju przenika każdy nerw jego ciała. Na podłodze widzi ślady. Zadrapania świadczące o wielokrotnym przesuwaniu czegoś ciężkiego. Ołtarza na ofiary z ludzi.

Tom zobaczył już dosyć. Sięga do wyłącznika światła.

- Sataniści - odzywa się kobiecie głos tuż obok jego ucha.

Tom wzdryga się i odwraca.

Kobieta unosi brwi, jakby chciała się z nim podrażnić.

- Pozwalamy im korzystać z tego pokoju. Jako były ksiądz pewnie całkiem sporo o nich wiesz.

Tom ma wrażenie, jakby coś ciągnęło go w górę, jakby był marionetką zawieszoną na sznurkach lalkarza. Tak samo czuł się w La Salute, gdy klęczał przy krwawym symbolu obok ołtarza.

Błyska flesz aparatu. Serce wali mu jak młotem. Na dłoniach czuje pot. Lampa błyskowa oslepia go na chwilę i nagle wydaje mu się, że widzi zmasakrowane ciało Moniki Vidic pokryte śladami sześciuset sześćdziesięciu sześciu ciosów nożem.

Tom usiłuje nie stracić panowania nad sobą. Uspokaja oddech.

- Jestem tu z *carabinieri* - wskazuje w kierunku głównej części dworu.

- Jasne - odpowiada fotografka. - Jestem Mera Teale, kochanka Mario. Na wizytówce mam napisane, że jestem jego asystentką, ale tak naprawdę tylko się pieprzymy.

Czarne koła wywołane fleszem w końcu znikają i Tom dostrzega wyciągniętą, pokrytą tatuażami dłoń. Ścisca ją, obserwując, jak atramentowe postacie tańczą na ramieniu Mery.

Uśmiecha się do niego lubieżnie. Bawi ją jego zaskoczenie, że został odkryty i sfotografowany, ale też zaskoczenie jej egzotycznym wyglądem.

- Przepraszam, muszę znaleźć pozostałych. - Tom usiłuje ją wyminąć.

Mera blokuje mu drogę. Patrzy na niego przewrotnie. W jej oczach wyraźnie widnieje zaproszenie. Zapraszające są też karminowoczerwone usta, lśniące od jakiegoś żelu.

- Wiem, kim jesteś, księżulku - mówi wesoło. - Wiem, jaki jesteś. I wiem, czego chcesz.

Tom wpatruje się w nią, zastanawiając się, czy przypadkiem gdzieś już się nie spotkali. Jest w niej coś bardzo znajomego. Malutka łza wytatuowana w rogu oka. Lewego oka - po stronie tradycyjnie kojarzonej ze złem.

Już kiedyś widział taki tatuaż. Pięć tysięcy mil stąd. W innym życiu.

CAPITOLO XLII

Rok 1777

Ghetto Nuovo, Wenecja

Choć ani wychowany w żydowskim getcie Ermanno, ani ochrzczona w obrzędzie katolickim Tanina nie wierzą w żadnego Boga, to jednak modlą się, aby nie złapano ich, gdy Ermanno odprowadza narzeczoną do domu w pobliżu Rialto. Wenecja może i uchodzi za najbardziej libertyńskie miasto świata, ale powszechna

wolność nie dotyczy żydów, którym zabrania się swobodnego opuszczania getta. Młody żyd, który za porywem serca opuszcza mury swojej dzielnicy, na każdym kroku ryzykuje grzywnę, uwięzienie lub pobicie.

Minęła już północ i po raz pierwszy od tygodni niebo jest bezchmurne i upstrzone jaśniejącymi gwiazdami. Ukryci pod kapturami kochankowie tulą się do siebie, ściskając się za ręce i dzieląc wzajemnie ciepłem.

Kiedy zbliżają się do domu Taniny, Ermanno postanawia w końcu opowiedzieć o czymś narzeczonej.

- Mój przyjaciel Efran pracuje jako pośrednik. Współpracuje z tureckimi kupcami. Jego rodzina od lat zajmuje się handlem wielbłądźmi i kozią wełną.

Tanina marszczy brwi.

- Wiem, wiem, znanadto kochasz fatalaszki, żeby włożyć na siebie coś takiego, ale nie w tym rzecz.

- No to w czym?

- Efran zna wiele kurtyzan.

Tanina krzywi się.

- Żydowskich?

Ermanno wybucha śmiechem.

- Oczywiście, że żydowskich. W Wenecji jest mnóstwo żydówek, które codziennie uszczęśliwiają katolików i ich nieobrzezane członki. Przecież o tym wiesz.

Tanina kręci głową, wbijając wzrok w ziemię.

- Nie myślę o takich sprawach. Wiem, że moja matka była kurtyzaną, a w klasztorze, w którym się wychowywałam, było oprócz mnie wiele dziewcząt osieroconych przez kurtyzany, ale wszystkie były katoliczkami. A w każdym razie tak sądziłam.

Ermanno puszcza jej dłoń.

- Tanino, byłaś wtedy bardzo młoda, a głowę miałaś pełną katolickich uprzedzeń. Niektóre z dziewcząt z całą pewnością były żydówkami. Ale to nieistotne. Powtórzę raz jeszcze: nie w tym rzecz.

Tanina odwraca się do niego z miną wyrażającą rozbawienie przemieszane z figlarnością.

- Więc przestańże zwlekać, mój miły, i powiedz mi wreszcie: w czym rzecz?

- Gatusso utrzymuje kurtyzany - wyrzuca z siebie Ermanno. - Ma ich wiele. Efran go z nimi widywał.

Tanina milknie.

Zna swojego pracodawcę i jego żonę Benedettę od niemal dziecięciu lat. Gdy uciekła z klasztoru, to oni przygarnęli ją, dali jej pracę i dach nad głową. Benedetta zachęcała ją do rozwijania talentów malarskich, a Gatusso zawsze dbał o to, by otrzymywała godziwe wynagrodzenie, aby nigdy nie zabrakło jej porządnych ubrań i jedzenia.

- Nie wierzę - odpowiada w końcu, kręcąc głową.

- To prawda.

Tanina wpada w złość.

- Ja nawet nie znam tego całego Efrana, dlaczego miałabym wierzyć jego słowom? A poza tym nie rozumiem, jakim cudem on miałby w ogóle znać czy rozpoznawać mojego pracodawcę.

- Miał do czynienia z jedną z kurtyzan Gatussa. Powiedziała mu.

Tanina zatrzymuje się.

- Jedną z kurtyzan? - Na jej twarzy pojawia się gniew. - Mówisz to tak, jakby utrzymywał ich cały legion. Jakby kurtyzany były dla niego... interesem.

Milknie, zaszokowana własnymi słowami. Głęboko w myślach porozrzucane fragmenty układanki wreszcie łączą się w jedną całość. Wydarzenia, na które wcześniej nie zwracała uwagi, teraz nabierają znaczenia. Tania maska, którą znalazła w magazynku. Poplamiona kobieca bielizna w odpadkach. Wyrzucona butelka po perfumach, którymi nigdy nie skropiłaby się *signora* Gatusso.

Ermanno bierze ją za rękę.

- Przykro mi, najdroższa. Uznałem, że powinnaś o tym wiedzieć. Nie chciałem cię denerwować. Pomyślałem tylko, że powinienem cię ostrzec na wypadek, gdyby Gatusso coś ci... sugerował.

- Nie bądź śmieszny! - Tanina gwałtownie wrywa mu swoją dłoń.

W niezręcznej ciszy dochodzą do drzwi jej domu. Słowa Ermanno zupełnie zepsuły jej nastrój. W pocałunku na pożegnanie nie ma ani odrobiny namiętności.

Tanina wchodzi do środka i ogląda się przez ramię, strząsając włosy.

- Ermanno, nigdy więcej nie mów mi takich rzeczy o panu Gatusso. To dobry człowiek, a ja nie chcę już więcej słuchać tych bzdur o kurtyzanach.

Ermanno kiwa głową i odwraca się na pięcie. Z tego, co słyszał, ostatnia rzecz jaką można powiedzieć o Lauro Gatusso, to że jest dobrym człowiekiem.

ROZDZIAŁ 44

Czasy współczesne
Wyspa Mario, Wenecja

Vito Carvalho siada naprzeciwko miliardera w antycznym fotelu, który, jak podejrzewa, jest wart więcej, niż jego roczne zarobki. Próbuje ocenić Mario Fabianellego, ale to, co widzi, nie pasuje do jego wyobrażeń. Zamiast agresywnego narkomana siedzi przed nim człowiek, który mógłby występować na okładce „Men's Health”, i czaruje go nienagannymi manierami.

Popijają espresso ze schłodzoną wodą, siedząc obok dużego okna, które wychodzi na teren na tyłach dworu. Dino Ancelotti, wyszczekany prawnik Mario, siedzi skulony w fotelu obok, czekając na okazję, żeby znowu zacząć ujadać.

Rozmowa przeskakuje z tematu na temat. Od celu istnienia komuny po cel policyjnego nalotu. Ze słów Mario wynika, że Heaven - H3V3N - jest ośrodkiem kulturalnym. Bardzo luksusowym ośrodkiem kulturalnym. Dwór wypełniają kosztowne rzeźby i obrazy, a pokoje mają standard przyzwoitego hotelu. Co najmniej czterogwiazdkowego. Z całą pewnością H3V3N nie przypomina typowej hipisowskiej komuny.

- Wszyscy mieszkają tu za darmo - objaśnia Mario. - Wymagam od nich tylko tego, żeby codziennie coś namalowali, napisali albo zagrali.

- Po co? - pyta major Carvalho.

- Wenecja niegdyś słynęła z miłości do sztuki. Była najważniejszym centrum kulturalnym na świecie, a ja chciałbym, żeby odzyskała dawny blask.

Vito w jakimś sensie rozumie idealistyczne pobudki Mario. W końcu, opuszczając wydział zabójstw w Mediolanie, sam uciekł przed skrzeczącą rzeczywistością. Odstawia filizankę i wyciąga fotografię z kieszeni marynarki.

- Zna pan tego człowieka?

Mario bierze od niego zdjęcie i przygląda mu się uważnie z pełną świadomością, że Carvalho dokładnie śledzi jego reakcje.

- Nie sądzę. - Oddaje majorowi fotografię. - Przypuszczam, że nie żyje? Zwykle kiedy policja pokazuje czyjeś zdjęcie, to ten ktoś albo nie żyje, albo zaginął.

Vito chowa fotografię z powrotem do marynarki.

- Nie żyje. Nazywał się Antonio Pavarotti. Tak jak ten śpiewak. Zginął w lagunie, niedaleko stąd.

Mario robi współczującą minę.

- Bardzo mi przykro. Jak to się stało i jak mogę panu pomóc?

- Jego łódź została wysadzona w powietrze. W silniku podłożono plastyczny materiał wybuchowy. Czy wiedział pan, że Antonio dla pana pracował?

Mario patrzy na niego ze zdziwieniem.

- Nie. W jakim charakterze?

- Ochroniarza. Zabito go w drodze do pracy.

Anceletti pochyła się w fotelu.

- Mój pracodawca nie wie, kto pracuje w ochronie. Strażników zatrudnia zewnętrzna firma, z którą ja się kontaktuję. Mario ma na głowie ważniejsze rzeczy niż zatrudnianie personelu.

Vito uśmiecha się.

- Z pewnością. - Zerka spod oka na miliardera. - A właściwie po co panu ochrona? Obawia się pan o swoje życie? Albo o życie członków komuny?

- Jedno i drugie. Boję się porwania. - Fabianelli dotyka palcami ucha. - Nie mam ochoty, żeby ktoś mnie uprowadził, jak młodego Johna Paula Getty'ego, i przesyłał pocztą tu obecnemu Dino kawałki mojego ciała z żądaniem kilku milionów dolarów okupu za resztę. Ponadto jestem odpowiedzialny za bezpieczeństwo ludzi, którzy tu mieszkają.

Major wstaje i zbiera się do wyjścia.

- Rozumiem. Dziękuję panu za wyjaśnienia. I za kawę. - Spogląda na prawnika. - Chciałbym teraz porozmawiać z szefem ochrony, jeśli to nie problem.

Ancelotti kiwa głową. Major ściska na pożegnanie dłoń Fabianello.

Na korytarzu zauważają Toma i Merę Teale. Wytatuowana kobieta macha do nich.

- Dino, to jest Tom Shaman - ten pieprzony ksiądz, o którym pisał wszystkie gazety.

Mario i Dino patrzą na nią ze zdziwieniem.

- Pan Shaman - dodaje Mera - przybył tu wraz z żandarmerią, ale nie jest „z nimi”, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Pan Shaman jest cywilem pomagającym nam w śledztwie - wtrąca Vito. - Kimś w rodzaju eksperta.

- Eksperta od spraw łóżkowych - rzuca Teale, spoglądając lubieżnie na Toma. - A w każdym razie tak twierdzi prasa. - Mruga porozumiewawczo.

Ancelotti nadyma się.

- *Signor* Shaman nie został uwzględniony w pańskim nakazie. Ma pan wybór, panie majorze - albo pan Shaman stąd zniknie, albo nakaz

straci ważność i wszyscy będziecie musieli natychmiast się stąd wynieść.

Vito rzuca Tomowi przepraszające spojrzenie.

- Przykro mi. Będziesz musiał opuścić wyspę. Możesz zaczekać na nas w łodzi albo moi ludzie mogą odwieźć cię na ląd, jak wolisz.

- Odprowadzę pana Shamana - oferuje Teale i uśmiecha się szeroko. - Z przyjemnością.

Tom nie ma nic przeciwko wyjściu na świeże powietrze. Po drodze do przystani zadaje wygadanej asystentce Mario pytanie, które dręczy go, od kiedy ją zobaczył.

- Ma pani przy oku tatuaż w kształcie łzy. - Dotyka swojej twarzy w odpowiednim miejscu. - Gdzie go pani zrobiła?

- W Vegas.

- Czy mogę zapytać, po co?

Mera stuka się palcem w nos.

- Znasz to stare powiedzenie: Wszystko, co dzieje się w Vegas, zostaje w Vegas?

- Spowiedź oczyszcza duszę.

Teale wybucha śmiechem.

- To był piątek trzynastego, z tej okazji w salonach tatuują za darmo.

Tom patrzy na nią ze zdumieniem.

- Żeby uczcić dzień pecha?

- W świecie tatuażu wszystko robi się odwrotnie niż w konwencjonalnym społeczeństwie.

Tom patrzy przez ramię Mery. Na wzgórkach za nią coś przykuwa jego uwagę. Jakaś postać idzie powoli pod górę. Tom rozpoznaje jej ruchy. W sercu czuje dziwny ucisk. Krew zaczyna szybciej krążyć mu w żyłach.

Tina! Jest pewien, że to Tina. Rzuca się biegiem w jej kierunku.

Jest z nią jakiś mężczyzna. Oboje znikają w niewielkich drzwiach, prowadzących do jakiejś kuchni albo piwnicy.

Drzwi są zamknięte na klucz, kiedy Tom do nich dociera. Desperacko uderza w nie pięścią.

- Tino! Tino, to ja, Tom!

Nikt nie odpowiada. Tom podchodzi do okna. Oslania oczy dłońmi i zagląda do środka. Pusto. Odwraca się i widzi Merę Teale wpatrującą się w niego wystraszonym wzrokiem i rozmawiającą przez krótkofalówkę.

Czyżby wszystko sobie wyobraził? Czy jego umysł podsuwa mu halucynacje? Czy może Tina naprawdę tam była?

CAPITOLO XLIII

Rok 1777

hola di San Giorgio Maggiore, Wenecja

Różowe światło świtu oblewa fasadę kościoła San Giorgio Maggiore. Za kilka godzin, gdy słońce będzie już stało wysoko ponad wyspą, majestatyczne półkolumny podpierające fronton świątyni zalśnię bielą istryjskiego marmuru, przyciągając wzrok kupców i przechodniów z Piazzetty. Na razie jednak kościół jest sylwetką

wyłaniającą się z cienia w blasku wschodzącego słońca. Tommaso obserwuje go ze swojej łodzi.

Zazwyczaj o tej porze płynąłby po spokojnych wodach laguny, wiosłując ile sił. Dziś jednak nie ma zamiaru wyruszać na kanały.

Zamiast tego korzysta z prywatności, jaką daje szopa na łodzie na brzegu wyspy, aby dokładniej przyjrzeć się srebrnej tabliczce.

Skąd jego matka ją miała? Dlaczego przywiązywała do niej aż taką wagę? I dlaczego zaklinała go, żeby nikomu jej nie oddawał?

Tommaso zastanawia się nad tajemnicą tabliczki, w międzyczasie szkicując ją na papierze przyniesionym z celi. Tabliczka ma długość od nadgarstka do czubka najdłuższego palca. Jest szeroka na nieco ponad cztery palce. Tylna strona została wygładzona i pokryta napisami w języku, którego nigdy wcześniej nie widział. Wprawdzie zna łacinę, hebrajski i trochę egipski, ale litery na tabliczce nie przypominają mu żadnego z tych języków. Niektóre wyglądają na greckie. W normalnych okolicznościach zasięgnąłby opinii opata, ale coś go przed tym powstrzymuje.

Tommaso odwraca tabliczkę. Jest ciężka i niewątpliwie cenna. Być może dlatego matce tak na niej zależało. Przysłowiowe srebra rodowe, które należy chronić za wszelką cenę. Pilnować, aby zawsze pozostawały w rękach rodziny. Sprzedać tylko w ostateczności.

Rzeźba na awersie jest bardzo piękna. Bogata i zaskakująca. Postać na tabliczce niewątpliwie przedstawia kapłana. Zakrzywiony kostur przebijający jego ciało przypomina biskupi pastorał. Tommaso zastanawia się, czy kapłan pochodził z Arabii, czy też może z Izaurii. Przyglądając się rzeźbie, w końcu przypomina sobie szkice starożytnych wróżbitów, których Rzymianie nazywali augurami lub haruspikami. O haruspikach pisał również Dionizjusz z Halikarnasu w swoich dziełach poświęconych Etruskom. Jeżeli przebity kapłan

istotnie był haruspikiem, to oznacza, że litery na odwrocie wywodzą się z czasów etruskich. Co wyjaśniałoby, dlaczego niektóre przypominają grekę. Za postacią kapłana widać coś w rodzaju bramy zbudowanej ze splecionych węży. Wąż jest symbolem Szatana, więc Tommaso dochodzi do wniosku, że obraz na tabliczce musi przedstawiać walkę kapłana ze złem. Węże wydają się wypełzać z obu stron srebrnej tabliczki, co sugeruje, że cenny artefakt mógł być częścią większej całości. Tommaso przypomina sobie słowa matki: *Twą starszą o rok siostrę oddałam pod opiekę zakonnicy. Pozostawiłam jej taką samą skrzynkę i obowiązki.*

Tommaso rozmyśla nad tym, jak teraz może wyglądać jego siostra, gdzie przebywa, do czego doszła w życiu i co zrobiła z pozostawioną jej skrzynką. Myśli też o matce - otwarciu skrzynki, odkryciu tabliczki i listu zerwały tamę, którą postawił przed laty. Bolesne emocje przepływają teraz przez niego wartkim strumieniem. Tommaso rusza z powrotem do klasztoru, przyciskając tabliczkę do piersi. Z każdą chwilą więź łącząca go ze srebrnym artefaktem staje się coraz silniejsza. Przez chwilę wyobraża sobie matkę wręczającą dziecku pierwszą zabawkę. Ta myśl przynosi mu ukojenie.

W wielu oknach migocze światło świec. Jego współbracia pilnie wypełniają poranne obowiązki bądź poświęcają się nauce. Kiedy wspina się po zacienionych schodach i wchodzi w korytarze klasztoru, w głowie dźwięczy mu ostrzeżenie matki:

Jakkolwiek wiadomość ta sprawi Ci ból, uwierz mi, że najlepiej dla Ciebie, dla niej i wszystkich wokół będzie, jeśli nie będziesz jej szukał. Obowiązki, które Wam pozostawiam, łatwiej będzie Wam wypełnić, jeżeli nigdy się nie spotkacie.

Tommaso postanawia w końcu zrobić to, co powinien był zrobić od razu po otwarciu skrzynki. Udaje się do gabinetu opata.

Ręce drżą mu ze zdenerwowania, gdy puka do potężnych, dębowych drzwi.

- Wejść.

Tommaso naciska klamkę z czarnego kutego żelaza i wchodzi do środka. Opat jest okrągłym mężczyzną pod sześćdziesiątkę, z rzadkimi, czarnymi włosami i krzaczastymi, szarymi brwiami. Pochyla się nad olbrzymim biurkiem, na którym w centralnym punkcie stoi solidny, mosiężny krucyfiks i dwa lichtarze.

Tommaso dostrzega, że opat pracuje nad oficjalnym listem na kosztownym białym papierze, opatrzonym znakiem wodnym w kształcie gołębia. Zapewne przeznaczonym dla sądu kościelnego lub kancelarii diecezji. Zgodnie z protokołem listy przełożonego klasztoru muszą być spisywane gęsim piórem i czarnym atramentem.

Po kilku minutach opat odkłada pióro i podnosi wzrok.

- Tak, bracie? W czym mogę ci pomóc?

Tommaso podchodzi do biurka.

- Oddając mnie na wychowanie do klasztoru, moja matka pozostawiła mi w spadku skrzynkę. Otworzyłem ją i znalazłem w środku to. - Kładzie srebrną tabliczkę na blacie.

Opat odchyła się na krześle. Zaplata ramiona na piersi i patrzy na Tommaso wzrokiem domagającym się szerszego wyjaśnienia.

- Wydaje mi się, że wykonano ją ze srebra. Sądzę, że to jakaś rodzinna pamiątka. Ale zauważyłem też dziwne zapiski na odwrocie, zaś awers przedstawia jakiegoś starożytnego kapłana lub wróżbitę. Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o tej tabliczce i o tym, dlaczego moja matka mi ją pozostawiła.

Opat sięga przez biurko i przysuwa tabliczkę do siebie.

- Pozostaw ten przedmiot u mnie, bracie. Zbadam go w twoim imieniu.

Tommaso przypomina sobie słowa matki: *Nigdy nie spuszcza* go z oka.

- Z całym szacunkiem, wielbny ojcze, życzeniem mojej matki było, abym nigdy się z nim nie rozstawał.

Opat uśmiecha się uspokajająco.

- Będzie u mnie bezpieczny, moje dziecko. Trudno będzie mi go zbadać, jeżeli cały czas będziesz kurczowo przyciskał go do piersi.

Tommaso jest zakłopotany, ale wciąż z niechęcią myśli o oddaniu tabliczki.

- Z radością pokażę ci tę tabliczkę, wielbny ojcze, ale wolałbym mieć ją przy sobie. Być może zechcesz tylko ją dla mnie zbadać?

Opat jest wyraźnie poirytowany.

- Bracie, gdzie twoja wiara? - Rzuca na Tommaso potępiające spojrzenie. - Brak wiary we mnie to brak wiary w Pana naszego! Ten przedmiot zatruwa twoje myśli. Natychmiast mi go oddaj.

Tommaso wciąż się waha.

Opat wstaje z krzesła i obchodzi biurko, stając twarzą w twarz z młodym mnichem.

- Przychodzisz tu, prosząc mnie o pomoc, a w zamian oferujesz mi tylko zniewagę i nieufność. A teraz oddaj mi tę rzecz albo wyznaczę ci pokutę aż do szabatu.

Tommaso ma wielką ochotę się sprzeciwić i wyjść z gabinetu z tabliczką. Nie ma jednak odwagi przeciwstawić się woli opata. Z niechęcią oddaje tabliczkę opatowi, który odwraca się i wraca za biurko.

- Teraz zajmij się swoimi obowiązkami. Dobrego dnia, bracie.

Tommaso kiwa głową i wychodzi. Wie, że popełnił błąd. Postąpił wbrew woli matki. I wie również, że musi to naprawić.

ROZDZIAŁ 45

Czasy współczesne
Wyspa Mario, Wenecja

Zauważenie” przez Toma Tiny Ricci niemalże doprowadza do odwołania całej akcji żandarmerii. W końcu, ku rozbawieniu wielu osób, Tom przyznaje, że pomylił byłą kochankę z bardzo atrakcyjną, ale głupią jak but malarką Lizą, która akurat pełniła dyżur w kuchni.

Anceletti jest w swoim żywiole. Zarzuca Vito i Valentinę groźbami kolejnych pozwów, aż w końcu major Carvalho uprzejmie przeprosza miliardera za najście i wycofuje większość swoich ludzi z dworu.

W środku zostaje tylko Valentina. Towarzyszy jej Franco Zanzotto, szef ochrony, który budzi w niej lekkie przerażenie. Dokładnie tak, jak to sobie zamierzył.

Franco nienawidzi glin. Nienawidził ich przez całe życie. Gliny były zaprzysięgłymi wrogami już wtedy, kiedy był dzieckiem, i nic się pod tym względem nie zmieniło.

Zanzotto otwarcie rzuca ładnej pani porucznik lubieżne spojrzenia. Oblizuje wzrokiem jej ciało, od zgrabnych nóg po smukłą szyję.

Idą długim, wyłożonym boazerią korytarzem. Valentina usiłuje ignorować ochroniarza. Musi skupić się na ważniejszych sprawach.

Na końcu korytarza znajdują się potężne łukowate drzwi z dębowego drewna.

- Proszę je otworzyć.

Zanzotto posyła jej perwersyjny uśmiech.

- Z przyjemnością.

Z ciężkiego pęku kluczy wybiera odpowiedni i otwiera mosiężne kłódki na górze i dole drzwi. Odsuwa żelazne zasuwki i otwiera zamki. Wchodzi do hangaru na łodzi.

Valentina jest zaskoczona jego rozmiarami.

- Stop! - woła do funkcjonariuszy podążających za nią. - Najpierw fotograf.

Szczupła, niższa od Valentiny kobieta z krótkimi, ciemnymi włosami i wesołymi brązowymi oczami otwiera metalowy futerał i wyjmuje profesjonalnego nikon.

Zanzotto zbliża się do Valentiny i nachyla do jej ucha.

- Chciałbym zrobić ci kilka zdjęć. Takich, których oboje nigdy byśmy nie zapomnieli.

Valentina nie potrafi powstrzymać grymasu obrzydzenia.

- Nie wątpię, że byś chciał. - Jego obecność coraz bardziej działa jej na nerwy. - Pospiesz się, Mario, powinnaś już dawno mieć przygotowany sprzęt!

Fotografka robi zakłopotaną minę.

Szef ochrony ponownie pochyla się do Valentiny.

- Kiedy tu skończycie, może zabrałbym cię do domu, żebyś mi zapozowała? A potem ja tobie?

Oddech Franco śmierdzi czosnkiem. Valentina wachluje się dłonią.

- A może byś się zamknęła i pozwoliła mi pracować? Czy wolisz, żebym cię aresztowała za utrudnianie śledztwa?

Zanzotto rzuca jej mordercze spojrzenie, ale posłusznie się wycofuje. Suka. Sztywna, policyjna suka.

Valentina tymczasem podchodzi do panelu monitorów. Są wyłączone.

- A to co? Czemu nie działają?

Franco wzrusza ramionami.

Valentina zagląda pod biurko i wsuwa wtyczki z powrotem w gniazdko. Ekranu rozjaśniają się z sykiem.

- Zrób tu kilka ujęć, Mario. Ogólny widok całości, a potem poszczególne monitory.

Idzie dalej, zastanawiając się, po co komu ekrany monitoringu w hangarze na łodzi. Zrozumiałe byłyby monitory pokazujące wnętrze hangaru zainstalowane na zewnątrz. Ale po co umieszczać w środku ekrany pokazujące otoczenie? Valentina krąży po hangarze. Wszędzie walają się zwoje lin, kanistry po paliwie i składane, metalowe skrzynki na narzędzia. Na jednej ze ścian znajduje się szeroka, perforowana płyta kartonowa, obwieszona różnymi kluczami. Poniżej stoi stół warsztatowy, na którym leży - Valentina staje jak wryta - piła łańcuchowa. Przed oczami stają jej poćwiartowane ciała z łaguny. Rozgląda się za funkcjonariuszem odpowiedzialnym za zbieranie dowodów.

- Zapakuj wszystko do toreb i dokładnie opisz, zwłaszcza piłę. Tylko pamiętaj, żeby nie dotykać łańcucha.

Młody żandarm zabiera się do pracy. Tymczasem Valentina stara się powściągnąć emocje.

Na wodzie kołysze się kilka łodzi. Motorówka warta dziesięć razy więcej, niż jej mieszkanie - najnowocześniejszy model Czeers MkI, napędzany energią słoneczną. Gumowy ponton z silnikiem zaburtowym o mocy dostatecznej, żeby rozpędzić lokomotywę. Drewniana wiosłówka, zapewne do wypraw na ryby.

Zabawki sławnych i bogatych.

W pewnym momencie coś przyciąga jej wzrok. Gondola. Smukła, czarna sylwetka przypomina konika morskiego. W niczym nie ustępuje urodą motorówkom, ale wydaje się tu jakby nie na miejscu.

Valentina przywołuje do siebie funkcjonariusza z dochodzeniówki.

- Zaczynjcie od tego. Jak tylko Maria skończy robić te cholerne zdjęcia, macie sprawdzić tę gondolę na wylot: krew, włókna, DNA, włosy, odciski palców. Wszystko.

CAPITOLO XLIV

Rok 1777

Laguna Wenecka

Droga powrotna przez wzburzone, stalowoszare wody laguny dłuży się niemiłosiernie. Łódź, którą płyną, jest drugą największą jednostką należącą do klasztoru. Płaskodenna, wielokrotnie już naprawiana *bragozzo*, ofiarowana mnichom przed prawie pięciu laty, jest nieco większa od łódki, którą Tommaso wyprawia się na swoje poranne eskapady.

Czterdziestoletni brat Maurizio, choć Wenecjanin z urodzenia, jest marnym żeglarzem. Nawet krótka podróż do miasta przyprawia go o błądź i mdłośc.

Tommaso nie zwraca uwagi na niewygody starszego mnicha. Jego myśli całkowicie pochłaniają opat i srebrna tabliczka. Zastanawia się, czy jeszcze kiedykolwiek ją zobaczy. Obawia się, że na własne życzenie utracił ostatnie ogniwo łączące go z nieżyjącą matką i nieznaną siostrą, i odczuwa z tego powodu coraz silniejsze wyrzuty sumienia.

Steruje na północ i dalej nieco na wschód, do ujścia Rio Dell'Arsenale, biegnącej aż do stoczni. Budowniczo wie okrętów w Wenecji mają ręce pełne roboty. Co miesiąc w stocznjach kończy się budowa zawrotnej liczby dwustu jednostek. Niebo wokół pochylni jak zwykle porasta gęsty las masztów.

Wpływają do głównego basenu stoczni, skąd widać już majestatyczne bastiony i olbrzymie greckie lwy, strzegące Porta Magna, głównej bramy weneckiego Arsenału. Tommaso cumuje łódź w długim cieniu, rzucanym przez stojącą w oddali, prawie ukończoną *polacrę*. Pełnomorski okręt zostanie zapewne włączony do służby we flocie wojennej, patrolując szlaki handlowe i chroniąc weneckie statki przed tureckimi i dalmatyńskimi piratami. Długie, wykonane z jednego pnia maszty niemal sięgają chmur, W oddali widać trójżaglową *trabaccolo*, halsującą na pełne morze. Na rufie okrętu dumnie powiewa czerwona flaga ze skrzydlatym lwem - godłem Republiki Weneckiej.

Tommaso rozgląda się ciekawie dookoła, pomagając pobludnemu Maurizio wydostać się z łodzi.

- Czy na pewno masz dość sił, żeby pójść do miasta, bracie? Jeśli wolisz, możesz zostać tutaj, sam zajmę się zapasami.

Na twarzy starszego mnicha pojawia się ulga.

- Będę ci bardzo wdzięczny za trochę czasu dla siebie, Tommaso. Myślę, że pospaceruję, aż słabość ustąpi.

- Naturalnie.

Rozstają się grzecznym ukłonem, umawiając się za dwie godziny na pobliskim placu. Maurizio zawsze choruje w drodze z klasztoru do miasta i niemal zawsze potrzebuje czasu, żeby dojść do siebie. Zazwyczaj obejmuje to wizytę u pewnego karczmarza, który łądzi się,

że napędzając regularnie żołądek Maurizio, zapewni sobie miejsce w rajku.

Gdy starszy mnich znika za rogiem, Tommaso rusza po zapasy. W stocznicach mieszczą się liczne warsztaty szkodnicze budujące statki na potrzeby floty i prywatnych armatorów, a także dziesiątki mniejszych interesów, między innymi powroźników i handlarzy drewnem. Tommaso nie ma pewności, ilu dokładnie ludzi pracuje w stocznicach, ale wie, że jest ich ponad dziesięć tysięcy. W większości dobrych chrześcijan, chętnych dopomóc biednemu mnichowi. Wśród darów zebranych dzisiaj znalazło się wiadro rozmaitych gwoździ, kilka wysezonowanych desek, niewielka beczułka smoły do uszczelniania oraz kilka łokci żaglowego płótna, które posłużą do różnych celów, między innymi do naprawy klasztornej łodzi.

Mając trochę czasu na zbyciu, Tommaso postanawia zbadać historię srebrnej tabliczki. Ubrojony w swój szkic idzie na zachód, mijając kościół San Francesco della Vigna i zaglądając po drodze do wszystkich napotkanych galerii.

Bez rezultatu. Nikt nie potrafi mu nic powiedzieć. Odwiedza jubilerów, malarzy i artystów między Scuola Grande di San Marco i kościołem Santa Maria Formosa.

Każdy służy mu dobrą radą:

- Zajdź do Bonfantego.
- Pokaż to staremu Carazoniemu na moście.
- Odwiedź złotnika Lukę, ma warsztat na placyku za bazyliką.

Ale nic z tego nie wynika. Rozczarowany i zmęczony wraca do Arsenału. Nigdzie nie widać Maurizio.

Tommaso przysiadł na murku obok studni, przy której się umówili. Jak na ironię w Wenecji woda pitna jest cennym towarem, choć miasto leży praktycznie na morzu. Chce mu się pić, ale nabranie

wody ze studni bez pytania zostałyby odczytane jako niegrzeczność. Z okien po wszystkich stronach placu wyglądają zaciekawione twarze. Młoda kobieta, rozwieszająca pranie na sznurku, uśmiecha się do niego. Jakaś staruszka zamyka zielone, drewniane okiennice, wyblakłe i wypaczone od słońca. Wreszcie pojawia się młody człowiek o oliwkowej skórze, który wyciąga ze studni wiadro i cynowy kubek na sznurku.

- Wody, bracie? Wygląda brat, jakby umierał z pragnienia.

Tommaso nawet nie próbuje ukryć ulgi.

- Jest pan bardzo uprzejmy. *Molte grazie*.

Opróżnia kubek. Młody człowiek bez pytania napełnia go ponownie.

- Nazywam się Efran. Mieszkam tu. Czy potrzebuje brat dokądś się dostać?

Tommaso ociera usta dłonią.

- Jestem brat Tommaso z klasztoru na San Giorgio. Nie, nie zgubiłem się, ale dziękuję za troskę. Szukam rozwiązania pewnej zagadki w prywatnej sprawie, ale jak dotąd nikt nie potrafi mi pomóc.

Efran śmieje się.

- Sądziłem, że właśnie po to ludzie zwracają się do Boga. Żeby udzielił im odpowiedzi.

- Istotnie, ale wydaje mi się, że Pan nasz chce, żebym rozwiązał tę łamigłówkę samodzielnie.

Tommaso wyjmuje szkiełko z kieszeni zewnętrznego habitu i rozwija go.

- Mówią, że Wenecja jest pępkiem świata sztuki. Cały dzień szukałem uczonych, a znalazłem jedynie sprzedawców. Muszę znaleźć kogoś, kto będzie coś wiedział o artefaktach lub starej, srebrnej biżuterii, takiej jak to.

Efran ogląda szkic, opierając się plecami o murek studni.

- Jak duża jest ta rzecz? Jak wisior czy większa?

Tommaso pokazuje mu lewą dłoń.

- Od czubków palców do nadgarstka, szeroka na mniej więcej cztery palce.

Efran jest pod wrażeniem.

- Nie byle błyskotka. Pochodzi z kościoła? Z ołtarza może?

Młody mnich robi urażoną minę.

- Przecież powiedziałem, że to sprawa prywatna. Ten przedmiot pozostawiono mi w spadku.

- Proszę o wybaczenie, bracie, nie chciałem brata urazić. Starałem się jedynie ustalić pochodzenie tego artefaktu.

- Nie chowam urazy. Zapewniam pana, że przedmiot ten należy do mnie, nie do kościoła.

- Mam przyjaciela w getcie. - Efran zerka niepewnie na mnicha. - Bardzo uczonego żyda. Jego rodzina od lat zajmuje się handlem cudzoziemskimi antykami i ciekawostkami. Wiele z nich znajduję dla niego tu, w dokach. - Stuka palcem w szkic. - Być może Ermanno będzie coś o tym wiedział. Powiedział brat, że ten przedmiot wykonany jest ze srebra?

- Tak sędzę. Wydaje mi się jednak niewłaściwe, żeby chrześcijański mnich szukał pomocy u żydowskiego kupca.

Efran przewraca oczami.

- Czyż nie jesteśmy przede wszystkim Wenecjanami, a dopiero potem chrześcijanami i żydami?

Z zacienionej alejki po drugiej stronie placu niespiesznym krokiem wyłania się Maurizio. Wiedziony nagłym impulsem Tommaso zamyka palce Efrana na szkicu.

- Wobec tego będę bardzo wdzięczny, jeśli pokaże pan ten rysunek swojemu żydowskiemu przyjacielowi. Proszę tylko o dyskrecję. -

Zerka w stronę Maurizio, który właśnie wchodzi na plac. - To mój brat z klasztoru. Bardzo proszę, niech pan nie wspomina przy nim o tej rozmowie.

Efran chowa papier do kieszeni i natychmiast wchodzi w rolę uprzejmego mieszkańca, częstującego wodą spragnionego mnicha.

- Życzę zatem dobrego dnia i bezpiecznej podróży, bracie Tommaso. - Wskazuje dłonią jedno z okien. - Mieszkam na drugim piętrze. Nietrudno trafić, na oknie jest tylko jedna brązowa okiennica. Druga się połamała, od dawna zamierzam ją naprawić. Jeżeli będzie brat w okolicy, proszę o mnie zapytać, przyniosę bratu wody.

Efran znika, zanim do studni dociera Maurizio. Tommaso zabiera starszego mnicha z powrotem do *bragozzo*, dręczony nieprzyjemną myślą, że wąpiąc w opata, wplątuje się coraz bardziej w gęstą sieć niedopowiedzeń i kłamstw.

ROZDZIAŁ 46

Czasy współczesne

Komenda główna żandarmerii, Wenecja

Ekipa Carvalho zbiera się na wieczorną odprawę w zastawionym pudełkami pizzy i puszkami piwa gabinecie majora. Atmosfera jest pełna napięcia jak zerwany kabel trakcyjny w środku burzy.

Każdy chce mówić pierwszy. Wszyscy mają nowe przecucia, świeże teorie i dręczące wątpliwości, którymi koniecznie muszą podzielić się z pozostałymi.

Valentina wyciąga stertę fotografii z hangaru.

- Popatrzcie na te łodzie. To jest Czeers. Kadłub z włókna węglowego. Napęd z kolektora słonecznego. Prędkość trzydzieści węzłów.

Vito marszczy brwi.

- A mówisz nam o tym, bo...?

- Bo ona tam pasuje. Właśnie o to mi chodzi - wyjaśnia Valentina.

- Po miliardrze można się spodziewać pływającej zabawki napędzanej energią słoneczną. - Ze stosu wyjmuje kolejne fotografie. - Pasuje również ten ponton, wiosłówka, a nawet ten ścigacz, który wygląda jak UFO. Ale tego nie kupuję... - Rzuca na biurko zdjęcie smukłej, czarnej gondoli. - Ta kompletnie nie przystaje do reszty.

- Bo? - pyta Rocco Baldoni, przyglądając się fotografii. - Wielu bogatych mieszkańców Wenecji kupuje gondole, remontuje i trzyma dla szpanu. Niektórzy sadzą w nich kwiatki.

- Bzdury - warczy Valentina. - Mario nie jest jakimś stukniętym ogrodnikiem.

- Ależ jest - protestuje Vito. - Jest stuknięty, i to zdrowo. Cała ta jego wyspa to sen wariata.

Valentina rozkłada ręce w geście irytacji.

- Ale tam nie było kwiatków, prawda? - W jej głosie słychać sarkazm. - Ta gondola była w pełni sprawna. W każdej chwili mogła wypłynąć.

- I co w związku z tym? - dopytuje się Vito, wcielając się w rolę adwokata diabła. - Twierdzisz, że facet wykorzystuje gondolę, żeby rozplywać się w dumie? Że podpłynął nią do motorówki Antonia i podłożył materiały wybuchowe? Albo że morduje turystów i zwozi

ich na swoją fantastyczną wyspę, żeby ich kroić na kawałki? - Major posyła jej współczujące spojrzenie i wzdycha. - Trochę zbyt naciągana ta teoria, Valentino. Nie zapominajmy, że Antonio rozpracowywał na tej wyspie sprawę handlu narkotykami. Sądzę, że w gondoli możemy znaleźć co najwyżej ślady prochów.

- Przy tych milionach turystów przewalających się przez Wenecję zdziwiłbym się, gdybyśmy ich nie znaleźli - wtrąca Rocco.

- Tylko że to nie jest łódź turystyczna, kretynie! - odparowuje podniesionym głosem Valentina. - To prywatna jednostka.

- Dość! - wrzeszczy Vito.

Krzyki podwładnych cichną. Major rozmasowuje sobie skronie. Wszyscy są zmęczeni i zestresowani. Widzi to w ich oczach. Myśli o swojej żonie, o jej chorobie i o tym, jak bardzo boi się zostawać sama. Czuje się winny, że go przy niej nie ma.

- Starczy na dziś - oznajmia Vito po chwili. - Dopilnujcie, żeby wszystko, co ma trafić do laboratorium, trafiło do laboratorium, a potem do domu i spać.

Valentina zdaje się go nie słyszeć i nie dostrzegać, że schował już długopis do kieszeni i teraz rozgląda się za kluczami.

- A co z tymi monitorami? - Podsuwa mu kolejne zdjęcia. - Zainstalowano je wewnątrz hangaru. Nie są podłączone do głównej sieci, tylko do osobnego systemu monitoringu, na który nie stać byłoby nawet tych gości z „CSI: Kryminalne zagadki Nowego Jorku”.

- Na miłość boską, Valentino, ten facet jest miliarderem! - wybucha Vito i od razu tego żałuje. Z niejakim trudem zmusza się do spokojniejszego tonu: - Boi się, żeby ktoś go nie uprowadził. Na jego miejscu zainstalowałbym kamery i monitory wszędzie, gdzie się da. Prawdę mówiąc, bałbym się iść do kibla bez trzech ochroniarzy. A teraz jazda do domu.

Vito wstaje, ale przed drzwiami odwraca się jeszcze do Valentyny. Wie, że za ostro ją potraktował.

- Słuchaj, to są wszystko niezłe poszlaki. Mamy więcej tropów, niż się spodziewałem, ale to są mimo wszystko tylko tropy. W łóżkach kilku z tych hipisów znaleźliśmy niewielkie ilości narkotyków. Haszyszu, ecstasy, poppersów i speeda. Za mało, żeby wsadzić kogoś za kraty, ale dość, żebyśmy mogli wejść tam jeszcze raz. Gondola jest interesująca, ale będzie miała znaczenie tylko wtedy, gdy dochodzeniówka powiąże ją z naszymi ofiarami. A na razie takich dowodów nie mamy. - Vito rozgląda się po pokoju i uświadamia sobie, że nie może jeszcze opuścić swojej ekipy. Odprawa jeszcze się nie skończyła. No cóż, Maria będzie musiała poczekać. - Dobra, jeszcze dziesięć minut. - Major wraca do swojego biurka. - Tom, przypomnij nam to, o czym mówiłeś mi po drodze, o tych satanistach.

Tom szybko zbiera myśli, strzelając złożonymi palcami. Jego zakrystian w Los Angeles zawsze miał do niego pretensje o ten denerwujący zwyczaj.

- Merea Teale, ta wytatuowana kobieta, która twierdzi, że jest asystentką Mario, powiedziała mi, że sataniści odprawiali swoje rytuały na wyspie. Wierzę jej. W pokoju, do którego wszedłem, niewątpliwie odbyła się czarna msza.

- Masz na to jakiś dowód? - przerywa Vito.

- Powiedziała mi o tym.

- To nic nie znaczy. Pytam, czy masz jakiś dowód?

- Na cokole były ślady czarnego wosku.

Vito wybucha śmiechem.

- Bez żartów, Tom! Nie da się udowodnić obecności Antychrysta za pomocą śladów czarnego wosku. Setki tysięcy ludzi kupuje kolorowe świece, również czarne. Potrzebujemy solidnego, dającego się

naukowo zweryfikować dowodu, wskazującego na rzeczywistą zbrodnię.

- Nauka to nie wszystko - odpowiada ostro Tom.

- Czyżby? - W głosie Vito pojawia się zniecierpliwienie. - Twierdzisz, że religia byłaby lepsza? - Podnosi słuchawkę telefonu. - Że powinienem po prostu zadzwonić do Boga? Tego dobrego faceta na górze, który w ogóle nie powinien był dopuścić do tych cholernych morderstw? Tego samego, który akurat odwrócił wzrok, kiedy zabijano Monikę i Antonia? Tego, który skazuje mnie na siedzenie tu z wami, podczas gdy moja chora żona zastanawia się, gdzie się podziewam?

Vito przerywa swoją tyradę. Nie może uwierzyć, że powiedział wszystko na głos. Zwłaszcza to ostatnie zdanie. Chyba jest bardziej zmęczony i zestresowany, niż mu się wydawało. Powoli masuje sobie skronie. W gabinecie panuje ogłuszająca cisza.

W końcu odzywa się Tom:

- Rozumiem twoją złość, Vito. I twoją potrzebę twardych faktów. Uwierz mi, że naprawdę rozumiem, dlaczego wściekasz się na Boga. Ale informacje, które mamy, choć może nie da się ich zweryfikować naukowo, są równie jednoznaczne, jak wyniki testu DNA. - Tom zaczyna odliczać na palcach: - Po pierwsze, Monika Vidic otrzymuje sześćset sześćdziesiąt sześć ciosów nożem - bardzo znacząca i symboliczna liczba. Po drugie, ktoś przetransportował jej ciało kanałami i nikt niczego nie zauważył - bo jak mógł zauważyć, skoro w tym mieście są tysiące gondoli? Po trzecie, sataniści zbezczeszcili La Salute, a Mera Teale sama przyznała, że w komunie są wyznawcy Szatana.

- Przypadki - odpowiada Vito pustym głosem.

- Powinniśmy przynajmniej zidentyfikować i przesłuchać tych satanistów - wtrąca Rocco.

- Jasne, że powinniśmy - warczy major. - Ale dopiero wtedy, kiedy dostaniemy coś od dochodzeniówki. Tom, dokończ, proszę.

Były ksiądz zerka na Valentine w nadziei, że to, co powie, nie zdenerwuje jej.

- Wreszcie mamy zabójstwo Antonia Pavarottiego, który pracowywał pod przykryciem siatkę narkotykową na Wyspie Mario. Dlaczego zginął? To musiało mieć związek z czymś, co się działo w tym dworze. A wiemy, że odbywały się tam rytuały satanistów.

Vito gapi się w przestrzeń. Kiedyś w żartach stwierdził, że w takich chwilach przypomina George'a W. Busha: z pozoru patrzy bezmyślnie w ścianę, ale w rzeczywistości przetwarza w myślach informacje i stara się dojść ze wszystkim do ładu.

- Mam w Watykanie zaprzyjaźnionego księdza, szuka dla mnie informacji o Etruskach i...

- Dość! - przerywa Vito, podnosząc ostrzegawczo dłoń. - Żadnych Etrusków, w każdym razie nie dzisiaj.

Tom poddaje się. Z daleka widać, że major jest na skraju wytrzymałości.

Vito dosuwa krzesło do biurka.

- Wyspa Mario ma być dzisiaj pod obserwacją. Jeśli ktoś tam choćby splunie do wody, to nasi ludzie mają tam być i pobrać próbki. Jutro będziemy ścigać dochodzeniówkę, żeby dali nam wszystkie raporty. - Major spogląda na Rocco, Valentine i Toma. - Potem się spotkamy i będziemy wałkować temat Etrusków i satanistów. Zobaczymy, czy to tylko nieszkodliwi przebierańcy, czy coś poważniejszego. A na razie powinniśmy wszyscy trochę się przespać.

CAPITOLO XLV

Rok 1777

Ghetto Nuovo, Wenecja

Oczy Ermanno świecą się, gdy rozkłada na stole szkic srebrnej tabliczki.

- Mnich, powiadasz? Dał ci to zwykły braciszek?

Efran zdejmuje z siebie nowy zielony płaszcz z bogato szamowanym kołnierzem i składa go na oparciu krzesła starszego niż on sam.

- Benedyktyn. Czarny habit i sama niewinność na twarzy. Powiedział, że jest z San Giorgio.

Ermanno tymczasem przebiega palcami po rysunku, jakby dotyk miał mu pomóc w rozwiązaniu zagadki.

- Fascynujące. Sądziś, że ten przedmiot należy do niego? Czy zwyczajnie go ukradł i teraz próbuje sprzedać?

Efran wzrusza kościstymi ramionami.

- Twierdzi, że to jego własność, ale któż to może wiedzieć? Ważne jest to, że ta rzecz może być coś warta, a my mamy okazję dostać ją w swoje ręce.

Ze stołu patrzy na nich wykrzywiona w bólu twarz wróżbity.

- Czy jednak istotnie chcemy ją dostać? - wąpi Ermanno. - Na niektórych greckich i egipskich artefaktach ciążyą klątwy. Składano je wraz ze zmarłymi do grobów, aby towarzyszyły im w życiu pozagrobowym. Kto ukradnie coś takiego, może za chwilę mieć na głowie całą hordę demonów i duchów.

- Jedyne duchy, w jakie wierzę, mieszkają na dnie butelki z winem. Poza tym nasz doczesny żywot jest na tyle nędzny, że nie mam ochoty przejmować się jeszcze życiem pozagrobowym.

Efran mówi dalej, ale Ermanno przestaje go słuchać. Wpatruje się intensywnie w litery na rysunku.

- Sądzę, że ten przedmiot pochodzi z czasów etruskich. Litery wyglądają na etruskie.

- Sprzed nastania Rzymu?

- Bardzo dobrze. Etruskowie żyli wiele wieków przed Rzymem, osiem lub dziewięć stuleci przed Chrystusem. Ale ten przedmiot nie wygląda na tak stary. Litery wydają mi się nieco późniejsze.

Efran zaciera ręce.

- Bardzo pouczające. Ale przejdźmy do sedna: ile to może być warte?

- Ty filistrze! Nie sposób odgadnąć wartości z rysunku. Czy mnich powiedział, że ta tabliczka była z czystego srebra?

Efran usiłuje przypomnieć sobie dokładne słowa brata Tommaso.

- Nie sądzą. Powiedział tylko, że jest srebrna. - Wyciąga rękę. - Mniej więcej tak duża, jak moja dłoń.

- Etruskowie wydobywali srebro. W Italii nie ma kopalń złota, choć z czasem złoto trafiło na ofiarne ołtarze.

Efran się nudzi. Zależy mu wyłącznie na poznaniu wartości tabliczki. Potem będzie musiał jakoś przekonać mnicha, żeby mu ją oddał. Wstaje i pańskim gestem narzuca na siebie płaszcz.

- Zostawiam ci ten szkic. Daj mi znać, jeśli rozwiążesz tajemnice tego przedmiotu i jego ceny.

Ermanno nawet nie zauważa wyjścia przyjaciela. Pochyla się nad szkicem w skupieniu. Przekopuje się przez swoją bibliotekę,

wyszukując wszystkie księgi poświęcone starożytnym dziełom sztuki i artefaktom religijnym.

Nie zwraca uwagi na rodzinę, która krząta się po domu, załatwiają swoje sprawy. Domownicy spożywają obiad i kolację, i wreszcie rozchodzą się do łóżek, rozbawieni jego zaabsorbowaniem.

Wreszcie, wertując kolejne książki, Ermanno wpada na ślad tabliczki. Jest już pewien, że litery pochodzą z czasów etruskich. Odnajduje nawet sugerowany alfabet, opracowany przez dawnych uczonych, ale nie jest w stanie zrozumieć żadnego z zapisanych przez nich słów. Jego oczy ogarnia coraz większe zmęczenie, a sam Ermanno dochodzi do wniosku, że badacze dziejów etruskich przeczą sobie w swoich twierdzeniach na temat korzeni języka. Niektórzy, jak dominikański mnich Annio da Viterbo, twierdzą, że mowa Etrusków wywodzi się z tego samego źródła, co język hebrajski, inni znowu łączą ją z greką, a jeszcze inni sugerują, że źródeł należy szukać w Lidii w Azji Mniejszej.

To jednak w żaden sposób nie pomaga zmęczonemu Ermanno. Odkłada szkic na bok i wertuje kolejne książki w poszukiwaniu rysunku zbliżonego do tego, który sporządził mnich. Po niedługim czasie okazuje się, że od początku miał rację - rysunek przedstawia augura, wróżbitę, zwanego również haruspikiem.

Gdy pierwsze światło dnia przebija się przez brudne szyby domu Buchbinderów, kolor oczu Ermanno przypomina surowe mięso. Boli go szyja i z radością myśli o wyciągnięciu się na łóżku.

Powoli kartkuje ostatnią księgę.

I nagle odnajduje to, czego szukał całą noc.

W zakurzonej i zniszczonej księdze wypełnionej mitami i legendami natrafia na historię Tabliczek z Atmanty - opowieści o ślepym augurze, niejakiem Teukrosie i jego żonie rzeźbiarce, Tecji.

ROZDZIAŁ 47

Czasy współczesne
Hotel Rotoletti, Wenecja

Druga nad ranem. Łomotanie do drzwi wyrywa Toma z głębokiego snu. Wygrzebuje się z łóżka. Po gwałtownym przebudzeniu serce wali mu jak młotem.

- Kto tam?

Nikt nie odpowiada. Znowu łomot. Resztki snu znikają. Tom czuje narastającą adrenalinę. Życie w Compton nauczyło go nieustannej czujności. Szybkim ruchem otwiera drzwi, przygotowany na potencjalny atak.

Do środka wpada Valentina Morassi. Potyka się o próg. Tomowi ledwo udaje się ją złapać. Czuć od niej alkohol. Prawdopodobnie białe wino. Włosy ma w kompletnym nieładzie. Z rozmazanym makijażem przypomina pandę.

- W porządku. Ostrożnie. - Przytrzymuje ją, kopnięciem zamykając drzwi.

Valentina coś bełkocze, po czym chwiejnym krokiem podchodzi do krawędzi łóżka.

Tom obserwuje ją uważnie, obawiając się, żeby się nie przewróciła, i wtedy przypomina sobie, że jest ubrany tylko w czarne bokserki, które kupiła mu Tina.

- Przepraszam na chwilę. - Pomaga jej usiąść na łóżku, następnie szybko łapie spodnie z krzesła i pospiesznie wkłada na siebie. - Wszystko w porządku?

Valentina uśmiecha się słabo, wpatrując się w swoje kolana.

Zdecydowanie nie jest w porządku. I to bardzo. Tom rozgląda się za szklanką. Nalewa wody i podaje ją dziewczynie.

- Wypij, to pomoże.

Valentina bierze mały łyk, ale potem tylko trzyma przed sobą szklankę.

- Przepraszam... przepraszam, że cię obudziłam. Po prostu... Nie mogę... Być sama... Dzisiaj. - Nagle robi się czerwona jak piwonია.

Tom siada przy niej i podnosi szklankę do jej ust.

- Nie ma sprawy. Dalej, musisz to wypić. Nie mam kawy, więc to jedyny sposób, żebyś trochę wytrzeźwiała.

Odpycha jego dłoń i powoli kręci głową.

- Nie chcę być trzeźwa. - Jej spojrzenie przepelnia rozpacz. - Ja wariuję, Tom. To tak strasznie boli. Wydaje mi się, że za chwilę rozpadnę się na milion kawałków.

Tom wyjmuję z jej rąk szklankę, stawia na podłodze. Potem otacza Valentinę ramieniem.

Dziewczyna przyciska twarz do jego nagiego ramienia, jakby ulgę sprawiało jej samo dotknięcie drugiej osoby. Tom obejmuje ją i przytula do siebie.

Najpierw pojawia się ciche westchnienie, jak powiew bryzy. A potem następuje długi, głęboki szloch. Valentina przywiera do niego z całej siły. Jej ciałem wstrząsają spazmy. Napięte jak postronki mięśnie bolą. Kiedy płacz ustaje, Tom szlachetnie odstępować jej swoje łóżko na noc i wychodzi na krótki spacer, żeby dać jej chwilę dla siebie.

Niebo jest smolście czarne. Nigdzie nie widać księżycy. Gwiazdy lśnią jak diamenty rozsypane na czarnym aksamicie. Ulice są wymarłe, panuje głęboka cisza. Wenecja przypomina teraz opuszczony plan filmowy. Tom spaceruje brzegiem kanału. Druga strona ginie w

ciemnościach. Rozmyśla o Valentinie, o jej żałobie i niebezpieczeństwach, które ją czekają, gdy będzie musiała w końcu uporać się ze stratą, stykając się jednocześnie na co dzień ze śmiercią w pracy. Przez chwilę myśli też o Tinie. O tym, jak go zdradziła, ale też o tym, jak bardzo mu jej brakuje, o czym najdobitniej świadczyło złudzenie na Wyspie Mario. W jego myślach pojawia się też inna kobieta. Mera Teale, wyuzdana asystentka miliardera.

Kiedy wraca do hotelu, Valentina już śpi. Naciąga kołdrę na jej ramiona i wyłącza światło. Zabiera ze stolika telefon komórkowy i ponownie wychodzi.

Mera Teale. Wyszczekana fotografka z tatuażem w kształcie łyzy, identycznym jak u pewnego skazańca w celi śmierci, którego poznał ponad dziesięć lat wcześniej w San Quentin. Spędził tam dwa miesiące, słuchając spowiedzi zagubionych dusz, uwięzionych w czyścicu apelacji, który dawał im nadzieję na ulaskawienie aż do chwili, gdy podwijano im rękawy i wstrzykiwano w żyły śmiertelną dawkę chlorku potasu.

Taki sam tatuaż jak Teale nosił pewien młody więzień, pełen nienawiści, ale też dziwnej charyzmy. Nazywał się Lars Bale. Był utalentowanym malarzem. Któregoś razu w ramach kary za złamanie jakiegoś punktu więziennego regulaminu strażnicy przeszukali jego celę i skonfiskowali wszystkie obrazy i narzędzia. Bale zareagował, malując własnymi fekaliami na ścianie portret naczelnika.

Tom odwiedzał go jakieś dwadzieścia razy. I choć nie wolno było mu pytać o zbrodnie więźniów, Tom wiedział, za co siedzi Bale. Strażnik, który odprowadzał go do celi, opisał Bale'a jako pogrobowca Charlesa Mansona. Twierdził, że Bale jest kompletnym wariatem. Na wolności był przywódcą sekty, która uprowadzała

turystów z parków rozrywki i mordowała. Prasa nazwała ich zbrodnie „Morderstwami w Disneylandzie”.

Bale i jego wyznawcy masakrowali ciała ofiar, a następnie rozsmarowywali ich krew na ołtarzach kościołów w Los Angeles.

ROZDZIAŁ 48

Więzienie San Quentin, Kalifornia

Naczelnik San Quentin Gerry McFaul zbiera się właśnie do wyjścia na wieczorną partyjkę golfa, kiedy sekretarka informuje go, że dzwoni do niego niejaki Tom Shaman.

McFaul uśmiecha się i prosi sekretarkę o przełączenie rozmowy. Dobrze pamięta Toma Shamana. Młody ksiądz z jajami, który odwiedzał więźniów i, podobnie jak naczelnik, uwielbiał boks. McFaul pozwalał mu nawet na walki sparingowe z co bardziej godnymi zaufania więźniami i księżulo radził sobie w ringu nie najgorzej.

- Naczelnik McFaul przy telefonie.
- Przepraszam, że panu przeszkadzam, panie naczelniku. Mówi Tom Shaman - kiedyś ksiądz Tom. Nie wiem, czy mnie pan pamięta, ja...
- Jasne, że pamiętam. Lewy sierpowy pobłogosławiony przez samego pana Boga. W czym mogę ci pomóc, Tom?

- Czy w pańskim więzieniu wciąż siedzi niejaki Lars Bale?

McFaul nie musi nawet sprawdzać.

- Oczywiście. Na szczęście już niedługo. Wyznaczono już datę egzekucji.

Tom nigdy nie potrafił zaakceptować kary śmierci, więc swobodny ton naczelnika na chwilę wytrąca go z równowagi.

- Jesteś tam jeszcze, Tom? Nie słyszę cię. Halo?

- Jestem. - Tom bierze się w garść. - Czy Bale ciągle maluje?

Naczelnik zerka na zegarek i wyłącza komputer.

- Jak wariat. Namalował dość obrazów, żeby wypełnić całą galerię. Podejrzewam, że będziemy musieli siłą wyrwać mu z łapy ten cholerny pędzel, kiedy przywiążemy go na zastrzyk.

- Czy wolno mu rozmawiać przez telefon? Chciałbym z nim porozmawiać.

W głosie McFaula pojawia się podejrzenie.

- O co tu chodzi, Tom? Apelacja Bale'a została odrzucona.

Tom nie ma pewności, jak odpowiedzieć. Dobre pytanie: o co tu tak naprawdę chodzi? Jego mózg w jakiś przedziwny sposób powiązał serię zabójstw w Los Angeles sprzed niemal piętnastu lat z morderstwami we współczesnej Wenecji, które mają potencjalny podtekst satanistyczny. Wszystko to brzmi zbyt dziwacznie, żeby nadawało się do opowiedzenia.

- Panie naczelniku, jestem w Wenecji, we Włoszech. Pomagam żandarmerii rozwiązać sprawę morderstwa. Sądzę, że Bale może nam w tym pomóc.

McFaul ponownie zerka na zegarek. Już jest spóźniony. Jeśli zajmie się tym jeszcze dzisiaj, na pewno nie zdąży na golfa.

- Jutro, Tom. Zadzwoń do mnie jutro o osiemnastej twojego czasu, a ja zobaczę, co się da zrobić.

- Dzięki. - Tom już ma odłożyć słuchawkę, kiedy nagle coś mu się przypomina. - Przepraszam, panie naczelniku, ostatnie pytanie. Powiedział pan, że wyznaczono już datę egzekucji?

- Zgadza się.

- Kiedy? Ile czasu mu zostało?

McFaul nie potrafi powstrzymać lekkiego chichotu.

- Nie wiem, czy gryzipiórki z Departamentu Sprawiedliwości zrobiły to celowo, ale ten satanistyczny sukinsyn spotka się ze Stwórcą szóstego czerwca o szóstej. Sześć, sześć, sześć.

Dokładnie za sześć dni. Ciekawe, czy ten drań doceni ironię losu.

CAPITOLO XLVI

Rok 1778

Rio Terà San Vio, Wenecja

Tanina siedzi w luksusowym apartamencie przyjaciółki w dzielnicy Sestriere di Dorsoduro. Wpatruje się w złotawe wino w niebiesko-zielonym kieliszku z murańskiego szkła w kształcie tulipana. Chciałaby być taka jak ona - niezależna kobieta, mająca do dyspozycji bezdenne kufry rodzinnej fortuny, pozwalające jej żyć według własnego upodobania.

Tanina nie ma jednak do Lydii Fratelli żadnych pretensji.

Płomiennoruda Lydia jest dla niej jak starsza siostra, której nigdy nie miała. Jest jej najlepszą przyjaciółką i jedyną powiernicą. A dzisiejszego wieczoru Lydia wysłuchuje długiego monologu na temat związku Taniny z Ermanno.

- Zrobił się z niego potworny plotkarz! W ubiegłym tygodniu opowiedział mi okropne - i jestem przekonana, że zmyślane - historie o *signor* Gatusso.

Przyjaciółka pochyla się ku niej z miną pełną oczekiwania.

- Jakie historie? Już od dawna nie słyszałam żadnych soczystych plotek.

- To wcale nie jest zabawne. Oskarżył Gatusso - dodam, że zupełnie bezpodstawnie - o utrzymywanie licznych kurtyzan.

Lydia wybucha śmiechem, ale Tanina nie jest w nastroju do żartów.

- Ermanno miele językiem jak pierwsza lepsza przekupka. I ja mam poślubić takiego mężczyznę? Nigdy. - Tanina ze złością przełyka wino.

Lydia znowu się śmieje.

- Moja droga, Ermanno to prawdziwy anioł. Miałaś szczęście, że go znalazłaś. Powinnaś potraktować te jego brednie jak niewydarzone opowieści małego dziecka i puścić mimo uszu.

- Ale Ermanno nie jest dzieckiem. A w każdym razie nie powinien nim być.

Przyjaciółka przewraca oczami.

- Ależ oczywiście, że jest dzieckiem. Jak wszyscy mężczyźni. Na zewnątrz mężczyzna starzeje się i brzydnie, ale w duchu na zawsze pozostaje dzieckiem. Podobnie jak miesięczne krwawienie, męska niedojrzałość jest jedną z tych nieuniknionych przypadłości, z którymi my, kobiety, musimy sobie radzić.

Tanina śmieje się i siada ze skrzyżowanymi nogami.

- A Gatusso? Mój wspaniały cudzołożący pracodawca, którego miałam za drugiego ojca, czy on też jest dzieckiem? Czy jemu też zawsze mam wybaczać?

- Owszem. Znam Lauro Gatusso niemal tak długo jak ty. To przeuroczy człowiek i nieuleczalny flirciarz, a znając jego nieprawdopodobnie nudną żonę, twierdzą, że należy mu się wszelka rozrywka, jaką znajduje poza małżeńskim łóżem.

- *Signora* Gatusso nie jest wcale nudna! - protestuje Tanina, rzucając przyjaciółce rozłoszczone spojrzenie. Urywa na chwilę i zamyśla się. Na jej twarzy pojawia się w końcu lekki uśmiech. - No dobrze, może jest trochę nudna. Ale dlaczego mężczyźni są takimi niewolnikami własnych członków? Dlaczego nie wystarcza im jedna kobieta?

Lydia odgarnia z twarzy ogniście rude loki.

- Och, dajże spokój. Mężczyźni nie różnią się aż tak bardzo od nas. Kiedy znudzi nam się jeden kochanek, bierzemy sobie kolejnego, czasami zapominając na dobre uwolnić się od poprzedniego.

- To ty tak robisz - odpowiada z irytacją Tanina. - Ja z pewnością nie. - Bierze łyk wina, ale nie potrafi powstrzymać porozumiewawczego uśmiešku. - Wiem, że byłam taka, ale to już przeszłość. Przynajmniej mam taką nadzieję. Jeśli Ermanno się poprawi, wówczas oddam się tylko jemu.

Lydia przerywa jej oklaskami.

- Wobec tego musisz uznać, że już się poprawił, albo pogodzić się z tym, że to nigdy nie nastąpi. Tanino, przestań zadrezczać się takimi drobnostkami.

- Nie przestanę, dopóki nie przeprosi.

- Jeszcze tego nie zrobił?

- Nie i nie ma takiego zamiaru.

- Pytałaś?

- Naturalnie. Spotkaliśmy się kilkakrotnie od tamtej rozmowy, ale ani razu nie wyraził najmniejszej skruchy. Nie przedstawił mi także żadnego dowodu na to, że choć ziarno prawdy tkwi w kalumniach, które rzucał pod adresem człowieka, który jest nie tylko moim pracodawcą, ale troszczy się o mnie jak ojciec.

- Dlaczego nie?

Tanina wpada w gniew.

- Twierdzi, że nie ma za co przepraszać! Kazał mi zapomnieć o wszystkim. A teraz znowu pochłonęły go te idiotyczne poszukiwania i nie ma czasu, żeby zamienić ze mną choć dwa słowa, nie wspominając już o rozmówieniu się na temat przyszłości.

- Poszukiwania? Poszukiwania czego?

Tanina odstawia pusty kieliszek na podłogę.

- Zakopał się w księgach. Siłuje odnaleźć wzmianki o jakimś artefakcie. Od czasu do czasu ogarnia go obsesja. Całe dni spędza wtedy na poszukiwaniu informacji o obrazach albo rzeźbach. Tym razem chodzi o jakiś religijny artefakt.

- Z całą pewnością żydowski. Co to takiego? Chyba nie menora? W tym mieście jest ich więcej niż złodziei.

- Nie, nie. Nie żydowski. To nawet dość ciekawe. Ermanno sądzi, że pochodzi z czasów etruskich. Nie jestem do końca pewna, więcej wiem o obrazach niż rzeźbach, ale z pewnością jest bardzo stary.

- Etruskich? Mało prawdopodobne. Niewiele przedmiotów z tamtych czasów zachowało się do dzisiaj.

Tanina ma rozbawioną minę.

- Skąd o tym wiesz? Wiem dobrze, że znasz się na wielu sprawach - uśmiecha się chytrze - a z pewnością doskonale znasz się na mężczyznach, ale nie zdawałam sobie sprawy, że jesteś również ekspertką od artefaktów i Etrusków.

- Bo nie jestem. Miałam kiedyś kochanka, który kolekcjonował wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Pamiętam, że wspominał o Etruskach, ale nie zaciekało mnie to zanadto. Co jest takiego szczególnego w artefakcie Ermanno?

- Cóż, Ermanno go nie ma. Nie należy do niego - jeszcze. Widział tylko rysunek. Ten przedmiot należy do jakiegoś mnicha z San Giorgio. To srebrna tabliczka przedstawiająca augura przebitego kosturem.

Lydia krzywi się, jakby zjadła cytrynę.

- Okropność.

- Ermanno uważa, że ta tabliczka jest częścią tak zwanych Bram Piekła.

- Doprawdy? No cóż, mam nadzieję, że te jego poszukiwania przyniosą góry złota jemu, tobie i temu szalonemu mnichowi, który chce ją sprzedać.

- I Efranowi. Na pewno będzie chciał dostać udział. - Tanina sięga po pusty kieliszek.

Lydia idzie po butelkę z winem.

- Tak, to podobne do tego szubrawca. Choć przyznaję, że w zeszłym roku zdobył dla mnie piękną biżuterię. Perły. Wspaniałe naszyjnik, doskonale pasujący do gorsetu z błękitnego jedwabiu, który sobie zamówiłam.

Napełnia kieliszki i podchodzi do eleganckiej komody z orzechowego drewna, stojącej pod wysokim weneckim lustrem.

- Co sądzisz o tych? - Podnosi dwie ręcznie robione maski z patykami. Obie są kunsztownie zdobione. Jedna z nich to czerwono-złota *trapunto uomo*. Druga to *trapunto donna*, wykonana ze srebra i kości słoniowej.

Tanina mruży oczy.

- Podoba mi się *donna*. *Uomo* jest dla mnie nieco zbyt wyzywająca.

Lydia zasłania twarz maską *uomo*.

- Ta zdecydowanie pasuje do mnie. Możesz wziąć sobie uległą *donnę*. - Z uśmiechem podaje drugą maskę przyjaciółce. - Proponuję, żebyśmy dopiły wino i dołączyły do karnawału. Dziś wieczorem w Santa Croce odbywa się bal. Szalony bal. Ty musisz nauczyć się tego i owego o głupocie mężczyzn, a ja pilnie potrzebuję jednego z nich między nogami.

CAPITOLO XLVII

Rok 1778

Canal Grande, Wenecja

Zamaskowani karnawałowicze oddają się tańcom i flirtom w takt muzyki wygrywanej przez orkiestrę w eleganckiej sali balowej w najnowszym *palazzo* przy Canal Grande. Wystawnie urządzone pałace należą do Giovanniego Mannino. Mannino pochodzi z wyspy Murano i jest ostatnim dziedzicem szklarskiej fortuny. Jego przodków wygnano na wyspę, gdy władze Wenecji zakazały produkcji szkła w mieście z obawy przed piecami szklarskimi. A dziś Giovanni Mannino, zwany Gio, jest obrzydliwie bogaty. Fundamentami jego fortuny są pożyczki i zamówienia z całej Europy na wszystkie możliwe

produkty ze szkła, od paciorków po żyrandole. Giada, żona Gio, mawia, że nie zdołaliby wydać wszystkich swoich pieniędzy, nawet żyjąc przez tysiąc lat. Co nie znaczy, że Gio nie próbuje. Próbuje nieustannie.

Tanina pożyczyła od Lydii nie tylko maskę, ale również błyszczącą suknię ze złotego materiału i także buty na wysokim obcasie, które trochę za bardzo nadają jej wygląd kurtyzany. Niemniej bal jest ekscytujący. Będzie mogła na chwilę wyrwać się ze stanu melancholii, spowodowanej zachowaniem Ermanno.

Niski mężczyzna w masce Casanovy kieruje się w jej stronę. Odsuwa maskę i ukazuje młodą, przystojną twarz i ciepłe, brązowe oczy.

- Piękna pani, czy zechcesz ofiarować mi ten taniec i ujawnisz mi swe imię?

- A jak brzmi twoje, mój panie? O ile pamiętam, Casanova jest od pana dwukrotnie starszy, dwukrotnie wyższy i wciąż przebywa za granicą, zatem nie możesz nim być.

- Nazywam się Claudio Bonetti. Masz pełną słuszość, nie jestem Casanovą. Choć wierzę, że ten ospowaty cap powrócił już do Wenecji po niemal osiemnastu latach wojaży, więc doradzałbym upewnić się, czy ta maska w istocie jest maską. - Tanina stuka palcem w karton. Mężczyzna opuszcza maskę na pierś. - Pożyczyłem ją od przyjaciela. Tylko ta mu pozostała. Właściwie zdecydowałem się przyjść tu w ostatniej chwili.

- Moja również jest pożyczona. Od impulsywnej przyjaciółki. - Dziewczyna uchyla maskę i obdarza go uśmiechem. - Nazywam się Tanina Cingoli i z wielką przyjemnością z panem zatańczę.

Claudio ujmuje jej dłoń. Po drugiej stronie sali balowej Lydia również znajduje sobie towarzysza. Nowa *trapunto uomo*, sznur

perel zakupiony od Efrana i długa suknia z kremowego jedwabiu z nader głębokim dekoltem przyciągają wzrok wielu mężczyzn, w tym także pewnego znajomego.

- Lydio, wyglądasz wprost czarująco. Prześlicznie! Nie jestem pewien, która część mojego ciała bardziej cieszy się na twój widok - moje serce czy męskość.

- Nie mam wątpliwości, że raczej twój nienasycony członek - śmieje się Lydia. - Wszak ty nie masz serca.

Mężczyzna wybucha rubasznym śmiechem.

- Okrutnico! Twój rozpustny język tnie jak ostrze.

- Podejź bliżej, a wyliżę twoje rany jak lwica dogładająca przywódcy stada.

Mężczyzna rozgląda się po tancerzach, szukając swojej zawsze czujnej i słusznie nieufnej żony.

- Zatańczę tylko raz z sama-wiesz-kim, a potem jestem cały twój.

Jej ręka przesuwana się po jego udzie.

- Doskonale. Tak się składa, że mam coś dla ciebie. Coś, o czym nigdy nie śmiałaś nawet marzyć.

- Nie wątpię.

Lydia prostuje się i całuje go w ucho.

- Mówię poważnie. Dam ci dzisiaj coś, za czym tęsknisz od dawna. Czego pragniesz tak bardzo, że gotów byłbyś oddać - lub odebrać - za to życie.

Mężczyzna przełyka ślinę i rozgląda się nerwowo po sali. Żona stoi odwrócona do niego plecami.

- Wygrałaś, kusicielko. Poszukajmy sobie komnaty na piętrze.

ROZDZIAŁ 49

Czasy współczesne Hotel Rotoletti, Wenecja

Valentina tkwi pod prysznicem, zapewne próbując wytrzeźwieć i przezuwając upokorzenie. Choć Tom kilka razy zapewniał ją, że wtargnięcie do jego pokoju nad ranem nie jest żadnym powodem do wstydu, porucznik Morassi najwyraźniej jest przerażona swoim zachowaniem.

Tom zbiera się właśnie, żeby wyjść po kawę i bułki, kiedy odzywa się jego telefon komórkowy.

- Cześć, tu Alfie. Możesz rozmawiać?

Tom jest zaskoczony, ale cieszy się, słysząc głos przyjaciela.

- Jasne. Dziękuję za telefon. Udało ci się coś znaleźć?

- Nie tyle, ile się spodziewałem - odpowiada Alfie napiętym głosem. - Przekopałem nasze przeglądarki komputerowe w poszukiwaniu czegokolwiek zawierającego słowa kluczowe „wątroba”, „Etruskowie”, „symbole”, „kwadraty”, „prostokąty”, „węże”, „rytuały”, „kapłani”...

- To chyba była mrówcza robota, co?

- Była. - Alfie przerywa, jak gdyby rozglądał się wokół i upewniał, że nikt go nie podsłuchuje. - Tom, to, co za chwilę ci powiem, może mi przysporzyć sporych kłopotów.

- Słucham.

- Etruski to martwy język, więc nielato jest zweryfikować informacje i znaleźć pewne źródła, ale natknąłem się na historię, która może narobić trochę szumu w Kościele.

- Alfie, mówże wreszcie, o co chodzi.
- Słyszałeś o wątrobie z Piacenzy?
- Odlew z brązu służący do nauki wrózenia z wątroby?
- Ten sam. Powszechnie uważa się, że to najstarsza i najlepiej zachowana pozostałość po Etruskach, ale znalazłem informacje o czymś jeszcze starszym.

- Kolejnej metalowej wątrobie?
- Nie. Czymś znacznie cenniejszym. Nazywają to Tabliczkami z Atmanty. Składają się z trzech części, które połączone razem tworzą jedną prostokątną rzeźbę. Datuje się ją na setki lat przed narodzinami Chrystusa.

Puls Toma gwałtownie przyspiesza.

- Przeczytałem, że tabliczki przedstawiają wizję pewnego wróżbity, niejakiego Teukrosa. Stracił wzrok albo w trakcie rytuału, albo tuż po nim, tego nie jestem pewien. Jego żona Tecja była rzeźbiarką i utrwaliła jego wizje na tych tabliczkach. Środkowa najprawdopodobniej przedstawia samego wróżbitę. Na lewej z kolei znajduje się obraz Teukrosa, jego żony i ich dzieci, którego ani on, ani ona nie ujrzeli za życia. Teukros został zaatakowany i zabity, podobno przez Tecję i jeszcze kilku mężczyzn. Ona sama zmarła przy porodzie od ran odniesionych w walce. Ostatnia tabliczka ma przedstawiać bóstwo nieznanne w etruskim panteonie, ale uważane za demona, takiego jak Aita, pan podziemi.

Tom jest zafascynowany.

- A węże? Znalazłeś coś o węzach?
- Byłbym zapomniał: Tabliczki z Atmanty nazywane są również „Bramami Piekła”.

- Bramami?
- Tak. Tabliczki podobno pokryte są setkami wizerunków węży. Splatają się ze sobą w pionie i w poziomie, tworząc coś na kształt

bramy - Alfie urywa na chwilę. - Podejrzewam, że chodzi o bramę do życia pozagrobowego.

- Świetnie, Alfie. Naprawdę mi pomogłeś. - Tom słyszy Valentinę kręcącą się po pokoju. - Ale dlaczego powiedziałeś, że to ci może przysporzyć kłopotów?

Książd Alfredo Giordano odpowiada dopiero po dłuższej chwili.

- Tak naprawdę problemem nie jest to, co ci powiedziałem, Tom. Chodzi o to, czego ci nie powiedziałem. Dokumenty są niekompletne. Część informacji zaklasyfikowano jako „zastrzeżone”. Cokolwiek w nich jest, Stolica Apostolska uznała to za groźne na tyle, żeby zamknąć je w Tajnych Archiwach.

CAPITOLO XLVIII

Rok 1778

Isola di San Giorgio Maggiore, Wenecja

Tommaso nie ma już wątpliwości, że opat go unika. Wielokrotnie przychodził do jego gabinetu i za każdym razem coraz bardziej obcesowo go odprawiano. A teraz przed drzwiami opata postawiono jednego z braci, który ma zatrzymywać nieproszonych gości. Tommaso jest prawie pewien, że tylko jego uznaje się za nieproszonego. Coraz bardziej rozczarowany i rozgoryczony, podczas jednej z wizyt na stałym łądzie postanawia wrócić na placyk ze studnią, przy

którym stoi dom z jedną brązową okiennicą, gdzie mieszka kupiec Efran.

Młody człowiek uchyla drzwi na centymetr i ze zdumieniem patrzy na zakapturzonego mnicha. Szybko otwiera drzwi na oścież.

- Bracie! Niech brat wejdzie. Co za niespodzianka! Proszę do środka.

Tommaso kiwa głową w podziękowaniu i wchodzi do niedużego pokoju, w którym unosi się zapach gotowanego jedzenia. Czuje ulgę, schodząc z publicznego widoku. Gdyby ktoś dowiedział się o jego wizycie u Efrana, Tommaso wpadłby w poważne tarapaty.

Efran pospiesznie zbiera rozrzucone koszule, bieliznę i ciężki, wełniany płaszcz z sofy.

- Niech brat siada. Mam dla brata informacje.

- Taką miałem nadzieję.

- Istotnie. Bardzo pomyślne informacje. Najpierw muszę jednak sprowadzić mojego przyjaciela Ermanno. On wszystko bratu opowie.

- Tego żyda?

- Tak. Sprzedawcę antyków z getta. Wspominałem o nim, pamięta brat?

- Pamiętam.

Efran tymczasem nalewa wodę z dzbana do najlepszego naczynia, jakie posiada - wielobarwnej, niskiej szklanki z *vitro-di-trina*. Wręcza ją mnichowi.

- Jeśli będzie miał brat ochotę na więcej, proszę się nie krępować. Niech się brat czuje tu jak u siebie. - Efran wskazuje palcem niewielką kuchenkę. - Mam też herbatę, kawę i trochę wina. Niedługo wrócę.

I z tymi słowami wychodzi.

Tommaso tymczasem zastanawia się, czy postąpił słusznie, przychodząc tutaj. Opat raczej nie byłby zachwycony, gdyby doszło do niego, że jeden z mnichów spotyka się po kryjomu z handlarzem o wątpliwej reputacji i jakimś nieznanym żydem.

Czekając na powrót gospodarza, rozmyśla nad swoimi czynami i innymi sprawami. Otwarcie skrzynki pod łóżkiem zerwało w nim tamę, za którą piętrzyły się emocje związane z matką i siostrą. Uczucia ukryte tak głęboko, że nie miał pojęcia o ich istnieniu. Aż do teraz. Żal. Strata. Odrzucenie. Smutek. Samotność. I jakby nie dość było tego, targają nim jeszcze inne uczucia związane z poszukiwaniem prawdy o rodzinie. Wina. Oszustwo. Wątpliwość. Niepewność. Nic zatem dziwnego, że Tommaso czuje się przygnębiony i coraz częściej nękają go wątpliwości na temat wiary. Głęboko w duszy wierzy jednak, że gdy uda mu się rozwiązać tajemnicę tabliczek, wiara do niego powróci.

Drzwi otwierają się. Za zdyszanim Efranem do środka wchodzi chudy, gładko ogolony młodzieniec i dziewczyna o niewinnej twarzy i zaciekawionych oczach.

- To jest Ermanno - przedstawia nieznaną Efran - i jego przyjaciółka Tanina. Tanina pracuje dla kolekcjonera sztuki w pobliżu Rialto.

Dziewczyna dyga.

- Miło mi brata poznać.

Tommaso wstaje, aby się przywitać. Irytuje go, że tak wiele postronnych osób zostało włączonych w jego prywatne, rodzinne sprawy. Efran uprzedza jednak jego protesty:

- Bez obaw, bracie. Jesteśmy uczciwymi ludźmi, a moi przyjaciele pragną jedynie bratu pomóc.

Ermanno przydźwigał ze sobą stos książek. Rozkłada je na stole i otwiera na zaznaczonych wcześniej stronach.

- Niech brat tu podejdzie, żebyśmy mogli podzielić się z bratem tym, czego udało mi się dowiedzieć.

Tommaso posłusznie staje obok niego. Od razu zauważa czarno-biały szkic tabliczki identycznej jak ta, którą pozostawiła mu matka. Serce bije mu szybciej, ale postanawia milczeć, dopóki nie pozna lepiej przyjaciół Efrana.

Ermanno stuka palcem w kartkę ze szkicem.

- Mówi się, że tabliczka jest jedną z trzech. Podobno odlano je z czystego srebra na sześć wieków przed narodzinami Chrystusa.

- To znaczy, że są etruskie? - wtrąca Tommaso.

Ermanno potwierdza kiwnięciem głowy.

- Tak. Wykonano je w północnej Etrurii. Według legendy rzeźbiarka utrwaliła w glinie wizję, która nawiedziła jej męża, kapłana, na chwilę przed tym, jak został oślepiiony podczas rytuału. Ceramiczną rzeźbę zakupił od niej następnie pewien wpływowy człowiek, który zlecił odlanie jej w srebrze. Tak powstało dzieło, które w świecie sztuki nazwano Tabliczkami z Atmanty.

Tommaso jest zadowolony. W końcu dostaje jakieś odpowiedzi zamiast wciąż nowych pytań.

- Więc są dobrze znane?

Ermanno kręci głową.

- Nie. Niemal nikt o nich nie wie. Przejrzałem tuzin książek i w żadnej nie znalazłem nawet wzmianki. Przeczytałem też takie, w których wprost zaprzecza się ich istnieniu. Wkrótce po odlaniu Tabliczki... skradziono. Podobno dostali je w swoje ręce jacyś...

- Ile są warte? - przerywa mu w pół słowa Efran.

Ermanno wzrusza ramionami.

- Dużo. Jeśli ktoś już posiada w swojej kolekcji dwie pozostałe, zapewne będzie gotów zapłacić fortunę za trzecią.

Tommaso robi obojętną minę.

- Nie zamierzam jej sprzedawać. Pozostawiła mi ją moja matka. To jedyne, co mi po niej pozostało - tabliczka, list i drewniana skrzynka.

Efran krzywi się. Emocje i wzruszenia nie wróżą dobrze interesom. Jeśli kiedykolwiek ma dostać w ręce ten skarb, musi działać natychmiast.

- Bracie, jestem przekonany, że gdybyśmy sprzedali twoją tabliczkę, zdobylibyśmy wielką fortunę dla twojego klasztoru lub dla ciebie - mówi gładko Efran. - Zdobyłbyś bogactwo, które pozwoliłoby ci godnie uczcić matkę, tak aby jej imię nigdy nie zostało zapomniane.

Tommaso cofa się od stołu.

- Chyba powinienem już wyjść.

Ermanno zatrzymuje go.

- Bracie, żaręczam, że zachowamy pełną dyskrecję. Nikt nie dowie się o naszym udziale i nikomu nie wyjawimy twojej tożsamości. - Zerka na narzeczoną. - Tanina mogłaby ją sprzedać poprzez swojego pracodawcę. Ewentualnie mój ojciec mógłby spieniężyć ją w getcie, choć jestem przekonany, że *signor* Gatusso znajdzie hojniejszego kupca.

Tommaso wzdycha.

- Panowie, jestem wam wdzięczny za pomoc. I pani również, *signora*. Kiedyś odwdzięczę się wam za uprzejmość i trud, jaki sobie zadaliście. Ale nie mam najmniejszego zamiaru sprzedawać tego przedmiotu.

- Czy możemy go zobaczyć? Potwierdzić jego autentyczność? - Ermanno wskazuje palcem na długi akapit w jednej z książek:

- Istnieje wiele doniesień o kopiach i fałszywych właścicielach. Ale dysponuję informacjami, które pozwolą mi potwierdzić, czy ta rzecz jest prawdziwa.

Tommaso zerka na tekst. Ermanno szybko zasłania karty dłonią.

- Napisano tu również mnóstwo bzdur, bracie. Lepiej nie zwracać uwagi na wszystko, co tam stoi.

- Proszę mi to pokazać - odpowiada Tommaso - albo się pożegnamy.

Ermanno spogląda na Efrana i w końcu odsłania książkę.

- Jak sobie brat życzy. - Podaje mu opasły tom. - Niektórzy twierdzą, że tabliczki ukradł pewien kat i morderca, który wykorzystywał je później do praktykowania okultyzmu. - Ermanno czeka, aż Tommaso przewróci stronę książki, i kontynuuje: - To są obrazy dwóch pozostałych tabliczek. Jedna z nich przedstawia obejmującą się parę. U ich stóp widać dziecko. Uważa się, że to kapłan, rzeźbiarka i ich syn. Na drugiej widać demona. Nie jest to demon z etruskiego bestiariusza, a w każdym razie nie znano go w czasach, gdy powstały tabliczki. - Podnosi wzrok na mnicha, zastanawiając się, czy nie powinien już przerwać opowieści, ale Tommaso wyraźnie chce usłyszeć więcej. - Według legendy demonem tym jest Szatan, a chłopiec na tabliczce jest jego synem, nie kapłana. Tabliczki czasami nazywane są „Bramami Piekła”. Zwrócił brat uwagę na węże na swojej tabliczce...?

Twarz Tommaso przybiera barwę popiołu. Zauważył węże, oczywiście, ale nigdy by nie przypuszczał...

- To nie może być prawda.

- Bracie, powiedziałem już, że na ten temat napisano wiele bzdur. Większość z nich to wymysły znudzonych starych bab, którym pozostało w życiu już tylko fantazjowanie. Niech nie zwraca brat na nie uwagi.

Tommaso wie jednak, że nie może ot tak zignorować tych rewelacji. Dlaczego matka pozostawiła mu w spadku przedmiot obciążony tak mroczną historią? Nagle pragnie pozostać sam. Zatrząskuje wytarte okładki.

- Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia. *Grazie*. - I bez dalszych komentarzy opuszcza pokój. Pozostała trójka w zdumieniu patrzy na jego oddalającą się postać.

- Co za strata czasu - mruczy rozdrażnionym głosem Efran. - Z pewnością więcej go nie zobaczymy.

- Nie sądzę, byśmy widzieli go ostatni raz - odpowiada Ermanno z ponurym uśmiechem. - Naprawdę nie sądzę. Ten przedmiot zanadto go fascynuje.

ROZDZIAŁ 50

*Czasy współczesne
Piazzale Roma, Wenecja*

Tom i Valentina wychodzą na śniadanie. Porucznik Morassi zabiera go do niedużej kawiarni, odwiedzanej, jak się zdaje, wyłącznie przez gondolierów i policjantów.

Tom nie wspomina jej o telefonie do San Quentin. Uznaje, że lepiej będzie poczekać, póki nie porozmawia z Bale'em. Opowiada jej jednak, czego dowiedział się od Alfiego o Tabliczkach z Atmanty.

Valentina raczej sceptycznie przyjmuje jego rewelacje, niemniej przekazuje je telefonicznie majorowi Carvalho.

- Co powiedział? - pyta Tom, gdy Valentina kończy rozmowę.

- Niewiele. Przyszły wyniki od dochodzeniówki, to zawsze poprawia mu humor. W śledztwie w sprawie morderstwa nauka wygrywa zawsze i wszędzie. Za godzinę jest odprawa, chce, żebyśmy oboje tam byli.

Tom uzupełnia jej szklankę wodą z butelki na stole. Valentina uśmiecha się. Oboje myślą o ostatnim razie, kiedy dostała od niego szklankę wody.

- Masz jakąś rodzinę, u której mogłabyś zostać dzisiaj na noc? - pyta Tom. - Chyba nie powinnaś zostawać sama.

- Słusznie - mówi Valentina. - Wczoraj to wszystko mnie jakoś przytłoczyło. Ta wyspa i miejsce, w którym zginął Antonio, a potem ci wszyscy dziwacznicy. Cały czas zastanawiałam się, kto z nich go zamordował... Chyba wszystko się nałożyło.

- Bądź ostrożna - ostrzega Tom. - Narażasz się na potworny stres.

Namyśla się przez chwilę, jak odpowiednio ująć w słowa to, co chce jej powiedzieć.

- Jestem pewien, że major Carvalho i twoi koledzy rozumieją, jeśli weźmiesz krótki urlop. Wiesz, zrobisz sobie przerwę.

Stałowy błysk w jej oczach dobitnie świadczy, co Valentina myśli o jego propozycji. Z wymuszonym uśmiechem wstaje i podchodzi do baru, żeby zapłacić za śniadanie.

Wracają na komendę spacerowym krokiem. Rozmawiają o wszystkim, starannie unikając jednak tematu Antonia i śledztwa. Valentina chce się dowiedzieć czegoś o życiu Toma. Co skłoniło go, żeby zostać księdzem. Tom nie ma przesadnej ochoty na zwierzenia, ale opowiada jej to i owo ze swojej przeszłości.

- Kiedy pierwszy raz poszedłem na mszę, nie czułem, że jestem w kościele. Wydawało mi się, że jestem w domu, w miejscu, w którym mogę się odprężyć i naprawdę być sobą.

Gdyby spacer potrwał dłużej, Valentina zadałaby mu jeszcze sporo pytań. Być może nawet wspomniałaby Tinę Ricci i zapytała go o plany na przyszłość. Po kilku minutach znajdują się już jednak na schodach komendy głównej żandarmerii.

Pokój odpraw pachnie świeżą kawą i rozbrzmiewa rozmowami. Valentina i Tom wchodzą razem, ale od razu rozdzielają się i siadają osobno. Robią to podświadomie. Oboje mają potrzebę zachowania dystansu i własnej przestrzeni. Vito Carvalho zauważa to, ale oprócz niego chyba nikt nie zwraca na to uwagi. Zerka na Valentine. Dziewczyna jest wyraźnie napięta i zestresowana, ale nie ma zamiaru się poddawać. Po chwili krzesła po obu jej stronach zajmują Rocco Baldoni i nowa twarz - Francesca Totti, porucznik „wypożyczona” z oddziału tajniaków majora Castellego.

Światła przygasają. Vito prosi Isabelle Lombardelli z RaCIS o rozpoczęcie odprawy. Na ekranie pojawia się pierwszy slajd z wnętrza bazyliki La Salute, a Lombardelli zrzuca bombę: - Krew, którą narysowano symbol na podłodze przy ołtarzu, należała do Moniki Vidic.

Isabella przerywa, dając wszystkim chwilę na przetworzenie tej informacji.

Vito jako pierwszy dopasowuje poszczególne fragmenty układanki. Zabójca jest znacznie bardziej metodyczny, znacznie poważniej traktuje swoje rytuały i jest znacznie bardziej niebezpieczny, niż im się wydawało. Morderstwa zaplanował z wyprzedzeniem i przechował krew ofiar, przygotowując się do realizacji ostatecznego planu. Planu, którego wciąż nie rozumieją.

Pojawia się kolejny slajd. Na ekranie widać teraz dwa poziome kody kreskowe.

- Przeprowadziliśmy testy DNA - wyjaśnia Isabella. - Górna linia to próbka kontrolna pobrana od ofiary, dolna to krew z La Salute. Jak widać, pełna zgodność.

Następny slajd.

- Z gorszych wiadomości: piła łańcuchowa z hangaru na wyspie nie pasuje do żadnego śladu znalezionego na ofiarach.

Iskierka optymizmu w oczach Vito gaśnie.

- Czy łańcuch mógł zostać podmieniony?

Isabella włącza slajd ze schematem urządzenia.

- Nie ten rozmiar - tylko trzydzieści centymetrów. - Przybliży obraz. - Poza tym model z wyspy nie ma dostatecznej mocy. - To Efcó, przyzwyczajona włoska robota, ale tylko trzydzieści centymetrów sześciennych pojemności. Przykro mi.

Vito kręci głową. Krok do przodu, krok w tył. Jak to w śledztwie.

- Co z pozostałymi próbkami krwi?

Isabella przełącza na kolejny slajd.

- W hangarze były ślady - patrzy prosto na majora. - Byłabym zaskoczona, gdybyśmy ich nie znaleźli. To w końcu warsztat - otarcia, ostre przedmioty i wypadki nie są w takim miejscu niczym niezwykłym. Żadna próbka nie pasuje jednak do krwi Moniki Vidic ani dwóch mężczyzn wyłowionych z laguny.

Vito przewraca kartkę w notesie i zwraca się do całej grupy:

- Rano dostaliśmy telefon z wydziału osób zaginionych. Przeszukali swoje bazy fotografii, próbek krwi i DNA i w końcu zidentyfikowali jedną z ofiar. Starszy mężczyzna, znaleziony w lagunie, nazywał się Nathaniel Lachkar. Francuz, siedemdziesiąt dwa lata, wdowiec. Przyjechał tu na pierwsze zagraniczne wakacje od

dziesięciu lat. Pół wieku temu ożenił się w Wenecji i wrócił tutaj, żeby ostatni raz zobaczyć nasze miasto przed śmiercią.

Valentina żegna się.

- Nic nie wiadomo na temat młodszego?

- Jak dotąd nie - odpowiada Vito. - Ale podejrzewam, że też okaże się przypadkową ofiarą.

- Przypadkową? - pyta ze zdumieniem Valentina.

Major robi zaskoczoną minę.

- Tak powiedziałem? Miałem na myśli, że nie będzie w żaden sposób związany z pozostałymi ofiarami.

Porucznik Morassi uśmiecha się.

- Tak myślałam. Dlatego mnie to zdziwiło, zawsze powtarzał pan, że nie istnieje coś takiego, jak przypadkowa ofiara. Że zawsze jest jakiś powód.

Vito nie do końca rozumie, do czego zmierza jego podwładna.

- No i...?

- Kościół. Może to kościół jest tym wspólnym powodem. Nathaniel Lachkar przyjechał tu, żeby zobaczyć kościół, w którym wziął ślub. Monica Vidic i jej ojciec odwiedzili kościół, zanim poszli na kolację i się pokłócili. Być może zabójca wybiera swoje ofiary w jednym, albo dwóch konkretnych kościołach.

- Seryjny zabójca miałby w kościele dość czasu, żeby wybrać ofiarę - podejmuje wątek Rocco. - To by zresztą pasowało do zbezczeszczenia La Salute.

Vito ostrożnie kiwa głową.

- Rocco, sprawdzisz wszystkie powiązania naszych ofiar z kościołami i porównasz z nazwiskami w naszej bazie danych, w tym z ludźmi z Wyspy Mario.

Isabella dochodzi do wniosku, że chwilowo wszyscy o niej zapomnieli. Nie przeszkadza jej to. Kiedy Vito w końcu obraca na nią

wzrok, Lombardelli siedzi cierpliwie ze skrzyżowanymi na piersi rękami, obserwując z zaciekawieniem rozwój śledztwa. Nic nagle zmienia się w coś. Czysta alchemia. Gdy Vito daje jej sygnał, podejmuje swój raport.

- Dobra. Kontynuujemy złe wieści. Porównaliśmy ślady czarnej farby z ciała Moniki z próbką z gondoli z hangaru. Brak zgodności. Sama farba jest jednak dość niezwykła. Z pewnością nie kupiono jej w supermarkecie. Staramy się teraz namierzyć producenta, serię, źródło i tak dalej. Powiadomię was, jak tylko się czegoś dowiemy.

Aż do tej chwili porucznik Francesca Totti milczy. Z natury jest raczej cichą myszą, brakuje jej urody porucznik Morassi i zazwyczaj niczym się nie wyróżnia. Gdy jednak w końcu przewycięża wrodzoną nieśmiałość i zabiera głos, nie ma żadnych wątpliwości co do jej profesjonalizmu.

- Czy z piły i gondoli zdjęto odciski palców? Sprawdzono potencjalną zgodność? Co z monitorami i najbliższym otoczeniem?

Valentina nieruchomieje. Vito patrzy na nią. Wszyscy jednocześnie uświadamiają sobie, że nastąpiła wpadka. Valentina kręci głową.

- Sprawdziliśmy. Jestem pewna, że zbadaliśmy odciski palców.

Z twarzy pozostałych odczytuje jednak coś przeciwnego.

- Z odcisków moglibyśmy się dowiedzieć, kto najczęściej zajmował się systemem monitoringu - kontynuuje bezlitośnie Francesca.

- W ten sposób można by było ustalić, kto miał kontakt z gondolą i pozostałymi ludziami.

- Wiem o tym! - odparowuje Valentina.

Carvalho rzuca jej długie spojrzenie. Popełnił błąd. Od początku powinien był wyłączyć ją z tej sprawy...

CAPITOLO XLIX

Rok 1778

Isola di San Giorgio Maggiore, Wenecja

Klasztorna cela Tommaso jest tak ciasna, że kładąc się na podłodze, głową dotyka jednej ściany, a stopami przeciwnej. Jak z najgorszego koszmaru klaustrofoba. Ale Tommaso nie zwraca na to uwagi. W tej chwili jego cela wydaje mu się najwygodniejszym miejscem na świecie.

Opowieść Ermanno była dla niego szokiem. Wstrząsnęła nim do głębi. Po wyjściu z mieszkania Efrana wrócił prosto do swojej celi i zwinął się w kłębek na pościeli, żeby pomyśleć.

Więc myśli. Bardzo intensywnie. Wciąż niepokoi go, że ten żyd i pozostała dwójka robili wszystko, żeby wydobyć z niego informacje o tabliczce. Zachowywali się jak najemnicy. Za wszelką cenę starali się go przekonać, żeby im ją sprzedał - z całą pewnością za ułamek wartości - a wtedy oni będą mogli zbić na niej fortunę. Oprócz gniewu Tommaso odczuwa również rozczarowanie i smutek. Miał nadzieję, że uda mu się znaleźć rozwiązanie tej zagadki. Zamiast tego pojawiły się tylko kolejne pytania. Bardzo niepokojące pytania.

Czy jego matka zajmowała się okultyzmem?

Ma szczerą nadzieję, że nie. Przed oczami stają mu słowa z jej listu: *przedmiot, którego musisz strzec za cenę nie tylko własnego życia, ale również duszy. Znaczenie tego przedmiotu jest zbyt wielkie i zbyt skomplikowane, bym mogła wyjaśnić je w liście*. Tommaso dochodzi do wniosku, że matka była świadoma zła, jakie niesie ze sobą srebrna

tabliczka. Może nawet wiedziała, jakie znaczenie miała dla czcicieli Szatana. Pytanie brzmi, czy aby na pewno działała w dobrej wierze? Tommaso krzywi się, przypominając sobie kolejne zdanie z listu: *Nigdy nie spuszczaaj go z oka.*

Czy historie spisane w książce młodego żyda były prawdą? Czy jego tabliczka istotnie posiadała jakąś niezmierną moc? Czy połączenie jej z pozostałymi spowoduje uwolnienie jakiejś piekielnej potęgi?

Jego tabliczka. Uświadamia sobie, że zaczął myśleć o niej w kategoriach własności. Cóż, niewątpliwie to jest jego własność. Należała do jego rodziny od pokoleń. A on wypuścił ją z rąk. Zawiódł matkę. Poprosiła go tylko o jedno, a on ją zawiódł.

Tommaso czuje wyrzuty sumienia, ale narasta w nim też gniew na opata, który odebrał mu tabliczkę.

Pociesza się myślą, że skoro ten przedmiot może stać się narzędziem zła, to może lepiej, żeby pozostawał pod opieką opata i Kościoła rzymskiego niż zwykłego mnicha.

Z drugiej strony, więzienia i sale tortur inkwizycji są pełne nikczemnych księży.

Sięga pod łóżko, aby wyjąć skrzynkę i raz jeszcze przeczytać list. Być może zauważy coś, co wcześniej mu umknęło, a co pomoże mu lepiej zrozumieć prośbę matki. Jego dłoń znajduje jednak tylko kurz. Tommaso klęka i zagląda pod posłanie. Niczego tam nie ma.

Cela jest na tyle malutka, że nie sposób niczego w niej zgubić. A to oznacza, że skrzynka i list zniknęły. Bez wątplenia zostały zabrane na polecenie opata. Ale po co?

Tommaso ma wrażenie, że głowa za chwilę mu eksploduje. Jutro stanie przed opatem i zażąda zwrotu swojej własności. Bez względu na konsekwencje.

Od stresu i napięcia boli go głowa. Zdmuchuje płomień samotnej świeczki i leży w ciemnościach, czekając na sen.

Choć targają nim wciąż emocje, wyczerpanie bierze górę i wkrótce Tommaso zapada w sen, głęboki i równy jak poranne fale na lagunie.

Nagle budzi go hałas. Głosy. Łomotanie do drzwi. Skrzywienie otwieranych zawiasów. Kroki biegnących ludzi. Wygląda na to, że wybuchła panika.

Wstaje z pośnania i otwiera drzwi.

- Pożar! Pożar! - krzyczy jeden z mnichów, przebiegając obok niego z twarzą wykrzywioną przerażeniem.

Tommaso biegnie boso za nim. Wypadają na zewnątrz. Płonie szopa na łodzie. Pomarańczowożółte płomienie pożerają czarne deski, które Tommaso dopiero co naprawiał. Wiadra smoły, które przywiózł łodzią, pałą się jak pochodnie.

Kilku mnichów usiłuje polewać ogień wodą. Bez skutku. Szopy nie da się już ocalić. Mogą już tylko powstrzymać ogień przed rozprzestrzenieniem się na klasztor.

- Bracia! Bracia, za mną!

Tommaso prowadzi grupę mnichów do hałdy kompostu. Zwożą pełne wózki cuchnącego nawozu na skraj pożaru i usypują z niej parujący mur, który zatrzymuje ogień. Tommaso z satysfakcją obserwuje płomienie rozbijające się o zaporę.

- Teraz musimy ugasić ogień. Zasypcie płomienie ziemią i jak najwilgotniejszym nawozem.

Mnisi z entuzjazmem wykonują jego polecenia. Krążą nieustannie między hałdą kompostu i pożarem. Napędzają wózki, zwożą kompost, zasypują płomienie i wracają po następną partię.

Do wschodu słońca ogień zostaje ugaszony.

Twarz Tommaso jest czerwona od wysiłku i gorąca. Habit wisi na nim w strzępach. Wyczerpany, kładzie się na trawie przed klasztorem.

Krzyż boli go od machania łopata, a gardło drapie od dymu i krzyku.

- Bracie Tommaso.

Głos dobiega zza jego głowy, z góry. Odwraca się i zerka przez ramię. Stoi nad nim opat.

Tommaso z trudem się podnosi. Opatowi towarzyszy jeszcze dwóch mnichów.

- Chcę brata widzieć w swojej komnacie. Natychmiast!

ROZDZIAŁ 51

Czasy współczesne
Tajne Archiwa Watykanu

Alfredo Giordano zupełnie nie zdziwił się, gdy Tom Shaman zadzwonił do niego z błaganiem, żeby poszukał informacji w zatęchłych korytarzach Tajnych Archiwów.

Tym, co go zdziwiło, był jego własny głos wyrażający zgodę.

Przekonał go niezbity fakt, że choć obecnie archiwa watykańskie mają charakter raczej prywatny niż tajny, gdyby *carabinieri* zwrócili się z prośbą o dostęp do tajemnic Stolicy Apostolskiej, Watykan natychmiast utopiłby sprawę w biurokratycznych procedurach aż do Dnia Sądu Ostatecznego.

I dlatego Alfie zmierza właśnie przez Bramę św. Anny przy *via di Porta Angelica* do wejścia do Archiwum, mieszczącego się obok

Biblioteki Watykańskiej. Ze słonecznej ulicy wchodzi w chłodny korytarz, czując narastającą w gardle gulę strachu. Gdy jego kłamstwo wyjdzie na jaw - a Alfie zdaje sobie sprawę, że nawet jeśli dziś mu się uda, to będzie musiał się z tego wypowiadać - czeka go surowa kara, być może nawet zawieszenie w obowiązkach.

Na szczęście Alfredo Giordano całkiem nieźle zna niekończący się labirynt pomieszczeń i korytarzy Archiwum, a co najważniejsze, zna też kilka osób z obsługi. Jako bibliotekarz regularnie spotyka się z archiwistami, doręczając im nowe dokumenty i księgi. Może nawet pochwalić się przelotną znajomością z emerytowanym prefektem Archiwum, kardynałem Markiem van Berkelem.

Zbliżając się do punktu, za którym nie będzie już odwrotu, rozmyśla nad zasadniczą przeszkodą swojej misji. Szczęśliwcy, którym udaje się dostać do Archiwum, podlegają drakońskim ograniczeniom. Największy problem stanowi fakt, że gościom nie wolno samodzielnie szukać niczego na półkach ani wnosić żadnych materiałów. Innymi słowy, Alfie musi dokładnie określić, jakiej książki lub dokumentu szuka - a tego nie wie - po czym poczekać, aż któryś z archiwistów mu ją przyniesie.

Ściskając w rękach notes z godłem Watykanu i kilka segregatorów z biblioteki ogólnej Stolicy Apostolskiej, podchodzi do biurka recepcjonisty, za którym siedzi młody asystent o szarej twarzy i rybich oczach.

- Jestem ojciec Alfredo z głównej biblioteki. Muszę sprawdzić pewien dokument.

Rybioki książdź przebiega palcami po klawiaturze komputera.

- Czy ma ojciec numer katalogowy?

Alfie kartkuje notes, a następnie podsuwa go asystentowi, żeby ten mógł przepisać numer.

Komputer szumi cicho. Archiwista, mrużąc oczy, wpatruje się w komunikat o braku wyników.

- Spróbuję jeszcze raz. Co to ma dokładnie być?
- Chodzi o dokument dotyczący potencjalnego wpływu pewnego etruskiego artefaktu na konstrukcję ołtarzy we wczesnych latach chrześcijaństwa.

Rybioki prychna i znowu stuka w klawiaturę.

- Przykro mi, ale niczego takiego nie znalazłem. Kiedy go ojciec przesłał?

Przez następne pół godziny Alfie urabia archiwistę, podrzucając mu kolejne słowa kluczowe i potencjalne lokalizacje dokumentu. Wreszcie, starannie wybierając odpowiedni moment, uderza ze złością dłonią w blat biurka.

- Przecież tak się nie da pracować - oznajmia głośno. - Chcę się zobaczyć z kardynałem. To karygodne, że ten materiał zaginął.

Na twarzy archiwisty maluje się ogromne zaskoczenie. Zrezygnowany sięga po spis wewnętrznych telefonów.

- Chwileczkę! - powstrzymuje go Alfie, starając się wyglądać na rozdrażnionego, ale gotowego do ustępstw. - Nie chcę, żeby ktoś miał przez to kłopoty, a zwłaszcza ksiądz lub ja. Proszę pozwolić mi porozmawiać z archiwistą, który zajmuje się tym działem. Jeśli opiszę mu ten dokument, z pewnością zdoła go znaleźć. - Alfie porozumiewawczo pokazuje palcem komputer.

- W końcu czasami technologia nas zawodzi.

Pięć minut później Alfie jest już za bramką wejściową i wędruje wzdłuż długich półek, zastawionych księgami rachunkowymi papierstwa, woluminami podarowanymi przez wpływowych wiernych, korespondencją dyplomatyczną z rządami innych państw i tysiącami tajemnic.

Nie ma najmniejszego zamiaru rozmawiać z ojcem Carlo, który odpowiada za interesujący go dział. Zamiast tego odnajduje miejsce, w którym umówił się z archiwistą, po czym chowa się za filarem. Po kilku minutach pojawia się młody, wychudzony ksiądz. Jak przystało na wzorowego pracownika, cierpliwie czeka na spotkanie. W końcu jednak rezygnuje i zmierza ku solidnym drzwiom prowadzącym do jego stanowiska. Alfie podąża za nim, trzymając się kilka kroków z tyłu.

Po chwili orientuje się, że dział ojca Carlo jest długi jak Via Appia: po obu stronach niekończącego się korytarza stoją czarne, metalowe półki, sięgające od podłogi po sufit.

Dobra wiadomość jest taka, że udało mu się zlokalizować odpowiednią sekcję i wejść do środka. Szanse na to, że ktoś go tu zauważy, są znikome, a jeśli nawet, to ma przekonujące wyjaśnienie.

Zła wiadomość z kolei jest taka, że nie ma pojęcia, od czego zacząć poszukiwania.

CAPITOLO L

Rok 1778

hola di San Giorgio Maggiore, Wenecja

Barwione szkło w oknie gabinetu opata rozbiło się na kawałki. Błękitne, zielone, złote i białe okruchy są wszędzie. Wszystkie szuflady zostały wyciągnięte z biurka i opróżnione. Z zamkniętych

szafek wyrwano drzwiczki. Na podłodze zalegają sterty papierów i dokumentów, celowo pozalewane atramentem.

Opat odprawia dwóch towarzyszących mu mnichów i zamyka drzwi. Staje przed Tommaso i zatacza dłonią okrąg po zrujnowanym pomieszczeniu.

- Wygląda na to, że pożar szopy na łódzie miał jedynie odwrócić naszą uwagę, bracie.

Tommaso obawia się najgorszego.

- Czy pamiątki po mojej matce zostały skradzione?

Opat przygląda mu się uważnie, zastanawiając się, czy młody mnich nie był przypadkiem zamieszany we włamanie.

- Tak. Zniknęły - odpowiada ostrożnie, obserwując twarz Tommaso. Następnie wskazuje palcem resztki dębowej boazerii. - Były ukryte w skrytce w ścianie. - Opat zdejmuje z pasa łańcuszek. - Tylko ja miałem do niej klucz. Opowiedz mi wszystko, czego udało ci się dowiedzieć o tej tabliczce.

Tommaso milczy.

- Bracie, wiem, że rozpytywałeś o nią w mieście.

Młody mnich ucieka wzrokiem przed przeszywającym spojrzeniem opata. Gniew, który gotował się w nim tak długo, nagle zniknął, a jego miejsce zastąpił wstyd, że odkryto jego sekret.

- Moja tabliczka jest jedną z trzech. Podobno jest częścią etruskiego artefaktu zwanego Tabliczkami z Atmanty. - Tommaso celowo przemilcza inne nazwy.

Opat wpatruje się w niego w milczeniu. W duszy czuje irytację, że jego poprzednik po prostu nie otworzył tej skrzynki, gdy matka chłopca pozostawiła go na progu klasztoru. Gdyby był bardziej przewidujący, cała ta historia nigdy nie miałaby miejsca. Poza tym wciąż nie ma pewności, czy Tommaso nie maczał palców w tej kradzieży. Srebrna tabliczka jest zapewne warta małą fortunę. Dość, żeby

biedny mnich mógł rozpocząć nowe, wygodne życie. - Z kim o tym mówiłeś? Opowiedz mi, kogo dokładnie pytałeś o ten artefakt.

Tommaso pokrótce streszcza swoje poszukiwania. Wymienia jednak tylko Ermanno i Efrana. Uznaje, że lepiej będzie nie wspominać o kobiecie. Miała taką niewinną twarz. Stawianie jej w jednym szeregu z dwoma handlarzami wydaje mu się niestosowne.

- Efran wydawał się bardzo wykształcony. Bardzo odczytany i nader pomocny. Czuję się jak ostatni głupiec.

- Zawodowi oszuści. Zapamiętaj sobie tę przygodę, gdy będziesz odprawiał pokutę za swoją naiwność.

Tommaso ze skrucną pochyla głowę.

- Tak jest, wielbny ojcie. - Nerwowo przesuwając paciorki różańca i bawi się krucyfiksem na szyi. Po chwili podnosi wzrok. - Ojcie, czy mogę zadać ojcu kilka pytań?

Opat niechętnie udziela mu zezwolenia.

- Gdy pokazałem ojcu tabliczkę, czy wiedział ojciec, czym ona jest?

Opat już wie, do czego zmierza młody mnich.

- Miałem podejrzenia. Uznałem jednak, że równie dobrze mogę się mylić, dlatego niczego ci nie powiedziałem.

- Dlaczego nie miał ojciec pewności?

Opat z zamyśloną miną przechyla głowę.

- Wydawało mi się nieprawdopodobne, żeby tak cenny przedmiot znalazł się tutaj, pozostawiony w spadku porzuconemu dziecku. Nie pozbyłem się wszystkich podejrzeń tylko dlatego, że wielu uważa, iż tabliczki te powstały zaledwie kilka mil od naszego klasztoru.

- Czy przekonał ojca list mojej matki?

- Do pewnego stopnia. Prawdę mówiąc, cały czas wątpiłem, dopóki tabliczki nie skradziono. Trud, jaki zadał sobie złodziej, żeby

dostać się tutaj i wynieść tabliczkę, wskazuje, że mamy do czynienia z autentycznym skarbem. Niedługo przybędzie do nas ekspert z Watykanu. Chorował, w przeciwnym razie byłby tu już dawno. Tommaso ma minę skrzywdzonego dziecka.

- Wielebny ojcze, z radością sam pokazałbym ojcu ten list. Nie było potrzeby wynosić go ukradkiem z mojej celi.

- Istotnie, żałuję tego. - Twarz opata łagodnieje. - Ale musisz zrozumieć, Tommaso, że miałem wątpliwości w wielu sprawach - także wobec ciebie.

Młody mnich nie potrafi ukryć rumieńca wstydu. Trudno się dziwić, że opat mu nie ufał.

- A list? - Tommaso wbija wzrok w podłogę. - Czy jest gdzieś tutaj? - Klęka i zaczyna przeszukiwać zasłaną szklanymi odłamkami podłogę. Potem patrzy na wyłamane drzwi do szafy.

- Czy jego też skradziono?

Opat podchodzi do niego, bierze go delikatnie pod ramię i podnosi z podłogi.

- Ze smutkiem muszę powiadomić cię, że go tu nie ma. Ktokolwiek ukradł tabliczkę, zabrał ze sobą także skrzynkę i list.

Tommaso wpada w rozpacz. Stracił dar od matki. Odebrano mu też list - ostatni okruc, jaki mu po niej pozostał. A co gorsza, złodziej dowie się, że drugą tabliczkę ma siostra Tommaso. Grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo.

Tommaso uwalnia ramię z uścisku opata.

- Wybacz mi, wielebny ojcze, ale mój czas tutaj dobiegł końca - oznajmia z determinacją. Muszę odejść stąd jak najszybciej.

Opat dostrzega wyzwanie w oczach młodego mnicha.

- Nie zrobisz tego, bracie. Jeśli choć na krok ruszysz się z klasztoru, w godzinę znajdziesz się w rękach inkwizycji.

ROZDZIAŁ 52

Czasy współczesne Więzienie San Quentin, Kalifornia

W więzieniu stanowym San Quentin wyroki odsiaduje ponad pięć tysięcy skazańców, w tym największa liczba skazanych na śmierć w całej Ameryce. Incydenty zdarzają się praktycznie codziennie. Nie inaczej jest dzisiaj.

Strażnicy piętra odsuwają zewnętrzne drzwi do celi śmierci Larsa Bale'a i z przerażeniem stwierdzają, że więzień leży nieprzytomny na podłodze. Jego skóra ma trupioblady odcień. Z oczu, nosa i uszu sączy się krew. Na ustach, podbródku i brodzie widać smugę wymiocin.

Strażnicy włączają alarm, powiadamiają lekarzy i pośpiesznie otwierają zamek. Do środka pierwszy wchodzi Jim Tiffany. Klęka przy więźniu, żeby zbadać puls. Bale jęczy cicho.

- Żyje! - Tiffany szybko odwraca go na plecy.

Już ma zacząć resuscytację, gdy nagle skazaniec zaczyna się trząść. Ze śmiechu.

- Jezu Chryste! Co jest, kurwa? - Tiffany odskakuje od więźnia. Jego asystent Pete Hatcher ze zdumienia prawie upuszcza krótkofalówkę.

Bale podnosi się, rechocząc jak pięciolatek, który usłyszał świński dowcip.

Strażnicy w końcu zaczynają rozumieć. Ten pieprzony psychopata pomalował sobie twarz, żeby udawać trupa.

Bale szczerzy się w uśmiechu.

- Taki żarcik, chłopaki. Pomyślałem sobie, że zrobię próbę generalną przed wielkim dniem. Już wkrótce na ekranach - koniec doczesnej egzystencji Larsa Bale'a. Ale nie rońcie łez - ja wrócę. Z gwizdem i przytupem.

Tiffany łapie więźnia za kołnierz.

- Ty walnięty, pieprzony sukinsynu! Świat będzie lepszy, jak cię w końcu ukatrupią i zakopią, zafajdańcu.

Bale wytrzeszcza na niego oczy. Rozkłada szeroko ramiona i syczy jak wąż.

- Skurwiel! - wrzeszczy Tiffany, przyciskając więźnia do ściany. Hatcher pospiesznie zakłada kajdany na nadgarstki i kostki Bale'a. Obaj strażnicy nie patyczkują się ze skazańcem, który cały czas rechocze i syczy.

- Stul pysk - warczy Tiffany, ponownie łapiąc Bale'a za kołnierz. - Masz odebrać telefon. Z polecenia naczelnika. Gdyby nie kazał nam dostarczyć cię do telefonu i zmusić do odebrania, to resztę dnia spędziłbyś, wypluwając zęby do miski w pieprzonym skrzydle szpitalnym.

Tiffany i Hatcher wyprowadzają więźnia z celi. Wloką go ze sobą tak szybko, że Bale nie nadąza stawiać kolejnych kroków zakutymi w kajdany stopami i omal się nie przewraca.

W pokoju telefonicznym wpychają go w kąt i czekają na przełączenie rozmowy.

Bale i Tiffany wpatrują się w siebie intensywnie. Strażnik jest mocno wystraszony, ale nie odwraca wzroku.

Bale uśmiecha się.

- Panie Tiffany, mogę panu coś powiedzieć? - pyta uprzejmym tonem.

- Nie masz mi nic do powiedzenia, ty pojebany sukinsynu.

- Pan jeszcze o tym nie wie, ale pańska żona, Susan, ma raka w cipce. To ją zabije. Powoli i boleśnie.

Tiffany traci panowanie nad sobą. Nie ma pojęcia, skąd Bale zna imię jego żony i w tej chwili mało go to obchodzi. Z całej siły uderza skazańca w żołądek. Bale zgina się w pół i spada z krzesła. Tiffany bierze zamach, żeby kopnąć go w twarz, ale Hatcher w porę go odciąga.

- Chryste panie, Jim!

Rozlega się jazgot dzwonka telefonu na ścianie. Obaj strażnicy i więźniów zatrzymują się w pół kroku. Telefon brzmi jak gong na koniec rundy w pojedynku bokserskim. Hatcher podsuwa krzesło i sadza na nim ogłuszonego Bale'a, cały czas patrząc spode łba na Tiffany'ego. Podnosi słuchawkę i zasłania mikrofon dłonią.

- Ani słowa o tym, co tu zaszło, Bale - rzuca więźniowi mordercze spojrzenie i odsłania słuchawkę. - Tak. Tak, jest tutaj.

Chwileczkę, już podchodzi. - Wręcza telefon skazańcowi, który z niejakim trudem podnosi skute dłonie.

Wciąż jest lekko ogłuszony po ciosie Tiffany'ego.

- Lars Bale?

Więzień w końcu odzyskuje oddech.

- Słucham.

- Lars, mówi Tom Shaman. Spotkaliśmy się kilka lat temu, kiedy byłem księdzem.

Na twarzy Bale'a pojawia się szeroki uśmiech.

- Aaa, ksiądz Tom. Tak się właśnie zastanawiałem, kogo Bóg wyśle do mokrej roboty.

CAPITOLO LI

Rok 1778

Canal Grande, Wenecja

Blady księżyc w pełni wisi na porannym niebie, przypominając nieco podróżnego, który spóźnił się na ostatni powóz do domu i musi czekać do wieczora na kolejny.

W normalnych okolicznościach Tommaso zapewne zatrzymałby się, żeby obserwować, jak zarys księżyca z wolna rozplywa się w świetle dnia. Ale nie dziś. Dziś się spieszy. Jak nigdy wcześniej.

W chwili gdy przestąpił próg klasztoru, rozpoczął się dla niego zabójczy wyścig. Nie tylko z czasem, ale również ze złodziejami tabliczki i całą potęgą Kościoła katolickiego.

Groźba przekazania go w ręce inkwizytorów wstrząsnęła Tommaso do głębi. Ermanno i Efran z całą pewnością zostaną aresztowani za herezję i z całą pewnością poddani torturom, z których nie wyjdą żywi. Jego samego zaś czeka prawdopodobnie oskarżenie o apostazję, czyli porzucenie wiary. Będzie miał szczęście, jeśli wyjdzie z tego żywy.

Gnany narastającą paniką biegnie ku spalonej szopie na łodzie, modląc się, żeby pamięć go nie zawiodła.

Na razie ma szczęście. W pożarze spłonęła tylko jedna łódź. Mniejsza, ta, którą co rano opływał wyspę, została ocalona z płomieni przez jakiegoś przytomnego mnicha. Tommaso spycha ją na wodę i gramoli się do środka. Kilku braci wybiega z klasztoru i pędzi ku niemu z boczem wzgórza. Przy głównej bramie Tommaso widzi

nieruchomą postać opata. Przyływ jest niski, więc szybko oddala się od brzegu, pozostawiając za sobą jedyne życie, jakie znał.

W miarę jak wyspa maleje w oddali, a z laguny uderza go powiew chłodnego wiatru, Tommaso się uspokaja. Upłynie wiele godzin, zanim ktokolwiek dotrze do pozbawionego łodzi klasztoru - jeśli będzie miał szczęście, nawet cały dzień. Chyba że dziś przybędzie wysłannik z Watykanu. W takim przypadku natychmiast znajdzie się łódź, a inkwizycja zostanie niezwłocznie powiadomiona o jego ucieczce.

Ta myśl wywołuje w nim kolejną falę paniki i Tommaso porzuca pierwotny plan zacumowania w pobliżu Pałacu Dożów. Zamiast tego kieruje się ku Canal Grande. Widok sylwetki bazyliki Santa Maria della Salute sprawia, że zaczynają targać nim wątpliwości. Mimo to wiosłuje bez wytchnienia. Płyynie na północ, aż wreszcie, niemal zupełnie wyczerpany, dobija do niewielkiej kei po południowej stronie Ponte di Rialto i cumuje łódź.

Mimo zmęczenia i pragnienia przemierza kolejne ulice, aż w końcu dociera do celu. Nad drzwiami sklepu handlarza sztuką i antykami wisi szyld z nazwiskiem. Gatusso.

Tommaso przyciska pobrudzoną sadzą twarz do wypolerowanej szyby. Tanina, zajęta owijaniem w płótno niewielkiego olejnego pejzażu, podnosi wzrok i przez chwilę wpatruje się w niego ze zdumieniem. Szybko jednak otrząsa się z szoku, kończy transakcję i wychodzi z klientem pod pozorem odprowadzenia go do drzwi.

Kiedy klient znika za rogiem, dziewczyna podchodzi do Tommaso. Jest jego jedyną łączniczką z ludźmi, którzy mogli wykraść tabliczkę. Pierwszym ogniwem łańcucha, który, ma nadzieję Tommaso, doprowadzi go do pozostałych tabliczek, a tym samym do siostry.

Tanina zamyka za sobą drzwi.

- Brat Tommaso?

Tommaso usiłuje uspokoić nerwy.

- Moje dziecko, jesteś w potwornym niebezpieczeństwie. Opat już wie o kradzieży, której dopuścili się twoi przyjaciele, a wkrótce dowie się również inkwizytor.

Tanina patrzy na niego ze zdziwieniem.

- Proszę mi wybaczyć, ale nie rozumiem, o co bratu chodzi.

- Twój narzeczony i ten handlarz, Efran, włamali się do opactwa i ukradli przedmiot, o którym rozmawialiśmy.

- Nonsens! - protestuje Tanina. - Efran i Ermanno nie są złodziejami! Inkwizycja nie ma żadnego powodu, by się nami interesować.

Tommaso łapie ją za ramię.

- To nie jest czas na kłamstwa! - Rozgląda się wokół nerwowo. - Twoi przyjaciele poprzedniej nocy włamali się do komnat opata i zabrali stamtąd srebrną tabliczkę, która należy do mnie.

Tanina wyzwała się z jego uścisku.

- Nie! To niemożliwe.

- Obawiam się, że to prawda. Wyznałem opatowi imiona twojego narzeczonego i jego pomocnika, ale przemilczałem twój udział. Jeśli wyruszymy natychmiast, istnieje szansa na ocalenie.

Tanina patrzy w okno sklepu. Jej nieobecność zwróciła uwagę Gatusso, który wyszedł ze swojego kantorku. Widzi go kręcącego się przy stole i wyglądającego przez okno.

- Bracie, myślę, że się brat myli. Poprzednią noc Ermanno spędził ze mną. Całą noc. A o Efranie można powiedzieć wiele rzeczy, ale z pewnością nie to, że jest złodziejem.

W jej oczach Tommaso dostrzega tylko prawdę, ale wciąż jest sceptyczny.

- Moje dziecko, być może masz rację, ale możesz też całkowicie się mylić. Tak czy inaczej, musimy iść. Natychmiast.

Tanina wie, że mnich ma rację. Trybunał inkwizycji z całą pewnością pošle ich wszystkich na tortury, niezależnie od tego, czy istotnie są winni.

- Proszę chwilę poczekać.

Wraca do sklepu. Na twarzy Lauro Gatusso maluje się niepokój.

- Co się dzieje, Tanino? Coś się stało?

Dziewczyna narzuca na siebie pelerynę.

- Moja sąsiadka ciężko zachorowała - wymyśla na poczekaniu. - Ten braciszek na zewnątrz jej dogłada. Powiedział mi, że sąsiadka chce się ze mną niezwłocznie zobaczyć. - Owija ramiona peleryną. - Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko, żebym do niej poszła? Wrócę tak szybko, jak będę mogła.

- Nie, skądże. Idź. Nie mamy dziś zbyt wielkiego ruchu. - Gatusso zerka na kieszonkowy zegarek. - Za dwie godziny muszę być w banku. Postaraj się wrócić do tego czasu.

Tanina obdarza go uśmiechem i wybiega na ulicę przy akompaniamencie dzwonka nad drzwiami.

Gatusso zna ją od dziecka. Nigdy nie potrafiła go oszukać. Ani w dzieciństwie, ani teraz. Podchodzi do okna i obserwuje, jak Tanina oddala się w pośpiechu w towarzystwie zdenerwowanego młodego mnicha. Brat z klasztoru na wyspie z pewnością nie zostałby wezwany do chorej parafianki na stałym lądzie.

Gatusso nakłada płaszcz i odwraca tabliczkę na drzwiach na stronę, na której widnieje napis *Chiuso* - „zamknięte”.

ROZDZIAŁ 53

*Czasy współczesne
Hotel Rotoletti, Wenecja*

Księża pod wieloma względami przypominają policjantów. Na przykład instynktownie dostrzegają pewne rzeczy. Niewielkie zmiany. Zawahania rozmówcy. Pokrętne odpowiedzi na pytania. Słowem, wszystko, co pozwala im dotrzeć do prawdy.

Pomimo dzielących ich tysiący mil Tom przez telefon wychwytuje sporo takich sygnałów - jak choćby fakt, że głos Larsa Bale'a brzmi zupełnie inaczej niż przed dziesięciu laty. Jest napięty. Lekko warczący. Jakby w jego wnętrzach krążyła uwięziona dzika bestia.

Ale jest jeszcze coś. Coś, co zupełnie nie pasuje do człowieka, który niedługo pożegna się z życiem. Bale jest spokojny. Za spokojny.

Tom postanawia wrócić do uwagi, którą więzień rzucił na początku rozmowy.

- Lars, co miałeś na myśli, mówiąc, że zastanawiałeś się, kogo Bóg pošle do mokrej roboty?

Bale śmieje się cicho, jakby Tom przypominał mu jakiś stary żart.

- Zostałeś wybrany, księżulku, tak jak ja. Zadzwońeś, bo wiesz, że wszystkie nitki prowadzą do mnie. Wszystko, co się wydarzy, wydarzy się za moją sprawą.

Tom jest zdumiony. Wypowiedź Bale'a jest tak egzotyczna i niejasna, że można zinterpretować ją na wiele sposobów.

- Co masz na myśli? Nie rozumiem, o co ci chodzi, Lars.
- A ja sądzę, że świetnie rozumiesz. Uganiaasz się po Wenecji za duchami. Polujesz na widma w lagunie i w zakrystii. - Lars głośno chichocze.

Tom nie ma pojęcia, skąd Bale wie o jego wyjeździe do Wenecji. Może naczelnik mu powiedział. Albo na wyświetlaczu telefonu pokazał się numer kierunkowy kraju. Na pewno jest jakieś racjonalne wytłumaczenie - cokolwiek, byle nie to, co podsuwa mu instykt.

- Nasze ścieżki miały się przeciąć, Tom. Przepowiedziano to już na kilka wieków, zanim ta wasza święta dziewica zaciążyła bez rżnięcia i urodziła synalka bożego.

Tom nie ma czasu na dyskusję z bluźnierstwami. Czas przejść do rzeczy.

- Pamiętam, że miałeś sporo tatuaży. Między innymi pod lewym okiem, w kształcie łzy, zgadza się?

Bale ignoruje jego pytanie.

- Powiedz mi, klecho, myślałeś o Bogu, kiedy pierwszy raz się z nią pieprzyłeś? Kiedy wciskałeś swojego świętego kutasa w słodką szparkę Tyny, czy wzywałeś imienia Pana?

Po plecach Toma przebiega dreszcz. Tina? Skąd on wie o Tinie? Wtedy jednak przypomina sobie artykuły w prasie i dochodzi do wniosku, że albo Bale musiał dostać do rąk któryś z tabletołów, albo, co gorsza, pisały o tym normalne gazety.

- Zadałem ci pytanie, Lars: czy masz pod okiem tatuaż w kształcie łzy?

- Wiesz, że mam. - Bale sprawia wrażenie rozbawionego. - A teraz ty mi coś powiedz, księżulku. O czym myślałeś, rżnąc swoim wyświęconym fiutem jej wilgotną cipkę? Miałeś wzwód od myśli o Bogu czy o jej ciele i własnej przyjemności?

Tom nie daje się zbić z tropu.

- Czy to był symbol gangu, Lars? Czy pozostali członkowie twojej sekty też mieli takie tatuaże?

Skazaniec ponownie go ignoruje.

- Co krzyczałeś, dochodząc, księżulku? - pyta niskim, lubieżnym głosem. - Gdy wyrzucałeś z siebie długie lata celibatu, czy wzywałeś imienia Pana Boga nadaremno?

Tom walczy z napływającymi w myślach obrazami Tiny. Jej usta, piersi, pachnąca skóra...

- Wspominasz ją sobie, co Tom? Jestem pewien, że tak - Bale podnosi głos, udając orgazm. - O Boże! O Jezu, o słodki kurwa Jezu, dochodzę! - Wybucha opętańczym rechotem.

- Odpowiadaj! - nie wytrzymuje wreszcie Tom. - Co oznacza ten tatuaż?

Chichot Larsa stopniowo cichnie.

- To nie jest łaża, matole - odpowiada w końcu głębokim, gardłowym głosem. - Czy ty w ogóle widziałeś moje obrazy? Przyglądałeś im się kiedyś? Czy jesteś, kurwa, zupełnym ignorantem?

Nerwy Toma są napięte jak postronki. W myślach rozpaczliwie usiłuje przypomnieć sobie obrazy Larsa Bale'a. Przypomina mu się cela mordercy - szare prześcieradło, łóżko przybite do podłogi, brak jakichkolwiek zdjęć, wszechobecny zapach świeżych farb i rzędy płócien ustawionych obok stalowego klozetu. Nic więcej.

- Jesteś głupcem, klecho. Podobnie jak cała reszta skurwieli w kościołach i na posterunkach całego świata.

Bale puszcza słuchawkę, która zawisa na metalowym przewodzie. Tiffany i Hatcher ruszają w jego kierunku.

- Będę na ciebie czekał, klecho! - wrzeszczy Bale do wiszącej słuchawki. - Zobaczymy się w pierdolonym piekle!

CAPITOLO LII

Rok 1778

Ponte di Rialto, Wenecja

Tanina i Tommaso przeciskają się pospiesznie przez poranny dum. Mnich usiłuje opowiedzieć jej o swojej siostrze, ale dziewczyna w ogóle go nie słucha. Jej myśli zajmuje wyłącznie wisząca nad nią groźba śledztwa inkwizycji. Zamiast do swojego domu, prowadzi mnicha do swojej przyjaciółki w Rio Terà San Vio.

Giuseppe, odźwierny Lydii, otwiera im drzwi i prowadzi do salonu, po czym oddała się, by powiadomić panią domu o gościach. Tommaso opiera łokcie na kolanach i ukrywa głowę w dłoniach. W ciągu zaledwie kilku dni jego uporządkowane życie zmieniło się w chaos.

Lydia pojawia się po kilku minutach, zaintrygowana niespodziewaną wizytą przyjaciółki i nieznanego mnicha o smutnej twarzy.

- Tanino, co za niespodzianka. Sądziłam, że pracujesz dziś w sklepie.

- Pracowałam. - Tanina wstaje i ujmuje dłonie Lydii. - Czy możemy zamienić kilka słów na osobności? - Zerka przez ramię na Tommaso. - *Scusi*.

Mnich kiwa głową i cierpliwie czeka. Wciąż zastanawia się, czy Tanina powiedziała mu prawdę. Niewykluczone, że kłamie - być może w kradzieży uczestniczyła cała trójka. A może Ermanno rzeczywiście spędził noc razem z nią, co oznacza, że to Efran ukradł

tabliczki. Od natłoku myśli kręci mu się w głowie - może tak naprawdę wszyscy są niewinni, a on niesłusznie ich osądza?

Otwierają się dwuskrzydłowe drzwi, w których staje Tanina.

- Proszę, niech brat wejdzie.

Za drzwiami znajduje się obszerny salon wyłożony kremowym marmurem, w którym odbijają się dwa olbrzymie żyrandole z murańskiego szkła.

- Lydio, to jest brat Tommaso.

- Już nie. Opuściłem klasztor kilka godzin temu. - Były już mnich zmusza się do uśmiechu. - Teraz jestem tylko zwyczajnym Tommaso.

- Nie jesteś wcale taki zwyczajny - odpowiada Lydia z błyskiem w oku. - Proszę usiąść. Tanina twierdzi, że potrzebujecie pomocy.

Tommaso rzuca karcące spojrzenie dziewczynie, która przybiera obronną pozę.

- Lydia jest moją najbliższą przyjaciółką. Powiernicą. Opowiedziałam jej o wszystkim. Twierdzisz przecież, że wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie.

- Bo jesteśmy.

- Jeden z moich dawnych kochanków zostawił u mnie trochę ubrań - wtrąca Lydia, taksując Tommaso wzrokiem. - Jesteś mniej więcej tego samego wzrostu. - W jej oku ponownie pojawia się błysk. - Sądzę, że łatwiej będzie ci się ukryć, jeśli zrzucisz ten czarny habit.

Tommaso nagle uświadamia sobie, że nigdy nie miał na sobie niczego prócz klasztornych szat. Ta myśl rodzi w nim niepokój.

- Jestem pani wdzięczny za życzliwość.

Tanina wstaje.

- Przebierz się, a ja tymczasem pójdę po Ermanno i Efrana. Wspólnie zadecydujemy, co robić dalej.

Tommaso w dalszym ciągu nie ufa jej przyjaciółom i Tanina wyraźnie to dostrzega. Odwraca się do Lydii.

- Wiem, że nie możemy tu zostać. Odejdziemy, jak tylko opracujemy jakiś plan.

Lydia dotyka dłonią jej ramienia.

- Nie obawiaj się, moja droga. Mam wielu wysoko postawionych przyjaciół. Straż inkwizycji nie ośmieli się nas niepokoić. - Lydia przechyla figlarnie głowę i mruga. - A teraz pędź po swoich przyjaciół i pozostaw mnie z naszym udręczonym celibatem przyjacielem i jego pilnymi potrzebami.

ROZDZIAŁ 54

Czasy współczesne
Hotel Rotoletti, Wenecja

Mętne, wieczorne światło sączy się przez brudne szyby do pokoju hotelowego Toma, który siedzi przy oknie, pogrążony w rozmyślnościach.

Namiętne noce z Tiną w luksusowym apartamencie w Luna Baglioni wydają mu się odległe o całe lata świetlne. Ale to mu nie przeszkadza. Jego myśli zajmuje coś zupełnie innego.

„To nie jest łza”. Słowa Larsa Bale'a dręczą go. Co właściwie przedstawiają identyczne tatuaże u więźnia w celi śmierci i wyuzdanej Mery Teale? Kijankę? Przecinek? Ślimaka?

Na kartce papieru rysuje kształt, który zapamiętał z twarzy Mery, ale w żaden sposób nie przybliży go to do rozwiązania zagadki. Nagle rozlega się dzwonek telefonu.

- Tom Shaman.

- Tom, tu Valentina. Przepraszam, że tak późno.

- W porządku. Co u ciebie? - Odsuwa od siebie kartkę.

Valentina wie, że w niewinnym z pozoru pytaniu kryje się znacznie więcej niż uprzejmość.

- W porządku. Nie martw się o mnie, zakopałam się w pracy na komendzie i obiecuję, że więcej nie pojawię się urzędną na twoim progu.

- Ej, nie wygłupiaj się - od tego są przyjaciele i progi.

Śmiech Valentyny jest nieco wymuszony.

- Vito chciałby, żebyś wpadł jutro z rana i opowiedział nam, czego udało ci się dowiedzieć. Wpół do jedenastej może być?

- Jasne. Zdobyłem trochę informacji, sądzę, że mogą się przydać. Zapisałem sobie wszystko i w sumie sam miałem do ciebie zadzwonić.

Drzwi gabinetu Valentyny otwierają się i staje w nich asystentka.

- Tom, poczekaj chwilkę. - Zasłania słuchawkę i patrzy na sekretarkę. - Tak?

- Major Carvalho chciałby się widzieć z panią porucznik. Jak najszybciej.

- Dzięki, za minutę u niego będę. - Valentina odsłania słuchawkę. - Przepraszam, muszę lecieć. Szef wzywa.

- Rozumiem. Ale zanim pójdziesz, muszę ci opowiedzieć o pewnym skazańcu z San Quentin. Nazywa się Lars Bale. Był przywódcą sekty i mordercą - razem ze swoimi wyznawcami zabijał turystów i rozsmarowywał ich krew...

- Tom, opowiesz mi to jutro - wpada mu w słowo Valentina. - Muszę lecieć.

- Dobra - odpowiada Tom zirytowanym głosem. - Ale to może być ważne - Bale ma tatuaż, taki sam jak Mera Teale. Tuż pod lewym okiem, w kształcie łyzy. Ściągnijcie jego zdjęcie z więzienia, to zobaczycie...

- Tom, ja naprawdę muszę już iść. Porucznik nie może spóźnić się na spotkanie z majorem. Przepraszam.

- Valentino!

Ale po drugiej stronie słuchawki słychać tylko sygnał zajętego łącza. Tom ze złością ciska słuchawkę na widełki, ale po chwili uświadamia sobie, że popełnił błąd. Powinien był od razu powiedzieć jej o swoich podejrzeniach. Wstaje i zaczyna krążyć po pokoju. Zerka na szkic tatuażu i nagle w jego mózgu zapala się lampka. Patrzy na rysunek do góry nogami i wreszcie rozumie, co Bale miał na myśli. To nie jest łyza. To szóstka. Czy może chwyta się brzytwy? Wyobraża sobie przysłowiowe znamię bestii?

Narzuca na plecy marynarkę i decyduje się iść prosto na komendę żandarmerii. Nawet jeśli się myli, lepiej będzie opowiedzieć o wszystkim Vito i Valentinie. I to lepiej wcześniej niż później.

Wychodząc z hotelu, zastanawia się, czy Bale i Teale kiedykolwiek się poznali. Oboje są Amerykanami, ale Mera jest znacznie młodsza. Oczywiście w Wenecji jest pełno Amerykanów, więc może to tylko przypadek. I co z tym tatuażem? Czy łyza jest równie popularna, jak pacyfka albo uśmiechnięta buźka? Czy może jest to współczesny znak rozpoznawczy satanistów? Może na jej ciele są jeszcze dwa takie tatuaże, tworzące razem trzy szóstki? Tom spędził dość czasu wśród gangów w Los Angeles i widział dość tatuaży, by w pełni docenić siłę, jaką ma symboliczne ozdabianie ciała dla podkreślenia swoich przekonań i przynależności.

Idzie na wschód wzdłuż Ponte tre Ponti, potem skręca na południe wzdłuż Fondamenta del Gafaro. Następnie zagłębia się w labirynt uliczek i zaułków prowadzących na skróty do budynków żandarmerii po północnej stronie Ponte di Rialto. Gdzieś w pobliżu Campo dei Frari jakiś mężczyzna w czerwonym podkoszulku i czarnych dżinsach patrzy prosto na niego i uśmiecha się. Tom usiłuje sobie przypomnieć, czy skądś zna tego człowieka. Tymczasem nieznajomy podnosi rękę, jakby chciał spojrzeć na zegarek.

Na twarzy Toma pojawia się wilgoć, jakby ktoś prysnął mu w twarz wodą. Tyle tylko, że od wody skóra nie płonie żywym ogniem. Gaz pieprzowy! Tom zasłania twarz dłońmi w momencie, gdy napastnik po raz drugi rozpyła gaz.

Oślepiiony Tom zatacza się. Nagle czuje ukłucie na karku. Strzykawka. Kolana mu mięką. Zbiera mu się na wymioty. Jego całe ciało zaczyna drętwieć. W końcu upada na ziemię jak ścięte drzewo.

ROZDZIAŁ 55

Tom słyszy głosy napastników dyskutujących głośno po włosku. Ktoś przewraca go na plecy. Oczy pieką go od kapsaicyny alkalidowej, głównego składnika gazu pieprzowego. Na jego twarzy znowu lądują krople, ale tym razem jest to woda. Woda z laguny. Wiozą go dokądś łodzią. - *Attenzione!* - ktoś krzyczy.

Tom budzi się, co nie umyka uwagi napastników. Chce zamknąć oczy i udawać nieprzytomnego, ale ktoś natychmiast rozpyła mu w

twarz kolejną dawkę gazu. Jego mózg ledwo nadąza zarejestrować ból, gdy w szyję wbija się następna strzykawka. Kończyny zmieniają się w galaretę i Tom ponownie odpływa w czarne odrętwienie.

Odzyskuje przytomność dopiero gdy napastnicy wnoszą go z łodzi. Od razu wyczuwa inne powietrze. Nieświeże. Chłodniejsze. Prawie wilgotne. Zdaje się, że wniesiono go do jakiegoś pomieszczenia.

Słyszy przyciszone głosy. Ci ludzie rozmawiają po włosku. Tom czuje ciepło ich ciał. Nie widzi ich, ale domyśla się, że stoją nad nim i dyskutują nad jego dalszym losem.

Powoli odzyskuje czucie w kończynach. Oczy znowu zaczynają piec. Wreszcie uświadamia sobie, że wpadł w poważne kłopoty.

Ręce i nogi ma związane. Mocno. Ktokolwiek go uprowadził, dołożył wszelkich starań, żeby Tom nie był w stanie uciec.

ROZDZIAŁ 56

Słońce jest jeszcze nisko nad horyzontem, gdy Vito Carvalho wchodzi do swojego gabinetu na ostatnim piętrze budynku żandarmerii.

Pali papierosa w otwartym oknie, wydmuchując dym ponad dachami i kanałami Wenecji. Ostatniej nocy prawie nie spał. A teraz z obawą myśli o tym, jak Valentina zareaguje na to, że postanowił

wyłączyć ją ze śledztwa. Powinien był to zrobić już dawno, od razu po śmierci Antonia. Dziewczyna nie miała ani chwili, żeby dojść do siebie i odpowiednio przeżyć żałobę.

Dopala papierosa i odchodzi od okna. Mimo wszystko wciąż nękają go wątpliwości. Praca pozwala Valentinie w miarę normalnie funkcjonować. Jest jedynym pewnym punktem, który powstrzymuje ją od kompletnego załamania. Vito kręci głową. Wpadka z odciskami palców diametralnie zmieniła sytuację. Nie mogą sobie pozwolić na kolejny taki błąd. Śledztwo jest ważniejsze od problemów osobistych porucznik Morassi.

Vito zasiada za biurkiem i przegląda nocne raporty dowódców poszczególnych zespołów. Stopniowo gabinet zapelnia się funkcjonariuszami. Za kilka minut pojawi się Valentina.

Major wciąż rozmyśla nad jej reakcją, kiedy nagle dzwoni telefon.

Po krótkiej rozmowie Vito natychmiast wysyła wszystkich swoich ludzi na miejsce kolejnego zdarzenia: do świątyni, którą weneccjanie nazywają *Chiesa d'Oro* - Złotym Kościołem.

Wielu ludzi natychmiast skorzystałoby z okazji, żeby zobaczyć bazylikę Świętego Marka bez tłumów turystów. Ale nie dziś.

Dziś nikt nie podziwia złotych mozaik na sklepieniach. Nikt nie zwraca uwagi na wspaniałą bizantyjską architekturę i majestatyczne kopuły. Po marmurowej posadzce, pokrytej geometrycznym wzorem, chodzą dziś tylko funkcjonariusze policji. A to, co przyciąga ich uwagę, znajduje się na przeciwległym biegunie wobec świętości.

Giovanni Bassetti siedzi w jednej z ław przy wejściu. Na jego popielatej twarzy maluje się szok i obrzydzenie. Jako główny

procurator bazyliki jest odpowiedzialny nie tylko za remont świątyni, ale także za pracę konserwatorów i ochroniarzy. A dziś zawiódł na całej linii. Historia nie zapamięta, z jaką dbałością za jego kadencji odnowiono rozpoznawalną na całym świecie świątynię i kwadrygę z połączanego brązu. Zapamięta za to bluźnierstwo, jakiego dopuszczono się w bazylice.

Vito Carvalho mija go, nie zatrzymując się, i zmierza główną nawą ku znajomej sylwetce Rocco Baldoniego. Gdzieś z boku rozlega się trzask migawki aparatu i niesie echem po pustym kościele. Major dochodzi do prezbiterium na postumencie i nie może pozbyć się wrażenia, że dopuszcza się grzechu, wchodząc na teren zwykle zarezerwowany dla kapłanów, a teraz zajęty w całości przez policję. W tym miejscu złożone są szczątki świętego Marka, wykradzione przez weneckich kupców z Aleksandrii w IX wieku. A dziś ktoś dopuścił się tu odrażającego bluźnierstwa. Za głównym ołtarzem znajduje się bezcenny bizantyjski *Pala d'Oro* - Złoty Ołtarz. Na nim zaś widnieje wyrysowany krwią symbol, ten sam, który znaleźli w La Salute. Pod nim dopisano cyfrę „6”.

Pojawia się Valentina. Przed chwilą rozesała ekipy, które mają przeszukać bazylikę i przesłuchać świadków. Porucznik Morassi żegna się, przyklęka, po czym dołącza do majora, stojąc na jednej z desek ułożonych przez dochodzeniówkę, aby uniknąć zanieczyszczenia miejsca przestępstwa.

- To wszystko? - pyta Valentina. - Nie ma nic więcej?

Vito przypomina sobie, że w tej chwili powinni być w jego gabinecie, a ona właśnie powinna usłyszeć, że zostaje wyłączona ze sprawy.

- Tyle znaleźliśmy na razie - odpowiada, postanawiając odłożyć swoją decyzję. - Nie ma wątroby, jeśli o to chcesz zapytać.

Major pochyła się do przodu, żeby lepiej przyjrzeć się krwawemu symbolowi, po czym zerka na funkcjonariuszkę z dochodzeniówki badającej Złoty Ołtarz.

- Namalowano to pędzlem?

Młoda, ciemnowłosa kobieta w kombinezonie ochronnym i rękawicach podnosi na niego wzrok.

- *Si*. Znaleźliśmy kilka włókien. - Kiwa głową w kierunku puszek z luminolem w sprayu. - I tak, to jest krew, a nie farba.

Vito prostuje się.

- Czyli nasz zabójca przechował krew ofiary, po czym przyniósł ją tutaj, żeby namalować bluźnierczy symbol w religijnym sercu Wenecji. A co z ofiarą? Żyje? Nie żyje? - Spogląda ku sklepieniu, jakby oczekując na odpowiedź z niebios. - Czy krew należała do jednej z osób, które już znaleźliśmy, czy kogoś innego, kogo dopiero musimy znaleźć?

Dołącza do nich Rocco.

- Dzwonili z komendy. Prasa zwietrzyła, że coś się dzieje. Co pan chce z tym zrobić?

Vito wykrzywia się ze złości.

- Nie chcę, żeby ludzie przeczytali o czymś takim w gazetach. Dziennikarze niczego nie mogą się dowiedzieć. Żadnych komentarzy, zdjęć ani plotek. Nic nie może wyjść na zewnątrz. Zrozumiano?

Rocco uznaje, że złe wieści najlepiej przekazywać od razu.

- Za późno. - Ogląda się na tylne rzędy ław. - Prokurator mówi, że był tu już jakiś typ z aparatem. Musieli go stąd wyrzucić.

Major miele w ustach ciężkie przekleństwo.

- Ślady włamania?

- Na pierwszy rzut oka nic - mówi Valentina. - Posłałam kilku ludzi, żeby to sprawdzili.

Vito rozgląda się i zauważa stalowe rusztowanie, kubły z farbą i tynkiem oraz kielnie i deski w rogu.

- Nasz bluźnierca nie musiał się włamywać. Prawdopodobnie przebrał się za konserwatora albo kogoś z ekipy remontowej, a potem schował się i odczekał, aż wszyscy wyjdą.

Vito schodzi z deski i oddala się od ołtarza. Nieobecność wątroby zaczyna go martwić. W głowie pojawiają mu się podejrzenia, co to może oznaczać.

- Sprawca musiał jakoś wyjść - stwierdza Rocco, podążając za dowódcą. - Spore ryzyko. Większa szansa, że ktoś go zobaczył, jak wychodził, niż jak wchodził.

- No to znajdź mi tego kogoś - warczy Vito. - Nie mamy czasu na debatowanie nad oczywistościami.

Valentina rzuca jeszcze jedno spojrzenie na symbol, po czym również schodzi.

- Przesłuchujemy już robotników. Nasi ludzie pytają, czy widzieli, żeby ktoś wychodził wcześniej. Sprawdzimy też turystów, może ktoś przypadkiem zrobił mu zdjęcie. Ale sam pan wie, jak ciężko jest ich namierzyć...

Vito kładzie ręce na skroniach i zamyka oczy.

- Panie Boże, spraw, żebym się mylił.

Valentina i Rocco wymieniają zdziwione spojrzenia.

- Nie ma wątroby, bo ofiara jeszcze żyje - wyjaśnia Vito. Kciukiem wskazuje na rozmazaną krew. - Ale jestem pewien, że to długo nie potrwa.

Wszyscy troje w milczeniu patrzą na zbezczeszczony Ołtarz, próbując odgadnąć zamysł sprawcy, jego motywację i ostateczny cel. Vito wskazuje na cyfrę pod symbolem.

- Co to oznacza? Ta cyfra. Co ona znaczy według was?
- Cyfry służą do liczenia - przypuszcza Valentina - więc może to jakieś odliczanie?
- Możliwe. Ale do czego? I ile jeszcze zostało? Godziny, dni, tygodnie? - Major odwraca się do Valentiny. - Znajdź mi tego cholernego eksksjędza. Znajdź go jak najszybciej i módl się, żeby potrafił nam powiedzieć, co to, do cholery, oznacza.

CAPITOLO LIII

Rok 1778

Rio Terà San Vio, Wenecja

Tommaso w końcu zaczyna, rozumieć, dlaczego Tanina ufa Lydii. Ich gospodyni należy do rzadkiego gatunku ludzi, którzy potrafią słuchać bez przerywania i kierowania rozmowy na temat, który tylko ich interesuje. Cierpliwie i uważnie słucha opowieści młodego mnicha. Nie przerywa, gdy Tommaso opowiada, że dopiero niedawno dowiedział się o swojej siostrze, o tym, że rozdzielono ich w dzieciństwie, i o tym, że ma nadzieję ją odnaleźć. I to szybko.

- Czy dowiadywałaś się w żeńskich klasztorach? - pyta Lydia. - Zakonnice prowadzą skrupulatne kroniki, być może uda ci się uzyskać imiona osieroconych dziewcząt w odpowiednim wieku.

Tommaso ma wystraszoną minę.

- Myślałem o tym, kiedy opuściłem klasztor, ale teraz nie mam na to czasu. Obawiam się też, że jeśli pokażę się w żeńskim klasztorze, opat z San Giorgio i inkwizytor natychmiast się o tym dowiedzą.

- Sądzę, że masz słuszość - zgadza się Lydia i posyła mu życzliwy uśmiech. - Za kilka dni jeden z moich sług rozpyta się dyskretnie o twoją siostrę. W Wenecji nie ma wielu żeńskich klasztorów, więc zadanie nie powinno być trudne.

Tommaso dziękuje jej wylewnie, gdy do salonu wchodzi Tanina w towarzystwie Ermanno i Efrana.

- Coś ty naopowiadał? - Ermanno rzuca się na młodego mnicha. - Ty przeklęty głupcze!

Efran staje między nimi.

- Dobrze wiemy, co naopowiadał. A teraz się uspokój. - Odpycha Ermanno, piorunując go wzrokiem, po czym odwraca się do Tommaso. - Nie jesteśmy żebrakami ani złodziejami, *signor*. Pragnęliśmy ubić z panem interes korzystny dla obu stron. - Rzuca znaczące spojrzenie na Ermanno. - Ani ja, ani mój przyjaciel nic nie wiemy o kradzieży pańskiej własności i czujemy się obrażeni, że mógł pan nas o coś takiego posądzić.

Lydia wstaje.

- Opuszczę was na chwilę. Muszę dopilnować pewnych spraw, ale wkrótce do was dołączę. Nakazę przygotować jakiś posiłek. - Odwraca się do Taniny. - Obawiam się, że może to być dla was ostatnia porządna wieczerza na pewien czas.

Ermanno obserwuje, jak Lydia wychodzi z salonu, cicho zamykając za sobą drzwi o mosiężnych klamkach, po czym ponownie rzuca się na mnicha:

- Czy zdajesz sobie sprawę, co z nami zrobi straż inkwizycji? Czyżbyś nie słyszał o Kanale Sierot, gdzie wrzuca się ciała skazańców straconych w lochu inkwizytora?

Tommaso zwiesza smętnie głowę, nie wiedząc, jak odpowiedzieć na zarzuty Ermanno. W ciągu kilku ostatnich godzin utracił najcenniejszą rzecz, jaką posiadał, porzucił powołanie i stracił dach nad głową.

Tanina dostrzega, że młody mnich jest przerażony. Siada obok niego i uspokajająco dotyka jego ramienia.

- Bracie, jestem przekonana, że zdołamy się z tego wypłatać. Choć muszę przyznać, że nasza sytuacja wygląda dość niewesoło. - Podnosi wzrok na dwóch pozostałych mężczyzn. - Naprawdę nie mieliście nic wspólnego z kradzieżą? Możecie przysiąc?

Ermanno kręci głową.

- Nic. Przysięgamy. Uwierz mi, nie mamy twojej tabliczki.

- Więc kto ją ma? - zastanawia się Tanina. - Kto mógł ją wykraść?

Trójka przyjaciół spogląda na siebie. Tommaso zauważa ich zmieszanie.

- Komu o niej opowiedzieliście? W ludzkiej naturze leży dyskusowanie o rozmaitych sprawach. Więc komu?

- Moja rodzina wiedziała - odpowiada nerwowo Ermanno.

- Moja siostra - ale ona ma ledwie dziewięć lat - oraz moja matka i ojciec. - Patrzy mnichowi prosto w oczy. - Mój ojciec handluje antykami w getcie. Ale z całą pewnością nie jest złodziejem.

- Wierzę. Ale być może rozmawiał z kimś, kto potem ukradł moje dziedzictwo.

Efran wzdycha ciężko.

- Już ci powiedziałem - zwraca się do Ermanno. - Nie mówiłem o tym nikomu oprócz ciebie.

Wszystkie oczy kierują się na Taninę.

- Opowiedziałam Lydii. A ona bez wątpienia nie jest złodziejką. Rozmawiałam też o tabliczce z Ermanno. Prawdę mówiąc, nie rozmawialiśmy o niczym innym.

Młody żyd marszczy brwi.

- Co to ma oznaczać?

- Nic - odpowiada rozdrażnionym głosem Tanina. - Tylko tyle, że miałaś obsesję na punkcie tej rzeczy.

- Więc uważasz, że to ja ją zabrałem?

- Nic takiego nie uważam! Wiem, że to nie ty ją ukradłeś, bo całą noc spędziliśmy razem. Miałam na myśli tylko to, że wołałabym, żebyś nieco mniej uwagi poświęcał odkrywaniu pochodzenia tej przekłętej tabliczki, a nieco więcej mnie.

Drzwi otwierają się ponownie, przyciągając uwagę całej czwórki. Do salonu wkracza Lydia.

- Stół jest nakryty, wkrótce zostanie podana kolacja. Posłałam jednego ze służących do domu mojego przyjaciela. Posiada on pewną kryjówkę, w której będziecie bezpieczni.

- Dziękuję - odzywa się Tanina. - Jesteśmy ci bardzo wdzięczni za gościnę i pomoc.

- Och, głupstwo! - Lydia uśmiecha się szeroko. - To wszystko jest bardzo ekscytujące. Wspaniała przygoda! - Chwyta Taninę i Tommaso za ręce i prowadzi ich ku drzwiom. - A teraz chodźcie. Napijemy się i zastanowimy, jak podnieść was na duchu.

ROZDZIAŁ 57

Czasy współczesne Komenda główna żandarmerii

Shaman gdzieś przepadł - informuje Valentina zaniepokojonym głosem. - Dzwoniłam do niego do hotelu. Powiedzieli, że wyszedł krótko po tym, jak rozmawiałam z nim wczoraj wieczorem, i od tego czasu nikt go nie widział.

- O której do niego dzwoniłaś? - pyta Vito, zerkając na zegar na ścianie.

- Około wpół do dziesiątej - siedzieliśmy jeszcze na komendzie.

Vito odwraca się do Baldoniego.

- Ściągnij jego bilingi i sprawdź, czy potem do kogoś jeszcze dzwonił. Niech ktoś sprawdzi restauracje, bary i szpitale na wypadek, gdyby się upił albo zrobił sobie krzywdę - kontynuuje major, spoglądając na Valentine. - Dajcie jego rysopis patrolom pieszym i wodnym.

- Porucznik Totti już zajmuje się bilingami - mówi Valentina. - Powiedziała, że chętnie nam pomoże.

- Dobrze - odpowiada Vito trochę nieobecny głosem. Nagle przychodzi mu do głowy przerażająca myśl. - Trzeba wysłać dochodzeniówkę do pokoju Toma. Niech poszukają jego włosów na poduszce, ręcznikach, szlafroku i tak dalej.

- DNA? - pyta zdumiona Valentina. - Chce pan zebrać jego DNA?

Vito marszczy brwi. Wie, że jego podwładna polubiła byłego księdza, być może nawet traktuje go jak substytut zamordowanego kuzyna.

- Wolę się zabezpieczyć, Valentino. Lepiej wcześniej, niż za późno.

Valentina w końcu rozumie.

- Krew w bazylice... Pan sądzi, że należy do niego.

- Nic na razie nie sądzę - tonuje ją Vito. - Po prostu chcę być przygotowany.

- To mogła być jego krew - wtrąca Rocco. - Sataniści pewnie mieliby frajdę, rozsmarowując krew księdza w świętym Marku.

Valentina piorunuje go spojrzeniem. Wciąż nie wybaczyła mu, że zwałił na nią całą odpowiedzialność za wpadkę z odciskami palców w kolonii hipisów. Tą ostatnią uwagą też nie zjednał sobie jej sympatii.

- Kiedy ostatni raz rozmawiałam z Tomem, wspomniał mi o jakimś seryjnym zabójcy z Kalifornii, który wypisywał krwią ofiar bluźniercze teksty w kościołach. Miał opowiedzieć nam o tym dzisiaj.

- Charles Manson? - pyta major.

Valentina kręci głową.

- Nie, nie. Nigdy wcześniej o nim nie słyszałam... Jakiś Yale? A może Cale? Coś w tym rodzaju. - Drapie się po głowie, usiłując sobie przypomnieć. - Bale! Tak, jestem pewna, że nazywa się Bale. Lars Bale. Tom mówił, że spotkał go ponad dziesięć lat temu w San Quentin.

Major zerka na Rocco.

- Zadzwoń do FBI, niech prześlą nam przez Vi-CAP wszystko, co może się przydać o tym facecie. Skontaktuj się też z policją w Los

Angeles i sprawdź, co wiedzą o Bale'u. Dowiedz się, gdzie teraz przebywa i czy ma jakichś znanych współników. Valentina odczekuje, aż Vito umilknie, żeby złapać oddech.

- Tom powiedział też, że Bale ma pod lewym okiem wytatuowaną łzę. Twierdził, że Mera Teale ma taką samą.

- Asystentka Mario Fabianellego? - Vito przypomina sobie kobietę z rękami przypominającymi komiks. - Jest Amerykanką.

- *Si.*

- Tak, wiem - mówi Rocco. - Ją też mam sprawdzić.

- Mera Teale jest dość młoda - dodaje po chwili namysłu Valentina. - Góra dwadzieścia pięć lat. Jeśli miała kontakt z Bale'e dziesięć czy dwanaście lat temu, to nie była jeszcze nawet nastolatką.

- To mnie nie interesuje - przerywa Vito. - Łączą ich tatuaże, a być może znacznie więcej. Zaczynjcie szukać.

Na tablicy w rogu gabinetu widnieje narysowany czerwonym flamastrem kwadratowy symbol z bazyliki. Wzrok Vito skupia się jednak bardziej na cyfrze „6” pod rysunkiem. Valentina wczoraj stwierdziła, że cyfry służą do liczenia, więc istnieje prawdopodobieństwo, że krwawy symbol symbolizuje odliczanie.

Tylko do czego? I w jakim przedziale czasowym porusza się sprawca? Sześć miesięcy - sześć tygodni - sześć dni - sześć godzin?

Musi rozgryźć tę zagadkę, i to szybko. Nie ma wątpliwości, że zależy od tego czyjeś życie.

CAPITOLO LIV

Rok 1778

Sestiere di Dorsoduro, Wenecja

Ermanno, Efran, Tanina i Tommaso czekają na powóz. W chłodnym, nocnym powietrzu ich oddechy zamieniają się w obłoczki pary. Tommaso trzęsie się najmocniej, choć Tanina podejrzewa, że raczej ze strachu niż z zimna. Odczuwa ulgę, że jej przyjaciółka postanowiła do nich dołączyć. Z drugiej strony, wolałaby, żeby Lydia potraktowała całą sytuację z powagą nieco większą niż przypisana wakacyjnej przygodzie.

Kolacja złożona z zupy, świeżych ryb i jagnięciny znacznie poprawiła im humory, natomiast doskonale czerwone i białe wino skutecznie przytłumiło lęk.

Wreszcie nadjeżdża zamówiony przez Lydię powóz i zabiera ich do przystani przy Gallerie dell'Accademia. Na budynek galerii, ukończony zaledwie kilka lat wcześniej, pada rozmyte światło latarni ulicznych. Przez okna widać cienie tańczące na zgromadzonych w środku dziełach sztuki.

Na ulicach pełno jest kurtyzan flirtujących i konwersujących z zamaskowanymi karnawałowiczami. Efran pociera ręce i głośno wydmuchuje powietrze.

- Dobry Boże, co za ziąb. Nie mogę się już doczekać wiosny.
- Ermanno klepie go w ramię.
- Miejmy nadzieję, że uda nam się jej dożyć.

Lydia jest kilkadziesiąt metrów przed nimi, na pływającym moście. Szybkim krokiem zmierza ku łodzi zacumowanej obok rzędów gondoli.

Tommaso trzyma się blisko Taniny. Wciąż nie ufa pozostałej dwójce i rozważa, czy nie powinien raczej wymknąć się po cichu, znaleźć swoją łódkę i pod osłoną nocy uciec z Wenecji, aby zacząć nowe życie w innym miejscu.

Ermanno dogania ich i bierze Taninę pod ramię.

- Zdaje się, że Lydia zapewniała nas, że w jej domu będziemy bezpieczni, prawda? Wszyscy słyszeliśmy, że straż inkwizycji nie ośmieli się zapukać do jej drzwi.

Jego uwagi irytują Taninę.

- Przestań marudzić! Lydia naraża się dla nas na wielkie ryzyko. Nieuczciwie byłoby oczekiwać, że udzieli nam schronienia na stałe. - Nachyla się do niego, tak aby Tommaso nie usłyszał jej słów. - To wszystko twoja wina. Plącimy za twoją obsesję na punkcie tej idiotycznej srebrnej tabliczki.

Ermanno ma na końcu języka wykład na temat potencjalnej wartości tabliczki, ale uznaje, że to tylko pogorszyłoby sytuację. Docierają w końcu na przystań. Lydia wyciąga dłoń do Taniny.

- Ostrożnie, między burtą a brzegiem jest spora przerwa.

Tommaso dostrzega dwóch wioślarzy - na dziobie i na rufie.

Na łodzi o takich rozmiarach w zupełności wystarczyłby jeden, ale dla bogatych dam, takich jak Lydia, posiadanie dwóch wioślarzy niewątpliwie jest oznaką statusu. Aby nie wyróżniać się z karnawalowego tłumu, wszyscy mają na sobie peleryny i maski zakrywające twarze. Tommaso widzi teraz, że przebrania przydadzą im się także w zimnym wietrze laguny.

W milczeniu wszyscy wsiadają do łodzi, która po chwili kieruje się na otwarte wody. Tanina przytula się mocno do Ermanno, aby

zachować ciepło. Lydia bez mrugnięcia okiem robi to samo z Efranem. Tommaso rozmyśla nad jej moralnością. Wydaje się, że życie jest dla niej tylko grą, w której nagrodami są nowe przyjemności i znajomości.

Czy jego matka była taka sama? Ta myśl nim wstrząsa. Przypuszczalnie tak. Niezameżna kurtyzana, korzystająca z uprzejmości i żądz każdego, kto zaoferował jej właściwą cenę.

Po świetle latarenek na słupach nawigacyjnych Tommaso orientuje się, dokąd zacierają. Najpierw płyną na wschód do ujścia Canal Grande, dalej przez lekko wzburzone wody Canale della Giudecca i Canale di San Marco, następnie na południe wzdłuż Canale della Grazie, opływając od zachodu Isola di San Giorgio Maggiore. Tommaso przywołuje słodko-gorzkie wspomnienia porannych mszy, wezwań i jutrzni. Ma ogromne poczucie winy, gdy odwraca wzrok od bazyliki i klasztoru, gdzie spędził większość swojego życia i dokąd nigdy już nie będzie mógł powrócić.

Przepluwają kolejną milę na południe i docierają do miejsca, w którym Tommaso pewnego mglistego poranka spotkał dziwnego mężczyznę wyrzucającego worki do wody. Tanina i Lydia są przemarznięte do szpiku kości. Szczękają zębami, a siedzący obok nich mężczyźni rozcierają im ramiona, żeby choć trochę je rozgrzać.

Księżyc jest przysłonięty szarymi smugami chmur. Tommaso zauważa czarne korony drzew wznoszące się ku niebu na pobliskiej wysepce. Czy to stamtąd przybył tamten dziwny mężczyzna?

Dziób łodzi skręca w kierunku lądu. W końcu dobiega do opustoszałego brzegu, o którym w Wenecji raczej się nie rozmawia.

Lazzaretto Vecchio. Wyspa Umarłych.

ROZDZIAŁ 58

Czasy współczesne Komenda główna żandarmerii

Porucznik Francesca Totti w końcu natrafia w bilingach Toma Shamana na jakiś ślad. Większość rozmów z jego telefonu prowadzono z numerami, które już zna - wewnętrznymi Vito i Valentiny na komendzie - ale jedna osoba na liście rozmówców Toma okazuje się na tyle ważna, że Francesca zatrzymuje ją na linii, wybierając jednocześnie numer majora na linii konferencyjnej.

Vito rozsiada się w fotelu w swoim gabinecie i włącza głośnik. Valentina i Rocco pospiesznie zajmują miejsca wokół jego zawalonego papierami biurka.

- Panie majorze, rozmawia pan z Alfredo Giordano, starszym bibliotekarzem Stolicy Apostolskiej - przedstawia rozmówcę Francesca. - Ojcie Giordano, przedstawiam panu majora Vito Carvalho i moich kolegów - porucznik Valentinę Morassi i porucznika Rocco Baldoniego.

Alfie odchrząkuje. W jego głosie słychać lekkie zdenerwowanie.

- Dzień dobry. Chyba powinienem powtórzyć państwu to, co przed chwilą opowiedziałem pani porucznik Totti. - Ponownie odchrząkuje i uspokaja głos. - Ja, eee... Znam księdza Shamana - to znaczy Toma, jakoś trudno mi przestać myśleć o nim jako o księdzu - od mniej więcej dziesięciu lat. Tom to dobry, bardzo dobry człowiek i mój serdeczny przyjaciel. Kiedy opowiedział mi co nieco o sprawie, którą się zajmujecie, uznałem, że muszę pomóc.

- W jaki sposób ojciec dokładnie mu pomógł? - pyta major.
- Tom poprosił mnie o wyszukanie w Bibliotece Watykańskiej informacji o Tabliczkach z Atmanty. Słyszeli państwo o tym przedmiocie? Tom nie wspominał o nim?

Vito zerka na Valentine, która ze zdziwioną miną kręci głową.

- Nie - odpowiada po chwili. - Nie wspominał nam o niczym takim. Czym dokładnie są te Tabliczki?

- To trzy srebrne tabliczki, pochodzące jeszcze z czasów etruskich. Razem stanowią bezcenne dzieło sztuki wielkości mniej więcej kartki formatu A4.

Valentina nie do końca świadomie szkicuje na kartce prostokąt identyczny z symbolem, który znaleźli w dwóch kościołach.

- Poszczególne tabliczki przedstawiają osobne sceny - kontynuuje Alfredo - podobno pochodzące z wizji młodego etruskiego kapłana. Zestawione razem tworzą jedną dużą scenę, której Kościół katolicki nadał nazwę „Bram Piekła”.

- Niech ojciec opowie moim kolegom o znaczeniu tych tabliczek - pogania go Francesco Totti.

- *Si, si* - Alfie ścisza głos. - Tabliczki ozdobione są również wizerunkami setek węży - dokładnie sześciuset sześćdziesięciu i sześciu - splecionych ze sobą i tworzących skrzydła wrót. Na jednej z tabliczek znajduje się również obraz potężnego bóstwa strzegącego bramy. Bóstwo to nie należało do etruskiego panteonu i nie zostało wyobrażone nigdzie indziej. Odnalazłem w Tajnych Archiwach dokumenty, potwierdzające, że według Kościoła jest to pierwszy utrwalony obraz Szatana.

Wokół biurka Vito zapada cisza - wszyscy próbują sobie wyobrazić, jak może wyglądać demon z tabliczki.

- Nie jestem pewien, czy zdajecie sobie państwo sprawę, co to oznacza. - Głos Alfiego cichnie niemal do szeptu. - To jest wizerunek

Szatana sporządzony setki lat przed narodzinami Chrystusa. W tamtych czasach katolicyzmu nie było jeszcze nawet w planach.

- Co dokładnie rozumie ojciec przez „tamte czasy”? - wtrąca Vito. - O jakiej epoce mówimy?

- Sześć stuleci przed narodzinami Chrystusa - wyjaśnia Alfie. - Dokładnie zaś chodzi o rok 666 przed naszą erą. Kościół uważa Tabliczki z Atmanty za coś w rodzaju świadectwa narodzin Szatana, pierwszy zarejestrowany przypadek pojawienia się pana ciemności na ziemi w ludzkiej postaci. To dlatego liczba sześćset sześćdziesiąt sześć jest tak ważnym symbolem zła.

ROZDZIAŁ 59

Wenecja

W normalnych okolicznościach Tom próbowałby uciec lub walczyć, ale nafaszerowano go taką ilością środków uspokajających, że nie jest w stanie nawet się poruszyć.

Jego skóra jest dziwnie odrętwiała, co pozwala mu myśleć, że podano mu prawdopodobnie propofol albo diprivan.

Odwiędził w życiu dość szpitali i klinik opieki paliatywnej, żeby zdawać sobie sprawę, że przez pewien czas będzie fizycznie bezużyteczny. Słaby jak nowo narodzony kociak. Od czasu do czasu będzie pewnie tracił przytomność. Poza tym będzie podatny na

hipnozę, być może przytrafia się też halucynacje.

Wykorzystując wciąż działające zmysły, usiłuje ustalić, gdzie się znajduje. Powietrze jest zastałe. Tom wyczuwa lekki zapach stęchli-
zny. Oczy wciąż pieką go od gazu pieprzowego i chwilowo są wyłą-
czone z użytku. Założono mu jakiś bandaż, ale nie oczyszczono źrenic
i kapsaicyna wsiąkała w powieki, powodując ból.

Czuje z boku szturchnięcie, ale nie potrafi stwierdzić, czy po-
pchnięto jego, czy też nosze albo łóżko, na którym leży.

Nad sobą słyszy stłumione głosy i już wie, że za chwilę pograży
się w głębokim śnie.

Dzięki Bogu. Kimkolwiek są jego porywacze, jak na razie traktują
go wyjątkowo litościwie. Chyba że...

W ostatnich chwilach przytomności przez umysł Toma przelatują
myśli o powodach, dla których ktoś miałby faszerować go środkami
uspokajającymi. Żeby uniemożliwić mu ucieczkę? Żeby upewnić się,
że nie narobi hałasu i nie będzie próbował ich atakować? Żeby go
zgwałcić? Zamordować? Złożyć w ofierze? Może porywacze planują
wyciąć mu wątrobę i przybić ją gwoździem do któregoś ze słynnych
weneckich ołtarzy?

Od takich myśli można oszaleć. Dzięki ci, Boże, za prochy. Tom
rozważa wszystkie możliwości ze spokojem dziecka z pudełkiem
czekoladek, zastanawiającego się nad wyborem smaku nugatowego
albo karmelowego. Głosy wokół niego zlewają się w szum. Nie jest w
stanie rozróżnić męskich od kobiecych, a już na pewno nie określić,
kto nimi dowodzi i jakie może mieć zamiary.

Ciemność ogarnia go i wciąga w otchłań. W ostatnim przeblýsku
świadomości Tom ma nadzieję, że to nie potrwa wiecznie. Tamci
wciąż potrzebują go żywego. Przynajmniej na razie.

ROZDZIAŁ 60

Watykan

Z każdą minutą rozmowy z żandarmami Alfredo Giordano wpada w coraz większe zdenerwowanie. Pochylony nad słuchawką, w biurze zamkniętym na czas remontu, mówi przyciszonym głosem, ciągle zerkając na drzwi.

Valentina i Rocco gryzmołą pospieszne notatki, a Vito zadaje kolejne pytania.

- Czy na tabliczkach znajdują się jakieś specjalne oznaczenia albo symbole?

Alfie odpowiada, stale wpatrując się w zamknięte drzwi i przerywając za każdym razem, gdy słyszy hałas po drugiej stronie - kroki na korytarzu zmierzające w jego kierunku, otwierane i zamykane drzwi. Za każdym razem przerywa i podejmuje rozmowę, dopiero gdy jest pewien, że zagrożenie minęło.

- Istnieje wiele interpretacji. Niektórzy watykańscy uczeni twierdzą, że rysunki na tabliczkach przedstawiają kapłanów, którzy porzucili kościół nękani wątpliwościami. Sataniści z kolei widzą w nich oznaki upadku katolicyzmu...

Valentina i Rocco zapisują wszystko, co relacjonuje im Alfie.

- Ostatnia tabliczka, po prawej stronie artefaktu, przedstawia martwych Teukrosa i Tecję leżących razem. Obok nich znajduje się nowo narodzone dziecko. Ten obraz też różnie interpretowano. Śmierć przy porodzie była wtedy bardzo powszechna, więc sceptycy twierdzą, że tabliczka przedstawia tylko smutne zakończenie historii młodej rodziny, wiodącej trudne życie w starożytności.

Kolejne hałasy na korytarzu powodują, że Alfie znowu milknie. Zasłania dłonią słuchawkę, tak aby nie wydobywał się z niej żaden dźwięk, i czeka, aż ucichną odgłosy kroków i zamykanych drzwi. - W Tajnych Archiwach znajdują się jednak dokumenty, w których zapisano, że Szatan opętał ciało człowieka, który zgwałcił Tecję, żonę wróżbity. Jeśli przyjąć tę wersję, wówczas dziecko na ostatniej tabliczce jest synem Szatana.

Po drugiej stronie linii zapada cisza. Alfie domyśla się, że trójka żandarmów ma niejakie trudności z zaakceptowaniem tych rewelacji.

- Z punktu widzenia teologii Szatan zasiał w ten sposób zło w DNA przyszłych pokoleń ludzi, na wieczność zanieczyszczając pulę genową. Kościół katolicki badał zagadnienie gwałtu przez stulecia. Niektórzy teologowie uważali, że gwałciciele rozsiewali nasienie Szatana...

- Więc ofiary gwałtu mają być stygmatyzowane jako matki dzieci Szatana? - Valentina nie wytrzymuje, nawet nie próbując ukryć złości. - Ojczy, nie ma ojciec pojęcia, jak się czują zgwałcone kobiety i jak by się czuły, gdyby ludzie zaczęli słuchać tych bzdur. To jest idiotyzm...

- Valentino! - Vito piorunuje ją wzrokiem. - Ojczy, proszę kontynuować.

- *Signora*, ja się z panią zgadzam - tłumaczy się Alfie. - Mówię tylko, jakie opinie panowały w niektórych kręgach Kościoła. Proszę pamiętać, że były czasy, kiedy można było trafić na tortury za wyznawanie religii innej niż katolicyzm. Jesteśmy czcigodną instytucją - dodaje sarkastycznie - która przez dziesiątki lat traktowała kobiety jak istoty gorsze, odmawiała im prawa do kapłaństwa albo też fałszywie oskarżała o czary i topiła, żeby sprawdzić ich niewinność.

Alfie przerywa, dając porucznik Morassi chwilę na uspokojenie nerwów.

- Jesteśmy zatem przy pierwszej tabliczce, która przedstawia rogatego demona przed bramą z węży, uznawanego za Szatana. Uważa się, że to najważniejsza część ze wszystkich trzech. Gdy umieści się ją w pierwotnej pozycji, po lewej stronie, wówczas to Szatan, a nie Bóg, staje się stwórcą świata. Tym samym przechodząc przez wrota do życia pozagrobowego to z nim się spotkamy. Tabliczki sugerują również, że to Szatan stworzył mężczyznę i kobietę i ofiarował ludzkości wolną wolę. Szatan - nie Bóg.

Środkową tabliczkę interpretuje się jako symboliczne przedstawienie wiary w fałszywych bogów, stąd postać wróżbity przebita kosturem zwątpienia. Na ostatniej zaś oglądamy gniew Szatana. W zapalczącej furii zesłał na ziemię swojego ducha, który przyjął ludzką postać i ukarał kapłana, gwałcąc i zapładniając jego żonę.

Vito Carvalho głośno wypuszcza ustami powietrze. Sprawa jest poważna. Ta pokręcona ideologia z całą pewnością przyciągała ludzi, i to zarówno wystraszonych, poszukujących swojego miejsca w świecie, jak i z gruntu złych.

- Ojcie, czy wie ojciec, gdzie mogą znajdować się te tabliczki? Albo chociaż jedna z nich?

- Nie - odpowiada Alfie. - W ciągu swojego istnienia Kościół był w posiadaniu jednej lub dwóch, ale nigdy wszystkich trzech. Według kronik, które odnalazłem - a nie przejrzałem całego archiwum - sataniści zdołali połączyć je ze sobą, ale na krótko.

- A co się dzieje, kiedy te tabliczki łączą się ze sobą? - pyta Valentina.

Teraz to Alfie głośno wzdycha.

- Jak zapewne nieraz słyszeliście, Kościół zawsze jest pytany, dlaczego Bóg dopuszcza do katastrof takich jak trzęsienia ziemi,

powodzie i epidemie. Z pewnością słyszeliście też, że gdy politycy mówią o atakach terrorystycznych na niewinnych ludzi, twierdzą, że źli ludzie potrzebują szczęścia tylko raz, podczas gdy nam potrzebne jest ono codziennie. Cóż, są w Kościele kręgi, które uważają, że połączenie ze sobą Tabliczek z Atmanty otworzy drzwi złu. Według nich skompletowanie tego artefaktu spowoduje, że Bóg utraci swoją moc i światem zawładnie ciemność i okrucieństwo, którego nie można będzie powstrzymać. Vito sam nie wie, jak zadać kolejne pytanie.

- Ojcie, na ołtarzach w dwóch różnych kościołach w Wenecji znaleźliśmy symbol narysowany krwią.

- Prostokąt podzielony na trzy części?

- Dokładnie.

- Prostokąt jest symbolem tabliczek i czcicieli Szatana. Korzenie tego kultu w północnych Włoszech sięgają czasów Teukrosa i Tecji, na długo przed powstaniem pierwszych osad na mokradłach, na których później stanęła Wenecja.

Vito, Valentina i Rocco wymieniają porozumiewawcze spojrzenia.

- Pod ostatnim symbolem znajdowała się cyfra. Czy to może mieć jakieś znaczenie?

- Szóstka? Czy tą cyfrą była szóstka?

- Owszem.

Drzwi do pokoiku, z którego dzwoni Alfie, otwierają się z hukiem. Do środka wkracza dwóch gwardzistów w pełnym umundurowaniu.

- Sześć dni - mówi szybko Alfie, zanim zdążą wyrwać mu telefon.

- Macie sześć dni, wtedy złożą ostatnią i najważniejszą ofiarę, bramy piekiel się otworzą i uwolnią zło, wobec którego będziemy bezsilni.

CZEŚĆ

PIĄTA

CAPITOLO LV

Rok 1778

Lazzaretto Vecchio, Wenecja

Mroczne dzieje niewielkiej wysepki unoszą się w nocnym powietrzu jak niewidoczna, trująca chmura.

Lazzaretto Vecchio - największy cmentarz w Wenecji, gdzie chowano ofiary zarazy, która półtora wieku wcześniej spustoszyła miasto. Zmarła ponad jedna trzecia wszystkich mieszkańców, około pięćdziesięciu tysięcy ludzi. Ludzie marli w tak zastraszającym tempie, że musiano zwolnić z więzień skazańców, aby przewozili zmarłych i umierających na *lazaret*, pierwszą w Italii wyspę kwarantanny. W ówczesnym czasie nazywano ją wyspą Santa Maria di Nazareth, ale w miarę jak rosły stosy ciał, Najświętsza Panienska przestała być odpowiednią patronką tego miejsca. Szpital na wyspie robił wszystko, aby pomóc nieuleczalnie chorym, ale szybko zmienił się w sortownię martwych i umierających.

Od tamtego czasu wyspa była niezamieszкана. A w każdym razie tak sądzono.

Gdy Tommaso schodzi na brzeg, jego nerwy są w strzępach. Dobrze pamięta historie opowiadane o tej wyspie przez mnichów z San Giorgio. Opowieści o tym, jak podczas zarazy w pośpiechu kopano tu masowe groby, do których wrzucano gnijące ciała, ponieważ na cmentarzach w mieście zabrakło już miejsca. Uświadamia sobie, że stąpa po tej samej ziemi, którą przemierzały wózki wypełnione

ciałami mężczyzn, kobiet i dzieci zwożonych do płytkich dołów, w których były palone.

Obaj wioślarze mają latarnie. Jeden z nich otwiera, a drugi zamyka pochód, który oddala się od brzegu i zmierza ku gęstym zaroślom. Robi się coraz zimniej. Grunt pod stopami twardnieje i staje się śliski. Ktoś z przodu potyka się i nagle latarnie gasną. Rozlega się krzyk kobiety. To chyba Lydia.

Coś uderza Tommaso w skroń. Z początku wydaje mu się, że zahaczył o nisko wiszącą gałąź. A potem otrzymuje kolejne uderzenie. Znacznie mocniejsze. Na tyle silne, żeby przewrócić go na plecy i uświadomić, że jest atakowany. Przetacza się po twardej, śliskiej ziemi, chroniąc dłońmi twarz.

Prawe ramię eksploduje bólem. Zaraz po nim bok i uda. Na jego głowę, nogi i ramiona spada fala uderzeń. Czyjeś kolano wbija się boleśnie w jego żołądek. Napastnik przyciska go do ziemi. Jest tak blisko, że Tommaso czuje jego zapach. Alkohol. Czosnek. Dziwne perfumy.

Na jego twarzy ląduje pięść, krusząc mu szczękę. W ustach czuje smak krwi i wybite zęby. Wypluwa krew i usiłuje złapać oddech. Czyjeś ręce chwytają go za nogi i ramiona. Kręci mu się w głowie. Stopniowo traci przytomność.

Na twarzy czuje coś szorstkiego. Lina. Tommaso czuje jeszcze zapach wilgotnego sznura, który ktoś zakłada mu na szyję i zaciska. A potem osuwa się w ciemność.

ROZDZIAŁ 61

Czasy współczesne Wenecja

Tom był nieprzytomny tak długo, że nie jest w stanie określić, ile czasu jest przetrzymywany. Z pewnością dobę. A może dłużej. Znacznie dłużej.

Ma wrażenie, że utracił zdolność oceny rzeczywistości. Nie wie, czy jest dzień, czy noc. Czy stoi, czy leży. Czy oślepl, czy tylko wciąż ma bandaż na oczach. Chwilami nie potrafi nawet stwierdzić, czy wciąż śpi, czy już się obudził.

W jego mózgu jak klatki filmu przesuwają się kolejne obrazy: Zabójstwo Moniki Vidic. Zabójstwa w Disneylandzie. Śmierć Antonia Pavarottiego. W każdej scenie występują ci sami aktorzy pierwszoplanowi: Vito Carvalho, Valentina Morassi i Lars Bale. Postacie drugoplanowe też są dobrze znane: Tina Ricci, Mera Teale, Sylvio Montesano i Alfie Giordano.

Wszystko mu się miesza. W otępionym narkotykami umyśle wątki splatają się ze sobą, tworząc przedziwne kombinacje. Vito jako najwyższy kapłan satanistów. Giordano jako zabójca Antonia Pavarottiego. Valentina Morassi jako sekretna właścicielka „Bram Piekła”. Tak właśnie działają narkotyki. Rozszerzają umysł, pozwalają spojrzeć na świat inaczej, ale po drodze powodują kompletny chaos.

Choć Tom nie jest w stanie dokładnie określić, jak długo jest przetrzymywany, to jednak zdaje sobie sprawę, że chodzi raczej o dni

niż godziny. Wie, ponieważ zaczyna nabierać odporności na substancję, którą mu podają. Przerwy między kompletnym zanurzeniem w narkotyczne wizje i stopniowym powrotem do rzeczywistości robią się coraz krótsze. Ktokolwiek szprycuje go tymi prochami, najwyraźniej przeoczył właściwości ludzkiego organizmu.

Porywacze wracają. Wbijają kolejną igłę w udo Toma. Tym razem nie odpływa tak szybko, jak wcześniej. Wielka, czarna fala nadciąga z obrzeży jego umysłu. Wkrótce ogarnie go całego. Ciśnie nim o dno. Wciągnie pod wodę. Pozostawi go nieprzytomnego na dalekim brzegu.

W głowie znowu pojawiają się filmy. I znowu wszystko się miesza - sataniści w srebrnych kapturach, oddający cześć „Bramom Piekła”. Tylko tym razem film nie rozgrywa się we Włoszech. Ameryka Południowa. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu reżyser w mózgu Toma umieszcza akcję w Wenezueli. Fala nadciąga. Coraz bliżej. Jeszcze chwila. Wenezuela. Zapamiętuje to słowo.

Wenezuela. Mała Wenecja.

I wtedy uderza w niego czarna ściana. Rozbija w pył wszystkie myśli. Wciąga w bezdenną, ciemną otchłań.

ROZDZIAŁ 62

*Czasy współczesne, 2 czerwca
Komenda główna żandarmerii*

Vito Carvalho już od dawna nie musiał z żadnego powodu rozpytywać takiego piekła jak dziś. Wenecja miała być spokojną

przystanią na starość, a nie szaloną przejażdżką po rwącej rzece, usianej wszędzie skałami satanizmu i rytualnych morderstw.

Porucznik Francesca Totti w jego imieniu rzuciła się z pazurami na Watykan z taką zajadłością, że Vito wątpi, żeby święty Piotr kiedykolwiek wpuścił ją do nieba. Natychmiast po tym, jak przerwano ich rozmowę z ojcem Giordano, Vito kazał jej wysłać po niego oddział żandarmerii z Rzymu. Nie obyło się bez problemów. Watykanu i papieża strzeże Gwardia Szwajcarska, która wykorzystuje każdą okazję, żeby podkreślić, że *Stato della Città del Vaticano* jest nie tylko niepodległym państwem-miastem, ale przede wszystkim nie podlega jurysdykcji Włoch - innymi słowy, odznaki i nakazy wydane przez włoski wymiar sprawiedliwości nie mają za murami Watykanu żadnego znaczenia. *Carabinieri* potrafią jednak być bardzo przekonujący. Spędziwszy cały dzień na racjonalnych negocjacjach, przeszli do ukrytych grózb. Po ukrytych nastąpiły groźby otwarte. W rezultacie ojciec Alfredo Giordano został zwolniony i za kilka minut miał się pojawić w komendzie głównej żandarmerii w Wenecji.

Oczekując na przybycie Alfiego, Vito nakazał Valentinie wyciągnąć od FBI wszystkie możliwe informacje o Larsie Bale'u i jego kalifornijskiej sekcje. Rocco Baldoni tymczasem niestrudzenie zadrezcza wszystkie wydziały policji do spraw sztuki z całego świata w poszukiwaniu śladów Tabliczek z Atmanty. Nuncio di Alberto z kolei ma niewdzięczne zadanie przetrząśnięcia policyjnych baz danych w poszukiwaniu wszelkich informacji o Mario Fabianellim, jego interesach na całym świecie i tej dziwacznej hipisowskiej komunie na jego prywatnej wyspie. Sam Vito nadzoruje i koordynuje wszystkie działania, rozsyłając jednocześnie informacje o zaginięciu Toma Shamana. Krótko mówiąc, zespół majora Carvalho znajduje się na granicy wytrzymałości.

Krwawy obraz „Bram Piekła” i złowieszcza szóstka nie dają mu spokoju. Do tego dochodzi świadomość, że symbol namalowano przed dwoma dniami. Czas ucieka. Jeśli ten ksiądz z Watykanu się nie myli, odliczanie zakończy się za cztery dni.

Odliczanie do czego? Ta myśl wciąż go dręczy. Z pewnością do niczego dobrego.

Jego podwładni po kolei wchodzą do gabinetu z najnowszymi wieściami. Vito widzi wyczerpanie na ich twarzach. Zwłaszcza u Valentiny. Powinien zdjąć ją z tej sprawy, ale to już nieaktualne. Jest mu potrzebna. Vito potrzebuje ich wszystkich, nawet jeśli to oznacza zrujnowanie im zdrowia i życia osobistego.

- No dobra, to co mamy? - Vito zakłada ręce na karku.

Zesztywniały kręgosłup odzywa się z trzaskiem.

Valentina odzywa się pierwsza.

- Lars Bale. Tom Shaman odwiedził go w San Quentin ponad dziesięć lat temu i, jak się okazuje, rozmawiał z nim kilka dni temu.

- Dlaczego o tym nie wiedzieliśmy? - przerywa major.

- Bo nam nie powiedział. Przypuszczalnie szedł do nas, żeby o tym opowiedzieć, gdy zniknął.

Vito podnosi ręce w geście przeprosin.

- Bale ma czterdzieści kilka lat - kontynuuje Valentina. - Mają go stracić za cztery dni.

- Nasze cztery dni? - zastanawia się głośno Vito.

- Tego nie wiem - odpowiada porucznik Morassi. - Przed prawie dwudziestu laty Bale przewodził niewielkiej, ale wiernej grupie wyznawców, która uważała go za kogoś w rodzaju Antychrysta. Krótko mówiąc, małpował Charlesa Mansona: mordował niewinnych ludzi, a potem używał ich krwi do rysowania satanistycznych symboli.

- Takich samych jak nasze?
 - Takich samych - potwierdza Valentina. - Wtedy oczywiście nikt nie traktował ich poważnie. W jednym przypadku funkcjonariusz z patrolu pieszego policji Los Angeles przeszedł się po rysunku i prawie całkowicie go starł.
 - I nikt nie pytał, co te symbole oznaczały, bo Bale został złapany?
 - Otóż to. FBI ma do niego wysłać paru specjalistów od profilowania psychologicznego.
 - Lepiej późno niż wcale - komentuje Rocco.
- Valentina rzuca mu zimne spojrzenie. Wciąż ma z nim rachunki do wyrównania. I wyrówna je. W swoim czasie.
- Podczas aresztowania Bale'a w pustostanie, który zajmował ze swoimi uczniami - głównie kobietami - znaleziono mnóstwo satanistycznych akcesoriów. Była tam i *Biblia Szatana* Antona LaVeya, i wszystkie dzieła Aleistera Crowleya, a także transkrypcje czarnej mszy po łacinie, francusku i angielsku.
 - Lektura raczej nie do poduszki - wtrąca Vito.
 - Bynajmniej. - Valentina podaje mu stos fotografii, opatrzonych godłem FBI. - Znaleźli też to...
- Vito przegląda zdjęcia. Na wszystkich są obrazy.
- Nieźle. Jak na psychopatę to miał spory talent. - Przekłada kolejne kolorowe reprodukcje obrazów, przemieszane ze szkicami czegoś, co przypomina czarnoksiężników na pustyni. - Czy to nie jest jeden z tych etruskich kapłanów, o których opowiadał Tom? Haruspików czy jakoś tak? - Vito podnosi jedną z odbitek.
 - Możliwe - mówi Valentina - chociaż mnie on się kojarzy z Dumbledorem, albo tym starym czarodziejem z „Władcy pierścieni”, nigdy nie mogę zapamiętać, jak on się nazywał...

- Gandalf - odpowiada Vito, odkładając zdjęcie. - No dobra, ale co z tego wszystkiego wynika?

- To jeszcze nie koniec - wyjaśnia Valentina. - Proszę obejrzeć ostatnie trzy.

Vito wygrzebuje odbitki. Obrazy na zdjęciach są abstrakcyjne, prawie kubistyczne. Surowe kształty na pierwszy rzut oka nie zdradzają żadnej tajemnicy.

Valentina uśmiecha się.

- Drugą stroną. Proszę je odwrócić i ułożyć obok siebie.

Vito już wie, co zobaczy.

Z połamanych kształtów i czerwono-czarnych plam wyłaniają się znajome postacie. Demon. Kapłan. Dwoje kochanków i ich diabelskie dziecko.

CAPITOLO LVI

Rok 1778

Lazzaretto Vecchio, Wenecja

Gdy Tommaso odzyskuje przytomność, orientuje się, że nie tylko jego pobito i związano. Tanina i Ermanno siedzą na podłodze naprzeciwko niego, oparci plecami o wilgotną ceglana ścianę. Między nimi płonie gruba, czarna świeca.

Młody mnich domyśla się, że zamknięto ich w pomieszczeniach starego szpitala. W miejscu, gdzie śmierć znalazły setki ludzi.

Ermanno się nie rusza. Czy jest martwy? Śpi? Czy tylko stracił przytomność? Tommaso nie potrafi stwierdzić. Twarz młodego żyda jest posiniaczona i zalana krwią. Lewe oko spuchło tak bardzo, że jeśli Ermanno przeżyje, mało prawdopodobne, aby kiedykolwiek jeszcze na nie widział.

Tanina wygląda na przerażoną. Twarz ma pokrytą brudem i łzami, ale poza tym zdaje się, że nic jej nie jest.

Tommaso czuje ból w nogach, zwłaszcza w okolicy prawego kolana. Kostki ma ciasno skrępowane sznurem, a ręce, podobnie jak pozostali, związane za plecami. Kiedy próbuje poruszać palcami prawej dłoni, całą rękę przeszywa ból. Złamano mu kciuk i co najmniej jeden palec. Oddychanie sprawia mu trudność. Podejrzewa, że złamano mu również nos. Powoli i ostrożnie bada językiem usta i odkrywa, że wybito mu jeden ząb, a wargi są pęknięte i potwornie spuchnięte. W obitej głowie pulsuje niemiłosierny ból.

Tanina dostrzega, że mnich oprzytomniał.

- Tommaso, nic ci nie jest?

Słyszac przerażenie w jej głosie, Tommaso postanawia odgrywać rolę niezłomnego.

- Nie sędzę. A tobie?

Tanina kręci przecząco głową.

- Ze mną wszystko w porządku. Tylko Ermanno co chwilę traci przytomność. Boję się o niego. - Dolna warga dziewczyny zaczyna drżeć.

Płomień świecy na podłodze migocze i prawie gaśnie. Drzwi po lewej otwierają się i do pomieszczenia wpada podmuch wiatru.

Tommaso nie rozpoznaje wchodzącego mężczyzny. W przeciwieństwie do Taniny. Lauro Gatusso nie ma na sobie zwyczajowych eleganckich spodni, lnianej koszuli i hartowanego płaszcza, w którym

zwykł przyjmować klientów. Zamiast tego ubrany jest w sięgającą stóp czarną albę z kapturem.

- Tanino! Widzę, że jesteś zaskoczona. - Gatusso rozkłada szeroko ręce w powitalnym geście, tak jak wtedy, kiedy była dzieckiem. - Istotnie, to będzie dla ciebie dzień objawień. - Spogląda na Tommaso. - Dla ciebie również, braciszku. - Podchodzi do młodego mnicha i przygląda się z bliska jego twarzy.

- Spuszczono ci solidne manto. Gdybyś miał przeżyć, powinniśmy wezwać medyka.

Gatusso mówi coś jeszcze, ale Tommaso go nie słyszy. Wyteża wszystkie myśli, żeby znaleźć brakujące kawałki całej historii. Niewątpliwie fakt, że się tu znaleźli, związany jest z etruską tabliczką. Tommaso jest już pewien, że Tanina i Ermanno nie mieli nic wspólnego z kradzieżą, ale nieobecność Efrana jest znacząca. Bardzo znacząca. Zapewne udał się do klasztoru na własną rękę, nie wspominając o niczym pozostałym. Podłożył ogień, wykradł tabliczkę, a następnie sprzedał ją Gatusso.

Na zewnątrz pomieszczenia słychać podniesione głosy. Do środka wdzięcznym krokiem wchodzi Lydia. Ma na sobie taką samą czarną albę, a na jej twarzy maluje się triumf. Podchodzi do Taniny. Za nią postępuje dwóch zakapturzonych mężczyzn. Coś za sobą ciągną. Ciało Efrana. Rzucają zwłoki na podłogę i odchodzą.

Tommaso z niejakim rozczarowaniem stwierdza, że jego hipoteza była niesłuszna. Efran był jednak niewinny. A może zamordowano go, bo przestał być im potrzebny?

Lydia dotyka policzka przyjaciółki.

- Najdroższa Tanino, nie rób takiej zdumionej miny. Twoje bezwartościowe życie pomocy sklepowej wreszcie nabierze jakiegoś znaczenia. - Zerka na Gatusso, który kładzie dłoń na ramieniu

Tommaso. - Bracie, poznaj swoją siostrę Taninę. Dzieci, jesteście potomstwem parszywej zdrajczynie, ale też ciałem i krwią jednego z naszych najbardziej czczonych kapłanów.

ROZDZIAŁ 63

3 czerwca

Więzenie San Quentin, Kalifornia

Trzy dni. Siedemdziesiąt dwie godziny. Cztery tysiące trzysta dwadzieścia minut. Trochę ponad ćwierć miliona sekund - i każda z nich się liczy, gdy wydana zostanie decyzja o egzekucji.

Lars Bale zostaje przeniesiony z celi, która była dla niego domem przez ponad jedną czwartą życia. Strażnicy bezceremonialnie wypychają go do izolatki, dosłownie kilka kroków od najeżonego zabójczymi igłami pokoju straceń.

Bale nie będzie tęsknił za swoją celą. Nie przeszkadza mu nawet fakt, że nie wolno mu już malować. Jego dzieło na ziemi zostało zakończone. Czas na ważniejsze sprawy.

Na prośbę Bale'a jego obrazy przekazano więziennej fundacji charytatywnej, która sprzedaje je, żeby pozyskać fundusze na wnioski o ułaskawienie. Wysłał nawet inwentarz swoich prac do prasy i do naczelnika, aby upewnić się, że strażnicy sami nie położą łap na płótnach i nie sprzedadzą ich na boku kolekcjonerom.

Bale rozgląda się po swoim nowym, bardzo tymczasowym, lokum. Pojedyncze łóżko - przykręcone do podłogi. Materac. Brudny. Poduszka. Nowa. Koc. Szorstki. Radio. Stare. Telewizor. Mały. Spodnie. Szare. Bielizna. Stara i szara. Skarpetki. Czarne i wyblakłe. Koszule. Białe. Kapatki. Wygodne. I jeszcze coś.

Strażnik. Niewzruszony, o ponurej twarzy. Stoi tuż za kratami, obserwując go przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ciągłe patrzy, ale nie widzi. Nigdy nie widzi.

Gdyby miał choćby cień podejrzenia co do myśli, które właśnie kłębią się w głowie Bale'a, już dawno pospiesznie nacisnąłby przycisk alarmowy.

Trzy dni. Bale siada na twardym posłaniu i uśmiecha się z zadowoleniem.

CAPITOLO LVII

Rok 1778

Lazzaretto Vecchio, Wenecja

Tanina i Tommaso zupełnie nie rozumieją tego, co przed chwilą usłyszeli. - Pozwólcie, że wyjaśnię - ciągnie Gatusso, ignorując zwłoki Efrana leżące na środku pokoju. - Wasz ojciec - jak jego ojciec przed nim - był jednym z przywódców naszego bractwa czcicieli Szatana. Strzegł jednej z Tabliczek z Atmanty. - Na twarzy Gatusso

pojawia się melancholia. - Zrządzeniem losu, wskutek śmierci jednego z członków bractwa, wasz ojciec wszedł w posiadanie drugiej tabliczki. Było to równie nietypowe, jak niepożądane zdarzenie. - Podchodzi do Taniny i ujmuje jej policzek. - Wasza matka znalazła obie tabliczki, sprząając małżeńską sypialnię. A jako że kobiety są z natury ciekawskie, zapagnęła dowiedzieć się więcej, więc zaczęła podsłuchiwać jego rozmów z przyjaciółmi i stopniowo rozwiązała zagadkę ukrytego w sypialni srebra. - Gatusso puszcza twarz Taniny i wraca do Tommaso. - Głupiutka kobieta uznała najwyraźniej, że to dla niej szansa na wyrwanie się z nieszczęśliwego małżeństwa, i pewnego dnia zniknęła, zabierając ze sobą parę bachorów i nasze święte tabliczki.

Tommaso nie potrafi oderwać oczu od Taniny. Są do siebie prawie zupełnie niepodobni. Może tylko oczy. Może oboje mają oczy po matce.

Gatusso uderza mnicha w głowę.

- Opowiedz o sobie swojej drogiej siostrze.

Tommaso krzywi się.

- Moja... nasza matka oddała mnie braciom zakonnym z San Giorgio. Pozostawiła mi tabliczkę, którą widziałas, oraz list.

Słowa więzną mu w gardle. Na wspomnienie listu od matki do jego oczu napływają łzy. Błagała go, aby nie szukał siostry, a on jej nie usłuchał.

Gatusso uderza go ponownie.

- Kontynuuj, mnichu!

- Napisała, że mam siostrę - starszą - której również pozostawiła tabliczkę. - Tommaso pochyla głowę ze wstydem. - Napisała też, że nie wolno mi szukać siostry. Że tabliczki nigdy nie mogą się ze sobą połączyć.

Tanina jest przerażona. Jej strach najwyraźniej bawi Gatusso.

- Biedne dziecko. Jeszcze się nie domyśliłaś? Nigdy nie zobaczyłaś ani srebra, ani listu. To ja je miałem. Dwadzieścia lat temu przysłała do mnie pewna zakonnica i sprzedała mi tabliczkę. Doprawdy, postępowanie godne samego Judasza. Opowiedziała mi, że otrzymała tabliczkę od jakiejś zamaskowanej kurtyzany, która pozostawiła jej również małą dziewczynkę i trochę złota. - Gatusso pochyla się i delikatnie dotyka twarzy Taniny. - Tą dziewczynką byłaś ty, gołąbeczko. Niestety, twoja *mamma* zwróciła się do niewłaściwej siostrzyczki. Zakonnica, u której cię zostawiła, sama była brzemienna i dobrze wiedziała, że srebrna tabliczka jest dla niej przepustką do nowego życia.

Odchodzi od Taniny, wyraźnie rozbawiony opowiadaną historią.

- Miała słusność... Zapłaciłem jej godziwą, bardzo godziwą cenę, zgodziłem się ponadto przyjąć pod swój dach dziecko. Zastanawiasz się pewnie, dlaczego wziąłem cię do siebie? - Gatusso zerka z uśmiechem na Lydię.

- Ponieważ, chytry Gatusso, przeczytałeś list. - Lydia macha arkuszem pergaminu przed twarzą Taniny. - Wiedziałaś, że *mamma* zostawiła po sobie jeszcze jedno dziecko i jeszcze jedną tabliczkę. Nietrudno było domyślić się, że pewnego dnia zaginiony brat będzie próbował odszukać zaginioną siostrę. - Lydia spogląda na Tommaso. - Sporo dowiedziałam się z naszej rozmowy w moim domu. Bardzo szybko mi zaufałeś, chłopcze.

Młody mnich czuje narastający gniew. Że też wziął za dobrą monetę jej zapewnienia, że pošle jednego ze swoich sług, aby rozpytał się o jego siostrę w żeńskich klasztorach!

Gatusso klaszcze.

- *Bravissimo!* - Zbliża się do Tommaso. - I tak znaleźliśmy się tutaj. Trwało to nieco dłużej, niż zakładałem, ale jednak się udało.

Zdziwiłbyś się, jakie mrowie klasztorów jest w tej części świata i jak trudno jest rozwiązać mnichom języki. - Wybucho śmiechem. - Śluby milczenia raczej nie sprzyjają gadulstwu! Ale to nieistotne - najważniejsze, że wszystkie trzy tabliczki ponownie znajdują się w naszym posiadaniu.

Gatusso przyklęka przed mnichem, patrząc mu prosto w oczy.

- Tak, tak, bracie. Powiedziałem „trzy”. Oprócz tej, którą odebrałem Taninie, i tej, którą wykradliśmy z opactwa, jest jeszcze jedna tabliczka. Moja rodzina strzegła jej od pokoleń.

Sięga za pazuchę alby i wydobywa stamtąd prostokąt z wypolerowanego srebra przedstawiający rogatego demona. Dotyka go z miłością. Srebrny błysk odbija się w jego źrenicach.

- Teraz możemy właściwie uczcić naszego pana - jedyne prawdziwego pana. Złączenie wszystkich tabliczek i poświęcenie ich w rytuale krwi i ofiary obdarzy nas niewyobrażalną mocą. Nikt nie będzie w stanie nas powstrzymać. A ty i twoja siostra będziecie naszą krwią i naszą ofiarą.

ROZDZIAŁ 64

Czasy współczesne

Komenda główna żandarmerii

Vito zupełnie inaczej wyobrażał sobie księdza Alfredo Giordano. Spodziewał się niskiego, łysiejącego mnicha o mądrej twarzy, przyozdobionej okularami w drucianych oprawkach.

Alfredo zaś ma prawie dwa metry wzrostu, sylwetkę zawodowego rugbysty i szopę piaskowych włosów na głowie.

Przez następną godzinę Alfie opowiada żandarmom o swoich poszukiwaniach w Tajnych Archiwach.

- Nie zdążyłem powiedzieć wam tego przez telefon, ale historia Tabliczek z Atmanty rozciąga się na kilka stuleci. Kościół katolicki łączył je z najgorszymi katastrofami w dziejach ludzkości. - Pociąga łyk espresso, przyniesionego przez Valentineę. - Według niektórych po raz pierwszy użyto ich do wywołania podziemnej eksplozji w Atmancie, która pochłonęła życie możnowładców z całej ówczesnej Italii. Można uznać to za pierwszy w dziejach przypadek masowego morderstwa. Poza tym tabliczki łączono z erupcją Wezuwiusza w 79 roku naszej ery, najstraszliwszym trzęsieniem ziemi w historii Chin w połowie XVI wieku, zatonięciem „Titanica”, powodziami w Holandii, w których zginęło ponad sto tysięcy ludzi, cyklonami w Pakistanie, 11 września 2001, katastrofą w Czarnobylu na Ukrainie, a nawet z tsunami w Azji Południowo-Wschodniej kilka lat temu.

- Czyli ogólnie z każdym większym kataklizmem - podsumowuje Vito.

- Wygodnie jest zrzucać winę na tabliczki - ciągnie Alfie, kiwając głową. - Zło czai się wszędzie, a tabliczki stanowią po prostu symbol.

- Cały czas mówi ksiądz o „tabliczkach” - zauważa Valentina. - Nie wspomniał ksiądz ani razu o „Bramach Piekła”, czy jak je tam nazwano. Dlaczego?

- Bo tę nazwę otrzymały dopiero znacznie później, prawdopodobnie w XVII lub XVIII wieku, więc uznałem, że bardziej prawidłowo będzie nazywać je Tabliczkami z Atmanty.

- Uważa ksiądz, że sataniści byliby w stanie zabić, żeby je zdobyć?

- Panie majorze, w samym Kościele znalazłoby się paru ludzi, którzy byliby gotowi dla nich zabić - odpowiada natychmiast Alfie.

- W Wenecji zginęło kilka osób - mówi Valentina, zerkając pytająco na Vito, który kiwa głową - w tym piętnastoletnia dziewczynka. Wycięto jej wątrobę. Czy to morderstwo mogło być jakoś związane z tabliczkami?

Alfie zamyśla się.

- Możliwe. Tecja, żona Teukrosa, była zaledwie nastolatką - nie miała więcej niż piętnaście lat - gdy urodziła ich dziecko. Dziecko, które sataniści uważają za syna Lucyfera. Złożenie w ofierze dziewczynki w tym samym wieku miałoby silny wydźwięk symboliczny.

- A wątroba? - nie ustępuje Vito.

- Tecja podobno wycięła wątrobę mężczyźnie, który ją zgwałcił, toteż wycięcie tego organu ofierze, która miałaby symbolizować Tecję, w oczach satanistów przywróciłoby duchową równowagę i stanowiło akt sprawiedliwej zemsty.

Valentina waha się przed zadaniem kolejnego pytania.

- A czy krew księdza lub jego wątroba miałyby duże znaczenie symboliczne?

- No jasne - odpowiada z irytacją Alfie. - Przelanie krwi żołnierza chrystusowego zawsze jest dla tych ludzi zwycięstwem. Biorąc pod uwagę fakt, że Teukros był haruspikiem - czyli kapłanem - możemy założyć, że krew księdza byłaby dla nich istotnym elementem ceremonii złączenia tabliczek i otwarcia bram piekielnych.

- Czy to dotyczy też byłych księży?

- Owszem - potwierdza Alfie, marszcząc brwi.

Vito jest przekonany, że Giordano za chwilę zapyta, dlaczego Valentina wspomniała o byłych księżach, ale w tym momencie do gabinetu zagląda Nuncio di Alberto.

- *Scusi*. Przepraszam, panie majorze, ale muszę z panem pilnie porozmawiać.

Vito pospiesznie wychodzi na korytarz. Nuncio trzyma w ręku plik papierów.

- Chyba udało mi się namierzyć właściciela jednej z tabliczek.

Vito jest zaskoczony.

- Kurator w Scuola Grande della Misericordi powiedział mi, że słyszał o srebrnej etruskiej tabliczce z obrazem młodego kapłana, wystawionej na aukcji w Austrii albo w Niemczech, mniej więcej pięć lat temu.

Vito marszczy brwi, usiłując przypomnieć sobie kolejność tabliczek.

- Środkowa?

- *Si*. To był dość mocny trop. Proszę spojrzeć - Nuncio pokazuje majorowi kserokopię broszury domu aukcyjnego z rysunkiem tabliczki. Vito bierze kartkę do ręki, uśmiechając się z aprobatą.

- *Bene*. Dobrze się spisałeś, Nuncio. Poczekaj tu, pokażę to naszemu gościowi z Watykanu.

Major wraca do gabinetu i wręcza kserokopię Alfiemu.

- Niech ksiądz na to spojrzy. Co to jest, zdaniem księdza?

Alfie natychmiast rozpoznaje rysunek.

- Środkowa tabliczka, przedstawiająca wróżbitę Teukrosa. Skąd pan... - ale Alfiemu nie udaje się dokończyć pytania, bo major w tym samym momencie znowu wychodzi z gabinetu.

Oddaje kartkę Nuncio.

- Ksiądz potwierdził, że to tabliczka. Kto jest właścicielem?

Nuncio nie zamierza opowiadać majorowi skróconej wersji. Sukcesami trzeba się chwalić jak najdłużej.

- Kurator się nie pomylił. Dowiedziałem się, że sprzedano ją w Dorotheum w Wiedniu. To jeden z najstarszych domów aukcyjnych na świecie, słynie z dyskrecji.

- Kto ją kupił? - Vito stara się ukryć irytację w głosie.

- Nabył ją anonimowo pewien niemiecki kolekcjoner za przyzwoitą sumkę miliona stu tysięcy dolarów. Dalej sprawa nieco się komplikuje. Okazuje się, że anonimowy nabywca odsprzedał ją następnego dnia w Ameryce. Człowiek, który ją od niego kupił, sprzedał ją dalej tydzień po transakcji. Z każdą sprzedażą cena rosła dokładnie o dwadzieścia procent, zupełnie jakby doliczano jakąś ustaloną prowizję. Oprócz pierwszej transakcji wszystkie przeprowadzono bez pośrednictwa domów aukcyjnych.

Vito niecierpliwi się w oczekiwaniu na nazwisko ostatniego właściciela, ale dostrzega też, dlaczego Nuncio referuje mu po kolei całe poszukiwania. Ktokolwiek wydał fortunę na tabliczki, nie tylko starannie ukrył swoją tożsamość - chodziło również o systematyczne zacieranie śladów, które mogłyby go z nimi powiązać.

- No, to teraz w sprawie właściciela. - Oczy Nuncio rozjaśniają się. - Tabliczkę zakupiła w końcu firma, zarejestrowana na Kajmanach. - Wręcza szefowi kilka kartek. - Firma należąca do naszego miłośnika hipisów, Mario Fabianellego.

Puls majora przyspiesza, gdy rzuca okiem na kopie potwierdzeń przelewów i statutu spółki. Stuka palcem w papier.

- Jesteś pewien tych informacji? Te przelewy na pewno dotyczą sprzedaży tabliczki?

- *Si* - odpowiada Nuncio, przetykając ślinę. - Jestem pewien.

- *Va bene*. Skończę rozmawiać z naszym człowiekiem z Watykanu, a potem postaramy się o nakaz i odwiedzimy pana Fabianellego i jego wesołą komunę.

ROZDZIAŁ 65

Kiedy Tom się budzi, przed sobą widzi tylko ciemność. Znowu zabandażowali mu oczy. Skuli ręce, ale nogi pozostawili wolne.

Potwornie boli go głowa, ale przynajmniej może wreszcie jasno myśleć. Po raz pierwszy od dawna. Znowu go przeniesiono.

Otoczenie jest inne. Powietrze świeższe. Tom czuje zapachy. Trawa. Dziki czosnek. Kocimiętka. Słyszy również dźwięki. Śpiew ptaka. Szelest liści. Leży na plecach. Na czymś twardym. Na dworze. Ale gdzie? I dlaczego? Czemu wynieśli go z tamtego pokoju?

Możliwe wyjaśnienia - i obawy - pojawiają się w jego głowie jak klocki w „Tetrisie”.

Mera Teale - Lars Bale - „Bramy Piekła” - Monica Vidic - szósty czerwca - Wenezuela - Mała Wenecja.

Nagle unosi się w powietrze. Aha. Czyli leżał na sztywnych noszach. Niesie go kilka osób. Po krokach domyśla się, że jest ich czworo.

Niosą go naprzód, a potem kładą z powrotem na ziemi. Ktoś odzywa się cicho po włosku. Nie. Nie po włosku. Po łacinie. Ktoś mamrocze po łacinie. Msza?

Nosze znowu wędrują w górę. Chwieją się. Ktoś podpira je ramieniem.

- *Satanus...*

Tom słyszy ich wyraźnie. Sataniści. Przeprowadzają próbę jakiejś ceremonii. Przygotowują się - i jego - do jakiegoś rytuału, który ma wkrótce nastąpić. Rytuału złożenia ofiary.

Tom może się założyć o to, kto ma być ofiarą. Tylko kiedy?

Nosze przemieszczają się. Inne powietrze. Wracają z powrotem do pomieszczenia. Czyli nie złożą go w ofierze. Jeszcze nie. Dzięki Bogu. Zostawiają go w miejscu, którego nigdy nie widział, ale które zna doskonale. W pokoju, w którym obudził się po raz pierwszy. Mamrocą coś i odchodzą. Stuk-stuk-stuk-stuk-stuk-stuk-stuk-stuk-stuk-stuk. Dziesięć kroków. Zgrzyt. Jeden zamek. Stary i zardzewiały. Bez kłódki. I bez zasuw.

Tom słyszy na korytarzu kroki zmierzające na prawo od miejsca, w którym się znajduje. Wreszcie ma jakieś pojęcie o kierunkach, z których nadchodzą i dokąd udają się porywacze. W myślach rysuje sobie mapę ich ruchów. Robią się nieważni.

Od drzwi na korytarz dzielą go tylko trzy sekundy. Zamek da się bez większego trudu wyłamać. Tom próbuje usiąść i wtedy uświadamia sobie coś jeszcze. Nie jest w stanie. Jest tak słaby, że nie zdołałby zabić nawet muchy, nie wspominając o ucieczce.

CAPITOLO LVIII

Rok 1778

Lazzaretto Vecchio, Wenecja

Podnieść ich!

Na rozkaz Gatusso z cienia wyłania się dwóch zakapturzonych akolitów. Potężnie zbudowany mężczyzna zarzuca na ramię ciało Efrana. Głowa martwego handlarza ociera się o podolek Taniny. Ale dziewczyna jest zbyt przerażona, by krzyzczeć. Jeden z akolitów dźwiga ją na nogi i ciągnie za sobą.

- Ermanno! - krzyczy Tanina. Jej wzrok pada na Lydię.
- Błagam, nie róbcie mu krzywdy!
- Jej „przyjaciółka” tylko się śmieje.
- Doprawdy wzruszające - komentuje sarkastycznie Gatusso.
- Kto by pomyślał, że żyd może obudzić w kimś tak silne uczucia.
- Trąca butem ciało nieprzytomnego Ermanno. - Wynieście go na zewnątrz. Jeszcze nam się przyda.

Tommaso obserwuje w milczeniu, ogłuszony wydarzeniami i rewelacjami tego dnia.

- Wstawaj, mnichu. - Gatusso uśmiecha się szeroko. - Będziesz gwiazdą tego spektaklu. Musimy dopilnować, żebyś miał odpowiednie wejście.

Tommaso podnosi się.

- Spłoniesz w ogniu piekielnym, Gatusso. Twoje czyny nie sposób już nawet nazwać złymi. Będziesz cierpiał przez wieczność za swoje grzechy.

- Cyt, braciszku. Nie przystoi zakonnikowi tak się gniewać. - Gatusso z drwiącą miną otrzepuje ramiona młodego mnicha, po czym przyzywa parę akolitów. - Dopilnujcie, żeby wszystko widział. Jeśli będzie trzeba, przytrzymajcie mu powieki. Chcę, żeby był świadkiem upadku swojego ukochanego, wszechmocnego Boga. - Obdarza Tommaso paskudnym uśmiechem.

- Chcesz się pomodlić, mnichu? Możesz tu sobie przykleknąć. Nie wstydz się. Nam to nie przeszkadza. No dalej, błagaj swojego miłosiernego Jezusa o wybawienie.

Tommaso milczy. Brakuje mu sił - tak w ciele, jak i w duszy.

- Słuszna decyzja - mówi Gatusso. - Po co marnować oddechy. Nie zostało ci ich za wiele.

Lydia i akolici łapią Tommaso pod ręce i wloką za sobą. Gdy wyprowadzają go na zewnątrz, od razu zauważa, że poczyniono staranne przygotowania.

Na ziemi wyrysowano idealny prostokąt, podzielony na trzy części. W każdej z nich znajduje się ołtarz libacyjny wykonany ze świeżych desek. Trzy ołtarze na świeżą krew. Do jednego z nich przywiązano nieprzytomnego Ermanno. Tanina stoi przy kolejnym. Trzeci ołtarz jest pusty. Zapewne przeznaczono go dla niego.

Tymczasem przy każdym ołtarzu staje dwóch akolitów. Wokół prostokąta zapalają się pochodnie. Na środku znajduje się srebrny podest. Widnieją na nim Tabliczki z Atmanty. „Bramy Piekła” są gotowe do otwarcia.

Lydia staje przy Gatusso. Tommaso zwraca uwagę, że ich czarne szaty z czerwonym obramowaniem ozdobione są innymi symbolami, niż ubiory akolitów. Najwyraźniej są tu przywódcami.

Spogląda na Taninę. Siostra patrzy na niego. W jej oczach jest tęsknota. I żal. Tak bardzo chciałby mieć czas, żeby bliżej ją poznać. Porozmawiać o matce, o ich życiu i uczuciach.

Tanina uśmiecha się. Zupełnie jakby potrafiła czytać w jego myślach. Jakby go rozumiała.

Gatusso zauważa, że rodzeństwo patrzy na siebie, budując więź bez słów, zasypując przepaść, która powstała, gdy ich rozdzielono. Podchodzi do Taniny.

- Bracie Tommaso, wbrew słowom Kościoła rzymskiego, Szatan jest miłosiernym bogiem. I choć muszę przelać twoją krew ku jego czci, wolno mi również ofiarować ci wielką radość. - Dotyka ręką włosów Taniny. - Mam dla ciebie propozycję. Pozwolę twojej siostrze żyć. W zamian za to musisz wyrzec się swojego Boga. Boga, który, jak widzisz, opuścił cię. Boga, do którego nie masz odwagi nawet się pomodlić. Wyrzec się go. Wyrzec się Trójcy. Ogłoś swój chrzest bluźnierstwem wobec prawdziwego pana stworzenia, którym jest Szatan. - Gatusso podchodzi do młodego mnicha i dotyka jego twarzy. - Tommaso, jeśli teraz uklęknieš i ofiarujesz swoją duszę Szatanowi, prawdziwemu władcy wszechświata, oszczędzę twoją siostrę. - Lauro bierze wąskie ostrze, przypominające nóż rzeźbiarski, ze srebrnej tacy trzymanej przez jednego z akolitów, po czym wraca do pierwszego ołtarza. - Jest jeszcze jeden warunek. Musisz odebrać życie jej kochankowi. Zabij go, bracie, a w zamian daruję jej życie. - Wyciąga nóż rękojęścią ku Tommaso. - Wybieraj, mnichu - życie twojej siostry czy człowieka, który nic dla ciebie nie znaczy?

ROZDZIAŁ 66

*Czasy współczesne, 4 czerwca
Więzienie San Quentin, Kalifornia*

Strażnicy prowadzą starszego agenta FBI Steve'a Lenera i jego partnerkę Hilary Babcock przez więzienny korytarz do pokoju, w którym czeka Lars Bale.

Lerner jest niewysokim uprzejmym mężczyzną o sylwetce przypominającej wróbla, z równo przyciętą szarą bródką, którą stale gładzi ręką. Babcock jest jego przeciwieństwem. Wysoka, z jasnymi oczami, fryzurą, która kojarzy się z czarnym mopem do podłóg, i zasobem słownictwa, który zawstydzilby nawet zaprawionego marynarza.

- Pamiętam tego pieprzonego skurwysyna z czasów, kiedy byłam w Quantico - mówi Babcock. - Wredny, nadęty kutafon. Szóstego specjalnie wyłączę światła, żeby mogli porządnie usmażyć drania.

- To bardzo uprzejme z twojej strony, Hilary - odpowiada Lerner sarkastycznie. - Ale to nie będzie potrzebne. W San Quentin nie sadzają ludzi na krześle elektrycznym.

- No to dla tego fiuta powinni zrobić wyjątek. Jestem pewna, że rodziny jego ofiar będą zachwycone, że po tym wszystkim, co zrobił, dostanie jeszcze suty posiłek, położy się na wygodnej leżance, dostanie zastrzyk i lulu.

Kontynuują tę dyskusję do momentu, aż strażnik wpuszcza ich do izolatki i informuje o procedurach bezpieczeństwa.

- Na stole jest przycisk alarmowy. Drugi jest przy drzwiach.

Proszę nacisnąć, jeśli coś się będzie działo, albo gdy państwo skończą, to państwa wypuszczę, dobrze?

Lerner i Babcock kiwają głowami. Strażnik zamyka za sobą drzwi.

Agenci siadają na krzesłach, które, podobnie jak stół, są przykręcone do podłogi.

- Panie Bale, jestem agent Steve Lerner, to jest agentka Hilary Babcock. Pracujemy dla Wydziału Behawioralnego FBI. Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań.

- Proszę bardzo - odpowiada Bale, wpatrując się w Babcock. Ma na sobie pomarańczowy kombinezon i kajdany, skuwające ręce i nogi.

- Ale odpowiem tylko na pytania, które mnie rozbawią.

- Rozumiem - mówi cicho Lerner. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjmuje nieduży, brązowy notes i długopis. Niespiesznym ruchem zdejmuje nasadkę i bazgrze po kartce, żeby rozpisać tusz.

- Lepiej się pospiesz, facet... - komentuje Bale z chichotem. - ... w tym tempie stracą mnie, zanim zdążysz zacząć.

Lerner całkowicie ignoruje tę uwagę.

- Jak rozumiem, jest pan artystą. To się chwali. Kto był dla pana inspiracją?

W oczach Bale'a pobłyskuje złośliwa uciecha.

- Chrystus, jego śmierć i masakry niewinnych. To mnie ekscytuje i motywuje do pracy.

- Miałem na myśli malarza. Którego pan najbardziej podziwia? Picassa? Dadę? Dalego?

- A, rozumiem - odpowiada Bale z pogardą. - Stara sztuczka: szukamy wspólnego tematu, żeby więzień się rozluźnił i zaczął mówić. Jakże inteligentnie.

- Więc?

- Picabia - Bale prawie wypływa z siebie nazwisko. - Picabia. Przeliteruję, żebyś się nie pomylił w tym swoim notesiku. P-i-c-a-b-i-a.

To on mnie zainspirował. Czy to ci coś wyjaśnia? Czy ty, kurwa, masz w ogóle pojęcie, o kim mówię?

Agent skrupulatnie zapisuje nazwisko malarza, po czym z namysłem gładzi brodę. Zerka na sufit, udając, że zastanawia się nad odpowiedzią. Wreszcie uśmiecha się do Bale'a, przykuwając jego uwagę.

- François Marie Martinez Picabia. Powinienem był się domyślić. Pańska technika wielu twarzy przypomina jego obraz „Hera” z 1929 roku.

Bale klaszcze skutymi dłońmi, udając aplauz.

- Gratuluję. Czyli nie jesteś całkowitym ignorantem, jak to zwykle bywa u glin - prycha sarkastycznie - Cioty w mundurach zazwyczaj są wrażliwe i wykształcone. Zamykają się w sobie. Czy to panu przynosiło ulgę, agencie Lerner? Czy szukał pan wythnienia w sztuce, ukrywając swoją seksualność przed naładowanymi testosteronem koleżkami?

- Właściwie tak - odpowiada Lerner prawie obojętnym tonem. - W sztuce i w poezji. Czytuje pan poezję, panie Bale?

Lars wyszczerza się w uśmiechu.

- Moją poezją są moje zbrodnie. Krew moich ofiar jest moim atramentem. Ich groby są moimi kartami w historii.

- Poruszające - komentuje obojętnie Lerner, gryzmołąc w notatniku. - Trochę melodramatyczne i kiczowate, ale mimo to interesujące i poruszające.

Agentka Babcock jest nieco mniej opanowana.

- Poezja to będzie wtedy, kiedy za kilka dni naszprycują się kwasem i w końcu ukatrupią twoje nędzne dupsko.

- Wylizałaby mi pani dupsko, agentko Babcock? Bo ja z przyjemnością wylizałbym panią. - Bale lubieżnie porusza językiem.

Lerner chwytą partnerkę za ramię na wypadek, gdyby przyszło jej do głowy - jak wtedy w Kansas - że rzucanie się przez stół na więźnia z pięściami jest dobrym pomysłem. Nie zdarza się jej to często, ale się zdarza.

Jego ruch nie umyka uwadze Bale'a.

- Niegrzeczny z niej piesek, agencie Lerner. Założyłeś tej suczce smycz? Wolałbym, żeby nie zapaskudziła mi mojej ładnej, czystej celi.

- Już prawie skończyliśmy. - Lerner zamyka długopis i przesuwa zatyczkę tak, aby plastikowy uchwyt był w jednej linii z nazwą producenta. - Bardzo dziękujemy za poświęcony nam czas. Zdaję sobie sprawę, że niewiele go panu zostało.

Lerner wciska przycisk wzywający strażnika.

Bale wstaje. Nawet ze skutymi łańcuchem rękami i nogami stanowi dla obu agentów śmiertelne zagrożenie. Lerner nie chowa długopisu do kieszeni. W razie potrzeby może wykorzystać go jako broń. Długopis okazuje się zaskakująco skuteczny, gdy wbije się go komuś w oko.

Strażnik otwiera zamki kartą magnetyczną. Dwójka agentów wychodzi na korytarz, przez cały czas nie spuszczać więźnia z oczu.

- O-brzy-dli-wość - stwierdza Babcock po chwili. - Trzeba było pozwolić mi przywalić temu draniowi.

- Zabiłby cię. Mnie też. Kiepski pomysł.

- A ta cała dyskusja była dobrym pomysłem? Jak dla mnie kompletna strata czasu.

- Bynajmniej.

- Bynajmniej co?

- Picabia należał do ruchu znanego jako *Section d'Or* - po francusku „Złoty podział”.

- Jakie to ma znaczenie? - pyta Babcock, podpisując listę gości przy wyjściu.

- Cierpliwości, Hilary. Cierpliwości. - Lerner mruży oczy w ostrym słońcu, gdy idą do samochodu. - „Złoty podział” wziął nazwę od przekładu *Trattato della Pittura* Leonarda Da Vinci, sporządzonego w 1910 roku przez Joséphin Péladan.

- Szefie, daj spokój. Równie dobrze mógłbyś do mnie mówić po albańsku. Czytuję „USA Today” i oglądam O'Briena, ale nie jestem cholernym jajogłowcem jak ty.

- Po prostu mniej się interesujesz kulturą, Hilary.

- Dobra, niech ci będzie, że się nie interesuję. A teraz możesz z łaski swojej wyjaśnić swojej niekulturalnej partnerce, jakie to ma wszystko znaczenie?

- Już do tego dochodzę. - Lerner wzdycha teatralnie. - Péladan przypisywała wielkie znaczenie mistyczne złotemu podziałowi i innymi konfiguracjom geometrycznym.

- Skąd tu jeszcze geometria?

- Znacznie więcej niż geometria. W matematyce i sztuce istnieje bardzo znany wzór zwany złotą proporcją. Jeśli mnie pamięć nie myli, oznacza się go grecką literą *fi*. Upraszczając, a plus b podzielone przez a równa się a podzielone przez b równa się *fi*.

- No, kurwa, teraz to już kompletnie nic nie rozumiem - oznajmia Hilary. - Na przyszłość do rozmów z tobą będę brała encyklopedię.

Docierają do starego Lexusa Hybrid Lenera, który otwiera drzwi.

- Nie dziwię ci się. *Fi* to tak naprawdę irracjonalna matematyczna stała. Dlatego właśnie jest tak wyjątkowa. Prawie magiczna. Być może co nieco rozjaśni ci się, jeśli ci powiem, że złota proporcja pojawia się w środku piramid, pentagramów i pentagonów. Wywarła

olbrzymi wpływ na całą architekturę, astronomię, w ogóle na sztukę. Weźmy na przykład ilustrację Leonarda z *De Divina Proporttione*. Da Vinci wykorzystywał tak zwany złoty prostokąt do sporządzenia geometrycznych proporcji ludzkiej twarzy.

Hilary wsiada do samochodu z widoczną ulgą.

- Prostokąt? Taki jak ten, który widzieliśmy na obrazach Bale'a?

- Brawo, coraz cieplej. To się nie trzymało kupy do momentu, aż Bale wspomniał o Picabii. Jeśli popatrzysz na rysunek złotego prostokąta, zauważysz, że najpierw powstał idealny kwadrat, a potem, za pomocą złotej proporcji, wyprowadzono z niego prostokąt, natomiast obrys kwadratu służy do stworzenia ogólnego kształtu, podzielonego na trzy dokładnie równe części.

Hilary wydaje się nareszcie coś pojmować.

- Dobra, rozumiem, że ten psychol jest dobrym malarzem, że inspirował się tym Francuzem, który należał do jakiejś grupy intelektualistów, którzy sami się nazwali złotym czymś tam, ale - że ujmę dosadnie - jak to ma, kurwa, pomóc naszym kolegom z Włoch?

Lerner wznosi oczy do nieba.

- Co robią obrazy, Hilary?

- Wiszą na ścianie? - pyta ze zdziwieniem Babcock.

- Głębiej. Uruchoom wreszcie ten swój przepastny intelekt. Po co artyści tworzą?

Hilary potrząsa burzą czarnych włosów.

- Żeby coś przekazać? Dać wyraz wewnętrznym wizjom i inne takie? Wysłać jakąś dziwną wiadomość?

Lerner obdarza ją uśmiechem.

- Krytyk z „New York Times” nie ująłby tego lepiej. Sztuka to medium, za pośrednictwem którego twórca przekazuje odbiorcom swoje poglądy i przesyła wiadomości. A pan Bale, podobnie jak Picabia, nafaszerował swoje obrazy ukrytymi przekazami.

- Ale między nimi jest chyba spora różnica - wątpi Hilary. - Miliony popaprańców widziały psychotyczne obrazki tego Picabii, ale nikt poza blokiem więziennym nie oglądał mazideł Bale'a.

Lerner posyła jej bardzo szeroki uśmiech.

- Wręcz przeciwnie, Hilary. Widziały je, jak to ujęłaś, miliony popaprańców.

ROZDZIAŁ 67

5 czerwca

Wyspa Mario, Wenecja

Przybywają o świcie. Motorówki patrolowe z impetem wpadają na piaszczysty brzeg. Policjanci wbiegają na obwałowanie. Po drodze wyciągają pistolety z kabur. W dłoniach ściskają kopie nakazu przeszukania i młoty do wyważania drzwi.

Oddział majora Carvalho wpada z impetem do dworu, zanim strażnicy dyżurujący przy monitorach zdążą odstawić kubki z kawą. Są w środku. Valentina i Rocco posyłają kilku funkcjonariuszy do hangaru na łodzi. Kolejne drzwi wypadają z zawiasów.

Cała zawartość pomieszczenia natychmiast trafia do plastikowych toreb.

Hałas budzi mieszkańców komuny. Kilka zaspanych twarzy pojawia się na dębowych schodach. Pozostali tylko przewracają się na drugi bok.

Nuncio di Alberto podnosi w górę legitymację i nakaz.

- Nalot policyjny! Wszyscy mają natychmiast wrócić do pokoi!

Nie musi się powtarzać. W całym budynku rozlega się chłopot spłuczek klozetowych. Warta tysiące euro kokaina i amfetamina trafia do kanalizacji.

Pojawia się Mario Fabianelli. Boso, ubrany tylko w krótkie dzinsowe spodnie i rozpiętą białą koszulę, kontrastującą z muskularną, opaloną klatką piersiową.

- *Buongiorno*, panie majorze. - Na twarzy Fabianellego pojawia się przyjazny uśmiech. - Wystarczyłoby zadzwonić, zawsze jest pan u nas mile widziany.

Vito rzuca mu ponure spojrzenie.

- Obawiam się, że to nie jest wizyta towarzyska, *signor* Fabianelli. Będę wdzięczny, jeśli pan i pański prawnik zechcecie udać się ze mną na komendę i odpowiedzieć na kilka pytań.

Mario krzywi się.

- Przed śniadaniem? Wolałbym nie.

Vito uśmiecha się złośliwie.

- Nalegam.

Miliarder przeczesuje palcami włosy.

- Ma pan stosowny nakaz, jak sądzę?

Vito pokazuje mu papier.

- *Bene*. Proponuję, żeby zaczekał pan na mnie w południowym salonie. Jest stamtąd najładniejszy widok na ogród. W międzyczasie się ubiorę.

- Poczekam na pana tutaj. - Vito przywołuje funkcjonariusza w cywilnym ubraniu. - Mój kolega będzie panu towarzyszył.

Z twarzy Mario znika niezachwiana pewność siebie.

- Jak pan sobie życzy, panie majorze. Proszę mi jednak powiedzieć, na jakiej podstawie wydano ten nakaz?

- Podejrzenia popełnienia morderstwa - odpowiada Vito, z satysfakcją obserwując twarz miliardera. - Na początek.

CAPITOLO LIX

Rok 1778

Lazzaretto Vecchio, Wenecja

Dym z pochodni zasnuwa polanę, na której zebrali się sataniści. Gatusso wpatruje się w przerażone oczy Tommaso, przesywając go na wskroś, docierając do samej duszy.

- Zadałem ci pytanie, mnichu. Możesz ocalić życie siostry, zabijając jej kochanka. Czekam na twoją decyzję.

Tommaso odpowiada mu obojętnym spojrzeniem. Najwyższy kapłan kręci pobłaźliwie głową.

- Zatem zaczynamy.

Odchodzi, powiewając czarnymi połami alby. Błękitno-pomarańczowe płomienie pochodni tańczą. Gatusso unosi ramiona w górę.

- *In nomine magni dei nostri Satanus Introibo ad altare Domini Inferi.*

- *Ad eum qui laetificat juventutem meam* - odpowiadają akolici.

W ciemności rozlega się dźwięk dzwonka. Jeden z akolitów okadza otoczenie trybularzem na łańcuchu, rozsiewając ostry zapach trujących ziół.

- *Domine Satanus. Tua est terra...*

Tommaso przestaje słuchać inkantacji Gatusso. Zamyka oczy i wycisza się. Medytuje. Od dziecka pomagało mu to na skołatane nerwy. Czas zwalnia. Przelewa się. Tommaso wyobraża sobie twarz matki, jej ramiona wyciągnięte do niego i siostry. Tanina krzyczy. Ale jej krzyk nie rozlega się w wyobrażonym, bezpiecznym świetle dzieciństwa. Krzyczy tak przesywająco, że wytrąca z równowagi nawet Gatusso.

Lydia ceremonialnym nożem otwiera żołądek Efrana. Krew i wnętrzności wylewają się na drewniany ołtarz. Akolici zbierają krwawy wodospad do srebrnych mis. Lydia zagłębia dłoń w ciało Efrana i wydobywa stamtąd okrwawiony organ. Wątroba.

- *Ave, Satanas! Ave, Satanas!*- skandują akolici. - *Ave, Satanas!*

Niewidoczny dzwonek bije trzykrotnie. Lydia obiema rękami podaje wyciętą wątrobę kapłanowi. Gatusso wkłada organ do srebrnego koszyka i ustawia go w środku prostokątnego obrysu, w którym stoją trzy ołtarze.

Tommaso, który wcześniej nie zdołał wydusić z siebie ani słowa, teraz nie potrafi zachować milczenia. Modlitwa sama ciśnie mu się na usta.

- *Deus, in nomine tuo salvum me fac, et virtute tua age causam meam.*

Gatusso nieruchomieje.

- *Deus, audi orationem meam: duribus percipe verba oris mei!*

Modlitwa egzorcysty.

- *Nam superbi insurrexunt contra me, et violenti quasi erunt vitam meam; non proposuerunt Deum ante oculos suos!*

- Ucisz go! - wrzeszczy Gatusso.

Lydia podbiega do Tommaso, który instynktownie odwraca twarz i podnosi kolano. Lydia wpada na nie z impetem. Zatacza się i upada. Z trudem dźwiga się na nogi. Na jej twarzy maluje się furia. W dłoni ściska nóż. Nagle wyrzuca ręce w górę i krzyczy.

Z początku akolici sądzą, że zaatakuje mnicha. Zabije go za wcześnie. Ale wtedy dostrzegają coś jeszcze. Lydia płonie. Upadła na pochodnię, od której zajęły się jej szaty.

Tommaso dostrzega szansę. Związanymi dłońmi chwyta pochodnię i rzuca się biegiem ku akolitom otaczającym Taninę, podpalając szaty kilku z nich. Rodzi się chaos i powstaje zamieszanie.

Przez płomienie widzi nieruchomego Gatusso. Rytuał najwyraźniej zabrania mu przekroczenia linii prostokąta wyrysowanego wokół ołtarzy.

Do Tommaso zbliżają się kolejni akolici.

Młody mnich odwraca się przez ramię do siostry.

- Uciekaj, Tanino!

Dziewczyna waha się.

- Uciekaj!

Wie, że nie ma wyboru. Nie zdoła ocalić Ermanno. Ani nawet Tommaso. Tanina biegnie. Prosto przez magiczny prostokąt. Prosto przez stulecia czarnej magii.

Gatusso stoi tylko kilka kroków od niej, ale po niewłaściwej stronie ołtarza. Może tylko bezsilnie patrzeć, jak dziewczyna chwyta Tabliczki z Atmanty i znika w ciemnościach.

ROZDZIAŁ 68

Czasy współczesne

Komenda główna żandarmerii, Wenecja

Mario Fabianelli nie prosi o wezwanie adwokata. Nie ma też nic przeciwko, żeby Vito nagrywał ich rozmowę. Bez protestów oddaje do badań krew, materiał DNA i wymaz błony śluzowej.

Miliarder wygładza białe, lniane spodnie, rozsiada się na krześle w pokoju przesłuchań i patrzy na lampkę magnetofonu, która rozbłyska na czerwono.

- Panie majorze, postaram się pomóc panu, jak tylko będę mógł. Powiedziałem już, że nie mam nic do ukrycia i nic nie wiem o śmierci pańskiego młodego kolegi, który pracował jako jeden z moich ochroniarzy.

- Antonio Pavarotti - odpowiada Vito z irytacją. - Mój młody kolega miał imię i nazwisko. I był dla nas kimś ważnym.

- Nie wątpię. Każde życie jest ważne.

- Cóż, jego zakończyło się zaledwie kilka kilometrów od pańskiej wyspy, w czasie gdy był u pana zatrudniony.

- Niezupełnie. - Fabianelli krzywi się. - Zatrudniała go wynajęta przez nas firma ochroniarska. Wszelka odpowiedzialność prawna spoczywa na nich.

- Na łodzi Antonia podłożono materiały wybuchowe...

- Już mi pan o tym opowiadał, majorze - przerywa Fabianelli. - Wiedziałem, że pański kolega zginął w eksplozji wywołanej podłożonym

ładunkiem, a mimo to bez oporów poddałem się badaniu dłoni na obecność materiałów wybuchowych. Jest mi naprawdę bardzo przykro z powodu pańskiej straty, ale ja naprawdę nie miałem z tym nic wspólnego.

- Podobnie jak ze zniknięciem Toma Shamana i Tiny Ricci?

- Shaman to ten ksiądz, zgadza się?

- Tak.

- Wobec tego nie miałem z tym nic wspólnego, podobnie jak z tą kobietą. To ją jakoby zobaczył w moim domu?

Cierpliwość Vito zaczyna się wyczerpywać. Fabianelli skutecznie zamyka mu wszystkie kierunki. Jest zbyt zmęczony, żeby stwierdzić, czy to wina kiepskich umiejętności przesłuchiwania, czy też Mario Fabianelli po prostu mówi prawdę. Postanawia spróbować inaczej.

- Pańska asystentka, Mera Teale, powiedziała Shamanowi, że w pańskim dworze odprawiano satanistyczne msze. Czy to prawda?

Fabianelli wygląda na rozbawionego.

- Zapewne. W naszej komunie mamy przedstawicieli wszystkich wyznań - kwakrów, pogan, katolików, mormonów, muzułmanów, więc pewnie znalazło się i kilku satanistów. Nie wątpię również, że tańczą nago wokół świec, urządzają orgie i generalnie robią to wszystko, co robią sataniści.

- Sądzi pan, że tak to właśnie wygląda?

Miliarder wzrusza ramionami.

- Nie mam pojęcia. Podstawowe założenie komuny polega na tym, że każdy członek może znaleźć sobie własną przestrzeń i wyrażać swoją osobowość, tak jak chce. Ja znalazłem swoją i staram się nikomu nie zawadzać.

- Skoro już mówimy o panu, czy mógłby mi pan powiedzieć, jakiego jest wyznania?

- Ach, tak. - Fabianelli uśmiecha się. - Moją Trójcą Świętą są Forsa, Sztuka i Seks, panie majorze. Nie zastanawiam się nad tym, który bóg mi je zsyła, ale proszę mi wierzyć, codziennie oddaję im hołd. Ma pan do mnie jeszcze jakieś dziwaczne pytania?

Vito kiwa głową.

- Kilka. Do końca jeszcze dość daleko. *Signor* Fabianelli, czy zna pan człowieka imieniem Lars Bale?

Fabianelli w zamyśleniu patrzy przez okno.

- Nie. Nie sądzę, żebym go znał. - Odwraca się do majora. - Dlaczego pan pyta? Co to za jeden?

- Amerykanin. Raczej sławny. Na pewno go pan nie zna?

- Wprawdzie nie mam fotograficznej pamięci, ale jestem pewien, że nikogo takiego nie znam.

- Tu jest zdjęcie. Dostaliśmy od FBI.

Mario kręci głową.

- Proszę przyjrzeć się bliżej, *signor*. Na pewno go pan nie rozpoznaje? Nie ma w nim nic znajomego?

Miliarder bierze fotografię do ręki i studiuje z bliska.

- Nie. Obawiam się, że nie.

- Proszę zwrócić uwagę na tatuaż. Pod lewym okiem. W kształcie łązy.

Mario dopiero teraz go zauważa.

- Czy to ważne?

- Pańska asystentka, Mera Teale, ma identyczny tatuaż w tym samym miejscu. Może mi pan coś na ten temat powiedzieć?

Mario wybucha śmiechem.

- Chyba nie. Proszę zapytać Merę. Przyjrzał się jej pan w ogóle? Ona ma wszędzie tatuaże. Setki, na całym ciele.

- I sądzi pan, że ma więcej tatuaży identycznych z tymi, które zrobił sobie seryjny zabójca satanista, oczekujący na wykonanie wyroku śmierci?

- Panie majorze, ja naprawdę nie wiem. - Fabianelli zdradza pierwsze oznaki irytacji. - Może pan w każdej chwili przesłuchać Merę. Jestem przekonany, że z chęcią odpowie na wszystkie pańskie pytania.

- Nie omieszka. - cedzi Vito. - Może być pan pewien, że nie omieszka. - Wręcza miliarderowi kserokopię katalogu aukcyjnego, którą otrzymał od Nuncio. - Czy to coś panu mówi?

Mario nie bierze kartki do ręki.

- A powinno? Co to takiego?

- Srebrny etruski artefakt. Bardzo cenny.

Fabianelli zerka przelotnie na rysunek tabliczki.

- Nie. Nic mi nie mówi.

- Na pewno?

Miliarder rzuca majorowi podejrzliwe spojrzenie.

- Panie majorze, zaczyna mnie to nudzić. Tak, jestem pewien, że ten przedmiot nic mi nie mówi. Posiadam wiele dzieł sztuki. Sporo rzeźb. Ale preferuję modernizm i znam wszystkie dzieła w swojej kolekcji.

Vito stuka palcem w kserokopię.

- Ten artefakt należy do pana.

Mario zaprzecza ruchem głowy.

- Ustaliliśmy, że właścicielem tego przedmiotu jest jedna z pańskich firm, zarejestrowana na Kajmanach. Zapłacił pan za niego ponad milion dolarów.

- Zapewniam pana, że niczego takiego nie kupowałem.

- Czy jest pan właścicielem firmy o nazwie MFA - Mario Fabianelli Artistes?

Miliarder ponownie zaprzecza.

- Nie. Nigdy o niej nie słyszałem. Kto zasiada w zarządzie?

Vito podsuwa mu kolejną kartkę.

- Pan i pański prawnik, *signor* Ancelotti. Proszę, tu są nazwiska panów. - Vito nagle o czymś sobie przypomina. - A przy okazji, gdzie się podział ten pański rottweiler?

Mario uważnie czyta kartkę.

- Nie wiem, majorze. Nie widziałem Dino Ancelottiego od kilku dni. - Oddaje dokument majorowi. - Naprawdę nic nie wiem o tej firmie. To nie ja podpisywałem umowę spółki.

Vito przygląda mu się podejrzliwie.

- Nie wie pan, gdzie się podziewa pański prawnik?

Miliarder śmieje się.

- Proszę mi powiedzieć, czy pan wie, gdzie jest teraz prokurator generalna?

- W pracy, zapewne w swoim biurze albo w czyimś innym.

- *Va bene*. Dino zapewne pracuje w jakimś biurze - może w urzędzie skarbowym albo w banku. Nie wiem, czyje jest to biuro i gdzie się znajduje, i nie chcę wiedzieć. Mam w życiu ciekawsze sprawy niż śledzenie swojego prawnika.

- Czy mógłbym poprosić, żeby pan do niego zadzwonił i zapytał o pańskie udziały w firmie MFA i o artefakt, o którym wspomniałem?

- Mógłby pan - odpowiada Mario z uśmiechem. - Ale nie tutaj i nie teraz. - Wskazuje palcem magnetofon. - Chcę panu pomóc, panie majorze, ale nie jestem głupcem. Jeśli ludzie, których zatrudniam, popełnili błędy, to były to błędy dotyczące moich prywatnych spraw i w takiż sposób się nimi zajmę.

- Pozwolę sobie przypomnieć, *signor*, że to nie jest sprawa prywatna, tylko karna. Prowadzimy dochodzenie w sprawie kilku

morderstw, w tym śmierci Antonia Pavarottiego, który pośrednio był u pana zatrudniony.

Cierpliwość Fabianellego się kończy.

- A ja pozwolę sobie przypomnieć panu, majorze, że jak dotąd nie postawił mi pan żadnych zarzutów i nie ma pan przeciwko mnie żadnych dowodów, bo w przeciwnym razie już siedziałbym w areszcie. Nie potrzebuję prawnika, żeby zauważyć, że jesteście w lesie i desperacko usiłujecie znaleźć jakiś punkt zaczepienia. Dlatego za pańskim pozwoleniem wrócę teraz do domu i obiecuję, że zadzwonię do mojego prawnika. A potem, jeśli łaska, przekażę panu, czego się dowiedziałem o tej firmie na Kajmanach i etruskim artefakcie.

I to jest koniec. Vito nie ma w zanadru już żadnego asa. Skończyły mu się pytania. Kontynuowanie przesłuchania nie ma większego sensu. Wyłącza magnetofon, obserwując bezradnie, jak Mario Fabianelli zarzuca na siebie lnianą marynarkę za tysiąc dolarów i wychodzi.

ROZDZIAŁ 69

Wiekowy zegar ścienny w gabinecie majora Carvalho głośno tyka. Wskazówki zbliżają się do północy. Po chwili rozlega się niski, przeciągły dźwięk, oznaczający początek kolejnego dnia. Vito i Valentina siedzą przy stole konferencyjnym, na którym stoi butelka brandy wyłowiona z szuflady majora oraz dwie szklanki niemyte od czasu, kiedy ostatni raz ich używał. Vito odkorkowuje butelkę

vecchio i wsłuchuje się w bulgotanie złotawego płynu.

- Naprawdę sądziłem, że to, co wygrzebał Nuncio, da nam jakiś punkt zaczepienia.

- Ale coś przecież mamy - upiera się Valentina. - Wiemy, że Mera Teale i Ancelotti zniknęli. A to jego nazwisko widnieje przy firmie, która kupiła tabliczkę. Jak dla mnie to dość silne powiązania.

- Silne, ale zgodne z prawem. Nie ma w tym nic nielegalnego.

- Vito wychyla zawartość szklanki i wzdycha głośno. - Powinienem był zauważyć, że Teale zniknęła, kiedy przywieźliśmy Fabianello na przesłuchanie. - Dolewa sobie więcej brandy. - Teraz i ona, i ten prawnik zapadli się pod ziemię. Tom zaginął. Zniknęła też ta dziwka, z którą sypiał. - Major z hukiem stawia szklankę na blacie stołu, rozlewając alkohol. - Co tu się dzieje, Valentino?

- Pojawiła się jakaś cholerna czarna dziura? Trójkąt bermudzki? Czy ci ludzie po prostu się rozplynęli w powietrzu?

Valentina kiwa głową w kierunku mapy operacyjnej na ścianie.

- W pewnym sensie tak. W tym mieście jest ponad sto wysp. Czarna dziura, jak pan powiedział. Uplyną wieki, zanim ich znajdziemy.

- Nie mamy wieków, Valentino.

- Równie dobrze może ich w ogóle nie być w Wenecji.

- Tina Ricci nie wyjechała z kraju. Sprawdziłem u pograniczników - mówi Vito.

- Patrole wiedzą, że mają szukać Ancelottiego i Teale - dodaje Valentina. - Tylko że nie mamy żadnego dowodu na to, że podróżują pod własnymi nazwiskami.

Vito coś sobie przypomina.

- Sprawdziłaś powiązania Teale z Larsem Bale'em?

Valentina wygląda na zirytowaną tym pytaniem.

- Sprawdziłam. Żadnego bezpośredniego związku. Nie są spokrewnieni, a Teale nie miała żadnych powiązań z ofiarami ani członkami jego sekty. Łączy ich tylko to, że oboje są z Los Angeles. Ale w Los Angeles mieszka trzysta milionów ludzi.

- Myślisz, że mogli się spotkać?

- Wątpię. Teale ma dwadzieścia sześć lat, Bale czterdzieści dziewięć. Siedzi w więzieniu od osiemnastu lat, więc w chwili aresztowania miał trzydzieści, góra trzydzieści jeden lat. Teale miała wtedy około ośmiu. Spora różnica...

- Odwiedzała go kiedyś w więzieniu?

- Pytałam. San Quentin przejrzało rejestry gości, ale nie znaleźli jej nazwiska. Poprosiłam też FBI, żeby to sprawdzili.

Dzwoni telefon majora. Vito wstaje i podchodzi do biurka, żeby odebrać. Ogląda się na Valentine.

- FBI. O wilku mowa.

- Telepatia - odpowiada Valentina, wypijając w końcu zawartość swojej szklanki.

Vito uważnie słucha rozmówcy.

- *Momento*, przełączę na głośnik, żeby moja koleżanka mogła nas słyszeć. - Wcisła przycisk i odkłada słuchawkę na widełki.

W pokoju rozlega się głos starszego agenta Steve'a Lerner:

- Lars Bale był bardzo płodnym malarzem. Zastanawialiśmy się, co się stało z jego pracami. Okazuje się, że przekazał je fundacji, która zbiera pieniądze na walkę z karą śmierci. Co ciekawe, ta fundacja je sprzedaje.

- W jaki sposób? - pyta major.

- Jest pan przy komputerze?

- Tak.

- Proszę wpisać adres w wyszukiwarce: www.deathrowtalents.com.
Vito kiwa głową na Valentinę, która zasiada za klawiaturą i wpisuje adres.

Jej oczy nagle się rozszerzają.

- Wesołiście? - pyta Lerner.

Vito zagląda Valentinie przez ramię.

- *Si*.

- Przejdźcie na stronę domową i wpiszcie nazwisko Bale'a do wewnętrznej wyszukiwarki. Ma swoją własną, wirtualną galerię.

Na ekranie pojawia się zdjęcie Bale'a w otoczeniu dziesiątków obrazów. Vito i Valentina gapią się w zdumieniu.

- Szok, nie? Witajcie w Ameryce, gdzie nawet seryjni zabójcy mają prawo wyrażać swoje artystyczne potrzeby i zdobywać sławę.

Vito patrzy na monitor z niedowierzaniem.

- Namalował setki, dosłownie setki obrazów...

- Kliknijcie dwa razy w którąś miniaturę - instruuje dalej Lerner. - Wyświetli się pełnoekranowa wersja z możliwością przybliżenia. W ten sposób można zbadać obraz dokładniej niż oryginalne płótno.

- Bale zamieszczał na swoich obrazach ukryty przekaz - mówi Valentina, wykonując instrukcje agenta. - Potem przekazywał je fundacji, która publikowała je w sieci, gdzie jego zwolennicy mogli odczytywać zakodowane instrukcje.

- W dziesiątkę - chwali Lerner. - To niezbyt skomplikowane, kiedy się wie, czego szukać.

- Jak wszystko - komentuje Vito, przyglądając się dolnej części ekranu. - Zaraz... jeden opublikowano sześć dni temu. Widział go pan?

- Jasne - odpowiada Lerner. - A co, zauważyliście coś?

CAPITOLO LX

Rok 1778

Lazzaretto Vecchio, Wenecja

Rytuał został ostatecznie przerwany. Gatusso nie dba już o magiczne linie prostokąta. Rzuca się w pościg za Taniną.

Tommaso w ostatniej chwili staje mu na drodze. Obaj upadają na ziemię. Z rąk młodego mnicha wypada pochodnia. Jedyna broń, jaką miał. Akolici rzucają się na niego jak stado wygłodniałych wilków. Na jego twarzy ląduje grad ciosów. Szczęka pęka z trzaskiem, oczy zalewa krew. Ale przez cały czas Tommaso w żelaznym uścisku trzyma nogę Gatusso. Nie puszcza. Nie umie walczyć, nie potrafi się bronić, ale może go powstrzymać.

Ktoś kopie go w ramię. Przez rękę przebiega dreszcz, ale Tommaso nie puszcza. Każda sekunda zwiększa szanse Taniny na ucieczkę. Prowizoryczna drewniana maczuga gruchocze mu nadgarstek. Traci czucie w dłoni. Bezwładne palce puszczejają. Gatusso podnosi się.

Tommaso rzuca się do przodu, lądując na biodrach kapłana. Gatusso uderza go na oślep, usiłując się uwolnić. Drewniana maczuga opada ponownie. Trafia. Rozłupuje czaszkę młodego mnicha. Oczy i skronie Tommaso eksplodują bólem. Ogarnia go ciemność. Upadając twarzą w wilgotną ziemię, modli się jeszcze, by Tanina była już daleko. Następnego uderzenia już nie czuje. I kolejnego. Jest martwy.

Gatusso uwalnia się z uścisku nieżywego mnicha. Akolici pomagają mu wstać. Rozgląda się za Lydią. Przypadkowe zetknięcie z

pochodnią kosztowało ją życie. Pozostały po niej tylko spalone na węgiel kości.

Kapłan odwraca się do pozostałych satanistów.

- Musimy złapać dziewczynę. Rozdzielcie się. Wy dwaj pójdziecie tam - wskazuje kierunek. - Dwóch pójdzie na brzeg. A pozostali za mną.

Tanina nie ma pojęcia, gdzie jest. Nie wie, dokąd biegnie. Ale nie zatrzymuje się. Biegnie szybciej niż kiedykolwiek wcześniej. Zaplątuje się stopą w niewidoczny krzak jeżyn i prawie się przewraca. Potyka się. Wpada na nisko wiszącą gałąź. Upuszcza jedną z tabliczek, która znika w gąszczu trawy, ziół, jeżyn i ściółki.

Tanina zatrzymuje się. Opada na kolana i rozpaczliwie szuka zguby. Odzyskanie tabliczki wydaje się jej ważniejsze niż ucieczka. Czuje coś pod palcami. Gałęzie. Odrzuca je na bok. Ale to nie są gałęzie. To kości. Ludzkie kości!

Tabliczka wpadła do płytkiego grobu. Na wyspie są ich dziesiątki. Tuż pod ziemią zalegają kości tych, których pochłonęła zaraza.

Tanina słyszy za sobą szelest. Nadchodzą. Tabliczka z twarzą demona leży gdzieś między szczątkami. Przelyka ślinę i zanurza obie ręce w wypełniony kośćmi i ziemią rów. Nie po to, by znaleźć tabliczkę. Po to, by się ukryć.

Wokół niej rozlega się trzask łamanych gałęzi. Między czarnymi pniami drzew migocze światło pochodni. Głosy. Coraz bliżej.

Tanina kładzie się w grobie, zasypując się gnijącą pierzyną z czaszek, żeber i kończyn. Głosy są tuż nad nią. Nie odważa się wydać z siebie najmniejszego dźwięku. Po jej skórze pełza robactwo zwabione zapachem ciała. Czuje, jak robaki wiją się wokół jej szyi, cierpliwie zmierzając ku soczystej substancji jej oczu i ciepłym otworom na jej twarzy. Mimo to pozostaje nieruchoma. W jej włosach kłębi się od insektów. Swędzi ją głowa i zaczyna wpadać w panikę, gdy jakiś robak wpełza jej do ust. A jednak udaje jej się przetrwać.

Cierpi w milczeniu, z którego dumna byłaby jej matka. Cierpi aż do świtu. Wreszcie powoli wygrzebuje się z rowu. Nasłuchuje kroków i głosów między drzewami. Ale na wyspie panuje cisza. Jest bezpieczna. Wyskakuje z grobu, strącając z siebie kości i rozpaczliwie chwytając powietrze. Gwałtownym ruchem przeczesuje włosy, drapiąc się po pokrytej robactwem skórze i strząsając insekty z głowy. Ma wrażenie, że serce za chwilę wyskoczy jej z piersi.

Między drzewami dostrzega wody laguny i tylko siłą woli powstrzymuje się, żeby nie pobiec na brzeg. Zamiast tego rozkopuje grób w poszukiwaniu zaginionej tabliczki. W końcu dostrzega błysk srebra na samym dnie rowu, pod szkieletami tuzinów Wenecjan. Pot ścieka jej po całym ciele. Skóra pokryta jest ukąszeniami i wypryskami. Trzyma jednak w rękach wszystkie trzy tabliczki. Przypomina sobie, że życzeniem jej matki było, żeby tabliczki nigdy nie połączyły się ze sobą. Trudno. Ukryje je, jak tylko stąd ucieknie. W niedostępnym miejscu. Daleko, bardzo daleko stąd.

Rozgląda się. Nigdzie w pobliżu nie ma łodzi. Tanina wie, że szukanie środka transportu byłoby zbyt ryzykowne. Wie również, że nie może długo pozostać w Wenecji. Zbiera spróchniałe deski leżące wokół grobu. Nad brzegiem znajduje kilka gałęzi. Następnie wchodzi do ciemnej wody i zanurza głowę. Energicznie strząsa włosy, z radością pozbywając się brudu. Odrywa od mokrej sukni kilka pasm materiału. Związuje ze sobą deski i gałęzie, tworząc prowizoryczną tratwę. Pozostałymi kawałkami przywiązuje tabliczki do największej deski.

Ostrożnie wchodzi do wody. Tratwa unosi się na powierzchni. Tanina odmawia krótką modlitwę, częściowo za matkę, ale głównie za duszę brata, którego nie znała i który oddał za nią życie. Bierze głęboki wdech i odpycha się od dna. Jeśli uda się jej dotrzeć na drugi brzeg, wyruszy na południe. Może do Rzymu. Zacznie nowe życie w miejscu, w którym nikt nigdy jej nie znajdzie.

CZEŚĆ
SZÓSTA

ROZDZIAŁ 70

*Czasy współczesne, 6 czerwca
Komenda główna żandarmerii, Wenecja*

Ostatni obraz Larsa Bale'a okazuje się najbardziej złożonym i najmniej zrozumiałym dziełem seryjnego zabójcy. O świecie Vito poddaje się i nakazuje swoim ludziom znalezienie specjalisty.

Ekspert zjawia się na komendzie w osobie czterdziestodwuletniej Glorii Cucchi, byłej dziekan wydziału historii sztuki na Università Ca' Foscari Venezia, a obecnie właścicielki bardzo szanowanej sieci Cucchi Galleries.

- Istotnie, niezwykle złożona rzecz - stwierdza Gloria, obracając na szklanym stole konferencyjnym wydruk niezatytułowanego obrazu w wysokiej rozdzielczości. - Osobiście uważam, że ten obraz jest okropny. Kompletnie pomieszanie. A jednak w tej brzydocie jest jakieś piękno i przeblask geniuszu, który nasuwa mi na myśl Picassa i Picabię. - Stuka palcem w wydruk. - Duże sześciany symbolizują siłę. Pokazują potężnych mężczyzn, twardzieli dźwigających ciężary. Być może tytanów przemysłu, finansów albo handlu, wznoszących miasto. - Unosi krawędź kartki i uśmiecha się. - Ta kamea w rogu jest zaskakująca, przypomina wodospad na Canal Grande, z tym że malarz zastąpił wodę krwią. Bardzo prowokujące! - Odsuwa się od wydruku, aby zmienić perspektywę i odzyskać świeżość spojrzenia, po czym ponownie nachyla się nad obrazem. - Kiedy przyjrzeć się bliżej, można rozpoznać zapożyczenia od wielu artystów. Z całą pewnością od Dalego, o czym świadczą zwielokrotnione lustrzane

odbicia i ślady surowego surrealizmu. Niewątpliwie są tu również elementy typowe dla Picabii - twarze wylaniające się z mgły jak oblicza demonów. - Gloria wyciąga się nad stołem jak żyrafa przy wodopoju. - Ale najbardziej znamienne zapożyczenie znajduje się niżej. Giovanni Canal. - Pozwala sobie na uśmiech samozadowolenia. - Lepiej znany jako Canaletto. Jego ojciec, Bernardo, także był malarzem, stąd pseudonim *Canaletto* - mały Canal. Proszę przejść tutaj, będą państwo lepiej widzieli.

Valentina i Vito posłusznie przechodzą na drugą stronę stołu, zastanawiając się, czemu Gloria po prostu nie odwróci wydruku.

- Musicie spojrzeć głębiej, poza pierwszy, a nawet drugi plan. Na najdalszym tle artysta umieścił „Canal Grande i kościół Santa Maria della Salute” z 1730 roku, prawdopodobnie najlepiej znane dzieło Canaletta, reproduktowane na całym świecie. - Pochyla się nisko nad stołem, jak chirurg podczas skomplikowanej operacji. - Bardzo dobrze. Prawdę mówiąc, znakomicie. - Przesuwa po wydruku palcami. - Proszę spojrzeć - tu jest wylot kanału, na przednim planie widzimy gondole, ale jeśli przyjrzy się dokładnie, zauważycie, że gondole zbudowane są ze szerniałych zwłok. Niewątpliwie jest to aluzja do zarazy. Dalej mamy domy nad brzegiem kanału po prawej, a po lewej kopułę La Salute, która tu przypomina poblądlą pierś, być może należąca do umierającej Wenecji.

Vito nie jest zachwycony tym porównaniem. Wołałby, żeby *signora* Cucchi zachowywała się trochę mniej beztrosko.

- A to? - pyta. - Co oznaczają te wszystkie sześciiany i prostokąty na górze?

Gloria kiwa głową.

- Przemoc. Namiętność. Agresję. To właśnie oznaczają. To jakaś forma wybuchu, uwolnienia napięcia i gniewu. Z tego obrazu wręcz wylewa się siła i żywotność.

Valentina przypomina sobie przydługi wykład, który wygłosił im agent FBI.

- Proszę powiedzieć, czy te kształty mają coś wspólnego z da Vinci i... - waha się przez chwilę w obawie, że powie coś głupiego - ... złotą proporcją albo złotym prostokątem?

Gloria jest pod wrażeniem. Przygląda się obrazowi to z jednej, to z drugiej strony. Ponownie przesuwa palcami po wydruku tak szybko, że żandarmi nie są w stanie nadążyć za ich ruchem.

- Ma pani całkowitą rację. Bardzo sprytne. - Cucchi łapie Valentinę za rękę i posługuje się jej palcem jak wskazówką. - Proszę spojrzeć! - Powoli obrysowuje palcem Valentyny twarz mężczyzny z profilu. - To słynna czarno-biała ilustracja Leonarda z *De Divina Proportione* - sposób nałożenia na siebie prostokątów, uwidaczniający symetrię twarzy, skłonił niektórych uczonych do przypuszczeń, że da Vinci zastosował złotą proporcję do stworzenia magnetycznego wizerunku „Mony Lizy.” - Gloria podnosi wzrok na żandarmów w nadziei, że nadążają za jej tokiem myśli. - Dali wykorzystywał złotą proporcję, gdzie tylko mógł, zwłaszcza w „Ostatniej wieczerzy”.

Jeśli spojrzycie państwo tutaj, zobaczycie symbole zapożyczone również z tego obrazu.

Vito i Valentina mają poważny kłopot z dostrzeżeniem tego, o czym mówi Gloria. Cucchi przyciska palec Valentyny do wydruku.

- Tutaj, w samym środku. Widzimy wyciągnięte ręce i pierś mężczyzny, unoszącego się nad pejzaże Canaletta, zupełnie jakby wstępował do nieba. To boska postać, wzięta z „Ostatniej wieczerzy”. Dalego. - Przeciąga dłoń Valentyny w lewo i w prawo po wydruku. - Tutaj i tutaj dostrzegamy coś, co wygląda jak przekrzywione pentagramy, również zapożyczone z tła „Wieczerzy”.

Gloria nagle nieruchomieje, wpatrując się intensywnie w reprodukcję. Jej twarz rozjaśnia się jak u dziecka znajdującego pod choinką wymarzony prezent.

- Och, jakież to sprytne. Sprytne, a jednocześnie prymitywne. - Spogląda na Vito. - Wasz artysta umieścił wokół całego płótna wąskie, złote obramowanie - na wydruku nie widać go na pierwszy rzut oka, ale sądzę, że na oryginale jest bardzo znaczący. Stanowi mało subtelną sugestię, że sam obraz jest doskonałym prostokątem. Złotym prostokątem, jak to ujęła pana koleżanka. - Uśmiecha się do Valentiny, wciąż trzymając ją za rękę i ściskając z kłopotliwym dla Valentiny afektem. - Zobaczmy... - Gloria ponownie pochyła się nad stołem, niemal nosem dotykając wydruku. - Tak! Tak! Teraz widzę... - Powoli przesuwając palcem Valentiny po kartce. - Podzielił obraz dokładnie według wymagań złotej proporcji. Stworzył trzy osobne części, które razem tworzą jedną scenę. - Gloria dotyka wydruku i przesuwając go na bok wolną ręką. - Pomysłowe. Doprawdy pomysłowe. Pierwsza część naładowana jest symbolami - widzimy tu typowy wizerunek rogatego demona, więc można uznać, że reprezentuje zło. W środkowej części widać postać jakiegoś czarodzieja albo maga, nie jestem pewna. Natomiast trzecia część przedstawia rodzinę - parę kochanków wraz z dzieckiem - Cucchi patrzy Valentynie prosto w oczy. - Artysta pokazuje dobro i zło tkwiące w każdym z nas, światło i ciemność, które nami kierują. Być może także zagrożenia czyhające na tradycyjną rodzinę w naszych czasach.

Zanim Vito i Valentina zdążą skomentować, Gloria odwraca obraz do góry nogami.

- Ach tak, dokładnie tak, jak się spodziewałam. Malował jednocześnie z obu stron. Bardzo ekonomicznie posługiwał się płótnem. Proszę spojrzeć, zauważycie tu państwo wiele innych symboli.

Valentinie udaje się wyrwać rękę, gdy Gloria z nosem nad samą kartką bada jakiś ledwo widoczny detal.

- No, to jest dziwne. Bardzo dziwne. Zdaje się, że każdą część oznaczył rzymskimi cyframi. Po co miałby coś takiego robić? - Gloria spogląda na parę żandarmów, ale ci mają równie zdziwione miny. Pokazuje im cyfry. - Proszę spojrzeć, w pierwszej części umieścił liczby XXIV i VII. W drugiej XVI i XI. A w trzeciej V i VII.

- Co one oznaczają? - pyta major. - Mają jakąś wymowę artystyczną?

Gloria powoli kręci głową.

- Nie. A w każdym razie nic mi nie przychodzi do głowy. Dziwne. Może to jakiś osobisty żart. Artyści często umieszczają na swoich dziełach prywatne dowcipy. To im daje taką cichą satysfakcję. - Cucchi z twarzy Vito i Valentiny odczytuje, że ta argumentacja do nich nie trafia. Zerka na zegarek. - Przepraszam bardzo, ale muszę już iść. Mam nadzieję, że zdołałam w czymś państwu pomóc. - Wpatruje się sugestywnie w Valentinę. - Proszę dzwonić, jeśli będzie pani potrzebowała pomocy. Albo jeśli będzie miała pani ochotę na drinka albo wspólną wyprawę do galerii.

- Była pani bardzo pomocna - mówi szybko Vito, ratując podwładną z opresji. - Jesteśmy pani niezmiernie wdzięczni. Dziękujemy, że poświęciła nam pani swój czas. *Molte grazie* - Prowadzi ją do drzwi, pozostawiając Valentinę sam na sam z wydrukiem.

Porucznik Morassi nie ma artystycznego wykształcenia Glorii Cucchi, ale dostrzega, że płótno Larsa Bale'a jest raczej abstrakcyjną tablicą ogłoszeń niż dziełem sztuki.

- I co myślisz o tych numerach? - pyta major po powrocie do gabinetu.

- To nie są zwykłe liczby - orzeka Valentina, przypatrując się rzymskim cyfrom. - To jest jakiś kod.

Na twarzy Vito maluje się zmęczenie.

- Tak przypuszczałem, ale co ten kod oznacza i dla kogo jest przeznaczony?

- Zadaje mi pan za trudne pytania - odgryza się Valentina. - Skopiuję to i prześlę do wydziału kryptologicznego w Rzymie. - Podnosi się znad stołu. - Przy odrobinie szczęścia dostaniemy odpowiedź jeszcze przed końcem tego stulecia.

ROZDZIAŁ 71

6 czerwca

Więzienie San Quentin, Kalifornia

Przez szybę z hartowanego szkła Lars Bale obserwuje zmieniających się wartowników. Obaj strażnicy sprawdzają zegarki i jednocześnie zwracają wzrok na jego celę. Kretyni. Za grosz indywidualności.

Wybija północ. Upływa pierwsza sekunda nowego dnia. Szóstego dnia szóstego miesiąca. Dzień egzekucji. Jego ostatni dzień na ziemi. Większość więźniów w takim momencie kuli się ze strachu. Ale nie Bale.

Lars Bale ma się doskonale. W szarych więziennych szortach i w świetle, które przypomina barwę gaz musztardowy, Lars Bale wygląda jak okaz zdrowia. Uśmiecha się na widok jednego ze strażników

podbijającego kartę i wracającego do domu, do tłustej nerwowej żony, która siedzi w łóżku i czyta. Czeka na niego. Po powrocie opowie jej o trudach kolejnego nudnego dnia i z udawaną nonszalancją wspomni o najbardziej doniosłej chwili swojego bezsensownego życia - pilnowaniu Larsa Bale'a w noc przed egzekucją. Będzie opowiadał tę historię bez końca: w tanich knajpach, podczas nudnych spędów rodzinnych i w przydrożnych barach. Będzie opowiadał ją kumplom i nieznanym, i za każdym razem historia będzie nabierać coraz więcej koloru.

Bale przeciąga się i czuje napływającą z wnętrza energię. Jego czas nadchodzi. Widzi i czuje wokół siebie narastającą ochronną aurę. Z początku jest fioletowa, potem biała, w końcu złota. Barwy jego boskiego umysłu. Kolor ścieżki, która zawiedzie go ku nieśmiertelności i przynależnego mu miejsca u boku ojca.

Na korytarzu przed celą panuje ruch. Wywieszono już tabliczki „Wstęp wzbroniony”. Z pewnością pobrali już klucze do pokoju straceń. Podpisali się w odpowiednich rubrykach. Chłopcy z San Quentin lubią papierki. Wkrótce ludzie, którzy podadzą Larsowi śmiertelny zastrzyk, wyjadą z domów po nerwowym wieczorze z rodziną. Przyjadą do pracy swoimi starymi gruchotami, słuchając radia, prowadząc jedną ręką przy otwartej szybie. Będą rozmyślali nad życiem, które mają dziś odebrać. Będą się zastanawiać, jak sobie poradzić ze świadomością, że zabili. Niektórym przyjdzie to łatwo. Innym nie. W końcu zbiorą się w bocznej sali i z kamiennymi twarzami wysłuchają słów gubernatora i jego zastępcy. Potem zostaną zaprzysiężeni i jak grzeczni harcerze wyruszą spełnić z honorem swój konstytucyjny obowiązek - zabić Larsa Bale'a. Niektórzy będą się

przy tym dobrze bawić. Innych jego śmierć będzie prześladować przez długie lata.

Lars dopilnuje, żeby żaden z nich go nie zapomniał. Biedne duszyczki. Nie mają pojęcia, w co się pakują. Nawet nie podejrzewają, że wezmą udział w tworzeniu historii.

ROZDZIAŁ 72

Komenda główna żandarmerii, Wenecja

Zwolnienia chorobowe, urlopy i problemy rodzinne w wydziale kryptologicznym w Rzymie powodują, że Vito i Valentina muszą czekać do następnego dnia na złamanie kodu.

Valentina wchodzi do gabinetu szefa z kartką formatu A4 w ręku i z uśmiechem szerokim jak kopuła bazyliki Świętego Marka.

- To takie proste. Wręcz idiotycznie proste! - Podchodzi do biurka i energicznie rzuca papier na blat. - Ten kod to angielska nazwa Wenecji - Venice.

- Wenecji? - Major wpatruje się w ciąg rzymskich liczb - XXIV-VII-XVI-XI-V-VII. - Niby w jaki sposób?

- Niech pan popatrzy - mówi Valentina podekscytowanym głosem. - V równa się XXIV. E równa się VII. N równa się XVI. I równa się XI. C równa się V i na koniec znowu E, równe VII. - Porucznik Morassi niemal wybuchł śmiechem.

- No tak, to przecież takie oczywiste - odpowiada kpiąco Vito. - Jak mogłem nie załapać tego od razu?

- No dobra, nie aż tak proste - przyznaje Valentina. - W każdym razie nie dla nas. Ale kryptologia miała z tym ubaw.

- Ubaw w kryptcie? Jakże się cieszę.

- Ha, ha, bardzo śmieszne. Okazuje się, że to dość prymitywna wariacja szyfru Cezara.

- Cezara?

- Tak, wymyślił go sam Juliusz. Okazuje się, że Cezar szyfrował swoją korespondencję, zastępując litery innymi literami lub cyframi. Literę A zastępuje na przykład C - wtedy mamy do czynienia z szyfrem przesuwającym.

Vito przesuwając ręką po kodzie i tłumaczeniu sporządzonym przez analityków.

- Ale tu są cyfry, a nie litery.

- Otóż to. - Rozpromienia się Valentina. - Bał przerobił szyfr po swojemu. Nadał każdej literze numeryczny odpowiednik, a potem zastosował klasyczne przesunięcie cezariańskie o dwa, dlatego literze A nie odpowiada cyfra 1, tylko 3. Następnie przerobił liczby arabskie na rzymskie i stąd III.

Vito dopiero teraz zauważa faktyczną prostotę szyfru.

- Litera E to nie 5 tylko 5 plus dwa, co w rzymskiej numeracji daje VII.

- Dokładnie.

Ktoś puka do drzwi. Do gabinetu zagląda Nuncio di Alberto z miną niemal tak samo zadowoloną, jak wcześniej Valentina.

- Mario Fabianelli chyba jednak mówił prawdę. Możliwe, że naprawdę nie wiedział nic o tej firmie na Kajmanach i o zakupie tabliczki.

- Bo? - pyta major.

- Jego nazwisko na dokumentach firmy zostało bardzo dobrze podrobione - bardzo dobrze, ale nie idealnie. Grafolodzy zbadali podpis i porównali z dokumentami, które przywieźliśmy z wyspy. Nie pasują do siebie.

- Na pewno?

- Na sto procent. A to nie wszystko. Fabianelli nic nie wiedział o firmie ani o zakupie, ale jego asystentka wręcz przeciwnie.

- Nuncio pokazuje im kartkę papieru. - To jest kopia umowy ubezpieczenia, którą zawarła na ochronę tabliczki. Na wysokość dwóch milionów dolarów. Teale zawsze podpisywała dokumenty ubezpieczeniowe dzieł sztuki Mario, więc nawet nie musiała niczego fałszować. Prawdę mówiąc, w tym wypadku podejrzenia wzbudziłby czyjś inny podpis.

- *Bene*. To jest postęp, ale wciąż nie wiemy, gdzie ona się podziewa. Podobnie jak ten prawnik, Ancelotti. I Tom. - Major spogląda na Nuncio z nadzieją.

- W tej sprawie nie mamy nic nowego. Rocco i Francesca mówili, że *Polizia* też nic nie wie.

- Tom nie mógł tak po prostu zniknąć z powierzchni ziemi - mówi Valentina.

- Mógł - odpowiada ponuro Vito. - Jeśli już nie żyje.

ROZDZIAŁ 73

Porywacze nafaszerowali żyły Toma ilością narkotyków, która wystarczyłaby do zaopatrzenia całej apteki. Ale zrobili to niezbyt starannie. Jego ciało odrzuciło podwyższoną dawkę i większość

zwymiotował. W efekcie działanie środków słabnie znacznie szybciej, niż wcześniej. Z całą pewnością szybciej, niż przewidzieli to porywacze.

Tom jest wciąż lekko oszołomiony, ale zachowuje pełną świadomość. Potwornie boli go gardło. Żołądek skręca się z głodu. W mięśniach co chwilę odzywają się bolesne skurcze. Oczy i powieki pieką, jakby nasypano mu pod bandaż rozgrzanego piasku. Reszta jest w porządku. Na tę myśl omal nie wybucha śmiechem. W porządku. Zupełnie w porządku. Dzieli go kilka godzin od śmierci w satanistycznym rytuale, ale ogólnie jest zupełnie w porządku. Dziwna rzecz, myśli o tym zupełnie obojętnie. Zapewne to efekt pozostałości narkotyków w organizmie. Błogosławiona farmakologiczna ignorancja.

Leżąc na plecach, miał sporo czasu na przemyślenia. Doszedł do wniosku, że Lars Bale ma wyznawców na całym świecie, którzy uczczą jego egzekucję orgią przemocy i zniszczenia, aby ucieszyć swojego czarnego pana.

Poleje się krew. I to poleje się tak obficie, że Bale okryje się jeszcze większą niesławą niż za życia. Czarny święty. Tom słyszy zgrzyt klucza w zamku. Czas na decyzję. Czy jest dostatecznie silny? Czy może sobie pozwolić na zwłokę? Czy w ogóle ma jakiś wybór?

Drzwi otwierają się. Po chwili jednak rozlega się szczęknięcie zamka. Ktokolwiek za nimi stoi, zachowuje ostrożność.

Chwila ciszy. Klucz wsuwa się do zamka z zewnątrz. Klik - zamknięte. Porywacze nie ryzykują.

Tom słyszy jakiegoś mężczyznę, który kilka razy odkasłuje. Teraz zaczyna iść. Stuk-stuk, stuk-stuk. Stuk-stuk, stuk-stuk. Kroki jednego człowieka. Tylko jednego. Serce Toma bije coraz mocniej. Musi podjąć decyzję. Stuk-stuk, stuk-stuk, stuk-stuk, stuk-stuk. Jeszcze cztery kroki.

Strażnik jest tuż obok Toma. Tom przypomina sobie układ pomieszczenia. O ile pamięta, wejście jest krok do przodu i krok w lewo. Stuk-stuk. Tom spręża się. Słyszy grzechot metalu i szkła tuż obok swojej głowy. Strzykawka z kolejną porcją środków uspokajających w stalowej misce.

Jeszcze chwila i znowu go naszprycują. Dwieście przysiadów codziennie przez piętnaście lat wreszcie na coś się przydaje. Tom zrywa się i siada prosto. Zabandażowaną głową uderza w coś twardego. Tuż przed nim rozlega się zduszony jęk bólu. To znaczy, że trafił porywacza w twarz. Rzuca się do przodu za źródłem jęku. Upada na lewo. Przetacza się po podłodze. Jednym kolaniem uderza w podłogę, drugim w klatkę piersiową człowieka, który leży obok.

Tom wciąż ma nogi jak z waty, a ręce skrępowane plastikową taśmą. Wymierza jeszcze jeden cios głową. Bez sensu. Uderza głową o pierś strażnika. W jego skroń wbija się pięść. Tom czuje gwałtowny zastrzyk adrenaliny.

Właśnie tego było mu trzeba. Adrenalina neutralizuje środki uspokajające. Czuje mrowienie w palcach. Zmysły wyostrajają się.

Kolejny cios trafia go w ucho. W głowie zaczyna mu dzwonić.

Tom nie odważa się podnieść na kolana w obawie, że strażnik uwolni się i ucieknie.

Bierze szeroki zamach związanymi rękoma i uderza w miejsce, w którym, jak sądzi, znajdują się jądra przeciwnika.

Strzał w dziesiątkę! Ponad sobą słyszy świst gwałtownie wciąganego powietrza. Uderza jeszcze raz, z dziką, pierwotną energią. Strażnik zwija się w kłębek i krztusi. Chwilowo jest unieruchomiony. Ale wkrótce dojdzie do siebie.

Zabij go, Tom. Wiesz, że musisz. Wiesz, że tego chcesz.

Tom waha się. Głos w jego głowie wydaje się rozsądny. Zabij albo zgiń. Z drugiej strony, demony zawsze brzmią rozsądnie. To ich znak firmowy.

Powalony strażnik powoli odzyskuje oddech. Za chwilę wezwie pomoc. Tom instynktownie podąża za źródłem dźwięku i opiera prawe przedramię o krtań przeciwnika. Teraz już nie krzyknie. Strażnik kopie i miota się jak dzikie zwierzę, ale Tom nie zwalnia nacisku. Osiemdziesiąt jeden kilogramów przyciska szyję strażnika. Kopanie ustaje.

Tom podnosi rękę i stacza się z przeciwnika. Uderza głową o podłogę, ale adrenalina i pośpiech nie pozwalają mu nawet zarejestrować bólu. Podnosi skrępowane ręce. Wciska kciuk pod krawędź bandaża i ciągnie w górę. Opatrunek nie daje się tak łatwo zdjąć. Bandaż rozrywa się przy ustach i na nosie. Wreszcie udaje mu się go odwinąć.

Tom wciąż niczego nie widzi. Światło go oślepia. Czuje ból gorszy niż od uderzeń strażnika. Przekręca się na bok i odchyła głowę, kryjąc oczy przed światłem i kierując wzrok na podłogę. Znacznie lepiej. Nie ośleplł, tylko ma potworną nadwrażliwość na światło.

W pokoju nie ma okien. Pałace światło sączy się z jarzeniówki pod sufitem. Lampa wisi tak wysoko, że nie słyhać nawet bzyczenia gazu.

W ciągu kilku sekund Tom bada resztę pokoju. Goła cegła. Podłoga z popękanych kafelków. Ciężkie drzwi z pojedynczym zamkiem. Całość wygląda jak stary oddział szpitalny. Ciasny i ciemny. Zatechły. Na ścianach tuż nad podłogą widoczny jest grzyb. Z wilgotnych, popękanych ścian płatami odłazi farba i tynk.

Wzrok Toma stopniowo powraca. Strażnik na podłodze kaszle i porusza nogami. Tom odwraca się ku niemu. Mężczyzna nie jest

żadnym olbrzymem, ale wygląda na nieźle zbudowanego. Nic dziwnego, że uznał, że zdoła sam zrobić Tomowi zastrzyk.

Strzykawka. Tom sięga do stalowej miski i wbija igłę prosto w szyję półprzytomnego mężczyzny. Spod igły tryska krew. W końcu Tom może się trochę odprężyć. Strażnik został wyeliminowany na dobre. Tom znajduje przy nim sporo przydatnych przedmiotów - pasek, scyzoryk, a przede wszystkim telefon komórkowy.

Otwiera scyzoryk i po kilku próbach, które omal nie kończą się przecięciem żył na nadgarstkach, w końcu udaje mu się rozciąć plastikowe kajdanki. Pociera ręce, aby przywrócić krążenie, po czym łapie telefon. Szybko wpisuje numer Valentyny. Brak sygnału! Szlag! Będzie musiał wyjść z pokoju. Uciec.

Zapina na sobie pas strażnika i dopiero teraz zauważa, w co jest ubrany. Założyli mu coś w rodzaju togii. Długiej. Bez rękawów. Czarnej. Jakąś szatę?

Wreszcie dociera to do niego. Ma na sobie szatę ofiarną. To się stanie dziś. Dziś zamierzają go zabić.

ROZDZIAŁ 74

Ściany pokoju operacyjnego obok gabinetu majora Carvalho w całości pokryte są wydrukami ostatniego obrazu Larsa Bale'a. Odbitki sporządzono we wszystkich możliwych rozmiarach - od wielkoformatowych wielkości plakatu ulubionego boysbandu w sypialni

nastolatki po miniaturowe obrazki formatu znaczków pocztowych. W każdej chwili studiuje je przynajmniej jeden funkcjonariusz, usiłując odgadnąć wiadomości i groźby zakodowane pociągnięciami pędzla mordercy.

W pokoju ustawiono również trzy białe tablice. Każda z nich poświęcona jest jednej z tabliczek. Prawie wszyscy ludzie majora potrafią już z pamięci naszkicować postaci wróżbity, rogatego demona i pary kochanków z dzieckiem. Nad tablicami zawieszono pokazałą płachtę z wydrukowanym słowem VENICE i rzymskimi liczbami poniżej.

Major Carvalho musiał uciec się do strategii zgadywanek. Kubi-styczne rysunki, które według Glorii Cucchi mogą symbolizować tytanów przemysłu wznoszących miasto, skłoniły go do wzmocnienia ochrony banków i instytucji finansowych. Impresjonistyczny wodospad krwi i pejzaż Canal Grande skopiowany z obrazu Canaletta podsunęły mu pomysł wysłania dodatkowych łodzi patrolowych na kanały Wenecji. W rezultacie żandarmerii zaczyna powoli brakować ludzi.

Rzecz jasna wszystkie interpretacje mogą okazać się błędne. Ta myśl dręczy majora właściwie bezustannie. Dlatego też kilku funkcjonariuszy bez wytchnienia przeczesuje Internet w poszukiwaniu dzieł dawnych i współczesnych malarzy, które mogłyby podsunąć jakieś rozwiązanie zagadek z obrazu Bale'a.

Vito i Valentina siedzą w kącie pokoju obłożeni stosami papierów i butelkami z wodą, desperacko usiłując dojść do jakichś wniosków.

- Wiemy, że to się stanie dzisiaj i że Wenecja zostanie w jakiś sposób zaatakowana - podsumowuje major.

- Wiemy też, że prawdopodobnie będą w tym uczestniczyć Teale i Ancelotti - dodaje Valentina.

- I Tom.

Porucznik Morassi krzywi się.

- I Tom.

- Jeżeli atak będzie miał charakter lokalny, przypuszczalnie nastąpi na którejs z odległych wysp. Niewykluczone, że pod ziemią, z dala od postronnych osób.

- Na przykład w starym dworze?

- Co sugerowałoby wyspę Fabianello. - Vito wskazuje na wiszące na ścianie powiększone zdjęcie posiadłości miliardera. - Wywróciliśmy to miejsce do góry nogami. Dwa razy.

Dołącza do nich wyczerpana Francesca Totti.

- A tobie się wydawało, że praca tajniaka jest męcząca - mówi Vito z uśmiechem. - Witamy w ciężkim świecie wydziału zabójstw.

Francesca próbuje odpowiedzieć uśmiechem. W dłoniach trzyma wydruk komputerowy.

- Wiadomość z biura FBI w Kalifornii dla porucznik Morassi: W San Quentin wreszcie zidentyfikowali wszystkich, którzy odwiedzali Bale'a w więzieniu. Na kilku zdjęciach rozpoznali Merę Teale. Odwiedzała go pod fałszywym nazwiskiem.

- Jakim? - pyta zaintrygowana Valentina.

- Lourdes di Natas. - Francesca odgarnia z twarzy długi kosmyk nieumytych włosów i przez chwilę rozmarza się na myśl o gorącym prysznicu. - Wylegitymowała się fałszywym prawem jazdy wystawionym na nieistniejący adres zamieszkania. W sumie była u Bale'a trzykrotnie. Pierwszy raz pięć lat temu.

- Di Natas brzmi latynosko - zauważa Valentina. - Przypuszczalnie uznała, że w systemie będzie tylu Latynosów, że nikt nie zwróci na nią uwagi.

- Tylko bez rasizmu - upomina Vito. - Poza tym to wcale nie brzmi latynosko. Lourdes kojarzy się raczej z Najświętszą Panią

i tym sanktuarium we Francji, gdzie się objawiała. A co do „Natas” - cóż, nasza wytatuowana dziewczynka najwyraźniej lubi bawić się kosztem innych ludzi. „Natas” to przecież anagram słowa „Satan”.

Valentina wstaje i zaczyna krążyć po pokoju.

- To wszystko gra, prawda? Dla tych zwyrodnialców wszystko jest jedną wielką grą. - Ze złości targa włosy. - Boże, zwariuję przez tę sprawę.

- Wiem, jak się czujesz - mówi Vito, spoglądając na nią z fotela. - Gdyby zostały mi jakieś włosy, pewnie robiłbym to samo.

Valentinie udaje się roześmiać. Francesce również.

- Panie majorze! - woła jeden z funkcjonariuszy przeszukujących Internet. - Panie majorze, niech pan na to spojrzy!

Vito i obie jego podwładne szybko podchodzą do komputera. Młody policjant z przekrwionymi oczami w podnieceniu pokazuje palcem monitor.

- Salto Angel - Wodospad Anioła w Wenezueli.

- No i? - pyta major, nie rozumiejąc ekscytacji podwładnego. Czerwonooki żandarm wskazuje palcem na odbitkę na ścianie.

- Jest na obrazie.

Vito marszczy brwi i z bliska przygląda się wodospadowi namalowanemu przez Bale'a.

- Podobny. Rzeczywiście podobny.

- Salto Angel znajduje się w Wenezueli i jest najwyższym wodospadem na świecie - odczytuje tymczasem z monitora Valentina.

- Wenezuela? - dziwi się Francesca.

- Tamtejsze wioski, tak zwane *palafitos*, buduje się na wodzie - mówi major, nagle uświadamiając sobie związek. - Jak w Wenecji.

Kiedy zobaczył je Amerigo Vespucci, skojarzyły mu się z Wenecją. Z włoskiego słowa *Venez* i hiszpańskiego przyrostka *zuola* - oznaczającego coś małego - stworzył nazwę *Venezuola*.

- No dobra, ale co to oznacza? - pyta Valentina, spoglądając na obraz. - To się wydarzy tam, a nie tutaj?

- A może i tam, i tu? - dodaje Francesca.

Vito ponownie podchodzi do obrazu. Wpatruje się intensywnie w kaskady symboli i ukrytych kodów.

- Trzy tabliczki. Na razie mamy dwa miejsca, oba powiązane z Wenecją i wodospadem krwi. Jest jeszcze jedno miejsce. Tylko gdzie, do cholery?

ROZDZIAŁ 75

Nogi Toma drżą i rozjeżdżają się jak u jelenia biegnącego po lodzie. Ściąga ubranie ze strażnika i wkłada na siebie. Buty są za ciasne, więc decyduje się iść bosy. Zamyka za sobą drzwi celi. Rusza korytarzem wyłożonym glazurowaną cegłą i popękkanymi płytkami, które natychmiast zaczynają kaleczyć mu stopy. Przesuwa się wzdłuż ściany, częściowo po to, aby się podeprzeć, a częściowo żeby ukryć oczy przed światłem jarzeniówek na suficie. Oczy wciąż go boją. Ostre, białe światło lamp razi.

Po lewej dostrzega drzwi. Takie same, jak do jego celi. Kolejna szpitalna sala. Przemyka obok i posuwa się dalej wzdłuż ściany. Nagle się zatrzymuje. Drugie drzwi były zamknięte. Dlaczego?

Nie potrafi się powstrzymać. Wraca. Jeżeli drzwi są zamknięte, to może w środku przetrzymują jeszcze kogoś. Kogoś, kogo czeka taki sam los, jaki przeznaczono jemu. Ma nadzieję, że stalowy klucz w jego rękę będzie pasował. Wsuwa go w zamek. Który się nie otwiera. Wcisną klucz głębiej i próbuje jeszcze raz. Rozlega się zgrzyt metalowych bolców.

Tom ostrożnie uchyla drzwi. Pokój jest identyczny. Nawet tak samo śmierdzi. W środku znajduje się metalowe szpitalne łóżko na podwyższeniu. A na łóżku leży ciało. Nieprzytomne czy pogrążone we śnie? Ostrożnie podchodzi bliżej. Tina.

Pełne, wilgotne wargi, które jeszcze niedawno całował, są wysuszone i popękane. Roześmiane zwykle oczy są otoczone czarnymi sińcami. Tom potrząsa kobietą. Tina nie reaguje. Nie żyje?

Pochyla się nad nią. Słyszy słaby oddech. Dzięki Bogu. Tom wie, że nie zdoła jej stąd wynieść. Nie ma wyboru, musi ją tu zostawić. Zostawić, znaleźć pomoc i wrócić.

Zerka na telefon, który odebrał strażnikowi. Wciąż brak sygnału. Pospiesznie wychodzi na korytarz i zamyka drzwi na zamek. Rusza przed siebie korytarzem, modląc się, żeby nie wpaść na żadnego z porwaczy.

Widok Tyny dodał mu energii. Determinacji. Nadziei. Może tak naprawdę go nie zdradziła. Może jest jakieś inne wyjaśnienie.

Na końcu korytarza skręca w prawo. Przed sobą widzi kolejny. Ogarnia go rozpacz. Żelazna krata. Korytarz jest zamknięty solidną, żelazną kratownicą, sięgającą od podłogi do sufitu i na całą szerokość przejścia. Nie ma szans, żeby jego klucz pasował. Nawet bez sprawdzania widzi, że zamek kraty jest znacznie większy.

Po prawej stronie znajdują się drzwi. Tom nie ma wyboru. Pięć kroków. Drzwi są otwarte. Zamyka je za sobą. Zerka na telefon. Brak sygnału.

Pokój ma bladozielone ściany, porośnięte pajęczynami. Jest pusty. Na ścianach wiszą długie, drewniane półki. Dawniej musiał służyć za magazynek albo komórkę. Jedyne okno jest zakratowane. Tom przez brudną szybę widzi drzewa. Dochodzi do wniosku, że jest na pierwszym, może drugim piętrze. To pomieszczenie musiało być kiedyś komórką albo pralnią. Znoszono tu zużytą pościel i wydawano świeże prześcieradła i ręczniki.

Jego podejrzenia potwierdzają się, gdy zagląda pod dolną półkę. Zsyp na pranie. Tom nie wie, dokąd prowadzi ani czy w ogóle zmieści się w środku. Pokrywa jest przybita do podłogi gwoździami. Dużymi gwoździami.

Przykuca pod półką i usiłuje podważyć róg kłapy. A potem przypomina sobie o szczyryku. Bez większego trudu wydłubuje drewno wokół główki gwoździa. Potem za pomocą wysuwanego śrubokrętu podważa pokrywę. Tu już idzie mu trudniej. W końcu jednak się udaje. Gwóźdź w rogu wysuwa się. Tom wpycha najpierw dwa, potem trzy palce pod klapę i ciągnie w górę. Sklejka powoli wygina się, a po chwili pęka przez środek. Tom odrzuca na bok odłamaną część pokrywy i szarpie za przybitą gwoździami pozostałość. Drzazgi wbijają mu się w palce. Poszarpana krawędź kłapy rozdziera mu skórę, ale Tom nie przestaje szarpać.

Kiedy gwoździe w końcu puszczają, upada na plecy. Na zewnątrz rozlegają się głosy. Szczęk otwieranej kratownicy. Kroki. Przed sobą widzi czarną dziurę. Bez wahania wsuwa się do środka. Nie ma pojęcia, dokąd prowadzi zsyp i czy będzie w stanie przedostać się do drugiego wylotu.

Zjazd w dół zaskakuje go. Zsyp jest długi. I szeroki. Po kilku sekundach dociera do końca. Przed poważnym uszkodzeniem ciała ratuje go pokrywa przybita do wylotu po drugiej stronie. Przybita równie solidnie, co ta w pralni.

W całkowitych ciemnościach z impetem ląduje na klapie. Uderzenie wykręca mu obie kostki i kolana, ale spowalnia upadek. Zdzierając sobie skórę na udach i plecach, przeciska się przez roztrzaskaną sklejkę i spada z wysokości metra na ziemię.

Przez chwilę leży nieruchomo. Próbuje zorientować się w uszkodzeniach. Boli go dosłownie wszystko. Te części ciała, które uniknęły zderzenia z klapą, otrzymały swoją porcję zadrapań i otarć, gdy przeciskał się przez pękniętą pokrywę.

Dźwiga się na nogi. Kuleje. W prawej kostce czuje palący ból. Musiał ją skręcić. Albo naciągnąć. Chwała Bogu, nie jest złamana.

Wciąż widzi niewyraźnie, ale wzrok stopniowo się poprawia.

Pomieszczenie, w którym wylądował, jest obszerne. Dwa okna. Oba zakratowane, tak samo jak w pralni. Na przeciwległej ścianie widzi drzwi. Zamknięte. Na zamek? Możliwe.

Tom szuka telefonu komórkowego. Wypadł mu z ręki w zypie. Ma nadzieję, że się nie rozbił. Podnosi urządzenie z podłogi i natychmiast zauważa pionową kreskę na wyświetlaczu. Jest sygnał! Szybko wpisuje numer Valentyny. Błędnie. Usiłuje przypomnieć sobie dokładną sekwencję cyfr.

Na ekranie pojawia się menu po włosku. Aparat, gry, SMS-y, kalendarz i sto tysięcy innych atrakcji, które nie są mu do niczego potrzebne. Próbuje wrócić do ekranu wyboru numeru. Włącza się przeglądarka internetowa. Internet! W cholernym telefonie! Wreszcie udaje mu się wybrać numer Valentyny.

Porucznik Morassi odbiera po trzech sygnałach.

- *Pronto* - odzywa się ostrożny głos.
- Valentina, tu Tom.
- Tom?
- Nie mam dużo czasu. Nie wiem nawet, gdzie jestem. Nafaszerowali mnie prochami i przetrzymywali.

- Tom, czekaj! Czekaj! - Valentina znajduje wzrokiem Francescę.
- Namierzcie to połączenie. Szybko! Dzwoni z komórki, zlokalizujcie położenie przez GPS, natychmiast.

Dźwięk na zewnątrz powoduje, że Tom wciska się w kąt pokoju. Słyszy głosy. Zbliżają się. Nie może dłużej rozmawiać. Odkłada telefon na podłogę, ale nie przerywa połączenia. Drzwi otwierają się z impetem. Do środka wpada dwóch ludzi. Tom od razu rozpoznaje jednego z nich. Tego, który celuje w jego skroń z pistoletu.

ROZDZIAŁ 76

Mera Teale ubrana jest w ceremonialną szatę. Nawet Christian Lacroix nie zdołałby zaprojektować stroju bardziej zmysłowego niż jej czarna, podbita srebrem alba. I tylko ten glock w jej dłoni wydaje się zbędnym dodatkiem.

Do Toma podchodzi zakapturzony akolita.

- Ręce przed siebie.

Tom posłusznie wyciąga dłonie, nie spuszczając oka z pistoletu.

Satanista owija nadgarstki Toma grubą, plastikową opaską i przetyka koniec przez otwór z zębem zabezpieczającym.

Chwila dekoncentracji, spowodowana oporną końcówką opaski, w zupełności wystarcza Tomowi. Rozrywa opaskę. Łapie rękę akolity i ciska nim jak młotem olimpijskim w kierunku Mery Teale. Rozlega się ogłuszający wrzask. Na twarz Toma bryzga krew. Okno za nim rozsypuje się w kawałki.

Strzał Teale trafił dokładnie w pierś akolity. Tom gwałtownie przysiada na podłodze. Lewą nogą wymierza kopnięcie w bok kolana Mery. Wytatuowana fotografka pada na ziemię jak podcięte drzewo. Pistolet wypada jej z dłoni. Tom łapie rękojeść i patrzy na kratę w oknie. Może udałoby się wyważyć ją ciężarem całego ciała. Może.

Bez wahania rzuca się biegiem. Z donośnym trzaskiem uderza w środek okna. Stara, drewniana rama puszcza. Żelazna poprzeczka uderza go w ramię. Skroń eksploduje bólem.

Impet uderzenia całym ciałem wyrwał górną ramę kraty z betonowego nadproża, ale dolna część pozostała nienaruszona. Utknął. Nie może się ruszyć w żadną stronę. Połową ciała wisi na kracie. Zerka przez ramię. W pokoju pojawiają się dwie kolejne postacie w czarnych pelerynach. Mają broń.

Tom podnosi lunę glocka i pociąga za spust. Odrzut broni powoduje, że pociski lecą na wszystkie strony. Rykoszetują o ściany, ale nie trafiają żadnego z satanistów. Tom zyskuje jednak bezcenny czas. Obraca się i całym ciężarem ciała napiera na żelazne pręty. Kratowica wygina się i trzeszczy, ale w końcu puszcza.

Tom wypada przez okno i uderza w ziemię z głuchym łoskotem. Przez chwilę leży bez ruchu, usiłując odzyskać oddech. Na twarzy ma pełno szkła. Z głębokiego rozcięcia na ramieniu sączy się krew. Zgubił pistolet. Trawa wokół niego jest zbyt wysoka, a on ma zbyt mało czasu na szukanie. Nie ma wyboru, musi go zostawić.

ROZDZIAŁ 77

Zlokalizowanie Toma przez GPS wydaje się trwać całe wieki. Jak zawsze. Tylko w filmach policyjni technicy pracują wyjątkowo szybko. W prawdziwym życiu lokalizacja ciągnie się jak wydawanie decyzji przez urząd skarbowy.

Wreszcie Vito, Valentina, Rocco i Nuncio mogą zacząć działać. Kiedy Francesca Totti dzwoni z potwierdzeniem pozycji Toma, ekipa szturmowa jest już skompletowana i uzbrojona.

- *Lazzaretto Vecchio?* - Vito powtarza nazwę wyspy jak przekleństwo. - Przez cały czas skupialiśmy się na Wyspie Mario. Powinni mi za to zabrać odznakę.

Valentina wciąż słyszy jego narzekania, gdy motorówka patrolowa odbija z rykiem od brzegu i rusza, wzbijając fontannę wody. Porucznik Morassi usiłuje skoncentrować się na Tomie i czekającej ich akcji. Ale przychodzi jej to z trudem. Cały czas myśli o obrazie Bale'a. Pamięta już dokładnie każde pociągnięcie pędzla. Najbardziej martwią ją rzymskie liczby ciągnące się przez wszystkie trzy części płótna, którymi morderca zakodował angielskie słowo Venice. Razem z majorem są przekonani, że atak zorganizowany przez zwolenników Bale'a nastąpi w trzech miejscach, w tym w samej Wenecji. Doszli do wniosku, że drugim celem będzie Wenezuela, ale co z trzecim?

Motorówka zakręca gwałtownie w lewo. Siła odśrodkowa rzuca Valentinę na prawą burtę. Wstrząs okazuje się zbawienny. Jak lekarstwo na czkawkę. Rozbiegane myśli nagle układają się w logiczną całość. Muscle Beach w Venice w Kalifornii - mekka fanatyków kulturystyki. Przykuca przy burcie, żeby schować się przed wiatrem i rykiem silnika. Zasłaniając dłonią słuchawkę, dzwoni do Vito.

- Panie majorze, trzeci cel znajduje się w Kalifornii, jestem tego pewna. Muscle Beach w Venice. To stąd te wielkie sześciany na obrazie Bale'a. To nie są tytani przemysłu ani budownictwa, tylko kulturystyki.

- Przyjąłem! - potwierdza Carvalho, czując przyływ adrenaliny.
- Ktoś z naszych zaraz zadzwoni do FBI, żeby ewakuowali okolicę.

Vito wyciąga telefon i przekazuje podwładnym instrukcje. Agenci FBI potrafią działać błyskawicznie. Przy odrobinie szczęścia wkrótce na plażach w Venice Beach nie będzie żywej duszy. Rząd Wenezueli został już poinformowany i zapewnił go, że tereny wokół Salto Angel są już ewakuowane. W samej Wenecji wszyscy dostępni funkcjonariusze patrolują ulice i kanały w poszukiwaniu jakichkolwiek podejrzanych sygnałów. Wymiar sprawiedliwości z całego świata wygrywa bitwę z Larsem Bale'em. Pytanie tylko, czy nie wygrywają za wolno.

Vito zerka na zegarek. Prawie południe. W Kalifornii dochodzi trzecia rano. Sto osiemdziesiąt minut do egzekucji Bale'a.

Za trzy godziny wszystko się okaże. Albo niepotrzebnie postawili na nogi policję po obu stronach Atlantyku, albo ich najgorsze koszmary staną się rzeczywistością.

ROZDZIAŁ 78

Lazzaretto Vecchio, Wenecja

Tom prawie nic nie widzi. Światło słońca jest tak ostre, że nie jest w stanie podnieść wzroku z ziemi. Kostka szybko puchnie i wykręca się za każdym razem, gdy próbuje podbiec. Stracił pistolet. Jediną bronią, jaką dysponuje, jest żelazny pręt wyrwany z kraty. Kuśtykając, oddala się od zabudowań, zmierzając jak najszybciej w kierunku lasu. Wie, że nie zdoła uciec przed satanistami, więc ciągle zmienia kierunki w nadziei, że w ten sposób zgubi pościg.

Woda! Przed sobą widzi szeroki pas wody. Nie ma już dokąd uciekać. Laguna ciągnie się po horyzont. Przy brzegu dostrzega niedużą łódkę, ale woli nie ryzykować, że zauważą go na otwartej przestrzeni.

Idzie w przeciwnym kierunku. Kieruje się ku zagajnikowi strzelistych cyprysów, wznoszących się tak wysoko, że wydają się niemal dotykać nieba. Tom zagryza zęby i kuśtyka w kierunku największego drzewa. Udaje mu się chwycić nisko wiszącą gałąź. Podciąga się i kryje w gęstych igłach.

Cyprys jest naprawdę potężny. Z szerokiego pnia we wszystkich kierunkach wyrastają masywne gałęzie. Tom cały czas się wspina i po chwili ledwo może dojrzeć ziemię.

Po drugiej stronie laguny w lśniącej mgiełce widzi gondole i odległe kopuły kościołów i pałaców. Niecałą milę od brzegu wyspy dostrzega białe fale wzbijane przez motorówki patrolowe *carabinieri*.

Nagle słyszy trzask gałęzi obok. A potem strzał. Znaleźli go.

Tom wspina się wyżej. Coś mu się przypomina - w greckiej mitologii cyprys symbolizuje śmierć i żalobę. Nawet Rzymianie i muzułmanie sadzą cyprysy na cmentarzach. A on jak na ironię wybrał sobie cyprys na kryjówkę.

Pada kolejny strzał. Pocisk z gwizdem przelatuje pod nim. Są blisko. Stanowczo za blisko. Trzeci strzał rozrywa gęstą kopułę igieł. Jedna z gałęzi po lewej odrywa się. Napastnicy próbują się wstrzelić. To tylko kwestia czasu, zanim któryś go trafi.

Tom przelazi na drugą stronę pnia. Kątem oka zauważa żandarmów wyskakujących na brzeg. Z tej wysokości wyglądają jak stado mrówek zmierzających do budynku, w którym go więziono. Wciąga się na szczytowe gałęzie drzewa. Teraz wyraźnie widzi miejsce swojego uwięzienia. Przetrzymywali go w jakimś szpitalu. Starym i opuszczonym. Obok budynków leży sterta drewna, która kojarzy mu się z ogniskiem. Tylko że to nie jest ognisko. To stos. Ofiarny stos.

Wzrok znowu odmawia mu posłuszeństwa. Choć ma słońce za plecami, niebo jest oślepiająco jasne. Mruga oczami, usiłując odzyskać ostrość widzenia. Ktoś podpala stos. Kilku satanistów ciągnie za sobą coś w kierunku dymiącej sterty. A raczej kogoś.

Między drzewami rozlega się kanonada z pistoletów i broni maszynowej. Tom zsuwa się w dół. Pod nim trwa strzelanina między dwoma żandarmami a postaciami w czarnych szatach. Satanisci mają przewagę uzbrojenia. Regulaminowa beretta nie ma szans w starciu z uzi wypluwającym sześćset naboju na minutę.

Jeden z żandarmów zostaje trafiony w twarz. Jego kolega zabija satanistę jednym strzałem, pada na ziemię i przetacza się szybko. Seria pocisków rozrywa trawę dokładnie w miejscu, w którym był przed chwilą. Jeden na jednego. Ale w takich starciach karabin maszynowy zawsze zwycięży z pistoletem.

Tom zsuwa się jeszcze niżej. Dokładnie widzi całą scenę, ale nie jest w stanie w żaden sposób pomóc policjantowi. Pół metra w dół i satanista będzie miał go podanego na tacy.

Mężczyzna z uzi zaczyna poruszać się po okręgu, tak aby zejść zandarma od tyłu. Policjant coś słyszy. Przykłęka i odwraca się w bok. Tom musi mocno przytrzymać się gałęzi. To Valentina. Satanista wyłania się z zarośli u stóp cyprysu. Za chwilę poszatkuje ją na kawałki.

Valentina nie zdaje sobie sprawy, że zabójca jest tylko kilka metrów od niej. Wstaje i omiata lufą okolicę, idąc powoli do przodu. Uzi celuje prosto w środek jej pleców. Za chwilę zginie.

Tom ciska żelaznym prętem jak włócznią. Uderza satanistę w głowę. Seria z uzi szybuje w powietrze. Valentina obraca się gwałtownie. Pociąga za spust, trafiając napastnika w korpus. Podchodzi bliżej z wycelowaną bronią. Kolejna seria łąduje w piersi zabójcy. Porucznik Morassi nie ma w zwyczaju niepotrzebnie ryzykować.

Tom zsuwa się na dolne gałęzie.

- Valentino! Nie strzelaj!

Valentina trzyma broń na wysokości ramienia, czujnie przepatrzuje okolicę. Tom złazi na najniższą gałąź i zeskakuje na ziemię. Kostka wykręca się, eksplodując bólem.

Valentina widzi go, ale milczy. Jest napompowana adrenaliną. Zestrojona z rękojeścią pistoletu. Reaguje automatycznie, tak jak ją szkolono. Ostrożnie podchodzi do ciała satanisty i podnosi uzi.

Tom pochyla się nad zwłokami i podnosi zardzewiały żelazny pręt, jego jedyną broń.

- Jest ich więcej - mówi, wycierając pręt z krwi o trawę. - Gro madzą się na tyłach szpitala. Rozpalili ogień. Nie widziałem dokładnie przez dym, ale wyglądało to tak, jakby chcieli spalić kogoś na stosie.

- Zostań tu. Zajmę się tym. - Valentina chowa broń do kabury i wyciąga radio. - Zgłoszę to naszym, a potem po ciebie wrócę.

ROZDZIAŁ 79

Porucznik Francesca Totti i jej trzysobowa ekipa wchodzi do szpitala z palcami na spustach pistoletów.

Francesca urodziła się w Wenecji i skończyła historię, więc doskonale zna mroczne dzieje tego budynku. Zmarło tu przynajmniej troje jej przodków. Pół tuzina kolejnych nie przeżyło podróży przez lagunę na Lazzaretto.

Po odebraniu wezwania Valentyny Francesca przypina krótkofalówkę do paska. Jej ludzie metodycznie przeszukują pomieszczenia na parterze. Dwie inne ekipy zajmują się górnymi piętrami. Na wschodnim krańcu korytarza Francesca słyszy czyjeś głosy. Ciemne kształty przemieszczają się na dziedzińcu widocznym przez zakurzone okna. Porucznik Totti unosi dłoń, nakazując ciszę swoim ludziom.

Przez okno widzą trzy osoby w czarnych kapturach, zgromadzone wokół stalowego wózka do transportu chorych. Coś jest nie tak. Francesca zauważa blask płomieni. Gdzieś obok musi palić się potężny ogień.

Sataniści mają na twarzach srebrne weneckie maski. Idą po dywanie z wysuszonych kwiatów. Recytują modlitwy.

Francesca nie widzi w ich rękach noży. Nie widzi żadnej broni. Za chwilę dotrze do nich żandarmeria, ale sataniści nie okazują żadnych śladów paniki. Są spokojni. Zbyt spokojni. Spóźniliśmy się? Francesca gestem posyła jednego ze swoich ludzi do drzwi po prawej, a drugiego do sklepionego przejścia po lewej. Na jej sygnał wszyscy jednocześnie wypadają na dziedziniec z wycelowaną bronią.

Sataniści natychmiast podnoszą ręce i poddają się. Ani śladu zdenerwowania. W powietrzu wisi atmosfera absurdu.

Porucznik Totti podchodzi do wózka. Jest pusty. Ściąga maski satanistom. Trzy kobiety. Wyglądają na rozbawione. Francesca wpada w panikę. Ogień! Biegnie w kierunku płomieni, bojąc się tego, co może zobaczyć. Drewno. Suche gałęzie. Deski i chwasty. W płomieniach nie ma śladu żywego człowieka. Na środku stosu dopalają się resztki kukły zrobionej z wypchanych ubrań i maski.

Francesca słyszy śmiech trzech kobiet za sobą. Dali się wyprowadzić w pole jak dzieci.

ROZDZIAŁ 80

Więzienie San Quentin, Kalifornia

W prognozie pogody zapowiadają ponad trzydziestostopniowy upał w San Rafael, gdzie najstarsze więzienie w Kalifornii przygotowuje się właśnie do kolejnej egzekucji.

Dwunastu oficjalnych świadków idzie chłodnym, cichym korytarzem San Quentin, zmierzając do pokoju straceń. Próbuje prowadzić niezobowiązujące rozmowy. Większość z nich to rodzice, dziewczyny, mężowie i dzieci ofiar Larsa Bale'a. Między nimi jest też kilkoro działaczy na rzecz zniesienia kary śmierci.

Niektórzy świadkowie postanawiają zaraz po egzekucji pójść do kaplicy Świętego Rafała Archaniola z charakterystycznym różowym dachem i złotym krzyżem, lśniącem na tle bezchmurnego nieba i zielonych wzgórz zachodniej Kalifornii. Inni spotkają się z przyjaciółmi i będą próbowali utopić w alkoholu wspomnienia o wydarzeniu, którego za chwilę będą świadkami. Jeszcze inni wybiorą się do Miller Creek albo pójdą na spacer do lasu, żeby spokojnie o tym wszystkim pomyśleć.

Z przeciwnego kierunku nadchodzi siedemnaścioro świadków wysłanych przez media. Ci z kolei nie wyglądają na przejętych. Wyszkolone oczy łapczywie chłoną wszystkie szczegóły, kolory, twarze - słowem, wszystko, co da się potem opisać w artykule. Dziesiątki wozów transmisyjnych stłoczonych na parkingu przekazują właśnie zaskakującą wiadomość o tym, że Lars Bale odmówił ostatniego posiłku, a zamiast tego zażądał kryształowego kieliszka, z którego wypił własny mocz.

W skrzydle straceń ośmiu najwyższych stopniem strażników pilnuje, żeby podczas egzekucji nie doszło do żadnych ekscesów.

Do Bale'a nie przyszedł nikt. Żadna rodzina. Ani przyjaciele. Ani prawnik. Z całą pewnością żaden przewodnik duchowy. Dokładnie tak, jak to zaplanował. Jego ludzie mają ważniejsze rzeczy do zrobienia. I właśnie powinni się nimi zajmować.

Bale podchodzi do szyby i stuka palcem w nadgarstek. Strażnik pokazuje mu dwa palce. Dwie godziny. Jeszcze tylko dwie godziny.

ROZDZIAŁ 81

Lazzaretto Vecchio, Wenecja

Nawet ze skręconą kostką Tom Shaman nie potrafi beczynnie siedzieć i czekać. Dlatego pakuje się do starej wiosłówki, którą zauważył, jeszcze siedząc na drzewie. Brzegi wyspy porośnięte są gęstymi zaroślami i drzewami, skutecznie zasłaniającymi z wody widok szpitala.

W końcu dostrzega jakiś budynek. Prawie zawalony ze starości wysoki hangar na łodzie. Ciemnozielona farba, popękana i pokryta pęcherzami od palącego słońca, łuszczy się ze szarych zniszczonych drzwi.

Tom czuje narastającą panikę. Rozpoznaje to miejsce. Zupełnie jakby już je kiedyś odwiedził. W sennym koszmarze. Unosi się tu to samo zło, które poczuł w La Salute.

Z miejsca, w którym siedzi, zrujnowany hangar nie różni się od dziesiątek innych, które widział w Wenecji. Ale ta szopa nie jest zwyczajna. W tym miejscu czai się najgorsze zło na ziemi.

W lewej ręce odzywa się ból, zwłaszcza wokół nadgarstka. Z początku uznał, że to od plastikowej taśmy, którą go skrępowano. Dopiero kiedy przygląda się bliżej, dostrzega ślady ukłuć. Bez wątplenia pozostałości po zastrzykach z propofolu czy innego środka, którym go faszrowano. Po sińcach rozpoznaje, że ktoś pobrał mu stamtąd krew. Woli nie myśleć, w jakim celu.

Wiosłuje cicho w kierunku obszernych drzwi. Są zamknięte na glucho. Przybija do trawiastego brzegu i bierze do rąk swoją jedyną

broń - żelazny pręt ze szpitalnego okna. Przerzuca nogi przez burtę i wskakuje do zimnej wody. Kiedy dotyka stopami piaszczystego dna, żelazo w jego dłoniach wydaje mu się żałośnie nieprzydatne.

Bnie przed siebie. Na szczęście woda sięga mu tylko do ust. Przy hangarze po omacku szuka pod wodą dolnej krawędzi drzwi. Bierze głęboki oddech i nurkuje w ciemną wodę. Wynurza się bardzo powoli. Tak powoli, że na wodzie prawie nie rozchodzą się kręgi.

Z początku niczego nie widzi. Brudna woda z laguny szczypie go w oczy i przesłania mu wszystko półprzezroczystą błoną. W końcu jednak odzyskuje wzrok.

Cały hangar rozświetlony jest świecami. Czarnymi świecami. Tom ma wrażenie, że patrzy w rozgwieżdżone niebo. Po jego prawej stronie znajduje się długa, czarna gondola. Z pozoru podobna do łodzi Fabianellego, którą Valentina pokazywała mu na zdjęciach. Jest jednak znacznie starsza i wyposażona w niewielką kabinę. Za gondolą stoi dwupoziomowy pomost. Dolna część zbita jest z nieheblowanych desek. Z wielu powodów kojarzy się Tomowi z rzeźnickim stołem.

Za pomostem dostrzega kapłana. Jego twarz zakrywa srebrna maska, podobnie jak twarze dwóch akolitów stojących po obu jego stronach.

Tom powoli chowa się pod wodę i podpływa do dziobu gondoli. Z miejsca, w którym się wynurza, słyszy i widzi znacznie więcej.

- *In nomine magni dei nostri Satanus. Introibo ad altare Domini Inferi.*

Za kapłanem wisi odwrócony krzyż. Tom zauważa, że akolici w istocie nie są wcale akolitami - po bogactwie szat rozpoznaje w nich diakona i diakonisę.

- *Ad eum qui laetificat meum.*

Kapłan zaczyna okadzać ołtarz i leżące na nim nagie ciało nieprzytomnej kobiety.

Tina. Tom wie, że okadzanie powtarza się trzykrotnie. A potem poleje się krew. Mnóstwo krwi.

- *Domine Satanus, tu convenus vivificabis nos.*

Przesuwa się za burtę gondoli i usiłuje powoli wydostać się z wody. Nasiąknięte ubranie ciągnie go w dół. Krawędź pomostu znajduje się dość wysoko. Trudno będzie mu podciągnąć się bez narobienia hałasu. Najpierw odkłada na deski żelazny pręt. Wyrzuca ręce w górę i łapie krawędź. Wydaje mu się, że za chwilę zwali się z pluskiem do wody.

Czerpiąc z ostatnich rezerw sił, udaje mu się jednak podciągnąć w górę i wspiąć na pomost.

Tom tkwi nieruchomo w przykłęku. Jak posąg. Czeką, aż woda ścieknie z jego ubrania w kałużę wokół stóp.

- *Ostende nobis, Domine Satanus, potentiam tuam.*

Najwyższy kapłan odkłada kadzidło i odbiera z rąk diakona srebrną tacę. Na tacy znajdują się dwie srebrne tabliczki.

Tom czuje, że kręci mu się w głowie. „Bramy Piekła”. Te same, które opisywał mu Alfie. Wysłuchał na ich temat tylu legend i opowieści, i w końcu widzi je na własne oczy.

Dwie tabliczki łądują na ciele Tiny. Ale gdzie jest trzecia? Tom widzi, że kapłan układa jedną z nich nad piersiami, a jedną poniżej sromu. Dostatecznie dobrze orientuje się w satanistycznych rytuałach, by uzmysłwić sobie, że Tina posłuży satanistom za ludzki ołtarz. Wkrótce w ramach ofiary kapłan zmasakruje jej ciało. Wzrok Toma biegnie ku przestrzeni za plecami kapłana. Diakon trzyma w ręku stary srebrny kielich. Zdaje się, że wypełniony krwią. Lewy nadgarstek Toma zaczyna swędzieć, jakby rozpoznając to, co mu odebrano.

Pojawia się diakonisa. Przed twarzą trzyma trzecią tabliczkę. Całuje ją. Unosi w górę.

Sataniści nagle zwracają się w kierunku Toma. Musiał narobić hałasu.

Diakonisa rzuca się na niego z palcami rozczapierzonymi jak szpony. Usiłuje dosięgnąć jego oczu.

Tom odpędza ją jak uporczywą muchę. Tabliczka upada na deski pomostu, a sama diakonisa osuwa się do wody.

Diakon łapie za ceremonialny nóż. Ostrze ma dziwny kształt i przypomina narzędzie cieśli albo rzeźbiarza.

Tom obiema rękami ścisną żelazny pręt. Przemieszcza ciężar ciała to na jedną nogę, to na drugą. Diakon zbliża się. Tom cierpliwie czeka na jego ruch. Robi unik i z rozmachem uderza diakona prętem w dłoń. Potem bierze kolejny zamach i wymierza drugi cios, tym razem w kolano, które pęka z trzaskiem. Diakon pada na deski z wrzaskiem. Tom omija go.

Nagle słyszy grzmot. Słyszy, ale nie potrafi go zlokalizować. Huk dobiega ze wszystkich stron, wprawiając jego ciało w drzenie.

Najwyższy kapłan trzyma w ręku pistolet. Tom dostrzega dym wydobywający się z lufy. Kapłan zdejmuje maskę. Na jego twarzy pojawia się zadowolenie. Tom wie, że został postrzelony. Wie o tym, ale jeszcze tego nie czuje. Zerka w dół. Na deski kapie krew. Wciąż niczego nie czuje. I wtedy pojawia się ból. Ostry. Rozdzierający. Kula przeszła na wylot przez dłoń, wyrrywając spory fragment ciała pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym.

Kapłan ponownie pociąga za spust. Strzał przechodzi nad lewym ramieniem Toma, który rzuca się ku dymiącej lufie, biorąc jednocześnie zamach. Pręt trafia w żebro satanisty, który jednak chwyta go jedną ręką i szarpie w bok, ciągnąc Toma ku krawędzi ołtarza.

Tom traci grunt pod nogami. Pręt wysuwa mu się z dłoni.

Kapłan z rozmachem spuszcza żelazo na jego głowę. Pręt najpierw roztrzaskuje krawędź ołtarza, a w końcu trafia Toma w skroń.

Kapłan celuje do nieruchomego ciała. Pada kolejny strzał. I jeszcze jeden.

Tom wciąż leży na pomoście, dochodząc do siebie po uderzeniu. Nagle kapłan pada na ziemię obok niego. Martwy.

Jedna kula trafiła w głowę. Prosto między oczy. Druga w serce.

Valentina Morassi opuszcza broń.

Tom z trudem podnosi się na nogi i pochyła nad ciałem Tiny. Jest nieprzytomna. Nafaszerowana środkami uspokajającymi.

Wszędzie pojawiają się żandarmi. Tom wciąż trzyma dłoń na policzku Tiny, gdy jeden z sanitariuszy odsuwa go na bok, żeby sprawdzić oddech i puls. Inny tymczasem zakuwa diakona w kajdanki i ściąga mu maskę. Valentina rozpoznaje w nim pewnego drobnego biznesmena z Wenecji. Wsuwa pistolet do kabury i podchodzi do Toma.

- Chyba kazałam ci zostać przy drzewach?

Prawie udaje mu się uśmiechnąć.

- Dobra rada. Powinienem być posłuchać.

Funkcjonariusze tymczasem wynoszą Tinę z hangaru.

- Co z nią? - pyta z niepokojem Tom.

- Nie wiem. Na łodzi mamy cały niezbędny sprzęt, zaraz się nią zajmą.

Tom zerka na przestrzeloną dłoń. Krew wciąż skapuje na deski pomostu.

- To jeszcze nie koniec - wskazuje głową na leżącego obok martwego kapłana. - Kimkolwiek jest ten facet, był tylko częścią planu. Lars Bale zaplanował coś znacznie większego.

Valentina przygląda się człowiekowi, którego zabiła.

- Znam go. To Dino Ancelotti, prawnik Fabianellego. - Spogląda na dłoń Toma. - Trzeba to będzie zszyc.

Tom ma na końcu języka jakąś brawurową ripostę, gdy dwóch żandarmów prowadzi obok nich diakonesę.

- Zaczekajcie! - woła Valentina. - Chcę sobie pogadać z tą wiedźmą.

ROZDZIAŁ 82

Więzienie San Quentin, Kalifornia

Z całego skrzydła straceń Lars Bale zobaczył tylko swoją celę, dwa i pół na dwa i pół metra. I jeszcze strażnika o paskudnej gębie, który wyrabiał nadgodziny, pilnując go całą dobę.

Poza jego wzrokiem znajduje się piętnaście innych pomieszczeń, w tym pokój straceń, pokój, w którym składane są ciała więźniów, sala konferencyjna, pokój personelu, komórka oraz widownia podzielona na dwie części - jedna dla bliskich ofiar, a druga dla rodziny i przyjaciół więźnia.

W zaciszu więziennych korytarzy cała armia ludzi pracuje nad tym, jak go zabić i jak poradzić sobie z tłumem, który pojawi się, by na żywo oglądać jego śmierć.

Strażnik Jim Tiffany w ciągu ostatniej godziny zajrzał w każdy kąt skrzydła, po kilka razy sprawdzając, czy wszystko jest w porządku. Zgłosił się na ochotnika do zespołu egzekucyjnego. Egzekucja Larsa

Bale'a ma dla niego wymiar osobisty.

Skurwiel w końcu zapłaci za to, co wygadywał o jego żonie.

- Wstawaj, Bale - woła Tiffany przez masywne, elektroniczne drzwi, czując przyjemny dreszcz podniecenia. - Obróć się. Ręce za plecami.

Więzień powoli wykonuje polecenia, wsuwając nadgarstki w przerwę między kratami.

Tiffany i dwóch innych strażników szybko zakładają mu kajdanki, otwierają drzwi, a następnie zakuwają nogi Bale'a. Następnie pospiesznie odprowadzają go do pokoju medycznego.

- Obróć się. Teraz cię rozkujemy, a ty się grzecznie rozbierzesz na badanie.

- Co za ironia - odpowiada Bale znudzonym głosem. - Macie ustawowy obowiązek mnie zbadać, żeby się upewnić, że jestem dostatecznie zdrowy, żeby umrzeć?

Tiffany staje tuż przed nim.

- Rób, co ci mówię, cwaniaku.

Bale ściąga ubranie, a jeden ze strażników wpuszcza do pokoju młodego zdenerwowanego lekarza, który zgodnie z zaleceniami starannie unika wzroku więźnia. Zakłada białe lateksowe rękawiczki i przeprowadza rutynowe badanie pulsu i ciśnienia krwi.

- Co ty właściwie robisz, doktorku? - pyta Bale, gdy lekarz przesuwa palcami po wewnętrznej stronie jego przedramienia.

- Szuka żyły, Bale - odpowiada Tiffany. - Szuka najlepszego miejsca, żeby naszprycować cię trucizną.

Doktor odwraca głowę i rzuca starszemu strażnikowi przerażone spojrzenie. Następnie bada dłonie Bale'a, stopy, kostki i golenie. Wreszcie kiwa strażnikom głową i wychodzi do sąsiedniego pokoju. Przez całe badanie milczał. Nie zamierza w ogóle się odzywać. Chce

tylko wyjść stąd jak najszybciej. To miejsce przyprawia go o dreszcze. Ściąga rękawiczki, wyrzuca do kosza i czeka, aż otworzy się elektroniczny zamek w drzwiach.

- Skuć go - nakazuje tymczasem Tiffany. - Zabieramy go z powrotem do celi. - Strażnik uśmiecha się paskudnie do Bale'a. - Gdyby to zależało ode mnie, wbiłbym ci strzykawkę w pieprzone oko i pompował w ciebie chemię aż do Bożego Narodzenia. - Zerka na zegarek. - Jeszcze godzina, gnoju. Została ci jedna godzina życia.

ROZDZIAŁ 83

Lazzaretto Vecchio, Wenecja

Mera Teale nie wygląda nawet w połowie tak seksownie, jak jeszcze kilka godzin wcześniej. Diakonisa satanistów krwawi, na ciele ma pełno siniaków i jest cała mokra po przypadkowej kąpieli w hangarze. W miejscu, w którym wraz z Dino Ancelottim zamordowali wiele niewinnych osób.

Valentina nie ma czasu na zabawy w protokół i uprzejme przesłuchanie. Wyprowadza skutą kajdankami Teale z hangaru, z dała od pozostałych.

- Zrobimy tak. Albo powiesz mi wszystko, co wiesz, albo pošlę ci kulkę w łeb i powiem, że usiłowałaś uciekać.

Teale uśmiecha się.

- Jesteś kurewsko seksowna, kiedy się wściekasz. Szkoda, że nie mam przy sobie aparatu.

Valentina przytrzymuje ją za ramię i wywiczonym ruchem kopie ją pod kolana. Teale osuwa się na ziemię. W następnej sekundzie Valentina przytyka lufę beretty do jej ust.

- Przysięgam na Boga, że odstrzelę ci ten zakolczykowany ryj, jeśli nie zaczniesz mówić.

Czy powoduje to lufa między zębami, czy furia w oczach Valentiny, Teale w końcu postanawia współpracować. W jej wzroku jest już tylko strach.

Valentina podnosi ją i chowa pistolet do kabury.

- Mów.

W głosie Mery nie ma śladu arogancji.

- Nie wiem zbyt wiele. Tylko tyle, że podłożono bomby.

- Bomby?!

- Jedną przy Ponte della Libertà. Drugą w Wenezueli przy Salto Angel. I jedną w Ameryce. W hotelu w Las Vegas. Nazywa się The Venetian. - Na jej ustach pojawia się ślad uśmiechu. Siad jej zwyczajowego usposobienia. - Nie zdążycie ich powstrzymać.

Valentina jest w szoku. Popęłniła błąd. Koszmarny błąd. Nie chodziło o Muscle Beach ani o Venice Beach. Szybko wywołuje przez radio centralę, modląc się, żeby zdążyli powiadomić Amerykanów na czas.

ROZDZIAŁ 84

Nakaz całkowitej ewakuacji i zamknięcia Ponte della Libertá, wydany przez majora Carvalho, natychmiast trafia do patroli ulicznych. Kłopot w tym, że Włosi kiepsko radzą sobie z pośpiechem.

Kiedy major przyjeżdża na miejsce, ulica wciąż jest wypełniona turystami. Im bardziej jego ludzie usiłują przyspieszyć ruch, tym bardziej wszystkim puszczaą nerwy i w rezultacie wszystko staje w gigantycznym korku.

Otwarty przez Mussoliniego w 1933 roku most ma ponad trzy kilometry długości i żadnego pasa dla pojazdów uprzywilejowanych. Stanowi jedyne połączenie drogowe między Wenecją a dzielnicą Mestre i stałym lądem. Mieszkańcy nazywają go „Mostem wolności”. Vito podejrzewa, że Bale wybrał akurat to miejsce jako symbol swojego rychłego uwolnienia.

Spogląda na idealnie prostą sylwetkę mostu i sto dwadzieścia dwa przeszła. Przypomina sobie ze szkoły, że specjalnie zaprojektowano go w taki sposób, aby można było łatwo podłożyć materiały wybuchowe i w razie potrzeby uniemożliwić atakującej armii dotarcie do Wenecji. Nie sposób stwierdzić, jakie zniszczenia poczyni eksplozja przygotowana przez popleczników Bale'a. Vito wie, że nie zdążą przeszukać wszystkich przeszła. Musi zaryzykować.

Jego ludzie koncentrują się na obu krańcach mostu, gdzie, jak podejrzewa, mogły zostać umieszczone detonatory.

Stoi teraz w północnej części, przy skrzyżowaniu z Cavalcaferrovia San Giuliano, tuż przed rozjazdem z drogi SR11 w prawo na SS14 i w lewo na Via della Libertá.

Z niedużej motorówki wyłania się Rocco Baldoni z przerażoną miną. Nogawki jego szarych spodni są przemoknięte.

- Znaleźliśmy! Ładunki podpięte do licznika czasu na trzecim łuku od strony nabrzeża.

Carvalho wciąż wpatruje się w ruch na ulicy.

- Jak to wygląda?

- Skomplikowane. Bomba jest zamknięta, z cyfrowym zegarem i zapłonem uruchamianym z klawiatury.

- Czujniki ruchu? Detonator ruchowy? Obwody zabezpieczające?

Rocco ociera pot z czoła.

- Niewykluczone, ale żadnych nie zauważyłem. Zaawansowana technologia. Wygląda na to, że jest tam od dłuższego czasu.

- Zegar tyka?

- Tyka. Na wyświetlaczu było piętnaście minut.

- Gdzie są teraz saperzy?

- W drodze. Panie majorze, oni jadą aż z Padwy, w życiu się nie wyrobiją.

Vito patrzy na zegarek: 14.45. To oznacza, że w Kalifornii jest 5.45. Do egzekucji Bale'a został kwadrans.

- Wiesz coś na temat rozbijania bomb?

Rocco uśmiecha się.

- Tyle co widziałem w telewizji.

Przez umysł majora przetacza się burza. Czy może mieć nadzieję, że most uda się ewakuować na czas? Że bomba nie wybuchnie? Albo że saperzy zdążą przyjechać i ją rozbroić?

Nie może i wie o tym.

- Pokaż mi ją, Rocco. Chcę zobaczyć to cholerne ustrojstwo na własne oczy.

ROZDZIAŁ 85

*Skrzydło straceń, Blok północny więzienia San Quentin,
Kalifornia*

Przychodzą po niego do celi. Bale milczy. Niczego się nie obawia. Czekal na nich. Wielkie, spracowane dłonie strażników przeszukują go po raz ostatni. Kajdanki zamykają się ciasno wokół jego nadgarstków. Łańcuch z brzękiem zapina się wokół pasa. Metalowe obręcze zaciskają się na kostkach. Od strażników czuć zapach piwa i tytoniu. Szybki dymek i łyk budweisera na odwagę przed robotą.

- Wyprowadzić więźnia. - Tym razem głos nie należy do strażnika, a do naczelnika McFaula.

Bale uśmiecha się, przechodząc obok niego. Uśmiech nie schodzi z jego twarzy przez całą drogę do pokoju przygotowawczego w kształcie litery L, przylegającego do pokoju straceń. I będzie się uśmiechał. Przez cały czas, aż upłynie jego ostatnia sekunda na ziemi.

Kalifornia, 5.50

10 minut do egzekucji

Wenecja 14.50

- *Madonna Porce!* - klnie Vito. Nigdy wcześniej nie widział tak zaawansowanego technicznie detonatora. - Nie ma szans dobrać się do kabli. Całość jest hermetycznie zamknięta.

- Potrzebne hasło - zauważa głupio Rocco.

- Co ty powiesz? - odpowiada sarkastycznie major. - Masz jakieś pod ręką?

Rocco przetyka ślinę.

- Chyba musimy zgadywać.

- Zgadywać, mówisz? Dzięki, geniuszu. A co jeśli się pomylimy?

- Będzie po nas. Albo będziemy mogli spróbować jeszcze raz.

- Dzięki. - Vito ściąga marynarkę i podwija rękawy. Pod pachami i na plecach ma wilgotne plamy.

Rocco wpatruje się w wyświetlacz. Po jego czole ścieka pot.

- Kod do zamka elektronicznego zwykle można spróbować wprowadzić kilka razy. Musi być tak skonstruowany, żeby dało się go wyłączyć. Nawet zamachowcy czasami muszą coś poprawić.

Na wyświetlaczu widnieją pozostały czas: sześć minut. Nad klawiaturą jest miejsce na pięć cyfr lub liczb. Vito w milczeniu wpisuje 66666. Serce wali mu jak młotem. Ekran wyświetla komunikat: ERROR i gaśnie. Vito próbuje ponownie: SATAN.

ERROR. Urządzenie piszczy. Miga czerwona dioda.

Major bierze głęboki oddech i zerka na Rocco.

- Co to twoim zdaniem znaczy?

Rocco wyciera z brwi krople potu.

- Podejrzewam, że została panu jedna szansa.

Jedna. Jeszcze nigdy ta jedna cyferka nie stanowiła dla majora Carvalho aż takiego problemu. Obaj przetykają ślinę. Licznik na wyświetlaczu pokazuje pięć minut.

- Albo że nie ma pan już żadnej - dodaje Rocco.

Vito gapi się na cyfry. Po grzbiecie przebiega mu dreszcz. Utknął. Nie ma już żadnych asów. Od tej chwili liczy na ślepo.

Kalifornia, 5.55
5 minut do egzekucji
Wenecja 14.55

Nawet jeżeli widok pokoju straceń szokuje Bale'a, to udaje mu się to skutecznie ukryć. Stalowe łóżko na kółkach. Dwie tace ze strzykawkami. Niecierpliwi członkowie starannie dobranego zespołu, który wykona zastrzyk.

Świadkowie, jak ryby w akwarium, obserwują spektakl z otwartymi ustami. Bale tylko się uśmiecha. Strażnicy wprowadzają go do przedpokoju i sadzają na łóżku. Podciąga nogi do góry jak na fotelu dentystycznym, po czym grzecznie kładzie się na plecach.

Przywiązują go do poręczy. Skórzane pasy oplatają jego nadgarstki i kostki. Bale czuje się, jakby układano go na krzyżu.

Ktoś stuka palcem w jego przedramię, aby wyczuć żyłę. Błado-niebieskie węże wylaniają się pod bladą skórą w oczekiwaniu na truciznę. Rozpinają mu więzienną koszulę. Do klatki piersiowej przyklejają mu elastyczne czujniki EKG. Końcówki przewodów podłączają do monitora.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiają się igły i cewniki. Osiem igieł. Osiem zastrzyków w precyzyjnie ustalonych odstępach.

Bale docenia potrzebę rutynowości. Rutyna i rytuały zawsze były dla niego ważne, zwłaszcza kiedy to on odbierał komuś życie...

Do żył Larsa trafia roztwór soli fizjologicznej. Piszczy monitor. Szeleści papier na rolce wykresu EKG. Ktoś kaszle. Rozpoczyna się koniec. Do nowego początku została już tylko minuta.

Kalifornia, 5.59
1 minuta do egzekucji
Wenecja 14.59

Licznik na detonatorze pokazuje trzydzieści sekund.

Vito Carvalho rozpaczliwie usiłuje coś wymyślić. Instynktownie odsuwa na bok rzeczy nieistotne. Eliminuje zbędne. Szuka fundamentu. Najważniejszego wątku w całej tej historii.

Licznik pokazuje dwadzieścia pięć sekund. Jeśli major się pomyli, to jego, Rocco i setki niewinnych ludzi czeka śmierć.

Wpisuje pierwszy znak. Boże, zaopiekuj się Marią. Jeśli zginę, zadbaj o to, by ktoś otoczył ją opieką i miłością. Drugi znak. W samochodach na tym moście są rodziny z dziećmi. Pozwól im żyć. Trzeci. Niemowlęta w fotelikach, nastolatki słuchające iPodów. Ocal ich, Panie. Czwarty. Boże, przebacz mi moje grzechy. Wszystkie grzechy, jakie popełniłem, popełniłem w słabości, a nie w gniewie. Odpuść mi moje winy, jako i ja odpuszczam moim winowajcom. Piąty. Pomylił się! Urządzenie brzęczy. Na wyświetlaczu pojawia się pięć ukośnych kresek - // // // // . Licznik pokazuje dziesięć sekund - i nagle zero. Vito przetyka ślinę. Wyświetlacz migocze. Pojawia się na nim wpisane słowo: H3V3N. Potem gaśnie. Diody wewnątrz bomby przestają świecić. Urządzenie wyłącza się. Są bezpieczni.

Kalifornia, 6.00
Wenecja 15.00

Przewożą Bale'a z pokoju przygotowawczego do pokoju straceń.

Jim Tiffany patrzy na więźnia i krępujące go skórzane pasy. Puszczą oko i odchodzi. Kurtyna na widowni odsuwa się w bok.

Naczelnik McFaul daje sygnał. Jeden z członków zespołu egzekucyjnego kiwa głową. Pierwsza strzykawka: półtora grama tiopentalu sodu. Bale czuje, jak chemia wdziera się do jego żył. Czas przemówić, zanim barbiturany mu to uniemożliwią.

- Jestem żołnierzem Lucyfera, Pana Ciemności, Niosącego Światło. Tego, który przynosi prawdziwą wolność.

Wszystkie oczy kierują się na niego. Szeroko otwarte. Dziesiątki oczu. Gapiące się jak stado gupików zza szyby widowni.

- Jam jest drogą. Jam jest światłem. Jam jest prawdą.

Przerywa. Bierze oddech. Napelnienie płuc powietrzem przychodzi mu z trudem.

- Oto moja godzina chwały, w której z Jego woli otworzę Bramy Piekła. Oto dziś wybiła dla mnie godzina łaski. Dziś zasiądę u Jego boku, pozostawiając za sobą śmierć i pożogę na Jego chwałę.

Szybkie dłonie lekarzy wstrzykują mu więcej tiopentalu i pełną strzykawkę soli fizjologicznej. McFaul wymienia spojrzenia ze swoim zastępcą. Bale powinien być już nieprzytomny. A najlepiej martwy. Ale nie jest. Coś poszło nie tak.

Kalifornia, 6.00

Wenecja 15.00

Las Vegas

Bomba eksploduje. Wyrzywa z framug okna w nowym Apartamencie Medycejskim na szóstym piętrze hotelu Venezia Tower w sercu miasta. Fragmenty rzymskiej łaźni, mebli i pięćdziesięciocalowego telewizora opadają z nieba jak konfetti. Apartament reklamowano jako „666 stóp kwadratowych luksusu z pełną obsługą”.

Pomimo protestów kierownictwa FBI ewakuowało hotel błyskawicznie. Za pośrednictwem policyjnych robotów ustawiono pancerne ekrany ochronne i przeprowadzono kontrolowaną eksplozję.

Wybuch bomby obrócił w gruzy całe piętro hotelu. Kasyno przez jakiś czas będzie zamknięte, ale największa pokerowa zagrywka w dziejach Las Vegas opłaciła się - nikt nie został ranny.

Kalifornia, 6.03

Wenecja 15.03

Więzienie San Quentin

Zawartość czwartej strzykawki - pavulon - trafia do żył skazańca. Ręce w rękawiczkach pracują bez wytchnienia. Strzykawka piąta - roztwór soli fizjologicznej. A mimo to Lars Bale wciąż jest przytomny. I w dodatku mówi.

- Chciałbym coś powiedzieć gapiom za tą szybą: patrzcie na mnie, jako i ja na was patrzę, albowiem już wkrótce to ja będę sądził was, tak jak wy dziś sądzicie mnie. - Jego usta są wyschnięte na wiór. Nie jest w stanie nawet oblizać warg. - Będę bowiem pierwszym, co ujrzycie po śmierci. Położę wasze dusze na boskiej wadze i poznam waszą wartość.

Strzykawka szósta - chlorek potasu. Jeden z członków zespołu egzekucyjnego sprawdza przewody dożylnie, aby upewnić się, że zabójcze chemikalia rzeczywiście trafiają do organizmu więźnia. Strzykawka siódma - więcej chlorku potasu. Strzykawka ósma - znowu roztwór soli fizjologicznej.

Głos Bale'a jest już tylko niskim charkotem:

- Jestem jednym z wielu. Zasiejemy zarzę w waszych ciałach, skazimy wasze dzieci. Wasze wnuki będzie toczył rak, którym je zarazimy.

Ku zdumieniu wszystkich Bale unosi głowę. Oczy wychodzą mu z orbit, gdy wpatruje się w przedstawicieli prasy.

- A gdy będziecie leżeli na łożu śmierci, wiedźcie, że oczekuję was w Piekło.

Za szybą jedna z kobiet zrywa się z miejsca i zalewając się łzami, biegnie do wyjścia.

Szef zespołu patrzy pytająco na McFaula.

- Koniec tacy A, panie naczelniku. - Kiwa głową w kierunku odczytu EKG, który wciąż pokazuje puls.

- Powtórzyć protokół - mówi McFaul. - Taca B, zastosować zapasowe cewniki. I pospieszcie się, do cholery.

Kalifornia, 6.03

Wenecja 15.03

Caracas, 8.33

Wodospad Salto Ángel, Wenezuela

Eksplozję słycać z kilku kilometrów. Huk rozlega się daleko poza granicami opustoszałego Parku Narodowego Canaima, gdzie podłożono bombę.

Szeroki krater zieje w miejscu najpopularniejszego punktu widokowego, z którego miliony aparatów uwieczniały widok wodospadu, zwanego przez Indian „parakupa vena” lub „kerpa-kupai merú” - „spadek z najwyższego punktu”.

Zegar bomby odliczał całą noc.

Wybuch nastąpił o 8.33 rano czasu lokalnego, 6.03 czasu Los Angeles. Podłożył ją fanatyk, który zapomniał nastawić zegarek.

W bładobłękitne niebo wzbija się chmura kurzu, ale nikt nie zostaje ranny. Nawet zwierzęta.

W oddali największy wodospad świata niewzruszenie zrzuca w przepaść kaskady wody.

Kalifornia, 6.12 *Więzienie San Quentin*

Kolejnych osiem strzykawek. Bale traci przytomność. Wzrok wszystkich wędruje ku odczytowi EKG. Igła urządzenia wciąż pracuje, rysując lekko zafalowaną linię.

Bale jest bliski śmierci. Ale wciąż żyje.

Jeszcze żadna egzekucja nie trwała tak długo. Żaden morderca tak długo nie opierał się śmierci.

Elektroniczny pisk. Dostatecznie głośny, by wszyscy aż podskoczyli na swoich miejscach.

- Asystolia! - obwieszcza jeden z członków zespołu nieco zbyt uradowanym głosem.

Jego koledzy nie potrafią powstrzymać uśmiechów.

Naczelnik McFaul obserwuje ludzi za szybą, którzy klaszczą i wiwatują. Tylko wrodzony profesjonalizm powstrzymuje go przed przyłączeniem się do świętowania.

Do pokoju wchodzi niezależny lekarz, aby stwierdzić zgon. Ręce w rękawiczkach odłączają cewniki i przewody monitora. Lekarz zakłada słuchawki stetoskopu na uszy i pochyla się nad kłatką piersiową Bale'a. W ciele skazańca wciąż krążą płyny ustrojowe, wygrywając dziwną melodię chemicznej śmierci. Z głębi trzewi dobiega

dźwięk uwalnianego powietrza. Przez chwilę brzmi jak głos. Jak chropowaty szept w nieznanym języku. Języku umarłych.

Lekarz czuje lekki dreszcz. Podnosi wzrok na naczelnika.

- Skazaniec zmarł. Czas zgonu: godzina 6.13 rano.

EPILOG

I

Ospedale Civile di Venezia, Wenecja

Lekarze zszywają ranę dłoni i zakładają opatrunek na skręconą kostkę, ale z powodu obrażeń głowy upierają się, żeby zatrzymać Toma w szpitalu do rana. A Tom nie ma najmniejszej ochoty pozostać tam ani chwili dłużej. Nie po tym, co przeżył w starym szpitalu na wyspie.

Co gorsza, z telewizora w sali płyną wyłącznie wiadomości o udaremnionym zamachu bombowym w Wenecji. Dziennikarze jak dotąd nie wpadli na to, żeby połączyć ze sobą wydarzenia z obu stron Atlantyku, ale Tom wie, że to tylko kwestia czasu.

Nad ranem zsuwa się z łóżka i kuśtyka do pielęgniarki oddziałowej zapytać o stan Tiny Ricci.

Znajduje ją w następnej sali - dzieli ich niemal taka sama odległość, jak na wyspie. Tina jest przytomna. Gapi się w sufit, pogrążona w myślach. Tom ostrożnie podchodzi do jej łóżka.

- Cześć - mówi cicho. - Jak się czujesz?

Tina dopiero po chwili orientuje się, kto przed nią stoi.

- W porządku. - Wierci się w łóżku, próbując ukryć zmieszanie. Bezskutecznie. - A ty?

- Nic mi nie jest - Tom staje przy jej poduszce. - Nie będę ci długo zawracał głowy. Chciałem tylko sprawdzić, co u ciebie.

- Nie wyglądasz zbyt dobrze. - Tina spogląda znacząco na jego

zabandażowaną dłoń i kostkę.

- Trochę otarć i siniaków. Na boisku obrywałem gorzej.

Tina dostrzega w jego oczach tysiąc milczących pytań. Pytań o nich. O jej udział w całej tej historii.

- Tom, oni mnie zmusili do napisania tego artykułu. Pojechałam zrobić reportaż o komunie na Wyspie Mario i ta dziwka Mera mnie zmusiła. A potem zabrali mnie do tego straszego miejsca. - Tina jest na granicy płaczu. - Zmusili mnie, Tom. Zobacz... - Ostrożnie odsuwa kołdrę, ujawniając rozległe poparzenia na nogach.

- Boże święty! Co oni ci zrobili?

Tina zakrywa się.

- Pogrzebacz. Nic specjalnego. Zwykły pogrzebacz, rozgrzany w ogniu. Jak w kiepskim filmie. - Wyciąga do niego rękę. - Dali mi jakieś prochy, chyba za chwilę odpłynę. Przepraszam.

- Nie ma za co. Prześpij się. - Tom ściska jej palce. - Pogadamy później, jak oboje trochę wydobrzejemy.

- Jasne.

Puszcza jej dłoń i idzie do drzwi.

Tina chce jeszcze coś powiedzieć, ale nie jest w stanie. Nie ma siły walczyć z ogarniającą ją sennością.

II

Tom nie wraca do łóżka. Ostatnio zbyt długo przebywał w pozycji leżącej. Kuśtyka chwilę po pokoju, po czym siada na krześle obok łóżka, owija się kocem i ogląda wschód słońca. Zaczyna się zastanawiać, co dalej. Dokąd ma się teraz udać? Czy wyruszyć w podróż samotnie, czy może nie? Sporo będzie zależało od tego, co powie mu Tina, kiedy poczuje się lepiej.

Świt jest szary i posępny. Ale potem weneckie niebo przypomina sobie o swojej reputacji i szybko uzupełnia poranny pejzaż barwami złota i purpury, by ostatecznie przybrać barwę chabrów.

Vito Carvalho i Valentina Morassi zjawiają się, gdy Tom popija espresso, tak gęste, że można by je niemal zuć.

- Jak się ksiądz czuje? - pyta major ze złośliwym uśmiechem.

- Były ksiądz! - przyłącza się Valentina.

- Bywało lepiej.

- I będzie. Już niedługo. - Valentina pochyła się i całuje go w policzek.

- Jeśli pozwolisz, ja cię nie będę obcałowywał - dowcipkuje Vito, podając Tomowi dłoń.

Żandarmi siadają na krzesłach przy łóżku i szybko streszczają ostatnie wydarzenia: egzekucja Bale'a przebiegła zgodnie z planem. Alfie, przyjaciel Toma, ma się dobrze, jest w Wenecji i przebiera nogami, żeby go odwiedzić. Pogrzeb Antonia zaplanowano za pięć dni. Pełny ceremoniał wojskowy. Chcieliby, żeby Tom też tam był. Dochodzeniówka zebrała miażdżące dowody w hangarze na Lazzaretto Vecchio, między innymi ślady krwi Moniki Vidic w gondoli, a także ślady włosów i naskórka Ancelottiego i Teale.

Pewne sprawy wymagają dłuższych wyjaśnień, na przykład to, dlaczego Mario Fabianelli jeszcze nie gnije w więzieniu.

- Jest zupełnie niewinny - wyjaśnia Vito. - Okazuje się, że w ogóle w tym nie uczestniczył. Teale i Ancelotti go zmanipulowali.

- Teale dostała obsesji na punkcie Bale'a - mówi Valentina. - W czasach kiedy Mario zajmował się głównie épaniem, odwiedziła go nawet w więzieniu. Podobnie jak całe mnóstwo dziwaków, uwiódł ją swoim urokiem i gierkami.

- Teale i Ancelotti mieli romans - dodaje Vito. - Z początku wciągnęła go w ten cały kult dla urozmaicenia życia seksualnego. A jemu bardzo się to spodobało. Kiedy Mario wpadł na poroniony

pomysł założenia rajy dla hipisów, oboje zwietrzyli okazję i zachęcali go. Komuna była idealnym terenem rekrutacji do sekty, zwłaszcza że podpierali się autorytetem Bale'a. Tom aż obawia się zadać kolejne pytanie.

- A Antonio - twój kuzyn - po prostu znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze?

- Na to wygląda - odpowiada za Valentinę major. - Antonio miał zbadać teren komuny w poszukiwaniu narkotyków, a to oznaczało, że musiał zająć wszędzie. Dwór i teren wokół niego były naszpikowane kamerami bardziej niż w „Big Brotherze”. Sądźmy, że Ancelotti zauważył go na monitoringu i podłożył materiały wybuchowe na jego łodzi.

Widząc zboląłą minę Valentiny, Vito szybko zmienia temat:

- Twój kumpel Bale umieszczał na swoich obrazach zakodowane wiadomości i przekazywał je niczego nie podejrzewającej organizacji charytatywnej, która sprzedawała je przez Internet. Teale i pozostali zamachowcy odczytali symbole i wskazówki. Wszyscy należeli do tajnego stowarzyszenia, obejmującego cały świat. Stąd zamachy w Wenezueli i Kalifornii. Prawdę mówiąc, nie wiemy dokładnie, jaki zasięg miał ten ich kult i ilu wyznawców.

Tom dopija resztkę kawy i podciąga się na łóżku.

- Skąd u Bale'a ta obsesja na punkcie Wenecji?

- No cóż - mówi Valentina - kiedy mi o nim powiedziałeś, zadzwoniliśmy do FBI, które przenicowało jego życiorys aż do dzieciństwa.

- Urodził się w Venice w Kalifornii - dodaje Vito. - Jako nieślubny syn byłej katolickiej zakonnicy Agnese Canaletto, która zmarła przy porodzie. Wychował się w katolickim sierocińcu i w wieku czterech lat zaadoptowała go rodzina o nazwisku Bale.

Przed oczami Toma staje obraz Canaletta na pocztówce, którą dała mu Rosanna Romano w noc swojej śmierci. Zastanawia się nad faktycznym znaczeniem tego obrazu dla całej historii. Tymczasem Valentina kontynuuje opowieść:

- Przybrani rodzice powiedzieli Bale'owi o jego pochodzeniu. Przypuszczam, że mieli dobre intencje, ale w rezultacie Bale od dzieciństwa żywił obsesyjną nienawiść do katolicyzmu i Włoch. Psycholodzy z FBI uważają, że z tego powodu pragnął wyrządzić jak największe szkody Kościołowi i wszystkim, co w jego głowie symbolizowało Włochy.

- Symbolizm i zło to potężna kombinacja - komentuje Tom. - Zwłaszcza w przypadku samotników z ciężkim dzieciństwem. Co się stało z tymi srebrnymi artefaktami, Tabliczkami z Atmanty?

- Zamknięte na klucz w sejfie żandarmerii - odpowiada Valentina, podnosząc miskę z owocami ze stolika przy łóżku.

- Bezpiecznie ukryte przed Kościołem i satanistami. Później zastanowimy się, co z nimi zrobić - dorzuca Vito. - Właściwie to są zamknięte w dwóch sejfach.

- Dwóch? - dziwi się Valentina, wybierając z miski winogrona.

- Nie chodzi o to, że jestem przesądny - wyjaśnia Vito - ale wolałem nie kłaść wszystkich trzech razem. Uznałem, że najlepiej będzie je rozdzielić. - Rozkłada bezradnie ręce.

- Wiem, wiem, każda powinna leżeć w osobnym sejfie, ale mam tylko dwa.

Wszyscy wybuchają śmiechem. Śmieją się, gdy drzwi do pokoju Toma się otwierają. Tina jest zaskoczona, widząc dwoje ludzi po obu stronach łóżka Toma.

- Przepraszam, nie wiedziałam, że masz gości.

- Wejdz - mówi ciepło Tom. - To nie goście, tylko przyjaciele i byli pracodawcy. Na pewno pamiętasz Valentine.

Obie kobiety patrzą na siebie z wymuszonym uśmiechem.

- A teraz moi przyjaciele grzecznie zostawią moje owoce i pójdą na śniadanie. - Tom odwraca się do majora. - A przy okazji możecie pociągnąć za kilka sznurków i wypisać mnie z tego szpitala jak najszybciej.

- Zobaczymy, co się da zrobić. - Vito wstaje i kiwa głową Tinie. Valentina rzuca jej lodowate spojrzenie.

- Nie zjedz wszystkich winogron, kiedy nas nie będzie.

Tina czeka, aż drzwi zamkną się za dwójką żandarmów, po czym patrzy niepewnie na Toma.

- Czy to jest dobry moment, żeby porozmawiać? Czy mam przyjść później?

- Nie, teraz będzie w sam raz. - Tom uśmiecha się. - Prawdę mówiąc, teraz będzie idealnie.

III

Los Angeles

Sześć tysięcy mil od Wenecji młoda kobieta śpi w szpitalnym łóżku, identycznym do tego, w którym leży Tom.

Cristiana Affonso ma szczęście, że żyje. Lekarze twierdzą, że podczas operacji krwotok był tak silny, że niemal ją stracili.

Gillian, matka dziewczyny, siedzi obok łóżka. Trzyma córkę za rękę i odgarnia kosmyki włosów z pogrążonej w niespokojnym śnie twarzy.

Jej biedna dziewczynka przeżyła koszmar. A kiedy się zbudzi, czeka ją cała masa nowych problemów.

Noworodek w plastikowym kojcu, stojącym obok krzesła, porusza drobnymi rączkami. Tik nerwowy, z gatunku tych, o których starsi ludzie mawiają, że pojawia się, gdy ktoś przespaceruje się po twoim grobie.

Gillian Affonso puszcza palce córki. Nie zwraca uwagi na ruchy wnuczka. Musi poszukać szpitalnej kaplicy. Musi się pomodlić. Zapytać Pana Boga o radę.

Zanim jednak wyjdzie z pokoju, zdejmie z szyi złoty krzyżyk, który dostała na swoją Pierwszą Komunię. Zakłada go na szyję córki i całuje ją w czoło. Może Bóg obroni ją przed kolejnymi cierpieniami.

W drzwiach na korytarz ogląda się przez ramię. Dziecko ani razu jeszcze nie zapłakało. Lekarze też byli zdziwieni. Wszystkie noworodki płaczą. Najwyraźniej ten jest wyjątkiem. Przyszedł na świat w milczeniu. Ma szerokie, mądre oczy. Zupełnie jakby już kiedyś tu był, jakby wszystko już kiedyś przeżył.

A to nie wszystko.

Babcia Affonso nie ma ochoty wziąć wnuka na ręce. Nie odczuwa potrzeby dotykania go, pieszczenia i całowania. Czuje się z tego powodu winna. Ale nie tylko winna. Gillian Affonso boi się tego dziecka.

Może dlatego, że jego narodziny były tak traumatyczne? Może dlatego, że nie chce zrobić mu krzywdy?

Nie, nie o to chodzi. Głęboko w duszy Gillian zna prawdziwy powód. Boi się tego dziecka, ponieważ jej wnuk jest synem człowieka, który zgwałcił jej córkę.

Człowieka zabitego przez księdza w zaułku w Compton niemal dziewięć miesięcy wcześniej.

PODZIĘKOWANIA

Wielkie dzięki składam Davidowi Shelleyowi, który pierwszy zachęcił mnie do pisania. David, z przyjemnością przedstawiam Ci swoją pierwszą książkę! Ponadto chciałbym serdecznie podziękować wszystkim osobom z Little Brown za zaufanie, pomoc, wsparcie i nieustanne służenie pomocą, zwłaszcza Nikoli Scott, która dzielnie zmagala się z pierwszymi szkicami tej powieści i była dla mnie wielką inspiracją. A gdyby nie sokole oczy i celne sugestie Thalii Proctor i Anne O'Brien, ostateczna wersja tej książki byłaby znacznie gorsza.

Chciałbym też wyrazić wielką wdzięczność moim stałym pomocnikom - Luigiemu Bonomiemu, który dożywotnio dzierży tytuł Najlepszego Agenta Świata, międzynarodowym agentom literackim Nikki Kennedy i Samowi Edenboroughowi z ILA, którzy z niegasnącym zapałem i entuzjazmem promują moją książkę na całym świecie, oraz „Straszliwemu” Jackowi Barclayowi, jednemu księgowemu, który potrafi mnie rozśmieszyć.

Bardzo dziękuję również Guyowi Ruty'emu, profesorowi patologii sądowej z East Midlands Forensic Pathology Unit na Uniwersytecie w Leicester, za wskazówki i cierpliwość - jeśli w tej książce odbiegałem od faktów, to czyniłem to wyłącznie na własną odpowiedzialność.

ROK 666 PRZED CHRYSYSEM

- FAKTY I FIKCJA

Chyba powinienem wyjaśnić kilka rzeczy. Niektóre szczegóły w rozdziałach dziejących się w Etrurii po prostu wymyśliłem. Nie jest ich wiele, ale jednak.

Nigdy nie istniało miasto Atmanta. I, całe szczęście, nigdy nie istniały też „Bramy Piekła”.

Trochę oszukiwałem też w kwestii czasu. Choć cywilizacja, którą opisuję w dziejach Teukrosa i Tecji (a są to autentyczne etrusko-greckie imiona), istniała naprawdę, społeczeństwo rozwinięte w takim stopniu raczej nie istniało w 666 roku przed Chrystusem. W tamtych czasach nie było jeszcze osad o ustalonym układzie urbanistycznym, z systemem przecinających się dróg *decumanus* i *cardo*. Podobnie nie istniały tak rozbudowane architektonicznie świątynie, jak ta, którą umieściłem w gaju, naturalnej wielkości rzeźby i zamorski handel. Niektóre z tych rzeczy pojawiły się dopiero sto lat później. Reszta informacji jest dość wiarygodna - na przykład rola wróżbitów (zwanych też haruspikami) w społeczeństwie, sztuka wróżenia z wątroby. Istniał także etruski panteon, na którego czele stali Uni, Tinia i Menrva, podobnie jak naturalna medycyna, praktykowana przez Lartuzę Uzdrawiciela. Wątroba z Piacenzy jest oczywiście autentyczna i pilnie strzeżona przez Włochów.

Dlaczego zatem nie opisałem dokładnie życia w 666 roku przed naszą erą? Prawdę mówiąc, bardzo niewiele wiadomo na temat tamtych czasów, a z całą pewnością nie tyle, by odmalować pełen życia krajobraz miejsca, w którym kilka wieków później powstała Wenecja i w którym postanowiłem umieścić korzenie satanistycznej legendy.

Chciałem również popchnąć koła czasu nieco do przodu, do momentu, gdy cywilizacja Etrusków osiągnęła największy rozwój (przed nastaniem Rzymu). W szczytowym okresie Etruria była jedną z najwyżej rozwiniętych cywilizacji na świecie i przez wiele lat nawet Rzymianie obawiali się konfrontacji z Etruskami na polu bitwy. Liczne etruskie rytuały i zwyczaje zostały potem przejęte przez Rzymian, a w rezultacie rozprzestrzeniły się na większość zachodniego świata.

W badaniach nad dziejami Etrusków wytrwale i cierpliwie wspierał mnie dr Tom Rasmussen, starszy wykładowca i obecnie dziekan wydziału historii sztuki na Uniwersytecie w Manchesterze. Tom jest światowej sławy ekspertem w dziedzinie archeologii etruskiej, interesującym się przede wszystkim sztuką i kulturą materialną. Wskazówki Toma widoczne są szczególnie w artystycznych rzywkach sędziego Pesny oraz oczywiście w rzeźbiarskiej profesji Tecji, a tym samym w Tabliczkach z Atmanty. Czasy Etrusków są niezmiernie trudne do badania, ponieważ do dziś przetrwało bardzo niewiele tekstów z tamtej epoki, a język etruski istotnie różni się od pozostałych języków starożytnych. W przeciwieństwie na przykład do starożytnego Egiptu, po którym zachowały się dziesiątki papirusów, badacze Etrusków muszą się opierać głównie na znaleziskach archeologicznych i ich interpretacji.

Prace naukowe Toma pozwoliły mi stworzyć wiarygodny obraz Atmanty - pięknej okolicy porośniętej gęstymi lasami, gdzie zboża zasiewano na przydomowych polach lub w ogrodach. Od czasu do czasu w gospodarstwie pojawiały się też świny, kozy i owce. Był to czas rozbudowanych rytuałów, ceremonii i przesądów, regulujących życie społeczne od narodzin do śmierci i dalej, w życiu pozagrobowym, zwanym także królestwem podziemi. Rytuały odprawiane przez Teukrosa stanowią kombinację potwierdzonych praktyk ówczesnych wróżbitów z wytworami mojej wyobraźni, które pasowały

mi do opowiadanej historii. Dlatego też wszelkie nieścisłości historyczne są wynikiem mojej interpretacji, nie zaś błędów doktora Rasmussena.

Pozwolę sobie tu przytoczyć kilka informacji, którymi podzielił się ze mną Tom. Dzięki temu być może zainteresujecie się szerzej fascynującymi dziejami Etrusków, a także docenicie problemy, z którymi musi zmierzyć się pisarz, decydując się na umieszczenie akcji thrillera w tamtej epoce. Ołtarze libacyjne ustawiano na zewnątrz etruskich świątyń, a nie (jak napisałem w jednej z pierwszych wersji tej książki) w środku. Złota - które pierwotnie miało być w tej opowieści szlachetnym kruszcem - w tamtych czasach nie wydobywano we Włoszech, natomiast prowadzono wydobywanie srebra (co akurat dobrze pasowało do satanistów, którzy odrzucają złoto ze względu na bliskie powiązanie z chrześcijaństwem). Mamarcus to potwierdzone etruskie imię, w przeciwieństwie do Mamarcusa, jak nazwałem złotnika na początku - jak się okazuje, jest to imię z czasów rzymskich (ależ ze mnie ignorant). Lista jest dość długa. Sądzę, że Tom zużył kilka czerwonych flamastrów, podkreślając i przekreślając moje błędy. Jestem mu do zgonnie wdzięczny za wiedzę, którą mi przekazał.

W Internecie jest sporo stron poświęconych rozwojowi i upadkowi cywilizacji Etrusków, ich życiu, wierzeniom i rytuałom. Wiele zawartych tam informacji jest niestety niesprawdzonych, a część to zwykłe domysły i spekulacje. Jeżeli jednak chcecie przeczytać dobrą książkę o Etruskach, polecam wam „The Etruscans” Toma Rasmussena i Graeme'a Barkera wydaną przez Blackwell. To znakomita lektura, która wprowadzi was w tajemnice tego niezwykłego ludu. A gdy będziecie o nich czytać, nie zapomnijcie o Teukrosie i Tecji. Mam nadzieję, że pamięć o nich przetrwa w waszej wyobraźni przez długie lata.